

Książka opisuje - od strony niemieckiej - wydarzenia związane z lądowaniem aliantów w Normandii, począwszy od 3 czerwca do kapitulacji niemieckiego garnizonu w północnej części Paryża 25 sierpnia 1944 r. Jak we wszystkich książkach Carella, opis akcji jest żywy, obejmuje przeżycia żołnierzy i oficerów bezpośrednio pierwszej linii frontu i w sztabach - tych bliskich frontu, położonych na zapleczu. Powyższe dotyczy obydwu stron walczących. W ten sposób czytelnik jest cały czas w centrum ważniejszych wydarzeń i ma plastyczny obraz sytuacji, w tym w Normandii otworzyło tylne wrota *Festung Europa*. Carell wyjaśnia, dlaczego dowództwo niemieckie było czyste. Dlaczego długo nie mogło uwierzyć, że lądowanie w Normandii to jest ta właściwa inwazja, a nie manewr mylący.

Aby odpowiedzieć na te pytania, autor przebadał najnowsze, ostatnio ujawnione tajne dokumenty. Stawia tezę, że udane lądowanie było przede wszystkim wynikiem skutecznej dezinformacji ze strony aliantów.

Książka jest najlepszym opisem inwazji w Normandii pióra niemieckiego autora, jaki ukazał się w języku polskim.

Właściwe rozstrzygnięcie wojny zapadło w 1944 r. na Zachodzie, s alianckiej operacji inwazyjnej na wybrzeżu Normandii, przełamanie umocnień niemieckiego Wału Atlantyckiego uważanych za nie do pokonania, dowiodły anglo-amerykańskiej przewagi materiałowej i organizacyjnej."

WIELKIE BITWY - WIELCY DOWÓDCY

Paul Carell

ALIANCI ŁADUJĄ!

NORMANDIA

1944

Spis treści

Przedmowa do wydania nowego, poszerzonego.....

1. Oczekiwanie i trwoga.....

Kiedy przyjdą - gdzie się pojawią - Niesprzyjająca pogoda - Przyjdą dziś? - Meteorolodzy drugiej strony - Wiersz Paula Verlaine'a - Nadlatują silne formacje bombowców - Alarm - spadochroniarze lądują „Poruczniku, niech no pan pokaże swoje ręce” - Cały pułk skacze w bagna- Żaby spod Marcouf- Merville, kosztowna pomyłka - W 5 prowadzi „dowolny ogień” - Miejsce przeznaczenia nazywa się Sainte Mere-Eglise

2. Bloody „Omaha” - Ale Hitler uważa, że to atak pozorny

Miejsce lądowania bez Luftwaffe - Kutry torpedowe wypływają-Gniazdo oporu nr 62 - Bloody „Omaha” - Czołgi wychodzą z morza - Tama pęka - 22 pułk czołgów maszeruje

3. Przegapione szanse.....

Straszliwy marsz Dywizji Panzer-Lehr - Uwaga, samoloty myśliw-sko-bombowe - Bałamutne rozkazy - Klasztor Ardenne - Pojedynek z flotą - Ostatni meldunek z Bayeux - Tajny plan operacyjny amerykańskiego 7 korpusu w wyrzuconej na plażę barce desantowej - Marsz Ohmsena na wzgórze janowcowe - „Strzelcom spadochronowym potrzebny jest tylko nóż” - „Bayeux musi być odebrane!”

4. Bitwa o Tilly.....

13 dni w czołgu Panzer IV - Stanowisko dowodzenia Grupy Pancerniej Zachód zostaje zbombardowane, personel sztabowy ginie - Dramatyczna potyczka pancerna - „Pantera” i „Tygrys” w leśnych zaroślach - Szef grabarzy z Kensal-Green - Jeden „Tygrys” przeciwko całej brygadzie - V1 pędzi ponad frontem - Gdzie są nasze samoloty?

5. Piąty dzień: polityczne *intermezzo*.

S. Bitwa o Cherbourg.....	'63
„Samolot myśliwsko-bombowy - siewca śmierci" - Rozkaz Fiilirera: Do ostatniego naboju - Godzina artylerii - Amerykański kapitan przechodzi przez linię frontu - Octevillc kapituluje - Kanonierzy przeciwko czołgom -- Miny bez zapalników - Jeep z białą flagą- Rozliczenie pomyłki	
7. Pomiędzy Caen i Saint Ló.....	^(c) 7
Rzeczka o nazwie Odon i wzgórze 112 - Panzer-Lehr przerzucona na Saint Ló - Caen pada - Pod Saint Ló i w lesie pod Mont Castrę -Operacja „Good Wood" , „Dobre drzewo" - Przełamanie pod Saint Ló - Front się załamuje	
8. Wielki kocioł.....	231
Most w Pontaubault - Operacja „Luttich" - Atakuje 600 czołgów - „Ojcowie rodzin na prawo wystąp!"- „Gdzie jest feldmarszałek von Kluge?" - Piekło Falaise	
9. Początek końca.....	255
Przez mosty Sekwany - Paryż nie będzie Warszawą - Ostatni akt	
Dodatek.....	265
List pożegnalny feldmarszałka von Kluge	
Wykaz literatury	269

Przedmowa do wydania nowego, poszerzonego

6 czerwca 1944 r. mija 50 lat od kiedy angielskie oraz amerykańskie armie inwazyjne wylądowały na wybrzeżu Normandii i rozpoczęły szturm na Europę. Naładowane emocjami, wyniszczające bitwy w Rosji, obecne są w świadomości Niemców jako operacje, które zadecydowały o wyniku wojny. Jednakże ostateczne rozstrzygnięcie losów wojny nastąpiło w 1944 r. na zachodzie. Sukces alianckiej operacji desantowej na wybrzeżu Normandii, przełamanie - uważanego w powszechnej opinii za nie do pokonania - niemieckiego Wału Atlantyckiego, dowiódł strategicznej, organizacyjnej i materiałowej przewagi Anglo-Amerykanów. Przede wszystkim mieli o wiele silniejsze lotnictwo i panowali w powietrzu nad polem walki, co w sposób zdecydowany wpłynęło na przebieg kampanii, a tym samym rozstrzygnęło o dalszych losach wojny.

To, że udane lądowanie aliantów we Francji będzie miało zasadnicze znaczenie w tych militarnych zmaganiach, przedstawił już wyraźnie sam Hitler w 1943 r. w swej dyrektywie nr 51. Stwierdził w niej: „Niebezpieczeństwo na wschodzie jest ciągle obecne, ale jeszcze większe zarysowuje się na zachodzie: inwazja anglosaska. Jeśli nieprzyjacielowi uda się włamanie w linię naszej obrony na szerokim froncie, to następstwa w krótkim czasie będą nieprzewidywalne”.

A generał Jodl, szef sztabu dowodzenia Wehrmachtu i bliski współpracownik Hitlera, 5 maja 1944 r., na miesiąc przed inwazją, sformułował swoją opinię następująco: „Dzisiaj stoimy... przed wielkim lądowaniem mocarstw zachodnich, a tym samym przed zakończeniem wojny i walkami, które zadecydują o naszej przyszłości”.

Dlatego też ważnym nakazem historii wojen, a szczególnie historii współczesnej jest, aby alianckie lądowanie i działania operacyjne we Francji, będące jego następstwem, wiernie zobrazować i wprowadzić do świadomości historycznej. Przy sporządzaniu tego przekazu musi stale czuwać niemiecki autor, choć trudno czerpać satysfakcję z pisania o kampanii, na końcu której stoi nieuchronnie katastrofa. Pojawia się zwykle wielka pokusa, aby upiększać przegrane bitwy lub wyrównywać rachunki win. W obu przypadkach byłoby to grzechem wobec rozsądku i historii.

Icinarich von Treitschke, nestor niemieckiej historiografii, we wprowadzeniu do 5 wydania swej „Historii Niemiec w dziewiętnastym wieku” w 1894 r., a więc

przed stu laty, napisał: „Autor historii Niemiec wywiązuje się ze swego zadania zaledwie w połowie, jeśli wykazuje tylko związek wydarzeń i odważnie wypowiada swój osąd; on sam też powinien odczuć dogłębnie wagę tych spraw i umieć wzniecać w sercach swych czytelników to, co wielu naszych rodaków dzisiaj utraciło przez klótnie i zniechęcenie, tak częste w obecnych czasach: radość z ojczyzny”.

Tym samym Treitschke, następca Leopolda von Ranke na berlińskiej katedrze historii, obok zasady, że historyk nie powinien osądzać i uczyć, lecz jedynie ujawniać, „Jak to właściwie było”, postawił szczególny akcent na nieskrywane uczucie do ojczyzny.

Autor *Sie Kommen* przyznaje się do Rankego, to znaczy do udokumentowanego przedstawienia „jak to właściwie było”, ale nie wypiera się, że myśli też w duchu Treitschkego. On relacjonuje w sensie taktów, jak to rzeczywiście było. I dlatego tak było. Na podstawie relacji ludzi z ich własnych przeżyć i z dokumentów. A cały ten materiał jest zebrany z myślą o szerokim gronie zainteresowanych czytelników. Zamierzenie to było możliwe dzięki pomocy paru setek współpracowników - od prostego szeregowca do dowódcy armii - którzy w tym bezlitosnym dramacie byli w określonych miejscach. Ich relacje, ich zapiski i prace poświęcone historii wojny oraz uratowane pomimo wszelkich zawirowań szkice bojowe, oryginalne rozkazy i plany sytuacyjne tworzą materiał tej książki. Nowe informacje pochodzące z ujawnionych tajnych dokumentów alianckich, z dociekań naukowych, różnych pamiętników i krytycznych rozpraw, nadają lądowaniu aliantów i wynikających z tego bitew nowe znaczenie. Te dokumenty, uszeregowane fakty i krytyczne punkty widzenia badań, zostały przedstawione w niniejszym, nowym wydaniu. Przede wszystkim zaś najnowsze, ujawnione tajniki skutecznych alianckich przedsięwzięć mylących, prowadzonych przez agentów. ludzi zaufanych; wszystkie te audycje radiowe i wyrafinowane operacje dez-informacyjne. których celem było zwodzenie przeciwnika, co do czasu i miejsca lądowania oraz skierowanie uwagi niemieckiego dowództwa na fałszywe tory. Cała armia duchów, wymyślona przez alianckie służby tajne, trzymana jakoby w odwodzie dla rzekomego drugiego lądowania, uzyskała prawo realnego obywatelstwa w meldunkach o sytuacji nieprzyjaciela w niemieckim sztabie generalnym wojsk lądowych jako rzeczywistość strategiczna, i całymi tygodniami, już po wylądowaniu, wciąż jeszcze zakłócała rozważania niemieckiego naczelnego dowództwa i dowódcy wojsk we Francji. Do tych dezinformacyjnych działań wykorzystano skutecznie nawet niemieckiego generała, kawalera wysokich odznaczeń. przebywającego w brytyjskiej niewoli. Dyplomatyczne i propagandowe przeciąganie liny pomiędzy Stalinem a zachodnimi aliantami, dotyczące utworzenia drugiego frontu celem odciążenia Armii Czerwonej, stanowi także dramatyczną lekcję historii dla powojennych pokoleń. Przecież Mołotow od 1942 r. raz po raz domagał się kategorycznie w Londynie utworzenia

drugiego frontu dla odciążenia frontu rosyjskiego. Tymczasem alianci, obawiając się niepowodzenia i strat, wciąż przesuwali termin za terminem.

Snuto brawurowe plany, ustanawiano terminy i znów je zawieszano, wykonano obfitujące w straty próbne lądowanie, jak to pod Dieppe. Z najnowszych badań wiadomo, że amerykańscy generałowie rozważali rezygnację z żądania kapitulacji bezwarunkowej, aby osiągnąć wyzwolenie Francji bez wielkich strat. Jednakże Roosevelt i Churchill stali twardo na stanowisku bezwarunkowej kapitulacji i zainicjowali tę największą w dziejach wojen militarną operację inwazyjną.

Przez całe dwa lata zabiegi dezinformacyjne aliantów odnośnie terminu lądowania ich wojsk wiązały we Francji silne, elitarne formacje niemieckie, których brakowało w decydujących bitwach prowadzonych na froncie wschodnim latem 1942 r. i 1943 r. przeciwko Armii Czerwonej. I kiedy 6 czerwca 1944 r. potężna aliancka flota inwazyjna pojawiła się niespodziewanie u wybrzeży Normandii, to chociaż na linii wybrzeża liczącej 4600 kilometrów czekało na nieprzyjaciela 58 niemieckich dywizji liczących prawie dwa miliony ludzi, to w pobliżu miejsc lądowania znajdowało się zaledwie siedem dywizji. Ponadto wiele stanowisk dowodzenia nie posiadało swych dowódców, gdyż kazano im jechać na ćwiczenia sztabowe do Rennes. Feldmarszałek Rommel, dowódca decydującego odcinka frontu, był w tym czasie na uroczystościach urodzinowych w Herrlingen. A niemieckie kierownictwo wojskowe w Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu* dręczyło się wątpliwościami, czy to rzeczywiście jest inwazja. A i dowódcy we Francji byli głęboko przekonani o tym, że główna operacja lądowania nastąpi w rejonie Calais.

Ale mimo wszystko, mimo chaosu rozkazodawczego po stronie niemieckiej, mimo olbrzymiej przewagi aliantów w powietrzu nad terenem walk i mimo udanego zaskoczenia odnośnie czasu i miejsca lądowania, to strategia dowództwa alianckiego jednak zawiodła. Z planowanego szybkiego, zwycięskiego rajdu wyszła 80-dniowa bitwa po obu stronach obfitująca w ciężkie straty, ponieważ niemieckie oddziały frontowe - mimo iż był to piąty rok wojny, a sytuacja często bywała beznadziejna - ciągle walczyły w sposób zdeterminowany i z poczuciem przewagi taktycznej. Śmiali dowódcy na czele swych pułków, grup bojowych i gniazd oporu niweczyli aliancki plan najazdu. Pułki czołgów dokonywały udanych przeciwuderzeń, dochodząc aż do wybrzeża. Niemieccy strzelcy spadochronowi całymi dniami utrzymywali swoje stanowiska pośrodku nieprzyjacielskich odcinków lądowania i stawiali ociężale, w sensie taktycznym, walczącego przeciwnika w poważnych sytuacjach kryzysowych.

To, co Eisenhower i Montgomery zamierzali osiągnąć w ciągu paru dni, załamywało się na linii oporu niemieckich oddziałów frontowych. Przebieg kampanii pokazuje, jak alianci, mimo materiałowej i technicznej przewagi,

musieli krok po kroku, metr po metrze, w piekle spadających bomb i pocisków ciężkiej artylerii okrętowej, wywalczyć sobie wyjście z przyczółków lądowania. W bitwie mate-

* OKW Oberkommando der Wehrmacht (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

riałowej, niemającej sobie równych, niemieckie oddziały frontowe i stopniowo wprowadzane odwody, zostały zmielone, zdziesiątkowane, a w końcu, po alianckim przełamaniu pod Avranches, w sile jednej armii okrążone. Bitwy stoczone w ramach inwazji były zbrojnym zmaganiem się niemieckich żołnierzy frontowych z techniczną, materiałową oraz organizacyjną przewagą i z nieliczącą się z kosztami strategią Stanów Zjednoczonych. To nowe wydanie książki z okazji 50 rocznicy szturmu aliantów na *Festung Europa* jest odbiciem najnowszego stanu badań historii wojen, przeznaczonym dla szerokich rzesz czytelników, wierne dewizie: jak to było i dlaczego tak było.

9.

Oczekiwanie i trwoga

Paul Carell

Kiedy przyjdą - gdzie się pojawią?

Jest sobota 3 lipca 1944 r. Starszy ogniomistrz Gunter Witte leży w trawie wydmowej na wybrzeżu atlantyckim Normandii i za pomocą lornetki przeszukuje niebo. Południowe słońce jest przesłonięte chmurami. Mimo to jest ciepło, tak jak powinno być na początku czerwca na półwyspie Cotentin. Ale nadchodzą chmury burzowe i wydaje się, że trzeba będzie pożegnać się ze słonecznym dniem.

Podłużne wydmy atlantyckie szumią. Pośród szumu traw słychać uderzenia młotów. Jakiś pododdział z 1262 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych buduje pod miejscowością Rozel stanowisko dla zdobycznego działła francuskiego.

- No, Witte, jak tam polowanie? - woła podporucznik Wollschlaeger w kierunku wydmy.

- Nie poszczyściło się dzisiaj - odpowiada starszy ogniomistrz. W tej samej chwili rzuca lornetkę na miotłkę leżącą tuż obok. Błyskawicznie posuwa się na brzuchu. Podrywa do góry francuską flintę na śrut. Dwururka wędruje powoli z prawa na lewo. „Pac!” i jeszcze raz „pac!” Biały kłębek trzepoce się i zataczając, spada ku ziemi. Witte rzuca flintę na trawę i biegnie w tym kierunku.

- Masz go? - pytają kamraci, kiedy wraca po minucie.

- Patrzcie - śmieje się starszy ogniomistrz. - Jest. - I pokazuje kolegom martwego gołębia.

- Naładowany? - pyta Wollschlaeger.

- Jasne, panie poruczniku, proszę bardzo. - Witte podaje mu metalową ru-reczkę, którą odłączył od upierzenia. Ten otwiera ją. Wewnątrz jest karteczka z cieniusieńkiego papieru ryżowego. Na niej widoczne są cyfry, litery i na

końcu maleńki rysunek: lis. - Poprzednim razem był kruk albo sowa, albo coś w tym rodzaju - przypominał sobie Witte. On ma doświadczenie.

- Zawieźcie to do zamku - rozkazał podporucznik. - Pospieszcie się.

I Witte pedałuje w górę, zarekwirowanym rowerem, drogą z Les Pieux do Cherbourga do sztabu pułku znajdującego się w zamku pod Sotteville, aby przekazać zestrzelonego gołębia pocztowego z listem do Anglii: listem tajnego agenta

z Francji do wywiadu angielskiego. List, w którym zdradzone będą stanowiska ogniowe i bunkry, jakie Niemcy budują na wybrzeżu i na zapleczu, oddziały wojskowe kwaterujące po wsiach i wszystko, co wywiad chce wiedzieć o nieprzyjacielu.

Inaczej niż w pierwszej wojnie światowej, kiedy to gołębic pocztowe zastępowały nierozwinięty jeszcze system radiowy, w drugiej światowej używano ich do uzupełnienia łączności radiowej. Przede wszystkim do przekazywania informacji z terenów trudno dostępnych lub gdzie umieszczenie radiotelegrafisty było zbyt ryzykowne. Gołębia nie można było -jak radiotelegrafistę - namierzyć przez kontrwywiad radiowy; prznosił tajne rysunki i informacje szybko i cicho. Jedną z osobliwych funkcji gołębi były meldunki o wykonaniu zadania, na przykład, że wysadzony za pomocą spadochronu agent dobrze wylądował. Agenci wysadzani tą metodą mieli ze sobą ptaka-posłańca, którego po udanym lądowaniu wypuszczali.

Gołębie pocztowe do dyspozycji francuskiego ruchu oporu były zrzucane na spadochronach we francuskich centrach Resistance lub w tajnych obozach maquis*, jednakże straty w ptakach były stosunkowo wysokie. Wicie z nich nie zostało przez bojowników ruchu oporu odnalezionych, wiele zostało przez mieszkańców przekazanych jednostkom niemieckim, ponieważ ich nieoddanie podlegało surowej karze. W ten sposób niemiecka Abwehra doszła do wniosku, że gołąb pocztowy jest ważnym czynnikiem wojny prowadzonej na tajnym froncie. Stąd też polowanie na gołębie w okupowanej Francji, a przede wszystkim w niemieckich jednostkach na północno francuskim wybrzeżu, stało się rodzajem sportu.

Oddział Gołębi Pocztyw Brytyjskiego Ministerstwa Transportu Lotniczego wysadził we Francji do czerwca 1944 r., w ciągu trzech i pół roku, 16 554 gołębi pocztowych, z czego 1842, to jest jedenaście procent, powróciło z powrotem do swych gołębników na południowym wybrzeżu Wielkiej Brytanii. U ich nóżek przytroczone były rurki aluminiowe z informacjami o stacjonujących oddziałach niemieckich i ich ruchach, o urządzeniach fortyfikacyjnych Wału Atlantyckiego na wybrzeżu oraz o lokalizacji lotnisk polowych i stanowisk startowych rakiet. Przede wszystkim jednak gołębic pocztowe, w przeciwieństwie do przesyłanych przez agentów meldunków radiowych, mogły przynosić mikrofilmy ze zdjęciami, rysunkami i mapami. Jock Haswell podaje w swoim sprawozdaniu informacyjnym zamieszczonym w *Intelligence and Deception*, że pierwszy gołąb agenturalny z okupowanej Francji, który jesienią 1940 r. przyleciał w dobrym stanie do Anglii, pochodził od wysadzonego wcześniej agenta. On to, ukrywając ptaka pod płaszczem, maszerował wraz z nim przez całą noc po kraju, aż zatrzymał się w domu pewnego zaufanego człowieka, gdzie gołębia umieszczono w klatce. Potem agent przez jedenaście dni jeździł po Francji i zbierał informacje.

* Franc. oddziały partyzantów francuskich, walczące przeciw hitlerowcom w czasie

U wojny światowej.

20 października wrócił z powrotem do swej kwatery i rankiem o godzinie 8.20 wypuścił gołębia z rurkami wypełnionymi informacjami; o godzinie 15.00 gołąb wylądował w swoim rodzinnym gołębniku w Anglii. Ten szczególnie posłaniec, przelatując w ciągu sześciu godzin i czterdziestu minut 300 mil (około 480 km), przeniósł ważne informacje o rozmieszczeniu niemieckich jednostek i adresy sił oporu. Znaczące osiągnięcie w dziedzinie wywiadowczej.

Zniszczono ich niewiele, gdyż gołębie te latały bardzo wysoko i były szybkie. niektóre pokonywały nawet 90 kilometrów w ciągu godziny. Trzeba było być naprawdę dobrym strzelcem, aby trafić takiego „listonosza” w locie, jeśli go się w ogóle zobaczyło. Ale raz po raz niemieckim strzelcom udawało się sprowadzić z nieba na ziemię jednego z tych ważnych dla brytyjskiego wywiadu ptaków. Potem w sztabach rozpoczynała się praca nad rozszyfrowaniem zdobytego meldunku.

Spośród latających agentów, którym nic udało się wylądować w ich gołębnikach w Anglii, dwa miały przy nóżkach ruloniki ze szczególnie cennymi militarnie informacjami. Ich strata kosztowała wiele istnień amerykańskich żołnierzy. Jeszcze o tym usłyszymy.

W poniedziałkowy ranek, 5 czerwca, szef rozpoznania 84 korpusu armijnego w Saint Ló, major Friedrich Hayn, zarejestrował meldunek 709 dywizji o zestrzeleniu, przez starszego radiotelegrafistę Wittego, gołębia pocztowego z listem agenta. Rolkę aluminiową z zaszyfrowanym tekstem położył obok, aby ją pokazać generałowi Marcksowi, a jutro, a więc 6 czerwca, wysłać ją kurierem do centrali Abwchry w Paryżu. Nie przeczuwał jeszcze, że w owo, jutro” będzie miał wiele ważniejszych spraw na głowie.

Major spojrział przez wielkie okno w kierunku katedry z jej majestatycznymi wieżami. Rzucił okiem na niebo, które zwiastowało kiepską pogodę, i poświęcił się swej pracy: mapy sytuacyjne, ataki powietrzne, wiadomości o nieprzyjacielu. Papiery, papiery.

Tak jak u majora Hayna na stanowisku dowodzenia 84 korpusu armijnego. podobnie było 5 czerwca 1944 r. wszędzie -w zamkach pod Paryżem, w Bretanii i w Normandii, jeszcze dalej w Belgii, w Pas de Calais, w Holandii i w południowej Francji. Oficerowie sztabowi studiowali meldunki i informacje o nalotach nieprzyjacielskich, bombardowaniach, wiadomości z różnych odcinków wybrzeża i o przebiegu prac fortyfikacyjnych. Jednak ich szczególną uwagę pochłaniała prognoza pogody, gdyż od niej zależało wszystko.

Pogoda była alfą i omegą.

Pogoda rozstrzygała pytanie: przyjdą, czy nie przyjdą? I ze względu na wagę tego pytania wszyscy byli na miejscu, sztaby, generałowie i 58 dywizji na zachód od Renu. 58 dywizji! Z tego 48 to formacje piechoty, dziesięć to formacje pancerne z 1370 czołgami zdolnymi do walki i 170 tysiącami ludzi. Feldmarszałkowi von Rundstedtowi podlegało w dniu 5 czerwca 1944 r. 950 tysięcy żołnierzy wojsk lądowych, Waffen-SS i sił lądowych Luftwaffe. Całkowity stan osobowy roz

mieszczony na zachód od Renu wynosił 5 czerwca 1 873 000 ludzi - zgodnie z sumarycznym zestawieniem generała Jodła. Milion osiemset siedemdziesiąt trzy tysiące! Wszyscy oni jak jeden mąż czekali, pochłonięci odpowiedzią na te dwa pytania: Kiedy tamci przyjdą? Gdzie się pojawiają?

Nad tym „gdzie” niemieckie dowództwo łamało sobie głowę już od 1942 r. Nie było tajemnicą, że Stalin gwałtownie żądał od swych zachodnich sprzymierzeńców otwarcia drugiego frontu dla odciążenia Armii Czerwonej, która od czasu niemieckiej ofensywy letniej 1942 r. prowadziła rozpaczliwe walki. Ale problem w tym, gdzie zachodni alianci uderzą dużymi siłami? Mogła to być Norwegia. Albo Dania. Albo równie dobrze inne miejsce na jakże rozległym wybrzeżu Francji.

W 1943 r. Hitler oraz Dowódca Zachód* feldmarszałek von Rundstedt, wyrobili sobie niepodważalny pogląd, że drugi front może być utworzony tylko na jednym z wybrzeży zachodniej Europy. Ale na którym?

Kiedy niemieckie rozpoznanie stwierdziło przemieszczanie silnych związków alianckich ze Szkocji do Anglii Południowej, to zagrożenie dla Norwegii i Danii straciło na znaczeniu. Na czoło domysłów wysunęło się lądowanie na wybrzeżu belgijskim lub francuskim.

Przy ciągłych rozważaniach na temat tego, w jakim miejscu można się spodziewać lądowania, dużą rolę odgrywał problem wsparcia lotniczego, które nie byłoby możliwe na wybrzeżu leżącym zbyt daleko od Wysp Brytyjskich. Poza tym przy długotrwałym podplywaniu wielkich zespołów tłoty odpadłby ważny czynnik zaskoczenia.

Z niemieckich meldunków dotyczących oceny sytuacji, robionych przez OKW, Dowódcę Zachód i w głównej kwaterze fuhrera, na podstawie analizy z rozpoznania lotniczego, radiowego i meldunków agentury wynikało, że lądowanie nastąpi na jednym z miejsc w przewężeniu kanału La Manche. Pewną rolę odgrywał przy tym fakt, że rozważane w 1940 r. niemieckie lądowanie w Anglii też było przewidziane z tego miejsca kanału. Rundstedt, jak również Rommel, dowódca Grupy Wojsk B, doszli do strategicznego wniosku: nieprzyjacielskie lądowanie wchodzi w rachubę przede wszystkim na wybrzeżach kanału. Zagrożeniu wybrzeżom Normandii Rundstedt nie poświęcał zbyt wiele uwagi. Strome wybrzeża i duża odległość Normandii od brytyjskich portów zaokrętowania przemawiały przeciwko lądowaniu w tych miejscach.

Była to fatalna konkluzja strategiczna. Jest ona tym bardziej niezrozumiała w świetle pewnej notatki Rundstedta udokumentowanej mapami, w której wskazywał on na szczególne zagrożenie półwyspu Cotentin, ponieważ istniały tu dogodne warunki do lądowania. Kilometrami ciągnął się tutaj jednolity teren zdatny do wysadzenia desantu, krótkie drogi zaopatrzenia i dogodne warunki dla lotnictwa. Dieter Ose, w swym standardowym dziele *Entscheidung im Weslen 1944**, trafnie wskazał na te warunki naturalne: „Jeśli atakujący nie chcieli łamać sobie

zębów na silnie umocnionym wybrzeżu Pas de Calais, to w konsekwencji tego zmuszeni byli lądować w Normandii. Choć wykonana przez nich własnoręcznie mapa wskazywała na szczególne zagrożenie wybrzeża Cotentin i wnioski narzucały się same, to Rundstedt, podobnie jak Rommel, pozostał przy swoim przekonaniu: » Według mnie, alianci na miejsce do lądowania w pierwszej linii wezmą pod uwagę wybrzeże kanału***. Dlatego też zwiększonemu zagrożeniu wybrzeża Normandii poświęcał on niewiele uwagi".

I w ten sposób na tym zagrożonym froncie pomiędzy Hawrem a Cherbour-giem stało zaledwie siedem dywizji do obrony 300 kilometrów wybrzeża.

Traktowania po macoszemu przez Rundstedta i Rommla wybrzeża w departamencie Calvados nic zmienił nawet fakt, że kiedy dowódca 84 korpusu, generał Marcks, w ćwiczeniu sztabowym przeprowadzonym w lutym 1944 r. jako „strona aliancka", lądował właśnie na wybrzeżu Calvados i skutecznie opanował Bretanię oraz Normandię, a co za tym idzie, jednoznacznie wskazał na rzucające się w oczy zagrożenie tego odcinka wybrzeża. Mamy tu do czynienia / jakimś osobliwym zaćmieniem umysłu, które Rundstedtowi i Rommlowi kazało się uporczywie trzymać jako pewnika lądowania w Pas de Calais. Choć Hitler także podzielał ten pogląd, to jednak jego myśli krążyły również i wokół Normandii. Zwłaszcza meldunek z podróży inspekcyjnej Jodła dawał powody do zastanowienia. Poza tym przeczytał z zainteresowaniem pismo pewnego starszego szeregowca nazwiskiem Walter Sorge z dnia 18 stycznia 1944 r., które ten żołnierz doręczył do OKW, i w którym dowodził, że alianci będą z całą pewnością lądować w Normandii.

W każdym razie w maju Hitler przypominał Rundstedtowi i Rommlowi o konieczności wzmocnienia frontu normandzkiego. Jednakże Rommel oświadczył „Fiihrerowi" kategorycznie, że „z frontu nad kanałem, gdzie skoncentrowano główny wysiłek obrony, nie można zabierać żadnych sił do Normandii". Rundstedt był tego samego zdania. Hitler wycofał się więc rakiem przed swymi dwoma leld-marszałkami i zaniechał generalnego skorygowania tej jakże fatalnej w skutkach pomyłki.

Jak bardzo jednak niepokoiło go zagrożenie wybrzeża Calvados świadczy fakt, że pomimo oporów Rundstedta i szefa sztabu Grupy Wojsk B, generała Speidla, domagał się przerwania jednego korpusu strzelców spadochronowych do Bretanii i 91 dywizji powietrznodesantowej na zachodnie wybrzeże Normandii, aby być uzbrojonym na wypadek nieprzyjacielskiego desantu powietrzego. Ale w zasadzie - jak zwykle u Hitlera - pozostało na ustaleniu, że nieprzyja-

* OB West - Oberbefehlshaber West.

* „Rozstrzygnięcie na Zachodzie 1944".

** Według Niemców kanał La Manche to przede wszystkim część, bliska rejonowi Pas de Calais.

cielskiego lądowania należy oczekiwać na wybrzeżu Pas de Calais. Tak więc wreszcie pod koniec maja na 300-kilometrowym froncie normandzkim znajdowało się tylko siedem dywizji, zaś na przewężeniu kanału stała 15 armia z około 20 dywizjami.

Tak oto w przeddzień anglosaskiej inwazji na pytanie „gdzie?” niemieckie dowództwo na zachodzie udzieliło fatalnej i błędnej odpowiedzi. A na pytanie „kiedy?”

Niesprzyjająca pogoda

Kiedy generał zadawał pytanie: „Czy dzisiaj może nam grozić nieprzyjacielskie lądowanie?”, oficerowie sztabowi rzucali najpierw okiem na mapę pogody, ponieważ nieprzyjaciel musiał przybyć na okrętach, a nawigacją rządziły określone prawa. Na przykład przy sile wiatru ponad 4 i widoczności poniżej 3 mil morskich lądowanie było po prostu niemożliwe. Zaś deszcz z nisko wiszącymi chmurami - uniemożliwiał jakąkolwiek osłonę z powietrza, która dla lądującej armady była nieodzowna. Było oczywiste, że nie przybędą także w jasne południe, lecz z pewnością przed świtem, aby pod osłoną ciemności podejść jak najbliżej wybrzeża. To zaś oznaczało, że o świcie musiał być albo odpływ albo przypływ. Zależnie od tego, na jaką taktykę zdecydował się generał Eisenhower: lądować przy odpływie czy przypływie. O tym, co wybierze, naturalnie nikt nie miał pojęcia. Wszakże sztaby niemieckie były zdania, że będzie lądował przy przypływie wraz z nadbiegającą wodą. Jeszcze jedno z wielu błędnych założeń. 20 grudnia 1943 r. ma miejsce wieczorne omawianie sytuacji: Hitler na podstawie przedłożonych meldunków agenturalnych wywnioskował, że „atak na Zachodzie nastąpi wiosną”. Rundstedt był tego samego zdania i termin lądowania przewidywał w marcu wraz „z polepszeniem się pogody”. To skonkretyzowanie terminu było uzasadnione gromadzeniem na południu Anglii łodzi desantowych i okrętów wojennych oraz podanym do wiadomości mianowaniem Eisenhowera naczelnym dowódcą, a Montgomery'ego jednym z podległych mu dowódców. To była oczywiście jakaś - niejasna - zapowiedź. Ale jak można było to bardziej sprecyzować? Rundstedt ciągle wskazywał na ograniczone możliwości rozpoznania lotniczego. Było się zdaniem na meldunki agentów, przechwycone radiogramy i nieprzyjacielski ruch radiowy, jak również na wnioski wypływające z częstotliwości oraz celów nieprzyjacielskich ataków lotniczych.

Wszelkie niemieckie rozważania i kształtowanie poglądów, jak wynika z najnowszych publikacji angielskich i amerykańskich dokumentów, znajdowało się pod silnym wpływem zamierzonych, nieprzyjacielskich działań dezinformacyjnych, co jest wyraźnie wyczuwalne w niemieckich meldunkach sytuacyjnych. W dniach poprzedzających lądowanie brytyjskie służby tajne podsunęły niemieckiej Abwehrze i SD za pośrednictwem

podwójnych agentów z Portugalii, Hiszpanii, Francji, Szwajcarii i Algierii 250 sfingowanych wiadomości odnośnie termi-

1 A

nu i miejsca działań. Istniało jakieś źródło „Nelly”, które rzekomo miało „stosunki” z francuskim generałem Kónigim w Anglii, były też jakieś inne źródła: „Bronx”, „Garbo”, które informowały o koncentracjach sił lądowych w portach na angielskim wybrzeżu La Manche. W każdym „meldunku agenta” był podany inny termin i inne miejsce. Ale najczęściej w grę wchodziło Pas de Calais, a więc wąska część kanału La Manche, odcinek zajmowany przez 15 armię, za przemyślnie zbudowanymi fortyfikacjami portów i wybrzeża. Alianci wykorzystywali znane im poglądy niemieckich wyższych dowództw do zręcznie i na wielką skalę przeprowadzonych działań dezinformacyjnych. Podgrywali niemieckiemu rozpoznaniu radiowemu przegrupowania wojsk i zaokrętowania w określonych portach. fabrykowali „niedyskrecje”, które przez „odwróconych” niemieckich agentów w Anglii były przekazywane niemieckim służbom wywiadowczym.

Inną rolę odgrywał pewien francuski pułkownik w Algierii, którego Abwehra uważała za wiarygodnego agenta, podczas gdy w rzeczywistości pracował dla służb brytyjskich.

Jock Haswell opowiada o pewnej szczególnie brawurowej akcji. O tym, jak wysłano do Niemiec „w pełni świadomego, niekwestionowanego fachowca w charakterze naocznego świadka”, który przyjął za prawdę zaaranżowaną scenerię. Fachowcem tym był generał Cramerz Korpusu Afrykańskiego, kawaler Krzyża Rycerskiego z Liściem Dębowym. Odesłano go w połowie maja do Niemiec za pomocą sprytnie uruchomionej akcji repatriacyjnej Szwedzkiego Czerwonego Krzyża. Podczas jazdy specjalnie zainscenizowaną trasą wprowadzano Cramera w błąd za pomocą fałszywych drogowskazów i nazw miejscowości, gdzie mógł zobaczyć transporty wojsk i koncentrację okrętów. Widział też kierunkowskazy prowadzące do miejsc kwaterowania oddziałów i - przypadkowo - miał okazję słyszeć rozmowy prowadzone przez „lekkomyślnych!” oficerów. Wszyscy oni dokładali starań, by utrwalić wrażenie, że operacja lądowania przygotowywana jest właśnie pod Calais. Cramer przybył do Niemiec na szwedzkim statku „Gripsholm”. 23 maja był w Berlinie. Dowództwo alianckie było pewne, że natychmiast złoży sprawozdanie w OKW i oczywiście, u Dowódcy Zachód o tym, co widział i słyszał. Tym samym, jak sądzono, upewni niemieckie dowództwo w jego mylnych poglądach, że spodziewane lądowanie nastąpi w Pas de Calais. General nie zawiódł alianckich służb tajnych! Natychmiast po przybyciu do Berlina zameldował o swych spostrzeżeniach w OKW, jak również Dowódcy Zachód w Paryżu. W

Dzienniku Działań Wojskowych Wehrmachtu w dniu 23 maja 1944 r. pojawił się taki oto zapis: „Punkt ciężkości nieprzyjacielskiego rozwinięcia operacyjnego do inwazji leży w południowej i w południowo-wschodniej Anglii. Rejon wyspy Wight (Portsmouth-Southampton) jest punktem ciężkości przygotowań. Wynika z tego, że front nad kanałem pomiędzy Szeldą a Normandią... jak również północna część Bretanii... pozostaje głównym frontem zagrożenia”. Na tej podstawie Dowódca Zachód, Rundstedt, zwrócił uwagę z przywołaniem nazwiska Cramera. £>•*»•- "*"VT*\

Dieter Ose w swym sztandarowym, wojskowo-historycznym dziele stwierdził: „... że Cramer padł ofiarą brytyjskiego podstępnego oszustwa, mającego na celu wprowadzenie w błąd niemieckiego dowództwa”. Ale to wszakże miało sic; potwierdzić dopiero później.

Jeszcze jedno wielkie i fatalne w skutkach wywiedzenie niemieckiego dowództwa w pole daje się potwierdzić przez „obserwacje” generała Cramera: wprowadzenie do świadomości niemieckiej służby wywiadowczej liczby rzekomych 70 do 80 dywizji, które alianci jakoby zgromadzili w Anglii. Cramerowi w czasie jego podróży tą specjalnie zaaranżowaną trasą podgrywano rzekome stanowiska dowodzenia dywizji i ustawiano drogowskazy z fałszywymi numerami jednostek, co brał za dobrą monetę, widząc te „realia” na własne oczy. Podchwytывał urywki rozmów, w których celowo podwajano liczbę rzeczywiście istniejących formacji. O skutkach tych upiornych liczbjeszcze usłyszymy.

Przyjdą dziś?

5 czerwca 1944 r. wypadł w poniedziałek. W regionach nadbrzeżnych jeszcze trwał alarm. Alianckie naloty lotnicze na zapleczu na mosty na Sekwanie i Loarze, co oznaczało odcięcie Normandii i Bretanii, zaalarmowały sztaby niemieckie.

A więc przyjdą dzisiejszej nocy? I to gdzieś tutaj, w Normandii lub w Bretanii?

Jak ukształtowała się sytuacja pogodowa 5 czerwca 1944 r. na wybrzeżu nonnandzkim? Prognozy były uspokajające. Nawet bardzo uspokajające. Wiatr

0 sile 5 do 6. Falowanie morza pomiędzy 4 a 5. Silne zachmurzenie. W wielu miejscach mżawka. We wszystkich sztabach pomiędzy Paryżem a Brestem spodziewano się spokojnej nocy. Przy jednej butelce chablis albo dwóch. Na zdrowie. *A votre santee*, jak mówią Francuzi.

Wartownicy na stanowiskach artyleryjskich, w punktach umocnionych

1 w gniazdach oporu na całym rozległym wybrzeżu północnej Francji nic mieli chablis. Co najwyżej ichni jabcok. Wpatrywali się w nocne, zamglone morze i pilnowali.

W bunkrach dla szeregowych, przy ujściu Sekwany, żołnierze leżą na pryczach. Jest gorąco, wilgotno i cuchnie w tych nowoczesnych jaskiniach troglodytów. Żołnierze gadają. Lub duszą w sobie tęsknotę za domem i rezygnację z prawdziwego żołnierskiego życia. Śpiewają szlagier ziemianek na zachodzie, to jest „Liii Marlen” Normandii: „Słodka, mała konduktorka...”

W odległości 120 kilometrów od ujścia Sekwany, na wschodnim wybrzeżu półwyspu Cotentin, w gnieździe oporu nr 5 znajduje się pluton 3 kompanii 919 pułku piechoty. Podporucznik Arthur Jahnke idzie wzdłuż przedniego okopu na występie wydmy. Wartownik stoi przy lornecie nożycowej.

- Jest coś? - pyta Jahnke. - Nic nowego, panie poruczniku.

Jahnke podchodzi do lornety. Patrzy ponad plażą na morze. Jest czarna not. Przed księżycem wiszą deszczowe chmury. Tylko od czasu do czasu przedziera się, pełny i okrągły, poprzez dziurę w chmurach, ukazując przy tym, w bladym świetle, plażę i dalszy teren z jego żywopłotami, sadami i łąkami. Odbija się przez kilka sekund w wodzie zatopionych dolin rzecznych. I znów znika.

- Przy tej pogodzie nie przyjdą - mówi wartownik. Podporucznik przytakuje. Przy tej pogodzie nie przyjdą! Uderza trzykrotnie w drewniane przedpiersie stanowiska obserwacyjnego. I wraca do kamiennego domu w punkcie oporu W 5.

„Przy tej pogodzie nie przyjdą”, taka też była opinia meteorologów.

Dowódca sił morskich w Normandii, kontradmirał I Hennecke, pilnie rozpytywał 5 czerwca w Cherbourgu kierownika stacji meteorologicznej w Cap de la Hague o sytuację pogodową. Był podejrzliwy, gdyż pierwszy tydzień czerwca z uwagi na cykliczną fazę odpływu i przyływu, pełnię księżyca i ogólną sytuację atmosferyczną był korzystny dla lądowania. Poza tym oficer radiolokacji wykonujący namiary, porucznik Wescmann, meldował, że w poprzednią noc panowały zauważalnie silne ruchy na monitorze radarowym. - Czyżby to się miało zakończyć na wielkiej koncentracji okrętów - zastanawiał się głośno. Określenie miejsca, w wyniku zakłóceń, nie powiodło się. A jednak!

Ale admirał I Hennecke otrzymał od swych żab pogodowych* uspokajające wyjaśnienie: „Morze jest wzburzone, widoczność zła; panująca siła wiatru 5 do 6, deszcz będzie się wzmacniać. Prawdopodobnie nie będzie zwykłych ataków lotniczych”.

Jak marne były widoki na pogodę podkreśla meldunek, że z uwagi na złe warunki nic wypłynął konwój udający się do Brestu. - A jutro, jak będzie jutro? - pytał admirał.

- W najbliższych dniach można liczyć zaledwie na krótkotrwałą zmianę pogody - odpowiadali meteorolodzy.

Hennecke zrobił radosną minę. A więc to znaczy, rozumował, że następny termin, w którym wszystkie te przesłanki odnośnie pływu, fazy księżyca i ogólnej sytuacji atmosferycznej korzystne dla lądowania wystąpiłyby zgodnie razem, ni u nas, w północnej Francji, dopiero w drugiej połowie czerwca!

Także w Le Mans, w kwaterze głównej dowództwa 7 armii, generał pułkownik Dollmann pytał swego szefa sztabu: - Czy może się dzisiaj coś zdarzyć?

Generał major Pemscl informował się już w Paryżu w sztabie Grupy Marynarki. Odpowiadając swemu dowódcy, mógł się więc powołać na uspokajające prognozy meteorologów, jednakże dodał z powątpiewaniem: - Tylko czy można się zdać na te pogodowe żaby!?

* Żartobliwa nazwa meteorologów.

Ale dowódca nie dosłyszał już końcowego zdania. Jemu także aż za bardzo podobały się słowa: „Oni nic przyjdą!” Ponieważ już widział zysk w czasie i liczył: jeśli nie przyjdą dzisiaj, to znów są to darowane tygodnie. A czas jest potrzebny, żeby położyć więcej przeszkód na plaży, pobudować schrony bojowe i sprowadzić artylerię nadbrzeżną, co jeszcze należało zrobić, aby możliwie zabezpieczyć to 900-kilometrowe wybrzeże francuskie będące bramą do Europy.

W ten sposób na podstawie fałszywych danych i wysnutych z nich wniosków mogło 5 czerwca - kiedy formacje floty Eisenhowera płynęły już w kierunku na Normandię dojsć do fatalnej decyzji Rundstedta, która znajduje swoje odbicie w jego pisemnej ocenie sytuacji: „Bezpośrednia bliskość inwazji nie jest jeszcze rozpoznawalna”.

- A zatem jutro rano możemy przeprowadzić w Rennes odprawę dowódców i wypróbować grę wojenną - powiedział generał Dollmann do swego oficera do zleceń. Niech pan zorganizuje wszystko. Każdy dowódca dywizji niech weźmie z sobą dwóch dowódców pułku. Oczekuję tych panów jutro przed południem, o godzinie 10.00 w Rennes.

Szef sztabu 7 armii był sztabowcem ostrożnym i niedowierzającym. Mimo leż uspokajającej prognozy meteorologów nie dawała mu spokoju myśl, że cały front 7 armii przez pełne dwa dni będzie pozbawiony najważniejszych dowódców wojsk. Dlatego też do niektórych dowódców dywizji wysłał dalekopis z zastrzeżeniem, żeby nie wyjeżdżali do Rennes przed świtem, gdyż jeśli jednak, wbrew oczekiwaniom, miałyby dojsć do lądowania, to rozpocznie się ono we wczesnych godzinach rannych. I przed świtem będzie już panowała co do tego jasność. Ale ta przestroga niewiele mogła pomóc dowódcom dywizji znajdującym się daleko od Le Mans. Oni nie dojechaliby po rozbitych bombami drogach na godzinę 10.00. Na przykład, ze stanowiska dowodzenia 709 dywizji generała von Schliebena pod Valognes było 190 kilometrów. Niewiele bliżej miał generał Falley z 91 dywizji powietrznodesantowej znajdujący się w Chateau Haut. Schlieben za zezwoleniem 84 korpusu udał się w drogę już po południu 5 czerwca. Generał major Falley wyjechał tuż po zapadnięciu ciemności. - Przy takiej zafajdanej pogodzie nic ma się czego obawiać - powiedział swemu oficerowi operacyjnemu.

Feldmarszałek Erwin Rommel, dowódca Grupy Wojsk „B”, dowodzący wojskami na całym froncie północnego wybrzeża francuskiego, także pozwolił się zwieść złej pogodzie i przed południem 5 czerwca wyjechał ze swej kwatery sztabowej, usytuowanej w tysiacletnim zamku książąt Rochefoucauld w La Roche Guyon, do Niemiec. Chciał złożyć krótką wizytę swej żonie w Herrlingen, która 6 czerwca miała urodziny, a potem pojechać do Borchsgaden celem złożenia meldunku Hitlerowi. Bardzo ważnego meldunku. Cel: wzmocnienie frontu na wybrzeżu. Rommel chciał przeforsować u fihrera przerzucenie do Normandii dwóch dalszych dywizji pancernych

i jednej brygady moździerzy wielolufowych. W jego dzienniku znajduje się zapis: „Najpilniejszym problemem było przekonanie Fiihrera w osobistej rozmowie... ”

Rommel był zmartwiony sytuacją na wybrzeżu. Jeśli na linię wybrzeża nie zostaną skierowane posiłki i nie przybędą odwody interwencyjne, to szansa na wrzucenie lądującego nieprzyjaciela z powrotem do morza będzie nikła. Rommel potrzebował większego potencjału sił, więcej dywizji. Potrzebował doświadczonych w walce oddziałów. Jak dywizje - składające się ze starych rezerwistów, wschodnie bataliony utworzone z rosyjskich jeńców wojennych, bataliony z ludzi chorych na żołądek i uszy, częściowo mocno już wysłużonych załóg baterii nadbrzeżnych - miały wytrwać podczas próby lądowania w wielkim stylu, przy zastosowaniu artylerii okrętowej, bombardowań lotniczych i na koniec w walce wręcz?

Na przykład, przeciętny wiek żołnierzy 709 dywizji wynosił około 36 lat. Amerykańscy GIs* z dywizji szturmowych, którzy w Anglii stali gotowi do skoku, mieli przeciętnie po 25 lat. Tymczasem w bateriach niemieckiej marynarki znajdujących się na froncie inwazyjnym przeciętny wiek wynosił nawet 45 lat. Za armatami stali 56-letni i starsi mężczyźni. Te liczby miały swoją wymowę. Ale czy tej różnicy nie wyrównywał nieprzenikalny Wał Atlantycki? Owa tarcza z betonu, stali, armat i min? Czy na wybrzeżu nie stały gęsto groźne grody z bunkrów z ich potężnymi działami okrętowymi? Czy plaże od Brestu do Ostendy nie były naszpikowane podstępami, śmiercionośnymi przeszkodami'?

Niestety nie było go. Latem 1944 r. Wał Atlantycki był gotowy tylko w Pas de Calais. Poza tym składał się jedynie z porzucanych, częściowo na pół ukończonych punktów oporu. Spośród ciężkich baterii zaledwie nieliczne posiadały odpowiednie otwory strzelnicze i właściwe wyposażenie, większość z nich dysponowała jedynie działami zdobycznymi, które ze względu na kaliber i brak urządzeń do kierowania ogniem były całkowicie nieprzydatne do zwalczania zbliżających się okrętów.

Przede wszystkim jednak martwiła Rommla Luftwaffe. Wiedział już z walk w Afryce i w Italii o przyczółki lądowania pod Salerno i Anzio. co oznaczała przewaga nieprzyjaciela w powietrzu. Pamiętał spod El Alamein jak samoloty my-śliwsko-bombowe aliantów były w stanie przywoździć do ziemi całe dywizje pancerne. Ani feldmarszałek von Rundstedt, dowódca zachodniego teatru działań wojennych, ani generał wojsk pancernych Gcyr von Schwepenburg, dowódca sił pancernych z siedzibą w Paryżu, nie mieli okazji nabrać doświadczeń w tej dziedzinie.

Rommel nabył go. Wiedział z gorzkiego doświadczenia, że przegrupowanie wielkich związków taktycznych w czasie bitwy, przy nieprzyjacielskiej przewadze w powietrzu, możliwe jest tylko przy ponoszeniu bardzo wielkich strat. I stąd wywodzi się jego wyobrażenie o obronie, realizowane później, gdy w listopadzie 1943 r. został mianowany dowódcą Grupy Wojsk „B” i tym samym stał się panem północnofrancuskiego wybrzeża.
GI - żołnierz armii amerykańskiej.

Jeśli nawet wierzył, że główne lądowanie nastąpi w Pas de Calais, to musiał jednak być przygotowany zbrojnie na ewentualny atak pozorny.

Jego podstawowa myśl była prosta: plaża jest główną linią obrony. Walkę z lądującymi siłami inwazyjnymi należy podjąć natychmiast na wybrzeżu, na przyczółkach lądowania, by tym samym uniknąć długiego, obfitującego w straty marszu zbliżeniowego do pola walki.

„Kiedy przeciwnik ląduje, jest to jego najsłabszy moment”, mawiał Rommel. „Ludzie są niepewni, niektórzy zmagają się z chorobą morską. Przed nimi nieznany teren. Nie mają pod ręką wystarczającej liczby broni ciężkiej. W tym momencie muszę ich pobić”.

Stąd wymóg: wszystka broń i siły stojące do dyspozycji muszą być natychmiast wprowadzone do walki.

Nieprzyjaciel musi być rażony przy pierwszym swoim kroku na lądzie, a jeśli to możliwe - już na morzu. Dlatego zamiast głęboko urzutowanej obrony w zwykłym sensie, Rommel domagał się linearnego ugrupowania obronnego na wybrzeżu. Ciężka broń, artyleria, odwody taktyczne wszystko to, w pełnym wymiarze, powinno być wprowadzone do walki ogniowej na wybrzeżu. Szedł lak daleko, że domagał się, aby dywizje pancerne rozwinąć całkiem na przedzie, aby od samego początku mogły uczestniczyć w bitwie obronnej na wybrzeżu.

To była obrona aktywna. Obroną pasywną był jego wynalazek dotyczący instalowania przeszkód na plaży. Była to jego stara idea wyniesiona z wojny afrykańskiej. Pod Lii Alamein budował „diabelskie ogrody”, wielkie strefy zaporowe z piekielnymi przeszkodami: trzypiętrowo ustawione miny, granaty z zapalnikiem z drutem wzrywowym, niegroźnie wyglądające pale z olbrzymim ładunkiem wybuchowym. To samo - tylko w sposób bardziej wyrafinowany i na większą skalę powinno ubezpieczać wybrzeże francuskie przed flotą inwazyjną. Dla części plaży stojącej pod wodą w czasie przypływu wymyślił jeże stalowe z minami i piłami stalowymi, na których miały osiadać łodzie desantowe. Ze starych czeskich zapasów kazał przywieźć i rzucić na plaże setki tysięcy dźwigarów stalowych, tworząc z nich tzw. jeże czeskie.

Wymyślił wysoce wyrafinowane konstrukcje minerskie: na odratowanych palach mocowano tzw. miny dziadka do orzechów, wybuch następował przy nacisku łodzi desantowej na pal (będący w czasie przypływu pod wodą) - „kozła szpulowego” z zapalnikiem do granatu.

Na tyłach - na łąkach, polanach leśnych i na polach - kazał wbijać w ziemię pale wysokości drzew, jako przeszkody przy lądowaniu. Otrzymały one dowcipną nazwę „szparagi Rommla”.

Był niewyczerpany w pomysłach. I aby przełamać opór starych dowódców, nie bardzo przekonanych do tych nowoczesnych sposobów obrony, rozkazał: „Zabraniam wszelkiego szkolenia i żądam, aby każdą minutę

wykorzystać na prace przy budowie przeszkód na plażach". A potem: „Los inwazji zostanie rozstrzygnięty na plażach i to już w ciągu pierwszych dwudziestu czterech godzin”.

Feldmarszałek von Rundstedt i generał baron Geyr von Schweppenburg byli natomiast przeciwnego zdania. Oni chcieli decydującą bitwę rozegrać daleko od wybrzeża. Chcieli siły pancerne i odwody interwencyjne trzymać na francuskim zapleczu, aby - zgodnie z klasyczną strategią - za pomocą wielkiej operacji klesz cowej móc przeciwnika okrążyć i zniszczyć. „Nic wpuścić na ląd”, brzmiała teza Rommla. „Pozwolić podejść”, było dewizą Rundstedta i Geyra.

W tym sporze poglądów Hitlerowi przypadła rola rozstrzygająca. Odrzucił wprawdzie plan generała Geyra, lecz żądań Rommla też jednak w pełni nie zaakceptował. Dywizje pancerne zostały bowiem wyłączone spod rozkazodawstwa Rommla. Nie rozmieszczono ich jednak tak daleko na tyłach, jak tego chcieli Rundstedt i Geyr; ale też nie na tyle blisko wybrzeża, jak to uważał za konieczne

Rommel.

Hitler był ostrożny i jak to często bywało, decyzję co do czasu i miejsca wykorzystania dywizji pancernych zachował dla siebie. Decyzja ta, w wyniku której tak ważną bronią, jaką we współczesnej wojnie są związki pancerne, a chciano nią dowodzić z odległości 700 kilometrów, musiała się gorzko zemścić.

Pytanie, czy dyslokacja dywizji pancernych tuż za wybrzeżem doprowadziłaby, w pierwszych dniach po wylądowaniu, do innego rozwoju wydarzeń militarnych, jest także dzisiaj zażarcie dyskutowane przez naukowców wojskowości. Stronnicy stanowiska Rundstedta, przeciwnego żądaniu Rommla, wskazują na to, że dywizje pancerne na wybrzeżu zostałyby rozbite ogniem potężnej artylerii okrętowej, co oznaczałoby natychmiastową katastrofę! Śmiałe stwierdzenie, które jest kwestionowane przez dowódców wojsk pancernych. Jednostki pancerne mogą wprawdzie - mówią oni - być ciężko rażone w czasie posuwania się drogami w kolumnie, ale przy dobrym maskowaniu, dużym rozproszeniu dywizji pancernych potrzebny byłby doprawdy niebываły ostrzał artyleryjski, aby trafić pojedynczy czołg i zredukować zdolność operacyjną oddziałów pancernych. Inaczej sprawa wygląda przy ostrzale bunkrów dla dział i stanowisk ogniowych dział na wybrzeżu, które między innymi można namierzać według płomieni wylotowych. Trzeba byłoby kazać artylerii okrętowej prowadzić powierzchniowy ogień niszczycielski, co byłoby rzeczą zbyt kosztowną i niepraktykowaną. Rundstedt nigdy też nie wysuwał przeciwko żądaniom dyslokacyjnym Rommla argumentu artylerii okrętowej, lecz wyłącznie zasady operacyjne.

Kiedy przed południem 5 czerwca feldmarszałek jechał do Herrlingen. wszystko to przewalało mu się po głowie i wraz z szefem swego oddziału operacyjnego obmyślił plan. jak przekonać Hitlera do zmiany strategii obrony. Przede wszystkim jak go nakłonić, w razie konieczności, do wzmocnienia dywizji stojących w północnej Francji kosztem sił okupacyjnych w Norwegii, w południowej Francji czy też na Wyspach Normandzkich. Rommel wiedział, że strategia „plaża jest przednim skrajem obrony” będzie nie do urzeczywistnienia, jeśli jedna dywizja, na przykład 709 dywizja generała von Schliebena, ma bronić odcinka o długości 65 kilometrów. Jeśli między po

szczególnymi gniazdami oporu jest trzy do pięciu kilometrów ziemi niczyjej, to nie można przeciwnikowi przeszkodzić w lądowaniu, nie mówiąc już o tym, aby go wrzucić z powrotem w morze. Słynna surowa reguła pięści zakładała, że dywizja broniąca dziesięciokilometrowego odcinka miała co robić. Rommel, oczywiście, znał tę surową regułę pięści. Widział tylko jedno rozwiązanie: gdzieś, we froncie europejskim, trzeba będzie wybić dziury, ponieważ stara zasada Fryderyka Wielkiego obowiązuje do dnia dzisiejszego: „Kto chce bronić wszystkiego, nic broni niczego!”

Rommel pragnął to wszystko wyjaśnić Hitlerowi 6 czerwca. Ale mu się to nic udało, gdyż 6 czerwca było już za późno. Zegary odmierzały ostatnie godziny. I nikt tego nie przeczuwał. Przynajmniej na razie.

Meteorolodzy drugiej strony

Po drugiej stronie kanału, w Anglii, też ustalano terminy i zatroskani generałowie pytali meteorologów o pogodę. Mogli się przy tym opierać na pierwszorzędnej organizacji wielkoprzestrzennego prognozowania pogody, o czym niemieckie sztaby mogły tylko marzyć. Niemieckie stacje meteorologiczne w Islandii, Grenlandii, na Jan Meyen, na Spitsbergenie i na Lofotach były już od dawna zniszczone lub zaanektowane. A frachtowce, wyposażone w zaimprovizowane stacje meteorologiczne i technikę, były lokalizowane przez angielskie rozpoznawanie lotnicze, i zatapiane. Meldunki statków znajdujących się na wodach neutralnych były zakłócane przez urządzenia elektroniczne. To powodowało, że niemieckiemu dowództwu brakowało godnych zaufania, wielkoobszarowych i długoterminowych analiz pogodowych. Prawdziwy *handicap* w obliczu spodziewanej inwazji morskiej. Generał Eisenhower wyznaczył dzień 5 czerwca na początek lądowania na wybrzeżu Calvados. Czołówki szturmowo-rozpoznawcze marynarki były już w drodze. Na francuskie wybrzeże płynęły transportowce ze skomplikowanymi urządzeniami do budowy sztucznych portów. Pogoda jednakże nagle się popsuta. Amerykańskie stacje meteorologiczne, obejmujące swą obserwacją cały obszar północnego Atlantyku, zapowiadały burze, deszcz, wysoką falę, niski pułap chmur od Grenlandii aż po Bermudy i od Ankary do Północnej Irlandii. Amerykańcy meteorolodzy lotnictwa i marynarki, jak również brytyjska centrala meteorologiczna meldowały co godzinę o pogarszaniu się pogody na wielkich obszarach. Pięć tysięcy okrętów, tysiąc barek desantowych i dwa miliony mężczyzn i kobiet wszystkich służb wojskowych, Amerykanów, Anglików, Francuzów, Polaków było gotowych do wyjścia w burzliwe morze, aby przedostać się na drugą stronę, na francuskie wybrzeże hitlerowskiej *Festung Europa*.

Eisenhower wszystko to /. powodu pogody zatrzymał w niedzielę 4 czerwca 0 godzinie 4.15. I przesunął atak na wtorkową noc 6 czerwca.

Czołówki szturmowo-rozpoznawcze, specjalna flota ułatwiająca lądowanie. okręty ze sztucznymi urządzeniami portowymi i flotyllę poławiaczy min otrzymały rozkaz stop w ostatniej minucie, znajdując się już w odległości 35 mil od wybrzeża Calvados. Konwój składający się ze stu pięćdziesięciu okrętów z załogami barek desantowych w ogóle nie otrzymał rozkazu i niezmordowanie płynął ku niebezpiecznej przygodzie. Wysłano za nim niszczyciele. Nie znalazły konwoju. Wreszcie za pomocą samolotów udało się go zatrzymać w chwili, kiedy był już pod normandzkim wybrzeżem.

Gdyby się to nic udało, wówczas improwizowane przybicie do brzegu tych sił zmobilizowałoby niemiecki front - przede wszystkim Dowódcę Zachód - i wówczas główne lądowanie aliantów mogłoby się rozpocząć od katastrofy, a cała inwazja zakończyć niepowodzeniem. Jednakże Eisenhowerowi dopisywało to, co jest tak ważne do zwycięstwa: szczęście.

Dokładnie w takim samym stopniu, w jakim on miał to swoje zwykłe szczęście, fatum ciężące nad niemieckim rozpoznaniem lotniczym nie pozwoliło wykryć, że małe barki desantowe ładowano w odległości ośmiu do jedenastu mil od wybrzeża. Jakaż to była niebezpieczna sytuacja, a gdyby tak niemieckie lotnictwo i siły morskie zdołały to wykryć!? Ale nie zdołały!

Czy ogólna sytuacja pogodowa ulegnie poprawie? To podstawowe pytanie krążyło na mostkach alianckich okrętów wojennych oraz w sztabach lotniczych i sił lądowych. Jeśli się bowiem floty inwazyjnej nie wypuści 6 czerwca, to cała akcja ze względu na pływy, które zezwalały na lądowanie tylko przy odpływie. musiałaby zostać przesunięta o całe tygodnie. Eksperci meteorologii sprzeczekali się zawzięcie o prognozy, ale szef meteorologów Eisenhowera, kapitan Stagg oraz pułkownik Yales, wykalkulowali nadciągającą krótkoterminową poprawę pogody na wtorkową noc, co przybijanie do brzegu na twardych plażach Normandii czyniło wprawdzie bardzo trudnym przedsięwzięciem, ale wyglądało na możliwe do przeprowadzenia. Czy ta sytuacja pogodowa utrzyma się także w środę - tego już nie mogli Eisenhowerowi zagwarantować. Tak więc w poniedziałek 5 czerwca generał Eisenhower wydał ostateczny rozkaz: D-Day 6 czerwca. Kalkulował przy tym słusznie, że właśnie ta nie najlepsza pogoda była brana pod uwagę w jego rozważaniach co do wyboru momentu zaskoczenia. Z pozytywnym skutkiem, jak się miało okazać.

Mniej więcej w tej samej godzinie, kiedy Eisenhower wydawał rozkaz ruchu naprzód dla pięciu tysięcy trzystu trzydziestu trzech okrętów, a pierwsza fala desantu rozdzielała swoje siły inwazyjne, feldmarszałek von Rundstedt wpisywał do Dziennika Działań Wojennych notatkę, że nie ma żadnych dających się wykryć oznak bliskiej

inwazji. Feldmarszałek Rommel wyjechał do I Icrrlingen na urodziny swej żony, a dowódcy dywizji i pułków byli w drodze na odprawę do Rennes i ćwiczenie sztabowe.

Jock Haswell trafnie zauważa: „Gdyby Niemcy mieli dostęp do tych samych informacji o sytuacji pogodowej, które kapitanowi Staggowi i pułkownikowi

n

Yales'owi umożliwiły ustalenie prognozy, to Rommel nie pojechałby do Herrlingen, a Rundstedt nie pisałby tak o nadciągającej inwazji i nie lekceważyłby zakodowanych informacji dla ruchu oporu.... " Do tego można byłoby dodać: Cały

front wybrzeża zostałby z pewnością postawiony w stan **alarmu**, zamiast licznych fałszywych alarmów ogłaszanych w ciągu ostatnich tygodni ze względu na dobrą pogodę., które znużyły już oficerów i szeregowych.

Wiersz Paula Verlaine'a

Po drugiej stronie kanału La Manche cała armia alianckich oficerów bezpieczeństwa strzegła terminu ataku dotyczącego Decision-Day, owego decydującego dnia inwazji, zwanego krótko D-Day. A cała wielka armia agentów niemieckiej Abwchry usiłowała wykryć tę tajemnicę.

I udało się!

Zanim w dniu-D wystartowały z Anglii pierwsze samoloty do ataku bombowego na wybrzeże Normandii, dowództwo niemieckie we Francji wiedziało już, że rozpoczęła się inwazja. Miało na to dowód w dosłownym znaczeniu, na stole. Tylko nie wykorzystało go.

To nie żadna legenda ani sensacyjna historyjka filmowa. Relacja o tym fakcie znajduje się w urzędowym amerykańskim dziele historycznym dotyczącym inwazji; dowód znajduje się w dzienniku bojowym niemieckiej 15 armii. Zdrada i kunszt szpiegowski Abwchry pozwoliły wykryć tę wielką tajemnicę i były wplecione w jej misterną sieć. Żaden z niemieckich oficerów sztabowych, dowódców punktu oporu czy z rzeszy prostych żołnierzy niemieckich nie musiał być 6 czerwca zaskoczony aliancką inwazją. To, że jednak byli - to już. zupełnie zwariowana historia. Ale oto i ona:

Naczelne dowództwo alianckie rozbudowało we Francji szeroko rozgałęzioną, tajną organizację wywiadowczo-sabotażową. Szefowie rejonów kierowali różnymi sekcjami, w których na przykład „Alians zwierząt" był najlepiej funkcjonującą organizacją wywiadowczą. Jej członkowie nosili nazwy zwierząt. Przekazywanie informacji odbywało się przez radio albo też za pomocą gołębi. Obok szpiegów stali sabotażyści. Ich organizacje były częściowo ze sobą związane, częściowo zaś ze względów bezpieczeństwa ostro rozdzielone. Organizacje sabotażowe także były porzucane po całej Francji, podzielone na regiony, z szesnastami okręgów, dowódcami grup i tysiącami współpracowników. Ich zadanie polegało na podejmowaniu bieżących akcji sabotażowych przeciwko rozbudowie niemieckiej obrony, przede wszystkim jednak mieli być w gotowości do wielkiego uderzenia w dniu inwazji.

Dziesięć gramów cukru - trzy kostki - wrzucone do wody zaprawowej w betoniarce wystarczało, aby pozbawić 100 kilogramów betonu zdolności wiązania. Ponieważ kiedy wapno zamiast z kwasem węglowym zwiąże się z cukrem, powstaje łatwo rozpuszczalny cukrzian wapniowy. Jeśli więc jakiś zakontraktowany robotnik należący do francuskiego ruchu opoai załatwił sobie miejsce przy betoniarce, to mógł za pomocą stosunkowo małych ilości cukru, które potajemnie wrzucał do mieszanki suchej lub do materiału składowanego, sprawić, że taka „skażona” mieszanka betonowa dostawała się do ważnych elementów: na ściany z otworem strzelniczym stanowiska działowego lub na środkową część dachu bunkra. Potem wystarczyło jedno uderzenie granatu, aby beton skaiszył się jak piaskowiec. Ale to była jedna strona tego ciemnego geszeftu. Aliancka SOK, sztab organizacji sabotażowych w Londynie, przygotowała na dzień X pewien szczególny plan, „plan zielony”. Jego celem było zniszczyć na parę godzin przed inwazją 571 francuskich dworców kolejowych i nastawni, a 30 głównych szlaków komunikacyjnych uczynić nieprzejezdnymi. Obok tego istniał „plan żółt”. Dotyczył on przerwania łączności telefonicznej, wysadzenia w powietrze skrzyżowań dróg, mostów i wiaduktów.

Jest rzeczą oczywistą, że głównym problemem w tej pracy był rozkaz uruchamiający działanie. Ostatecznie nie można było licznym kierownikom sekcji, w różnych okręgach Francji podawać do wiadomości na wicie dni naprzód, ów supertajny dzień inwazji. Niezależnie od tego, że termin ten mógł w ostatniej chwili ulec przesunięciu -jak to zresztą było.

W ten sposób powstał pomysł przekazywania rozkazów drogą radiową. Szefowie organizacji sabotażowych otrzymali wytyczne, aby dokładnie wysłuchiwać francuskie audycje BBC w dniach 1,2, 15 i 16 każdego miesiąca i uważać na zakodowany w nich tekst i to właśnie na pierwszy wers poematu Paula Verla-ine'a o jesieni. Jeśli go usłyszą, to znaczy jeśli zostanie nadany pomiędzy innymi meldunkami, będzie to sygnałem, że inwazja się zbliża. Od tego momentu audycje radiowe musiały być stale uważnie wysłuchiwane, aby wyłować drugi kolejny wers strofy, tak zwaną wiadomość-B. Jeśli on nadejdzie, to będzie znaczyć, że inwazja rozpocznie się w ciągu najbliższych 48 godzin. Od tej chwili wszyscy szefowie sabotażu powinni się starannie przygotować do wyznaczonych im akcji w ramach planu „zielonego” lub „żółt”, których rozpoczęcie miało być uruchomione za pomocą równocześnie wydanych szyfrem radiowym rozkazów specjalnych.

Dobrze zaplanowane. Misternie skombinowane. Ale niemiecka Abwehra rozgryzła tę zagadkę. Organizacja miała zbyt wielu wtajemniczonych, a jeden z nich służył dwóm panom. On też dostarczył ten poemat admirałowi Canarisowi. szefowi niemieckiej Abwchry, najbardziej, jak dotąd, wartościowy pod względem użyteczności militarnej poemat w historii literatury.

Canaris potraktował go jak najcenniejszy rarytas. Wkrótce pierwszą strofę poematu znał na pamięć:

Les sanglots hnngs Skrzypce łkając

des violoiis ciągną hen

de l'automne pieśń o jesieni,

Blessent mon coeur a moje serce jest
d'une langueur zmęczone i obolałe
monotone z żalu i udreki*

To był wiersz o tragicznym losie, który Canaris kierownikom swoich stacji nasłuchowych kładł na serce jako najgłębszą tajemnicę..

Doszło więc do tego, że nic tylko szefowie rejonów, dowódcy grup i aktywni sabotażyści SOE prowadzili staranny nasłuch audycji BBC w oczekiwaniu na słowa strofy poematu Verlaine'a o jesieni, lecz czekali nań także specjaliści z placówki wywiadowczej generała pułkownika Salmutha w 15 armii, na stanowisku dowodzenia w Tourcoing. Nie dawali się zwieść i omamić licznymi meldunkami maskującymi. Znali właściwy tekst i czuwali. I ich czuwanie zostało nagrodzone.

Dziennik bojowy 15 armii, która była rozmieszczona pomiędzy Sekwaną a Mozą, zawiera pięć zapisów z 5 czerwca. Pierwszy z nich mówi, że placówka wywiadowcza w dniach 1, 2 i 3 czerwca wysłuchiwała pierwszą część strofy z poematu Verlaine'a *Les sanglots longs des violons de l'uulomne*. Drugi zapis w dzienniku wniesiony o godzinie 21.15 mówi: „Druga część strofy: *Blessent mon coeur d'une langueur monotone* została wysłuchana”. Zapis trzeci, czwarty i piąty, wniesione w godzinach 21.20, 22.00 i 22.15, pozwalają rozpoznać dramatyczne wręcz napięcie piszącego. Oznaczają one, że ta sensacyjna wiadomość, ta wielka tajemnica, zostanie przekazana dalej, do dowódcy 15 armii, dowódcy zachodniego teatru wojennego, do dowództw korpusów, do 16 dywizji artylerii przeciwlotniczej, do dowódców wojskowych w Belgii i we Francji, jak również do dowódcy Grupy Wojsk „B” oraz do naczelnego dowództwa Wehrmachtu w Kętrzynie. O tym, że inwazja jest sprawą najbliższych godzin, wiedziało - najpóźniej o godzinie 22.15 dnia 5 czerwca - niemieckie OKW, a także feldmarszałek von Rundstedt oraz sztab grupy marynarki w Paryżu i Grupa Wojsk Rommla.

Jeszcze nie padł ani jeden strzał. Bombowce dopiero startowały z angielskich lotnisk. A transportowce z oddziałami powietrznodesantowymi kołowały na pasy startowe. Wszyscy piloci i spadochroniarze wierzyli w swoją tajemnicę. Ale ta ich tajemnica była już wykryta.

Nie należy się jednak tym martwić - to nic nie szkodzi. Wielki zbiorowy wysiłek, uwieńczony sukcesem został, bowiem zmarnowany przez niemieckie naczelne dowództwo, oddany jakby walkowerem, w prezencie. Co prawda generał pułkownik von Salmuth postawił swą 15 armię, będącą poza rejonem przyszłych wydarzeń, w stan najwyższej gotowości alarmowej, ale poza tym nic się nic działo. Absolutnie nic: grupa Wojsk „B” nie

zaalarmowała swej 7 armii i pozwoliła, aby ta kilka godzin później, niczego nie przeczuwając, stała się ofiarą najpotężniejszego ataku w historii wojen. 84 korpus, na którego nadbrzeżne dywizje skiero-

* Przekład własny z niemieckiej wersji tekstu.

wane było pierwsze lądowanie powietrzne i morskie, został wydany na łup zaskoczenia. Nic zaalarmowano ani komendanta sił morskich Normandii, admirała Hennecke, ani jego, ważnych przecież, baterii nadbrzeżnych podległych marynarce ani stacji radarowych. Rommel nie został natychmiast wezwany do powrotu z Herrlingen. Jego Grupa Wojsk pozostawała przez 14 pierwszych decydujących godzin bez swego dowódcy, bez panującej nad wszystkim siły napędowej. Szef sztabu, generał Speidel, był zdany na samego siebie.

Trzeba przyznać, że generał Jodl, w kwaterze głównej fuhrera, był przekonany, że feldmarszałek von Rundstedt ogłosi alarm. Ale ten nie uczynił tego. Nie uczynił tego. ponieważ nic dowierzał tej informacji. Amerykańskie sztandarowe dzieło dotyczące inwazji cytuje zdanie z jego sztabu: „Generał Eisenhower nic obwieszcza przecież inwazji za pośrednictwem audycji BBC”.

Tej informacji nie dano po prostu wiary. Kilka wersów poetyckich Verlaine'a - to przecież śmieszne!

Dlaczego jednak także sztab Grupy Wojsk „B” kierował się własną, suwerenną pogardą dla wojny psychologicznej i sam z siebie nie zaalarmował swych korpusów i dywizji - pozostanie niewyjaśnione.

W ten sposób sukces niemieckiej Abwehry - poznanie zamiarów przeciwnika pozostał niewykorzystany. Noc z 5 na 6 czerwca przebiegała przy pracy rutynowej, beztrzesko, a nierzadko w wesołym nastroju

Nadlatują silne formacje bombowców

W Cherbourgu 5 czerwca niemieccy radiotelegrafisci i oficerowie siedzieli. jak każdej nocy, w podziemnym schronie bojowym komendanta sił morskich. Od czasu do czasu z małej willi Henneckego, która znajdowała się dokładnie nad schronem bojowym, przychodził na dół oficer łącznikowy, kierujący jednocześnie pokojem operacyjnym, podporucznik Gunnar Blume, i pytał:

- Jest coś nowego?

Ale w Cherbourgu nic było nic nowego. Blume każdorazowo mógł wrócić na górę, uspokojony. A tam, w wielkim pomieszczeniu, z którego okien za dnia można było spoglądać na morze, przebywał admirał Hennecke wraz z oficerami swego sztabu. Grube zasłony były teraz zaciągnięte. Stoły nakryto do posiłku. Admirał Hennecke miał gości. Po odbytej imprezie kulturalnej dla wojska w wykonaniu bardzo dobrego zespołu koncertowego, admirał zaprosił do swego domu artystów i podległych mu oficerów.

Były tam także dwie młode panie: nieustrudzona, zawsze skora do pomocy, pracownica sztabu marynarki Urszula Braeutigam, która u podporucznika Blumc prowadziła dziennik bojowy, i żona komandora podporucznika Wista, klora jako pianistka przynależała jednocześnie do frontowego zespołu artystycznego.

Pani Wist zauważyła w pomieszczeniu kasynowym fortepian. Spróbowała. Był dobrze nastrojony. Zagrała parę taktów, a potem nagle zabrzmiały w przestrzeni niczym sen z minionych czasów *Papillons* Schumanna. Zdawać by się mogło, że czas się zatrzymał.

Ale on się niestety nic zatrzymał. Ordynans przemknął do Blumego i wezwał go do telefonu. Kiedy podporucznik wrócił, nachylił się do I Hennecke: - Panie admirale, bardzo silne ataki lotnicze na miasta i drogi w strefie wybrzeża. Dalsze naloty bombowców meldowane są znad wybrzeża Calvados.

Henneke skinął głową. Wojna dawała znać o sobie. Wojna nie cierpiała żadnych *Papillons*, choćby i Schumanna. Admirał spojrział na zegarek. Była godzina 23.30. „Silne naloty bombowców”. To zdanie wciąż chodziło mu po głowie.

Oni latali, jak chcieli i kiedy chcieli. Kto mógłby im w tym przeszkodzić? Właśnie dzisiaj otrzymał wiadomość z Paryża, że 2 grupa 26. skrzydła lotnictwa myśliwskiego, którą dowodził słynny komodor Priller, „matematyk powietrza”, została przerzucona do południowej Francji dla odświeżenia. Grupy 1 i 3 znajdowały się w drodze do Reims i Metz. Tym samym obrona myśliwska spoczywała teraz na 2. skrzydle lotnictwa myśliwskiego, skrzydle Richthofena. Ale feldmarszałek von Rundstedt ciągle pocieszał generałów, że „najpóźniej w trzecim dniu inwazji mogą liczyć na wsparcie tysiąca samolotów”. Przy czym Rundstedt powoływał się na stanowcze zapewnienia Adolfa Hitlera: „Najpóźniej w trzecim dniu. po dniu X, postawię front inwazyjny w stan pozwalający na przełamanie panowania aliantów w powietrzu”.

Wprawdzie feldmarszałek Sperrle dowodził flotą powietrzną mającą według Dziennika Bojowego 5 czerwca na papierze 496 samolotów, z których jednakże tylko 319 nadawało się do użytku. W tym było 88 bombowców, 172 myśliwce i 59 samolotów rozpoznawczych.

„Ja nic mogę moim pułkom lotniczemu kazać czekać we Francji na inwazję”, powiedział Göring. „Potrzebuję ich do obrony Rzeszy”. I dlatego wykorzystywał formacje samolotów myśliwskich do powstrzymania ofensywy nieprzyjacielskich bombowców. W ten sposób 2 korpus lotniczy został całkowicie pozbawiony maszyn. Samoloty miały w dniu inwazji przylecieć z Niemiec bezpośrednio na lotniska położone w rejonie walk.

O tym myślał właśnie admirał Hennecke i to nie dawało mu spokoju w czasie trwającej fety. Zjechał na dół do sztolni bunkra, który co prawda był dopiero w połowie ukończony, niemniej świetnie nadawał się na dobrze zabezpieczone stanowisko dowodzenia. W prawej sztolni przygotowano lazaret, w lewej znajdowało się pomieszczenie operacyjne i drugie do pracy na mapach oraz inne pomieszczenia dowodzenia. Do każdej baterii na

wybrzeżu biegł stąd bezpośredni kabel telefoniczny. Nawet do kwatery głównej fuhrera prowadził bezpośredni przewód.

Oficer dyżurny doręczył admirałowi meldunki ze stanowisk obserwacyjnych baterii nabrzeżnych marynarki, rozmieszczonych na obszarze od Zatoki Sekwany aż po grupę Wysp Normandzkich.

„Silny szum silników nadlatujących formacji bombowców”.

Wlot lekkich samolotów rozpoznawczych na szerokim froncie”.

.Zrzut markerów wyznaczających cele poza frontem”.

Także mały punkt obserwacyjny przy latami Qucttchou meldował o wlotach samolotów naprowadzających i maszynach transportowych.

- Tak, to jest dzień wielkiej bitwy - mrucał pod nosem Hennecke. I ogarnęło go nieprzyjemne uczucie. - Blume, niech pan idzie na górę i poprosi, żeby skończyli. Niech pan w moim imieniu przeprosi panią Wist, ale sądzę, że teraz będziemy musieli posłuchać innej muzyki.

Tak więc feta została zakończona. Goście odjechali do swych kwater.

Noc z 5 na 6 czerwca przeszła w dosyć osobliwym nastroju, balansującym między przecuciem czegoś złego i podejrzeniem o jego nadejściu.

Nie tylko feldmarszałek Rommel pojechał na urodziny. Świątowano także w Panzer-Lehr-Division generała porucznika Fritza Bayerlcina, stanowiącej odwód OKW i rozlokowanej w rejonie Nogcnt le Rotrou położonego między Tours a Le Mans. Tu, w swej kwaterze w Vibraye, obchodzili wspólnie urodziny dwaj oficerowie z 902 pułku. Jeden urodził się 5, a drugi 6 czerwca. Była to wspaniała okazja, aby wcześniej zacząć i późno skończyć. Burgund smakował. Bawiono się świetnie.

Dywizja Bayerlcina, ten wzorowo uzbrojony taktyczny związek bojowy, jako jedyna dywizja w Wehrmachcie była w stu procentach opancerzona, miała na stanie 260 czołgów i 800 opancerzonych pojazdów gąsienicowych.

Podoficerowie byli ludźmi dobranymi i dobrze wyszkolonymi. Przeciętna wieku wynosiła 21,5 roku. „Tylko z tajedną dywizją, tylko z samą tą dywizją, wrzuci pan Anglo-Amerykanów do morza”, powiedział do Bayerlcina generalny inspektor wojsk pancernych, generał pułkownik Guderian, podczas krytycznego omawiania wyników gry wojennej. „Do morza”, podkreślił Guderian. dodając przy tym stanowczo: „Gdyż pańskim celem nie jest wybrzeże, lecz morze”.

Kiedy obaj jubilaci z 902 pułku byli już wraz z kolegami pod dobrą datą / powodu niezawodnego burgunda, nastavili sobie wojskową stację nadawczą Calais, angielską propagandówkę dla żołnierzy niemieckich. Tu, w

przerwach pomiędzy meldunkami, nadawano zwykle gorącą muzykę. Ale tym razem porucznik Bohmbach na próżno jej szukał. Radiostacja Calais zdecydowanie nic miała czasu na zabawę. Próbowano z BBC. Ale i tu jakoś brakowało muzyki. Poważne głosy przekazywały różne aforyzmy, które przypuszczalnie przeznaczone były dla francuskiego ruchu oporu. Niezrozumiałe ogólniki w zamaskowanej, kwiecistej mowie: „Jan kocha Marię”. „Nie bać się kolorów”. „Kości zostały rzucone”. „Czerwony burak jest oskrobany”. „Pomidory należy zebrać”. „W Suczie jest gorąco”. „Krokodyl jest spragniony”. Potem następowały rady dla francuskiej ludności cywilnej, jak ma się zachować podczas bombardowań lotniczych. Mówiono, że ludność podczas nalotów lotniczych powinna opuszczać miasta, gdzie

znajdują się wojska niemieckie, a zwłaszcza sztaby oraz składy i szukać schronienia w otwartym terenie. „Jedźcie na wieś”, nawoływało radio.

W ciągu jednej minuty cała radość z okazji fetowania urodzin zawisła na nitce niemiłego uczucia. Te natarczywe wezwania wywołały zdenerwowanie. „Ludzie, czyżby coś wisiało w powietrzu?”

Ale wkrótce potem nadeszło do pułku i w końcu do dywizji uspokajające wyjaśnienie: „Nic się nie dzieje. Bez alarmu”. Po czym wyłączono angielskiego spikera i znów strzelały korki od szampana.

6 czerwca urodziny miał także Klaus Liick, technik radiowy z 22 pułku czołgów. Jego pułk należał do ponownie odtworzonej 21 dywizji pancerniej, starego afrykańskiego oddziału elitarnego, który pozostał w Tunezji. Była to dywizja pancerna rozlokowana najbliżej wybrzeża, a mimo to nie najlepiej uzbrojona. Kierowcy przeklinali francuskie czołgi, w których trzeba było dopiero instalować urządzenia radiowe. Chłopcy z dywizjonu artylerii ćwiczyli na rosyjskich działach przeciwpancernych. Powoli nadchodziły Panzer IV z 75 mm armatą długolufową. W pułkach grenadierów pancernych obraz kształtował się równie niewesoło. Park samochodowy był skromny. Ale mieli przynajmniej pancerfausty (pięści pancerne). Tym samym „grenadierzy” mogli uhonorować pochodzenie swej nazwy: granatier=miolający granaty. - Najlepszą bronią są doświadczeni w bojach starsi szeregowcy, kaprale i sierżanci - powtarzał często swoje ulubione powiedzonko podporucznik Molier. Ten „Afrykańczyk” ze starej 21 dywizji pancerniej dowodził teraz ciężkim plutonem 8 kompanii 192 pułku grenadierów pancernych, rozmieszczonym w rejonie pomiędzy Caen a wybrzeżem, na lewo od rzeki Orne.

Wielu ludzi z Afrikakorps Rommla, którzy przeżyli katastrofę i w ostatniej minucie uniknęli niewoli w Tunezji, znajdowało się teraz w 21 dywizji pancerniej. Do tego doszli weterani z Rosji i stare wygi z Krety. Gromada doświadczonych wojaków. Dowódca dywizji, generał major Feuchtinger, kwaterował początkowo w Rennes, potem w Saint Pierre sur Dives. Według zdania starych pancernych wyjadaczy trochę za daleko od rejonu walk, którym przecież miało być wybrzeże.

Sztab 22 pułku czołgów pułkownika von Oppeln-Bronikowskiego znajdował się w Falaise. Obydwa bataliony czołgów były rozrzucone stosunkowo daleko za linią Tours-I.e Mans. Kompanie rozlokowane były w zacisznych nieckach położonych pomiędzy łąkami a sadami owocowymi. Niektórzy wynajdywali spokojne zabawy, aby uprzyjemnić sobie czas. Inni wykonywali karne prace koszarowe i nie żalowali przekleństw pod adresem gorliwych dowódców kompanii, na przykład kapitana Hoffmanna, dowódcy 4 kompanii w Epaney, 30 kilometrów na południe od Caen, który na tę noc zwiększył liczbę patroli.

Kapral Hcilig, który w Afryce walczył w owianym legendą 361 pułku grenadierów pancernych i tam, z pozbawionego czci i wiary byłego żołnierza Legii Cudzoziemskiej, awansował na kaprala, był teraz w I kompanii w lepszym położeniu. - Kiedy strzelają, to zawsze jeszcze jest czas na umieranie, najpierw trzeba trochę pożyć - było jego dewizą życiową. Także w tę noc z 5 na 6 czerwca on i jego przyjaciel starszy szeregowiec Briten, pojechali na rowerach na patrol z Ver-son do Caen. W każdym razie była to wątpliwa przyjemność.

Technik radiowy Liick o godzinie 22.30 zrobił swój ostatni obchód kontrolny pułkowych środków łączności.

Także i on postawił zwyczajne pytanie: - Co się dzieje? I otrzymał beztrzęsłą odpowiedź z frontu: -Nic szczególnego, panie techniku, meldowano tylko o nalotach formacji bombowców na wybrzeże! - Liick życzył zatem dobrej nocy i poszedł do swego pokoju w starym *chdteau*. Tam czekał na niego jabłecznik przysłany przez żonę z okazji urodzin. Teraz chciał ten ostatni, zaoszczędzony do godziny 24.00 łyk, wypić na dobry sen. Kiedy zegar na wieży kościelnej w Falaise wybił północ, wypił dwa naparstki swego calvadosa i z listem w rękę położył się na starej kanapie. „Kochany Klausie...”

Nad Normandią zaległa noc. Bezgwiezdna noc. Major Friedrich Hayn opuścił stanowisko dowodzenia 84 korpusu w Saint Ló i wszedł do małego ogrodu. Całymi godzinami, ze swoim pierwszym kreślarzem, rysował mapy. które dowódca korpusu, generał artylerii Erich Marcks, miał zabrać do Rennes na ćwiczenia sztabowe zarządzane przez 7 armię. Temat ćwiczeń dowódczych brzmiał: „Lądowanie desantu powietrznego”. Ćwiczeniem miał kierować generał wojsk spadochronowych Meindl.

Co za ironia: lądowanie desantu powietrznego jako ćwiczenie sztabowe! Wyznaczone akurat na godzinę, w której jego krwawy wariant zaczyna się rozgrywać na serio. I w dodatku wtedy, kiedy najważniejszych dowódców nie będzie na ich stanowiskach dowodzenia.

Spojrzenie Hayna ślizga się po głęboko zarysowanej dolinie rzeki Vire, nad łąkami i sadami pełnymi jabłoni. Szef rozpoznania 84 korpusu myślał o Anklam. Tam stała jego szkoła średnia, której był dyrektorem. Pośród jego myśli, gdzieś nisko nad wodami Vire, zawarczał czterosiłnikowy bombowiec. Z pobliskiego stanowiska przeciwlotniczego na wieży gimnazjum posypały się w ciemną noc 20 mm pociski świetlne. Teraz szły prosto na samolot. Dostały go nad seminarium duchownym w Agneaux, na wzgórzach za zachodnim brzegiem rzeki. Wybuch płomieni. Zestrzelenie! Tak jakby należało to wszem wobec rozgłosić, równocześnie rozległy się dźwięczne uderzenia zegara katedralnego obwieszczające północ.

Major wszedł do bunkra. Szef sztabu, podpułkownik Friedrich von Criegern i szef oddziału operacyjnego major Hasso Vicbig czekali już. Także tutaj był jubilat urodzinowy Dowódca 84 korpusu, generał Marcks, urodzony 6

czerwca 1891 r.. kończył 53 lata. Święto trwało krótko. Marcks, wspaniały oficer starej szkoły, nie lubiany w OKW z powodu zażyłości łączącej go z generałem von Schleicherem, ale pozostawiony w służbie ze względu na jego talenty wojskowe, nie był zwolennikiem świętowania. Jego posiłki utrzymane były dokładnie w ramach rygorystycznie przestrzeganych przepisami racji. Tak lubiane przez oficerów całego korpusu zaproszenia do sztabu 709 dywizji generała von Schliebena, który miał

opinię wytrawnego smakosza, nie znajdowały odbicia w przypadku posiłków serwowanych w sztabie korpusu, co nie umniejszało przywiązania do generała Marck-sa. To dodatkowa cecha osobowości tego człowieka.

Wraz z dźwiękami zegara katedralnego pojawili się oficerowie z życzeniami. Kielichy napelnione chablis opróżniano na stojąco. Potem generał skrzypiąc protezę podszedł do stołu z mapami. W kampanii rosyjskiej stracił nogę.

Marcks także miał rozkaz jechać do Rennes na ćwiczenia sztabowe. Chciał być dobrze przygotowany. - Proszę mapy, Hayn - zwrócił się do szefa rozpoznania. Major rozłożył mapę sytuacyjną: dane o nieprzyjacielu. Sytuacja w powietrzu. Specjalna mapa ze stanowiskami własnej artylerii. Pasy pól minowych i tereny zalewowe.

Generał zastanawiał się nad wczorajszym wielkim, anglo-amerykańskim rozpoznaniem lotniczym. Także dzisiaj od godziny 22.00 nadchodziły meldunki o licznych wlotach. Pomimo złej pogody. Co to mogło znaczyć? Pytanie otaczała wielka tajemnica. Tajemnica, której rozwiązanie od dawna leżało już na stołach w Saint Germain i La Roche Guyon. Tymczasem dowódca najważniejszego korpusu nie dostał żadnej informacji.

I kiedy generał Marcks łamał sobie w Saint Ló głowę nad przyczyną wlotu bombowców, admirał Hennecke w Cherbourgu sprawdzał napływające meldunki, podporucznik Jahnkc w punkcie oporu nr 5, na zachód od Sainte Merę Eglise, kładł się na pryczy w swym bunkrze, technik radiowy Liick z 22 pułku czołgów pił swój calvados, a oficerowie 902 Panzergrenadier-Lelu-Regiment ze złością wyłączyli BBC i w bunkrach u ujścia Sekwany, Orne i Vire zaczęła rozbrzmiewać rozleniwiająca, ckliwa piosenka „Słodka, mała konduktorka...”, która zagłuszała szum komarów - to w tym momencie samolot naprowadzający amerykańskiej 82 dywizji powietrznodesantowej zapalił zielone światło.

Generał major James Gavin rzuca spojrzenie w dół. I skacze. Jego spadochron otwiera się za jednym szarpnięciem. General nic nic widzi w ciemności, ale wie, że teraz w tej samej minucie otwierają się tysiące spadochronów. Obok niego, za nim, w środku nad półwyspem Cotentin. I tak samo dzieje się tam, po drugiej stronie, odległej o 80 kilometrów na wschód od rzeki Orne, gdzie skaczą strzelcy brytyjscy, a szybowce desantowe gwizdząc, suną w kierunku ziemi. Z nocnego nieba cała armia spada w otchłań wojny.

Idą!

Alarm - spadochroniarze lądują

Podpułkownik Hoffmann właśnie spojrzał na zegarek. Było 40 minut po północy. A więc 6 czerwca liczył sobie zaledwie trzy kwadransy. Od godziny nad stanowiskiem dowodzenia 3 batalionu 919 pułku grenadierów, na wschód od Montebourga, słychać było nieustający warkot silników samolotowych.

Nadeszła nowa fala. Dudnienie stawało się głośniejsze. Hoffmann wyszedł przed bunkier. Zdębiał. Sześć olbrzymich samolotów leciało dokładnie na jego stanowisko dowodzenia. Były wyraźnie widoczne; gdyż właśnie w tej chwili zza chmur przebił się księżyc. Oni wyskakują- przez moment Hoffmann myślał, że maszyna ma defekt i załoga chce wyskoczyć. Ale zaraz pojął, o co chodzi: to był desant spadochronowy. Białe piłki opadały kołysząc się.

- Alarm! - Nieprzyjacielski desant spadochronowy! Jeszcze nigdy przedtem sztab 3 batalionu nie zakładał spodni tak szybko.

- Alarm! - Alarm!

Zaszczekały karabiny wartowników. Strzelano do opadających spadochronów. Ale potem księżyc się schował. Ciemność okryła bujających się w powietrzu nieprzyjaciół. Hoffmann pochwycił karabin. Wtedy w ciemności ukazał się pierwszy strumień ognia z amerykańskiego MP.

Rozpoczęła się bitwa o Normandię.

Daleko, bo 80 kilometrów na południowy wschód od stanowiska dowodzenia 3 batalionu 919 pułku grenadierów po drugiej stronie rzeki Orne, strzelano także. Niemiecki posterunek wartowniczy po wschodniej stronie mostu nad kanałem-Caen koło Benouville wystraszył się, kiedy nagle w odległości 50 metrów od jego betonowego stanowiska bez szumu silnika opadł na ziemię samolot. Zaraz potem coś trzasnęło. Posypały się odłamki. Cisza. Wartownik ściągnął karabin z pleców, przeładował. Wstrzymał oddech. Nasłuchiwał. Zestrzelony bombowiec, to była jego pierwsza myśl. Już od ponad godziny dudniły nieprzyjacielskie formacje bombowe, nadlatując od strony morza i lecąc w głąb lądu. Od strony Caen słyhać było eksplozje. W rejonie Troaen czekało działo przeciwlotnicze.

Oni na pewno tam są, pomyślał ładowniczy Wilhelm Furtner. Wtem przed jego oczami fuknął jaskrawy błysk. Wybuchu ręcznego granatu fosforowego nie zdążył już usłyszeć.

Koledzy ze schronu wzdrygnęli się. Przyskoczyli do karabinu maszynowego. Na wszelki wypadek wystrzelili jedną serią. Nic nie widzieli. Ale teraz usłyszeli wołanie: „Able-Able!” Nie wiedzieli, że jest to hasło plutonu A pewnej grupy bojowej z brytyjskiej 6 dywizji powietrznodesantowej, której szybowiec transportowy właśnie rozbił się pod ich nosem. Starszy szeregowiec wartowni chciał sięgnąć po telefon. Chciał zaalarmować dowódcę plutonu znajdującego się po drugiej stronie mostu, ale nie zdążył. Dwa granaty ręczne wpadły do bunkra przez otwór strzelniczy. Koniec.

To była dobra robota. Ludzie majora Johna Howarda też się wystarczająco długo szkolili. Zbudowali sobie w Anglii model tego mostu. Ze wszystkimi detalami. Znali ten most dokładnie ze zdjęć lotniczych i meldunków agentów. Atak na ten most ćwiczyli całą wiosnę, tydzień po tygodniu. Ze stoperem.

Wszystko poszło dobrze. Przede wszystkim zaskoczenie.

Pluton A rozcina drut kolczasty przy wejściu na most. Teraz zachowywanie ciszy nie ma już żadnego sensu.

Wybuchy granatów musiały zaalarmować wartę mostową po drugiej stronie. Tommies z okrzykiem *Ab!e-Able!* pędzą przez most.

Słyszą trzask innego szybowca transportowego.

Słyszą też okrzyki na zbiórkę plutonu B, który brzmi *Baker! Ba ker-Ba ker!*

Następnie daje o sobie znać pluton C: *Charly-Charly!*

Niemiecki karabin maszynowy siecze po moście. Padają pierwsi Tommies. Ale *gros* przedostaje się na drugą stronę. Krótki bój. Warta mostowa pada. Most przez kanał-Caen pod Benouville jest w rękach brytyjskich. Tylko starszy szeregowiec Weber uchodzi. I pędzi przez wieś do dowódcy placówki. - Brytyjscy spadochroniarze zajęli most na kanale! - To czego on jeszcze nie wie, to fakt, że także sąsiedni most na rzece Orne pod Ranville został opanowany z wypadu przez spadochroniarzy brytyjskiej 5 dywizji powietrznodesantowej. W 2 batalionie 192 pułku grenadierów pancernych w Cairon brzęczy telefon polowy: „Wymarsz do przeciwuderzenia na nieprzyjacielskich spadochroniarzy na przyczółek mostowy Bcnouville”.

Na moście na rzece Dives, przez który przechodzi droga Varville-Grangues także stoi wartownik i patrzy w noc. Wartę na moście wystawił 2 batalion 744 pułku piechoty. Słaby pluton. Żołnierze źle się wyrażają o tym przeklętym moście. Przed czterema tygodniami 3 batalion bez jakiegokolwiek zapowiedzi miał zorganizować ćwiczenie nocne i przeciwiczyć atak na ten most. Wartownicy z ubezpieczenia mostowego nie przeczuwali, że strzały, które nagle rozległy się przy wjeździe na most, pochodziły ze ślepych naboí. Uważali, że to sprawa poważna i otworzyli ogień ostrą amunicją z karabinu maszynowego. Byli ranni i dwóch zabitych. I do tego straszna awantura z podejrzliwym śledztwem. Wszystko to jak błyskawica przechodzi przez głowę wartownika na moście, kiedy tuż po północy z 5 na 6 czerwca widzi nagle trzech ludzi z uczernionymi twarzami wyskakujących na nasyp. - Głupie gnojki - woła pogardliwie. Ale nagle sztywnieje z przerażenia. Za późno. Już nie może ani wołać, ani krzyczeć: bezszelestnie zwała się pod ciosami noży spadochroniarskich. Od tej chwili Tommies mają sprawę ułatwioną. Pięć minut później most wylatuje w powietrze.

Podobnie jest z mostem koło Robehomme na rzece Dives. Nawet tak ważny most, jak ten pod Troarn na tej samej rzece, przez który prowadzi główna droga z Caen do Rouen i do Hawru, zostaje wysadzony w powietrze przez jednostki saperów z grupy bojowej majora Rosevcare.

Była dokładnie godzina 1.11, kiedy na stanowisku dowodzenia 84 korpusu w Saint Ló zadzwonił telefon polowy na stole dowódcy korpusu. Marcks i oficerowie sztabu pochylali się jeszcze nad mapami. Generał podniósł słuchawkę. Słuchał. Wyprostował się i ruchem głowy nakazał szefowi sztabu, aby też słuchał. Na linii był szef rozpoznania 716 dywizji. Ze słuchawki dochodził jego przyspieszony głos. „Na wschód od ujścia Orne zostały wysadzone nieprzyjacielskie oddziały spadochronowe. Wydaje się, że główna akcja skierowana jest na mosty na rzece Dives i przeprawy na Orne. Przeciwdziałania w toku". Meldunek uderzył w nich jak grom. Czyżby to była inwazja? Czy są to może tylko silne oddziały łącznikowe do francuskiego ruchu oporu? Oto było pytanie. Po krótkiej chwili major Hayn pokiwał głową i powiedział: -Zeskok jest za blisko linii frontu, ludzie ruchu oporu nigdy by się na to nic zdobyli. -1 zaraz potem: - To jest inwazja! -Generał Marcks przytaknął.

Omawiali jeszcze różne za i przeciw, kiedy przez telefon zameldował się pułkownik Hamann, pełniący obowiązki dowódcy 709 dywizji: „Nieprzyjacielscy spadochroniarze na południe od Saint Gennain-de-Varreville i koło Sainte Maric-de-Mont. Druga grupa na zachód od głównej drogi Carentan-Valognes, po obu stronach rzeki Merderet i przy drodze koło Sainte Merc-Eglise. Sztab 3 batalionu 919 pułku grenadierów wziął jeńców z amerykańskiej 101 dywizji powietrzno-desantowej".

Była godzina 1.45. Pięć minut później, dokładnie o godzinie 1.50, także w Paryżu brzęczały telefony. Szef oddziału operacyjnego Sztabu Grupy Marynarki „Zachód”, komandor S. Wegener wzywa swoich oficerów do pokoju operacyjnego. - Uważam, że właśnie zaczęła się inwazja - mówi spokojnie.

Admirał Hoffmann, szef sztabu, nie traci czasu na ubieranie się. Narzuca na siebie płaszcz kąpielowy i pędzi do pokoju operacyjnego. Meldunki stacji pomiaru radiolokacyjnego, nad którymi panuje łącznościowiec porucznik von Williscn, są jednoznaczne: „Bardzo dużo załamek na lampie oscyloskopowej".

Początkowo, z powodu niezliczonej ilości znaków, technicy sądzili, że są to zakłócenia. Tylu okrętów nie ma przecież. Ale potem nie było już wątpliwości: to musi się zbliżać jakaś niebotyczna flota.

- To może być tylko flota inwazyjna - wnioskował Hoffmann. A więc do dzieła: - Meldunek do Dowódcy Zachód. Meldunek do głównej kwatery fiihrera: inwazja w toku.

Ale w Paryżu, podobnie jak w Rastenburgu* panuje sceptycyzm. Przy tej pogodzie? Czy wasi technicy nie pomylili się? - Szef sztabu Dowódcy Zachód nawet z ironią zapytał: -Czy wasi technicy nie umiejscowili przypadkiem mew? -Ludzie nadal nic chcą wierzyć. Ale marynarka jest pewna. Teraz alarmuje swoje stacje nadbrzeżne i siły morskie stojące w portach: „Zbliża się flota inwazyjna!

W sztabie 84 korpusu także nikt nie miał już wątpliwości. - Niech pan ogłosi alarm na wybrzeżu - rozkazał Marcks szefowi oddziału operacyjnego Yiebigowi. Tym samym rozpowszechniono hasło o inwazji. I dalej wszystko szło jak z płatka. wiele razy wypróbowane i wiele razy sprawdzone. Alarmowanie korpusu odbywało się przez telefony służbowe. Cywilna sieć łączności została wyłączona. Oli-cerowie sztabowi dywizji pobiegli do map rozłożonych na stołach operacyjnych.

„Alarm! Zbliżają się!”

* Dzisiejszy Kętrzyn.

W sztabach pułków zaspani dyżurni zrywali się na równe nogi. „Alarm!”

Telefony polowe przekazywały to wołanie dalej, do batalionów i dywizjonów artylerii, a stamtąd do kompanii i baterii, do plutonów, do przodu, na wybrzeże, do punktów oporu i gniazd oporu.

„Psy łańcuchowe” policji polowej przeczesywały lokale w Caen: - Wstawać, zaczyna się!

Kapral Heilig i jego przyjaciel starszy szeregowiec Briten z 22 pułku czołgów, którzy właśnie wyjechali z Caen przed atakiem bombowym, pędzili na swoich rowerach drogami polnymi obok żywopłotów i ogrodów w kierunku na Verson. Zdążyli akurat na czas. 1 kompania stała już na zbiorce przed kościołem.

4 kompania z Epaney także zdążyła już wyprowadzić swoje czołgi ze stanowisk maskujących. Kapral Weinz, którego kapitan Hoffmann wysłał z pięciorgiem ludzi na patrol nocny, właśnie wrócił, kiedy jego czołg podjechał na drogą wylotową z miasta. Szybkość alarmu miała swoje interesujące przyczyny. Kapitan Gottberg, dowódca 1 batalionu 22 pułku czołgów, właśnie się położył, kiedy zadzwonił telefon i natychmiast ucichł, co go zdziwiło.

Mimo to ujął słuchawkę. I usłyszał rozmowę dowódcy pułku von Oppeln-Bronikowskiego z dowódcą dywizji.

Generał Feuchtinger informował Oppelna o rozkazie alarmowym korpusu.

Gottberg natychmiast zerwał się z posłania i postawił swoją kompanię na nogi. W ten sposób 1 batalion 22 pułku czołgów w krótkim czasie był w gotowości do wymarszu i czekał.

2 batalionu nie trzeba było budzić. Major Vierzig był w marszu ze swoimi czołgami na pozycję wyjściową do ćwiczeń, które miały się odbyć 6 czerwca rano na wschód od Falaise. Oczywiście bez użycia ostrej amunicji.

Meldunek o alarmie Vierzig otrzymał przez łącznika motocyklistę. Wysłał swoje kompanie z powrotem na kwatery celem pobrania ostrej amunicji. I także czekał.

Cały 22 pułk czołgów stał w gotowości bojowej i marszowej. Daleko poza rejonem lądowania brytyjskiego, gdzie Tommies wysadzali w powietrze lub zdobywali most za mostem. Obsadzali punkty na skrzyżowaniach dróg i zajmowali taktycznie ważne pozycje.

„Poruczniku, niech no pan pokaże swoje ręce”

Podporucznik Arthur Jahnke, znajdujący się w 5 gnieździe oporu na wschodnim wybrzeżu półwyspu Cotentin, w obszarze frontowym 709 dywizji, nie mógł zasnąć. Wszedł z kamienicy w punkcie oporu i spojrzał na zasłonięte niebo. Z daleka słyszał wybuchy bomb i ogień artylerii plot. (przeciwlotniczej). A ponad chmurami nieprzerwane dudnienie. Jahnke zatelefonował do sąsiedniego punktu oporu W 2. Podporucznik Ritter był właśnie przy telefonie. On też nie mógł zmrużyć oka. „Mam uczucie, że coś się święci”, zauważył. „Ale nic, co by nas dotyczyło”, odpowiedział Jahnke. „Daj Boże”, powiedział Ritter. „Jutro przyjdę na jedną wódkę. °ako znak, że miałem rację”,

zakończył rozmowę Jahnke. A jednak wypiję, pomyślał uśmiechając się. Nie przeczuwał, że jego plutonowi z 3 kompanii 919 pułku grenadierów, znajdującemu się teraz na otoczonej drutem koleczastym wydmie, za parę godzin ma przypaść historyczna rola bycia owym szczególnym punktem na francuskiej ziemi, na którym Amerykanie, walcząc o Europę, postawią pierwszy raz swoją stopę. Jahnke nadsluchiwał od strony morza: - Odpływ - powiedział. A przy odpływie nie przyjdą. - Na to miał mocne zapewnienie, dane osobiście przez Rommla.

Kiedy feldmarszałek był tutaj 11 maja celem obejrzenia punktu oporu W 5, to jego twarz nie okazywała zadowolenia. Według niego odcinek dywizyjny nic był dostatecznie umocniony. Nie wystarczało mu wkopanie przed plażą kozłów-tara-nów do zatrzymywania łodzi desantowych oraz zapór z pali. Za mało też położono zapór z czeskich jeży stalowych, za mało wbito pali, tak zwanych szparagów Rommla, przeciwko desantom powietrznym w przesiekach i na polach. Jego zły humor skrupił się na dowódcy dywizji von Schliebenic i dowódcy 919 pułku, podpułkownika Keilu, a nawet na dowódcy kompanii, poruczniku Matzu. Z jego zazwyczaj błyskotliwych żartów, jego daru przekonywania, za pomocą którego udawało mu się podbudowywać zapał żołnierzy i oficerów do obrony wybrzeża, zagrzewać ich, rozbudzać ich fantazję - z tego wszystkiego nie pozostało śladu.

Ani razu nie częstował papierosami. Tylko Jahnke, który w Rosji jako dowódca plutonu zasłużył sobie na Ritterkreuz (Krzyż Rycerski) i który z powodu rany, poprzez oddział zapasowy dostał się w końcu na front zachodni, nie pozwolił się wpędzić w kozi róg. Zameldował o pracach ziemnych, wskazał na takt, że każdy duży przyływ wyrzuca z powrotem na brzeg stalowe kozły czeskie i zaminowane kozły szpulowe. Głębokie przeszkody z drutu? - O ile dostaniemy drut, to się je położy - powiedział Jahnke i pokazał przeszkody założone zgodnie z jego rosyjskimi doświadczeniami. Ale złość utkwiała głęboko w duszy feldmarszałka. nazbyt głęboko. - Poruczniku, niech no pan pokaże swoje ręce - powiedział nagle. Podporucznik Jahnke, lat 23, spojrział zdziwiony. Ale rozkaz to rozkaz. Ściągnął więc szare zamszowe rękawiczki i wyciągnął dłonie w kierunku marszałka. Były pozdierane aż do krwi, bowiem podporucznik zrozumiał w Rosji, że oficer tak samo dobrze może naciągać drut jak szeregowiec. To samo. wręcz demonstracyjnie, robił teraz tutaj na zachodzie; gdyż długi okres okupacyjny we Francji nie wzniecał w niemieckich oddziałach szczególnego zapału do prac fortyfikacyjnych.

Rommel, patrząc na ręce Jahnkego, wyzbył się resztek złości. Przytaknął: -Racja, poruczniku, krew na rękach oficera przelana przy pracach fortyfikacyjnych ma taką samą wartość, jak ta przelana w bitwie. Krew na rękach oficera... Porucznik z Krzyżem Rycerskim, który dopiero co przybył z frontu wschodniego, zgodnie z

obowiązkiem odpowiedział swoje *Jawohl*, ale swoje pomyślał: Zczy ludzie dostali przynajmniej właściwe wskazówki do prac fortyfikacyjnych! Ale

wielu starych oficerów rezerwy, których doświadczenie żołnierskie wywodziło się jeszcze z okopów pierwszej wojny światowej, ciągle żywiło upodobania do budowy stanowisk wzorem tych z 1917 r. Jahnke często z tego powodu zżymał się. I nie tylko z powodu okopywania się.

Ze zdziwieniem stwierdził, że francuscy rybacy mieli zezwolenie na chodzenie szosą asfaltową obok jego punktu oporu, gdy wybierali się na ryby. Jahnke zabronił tego. Komendant garnizonu tylko kiwał za nim głową: ten nowy bierze wszystko tak poważnie. Dlaczego ci grzeczni ludzie, nie mieliby łowić sobie ryb! Kiedy zaś Jahnke nocną salwą wypróbował swoje działa, to cały odcinek pułkowy stanął na głowie. „Ten Iwan”, mówiono, „ten Iwan całkiem zgłupiał. Nic może poczekać, aż się zacznie!”

Jahnke tylko uśmiechał się szyderczo i dalej ćwiczył, i dalej fortyfikował. wierny dewizie swego feldmarszałka, chociaż przybierające na sile naloty bombowe dawały przedsmak tego, co się stanie z tymi pięknymi, pracowicie zbudowanymi stanowiskami oraz transejami i przeszkodami z drutu, kiedy przejdzie nad nimi dywan bombowy. Można to było przestudiować na przykładzie 1 baterii 1261 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych, porucznika Erbena pod Saint Martin-de-Varreville. Nie pozostał nawet kamień na kamieniu. Cała pozycja została zatamizowana łącznie z jej działami. - Może być nawet wesoło, jeśli kogoś tak urządzią- powiedział sierżant Hein do Jahnkego.

Od tego czasu mieli prawdziwego pietra przed wzmagającymi się nocnymi nalotami bombowców.

Oczywiście żołnierze nie chcieli wierzyć w złe zakończenie. Kiedy spoglądali z grzebienia wydm ponad swymi punktami oporu, to wszystko wyglądało na napawające otuchą: te imponujące działa 88 mm, te bunkry z flankującymi armatami 50 mm, te 75 mm armaty przeciwpancerne i gniazda karabinów maszynowych, te miotacze ognia i goliaty, nawet ta FK 16, armata polowa z pierwszej wojny światowej, promieniowała siłą bojową.

- Oni przecież nie będą się pchali pod lufy takiej fortecy, pocieszają się żołnierze. Chyba nie, myśli Jahnke. Wraca do swej kwatery w kamienicy. Wyciąga się na łóżku. Zapala papierosa. Myśli o Rosji. Cieszy się, że jest tutaj, we Francji. Tuż obok ma nawet prysznic, wprowadzie z polewaczki chytrze przymocowanej do sufitu, ale jednak jest. Telefon. Jahnke odbiera. Wstaje. Batalion nadaje sygnał alarmowy. I uzupełnia: „Zeskok nieprzyjacielskich spadochroniarzy, prawdopodobnie za pańską pozycją”.

- Alarm!

- Wszyscy na stanowiska bojowe! Podwójne posterunki na granicy punktu oporu. Patrol rozpoznawczy wychodzi natychmiast! Obserwować, co się dzieje.

Czyżby to była akcja prowadzona dla francuskiego ruchu oporu, myśli sierżant Hein. On co prawda nie zetknął się jeszcze z żadnym uzbrojonym partyzantem, ale mówi się wystarczająco dużo o ich tajnej armii.

Jahnke jest podobnego zdania. Ma ku temu dobry argument, że dzisiaj nie należy się liczyć z wielką inwazją: - Jeśli tamci przyjdą, to zrobią to podczas przyływu - powiedział mu niedawno sam Rommel w czasie swego pobytu. I to go przekonuje. W czasie przyływu łodzie desantowe mogą podплыnąć do samych podstaw wydm, dokładnie aż pod zasieki z drutu kolczastego. Podczas odpływu przeciwnie, każdy atakujący będzie musiał przebiec 800 metrów po płaskiej jak deska plaży. 800 metrów! Pod ogniem karabinów maszynowych. Armat ppanc. I moździerzy.

Nie. Oni przyjdą podczas przyływu. A przyływ właśnie był w odwrocie. I w tym momencie spadochroniarze mieli przeprowadzić inwazji? Nic. 'Ib nie pasuje. A więc to nic jest wielkie lądowanie!

Tak sądzi Jahnke i czeka.

Pół godziny później z tyłu, za zalanymi łąkami, rozlegają się strzały karabinowe i z broni maszynowej. To patrol rozpoznawczy. Natknął się na dwa tuziny amerykańskich spadochroniarzy, którzy próbują się dostać przez zabagnione łąki. Ci biedni chłopcy stoją po pas w wodzie, kiedy dosięgają ich serie z karabinów maszynowych i gdy pierwsi z nich padają, to drudzy podnoszą ręce. Patrol rozpoznawczy wraca do punktu oporu z 19 jeńcami. - Ręce na głowę. Twarzą do ściany! - rozkazuje starszy szeregowiec jeńcom amerykańskim i ustawia ich pod ścianą kamiennego baraku. Zostają brutalnie zrewidowani, to znaczy przeszukane są wszystkie kieszenie. Dwaj ranni, których Amerykanie przywlekli ze sobą, idą do pomieszczenia dla rannych w bunkrze.

Jahnke natychmiast telefonuje na stanowisko dowodzenia batalionu. 19 jeńców z 2 batalionu 506 pułku strzelców spadochronowych. - Chce jeszcze dodać „ze 101 dywizji powietrznodesantowej”, ale słyszy „krrch”. Koniec.

Podziemny kabel, niedawno zakładany przez Francuzów pod nadzorem niemieckich saperów, został przecięty. W 5 ma teraz łączność tylko z sąsiednimi punktami oporu z lewa i z prawa.

Tymczasem kapral-sanitariusz Hoffmann opatruje ciężko rannego Murzyna. Biedny chłopiec, musi strasznie cierpieć, dostał postrzał w podbródek: I Hoffmann kiwa doń głową pocieszająco. „To przejdzie”. Murzyn ma w oczach strach. Sanitariusz obraca się ku skrzynce z medykamentami i spogląda w twarz lekko rannego porucznika.

Ten śmieje się szyderczo i względnie dobrą niemiecką mówi:

- Pan jest tu sanitariuszem i nosi pistolet? To jest zabronione!

Hoffmann, podobnie jak Jahnke, jest starym weteranem z frontu wschodniego, a tam każdy sanitariusz nosił swój pistolet, była to lepsza ochrona niż opaska z czerwonym krzyżem. Natychmiast zdaje sobie sprawę, że oficer

amerykański ma rację. Mamrocze ze złością: - Czy to także jest zabronione, że ja mimo mojego pistoletu opatruję pana?

W tym momencie do bunkra wchodzi Jahnke. Słyszał ostatnie słowa.

- O co chodzi, Hoffmann?

- On zarzuca mi - wskazuje na jeńca - że noszę pistolet.

Jahnke spogląda na kolegą z innego numeru poczty polowej. - Ma pan rację - mówi. I zwracając się do podoficera sanitarnego poleca: - Niech pan odłoży tą armatę, Hoffmann! Ten odparowuje zgryźliwie:

- Mam nadzieję, że bomby też wiedzą, kim jestem.

Ale bomby o tym nie wiedziały i wkrótce potem kapral-sanitariusz Hoffmann zginął.

Jahnke każe opróżnić bunkier przeznaczony dla jego żołnierzy i umieszcza tam jeńców. Drzwi zostają zamknięte na klucz, a przed nimi postawiono wartownika.

Około godziny 2.45 do Jahnkego przychodzi sanitariusz Hoffmann: - Ranni są dziwnie niespokojni. Ciągłe chcą wiedzieć, która godzina. I pytają, czy nic można ich odtransportować. Wartownik spod bunkra także melduje, że obaj oficerowie wciąż żądają, aby ich stąd zabrać.

- Czemu im się tak spieszy? - pyta Jahnke.

- Widać nie podoba im się u nas - zauważa szyderczo wartownik - albo też coś się tu może święci, panie poruczniku.

Cały pułk skacze w bagna

Zanim nastał świt, dla 84 korpusu stało się jasne, że desanty powietrzne nie były przedsięwzięciami drugorzędnymi. To nie żaden rajd komandosów. Żaden blef.

Meldunki donosiły:

Na obu flankach odcinka korpusu wylądowały całe dywizje. Na prawo od Orne i Dives, na odcinku 716 i 711 dywizji, ustalono obecność brytyjskiej 6 dywizji powietrznodesantowej; na lewo na odcinku 709 dywizji, rozpoznano cztery pułki z amerykańskiej 82 i 101 dywizji powietrznodesantowych.

Komandosi próbowali opanować najważniejsze mosty i drogi prowadzące przez zalane tereny położone na tyłach i odciąć je od dopływu odwodów. W niektórych miejscach się to udało. To już nie były żarty. Jawiła się krwawa rzeczywistość; wszystko to wyraźnie wskazywało na śmiałą operację strategiczną, mającą na celu zabezpieczenie skrzydeł zbliżającej się inwazji z morza, pomiędzy ujściem rzek Orne i **Vire**.

Analizy sytuacji przeprowadzone w sztabie 84 korpusu były prawidłowe. To był właśnie dzień X. Największa w historii operacja amfibijna została poprzedzona najśmielszą, brawurową wręcz, ale też pełną strat, kampanią powietrzną. 9210 samolotów-nie wliczając w to bombowców i maszyn rozpoznawczych opuściło Anglię w nocy z 5 na 6 czerwca 1944 r. Przez dwie i pół godziny ta nieprzeliczona flota powietrzna bez przerwy przelatywała nad Londynem.

Front przybrzeżny kipiał od wybuchów bombowych. Nad Caen opadło piekło. Mosty i drogi, a zwłaszcza lotniska na francuskim zapleczu, tkwiły pod nieprzerwanym gradem bomb.

Szybowce transportowe uformowane w wielkie floty ciągnęły swoimi trasami. Wszystkie te działania były dokładnie przewidziane, wyliczone, przemyślane. Wiele manewrów się udało. Ale nie wszystkie obliczenia się sprawdziły.

Amerykanie wysadzili z powietrza, za niemiecką linią brzegową na półwyspie Cotentin, dwie dywizje powietrznodesantowe, 17 000 żołnierzy z oddziałów elitarnych, z artylerią polową i bronią przebijającą pancerz. Miały one za zadanie utworzyć rozległy punkt oporu za niemiecką linią przybrzeżną, zajmowaną przez 709 dywizję, utrzymać przejścia przez sztuczne zalewy i odgrodzić niemiecką 91 dywizją powietrznodesantową od amerykańskich przyczółków lądowania. Poza tym miano zniszczyć połączenia telefoniczne, zablokować drogi i mosty, odciąć front niemiecki na linii brzegowej od możliwości dowozu zaopatrzenia. Ale ten gigantyczny atak desantowy stał pod złą gwiazdą.

Silne i niskie zachmurzenie nie pozwoliło pilotom przednich batalionów na dokładny nalot. Porozrywały się nawet szyki szybowców transportowych. Tym samym rozpoczęła się tragedia. Celami zeskoków były mosty, tamy na terenach zalanych rzeczki Merderet wzdłuż drogi Sainte-Merc-Eglise-Pont l'Abbe. Wystarczyło małe przeoczenie - skakano albo pół minuty za wcześnie, albo za późno - i już skoczek ląduje w bagnie albo w wodzie. Tak też się zdarzało. 507 pułk wyskoczył bez wyjątku pośrodku zalanego terenu. Trawa na tej bagnistej przestrzeni była tak gęsta, że patrząc z samolotu, można było odnieść wrażenie, że to rozległa łąka. Kto jednak wylądował na spadochronie, topił się w wodzie ze swoim 70-funtowym uzbrojeniem. Tylko nieliczni zdołali się wyswobodzić z tego bagna. Ciężkie wyposażenie pułku zostało całkowicie stracone. Ranni skazani byli na utonięcie. Szybowce transportowe pogrążyły się w topieli wraz z ludźmi i wyposażeniem.

Trzydziestosekstoletni dowódca 82 dywizji powietrznodesantowej, generał James Gavin*, też skoczył w otchłań. Nad kanałem jeszcze widział maszynę swej grupy czołowej, za sobą miał siedem tysięcy ludzi. Ale nad Wyspami Normandz-kimi dostali ogień dział przeciwlotniczych, a potem nasunęły się nisko wiszące chmury niczym zupa mleczna zalegająca pomiędzy samolotami a ziemią.

W ostatnim momencie maszyna Gavina uzyskała widoczność. General ujrzał pod sobą błyszczącą powierzchnię wodną. Odetchnął: Douve. Ukazał się zielony sygnał świetlny do skakania. Zacerpnął powietrza. I skok. Ale tak samo jak generał i jego pilot, pomyliła się niemal cała armada. 507 pułk zeskoczył wprost w wodę terenów zalewowych Merderet.

Błądliwi w bagnie. Ciała potopionych zalegały w głębokich rowach. Błądzili wzdłuż brzegu rzeki i szukali mostu, który mieli zająć.

* James Gavin był zastępcą dowódcy 82 dywizji-

Tylko jedno się udało: miasteczko Sainte Mere-Eglise wpadło w ręce ludzi Gavina. Niemiecki tabor artylerii przeciwlotniczej, który był rozłożony na targowisku, został po krótkim boju z rozproszonymi oddziałami 505 pułku spadochronowego, tego który opadł bezpośrednio na miasto, wyparty i ta ważna komunikacyjnie miejscowość na drodze państwowej nr 13 - połączenie z Cherbourga przez Carcntan do Paryża - dostała się w ręce przeciwnika. Ta przewina pewnego porucznika artylerii przeciwlotniczej miała się gorzko zemścić. Pozwoliło to amerykańskiej operacji powietrznodesantowej osiągnąć pierwszy, decydujący sukces.

Niewiele lepiej niż 82 dywizji powietrznodesantowej generała Ridgwaya, poszło 101 dywizji i powietrznodesantowej generała Taylora. Straciła bowiem 30 procent swego stanu osobowego i 70 procent wyposażenia. „Szparagi” Rommla, owe pale wbijane w ziemię, stały się dla wielu szybowców transportowych ich przeznaczeniem. Maszyny rozbijały się, taranowały swoje nosy w ogrodach i na łąkach. Łamały się na żywo płotach i parowach. Jednostki w małych grupach usiłowały osiągnąć swoje rejony walki lub dotrzeć do wybrzeża. Biły się wszędzie z niemieckimi patrolami. Zdobywały wioski i kwatery sztabowe. Brały jeńców lub dostawały się do niewoli.

Żaby spod Marcouf

Decydującym punktem ciężkości niemieckiej obrony na wschodnim wybrzeżu półwyspu Cherbourg była ciężka bateria marynarki Marcouf. To był pokazowy odcinek Wału Atlantyckiego pomyślany jako obrona morska. Baterię tworzyły cztery długolufowe działa kalibru 210 mm, sześć armat przeciwlotniczych kalibru 75 mm i jedno działo kalibru 150 mm. Niestety ta potężna pozycja zaporowa położona za plażą Madcleinc 6 czerwca 1944 r. nie była jeszcze gotowa. Niemniej jednak czterystu artylerzystów marynarki wraz z ich armatami przedstawiało sobą trudną do ominięcia siłę obronną przeciwko atakom z morza.

19 kwietnia pierwsze działo baterii zamontowane w bunkrze, zostało wstrzelane. Fundamenty jednak wytrzymały. Ludzie kiwali głowami. Następnego dnia rozpoczęła się dla baterii wojna. Każdego wieczora od strony zachodzącego słońca nadlatywały bombowce z Anglii i pastwiły się nad pozycją. Wrzucały swoje jaja we wciąż na nowo tworzone leje bombowe. Ale tych czterystu żołnierzy z Mar-couf, pozbieranych do kupy z wielu jednostek, z których większość miała powyżej 38 lat, nabierało powoli swoistego, na przekór panującym warunkom poczucia wspólnoty losu. Rozbudowywali swoją pozycję pomimo ataków lotniczych. Zawzięcie wkopywali szparagi Rommla. Rozwijali zasieki z drutu kolczastego. Budowali bunkry. Kładli miny na wydmach i zasiewali na tym trawę. Pracowali w słonecznym żarze plaż, ponad którymi wiała bryza. Poprzecznie sunące fale morskie, rozbijając się o brzeg, wystukiwały swój odwieczny rytm.

Los, los"* było utartym zwrotem szefa kompanii. „Los! Los!" Ale tym spo-obem nie przybywało więcej betonu. Nie nadciągały z odwodem armaty. Nie było wystarczającej ilości amunicji i ani dostaw stalowych otworów strzelniczych do bunkrów, do szczelin obserwacyjnych na stanowiskach kierowania ogniem.

- Miejmy nadzieję, że tamci poczekają, aż wreszcie będziemy gotowi - zwykł był mawiać niemal co wieczór wysoki jak tyka starszy szeregowiec Hermann Nissen. Nie wiedział, że tamci po dmגיעj stronic kanału czekają tylko na jedno: na odpowiednie stadium księżyca i na sprzyjający czas odpływu i przyływu. A ten właśnie nadszedł.

5 czerwca 1944 r. zachodzi słońce i nie towarzyszy temu równoczesne wołanie: „Alarm lotniczy!" To od tygodni pierwszy wieczór, w którym nic nadlatują bombowce.

Obsługa baterii, oddychając z ulgą, idzie do kwater miasteczka Marcouf i wioski Crisbecq. Od 19 kwietnia utrzymywał się taki stan, że bunkry na stanowisku dają schronienie i miejsce tylko obsłudze obu zamontowanych armat i dział przeciwlotniczych.

Wartownik, szukając ochrony, ustawia się w martwym kącie bunkra. Z dala dochodzi lekkie dudnienie. Prawa ręka Karla Sellowa sięga po główkę fajki. Potem żołnierz zaciąga się głęboko i po chwili wydmuchuje dym w nocne powietrze.

Godzina 23.00. Jeszcze tylko 60 minut, potem przyjdzie zmiana. Ale co to jest z tym dudnieniem od zachodu? Czyżby bracia chcieli tym razem nadlecieć z innej strony? „Ta chatka będzie jeszcze domem czarownicy!" A noc zaczęła się tak pięknie i spokojnie!

„Alarm lotniczy!" A więc jednak! Dudnienie nagle przechodzi w orkan. I to będzie najfatalniejsza noc, jaką miało przeżyć Marcouf. Atakuje ponad sto samolotów. Alianckie dzienniki wojenne wykazują, że na teren baterii zrzucono 600 ton bomb. Sześćset ton!

To szaleństwo ognia trwa całe trzydzieści pięć minut. Rozbitych zostaje wszystkich sześć dział przeciwlotniczych. Teren jest dosłownie przeorany.

Tuż po północy na stanowisko dowodzenia Ohmsena wpada łącznik z zameczku St. Marcouf. Podenerwowany. Błady z przerażenia: - Panie poruczniku, zamek został trafiony. Pomieszczenia są zniszczone. Wielu ludzi zasypanych. Ruiny płoną. Mamy zabitych i rannych.

Ohmsen truchleje. Jeszcze tylko tego brakowało! - Poruczniku Grieg - zwraca się do oficera ogniowego baterii - niech pan weźmie ludzi jacy są do dyspozycji Niech pobiorą łopaty i szpadle. I niech się pan pospieszy, nic możemy sobie pozwolić na dodatkowe straty.

Porucznik Grieg nie traci czasu. W wielkim pośpiechu wybiegają w noc. Ale nie uszli zbyt daleko. W baterii tymczasem trwa naprawa dwóch dział przeciwlotniczych, aby były sprawne w razie potrzeby. Ludzie Griega wkrótce wracają.

* Można to byto przyjąć jako nakaz „szybciej, szybciej”

Azeville i Marcouf znajdowały się w centrum pierwszych walk na półwyspie Cotentin

- Co się stało?

Grieg podbiega do Ohmsena: - Panie poruczniku, zostaliśmy ostrzelani. Przypuszczam, że przez nieprzyjacielskich strzelców spadochronowych.

- Strzelcy spadochronowi? - mówi z powątpiewaniem Ohmsen. - Utworzyć grupę uderzeniową i wyjaśnić sytuację!

Dowódcą porucznik Grieg. Do tego dwóch podoficerów i dwudziestu ludzi. Uzbrojenie w pistolety maszynowe i granaty ręczne.

Pierwsza godzina krwawego 6 czerwca 1944 r., owego historycznego wtorku, tym samym zaczęła się także w Marcouf. Żołnierze grupy ostrożnie, po omacku, wychodzą w noc. Cisza. Tylko tu i tam żaba rechocze w bagnistym terenie. Po drugiej stronie odpowiadającej dwie inne. Tuż obok starszego szeregowca Alberta Mullera głośno i żwawo rechocze jeszcze inna. To dziwne, myśli porucznik Grieg, nigdy nie było tu tyle żab.

Grupa uderzeniowa rozsypuje się. W tej samej chwili na prawym skrzydle jest głośno: - Stać, nie ruszać się! - słychać wołanie tego na skrzydle. Potem coś się nagle wali, docierają jęki. Grieg biegnie w ciemność. - Co się stało? - szepcze. - To Amerykanin - odpowiada ktoś przyciszonym głosem. - Tu leży. Herrmann i Muller go załatwili. To on rechotał jak żaba za pomocą grzechotki, wygląda na to, że jest to sygnał rozpoznawczy dla jego kolegów. Kiedy usłyszał niemieckie słowa, to chciał uciekać, ale Muller zarzucił mu pistolet na hełm. Teraz klęczy obok niego. W ręku trzyma blaszaną grzechotkę. Naciska. „Kwak”, to działa. Naciska jeszcze raz: „Kwak!” Z bagna nadchodzi odpowiedź. I w tym momencie zrodził się ich podstęp. Nadal naciskając na grzechotkę, skradają się do odpowiadających im żab. I tak wyciągają z bagna jednego Amerykanina za drugim. Dotąd, dopokąd rechot żab nie ustanie.

Około godziny 1.30 wraca grupa uderzeniowa. Bez strat. Każdy prowadzi z sobą jedną „żabę”: w sumie 20 jeńców. Doprawdy obfita zdobycz. - Kwak, kwak - śmieje się porucznik Grieg. Potem zamykają Amerykanów w pustym bunkrze.

Byli to żołnierze należący do pięciu jednostek transportowych amerykańskiego 502 pułku strzelców spadochronowych, wśród nich znajdował się dowódca kompanii wraz ze swymi żołnierzami. Pozostałych stu ludzi, którzy zdążyli się już przebić przez bagna aż pod Marcouf bądź lądowali w środku wsi, próbowało się teraz uformować do ataku na stanowisko baterii.

Zeznania jeńców pozwoliły stwierdzić, że ta grupa bojowa miała zadanie zajęcia stanowiska 1 baterii 1261 pułku artylerii, porucznika Erbena, pod Saint Mar-tin-de-Varreville, siedem kilometrów na zachód od punktu oporu W 5.

Czy to z racji pomyłki, czy też z powodu wygodnictwa woleli atakować Marcouf. Oficer łącznikowy 2 batalionu 919 pułku piechoty na czele szybko sformowanej 8-osobowej grupy uderzeniowej wyprowadził Amerykanów z miejscowości Mar-couf i z drogi z powrotem na bagniste bezdroża.

Ohmsen i jego oficerowie zrobili wielkie oczy na widok wyposażenia odebranego przeciwnikowi: mała radiostacja i telefon razem, wielkości lampki kieszonkowej. Kompas w formie guzików przy bluzie. Nowy Testament wydany drobnym drukiem. I jedwabne szaliki z wydrukowanymi na nich mapami. Mapy te to okazy najbardziej interesujące. Były na nich nawet łąki na zapleczu, z zaznaczonymi szparagami Rommla, nawet tymi postawionymi w ostatnich dniach. Co więcej: Ohmsen nic miał ujętych współrzędnych topograficznych swych gniazd karabinów maszynowych, a Amerykanie na podstawie zdjęć lotniczych mieli je do-

kładnie wymierzone i zaznaczone na mapach naniesionych na jedwab. Ohmsen i jego ludzie nabrali złego przeczucia na myśl o tym, co ich czeka.

Na sąsiednim punkcie oporu Azcville, cztery kilometry w głąb lądu, kolo 9 baterii 945 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych, z jej czterema armatami kalibru 122 mm, wbudowanymi według zasad fortecznych, też jest ruch. Porucznik Kattnig, oficer ogniowy baterii i dowódca punktu oporu, siedział właśnie w swym bunkrze pilnie zajęty pisaniem listu, kiedy wartownik przy działach plot. ogłosił alarm lotniczy. Wybiega z bunkra i mocno się dziwi, widząc całe formacje samolotów transportowych wypluwające skoczków spadochronowych.

- Dowolny ogień ze wszystkich luf! - wydaje rozkaz. Wtedy w dosłownym tego słowa znaczeniu spada przed nim nagle jakiś człowiek z nieba. Kattnig biegnie na stanowisko dowodzenia i wyciąga pistolet i przystępuje na linkę spadochronową. Skoczek jest absolutnie zagubiony i podnosi ręce: amerykański oficer.

Żadnych informacji. Jest uparty i pozwala się zamknąć w bunkrze dla szeregowych. Ale na zewnątrz przed drutem kolczastym punktu oporu zaczyna się strzelanina.

Kattnig nic dostaje połączenia z dywizją przewodem bezpośrednim. Musi to robić poprzez stanowisko B*, które się znajduje w baterii Marcouf.

W międzyczasie przychodzi porucznik Hansjörg Habel z sąsiedniej baterii z garstką ludzi. Bateria leżała na stanowiskach polowych i lądowanie szło bezpośrednio na obóz namiotowy. Załoga została wystrzelana przez Amerykanów. To, co mówił Habel, nic nastrajało żołnierzy z Azeville pokojowo. -Tutaj nie wejda-takie padło hasło, które starszy sierżant Louis Schirger rozgłaszał potem wszem wobec, wyraźnie i jednoznacznie.

Merville, kosztowna pomyłka

Brytyjczycy także mieli swoje Marcouf. Nazywało się Merville. Kiedy podpułkownik Terence Otway został na początku grudnia 1943 r. wezwany do swego dowódcy dywizji, generała Richarda Gale, nigdy przedtem nie słyszał o miejscowości Merville. Ale wkrótce potem był już tak obeznany z tą dziurą, jakby tam spędził całe swoje życie.

W Merville, na wschód od rzeki Orne, dwa i pół kilometra od wybrzeża, stała bateria 1716 pułku artylerii z obsługą liczącą 130 ludzi. Alianckie rozpoznanie, opierając się na meldunkach agentów było przekonane, że ta bateria jest wyposażona w działa 150 mm i tym samym stanowi zagrożenie dla planowanego desantu morskiego brytyjskiej 3 dywizji w rejonie Ouistreham-Lion. „Bateria ta musi

* Stanowisko obserwacyjne.

Te ciężkie działa kolejowe czekały na inwazję w najwęższym miejscu kanału La Manche na Cap Gris Nez koło Calais. Lecz na próżno. Eisenhower wybrał na cel lądowania Normandię.

Na jednym ze stanowisk dowodzenia artylerii marynarki: działania nocne przeciwko nadlatującym nieprzyjacielskim formacjom bombowców. Oblicza się kurs i prędkość bombowców. Dane te przekazywane są następnie do baterii.

Tak wzbudzające postrach alianckie samoloty myśliwsko-bombowe widziały swój rejon celów poza frontem. Widoczne są skrzyżowania dróg, urządzenia dworców kolejowych, mosty i fabryki.

Zapory Rommla na plaży. Na tym odcinku widoczne są katartry i pale z przymocowanymi minami. W czasie przyływu znajdowały się pod wodą. Ale lotnictwo alianckie sfotografowało je przy odpływie i często lotem koszącym atakowało - jak na zdjęciu - saperów niemieckich pracujących przy palach.

Rommel niezmordowanie doglądał umocnień nadbrzeżnych, W 1943 r. jest w baterii BROM-MY w Cherbourgu.

Stoją od lewej: Kapitan portu Górges, feldmarszałek Rommel. admirał Ilennecke. admirał Ruge. komandor podporucznik 1-romme.

(icnarul R. Ciale. Dowodził brytyjską 6 dywizją powietrznodesantową.

Niemieccy strzelcy spadochronowi bili się / Amerykanami na ich pierwszym przyczółku lądowania „Utah”. Amerykańskie i brytyjskie dywizje powietrznodesantowe lądowały za niemieckimi pozycjami na olbrzymich drewnianych szybowcach transportowych i na spadochronach. Celem tych działań było ubezpieczenie obu skrzydeł frontu inwazyjnego. Amerykanie wysadzili z powietrza 17 tysięcy ludzi. Straty niektórych dywizji wyniosły 60 procent.

brytyjscy strzelcy spadochronowi, rzy lądowali nad Orne i Dives.

któ-

Tak amerykańscy GI's ćwiczyli na angielskim wybrzeżu. Wychodząc z nowoczesnych okrętów desantowych, biegiem i z okrzykiem „hurra!” atakowali nieprzyjaciela (zdjęcie górne). A tak wyglądała rzeczywistość na „bloody Omaha” - na „krwawej plaży Omaha” (zdjęcie dolne).

Jedną z przykrych niespodzianek dla niemieckiej obrony były alianckie, pływające baterie rakietowe. Okręty rakietowe podpływały w pobliże wybrzeża i wyjąłymi salwami ostrzeliwały bunkry i umocnienia ziemne. Alianckie samoloty szturmowe także były uzbrojone w rakiety. Zdjęcie pokazuje niemiecki (trał przeciwminowy) Sperrbrecher 5 „Scliwanhcim” w porcie Royan znajdujący się pod bombami i ostrzałem z broni pokładowej. Z prawej strony widać lecące do celu cztery rakiety wystrzelone z samolotu myśliwsko-bombowego. być zlikwidowana przed lądowaniem”, brzmiał rozkaz. Uruchomiono znaczne siły, ażeby przed lądowaniem z morza zmusić do milczenia Merville. Rozkaz do załatwienia tej sprawy otrzymał podpułkownik Otway, dowódca 9 batalionu strzelców spadochronowych brytyjskiej 6 dywizji powietrznodesantowej. To była bitwa sama dla siebie. Kosztowna, obfitująca w straty, w zasadzie niepotrzebna, ale wiele razy wymieniana w historii wojny i aż do dnia dzisiejszego, nawet w najnowszych publikacjach angielskich i amerykańskich, ukrywana. Dlatego warto się nią tutaj zająć.

Ogólny plan wyglądał tak: wzmocniony batalion Otwaya, w liczbie 750 ludzi, miał na krótko przed godziną 1.00 wyskoczyć w rejonie pomiędzy Merville i Gon-neville, zebrać się w ustalonych miejscach i potem o wyznaczonej godzinie zająć punkt oporu. Przeprowadzenie akcji starannie przemyślano, niczym nowoczesną bitwę traperów z Indianami. Punktem kulminacyjnym było niespodziewane lądowanie komanda, liczącego po 60 ludzi w każdym szybowcu transportowym wewnątrz terenu zajmowanego przez baterię, w momencie kiedy z zewnątrz nastąpił atak grup uderzeniowych.

Rozpoznanie lotnicze doniosło, że punkt oporu otoczony jest przeszkodą z dnu kolczastego szeroką na pięć metrów i wysoką na 1,5 metra. Do tego dochodzi pas minowy szerokości dziesięciu metrów. Potem znów idzie przeszkoda z drutu kolczastego. Na tym nie koniec, zabezpieczenie obejmowało jeszcze pas minowy szerokości stu metrów, otoczony drutem kolczastym. Od strony morza nie było obrony przeciwpancernej.

Punkt oporu posiadał też jednoosobowe punkty obronne i połączone punkty obronne na plaży. Z czterech dział bunkrowych tylko to wysunięte najdalej na wschód było przystosowane do strzelania na wprost. Baterię zabezpieczały automatyczne środki ogniowe. Automatyczna, 20 mm armata stała na dachu jednego ze schronów, w środku baterii, przeznaczona do zwalczania celów powietrznych i naziemnych.

Pozycja zgodnie z planem alianckim miała być bezwarunkowo obezwładniona przed lądowaniem z morza. Dlatego też podpułkownik Otway otrzymał rozkaz: baterię należy zdobyć najpóźniej do godziny 5.15. Jeśli się to nie uda, to o godzinie 5.15 flota zacznie ją ostrzeliwać. Tak poważnie traktowano Merville.

Umieszczenie baterii na skrzyżowaniu dróg, na otwartym polu, nie stanowiło dobrej przesłanki do maskowania. Głębokie rowy przeciwpancerne tego punktu oporu wyraźnie zwracały uwagę alianckiego rozpoznania lotniczego. Przez wielokrotne przelatywanie nad obiektem można było ustalić przebieg prac obronnych. Kiedy w końcu marca zdjęcia pokazały dwa gotowe bunkry działowe i dwa inne w budowie, to zaczęło się rozrzutne bombardowanie. Interesujące są dokładne wyniki tych nalotów: z około tysiąca wybuchów bombowych tylko 50 wylądowało na terenie zajmowanym przez baterię. I dokładnie tylko dwa z nich trafiły w cele, które należało trafić, mianowicie stanowiska dział.

Żaden jednak nie dokonał przebiecia! Doskonały przykład na rozrzutność bombardowań dywanowych na punktowe cele betonowe usytuowane w terenie.

Podpułkownik strzelców spadochronowych Otway miał 29 lat. Jego batalion w składzie 35 oficerów i 600 szeregowców uchodził za jednostkę, elitarną. Był on wzmocniony jedną kompanią wybranych kanadyjskich strzelców spadochronowych. Wszystkich razem było 750 ludzi.

Żołnierze Otwaya przez dwa miesiące, w pocie czoła, ćwiczyli w Anglii swój przewidywany atak. Zbudowali sobie model, na którym nie brakowało nawet krów i każda droga polna była dokładnie zaznaczona buldożerem. Ćwiczyli. Dzień i noc. Ciągłe i nieustannie to samo. I wciąż od nowa, skomplikowany przebieg lej akcji. Każdy znał swój manewr i swoją drogę: patrol rozpoznawczy, grupa do rozcinania zasieków z aparatami do wykrywania min, która miała oznaczać drogą przez pola minowe i zasieki z drutu kolczastego. Kompania saperów miała torować przejścia przez przeszkody. Grupa uderzeniowa miała wylądować na trzech samolotach ślizgowych w chwili szturm na punkt oporu, aby zdobyć działa z zaskoczenia. Do tego dochodziły dwa patrole rozpoznawcze z dwoma podoficerami mówiącymi po niemiecku, którzy mieli wprowadzać zamieszanie przez wydawanie fałszywych rozkazów.

Wyposażenie grupy szturmowej było równie rozrzucone jak samo planowanie. Zastosowano wszystkie osiągnięcia techniki wojennej: miotacze ognia, działa przeciwpancerne, ładunki skupione, specjalne tyczki wybuchowe, sanitarkę., mikrofony, megafony itd.

Aby skruszyć niemiecką obronę i w możliwie dużym zakresie uszkodzić zapory, a przede wszystkim rozbroić pola minowe, wykorzystano 109 ciężkich bombowców typu Lancaster, które między godzinami 0.30 a 0.40 zrzuciły na baterię 382 tony bomb, w tym także kalibru zbliżonego do 2 ton, których zadaniem było zwalczanie umocnienia. Pod ochroną tego bombardowania miało się odbyć lądowanie. W czasie gdy batalion się zbierał, rozpoczęła pracę tak zwana grupa rozcinająca, wraz z grupami usuwania min. Należało wyłamać trzy przejścia w polu minowym i oznakować je. Dowódca pododdziału rozpoznawczego miał zadanie zorientować przez radio dowódcę batalionu o sytuacji na placu do lądowania. Sygnałem do szturm miał być głos trąbki. Grupa szturmowa jako znak rozpoznawczy nosiła na piersiach fosforyzującą trupią główkę ze skrzyżowanymi pieszczelami.

Dla grupy uderzeniowej atakującej z powietrza opracowano drobiazgowy harmonogram z minutowym podziałem czasu. Przewidywał on:

Godzina 3.24 - na wysokości 2000 metrów nad pozycją niemieckiej baterii samolot holujący odczepia szybowca transportowego z komandem uderzeniowym i nadaje sygnał świetlny.

Między godziną 3.25 a 3.30: na sygnał trąbki „Reveille” (pobudka) moździerz wystrzeliwuje granat świetlny w kierunku stanowiska baterii w celu ułatwienia lądowania.

Godzina 3.28: na sygnał „Zbiórka” ogień zostaje przerwany, z wyjątkiem strzelania granatami świetlnymi i ognia prowadzonego przez grupę dywersyjną. Godzina 3.30: sygnałem „Cisza” przerwaniu strzelania granatami świetlnymi. Tadaż pierwszy samolot ślizgowy. Poderwane zostają ładunki na przeszkodach.

Szturm-

Taki był plan.

A przebiegało to tak: na krótko przed północą grupy lądująca i rozpoznawcza opuściły Anglię. Przed nimi, dudniąc, sunęły bombowe Lancastery. Ale właśnie ten pierwszy punkt nic wypalił. Atak bombowy na baterię poszedł obok. Zamiast dział i pól minowych zrównano z ziemią wioskę Gonnevillc. Grupa rozpoznawcza skakała w to bombowe szaleństwo i ledwie-ledwie uniknęła zagłady.

Podpułkownik Otway i siły główne nic przeczuwali niczego złego. Wszyscy mieli pewność, że po tylu próbach i tak szczegółowym planowaniu akcja nie może się nie udać. Aż tu nagle stwierdzili, że zapomnieli o czymś dość istotnym: że Niemcy też mogliby strzelać. I właśnie to robili! Za pomocą dział przeciwlotniczych kalibru 88 mm. Dlatego wielu pilotów manewrując między ostrzałem wykonywało karkołomne uniki. W transportowcach stawało się nieciekawie. Ciężko obciążeni strzelcy spadochronowi przewracali się wewnątrz maszyn jeden na drugiego. Wyskakiwali z maszyn nic bez trudności. Niektórzy polecili za daleko na wschód. Wiele samolotów pomyliło rejony lądowania. Szybowiec z ciężkim materiałem specjalnym został odczepiony już nad kanałem i runął w morze. Strzelcy spadochronowi opadli na ziemię w dalekim rozrzucie. Ci najdalsi w odległości 50 kilometrów od celu! Tylko mniejszość wylądowała na ustalonym miejscu.

Podpułkownik Otway co prawda dobrze wylądował, na próżno jednak czekał na swój batalion. Po upływie półtorej godziny było obok niego zaledwie 150 szczęśliwców. 150 spośród 750! Brakowało 600. Pomimo to Otway postanowił atakować. Cecha znamionująca upór, dzielność i dyscyplinę tego człowieka. Oczywiście cały plan musiał zostać gruntownie zmieniony. Fakty dyktowały teraz przebieg akcji. Spośród komandosów stojących do dyspozycji utworzono dwie grupy po 15 ludzi, które miały dokonać wyłomu w przeszkodach; cztery grupy szturmowe po 12 ludzi miały atakować w kierunku pozycji wyczekiwania.

Zebrali się ostrożnie w rowie na skraju pola ze zbożem, w odległości 500 metrów od punktu oporu baterii.

Była godzina 3.30. Na stanowisku dowodzenia baterii upłynęło już sporo czasu od otrzymania rozkazu alarmowego od dowódcy artylerii dywizyjnej. Dowódca baterii i oficer ogniowy baterii podwoili posterunki

wartownicze. Wykryli też ruch w terenie. Sygnał alarmowy objął całą pozycję. Karabiny maszynowe baterii zaczęły terkotać.

W tej samej chwili nadleciały szybowce transportowe z grupą uderzeniową. Samoloty holujące błysnęły swoje sygnały, że lina zostaje odczepiona. Szybowce krążąc schodziły milcząco w dół. Jeden ślizgiem przeleciał na wysokości 30 me-

en

trów nad pozycją baterii. 20 mm działko przeciwlotnicze punktu oporu baterii zaczęło ujadać na dachu bunkra dla szeregowców obsługi. Pociski świetlne pruły w brzuch szybowca. Dym wydobywał się na zewnątrz. Wielki ptak zrobił zwrot i daleko z tyłu wałnął w ziemię. Drugi także stał się widoczny. Ale Otway nie miał moździerza do oświetlenia terenu baterii, więc pilot przyjął płonąca wieś Merville za miejsce lądowania i uchodząc spod ognia zszedł na ziemię ze swoim komandem siedem kilometrów dalej. Po trzecim szybowcu ślad zaginął. Był po tamtej stronie w Anglii, przez pomyłkę wylądował po niewłaściwej stronie kanału.

A więc z zaskakującego uderzenia nic nie wyszło. W tym momencie Otway wydał swym żołnierzom rozkaz do szturmowania. Ładunki wybuchowe poleciały na przeszkody. Grupy szturmowe strzelając szły na punkt oporu. Długi czas oczekiwania, ciągle alarmy także w Merville wzbudziły czujność niemieckiej załogi. Główne wejście na teren baterii było tylko doraźnie zabarykadowane. Tak więc małemu pododdziałowi Tommies udało się szybko wtargnąć do baterii. W tej samej chwili pod wejście do punktu oporu podjechał kapral Windgassen z patrolem rozpoznawczym dywizjonu artylerii przeciwlotniczej wojsk lądowych. Bateria 20 mm dział przeciwlotniczych znajdowała się w marszu z miejscowości Franceville do Caen i dostała się w obszar brytyjskiego lądowania. Dowódca baterii zdecydował się jechać do Merville. Windgassen z pięcioma żołnierzami wykonywał rozpoznanie. Całkowicie zaskoczeni, mogli tylko przed szlabanem podnieść ręce do góry przed Anglikami. Kapral-sanitariusz Kurt Richter miał niebawem sporo roboty.

Windgassen, będąc w bunkrze ze swoimi razem z rannymi Tommies, mógł tylko słyszeć hałas bitewny dochodzący z punktu oporu. Ich niemieccy koledzy bili się tymczasem z brytyjskimi komandosami z grupy uderzeniowej, którzy na tyłach punktu oporu wylądowali na szybowcu transportowym. W bunkrach działowych niemieccy artylerzyści bronili się w krwawych starciach wręcz. W dwóch bunkrach działowych tylne drzwi stalowe były otwarte, tak że Anglikom pozostało tylko wrzucić tam ładunki skupione.

Po 30 minutach było po wszystkim. Żołnierze Otwaya byli zwycięzcami. Dwudziestu dwóch Niemców, wszyscy ranni, zostało jako jeńcy wypędzonych z pozycji. Reszta załogi, stu ludzi, poległa w walce. Ze 150 ludzi Otwaya 66 poległo na placu boju.

Drogo okupione zwycięstwo.

Wraz z sukcesem przyszło ponure zaskoczenie: bateria Merville nie miała w ogóle dział 150 mm, lecz tylko 75 mm armaty polowe. Nie stanowiła więc żadnego poważnego zagrożenia dla brytyjskiego lądowania z morza. Do ostrzeliwania celów na morzu w ogóle się nie nadawała. Planowany przez Anglików odcinek lądowania nic był z.

baterii widoczny, z jej zasięgiem ognia do siedmiu kilometrów mogła tylko wziąć pod ostrzał wschodnią część wybrzeża. Pomyłka. ogromna pomyłka, stanowiła siłę napędową planistów operacji na Merville. Całe to pełne ofiar przedsięwzięcie, było tylko pomyłką- taką, jaką, często zdarza się na wojnie.

Armaty ze swoich stanowisk nie mogły w ogóle strzelać w kierunku lądu, chyba żeby się je wytoczyło z bunkrów. Całe to urządzenie było przygotowywane do obrony przed atakiem czołgów od strony morza.

Angielskie planowanie nie uniknęło jeszcze jednego błędu w swych obliczeniach.

Po zajęciu baterii podpułkownik Otway wystrzelił umówiony sygnał świetlny, że bateria jest wzięta, nic otrzymał jednak żadnego potwierdzenia, że samolot rozpoznawczy zrozumiał jego sygnał. Dlatego też wycofał się z punktu oporu, aby nie paść ofiarą własnej artylerii okrętowej. Wkrótce potem kontruderznic niemieckiej grupy bojowej z 736 pułku grenadierów odbiło Merville z powrotem.

Okazało się, że Tommies w podnieceniu zaniedbali sprawą zniszczenia armat. Urządzenia baterii nic były całkiem unieszkodliwione, zostały więc prowizorycznie znów naprawione.

Niemieccy grenadierzy bronili się także w następnym dniu, 7 czerwca, przeciwko brytyjskiemu komando, które miało zadanie oczyszczenia terenu. Trzymali się twardo, ale zostali pokonani. Ponowny niemiecki kontratak z udziałem dział pancernych sprawił, że punkt oporu znalazł się znów w rękach niemieckich. Do początku lipca zmieniał on jeszcze kilkakrotnie rezydenta. Walczono o ten punkt zaciekle. Jego teren przesiąknięty był krwią, ponieważ na wojnie jedna krwawa pomyłka pociąga za sobą dziesięć innych.

W 5 prowadzi „dowolny ogień”

Dnieje. Z nocnych ciemności wyłaniają się żywopłoty Cotentin i sady jabłoni. Ale żadnemu żywopłotowi ani ogrodowi nic można ufać, ani żadnemu polu poroślemu zbożem.

Rozproszeni strzelcy spadochronowi leżą w swoich kryjówkach i są w sytuacji „spłoszonych królików”. Patrole popadłych w nieład niemieckich batalionów rezerwy, w rejonach zrzutów pod Sainte Merc-Eglisc lub w rejonie Ranville na wschód od Orne siedzą jako ubezpieczenia w polach ze zbożem i przy wylotach dróg.

- Jedźcie szybciej - mówi generał major Falley do swego kierowcy. - Robi się dzień.

- Zaraz będziemy, panie generale - uspokaja go major Bartuzat. Pędzą z powrotem drogą Coutances-Periers-Etienville.

Przed sześcioma godzinami generał Falley i jego szef oddziału logistyki wyjechali ze stanowiska dowodzenia 91 dywizji powietrznodesantowej w Picauville, aby na czas zdążyć na ćwiczenia sztabowe 7 armii w Rennes.

Nieprzerwane naloty bombowe zaniepokoiły generała. Ten doświadczony wykładowca szkoły

wojennej i oficer frontowy nie wnioskował niczego dobrego, kiedy samoloty nieprzyjacielskie lecąc na tyły, pędziły nad jego głową. Sygnały świetlne samolotów naprowadzających dawały powód do myślenia.

- To nie jest żaden rutynowy atak Bartuzat - powiedział do swego szefa louistyki. I w tym momencie warkot bombowca zagłuszył silnik samochodu.

Falley nie wiedział, że nadlatywała 8 flota powietrzna Leigh-Mallory'ego, wioząca 3000 ton bomb, którymi miała utorować drogę siłom inwazyjnym. Składała się ona z trzech dywizji bombowców strategicznych. W sumie były tam 1083 samoloty B 17 i B 24 oraz 1347 myśliwców osłony. Nic przypuszczał, że nic będzie mógł tych samolotów policzyć, ale przeczuwał, że zbliża się coś nadzwyczajnego. Wiedział też, że tej armadzie można było przeciwstawić tylko około 320 niemieckich samolotów.

Zaciskało mu gardło na myśl o tych paru tuzinach niemieckich myśliwców.

- Zawrócić - rozkazał swemu kierowcy. - Z powrotem na stanowisko dowodzenia!

Samochód pędzi drogami departamentów Ille-et-Vilaine i Manche w kierunku Chateau Haut, na północ od Picauville. Z dala dochodzi ich hałas bitewny, a nad sobą słyszą warkot silników. Z tyłu w rejonie Carentan-Bayeux-Caen i na wybrzeżu trwa prawdopodobnie najcięższe bombardowanie lotnicze. Horyzont zasłoniły dymy i wybuchy.

Samochód zjeżdża z głównej drogi. Tam dalej widać zamek. Ale czy to nie ogień karabinów maszynowych? Czy to nie trzaskają pistolety maszynowe? Falley wyciąga pistolet. Wyskakuje z wozu. - Ostrożnie! - woła major Bartuzat. Za późno!

-*Hands up*\ - krzyczy człowiek z MPi gotowym do strzału. Generał oddaje dwa strzały ze swego pistoletu Walther. Potem terkocze MPi. Seria zwala Falleya i Bartuzata z nóg. Bitwa we Francji rozpoczęta o świcie 6 czerwca ma swego pierwszego poległego generała.

Dowódca 91 dywizji powietrznodesantowej padł, zanim zdążył wydać choćby jeden rozkaz.

Porucznik Jalinke w punkcie oporu W 5 także słyszy ryk bombowców. Jego stanowisko bojowe to nie żaden bunkier, tylko dół wykopany w piasku za ścianą pancerną i przykryty deskami oraz naciętą darnią. Morze nasyczone wilgocią błyszczy szarością na linii horyzontu. Sierżant Hein idzie wzdłuż transzei.

- Mam niedobre przeczucie, panie poruczniku - powiada. - Czy nic powinniśmy kazać ludziom iść na stanowiska bojowe?

- Dlaczego? - pyta Jahnke. - Nawet jeśli się zacznie inwazja, (o najpierw będą przecież bombardować i ostrzeliwać z artylerii. A więc lepiej zostawić ludzi w bezpiecznym miejscu tak długo jak to możliwe.

Hein przytakuje.

- Poza tym, niech pan wyda ludziom dzienną rację specjalną! - rozkazuje Jahnke. - Jedzenie jest jeszcze dobre; i w magazynie jest go dosyć, co najmniej na tydzień.

To był punkt oporu W 5, liczący 400 m długości, 300 m głębokości. Przy odpływie plaża miała 800 m szerokości. Podczas przyływu woda dochodziła do zasieków z drutu kolczastego. Przeszkody w wodzie: stalowe jeże i tarany. A) Pozycja od strony morza. B) Pozycja od strony lądu. 1. Zdobywczy karabin maszynowy w kopule pancernej. 2. Stanowisko dowodzenia z lornetą nożycową. 3. Kamienny barak z kwaterą oficerską, centralą telefoniczną, jadalnią i pomieszczeniem z natryskiem. 4. Zapory drogowe z bloków betonowych. 5. Moździerz 80 mm na stanowisku betonowym. 6. Bunkier wzmocniony - barak sanitarny. 7. Ciężki karabin maszynowy. 8. Forteczny miotacz ognia. 9. Miotacz ognia - stanowisko kierowane. 10. 50 mm armata czołgowa. 11. 75 mm armata polowa. 12. 75 mm armata przeciwpancerna. 13. 88 mm armata przeciwlotnicza. 14. 50 mm armata czołgowa. 15. Kuchnia. 16. Schron przeciwlotniczy. 17. Goliaty. 18. Mur przeciwpancerny. 19. Umocnione ziemianki, flanki i stanowiska lądowe zabezpieczone przez zasieki z drutu kolczastego i miny.

We wzorowym szyku niczym na ćwiczeniach, poprzedzana dudnieniem nadlatuje od strony morza nowa fala dwusilnikowych bombowców. - Lecą na północ od punktu oporu - mruży do siebie Jahnke. Ale ledwo to wypowiedział, ogarnęło go przerażenie. Pierwsza fala właśnie skręca i leci dokładnie wzdłuż plaży, na punkt oporu W 5.

I już są. Jahnke wciska się w przygotowane ukrycie. Za pomocą lornetki śledzi te olbrzymie ptaki. A jednak! Powstają leje bombowe. Ściany opadają jak poruszane rękami upiórów. A zaraz potem koziołkują bomby w swoim charakterystycznym chybotliwym locie.

Gwizd.

Lornetka na bok, a głowa w ziemią.

Ryczące piekło. Błyski. Płomienie. Smród. To było po tej stronie drogi asfaltowej, rejestruje Jahnke. Ale oto, rycząc, zbliża się następna fala. Piorunujące eksplozje.

To po drugiej stronie drogi - konkluduje.

I kiedy następna maszyna znów zrzuca swój ładunek po tej stronie drogi, to gwizd niesie się wprost na dołek Jahnkego. Coraz głośniejsze. Przeszywa na wskroś. I jeszcze trochę. Wreszcie stało się. Jakaś olbrzymia dłoń chwyta podporucznika i rzuca nim pod ścianą jego kryjówek. Rzuca też w niego darnią i przysypuje całą furą piasku.

Wyjść!, myśli. I wydobywa się. Plecy palą żywym ogniem. Lewe ramię jest zdrętwiałe. Ale oto nadlatuje następna fala. Jahnke przeskakuje przez wydmną piaszczystą. Wtapia się w bardzo płytki lej. Na pół świadomie wymyka się stamtąd: oni zrzucają osławione *anti-personnel-bombs*, czyli bomby z wczesnym zapalnikiem i o bardzo szerokim działaniu wybuchowym. Są one przeznaczone przeciwko wojskom w marszu lub na stanowiskach. Wyjść z tego płytkiego leja, który nie daje żadnego schronienia, mówi do siebie Jahnke. Biegnie aż do bloku betonowego, który tarasuje drogę asfaltową i z murem pancernym tworzy ochronny zakątek. Wciska się we wgłębienie w piasku, który nawiał wiatr u podnóża bloku betonowego. W ten sposób ciało chronione jest czymś w rodzaju dachu. Z wybuchami bomb miesza się teraz terkoczący, trzaskający fajerwerk.

Bunkier amunicyjny, przechodzi Jahnke przez głowę. Bunkry z amunicją idą w powietrze!

W jednej chwili jest cisza. Jahnke wygrzebuje się ze swej dziury w piasku i biegnie przez punkt oporu, który ciągle jeszcze przykryty jest dymem i pyłem.

Wszystko, co tygodniami było z mozołem kopane, jest rozgrzebane jak w dziecięcej piaskownicy. Armata przeciwpancerna kalibru 75 mm rozbita w drzazgi. Działo 88 mm uszkodzone. Dwa bunkry z amunicją poszły w powietrze. Gniazda strzeleckie zasypane.

Straty w ludziach na szczęście niewielkie, ponieważ żołnierze siedzieli w bunkrach. One też co prawda zostały trafione, ale nie przebite.

Przybiega pomocnik podoficera żywnościowego. Starszy człowiek z Ruhrpott.

- Wszystko kaput, panie poruczniku! Magazyn płonic! Wszystko kaput! -krzyczy pobladły. A zaraz potem mówi z powagą: - Musimy kapitulować, panie poruczniku.

Jahnke ma 23 lata. Ale jest doświadczonym żołnierzem frontowym, w Rosji stał się zahartowanym w boju dowódcą żołnierzy. Dostrzega narastającą panikę. A panikajest najgorszym wrogiem żołnierza. Z powodu paniki rozbito więcej punktów oporu niż z powodu broni nieprzyjacielskiej. Zna to z Rosji.

- Człowieku - mówi doń Jahnke półgłosem - człowieku, jesteście chyba nie w pełni rozumu. Gdybyśmy w Rosji chcieli kapitulować w takich sytuacjach, to

Rosjanie dawno by już tu byli. - A potem głośno zawołał: - Wszyscy rozejść się do okopów!

- Tak już jest, chłopcy - zwrócił się do tych opryskliwych lub wzburzonych żołnierzy. Większość z nich po raz pierwszy weszła w kontakt z wojenną grozą śmierci. Starzy rezerwiści, których przydzielono na wybrzeże do dywizji z wysokimi numerami, są bladzi i z oczu wyziera im strach. Ale okopują się.

Jahnke telefonuje do sąsiedniego punktu oporu W 2. Melduje się podporucznik Ritter. - Człeczce, mówi tamten - wygląda na to, jakby u was bomby leciały.

- A jak u was? - pyta Jahnke.

- Ach - odpowiada Ritter - u mnie nie dzieje się nic specjalnego. Widać z tego, że was sobie upatryyli.

Tak, upatryyli sobie W 5.

- Alarm lotniczy! - słychać podczas rozmowy.

- Ukryć się!

Od strony morza pędzi nisko nowa fala bombowców.

- Lecą tylko kilka metrów nad wodą!

Przy brzegu maszyny podchodzą w górę. Przechylają się na bok. I już coś gwizdże, jak na jakimś koncercie z piekła rodem: rakiety. Chłopaki strzelają tylko w narożny bunkier z 50 mm armatą zdjętą z wozu bojowego.

Rakiety prują w bunkier. Trzaskają w otwory strzelnicze. Lewy bunkier leci właśnie w powietrze: widać dostał pełne trafienie przez otwór strzelniczy i poszło w zapasy amunicji. Prawy tonie w dymie i płomieniach. Po skończonym ataku z obu bunkrów i armat pozostają tylko ruiny i drzazgi. Załogi są martwe lub ciężko ranne. Stało się to o godzinie czwartej rano.

Okrzyki wzywające sanitariusza rozlegają się po całym terenie punktu oporu. Hoffmann biega po wydmach z noszami.

To był atak artyleryjski z powietrza. To była klasyczna bitwa materiałowa drugiej wojny światowej. W sumie lotnictwo alianckie wykonało 6 czerwca 10 743 loty bojowe i zrzuciło 11912 ton bomb - to znaczy tyleż ton śmierci i cierpień. Tym samym w ciągu kilku godzin na niemieckie urządzenia obronne w Normandii spadł taki

sam ładunek bomb, jak w ciągu całego 1943 r. na Hamburg, najbardziej wtedy bombardowane miasto Niemiec. Hamburgczycy, którzy przeżyli noce śmierci w Hammerbrook, Hamm czy Rothenburgsort, drżeli w schronach ze strachu przed kulami piekła, które pochłonęło 40 000 ofiar, mają wyobrażenie o tym, co przeżyli niemieccy żołnierze rankiem 6 czerwca 1944 r. w gniazdach karabinów maszynowych, rowach strzeleckich i bunkrach na wybrzeżu Normandii.

Te bomby miały utorować drogę alianckim korpusom lądującym. Wczesne zapalniki sprawiały, że rażenie szło wszcz, wymiatało wszystko i nie wybijało głębokich lejów. To miało duże znaczenie, gdyż tym samym oddziały lądujące. posuwając się naprzód z ich ciężką bronią, nie doznają utrudnień z powodu lejów bombowych. Tę samą metodą stosowano we wsiach i miastach zaplecza, gdzie

dowództwo alianckie spodziewało się obecności niemieckich rezerw lub sztabów. Tutaj celem było zwiększenie strat przy równoczesnym zablokowaniu dróg komunikacyjnych poprzez obracanie w perzynę całych budynków. Udało się to w Saint Ló, w Pericres, zwłaszcza zaś w Caen, w tym słynnym Starym mieście, otoczonym morzem pól zbożowych, tam skuteczność była porażająca. Żaden niemiecki tabor nie był w stanie przejechać przez miasto, aby dotrzeć nad morze. Major Hayn widział to konające miasto, prowadząc rozpoznanie w kierunku frontu. Przedmieście Vaucelles wraz z mostami na rzece Orne i kanale bocznym było jednym płonącym piekłem. Niemieccy piechurzy mogli się tylko przedzierać wąskimi przejściami, jakie pozostawiły im płomienie i walące się belkowania. Z dymu wylaniały się wyniosłe wieże klasztorne kościoła Świętego Stefana i Świętej Trójcy, których opactwa ufundował w XI wieku Wilhelm Zdobywca. W kościele Świętego Stefana spoczywają jego prochy. Skromna płyta kamienna wspomina o tym człowieku, który wyruszywszy w 1066 r. na sześćdziesięciu słynnych, przystrojonych smokami, łodziach normańskich zdobył Anglię. Teraz dokonywano inwazji w przeciwnym kierunku. Wilhelm, wówczas książę Normandii, nazywany „Bękartem”, przewiózł na swoich żaglowcach 60 tysięcy ludzi na brzeg angielski: byli to Normanowie, Francuzi, Bretończycy, Flamandowie i jakies wojskowe kontyngenty niemieckie. 14 października 1066 r. pod Hastings pobił siły angielskie w owej słynnej bitwie, która trwała od rana do późnej nocy i kosztowała życie króla Harolda oraz jego brata. Wilhelm stał się królem Anglii i zyskał przydomek „Zdobywcy”. 878 lat później Anglicy i ich amerykańscy krewniacy przybyli do jego grobu w otoczeniu błyskawic i piorunów. Bomby spadały i wstrząsały murami i wieżami Świętego Stefana. Miasto Wilhelma tonęło w gruzach: późny odwet za bitwę pod Hastings.

Alianckie uderzenie bombowe jako taran uprzątający drogę dla pięciu tysięcy transportowców i okrętów desantowych nadciągającej armii inwazyjnej ukazało całą amerykańską przewagę materiałową. Podpływające oddziały lądujące miały możliwie bezpiecznie postawić pierwsze kroki na ziemi francuskiej, aby uchwycić i utworzyć przyczółki. Z niemieckiej obrony miał nic pozostać nawet kamień na kamieniu, ani jeden bunkier i ani jedno działo nie miały przetrwać tego żywego piekła. Zasięki z drutu kolczastego miały zatomizować, tak by żaden człowiek z dywizji Rommla stojących na wybrzeżu nie wyszedł żywy z tego miejsca zagłady. Nic nie powinno było stawiać oporu lądującym żołnierzom alianckim.

Safety first - najpierw bezpieczeństwo, to znaczy bezpieczeństwo dla Tommies i dla GI's, brzmiała zasada Eisenhowera. Była to taktyka nadmiaru, taktyka, która z bajecznym wprost nakładem wyposażenia technicznego i z nieprzebranymi zasobami śmiertelności materiału pracowała przeciwko Niemcom, aby jednocześnie chronić

życie własnych żołnierzy. *Safety fus!* - działało jak hasło wyborcze w tej nowoczesnej bitwie materiałowej toczonej w codziennych walkach o Normandię.

Kiedy dym ofensywy bombowej nieco się przeredził i piekło jakby zelżało, wtedy się zjawili.

Przed pięcioma przewidzianymi punktami strategicznymi wybrzeża pojawiło się 6 pancerników, 23 krążowniki, 122 niszczyciele, 360 kutrów torpedowych, paręset fregat, szalup i kutrów patrolowych. Pod ochroną tej największej w dziejach wojen morskich armady, płynęło ku wybrzeżu najliczniejsze skupisko okrętów, jakie kiedykolwiek widziało oko ludzkie: 6480 okrętów transportowych, łodzi desantowych i łodzi specjalnych.

Obrońcy linii nadbrzeżnej zobaczyli tera/ na własne oczy to, co dotychczas nieustannie przedstawiano im w ramach szkolenia na obrazach: łodzie szturmowe, łodzie z działami przeciwlotniczymi, okręty artyleryjskie (do prowadzenia ognia i desantowania dział), łodzie desantowe piechoty. Ponad tą flotą przeznaczoną do lądowania przelatywały pociski artylerii okrętowej ostrzeliwującej wybrzeże. Rozpoczął się nieprzerwany ogień zaporowy odcinający front przybrzeżny od dowozu zaopatrzenia i wzmocnienia.

Czy to możliwe, aby na plaży pomiędzy Vire a Orne była jeszcze jakaś ręka niemiecka zdolna obsługiwać karabin maszynowy, strzelać z działa, rzucać granatem? A jednak mimo to z tego pełnego kraterów terenu odpowiadano ogniem.

Godzina 4.15.

„Podpływa nieprzyjacielski okręt wojenny” -pada meldunek. Do wybrzeża, wytwarzając wysoką falę przy dziobie, zbliżał się amerykański niszczyciel.

Przybiega sierżant Hein: - Panie poruczniku, proszę o zezwolenie na otwarcie ognia z FK 16 wola do Jahnkgo. Ten przytakuje.

- Dowolny ogień! - Rumms, odzywa się armata polowa. Za krótki.

Rumms!

Jeszcze za krótki.

Wtem niszczyciel skręca. Odsłania burzę. I z tejże burzy dolatuje trzykrotne krótkie szczekanie. Za pierwszym razem pociski lecą za daleko, za wydmę. Drugi wystrzał jest za krótki i pociski wpadają w wodę. Ale trzecia salwa siedzi dokładnie w celu, FK 16 rozlatuje się. Obsługa działa pada.

Teraz w szrankach jest jeszcze tylko poharatane działo plot. 88 mm. Kano-nierzy krzątają się przy nim żwawo.

Tak jakby całą tę akcję chciał obejrzeć z góry, nad punkt oporu nadlatuje samolot obserwacji artyleryjskiej.

Odlatuje z powrotem. Znika.

Ale wkrótce nadchodzi jego poczta: bombardowanie przez ciężką artylerię okrętową. Rozwiera się nieustające piekło. Na punkt oporu raz po raz padają olbrzymie pociski. Rowy strzeleckie zostają wyrównane. Druk kolczasty wszędzie porozrywany. Pola minowe lecą w powietrze. Bunkier tonie w tumanach piasku wydmowego. Zawala się kamienny barak z centralą telefoniczną. Stanowisko kierowania miotaczami ognia dostaje pełne trafienie. Wielu ludzi załamuje się w tym orkanie ognia.

- Zatykajcie sobie uszy! Ludzie krzyczą. Przeklinają.

Lub leżą apatycznie, pełni zwątpienia, w dołach piaskowych. Wartownicy nie doczekają się już zmiany. A potem ktoś woła: - Okręt!

To wołanie wszystkich elektryzuje. Okręty. Jahnke zbliża oczy do lunety nożycowej. I to, co tam widzi, wydaje się niepojęte. Flota inwazyjna. Okręty wielkie i małe. Niezliczone okręty z balonami na uwięzi, na rufie. A więc to jest to. Tu już nie może być żadnych wątpliwości. Przychodzą także przez morze. Przybywają pomimo złej pogody. I docierają przy odpływie. Żelazne jeże czeskie, odrutowane kafary z nałożonymi minami, pale z odbezpieczonymi granatami i wszelkie inne podstępne przeszkody podwodne, które ustawiono, stoją suche. Płaska plaża ma 800 metrów szerokości.

Obliczenia Rommla nie sprawdziły się! -odnotowuje w myśli Jahnke. Przybywają przy odpływie; muszą pokonać pole ostrzału szerokości 800 metrów.

Ale jakie znaczenie ma pole ostrzału, jeśli ledwie gdzie jest jakaś broń, z której można strzelać! Podporucznik Arthur Jahnke mógł sobie jedynie popłakać z wściekłości.

„Tu musi być położony ogień zaporowy!” Z tą prośbą zostaje wysłany łącznik na rowerze. Porucznik Schön, który stoi trzy kilometry z tyłu za W 5, pod Saint Martin-de-Vareville, z 13 kompanią i jedną baterią 122 mm z 1261 pułku artylerii, ma po podwójnym zielonym sygnale świetlnym położyć na plaży ogień zaporowy ze wszystkich rur.

Teraz od floty inwazyjnej odłączają się łodzie desantowe. W lornetce widać je dokładnie.

Jahnke wystrzeliwuje podwójny, zielony sygnał świetlny. Czekają. Ale ogień zaporowy się nie pojawia.

Nie dowiedzą się już, że łącznik do Schóna nigdy nie dojechał. Upolował go samolot myśliwsko-bombowy, który był szybszy od roweru. Gonił go jak zająca i w końcu zestrzelił z roweru.

Godzina 5.20.

Szerokie promy marynarki, na których zamontowane są moździerze raketowe, wystrzeliwiają na punkt oporu swoje prychające rakiety. Łodzie artyleryjskie podpływają strzelając salwami.

Pierwsze łodzie desantowe osiągają bród. Zatrzymują się na nim. Żołnierze wyskakują. Zrzucają kamizelki ratunkowe. Są to oczywiście saperzy. Podkradają się pod wolno stojące przeszkody ustawione przed plażą. Widać, że mają zamiar wysadzić w powietrze cały ten diabelski kram. Robią wolną drogę dla okrętów mających przybić przy przypływie.

Jahnke rozmyśla: odległość 500 metrów. Według starych, rosyjskich zasad powinno się im pozwolić podejść jeszcze bliżej. Aż na 100 metrów. Wtedy atakujący nie ma żadnych szans. Ale on widzi, jak podpływa fala za falą. Nie ma na co czekać.

- Dowolny ogień! - woła na prawo i lewo. - Dowolny ogień - rozchodzi się poprzez transzeje gniazda oporu. Pod kopułą wkopanego starego zdobycznego czołgu Renault siedzi starszy szeregowiec Friedrich ze swoim karabinem maszynowym. Nosi okulary tak grube, jak soczewki powiększające. Ale każdy wie: gdzie jest Friedrich, tam wszystko gra. Jego serie ogniowe są krótkie. Wyskakująca na brzeg grupa widzi jeszcze rozpryskujący się przed stopami piasek, gdy kosi ją nagła seria. Na lewym skrzydle obrony zaczyna brzęczeć ciężki karabin maszynowy. Zmusza saperów do krycia się w piasku. Chwyta pierwszą grupę drugiej fali. Zostają zmiecceni obok łodzi.

Ale cóż to takiego? Jakieś dziwne potwory suną przez wodę w stronę plaży. Pływające czołgi! Potężny worek gumowy wypełniony powietrzem robi z nich upiorne monstra. Wjeżdżają powoli na suchy ląd. Toczą się po plaży w kierunku rowów przeciwpancernych. Czy działa 88 mm nie da się już uruchomić? A jednak! Lufa robi skręt: „Ognia!” To wyraźne „buum” tej armaty, królowej wszystkich dział ostatniej wojny, które przetacza się teraz nad wydmami, brzmi dla żołnierzy z W 5 jak muzyka. Pierwszy zbliżający się potwór idzie prosto pod lufę. Strzał nie dosięga go w pełni, ale zostaje zmieciony na bok i staje.

No chłopie, jeszcze! Dalej! Strzelaj! Ognia!

Ale z lufy nie wylatuje już żaden granat. Pierwszy strzał z tego uszkodzonego przez bomby działa wykończył je do reszty.

Na ląd schodzi druga fala czołgów. Czołgi strzelają ogniem ześrodkowanym na rozpoznane stanowiska. Jako pierwszy zostaje trafiony prawy karabin maszynowy. Moździerz też wypada z walki. Tylko Friedrich, siedzący w kopule pancernej swego renault, wymiata jeszcze plażę karabinem maszynowym i trzyma lądującą piechotę z dala, na linii wody.

Ale potem tamci kończą także z nim. Kopuła renaulta zostaje trafiona. Rozlega się potężny dźwięk, jakby się rozpadał dzwon kościelny. Odłamki rozbijają karabin maszynowy i rozszarpują starszemu szeregowcowi nogę. Pomimo to jest jednym z nielicznych, którzy wyszli z tego z życiem.

- Jesteśmy opuszczeni przez Boga i świat - mówi Jahnke do łącznika, który stoi tuż obok. - Gdzie są nasi lotnicy?! Gdzie jest artyleria?! Czyżby obserwator z 901 pułku artylerii znajdujący się na wieży kościoła Sainte Marie-du-Monl spał?

On nie spał. Tylko samoloty myśliwsko-bombowe dawno go stamtąd zestrzeliły. A bateria, której ogniem miał kierować, została rozbita pod dywanem bombowym.

- Pozostaje nam jeszcze ostatni argument - mówi Jahnke do sierżanta Heina.

Są nim „Goliaty”. „Cudowna broń z kieszeni kamizelki”, mówili piechurzy o tych zdalnie sterowanych miniczołgach. 600 metrów wynosił promień działania tego niepokąźnego, a jakże groźnego nosiciela 91 kilogramów dynamitu w brzu

chu, który wysadzano w powietrze za pomocą zdalnie odpalanego zapalnika. Podstępna broń stosowana przeciwko mostom, miejscom lądowania wojsk na brzegu, przeszkodom. Na nierównym terenie były one trudne do rozpoznania, kiedy niczym żółwie posuwały się swym chybotliwym ruchem. Dla ostrzału artyleryjskiego stanowiły zbyt mały cel. Niestety ich układ kierowania był bardzo wrażliwy.

Jahnke wydaje rozkaz do wykorzystania „Goliatów”. Pancerne karły ruszają niezdarnie naprzód. Żołnierze przy skrzynkach sterowniczych próbują naprowadzić na czołgi. Ale układ sterowania nie funkcjonuje. Okazuje się, że w wyniku wstrząsów od wybuchów bomb i pocisków artyleryjskich ich czule przekaźniki uległy uszkodzeniu. Żadnego nie udaje się naprowadzić na cel. Zatrzymują się przed plażą. Tam też wkrótce jeden z nich wypełni swoje śmiertelne zadanie.

Artyleria okrętowa wściekle ostrzeliwuje. To jest wał ogniowy starej szkoły z pierwszej wojny światowej. Piechurzy niemieccy, przywarci do ziemi, czekają na koniec. To są owe straszliwe minuty, których nawet najtwardszy żołnierz nigdy nie zapomni, minuty, gdy czuje się opuszczony przez Boga i ludzi, pozostawiony sam sobie, całkiem sam ze swoim strachem, stojący rzeczywiście oko w oko z wojną w takich chwilach po tysiącokrotnie przeklinaną. Ale o tym wie tylko ten, kto swoją twarz wciskał w brudną ziemię, kto słyszał nad sobą galopujących jeźdźców Apokalipsy i bezpośrednio handryczył się ze śmiercią, ponieważ nie miał już czasu na modlitwę.

Miejsce przeznaczenia nazywa się Sainte Mere-Eglise

Kto spogląda na takie piekło z oddali, z odpowiedniej historycznej lub przestrzennej perspektywy, ten widzi tylko panoramę, która się skłania to ku zwycięstwu, to znów ku klęsce.

Podpułkownik Friedrich von der Heydte, dowódca 6 pułku strzelców spadochronowych, o godzinie dziewiątej tegoż 6 czerwca 1944 r. także widział tylko panoramę. We wczesnych godzinach rannych wyjechał ze swego stanowiska dowodzenia do Saint Côme-du-Mont, miasteczka położonego 15 kilometrów za punktem oporu W 5. Stamtąd aż po Carentan rozbrzmiewał huk bitewny. Von der Heydte wspiął się na wieżę kościelną. Przyłożył lornetkę do oczu i sądził, że ma widzenie. Przed plażą „Utah” ciągnęła się nieprzejrzana flota inwazyjna chroniona przez setki balonów na uwięzi. Krążowniki i niszczyciele. Widział błyski wystrzałów. Patrzył na nieprzeliczone łodzie, które się kręciły między wielkimi jednostkami i podążały w kierunku wybrzeża. Zupełnie jak na Wansee w piękny dzień letni, przeszło mu przez głowę.

Tylko mały odcinek wybrzeża był całkowicie zakryty, tak jakby był zasłonięty kurtyną. Gęsty dym i tumany kurzu pokrywały wszystko. Fontanny pyłu wspinały się wysoko w niebo. Absolutnie w niczym nic można się było rozeznaczyć. Tymczasem za tą zasłoną odbywała się amerykańska inwazja. Tylko wtedy, gdyby podpułkownik miał

czarodziejskie szkło Sindbada Żeglarza, ujrzałby podporucznika Arthura Jahnke stojącego w na pół zasypanym okopie i starszego szeregowca Friedricha w jego kopule pancernej oraz sierżanta Ucina obok mózdzierza i wszystkich innych żołnierzy 9 kompanii 919 pułku piechoty znajdujących się na wydmach W 5. na które skierowała się moc całej floty i całej armii, gdzie historia wraz ze śmiercią i cierpieniem pukała do bramy i otwierała nowy rozdział: klęskę Niemiec i zwycięstwo Ameryki.

Tego wszystkiego podpułkownik von der Heydte oczywiście nie widział z wieży kościoła w miasteczku Saint Côme-du-Mont. Ale wiedział, że tam, gdzie wisi zasłona z dymu, tam jest miejsce niebezpieczne, tam jest ten punkt wybrzeża, na który zwrócona była cała uwaga potężnej floty znajdującej się na morzu.

Rozkazał zatem przesunięcie swego stanowiska dowodzenia do Saint Côme-du-Mont i ściągnięcie całego swojego pułku do przodu.

6 pułk strzelców spadochronowych rozlokowany był w najwęższym miejscu półwyspu Cotentin, w rejonie Lcsey-Mont Castrc-Carentan. Pułk tworzył zaporę ubezpieczającą wejście na półwysep od południa. Był to obszar mający 20 kilometrów szerokości i 15 kilometrów głębokości, godny uwagi kawałek terenu jak dla jednego pułku. Tuż po północy, najdalej na północny wschód wysunięta grupa bojowa stwierdziła lądowanie nieprzyjacielskich strzelców spadochronowych w sile co najmniej kompanii, w rejonie Saint Côme-du-Mont. Baupte i Carentan. W obszar lądowania wyruszył czołowy batalion uformowany w grupy bojowe i pododdziały uderzeniowe. Słyszano nadawane otwartym tekstem nawoływania pododdziałów amerykańskich przez radio z prośbą o ciężką broń, amunicję i wzmocnienie. To pozwalało poznać rozpaczliwą sytuację Amerykanów. Jeszcze przed świtem strzelcy spadochronowi przyprowadzili pierwszych jeńców. Von der Heydte wyjechał do Carentan, aby ich osobiście przesłuchać. Chodziło o to, aby uzyskać pierwsze ważne informacje o zamiarach nieprzyjaciela.

O godzinie 6.00 był już w Carentan. Stwierdził, że jeńcy należą do 501 pułku. a więc do 101 dywizji i z miejsca wiedział, że zadanie postawione tej elitarniej dywizji nic mogło być jakimś odosobnionym przedsięwzięciem. Byli to dość dziwni faceci. Mieli wymalowane na plecach hasła bojowe: „Do widzenia w Paryżu” lub podobizny ping-up-girls wielkości niemal naturalnej. W czasie przesłuchania większość z nich zachowała pewność siebie. Ich kieszenie zawierały wielce kuszące i dość osobliwe rzeczy, które niemieccy żołnierze obserwowali z podziwem. Czekolada oczywiście, w każdej ilości, ale także cukierki owocowe, gatunkowe papierosy amerykańskie, środki wzmacniające, tabletki do destylowania wody, kawa rozpuszczalna, tabletki herbaty, słodczyce, suchy bulion i papier toaletowy. I nierzadko podniecające zdjęcia z Paryża.

Wszyscy byli specjalnie szkoleni na wypadek dostania się do niewoli. Nic podawali więcej danych, niż tego wymagało prawo wojenne: nazwisko, wiek, stopień służbowy, jednostka. Koniec. Naturalnie większość z nich mówiła nieco

więcej, byli przestraszeni bądź wyzywający, butni lub potulnie prostacy. Jednakże informacji taktycznych przesłuchania nie przyniosły. Niemniej jednak te nieliczne informacje dawały jakiś obraz.

Von der Heydte poinformował 84 korpus. Z 709 dywizją połączenia telefonicznego nie uzyskał.

-To jest inwazja - powiedział Heydte do szefa oddziału operacyjnego korpusu, majora Vicbiga. - To jest inwazja - telefonował generał Marcks do 7 armii.

Ale w wyższych sztabach dalej łamano sobie głowę. Ciągłe jeszcze nie wierzono w słusność tych informacji.

Zakodowano sobie w umysłach, że inwazja musi się dokonać w najwęższym miejscu kanaru La Manche, w Pas de Calais.

Ponieważ grupy bojowe, każda w składzie batalionu strzelców spadochronowych z działami przeciwpancernymi kalibru 75 mm i jedną baterią dział przeciwlotniczych 88 mm, były szeroko rozciągnięte i nieustannie zwalczane przez lotnictwo nieprzyjacielskie, to do rejonu Saint Côme-du-Mont przybywały w odstępach dłuższych niż jedna godzina. Dowódcy batalionów zostali wprowadzeni w sytuację i dostali zadania, i kiedy przybyły ich grupy bojowe, przystępowali do ataku. Pierwszy batalion dostał kierunek Sainte Marie-du-Mont-La Madeleine, w tym rejonie znajdował się punkt oporu W 5; drugi batalion miał kierunek Turqueville, gdzie punkt oporu miał 795 batalion Gruzinów. Trzeci batalion pozostał do ochrony skrzydeł.

Początkowo ataki obu batalionów przebiegały pomyślnie. Potem jednak dostały silny ogień z Sainte Mere-Eglise i Sainte Marie-du-Mont. Czy punkt oporu W 5 da się jeszcze uratować?

W międzyczasie do akcji przeciwko wysadzonemu pod Sainte Mere-Eglise z powietrza nieprzyjacielowi włączono, z północy, 1058 pułk grenadierów i batalion szturmowy Mcsserschmitta, a z zachodu, przeciwko desantom nad rzeką Merderet rzucono 1057 pułk grenadierów.

Kto wydał rozkaz do tych zadań trudno ustalić, czy 84 korpus, czy też 91 dywizja powielrzno-desantowa, której te pułki podlegały, lub też 709 dywizja. Niezależnie od tego, jak było, zostały one wydane za późno, wojska wchodziły do walki bez artylerii i bez niszczycieli czołgów. Brzemienny w następstwa błąd. Podkreśla on znamieny fakt, że niemieckie dywizje, znajdujące się w obu amerykańskich rejonach desantu powietrznego, w decydującej godzinie były bez dowódców: Falley poległ. Schlieben znajdował w drodze powrotnej z tego feralnego ćwiczenia sztabowego, które miało się odbyć w Rennes.

Niemieckie oddziały nie zdołały się przedrzeć przez ogień moździerzy i broni mechanicznej amerykańskich strzelców spadochronowych, którzy zagnieździli się w żywopłotach i ogrodach, zostały zatrzymane i zaległy.

Kiedy Schlieben około południa przybył na swoje stanowisko dowodzenia i otrzymał meldunek o pierwszych przedsięwzięciach, natychmiast zrozumiał powagę sytuacji i próbował naprawić błąd przez doprowadzenie ciężkiej artylerii i niszczycieli czołgów.

Pierwsze niemieckie przeciwdziałania na przyczółku lądowania „Utah”.

Czy punkt oporu W 5 da się jeszcze uratować?

Biedny Jahnke czekał na próżno. Z zasypanych okopów i dołków strzeleckich jego wydmy koło południa 6 czerwca padały jeszcze tylko pojedyncze strzały karabinowe. Taka bezmyślna strzelanina z karabinów do czołgów, które teraz stoją przed murem pancernym. Piechota amerykańska też się już zdążyła podsunąć pod mur pancerny.

Ale przeskakiwania przez mur jeszcze nie ryzykują.

Pododdział uderzeniowy w sile 15-20 ludzi zalega w pobliżu jednego ze stojących wokół „goliatów”. Tommies żartują na temat tej cudownej broni. Jeden z nich wyciąga granat ręczny. Rzuca. Obok. Śmieją się głośno.

Następny rzuca. Znow obok. Wtem jeden z nich podczołguje się do czołga-liliputa. Otwiera przednią klapę.

Wsadza do środka granat ręczny. Wyciąga zawleczkę i odskakuje z powrotem do grupy. Ale nie przeczuwali, biedacy, co mogą zdziałać dwa cetnary materiału wybuchowego. Parę sekund później cała ta grupa, z porozrywanymi płucami, leżała rozrzucona daleko po plaży. Czołgi szalejąc wałą w punkt oporu.

A więc to już jest koniec - przemyka przez mózg podporucznika Jahnkego. Potem miał uczucie, jakby ktoś nad nim powoli zaciągał czarną zasłonę. Będąc w swym na pół przysypanym dołku bojowym nie słyszał wystrzału.

Zauważył tylko błysk wybuchu na skraju swego dołka. Uderzenie wyczuwalne w krzyżu. Podnosząc się nad nim fontannę piasku przyjął jako zmoreę. A więc to już jest koniec! Nie wie, jak długo leżał pod piaskiem. Znow dochodzi do siebie, kiedy go

ktoś ciągnie za nogą. Ratunek. Broni się przed piaskiem. Próbuje się poruszać. Jest ciągnięty. Dostaje powietrze. Widzi światło. Wykastłujc kurz. I spogląda na stalowy hełm Amerykanina. Podporucznik Jahnke rejestruje niczym techniczne urządzenie pomiarowe. Jego żołnierski instykt, wykuty na wojnie w Rosji, podpowiada mu reakcję: uciekać, tylko nie niewola!

Widzi leżący pistolet maszynowy. Skacze. Ale w tym momencie ktoś nadcp-tuje mu na krzyż. I jakiś głos mówi spokojnie: - *Take it easy, German!* W tym momencie podporucznik Jahnke, 23 lata, który na maturze miał trójką z angielskiego, musiał się rzeczywiście roześmiać. Ten Amerykanin powiedział doń *Take it easv*. Im to dobrze traktować sprawą lekko, myśli Jahnke i strząsa kurz z munduru. Potem, tak jak mu kazano, trzyma race nad głową i pozwala sobie opróżnić kieszenie: - *Go on!*

Na plaży napotyka resztą załogi swego punktu oporu. Biedna, mała gromadka jeńców leży po drugiej stronie muru pancernego. Chce iść do swoich ludzi. Ale jakiś sierżant z tych „twardzieli”, czyli słynnych *martnes*, zastąpił mu drogą. Bierze go za ramię i odciąga 50 metrów od grupy jego ludzi, uporczywie patrząc na jego Ritterkreuz. Ten zaś buja się przy kołnierzu Jahnkego, wstążka jest zerwana i trzyma siajeszcze tylko na sznurowadle, na którym Jahnke, jak prawie wszyscy oficerowie, umocował go pod kołnierzem koszuli.

Teraz widzi wszystko jak we śnie. Olbrzymie buldożery zmierzają w kierunku lądu na specjalnych łodziach. Podjeżdżają czołgi, które niosą przed sobą potężny kadłub, z którego z kolei zwisają łańcuchy z żelaznymi kulami; te czołgi same wybijają sobie przejścia w polach minowych. Widzi inne czołgi, z wielkimi bębnami, na których nawinięte są grubo plecione maty z sizalu. Będą rozłożone na trasie w przypadku zawiewania jej piaskiem i czołgi pojedą po nich swoją własną drogą. Tak jak Miinchausen, który wyciągnął się z bagna na swoim własnym warkoczu.

Te monstra z chrzęstem suną w górę plaży, po to, aby wykończyć północne punkty oporu; albo też łomocząc, przejdą przez dziury w rozbitym murze pancernym na drogę asfaltową: kierunek na tyły, tam gdzie ma ich zatrzymać porucznik Schön ze swoją 13 kompanią. Ale już nie będzie w stanie ich zatrzymać, tak samo porucznik Matz z odwodem 3 kompanii, który podczas kontrataku poległ jak większość jego ludzi, pod ogniem zaporowym artylerii okrętowej.

Jahnke usadowił się przy murze pancernym. Teraz papierosa! Ale w tym momencie przestraszył się. Jakiś oficer przywołuje go. - *He, Leutnant, come herel* - Prowadzi go do tyłu za czołg, celem przesłuchania. - Ile ciężkiej broni mieliście? Ilu ludzi liczyła załoga?

Podporucznik potrząsa głową. Wtedy kapitan wyciąga z kieszeni jedwabną chustkę i trzymając ją pod światło: -Widzi pan, co na niej jest, co miał W 5! -mówi. I rzeczywiście: od działa 88 mm aż po kopułę pancerną renaulta, wszystko było tam zaznaczone.

A nad tym rysunkiem widniało słowo UTAH. - Utah to jest przecież stan w USA - mówi Jahnke do oficera. - Jest pan stamtąd?

- *No* - śmieje się Amerykanin - *no*. I Jahnke pojmuje: „Utah” jest kryptonimem przyczółka lądowego. Jest pierwszym Niemcem, który to czyta i rozumie. UTAH.

- Czego chce się pan jeszcze ode mnie dowiedzieć? - pyta Jahnke po rzuceniu okiem na mapę.

_ Nie chce pan zeznawać? - pyta przesłuchujący.

- Powiem niewiele, tylko tyle, ile mówili wasi ludzie, których wziętem do niewoli dzisiaj w nocy. I mam nadzieję, że będzie pan to tak samo respektować. jak ja respektowałem.

Jahnke już dawno zauważył obu oficerów, swych byłych jeńców. Pokiwali mu i pozdrowili z uśmiechem. Ale wartownik nic dopuścił ich do niego. Widział, jak prowadzą rokowania z sierżantem, ale ten ciągle tylko wzruszał ramionami: Nic wolno mi! I przed tym twardzielem nawet oficerowie spadochroniarze mieli respekt.

Jednakże Jahnke wie, że może się powołać na zachowanie reguł prawa wojennego ze względu na żywych świadków. To wzmacnia jego tyły.

- A więc nie chce pan zeznawać - burczy oficer, tym razem ze złością.

- Nie - mówi hardo Jahnke.

- *Go to heli* - „Idź do diabła!” Sierżant ujmując go za ramię, znów prowadzi pod mur pancerny i sadza w dołku strzeleckim. W tym momencie następuje wybuch. Lecą odłamki: niemiecka artyleria ostrzeliwuje plażę. To jest 10 bateria 1261 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych. Jedna bateria to niewiele, jeśli się pomyśli, co można by było osiągnąć za pomocą skomasowanej artylerii. Ale i tutaj kołdra jest za krótka, a niejasne relacje rozkazodawstwa dokonują reszty. Dowódca morski miał pod sobą kierowanie ogniem artylerii do zwalczania okrętów; a wojska lądowe do zwalczania celów naziemnych. Z tego też powstał labirynt błędów.

Pułkownik Triepel, dowódca 1261 pułku, znajdował się na swoim stanowisku dowodzenia na wzgórzu janowcowym i przez lunetę nożycową obserwował lądowanie pod W 5. Wydał rozkaz swej 10 baterii dział 170 mm wzięcia pod ogień miejsca lądowania. „Tor pocisków przechodził ponad stanowiskiem dowodzenia pułku. Znajdowaliśmy się w odległości 16 do 18 kilometrów od celu. Przy każdym uderzeniu pocisku było wyraźnie widać poruszenie w celu”, meldował Triepel. Poruszenia tego nie da się przeoczyć:

Amerykanie rzucają się pod czołgi, wpełzają w jamy piaskowe. Wykrzykują rozkazy i wyglądają na bardzo zdziwionych, że ktoś znów niespodziewanie do nich strzela. Granat za granatem rozrywa się w skupisku pojazdów. Jahnke z przykrością widzi, że dostaje się także jego ludziom. Jeszcze tutaj zabici i ranni! Jahn-kemu także się dostaje. Odłamek granatu rozrywa mu bok. Mundur zabarwia się na czerwono. Przenika go buzując, gorący strach. Postrzał w brzuch! Jeśli nic zostanie zoperowany w ciągu sześciu godzin, na nic się zda to, że przetrwał wybuchy amerykańskich bomb i dział okrętowych. Potem nadejdzie śmierć - od jednego wszawego niemieckiego odłamka granatu.

Jalinke sprawdza ręką pod mundurem. Wyczuwa ciepłą krew. Ostrożnie wciąga powietrze. Jeszcze głębiej. To boli. Ból kłuje. Ale powłoka brzucha na pewno nie jest przebita. To chyba jest postrzał mięśnia. Z ulgą zapina kurtkę i przykłada do rany opatrunek osobisty. Amerykański wartownik przyczołguje się ze swego ukrycia, kładzie się koło niemieckiego podporucznika i podsuwa mu pod kurtkę również swoją opaskę z gazy. Potem odczołguje się /. powrotem. Zapala papierosa i rzuca go w stronę Jahnkego. Ten wybiera papierosa z piasku i wciąga aromatyczny, ciężki dym chesterfielda. Ach! i pomyśleć, że gdyby nie leżał, toby go ścięło. Ogarnia go przyjemna ociężałość. Do rzeczywistości przywołuje go wołanie wartownika: - *Hey, German**.

Sierżant wyskoczył ze swego ukrycia i stoi w postawie zasadniczej. Jalinke także się podnosi. I w tej chwili widzi generała. To musi być generał brygady Theodore Roosevelt jr.

Jeden z oficerów skierował uwagę generała na niemieckiego podporucznika. Spogląda więc w jego stronę. Jalinke pozdrawiając podnosi rękę do czoła. / powodu braku nakrycia głowy kładzie końcówki palców przy skroni.

Generał podnosi rękę; ale chyba się rozmyślił, opuszcza rękę w dół i nie pozdrawia. Widać, że wydaje rozkaz.

Jeden z oficerów biegnie do zbudowanej komory łączności. Pół godziny później Jalinke wie już, co generał rozkazał: „*Germans* muszą być usunięci!” Podpływają dwie łodzie, aby ich zabrać.

Piechur nie jest zadowolony, kiedy ma mokro w butach. Wierny tej zasadzie. Arthur Jalinke zdejmuje buty i skarpety, kiedy wartownik pokazuje mu, że ma brodzić do pancерnej łodzi desantowej: - *Odjazd. POW-Camp**.

Warfinished - mówi i śmieje się szyderczo sierżant. Wojna skończona, rozmyśla Jalinke. Widzi swoich ludzi, jak brną do innej łodzi desantowej. Protokół jest ściśle zachowany. nawet teraz odłącza się szeregowych od oficerów.

Wypływają daleko w morze do niszczyciela. Jahnke wdrapuje się w górę po drabince linowej, buty i skarpety nadal trzyma w ręce. Teraz usiłuje je ponownie założyć, aby nie występować przed oficerami marynarki jako rozbitek morski. Ale marynarze nie mają uznania dla jego usiłowań zachowania formy. Jeden z nich naciska butem w jego pośladek. Jahnke pada przed siebie. Ci się śmieją. Aż oficer z mostka krzyczy ostro. Pomagają mu stanąć na nogi. Jeszcze raz szybko się pochyla i podnosi swoje buty z podłogi. Teraz krwawiąc już, gdyż rana znów się otwarła przy upadku, staje boso przed czekającymi nań oficerami amerykańskiego niszczyciela. Pozdrawiają go i nic ma już wątpliwości, że ich największe zainteresowanie wzbudza Krzyż Rycerski. Jeden z poruczników ruchem ręki zaprasza go do mesy i tu Arthur Jahnke po najbardziej wyczerpujących 24 godzinach, jakie kończą jego karierę wojenną, otrzymuje pierwszą gorącą, aromatyczną prawdziwą kawę.

Obóz jeńców wojennych.

Płyną w kierunku północnym. Plaża „Utah” z tym, co kiedyś było W 5, znika w oparach mgły.

Ale skołataną głowę Jahnkego nieustannie nęka pytanie: Jak to było możliwe? Dlaczego uważaliśmy, że inwazja nic może się rozpocząć przy takiej pogodzie, a oni mimo wszystko przyszli? Nic znajduje odpowiedzi. On nic wie • i nikt po niemieckiej stronie wtedy o tym nie wiedział -jakie dramatyczne zmagania toczyły się w kwaterze głównej aliantów w sprawie terminu. Jak wszystko stało na ostrzu noża i na głowie. Jak to wszystko, a być może w ogóle powodzenie tej całej akcji, wisiało na jednej jedwabnej nitce. A oto fakty:

Najpierw jako termin lądowania alianci przyjmowali początek maja 1944 r., ale kiedy Eisenhower i Montgomery przejęli swoje dowództwa, to obaj ustalili, że przewidywany odcinek lądowania jest za wąski, a przewidywana siła wojsk za mała. Zwłaszcza Eisenhower żądał więcej przestrzeni dla okrętów, ściąganych z całego świata. A w końcu i tak według niego przestrzeń ta była za mała. Wymógł tyle, że data inwazji została przesunięta o jeden miesiąc, aby dyspozycyjną liczbę łodzi desantowych zwiększyć o jeden miesiąc produkcji. Przesunięcie weszło w życie, chociaż Churchill energicznie się sprzeciwiał. Premier brytyjski obawiał się kłopotów politycznych w Moskwie, ponieważ przyrzekł Stalinowi rozpoczęcie zachodniej inwazji na początek maja.

Dokładny dzień lądowania w czerwcu powinien być ustalony na podstawie warunków przyływu i odpływu. Ale pozostawało wciąż pytanie: czy należy lądować w czasie przyływu, czy wraz z odpływem?

I oto zdjęcia z rozpoznania lotniczego pokazały sztabom alianckim, że od wiosny 1944 r. na wybrzeżu francuskim pracuje się przy nowych stanowiskach artyleryjskich i najróżniejszych przeszkodach ustawianych gęsto na plaży. Było jasne, co Rommel chce osiągnąć za pomocą tych przeszkód: gdy flota inwazyjna przyplynie przy przyływie, kiedy przeszkody są pod wodą niewidoczne, to wiele łodzi desantowych, promów transportowych, łodzi artyleryjskich i raketowych, czołgów pływających i barek nadzieje się na te zdradliwe przeszkody, zatrzymają się na kafarach, rozerwą ścieżkę na dźwigarach lub zostaną rozbite przez miny lub ładunki przyciskowe. Groźba katastrofy dla całej operacji inwazyjnej była czymś, czego się bardzo obawiano. Eisenhower i Montgomery zdecydowali się na lądowanie przy odpływie. Pokonanie odsłoniętej plaży należy piechocie ułatwić przez wsparcie jej czołgami. Poza tym plan przewidywał obezwładnienie niemieckich pozycji obronnych za pomocą potężnego bombardowania lotniczego i silnego ognia artylerii okrętowej, wykonanych bezpośrednio przed lądowaniem. Po wylądowaniu przeszkody powinny być natychmiast uprzątnięte, tak aby przy podnoszącym się przyływie można było kontynuować wysadzanie wojsk na ląd.

Co się tyczy czasu przed rozpoczęciem operacji schodzenia na ląd, to flota Pod osłoną nocy miała się zbliżyć do wybrzeża, ale potrzebowała jedną godzinę światła dziennego na bombardowanie przygotowawcze i manewry do lądowania

nia. Natomiast powietrzne oddziały desantowe, które jako pierwsze miały wyskoczyć na ważnych, kluczowych punktach zaplecza, opanować oraz zablokować mosty i drogi, potrzebowały do swej akcji światła księżycowego. Na podstawie tych niezbędnych warunków wyliczono, że odpowiednim terminem będzie 5 czerwca. Był to dzień, w którym schodziły się pożądane wymogi: odpływ, przyływ i księżyc.

Brytyjskie i amerykańskie służby tajne postarały się za pomocą tysięcy trików wprowadzić w błąd niemieckie służby obróbki danych z podsłuchu radiowego przy ich badaniach, gdzie i skąd należy się spodziewać inwazji, sterując nimi w fałszywym kierunku.

Cała armia duchów z ich skleconymi naprędce barakami i makietami okrętów była ześrodkowana i po wylądowaniu pozorowała w hrabstwie Kent obecność jeszcze dalszych licznych formacji, będących w gotowości do uderzenia w innych miejscach. Owa armia duchów została także, o dziwo, potwierdzona przez, niemieckie rozpoznanie lotnicze. A to wywarło tragiczne skutki na niemiecką ocenę problemu lądowania w Normandii, zawartą w pytaniu, czy nie jest ono tylko manewrem mylącym dla osłony głównego lądowania pod Calais.

Wszystko to było w sposób wszechstronny przemyślane i w najdrobniejszych szczegółach dopracowane.

Wyposażenie techniczne całego przedsięwzięcia stojące do dyspozycji aliantów było wprost niedościgłe. Czerpano z pełnego, amerykański przemysł pracował na pełnych obrotach, bez zakłóceń. Tak więc aż do świtu 5 czerwca dopisywało wszystko - z wyjątkiem jednego: pogody.

Bóg pogody zdawał się być po stronie Niemców. Przez cały maj było pięknie. Główny meteorolog alianckiej kwatery głównej kapitan Stagg, też dał początkowo pomyślną prognozę na pierwszy tydzień czerwca. Eisenhower nadał w sobotę 3 czerwca radiogram do szefa amerykańskiego sztabu generalnego, generała Marshalla: „Mamy świetne widoki na dobre warunki”. Ale potem przyszła nagła zmiana. Komisja meteorologiczna zapowiedziała silne wiatry, niski pułap chmur, deszcz i złą widoczność na 5, 6 i 7 czerwca. Ale to były jednocześnie te jedyne dni, w których odpływ występował w pożądanych godzinach.

3 czerwca o godzinie 21.30 okręty floty inwazyjnej, które wypływały z odległych portów wyjściowych, były już w drodze. Dziesiątki tysięcy żołnierzy siedziało na transportowcach w Południowej Anglii.

Wypłynąć, czy też operację przesunąć o 24 godziny? To było pytanie, na które odpowiedź dyktowała pogoda.

Decydujące pytanie, za którym stały nie tylko rozważania natury strategicznej, ale także wzgląd na Stalina, który nieustannie domagał się rozpoczęcia inwazji i który zachodnich aliantów z powodu ich dotychczasowego zwlekania podejrzewał o chęć przedłużania wojny celem wykrwawienia Rosji.

4 czerwca o godzinie 4.30 Eisenhower nadal nie był w stanie podjąć decyzji, czy inwazja bez względu na pogodę powinna być przeprowadzona czy też nie. Operacja „Overlord”, jak brzmiał kryptonim lądowania, wisiała w powietrzu w dosłownym tego słowa znaczeniu. Zebrało się całe naczelne dowództwo. Prognozy pogody nie były ani o grosz lepsze. Generał Montgomery obstawał za rozpoczęciem operacji. Dowódca floty, admirał Ramsay, miał wątpliwości, czyjego mniejsze jednostki morskie, przy zapowiadany stanie morza, przejdą przez kanał bez szwanku. A marszałek lotnictwa Leigh-Mallory oświadczył, że lotnictwu będzie bardzo trudno sprostać postawionym mu, decydującym zadaniom. Było wszystkiego dwie godziny czasu, a potem większość sił inwazyjnych musi wyjść w morze, albo też termin 5 czerwca zostanie stracony.

W końcu, po długich obradach, Eisenhower wydał rozkaz o przesunięciu całej operacji o 24 godziny. Okrętom, które były już w drodze, nakazano powrót. Formacje, które płynęły kursem południowym przez Morze Irlandzkie, zawróciły i skierowały się z powrotem na północ.

W niedzielę 4 czerwca o godzinie 20.30 (czasu niemieckiego) zapadła decyzja. Eisenhower nie podjął jej z głębi duszy, z heroicznego zmagania się samego z sobą, jak mówi legenda. Zapadła ona na podstawie wyroku meteorologów, którzy dzięki obserwacjom pogodowym prowadzonym na olbrzymich obszarach Atlantyku wykryli, że pomiędzy niżami idącymi z zachodu tkwił mały wyż, który na poniedziałek i wtorek, a więc na 5 i 6 czerwca musi przynieść poprawę pogody. To wyjaśnia, dlaczego inwazja jednak się odbyła, podczas gdy niemieckie organa dowódcze uważały jej rozpoczęcie, z powodu panującej w poniedziałek niepogody, za niemożliwe.

Podczas gdy niszczyciel amerykański z podporucznikiem Jahnke na pokładzie pruje fale Atlantyku w kierunku wybrzeża angielskiego, to po drugiej stronie, na znikającym polu walki w Normandii pewien łącznik motocyklista melduje dowódcy 6 pułku strzelców spadochronowych, podpułkownikowi von der Heydte: „1 batalion osiągnął Sainte Marie-du-Mont”. Oznacza to, że tylko 6 kilometrów szosy asfaltowej dzieli go od punktu oporu W 5. Tylko 6 kilometrów od wybrzeża. Teraz trzeba było tylko, aby 2 batalion von der Heydtego skręcił pod Turquerville i uderzył przez groblę prowadzącą przez tereny powodziowe - wtedy przyczółek lądowy Amerykanów „Utah”-beach, zostałby zablokowany. Tak blisko było do sukcesu.

Ale 2 batalion nie mógł skręcić. Otrzymał silny ogień na lewą flankę z Sainte Mere-Eglise. Tutaj zbrali się i umocnili amerykańscy strzelcy spadochronowi z 507 pułku. To zbyt szybko oddane przez niemiecki tabor artylerii przeciwlotniczej miasteczko prędko urosło do roli ważnego punktu taktycznego pierwszej bitwy.

Kapitan Mager usiłował usunąć zagrożenie flanki. Dlatego zwrócił się nie w kierunku wybrzeża, lecz w kierunku Sainte Mere-Eglise celem zajęcia go. Ale batalionowi nie udało się przejść przez nie chronioną równinę na południe od miasta i wtargnąć do tej miejsciny. Zapadły ciemności. Batalion Magera musiał się okopać. Natomiast 1 batalion bez ubezpieczonej flanki nie mógł atakować poprzez Sainte Marie-du-Mont.

71

To przeklęte Sainle Mere-Eglise! Z powodu tej miejsciny 6 pułk strzelców spadochronowych nie dokonał swego ostatniego skutecznego skoku przeciwko zablokowaniu miejsca lądowania. Na tym nieszczęsnym punkcie węzłowym połamaly sobie także zęby bataliony uderzeniowe 91 dywizji powietrzno desantowej i 709 dywizji.

- Jutro rano weźmiemy je - mówili spadochroniarze Heydtego.

- Jutro rano się z tym uporamy - powiedział pułkownik Beigang z 1058 pułku grenadierów do generała Schliebena, kiedy ten podporządkował mu dwa ciężkie, zmotoryzowane dywizjony artylerii 456 i 457 podpułkownika Seidla.

- Jutro rano zgarniemy to - stwierdził major Messerschmitt, dowódca batalionu szturmowego dowództwa 7 armii, kiedy pod Azeville usłyszał, że kapitan Hummerich ze swymi niszczycielami czołgów jest w drodze do niego.

Jutro rano!

100.

Bloody „Omaha” -ale Hitler uważa, że to atak pozorny

Miejsce lądowania bez Luftwaffe

25 kilometrów na wschód od amerykańskiego przyczółka lądowania „Utah”. w którym VII korpus amerykański musiał walczyć o każdą piędź ziemi, miała swój odcinek lądowania amerykańska 1 dywizja piechoty V korpusu. Znajdował się on pomiędzy usytuowanymi na wybrzeżu miastami Vierville i Colleville. Miał kryptonim „Omaha”, na cześć miasta w stanie Nebraska.

Na krótko przed godziną 2.00 okręt flagowy admirała Halla „Ancon”, z kwaterą główną sił inwazyjnych na pokładzie, osiągnął kotwicowisko. Transportowce posuwały się na swoje miejsca. „Maszyny stop!” Opuszczono kotwice. Niszczyciele krążyły wokół floty jak psy wokół stada. W górę poszły balony zaporowe. Na falach kołysała się nieprzejrzana armada. Przygotować się do wejścia na barki desantowe - padł rozkaz dla piechoty, saperów i pododdziałów specjalnych. Ludzie potykali się o pokład. Spoglądali w niebo, pełni troski: czy nadlecą niemieckie samoloty? W końcu zakolysał się u brzegu pierwszy pojedynczy cel. Niemieckim pilotom wystarczyłoby tylko zrzucić bomby. Musiałyby trafić!

Ale Luftwaffe nic miała na zachodzie odpowiedniej siły bojowej. W dniu 6 czerwca na froncie inwazyjnym było wszystkiego zaledwie 319 maszyn w gotowości bojowej. Lotnictwo Eisenhowera w dniu inwazji nie tylko panowało w powietrzu, ale miało monopol w przestworzach. Brytyjskie i amerykańskie lloty powietrzne miały w Dniu-D, w Anglii, ponad 3467 ciężkich bombowców, 1645 średnich i lekkich samolotów torpedowych. 5409 myśliwców oraz 2316 samolotów transportowych. Te samoloty wykonały 6 czerwca 14 674 loty bojowe.

Czternaście tysięcy sześćset siedemdziesiąt cztery! Straty wynosiły 113 maszyn. Poszły one głównie na konto artylerii przeciwlotniczej.

fo, co stało po stronie niemieckiej, było żałosne.

Wszelkie dopominania się dowódcy 2 korpusu myśliwskiego, generała Junc-ka, w tygodniach poprzedzających inwazję, o przysłanie co najmniej dwóch skrzydeł samolotów myśliwskich celem niedopuszczenia do rozbicia centrów komunikacyjnych i zaopatrzeniowych, były głosem wołającego na puszczy. Dowództwo

Luftwaffe nie mogło niczego dać, bo nic więcej nie miało. Każda maszyna myśliwska była potrzebna do obrony niemieckich zakładów uwodornienia, takich jak Police koło Szczecina i Leuna koło Halle, przed alianckimi nalotami w połowie maja, a mającymi na celu dalsze obniżenie produkcji benzyny.

Dlatego też flota inwazyjna Eisenhowera mogła się pod Normandią spokojnie kołysać na falach. Czołgi pływające mogły prostym kursem płynąć ku wybrzeżu. Tańczące na wzburzonych falach barki desantowe mogły bez przeszkód wypełniać się piechurami.

Te 319 samolotów, które feldmarszałek Sperrle 6 czerwca miał w gotowości bojowej, w tym 100 myśliwców, niewiele mogło wskórać. Dwanaście niemieckich samolotów myśliwsko-bombowych podjęło uderzenie na rejon lądowania aliantów. Z tego dziesięć natychmiast uwikłało się w walki powietrzne i musiało zrzucić bomby przed czasem.

To był jeden z tych faktów, które ujawniły się już o świcie 6 czerwca i rzutowały na dalszy przebieg wszystkich walk: słabe niemieckie lotnictwo nie było w stanie wdrzeć się pod potężny parasol powietrzny, przykrywający obszar operacji inwazyjnej Eisenhowera. Stosunek sił był jak 1.50. Luftwaffe została wymanewrowana.

Najważniejszy środek walki dnigiej wojny światowej został z rąk niemieckiego dowództwa wytracony. Luftwaffe załamała się na wymogach dnia przerastających jej możliwości. Sama uwikłana w ciężkie walki obronne wojsk lądowych na wschodzie i na południu, zmuszona była tworzyć nad Rzeszą punkty intensywnej obrony, stacząc nocą obfitujące w straty bitwy powietrzne przeciwko falom bombowców RAF, a w dzień przeciwko atakom bombowców i myśliwców 8 i 15 Floty Powietrznej USA, które nadlatywały z Włoch i z Anglii. Alianci zdobyli powietrze. 1 inwazja została rozstrzygnięta w powietrzu i z powietrza.

To, że nielicznym niemieckim myśliwcom, wylatującym po wiele razy dziennie, udawało się zestrzelić sporo nieprzyjacielskich samolotów, jak również zatopić jeden krążownik i pół tuzina kutrów torpedowych, świadczy tylko o odwadze i umiejętnościach lotniczych poszczególnych pilotów, ale nie zmienia to faktu, że niemieckiej obronie w Normandii brakowało dwóch decydujących rodzajów wojsk: lotnictwa i marynarki.

Kutry torpedowe wypływają

Jedna niemiecka operacja floty, jedna mała, całkiem nieduża akcja, pokazuje, co się mogło wydarzyć, jakie niebezpieczeństwa pomimo całej przewagi zagrażały przedsięwzięciu Eisenhowera.

Alami dla sił marynarki w bazach na francuskim wybrzeżu wyszedł z paryskiego sztabu Marinegruppe West* około godziny 1.50. Otrzymał go także ko-

* Grupa Marynarki Zachód.

mandor podporucznik Heinrich Hoffmann, dowódca 5 flotyli kutrów torpedowych w Hawrze. Po pierwszych meldunkach o podplywaniu nieprzyjacielskich sił morskich przyszedł rozkaz: „Wyplýwać dla rozpoznania!” O godzinie 3.30 Hoffmann wyplýnął z trzema kutrami T 28, „Jaguar” i „Mówé”. Ci huzarzy pomknęli w morze jak rekiny poprzez toczące się fale. Pędzili przez La Manche, o godzinie 4.30 natknęli się na ścianę sztucznej mgły. Przepłynąwszy przez nią-ujrzeli przed sobą armadę inwazyjną Eisenhowera. Zasłoniła się mgłą w ochronie przed niemiecką artylerią nadbrzeżną.

Hoffmann i pozostali dwaj dowódcy nieźle się przestraszyli. Jak daleko sięgnąć spojrzeniem, ciągnęła się nieprzejrzana flota.

- Chłópie, tyle okrętów nie ma nawet na świecie - powiedział mistrz pompowni na „Jaguarze”, Heinrich Frómke. Tego olbrzymiego stada okrętów pilnowało 6 pancerników, a wokół nich krążyły dwa tuziny niszczycieli. Komandor podporucznik Hoffmann, stojąc na T 28, obserwował tę scenierię jak urzeczony. Mimo to poszedł do ataku jak na ćwiczeniach.

Angielskie pancerniki „Warspite” i „Ramillies” zauważyły niemieckie kutry torpedowe i otworzyły ogień. Niemiecka flotylla szła dalej zygzakiem. Przy zawracaniu wypuszczono torpedy, 18 śmiertcionośnych węgorzy wyleciało z rur kutrów. Oficerowie wachtowi na angielskich okrętach wojennych widzieli zbliżające się niebezpieczeństwo. Wykonując zuchwałé manewry zdołali uniknąć niebezpieczeństwa. Ale jeden norweski niszczyciel nie zdołał zejść z kursu torped i trafiony w śródokręcie. wyleciał w powietrze. Tymczasem Hoffmann ze swoimi kutrami torpedowymi zniknął za ścianą mgły.

Wyplýnęły również jednostki 5 i 9 flotyli ścigaczy, które stały w bunkrach portowych Cherbourga. Ale także ci śmiali, szybcy myśliwi, którzy wyplýnęli na swoich jednostkach wyposażonych w trzy dieslowskie silniki Daimler-Benz. każdy o mocy 200 KM, rozwijające prędkość 80 kilometrów, uzbrojone w dwie wyrzutnie torpedowe, działko plot. i karabiny maszynowe, nie byli w stanie przeciwstawić się pływającym fortecom, które wokół ubezpieczały flotę inwazyjną. Obie flotyлле przedarły się wprawdzie później do Hawru, zostały jednak rozbite za pomocą specjalnych rajdów alianckich zespołów bombowych. Kapitan Johansen, dowódca 5 flotyli ścigaczy, poległ pod gradem bomb. Godzinę wcześniej otrzymał Krzyż Rycerski.

Gniazdo oporu nr 62

Starszy szeregowiec Hein Severloh, rolnik z Metzingen koło Celle, stał w dołku strzeleckim gniazda oporu nr 62 i za pomocą lornetki dowódcy baterii przeszukiwał ciemne, mgliste morze rozciągające się przed wydmami pod Colleville.

Wachmistrz Krone siedział przy wejściu do bunkra, w którym mieścił się punkt obserwacyjny 1 baterii 352 pułku artylerii.

- Co widzisz, Mein? - pyta Krone.

Nic się nic dzieje. W ogóle nic. Ten wielki okręt stoi sobie na morzu całkiem spokojnie. Ale zbliża się więcej okrętów. Teraz nasi artylerzyści z marynarki, tam w Port en Bessin, wystrzeliwiają sygnały świetlne, dwa czerwone i dwa zielone. Widocznie chcą dokładnie wiedzieć, co się dzieje. Ale okręty nie odpowiadają. Tym samym ci z Port en Bessin powinni się zorientować, że tamci bracia są z innego numeru poczty polowej.

Krone wszystko, co melduje Hcin Sevrloh, przekazuje przez otwarte drzwi bunkra porucznikowi Frerkingowi. Ten siedzi w bunkrze przy telefonie i czeka na swoją chwilę. Chwilę, w której będzie mógł czterem haubicom 105 mm swej 1 baterii, zajmującej stanowiska pod Kouttville, przekazać przez telefon dane ogniowe i rozkaz do otwarcia ognia.

Być może zajmują sobie czas - uważa podporucznik Grass, oficer ogniowy baterii.

- Może nie mają nas w swoim kalendarzu - śmieje się dowódca baterii. Od godziny 1.30 był ze swoimi chłopcami na stanowisku ogniowym baterii. Po zaalarmowaniu ich przez dowódcę dywizjonu majora Pluskata powyskakiwali ze swych przytulnych kwater w chłopskim domu Monsieur Fernanda le Granda w Houtteville i w największym pośpiechu pędzili na stanowiska. Punkt oporu dowodzony przez sierżanta Pich z dziewiętnastoma ludźmi załogi był już w gotowości alarmowej.

- Przelot bombowców nad chmurami - woła wachmistrz Krone. Nad słuchują. Tak, nad nimi drży powietrze. I oto zaczyna się piekielny taniec

wybuchów. Wciągają głowy w ramiona. Ale tylko dwie bomby spadają na gniazdo oporu. Wszystkie pozostałe idą w teren położony z tyłu. Przyglądają się sobie nawzajem. Oddychają.

Frerking wywołuje stanowisko ogniowe.

Po drugiej stronie odzywa się starszy wachmistrz Frnst Ludwig Meyer, który tak się melduje w odróżnieniu od wszystkich innych Meyerów.

- Co się u was dzieje? - pyta porucznik.

- Ani jednego trafienia w całym rejonie baterii - melduje Meyer. Frerking spogląda ku Grassowi: - Żadnego zadrapania przy działach, całe to

„dobrodziejstwo” poszło obok, tak jak u nas.

Grass promienieje. - Być może oni rzeczywiście nic od nas nie chcą.

Gdyby wiedział, co się właśnie w tej chwili wydarzyło u nieprzyjaciela, to byłby mniej optymistycznie nastawiony. To nie rozum planisty ich oszczędził, tylko owo słynne szczęście wojenne. Przypadek rozstrzygnął na ich korzyść. 329 bombowców B-24 miało za zadanie zdruzgotać gniazda oporu na liczącej sześć kilometrów długości plaży „Omaha”, za pomocą 13 000 najcięższych bomb, i wyłączyć z walki baterie na stanowiskach ogniowych. Z powodu niskiego pułapu chmur bomby trzeba było zrzucić „na ślepo” według instrumentów. Czas lotu i sekunda zrzutu były dokładnie obliczone. Jednakże w ostatniej minucie sztabowcom 8 Floty Powietrznej odmówiły posłuszeństwa nerwy, w obawie, że bomby mogą polecieć na linie własnych sił lądujących i rozkazał przesunięcie czasu zrzutu o parę sekund. Parę sekund - i 13 tysięcy bomb poszło obok. To były z pewnością bardzo kosztowne sekundy, generał Eisenhower musiał je bowiem okupić życiem wielu żołnierzy amerykańskich.

Hein Sevcrlloh i wachmistrz Krone zapalili papierosy.

- Co ze śniadaniem? - wołał Frerking przez otwarte drzwi bunkra. Scverloh przyniósł bochenek chleba żołnierskiego ze swego chlebaka. Pokroił w cienkie kromki i posmarował grubo masłem. Panowała zadziwiająca cisza. Nagle kurtyna oparów wisząca nad morzem rozerwała się. Frerking wyszedł na zewnątrz. Na śniadanie. Po raz pierwszy przyłożył lornetkę do oczu. Oparł się o ścianę bunkra. - Człowieku - powiedział tylko - człowieku, oni już tu są. To, co on widział, ujrzeli w tym momencie wszyscy oficerowie i żołnierze w punktach oporu i gniazdach oporu położonych na plaży „Omaha”. I wszyscy, także tutaj, wydali ten sam okrzyk zdziwienia i strachu:

- Flota!

Porucznik Frerking stał jak skamieniały i powtarzał w kółko: - To nie może być. to nie może być... Polem wcisnął lornetkę do rąk Grassa i pobiegł pędem do bunkra. Wkrótce i starszy szeregowiec zobaczył na własne oczy to, co wytrąciło jego dowódcę baterii z równowagi: Flota! Okręty! Wielkie i małe, z wieżami, nadbudowami, kominami, antenami i tymi groteskowymi balonami zaporowymi. Niczym tajemnicze miasto wynurzające się rannym świtem, oblane wschodzącym światłem, nierzeczywiste, połyskujące złościście miasto. A zaraz potem starszy szeregowiec Scverloh zawołał: - Wielki okręt płynie ku wybrzeżu, na lewo od wzgórza Vicerville barki desantowe w drodze na plażę!

W tej samej chwili powietrze zaczęło drgać według jakiegoś nowego tonu. Drżenie narastało tocząc się i hucząc: ciężkie działa okrętowe kładły swój ochronny ogień zaporowy przed silami lądującymi.

Pierwsze trafienia położyły się za pozycją punktu oporu 62. Widoczne było, że celem ataku jest górująca nad otoczeniem, świeża bryła bunkra. - Wciąż bliżej środka, wciąż, bliżej środka - mruczał Scvelloh.

Przyskoczył sierżant Pich, dowódca plutonu stanowiącego załogę punktu oporu. Krwawił na szyi. - Mały odłamek, nic poważnego - machnął ręką. - U was wszystko jasne? - Scverloh uśmiechnął się gorzko: Na razie, tak. - Pielik spojrział w dal ku wielkiemu transportowcowi, który stał przed ich punktem oporu. Teraz schodzą do wody - zawołał. I pobiegł na swe stanowisko bojowe.

Severloh meldował spokojnie do bunkra B: „Oddziały lądujące schodzą z pokładu wielkiego transportowca”.

Przyszedł wachmistrz Krone. Spojrział w kierunku morza. Czy oni zgłupieli? Chcą tu dopłynąć? Dokładnie pod naszą flintę?

Rzeczywiście płynęli 200 metrów przez niespokojne morze. Potem trzymali się liny. Brodzili po pierś w wodzie. Żaden strzał nie padł z WN 62*. Pułkownik Goth i pułkownik Korfes, dowódcy obu pułków grenadierów 916 i 726, które stały na odcinku wybrzeża 352 dywizji, pomiędzy ujściem Vire i Port en Bessin, natychmiast po zakończeniu bombardowania z powietrza i z morza wezwali przez nietknięte przewody telefoniczne wszystkie punkty oporu i każdemu dowódcy surowo przykazali: „Strzelać dopiero wtedy, kiedy nieprzyjaciel znajdzie się bezpośrednio przed plażą”. Żołnierze przy armatach i karabinach maszynowych trzymali się rozkazu. 352 dywizja piechoty z plaży „Omaha” czekała.

W gnieździe oporu 62, na stanowisku B, czeka także Severloh ze swoim MG 42**. W bunkrze przy telefonie siedzi Frerking: „Cel Dora, drugi ładunek, zapalnik uderzeniowy, cała bateria plus 20 od kierunku głównego, cztery tysiące osiemset pięćdziesiąt”, przekazuje oficerowi ogniowemu baterii znajdującemu się na stanowisku ogniowym baterii pod Houtteville. Spokojnie dodaje: „Czekać na rozkaz do otwarcia ognia!” Severloh pochyla się nad karabinem maszynowym. Na lewo, przy zboczu, widać dołki strzeleckie z trzema karabinami maszynowymi załogi punktu oporu, z przodu stanowisko moździerza. Przed wydumą leżą piechurzy. Za stanowiskiem B, tuż przy bunkrze radiotelegrafisty, stoją jeszcze dwa z tych skutecznych rodzajów uzbrojenia piechoty. I na tym koniec. Amerykanie, którzy wyszli z transportowca, brodzą w wodzie sięgającej im do kolan. Odległość 400 metrów. „Cel Dora, ognia!”, woła Frerking do telefonu.

Dwudziestojednoletni Hein Severloh nie jest żołnierzem z powołania. To rolnik. Nigdy nie rwał się do czynów bohaterskich. Jest łącznikiem dowódcy baterii i wykazał swoje zdolności w organizowaniu masła, jajek, zwykłego jabłecznika i markowego Calvadosu. Ale teraz musi strzelać. Wojna wyraźnie wskazała mu jego rolę. I strzela. Zgina palec. „Sikawka” zaczyna terkotać. Uderzenia kładą się w wodzie. Potem chwytają pierwszy szereg brodzących Amerykanów. Chwytają i już nie puszczają. Z lewej strony szczekają karabiny maszynowe punktu oporu. Zaczyna się ujadanie moździerzy. Gwiżdżąc, nadlatują granaty 1 baterii z Houtteville, przelatują górą i kładą ogień zaporowy na plaży.

Bloody „Omaha”

W amerykańskich planach lądowania odcinek plaży, gdzie znajdowało się gniazdo oporu 62, nosił nazwę „Fox green”. Dwie kompanie amerykańskiego 16 pułku piechoty miały tutaj z wypadu opanować przyczółek. Skacząc w wodę ze

* WN - *Witlcrstaiul Nest*; gniazdo oporu.

** Wzór karabinu maszynowego, chyba najlepszego z czasu drugiej wojny światowej.

/ _ , Lądowanie na plaży Omaha

Rejony lądowania „Easy red” i „Fox green” weszły do amerykańskiej historii wojny jako „Bloody Omaha”. swego transportowca, byli niezłomnie przekonani, że na plaży nie ma już ani jednego sprawnego niemieckiego działa, że nie wystrzeli żaden karabin maszynowy, że żaden grenadier nie będzie leżał za karabinem. Kiedy więc karabin maszynowy Heina Severloha skosił pierwszy szereg do wody, w tym samym momencie nadzieja na osiągnięcie szybkiego sukcesu spłynęła krwią.

Odpływ ustał. Woda już nie splywa. Ale przypyły jeszcze się nie zaczął. Dlatego też martwi leżą na płyciźnie, ranni czołgając się szukają za ich ciałami osłony przed seriami karabinu maszynowego. Ten, kto mimo straszliwego ognia obrony dochodzi do suchego brzegu, szybko zagrzebuje się w dołek w piasku, aby znaleźć ochronę, lub też czołga się za lorami polowej kolejki żelaznej. I tam właśnie porucznik Frerking ze stanowiska B w bunkrze, kieruje ogień zaporowy swych 105 mm haubic spod Houtteville. O godzinie 8.00 ani jeden z amerykańskich piechurów nie osiągnął jeszcze podnóża wydm WN 62.1 tak jak tu, na odcinku „Fox

green", tak samo było też bardziej na zachód pod Colleville, w rejonie Vierville, na odcinkach oznaczonych na amerykańskich mapach jako „Dog green”. Tam plażę miały wziąć bataliony szturmowe 116 pułku piechoty wspierane przez czołgi pływające. Ale czołgi pływające nie podołały wzburzonemu morzu. Zaledwie dwa z nich osiągnęły plażę, ale tylko po to, aby zostać zestrzelonymi przez artylerię.

Tym samym załamał się plan torowania drogi piechocie czołgami na kamienisty piasek i przez spadziste zbocza wydm. Ale plan, to plan - piechurzy byli w drodze. Stłoczeni, zmarznięci na kość, płynęli na wąskich barkach desantowych ku plaży. Nad nimi grzmiały działa okrętowe. To było jak jakieś czary: ich ogień leżał za daleko w tyle, za niemieckimi stanowiskami. Jeszcze gorzej myliły się barki artyleryjskie z zamontowanymi działami raketowymi. Ogień niemieckiej artylerii nadbrzeżnej nie pozwalał szerokim promom marynarki aliantów na odpowiednie zbliżenie się do wybrzeża. Dlatego wystrzeliwali swoje salwy raketowe ze zbyt dużej odległości. I zamiast na pozycjach niemieckich, granaty wybuchały w wodzie, przed linią plaży i swym szerokim polem rażenia kładły śmiertelny ogień zaporowy przed własną piechotą.

Z powiewającą Hagą piany na dziobie pędziły ku brzegowi wielkie barki desantowe pierwszej fali. Sześć sztuk. Dwie zostały uchwycone przez artylerię niemiecką i zatopione. Cztery podeszły do pierwszej mielizny, wjechały w nią i opuściły rampy. GI*s skakali w wodę sięgającą im do piersi. I zaczęli brodzić pod ogień niemieckich karabinów maszynowych. Któż może lepiej przedstawić to, co się tam działo, jak nie amerykańscy piechurzy, którzy to piekło przeżyli. W kronice 1 batalionu 116 pułku piechoty napisano: „Nieprzyjaciel czekał na właściwy moment. Wszystkie nasze barki dostały się w krzyżowy ogień karabinów maszynowych. Ludzie, którzy z barek wyskakiwali do wody, padali i tonęli. Utrzymanie porządku było niemożliwe. Każdy miał tylko jedno życzenie, dostać się na brzeg, i wszyscy sądzili, że będzie to możliwe, kiedy rzucą się do wody i oddalą spod gradu pocisków kładącego się wokół barek. Ale uzbrojenie było za ciężkie. Większość musiała walczyć tylko o to, aby utrzymać się na wodzie. Byli poranieni. Topili się. Tylko nieliczni wyszli nietknięci na plażę. Kiedy zorientowali się, że tam nie ma ukrycia, wracali z powrotem do wody, kładli się poziomo i wystawiali tylko głowy. Ze wzbierającym przyplływem czołgali się do przodu. Ukrywali się za przeszkodami ustawionymi przed plażą i wślizgiwali powoli na suchy piasek.

Kompania A była wyczerpana w ciągu 10 minut. Wszyscy jej oficerowie i podoficerowie polegli lub byli ranni. Po 20 minutach z kompanii szturmowej A pozostała mała, opuszczona grupka rozbitków, myśląca tylko o tym, aby przeżyć i uratować życie”.

Jak na odcinku Vicerville - Saint Lament, w pasie „Dog green”. tak samo było z drugiej strony, na odcinku „Fox green” i „Easy red”. Wszystkie kompanie, które szły za kompaniami szturmowymi, spotkał ten sam los. Ich barki desantowe wyleciały w powietrze. Czołgi pływające eksplodowały pod zmasowanym ogniem dział przeciwpancernych. Kto wyszedł na brzeg, chował się w dole piaskowym.

szukał schronienia za martwymi ciałami poległych kolegów, zagubiony, na wpół oszalały ze strachu. - Sanitariusz, sanitariusz - rozlegały się wołania poprzez huczące płomienie i terkot serii karabinów maszynowych. Ale sanitariusze sami byli ranni lub leżeli martwi na plaży i w wodzie.

Nawet kiedy czołgowi udało się przejść przez przeszkody ustawione przed plażą, to pozostawał na wąskim pasie pomiędzy wodą a zaminowaną kamienną mielizną, ponieważ saperzy nie byli w stanie pod ogniem niemieckiej obrony zrobić przejść w polach minowych.

Oddziały szturmowe amerykańskiej 1 dywizji oraz pododdział brygady saperów wspinały się na piaszczyste zbocze o wysokości niemal 30 metrów. Ani kroku nie poszli dalej. 352 dywizja generała Kraissa z jej doświadczonymi w bojach żołnierzami nie dopuszczała ich do wykonania decydującego skoku. W chwili gdy nieprzyjaciel zaczął lądować, dywizja znajdowała się w trakcie ćwiczeń alarmowych, tak więc przyjęła GLs jak na manewrach. Dowód na ujemny wpływ niezaalarmowania pozostałych odcinków wybrzeża.

Amerykanom na plaży „Omaha” pozostał tylko ofiarny stos. Ale plan realizowano. A wymagał on, aby na plażę „Omaha” pędzić jedną falę lądujących oddziałów za drugą, niezależnie od tego, jak wielkie żniwo zbierała śmierć. Jedna z grup bojowych słynnych „Rangers” próbowała wziąć śmiertcionośne stanowiska ogniowe na stromych zboczach zachodniego odcinka „Omaha”. Za pomocą specjalnych miotaczy wystrzeliwali na skałki i zbocza wydmy liny z hakami abordażowymi oraz drabiny sznurowe. Zabrali z sobą, z londyńskiej straży przeciwpożarowej, wysuwane drabiny, celem pokonania groźnego, stromego zbocza. Widok przypominał średniowieczne obleganie murów miasta. Niemieccy obrońcy przecinali powrozy, przewracali drabiny szturmowe, spychali odłamki skał na wspinających się i strzelali z karabinów maszynowych, a także rzucali granaty ręczne w dół zbocza. To było straszne.

Odcinek „Omaha” miał sześć kilometrów długości. 6 tysięcy metrów. A cztery godziny po pierwszym ataku, na tym pasie piasku i drobnych kamieni, leżało 3 tysiące martwych lub ciężko rannych żołnierzy. Co dwa metry zabity albo ciężko ranny, na długości sześciu kilometrów - straszliwy łańcuch złożonego w ofierze życia.

Meldunek bojowy amerykańskiego V korpusu, z. godziny 8.30 (czasu niemieckiego), dał deprymujący obraz sytuacji: „Jednostki szturmowe w rozkładzie. Bardzo duże straty. Nieprzyjacielski ogień nie pozwala na przeskok

linii plaży. Nagromadzenie wysadzonych na ląd oddziałów na bardzo wąskiej przestrzeni. Saperzy nie mogą wykonać przejść w polach minowych i wysadzić w powietrze przeszkód ustawionych przed plażą. Czołgi i pojazdy stoją bez ruchu na wąskim pasie plaży. Obok jednostek 716 dywizji piechoty, ustalono także obecność oddziałów z 352 dywizji". Wniosek z meldunku był taki: Wał Atlantycki trzyma się. Generał Omar Bradley, dowódca amerykańskiej 1 armii inwazyjnej, spoglądał przygnębiony na ten meldunek. Jak to było możliwe? Jak można było tak się

pomylić w ocenie siły oporu niemieckiej linii obronnej? Jak doszło do tego, że grupa bojowa 116 pułku rozbiła na plaży gniazdo oporu, w którym znaleziono ludzi z 352 dywizji piechoty? A przecież sądzono, że cały odcinek pomiędzy ujściem rzeki Orne a ujściem Vire jest obsadzony przez jedną tylko dywizję, mianowicie 716? Jak aliancka służba wywiadowcza mogła się aż tak pomylić? Jak mogła? Przecież dotychczas była zawsze bardzo dokładnie poinformowana o niemieckim froncie obrony. Jak do tego doszło?

W maju feldmarszałek Rommel przeprowadził zmianę. Pełnokrwista, hanowerska 352 dywizja zmotoryzowana, dowodzona przez doświadczonego dowódcę, generała Kraissa, została przesunięta z rejonu Saint Ló, położonego daleko od wybrzeża, do przodu na lewy odcinek 716 dywizji piechoty generała Richtera, która dotychczas zajmowała długi odcinek frontu pomiędzy Orne a Vire. General Richter musiał jednak 1 i 3 batalion swego 726 pułku grenadierów pozostawić na starych stanowiskach obronnych. Były one podporządkowane pułkownikowi Korfcowski, dowódcy jednego z pułków 352 dywizji. Z tyłu Rommel rozmieścił 916 pułk grenadierów. Lewe skrzydło wzmocnił dodatkowo pododdziałami 914 pułku grenadierów podpułkownika Heyna. W ten sposób główny agent aliantów odpowiedzialny za sektor wybrzeża Colleville-Vierville został wyprowadzony w pole. Wreszcie, w końcu maja, spostrzegł swoją pomyłkę, kiedy stwierdził, że na wschód od ujścia Vire rozlokowane są oddziały jakiegoś nowego związku, ze sztabem koło Littry. Agentowi wyraźnie nic dopisywało szczęście. W pośpiechu wysłał ważne informacje przez gołębia pocztowego. Wkrótce potem wysłał za nim następnego. Ale tym razem - generał Przypadek był po stronie niemieckiej. skierował bowiem na ptaki śrutową flintę jednego z anonimowych niemieckich piechurów z 716 DP, który zestrzelił obydwu gołębic. Tym samymomalże nie wygrał jednej bitwy.

Amerykańskie źródła najnowszej daty donoszą, że generał Montgomery, brytyjski dowódca sił lądowych, otrzymał przed lądowaniem informację o przesunięciu 352 dywizji piechoty i przekazał ją dalej, ale w niewyjaśniony sposób meldunek gdzieś się „zawiesił”.

Jak było, tak było. Generał Bradley, znajdując się 6 czerwca o godzinie 9.00 na pokładzie okrętu flagowego „Augusta”, nie wiedział dlaczego tak się stało, że na plaży „Omaha” czekała na niego doświadczona w walkach niemiecka dywizja i nikt go o tym wcześniej nic powiadomił. Wiedział tylko, że jego sprawy na plaży wyglądały źle. Toteż miał zamiar około południa przerwać tę całą operację. Jednakże o krwawej bitwie na osławionej plaży „Omaha” rozstrzygnęło pół tuzina dalszych niemieckich błędów.

Błąd i Przypadek to wszakże najważniejsi generałowie wszystkich wojen. Tak już było u Persów, Greków, Rzymian, przy Wallensteinie i Gustawie Adolfie. Prawda ta, w *Wojnie i Pokoju* zostaje przedstawiona przez

Tolstoja, jako jeden z najważniejszych czynników militarnej próby sił. Podczas inwazji 1944 r. generał Przypadek także miał głos decydujący.

W Niemczech, w kwaterze głównej fuhrera, rankiem 6 czerwca panowało wciąż jeszcze błędne przekonanie, że lądowanie w Normandii jest tylko nieprzyjacielskim manewrem odciągającym. A rzeczywista inwazja stoi w gotowości w rejonie Calais i dlatego odwodów nie należy trwonić przeciwko jakiemuś tam „atakowi pozornemu”. Także Dowódca Zachód, feldmarszałek von Rundstedt, skłaniał się ku temu pogładowi, chociaż doświadczeni dowódcy frontowi wyższych i niższych szczebli, jak również oficerowie rozpoznania szczebla dywizyjnego oraz 84 korpusu wnioskowali jasno i wyraźnie: lądowanie w Normandii jest inwazją.

Jednakże Dowódca Zachód nawet jeszcze późnym przedpołudniem 6 czerwca nie mógł się zdecydować na zajęcie jasnego stanowiska. Meldował do kwatery głównej fuhrera: „Na razie nie ma jeszcze wyraźnego obrazu, czy mamy do czynienia z dywersją, czy z atakiem głównym”. Jeszcze nic ma wyraźnego obrazu! Ten nie do darowania błąd niemieckiego dowództwa, do którego doszło za sprawą wyrafinowanych przedsięwzięć dezinformacyjnych alianckich służb wywiadowczych sugerujących, że inwazja nastąpi w Pas de Calais, a każde inne lądowanie jest tylko wyprzedzającym manewrem pozornym - awansował u Hitlera, niemieckiego naczelnego dowództwa i wyższych dowódców na Zachodzie do rangi strategicznego dogmatu, paraliżującego intelekt operacyjny dowództwa Wehrmachtu.

I tak oto wszelkie uzasadnione meldunki 84 korpusu i jego doświadczonego dowódcy, generała Marcksa, oddziału rozpoznania, dywizji na wybrzeżu, pojedynczych sztabów Luftwaffe, a przede wszystkim jasnych meldunków dowództwa Grupy Marynarki Zachód, z przyczyn całkowicie niezrozumiałych pozostały niezauważone.

Wymienione dowództwo Grupy Marynarki Zachód było organem odpowiedzialnym za wykorzystanie sił marynarki na zachodzie i 6 czerwca o godzinie 3.10, przekazało telefonicznie do Grupy Wojsk B informacje pochodzące z jego placówek na obszarze Normandii: „Setki okrętów płyną kursem południowym”. Trzy godziny później o 6.35 wpłynął meldunek o pierwszych wielkich lądowaniach.

Kiedy Grupa Marynarki wykryła, że Dowódca Zachód, pomimo jej meldunków, nie wierzy w wielkie lądowanie, to szef sztabu o godzinie 4.30 z uporem, przez telefon, powtórzył swój meldunek do szefa sztabu Rundstedta, generała Blumentritta. Ale ten piekielny dogmat okazał się nie do przełamania!

Tak więc dowódcy dywizji na próżno prosili o pomoc. Zaklinali, błagali, przeklinali - nadaremnie. „To jest hańba”, denerwował się zwykle opanowany generał Marcks, kiedy nie dostał do swej dyspozycji 21 dywizji pancernej.

Jednak meldunki sytuacyjne Rundstedta raczej utrwały w OKW pogląd, że to nie jest jeszcze operacja na wielką skalę i że odwodów nie należy uruchamiać.

Ale bo też człowiek, który swym przysłowiowym instynktem, węchem lisa pustyni, przejrzałby w mig sytuację i był władny nadać moc swej ocenie, nie był w zasięgu frontu. To także jeden z niezgłębianych przypadków losu. Błąd w ocenie sytuacji meteorologicznej odsunął daleko od wielkich dramatycznych wydarzeń człowieka, który posiadał odwagę, autorytet i wystarczające kompetencje, aby obejść zarządzenia kwatery głównej fuhrera. Po długich frontowych miesiącach, przesiedział 6 czerwca parę godzin w wirtemberskim Herrlingen przy urodzinowym stole swej żony, a potem chciał jeszcze pojechać z meldunkiem do Hitlera. Na front powrócił o całych dwanaście godzin za późno, aby móc odegrać istotną rolę w decydującej fazie inwazji.

General Błąd unieruchomił feldmarszałka Rommla na przeciąg pierwszych godzin działań. To on, kapryśnie i nieobliczalnie, uitorował generałowi Bradleyowi drogę do sukcesu. Podczas gdy na plaży „Omaha” kryzys atakujących sięgał już zenitu, do Bradleya doszło parę niedokładnych, pięknie ubarwionych meldunków od obserwatorów marynarki. Do tego doszedł jeszcze radiogram do dowódcy amerykańskiej 1 dywizji, generała Hucbnera, który zrozpaczonemu sztabowi armii dał nowy napęd. Pułkownik Talley, zastępca szefa sztabu V korpusu, przekazywał przez radio:

„Barki desantowe roją się u wybrzeża niczym stado bydła, które wpadło w panikę i waha się wyjść na ląd. To, co z pojazdów i czołgów dostało się na brzeg, nie posuwa się naprzód. Gniazda oporu muszą być zniszczone. Za wszelką cenę. W innym wypadku przegramy ten wyścig”.

Wyścig praktycznie już był przegrany. Odważny dowódca 916 pułku grenadierów reagował błyskawicznie i na czele przeciwuderzenia z częścią 5 kompanii podporucznika Backhausa, razem z saperami robót ziemnych, odrzucił Amerykanów w walce wręcz. Za pomocą paru karabinów maszynowych nie dopuszczono do próby otoczenia gniazda oporu nr 67. Amerykanie zalegli na wybrzeżu i nie mogli postąpić ani kroku naprzód.

Zbyt szybki meldunek do sztabu 84 korpusu sprawił wrażenie, że przeciwnik jest już odrzucony i odwód, który miał mu zadać ostatni cios, zabrano z frontu, aby go rzucić na inny odcinek wybrzeża. Cóż za fatalna decyzja! Ale w tym samym momencie generał Bradley podjął ostatnią rozpaczliwą próbę: rozkazał flocie położyć ogień artyleryjski na wybrzeże, bez względu na znajdujące się na plaży wojska własne. To była decyzja jednej chwili. Teraz gniazda oporu i stanowiska artylerii stały się celami punktowymi bezlitosnego ostrzału 380 mm i 406 mm granatami dział okrętowych.

W bunkrze bojowym 916 pułku piechoty działał pułkownik Goth. W blok betonowy waliły granaty, jak podczas jakiejś tropikalnej burzy. Pułkownik spojrzął na świecąca tarczę zegarka ręcznego: godzina 9.20. Z prędkością błyskawicy, w krótkich odstępach czasu poprzez otwory strzelnicze przenikały ognie wybuchów. Wszystko tonęło

w upiornym świetle. Potem znów rozproszona poświata zmierzchu. Nie można było dostrzec, czy słońce świeci, czy też niebo ogarnęły chmury- Niebo i horyzont ginęły w dymie, rozdzielane błyskami wybuchów.

- Czy telefon na stanowisko dowodzenia dowódcy dywizji działa jeszcze? -Podoficer łącznościowiec przełożył dźwignię na łącznicy telefonicznej: - Jest połączenie, panie pułkowniku. Goth rozmawiał z generałem Kraisscm: - Artyleria okrętowa rozbija nasze punkty oporu. Amunicji zaczyna brakować. Potrzebujemy pilnie zaopatrzenia, panie generale. - Zamiast odpowiedzi rozległo się „krrk”. Przewód został uszkodzony.

Na stanowisku ogniowym 1 baterii 352 pułku artylerii stał kapral Pecscl przy 1 dziale i ze spokojem piwosza wydawał rozkazy. Haubica 105 mm grzmiała całkiem ładnie. Alejak długo jeszcze?

„Oszczędzać amunicję”, przyszedł rozkaz z dywizjonu. -Tak jakbyśmy sami

o tym nie wiedzieli - narzekał Pcescl. - Cholerni idioci, dlaczego zabraliście nam granaty? - Złościł się sam do siebie. Dwa tygodnie przed inwazją zabrano połowę amunicji ze wszystkich baterii na tyły: w bezpieczne arsenały amunicyjne!

Teraz zapasy topniały. Pułkownik Ocker, dowódca 352 pułku artylerii, obiecał

1 baterii jeden samochód ciężarowy zaopatrzenia: - Już do was jedzie!

Tak, jechał. Podjechał pod stanowisko. Ale potem dostał uderzenie 400 mm granatu z działa okrętowego, buchnął płomieniem i wyleciał z całym ładunkiem.

Kiedy porucznik Frerking z WN 62 zażądał ognia salwami przeciwko podpływającym barkom desantowym, to oficer ogniowy baterii poinformował go:

-Rozkaz od dowódcy dywizjonu. Z powodu niedostatku amunicji prowadzić tylko ogień pojedynczy, panie poruczniku. - Jak ru ogniem pojedynczym zwalczać lądującą piechotę? Kolejny, zasadniczy błąd niemieckiej obrony przeciwinwazyjnej rzuca się w oczy: niedostateczne stosowanie zmasowanego ognia artylerii¹

Hein Severloh oddał ze swego karabinu maszynowego 12 000 strzałów. W dole, na plaży, leżą zabici. Na ich hełmach widnieje biała jedynka, znak 1 dywizji, jej połysk widać na górze. Ale i w punkcie oporu sprawy źle się mają. Artyleria okrętowa rozbiła moździerz, wyrównała rowy strzeleckie, zdziesiątkowała piechurów. Teraz Amerykanie podchodzą na wielkich promach, na których stoją lawety z karabinami maszynowymi i czołgi.

Pierwszy jeep z zamontowanym karabinem maszynowym zjeżdża na ląd. Podporucznik Grass zwraca się w lewo, gdzie leży sierżant Piel i woła: - Podaj granat karabinowy! - Piel przynosi podporucznikowi granatnik karabinowy, który nakłada się na karabin i można z niego wystrzeliwać granaty karabinowe: jest to moździerz piechura. Grass zna się na tym. Na początku wojny był podoficerem i zna karabin. Strzał. Granat pędzi w jeepa.

Strzał. Czołg zatrzymuje się. Teraz w niego z karabinu maszynowego. Ale na ląd już schodzi następny. Podnosi lufę swojej armaty w górę. I hucząc leci pierwszy granat w kierunku otworu strzelniczego punktu obserwacyjnego. Rozpoczęła się walka lądowa o gniazdo oporu nr 62. A taka walka przeciwko czołgowi nie może trwać długo. Karabin maszynowy MG 42 zostaje trafiony. Odłamki lecą

w twarz Severloha. Celownik jest niesprawny. Ale to nie przeszkadza. Tak czy siak ma do dyspozycji tylko taśmy amunicyjne do strzelania w nocy, z których co piaty strzał daje ślad świetlny. To zastępuje celownik. Ale też zdradza stanowisko niszczycielowi stojącemu w morzu. Ten oddaje strzał za strzałem, ogniem precyzyjnym, w kierunku okopu Scvrloha.

Na plaży czołgi jadą na lewo i prawo. Sąsiednie punkty oporu WN 61 i 59 z punktami obserwacyjnymi 2 i 3 baterii, położone bardziej na zachód, już nie strzelają. Na lewo WN 62 nie ma żadnej widoczności. Ale wygląda na to, że i tam panuje cisza. O czym załoga WN 62 jeszcze nie wie, bo o fakcie, że Amerykanie leżą już po obu stronach wydm. I podczas gdy porucznik Frerking przekazuje do baterii ostatni radiogram: „Strzelajcie ogniem zaporowym na plażę. Każdy pocisk będzie trafny. My się wycofujemy”, to w tyle, na stanowisku ogniowym nie ma już amunicji. Tylko kaprale Pcesel i Alpcn mają dla 1 i 2 działa jeszcze parę granatów. Ostatnim, następnego dnia, Pcesel zestrzeliwuje z jakiejś jodły amerykańskiego obserwatora, zanim wysadzili w powietrze swoje armaty i wycofali się na zaprzężonych w konie przodkach armat.

Na przedzie Frerking daje rozkaz do wycofywania się skokami. Pod gradem pocisków z nieprzyjacielskich czołgów i artylerii okrętowej, był to dla większości skok w objęcia śmierci. W tym także dla Frerkinga, Grassa i Pieha.

Amerykanie stali mocno na plaży „Omaha”!

1 Iein Severloh i pewien radiotelegrafista wyszli z tego cało. Przebijali się przez teren. Maszerowali wyżłobionymi w gruncie polnymi drogami. Czołgali się przez żywopłoty. W końcu wylądowali na stanowisku dowodzenia dowódcy batalionu pomiędzy Colleville a wybrzeżem. Zostali opatrzeni. Złożyli meldunek. Słyszeli jak dowódca batalionu mówił: - Czekamy tylko na czołgi. Potem przeciwuderze-nicm znów wyrzucimy stąd Amerykanów.

Czołgi wychodzą z morza

Kiedy Erwin Rommel i jego armia pancerna „Afryka” stali latem 1942 r. przed ostatnim łańcuchem wzgórz pod Iii Alamcin i szykowali się do uderzenia nad Nil, to nikt nie dawał złamanego szeląga za władzę Anglików w Kairze. Brytyjskie sztaby paliły swoje akta. Pociągi z uciekinierami do Palestyny i Jordanii były przepełnione. Dowódca wojsk brytyjskich Auchinleck planował odwrót za Nil i na południe. Rommel pewny był zwycięstwa. Tak pewny, że w czasie swego krótkiego pobytu w Berlinie, gdy poszedł na spotkanie z zagranicznymi dziennikarzami, zatrzymał się pod drzwiami sali przyjęć, przytrzymał w ręku klamkę i śmiejąc się, zawołał: „Tak samo trzymam rękę na uchwycie od bramy do Aleksandrii”. Tymczasem nad Nilem zaszło coś o decydującym znaczeniu: los postawił na scenie teatru wojennego Bernarda Montgomery'ego. Co prawda Churchill właściwie nie był mu

przychylny, lecz mus przeznaczenia - nagła śmierć wyznaczonego już następcy Auchinlecka, generała Gotta - zmusił go do wyrażenia zgody. A Montgomery, na przekór regułom postawiony na czele brytyjskiej armii w Afryce, był zdecydowany przeciwstawić temu ulubieńcowi bogini wojny, Rommlowi i jego śmiałej armii - swoją własną receptę, wobec której bezradna była gardząca śmiercią odwaga, nic nie znaczył talent improwizacyjny i bezużyteczną okazała się chytryść lisa. Tą receptą było zdanie się na bitwę materiałową, prowadzoną za pomocą paru tysięcy dział, paru tysięcy samolotów i setek tysięcy granatów. Ta stalowa ściana z dział przeciwpancernych, armat, bombowców i czołgów zatrzymała niemiecki szturm pod Alam Halfa i pod HI Alamein rozbiła Korpus Afrykański. Brytyjskie zwycięstwo w Afryce było zwycięstwem przewagi materiałowej. Ta wiktoria nie była efektem „kunsztu wodzowskiego Monly'ego”, jak tego chce brytyjska legenda*.

Kiedy marszałek polny Bernard Montgomery dowiedział się, że Rommel dowodzi frontem inwazyjnym, to było dlań jasne, że tego przeciwnika można pokonać tylko sposobem użytym pod El Alamein: wszystko miażdżącą strategią bitwy materiałowej. Dlatego jego wymóg brzmiał: „Do czołwki pierwszych oddziałów inwazyjnych należy przydzielić czołgi i ciężką artylerię”.

Ponieważ okręty transportowe z artylerią i specjalnymi czołgami przeciwko minom, przeciwko piaskowi wydmowemu i odrutowanym punktom oporu były zagrożone przez przeszkody podwodne Rommla, to Montgomery postanowił odwrócić plan Eisenhowera, lądowania w czasie przyływu. Tym samym pokrzyżował plan Rommla, tak jak mu go pokrzyżował pod El Alamein.

Niemieckie urządzenia obronne były całkowicie nastawione na lądowanie w czasie przyływu. Nikt nie przypuszczał, że przeciwnik będzie lądował przy odpływie, aby przez 800 metrów lądu biec i jechać przez otwarte pole ostrzału. Dlatego cała broń defensywna na linii wybrzeża była tak ustawiona, aby panowała nad pasem przed plażą. Montgomery uwzględnił możliwość poniesienia ciężkich strat, licząc na korzystne konsekwencje bitwy materiałowej. Przedsięwzięcie taktycznie niebezpieczne, nie wymagające szczególnego talentu dowódczego.

Miał szczęście. Jego pierwsza fala, mimo poniesienia dużych strat, zeszła na ląd dzięki waleczności oddziałów i wsparciu czołgów. Ale jednak rachuby Mont-gomery^Ago w jakiś sposób zawiodły. Wyglądało to tak:

Brytyjska 2 armia generała Dempseya miała lądować w zachodniej części wybrzeża Calvados pomiędzy Arramanchs i Ouistreham na północ od Caen, na odcinku brzegowym długości 30 kilometrów. Lądujące kolumny czołgów miały przełamać niemieckie linie obronne, nawiązać łączność z oddziałami lądującymi z powietrza na wschód od rzeki Orne, zając ważne komunikacyjnie miasta Caen

¹ Autor sii,- zagalopował i najwyraźniej straci! umiar.

i Bayeux i pod wieczór wbić się w obszar przybrzeżny na głębokość 36 kilometrów. Miejscowością najbardziej na południe wysuniętą, figurującą na planie, którą należało zdobyć, było małe miasto Villers Bocage. Będziemy się z nim jeszcze często spotykać.

Kiedy dniało i dym po nocnych bombardowaniach tych miast rozciągnął się za linią wybrzeża, na odcinkach o kryptonimach „Gold”, „Juno” i „Sword” rozpoczęło się lądowanie brytyjskiej 2 armii.

Już na 40 minut przed wschodem słońca zaczęła swą ciężką, rytmiczną pieśń artyleria okrętowa. O świcie przyleciały bombowce. Potem samoloty myśliwsko-bombowe. Samoloty torpedowe. I do tego koncert pancerników. Potem Tommies zeszli z okrętów na ląd. Najpierw na odcinku „Gold”. Ale tu pierwsi zeszli nie płynący, a brodzący piechurzy i saperzy. Nie, najpierw -jak zaplanowano -zeszła brytyjska 8 brygada pancerna. Napotkała ona 716 dywizję piechoty generała Richtera, która miała bronić odcinka wybrzeża długości 34 kilometrów.

- Ognia! - powiedział starszy szeregowiec Behrendsen do strzelca ciężkiego karabinu maszynowego. - Ognia! - ponaglił, mimo że stanowisko karabinu maszynowego było do połowy zasypane, a sam Behrendsen ranny. Telefon, zagrzebany pod piaskiem, nie mógł przenosić żadnych rozkazów, ale po co był potrzebny telefon! Wszystkie przewody porozrywały bomby. Nic było łączności pomiędzy kompaniami, batalionami i pułkami 716 dywizji.

„Ognia!” I karabin maszynowy terkotał. Rozmiał piasek. „Trochę wyżej!”. Teraz pociski układały się na grupie Tommies, którzy biegli obok czołgu. A ci padali jak drzewa. Krzyczeli. Rzucali się na ziemię. Plażę ostrzelało też teraz jakieś niemieckie działo połowe kalibru 75 mm. Granat uderzył w wodę. Jedna z barek desantowych nadjechała wprost pod drugi strzał. Wybuch. Płomienie. Dym. Barka kręciła się w kółko, aż uderzyła bokiem o brzeg. Przewróciła się. Płonące ciała wytaczały się na piasek.

Ale te przeklęte czołgi, które podeszły z daleka z głębokiej wody, były nic do zatrzymania. Pełzały niczym żółwie. Niektóre miały z przodu zamontowane potężne rolki z łańcuchami i kulami żelaznymi.

- Cholerne gówno - mamrotał Behrendsen.

Była godzina 6.30. Pierwszy czołg wpłynął na twardy grunt.

Tak było na prawo, na plaży „Sword”. I tak też było w środku na „Juno”-Beach i całkiem na lewo na odcinku lądowania „Gold”. Zewsząd, z całego terenu pokrytego kraterami wybuchów, strzelano do lądujących chłopców Montgo-mery'ego.

Nietknięte niemieckie punkty oporu jeszcze się broniły, ale 716 dywizja, jako jednostka walcząca, była rozbita przez nawałnicę bomb i pocisków dział okrętowych. Przede wszystkim mocno ucierpiał 736 pułk grenadierów i 2 batalion 726 pułku.

W wyniku bombardowania zostały poderwane pola minowe, a tym samym śmiertelne zapory przestały być skuteczne. Granaty potężnej artylerii okrętowej kalibru 380 mm i 406 mm rozbijały w puch nawet dobrze wybetonowane schrony.

Lima obrony brzegowej została w dwóch miejscach rozerwana. Gniazda oporu 441 batalionu wschodniego* załamały się, ponieważ rosyjscy wojacy-ochotnicy uciekli stamtąd i tylko niemieccy oficerowie oraz podoficerowie z nielicznymi Bałtami bronili pozycji. I oto sprawdziły się słowa generała von Schlicbcna, który w jednym z meldunków napisał: „Chcemy zbyt wiele, żądając, aby Rosjanie tu. we Francji, walczyli z Amerykanami dla Niemiec”.

To był kamień węgielny pod szczęście Montgomery'ego.

Przez te luki, gdzie żadna ręka nie podniosła się do obrony, poprzez plażę i wydmy posuwały się czołgi 8 i 27 brygad pancernych oraz żołnierze kanadyjskiej 3 dywizji i brytyjskiej 3 dywizji. Wprost z morza. Naprzód poprzez główną niemiecką linię obrony. Spokojnie pozostawiali z boku strzelające jeszcze niemieckie gniazda oporu. Obowiązywało hasło „tylko naprzód”. Naprzód, na wielkie węzły komunikacyjne Bayeux i Caen. Zadanie dnia wydawało się łatwe do osiągnięcia.

Ale Montgomery przeprowadzał swoje kalkulacje nie uwzględniając gospodarza. „Bez gospodarza”, a ściślej mówiąc, bez ledwie jeszcze gdzie wspomianej dziś dzielności i walecznej odwagi niemieckich grenadierów i ich oficerów.

Wprawdzie walec Montgomery'ego toczył się, ale w wielu miejscach niemieckim obrońcom udawały się śmiało i szybko przeprowadzane przeciwuderzenia na flankę. Niszczyli brytyjskie czołgi. Zagradzali drogę piechocie. Brytyjczycy i Kanadyjczycy walczyli dzielnie, ale okazało się, że w rozkazach Montgomery'ego nie było wskazań precyzyjnie określających główny kierunek uderzenia. Jego rozkazy były niczym „wyrocznia delficka” i wywoływały gniewne zżymania krytycznie nastawionych dowódców podległych mu wojsk.

Major Lehmann ze swoim 2 batalionem 726 pułku grenadierów stał niczym zaporą na wzgórzu panującym pod Saint Croix. Kanadyjskie uderzenie pancerne przewaliło się przez stanowisko dowodzenia. Major poległ. Adiutant batalionu z garstką ludzi bronił bunkra aż do nocy. Potem się przebili.

2 batalion 736 pułku grenadierów bronił Tailleville i usiłował zatrzymać przełamującą się brytyjską 3 dywizję. Batalion został okrążony, ale się wyswobodził. O godzinie 15.48 dywizja otrzymała jego ostatni meldunek. Dramat w kilku słowach: „Walka wręcz na stanowisku dowodzenia”. Potem nie nadeszło już nic więcej. Pod Riva Bella, narożnym punkcie brytyjskiego odcinka lądowania, kontratakował w kierunku wybrzeża 3 batalion 736 pułku grenadierów, wspierany przez

- * 441 Ostbatalion; tzw. bataliony wschodnie były oddziałami tworzonymi przez Niemców zjenców radzieckich różnych narodowości.

150 mm działa 10 baterii 1716 pułku artylerii. Podszedł aż pod Lion. Walczył o kościółek wiejski. Jednakże został odcięty. Musiał się z powrotem przebijać. Na koniec został wykrwawiony i wybity.

Dowódca dywizji, generał Richter, będąc na stanowisku dowodzenia nic nie wiedział, które punkty oporu jeszcze walczą. Nie przychodziła żadna wiadomość. Nie docierał żaden łącznik.

Wtem zadzwonił telefon. Porwał słuchawkę z widełek. Zgłosił się. A potem wszyscy, którzy znajdowali się na stanowisku dowodzenia, usłyszeli dochodzące ze słuchawki szybko wypowiedziane gdzieś tam na pierwszej linii, na wybrzeżu, w bunkrze słowa. Był to pułkownik Krug, dowódca 736 pułku grenadierów: „Panic generale”, mówił, „nieprzyjaciel stoi na moim bunkrze. Żąda, abym się poddał. Nie mam żadnych środków do zwalczania go, żadnej łączności z moimi pododdziałami. Co mam zrobić?”

Wilhelm Richter, generał, przełknął ślinę. Obecni: dowódca 21 dywizji pancerniej, Feuchtinger, dowódca 25 pułku czołgów SS, Kurt Meyer, oficerowie łącznikowi, wszyscy oni spojrzeli na Richtera. A ten, zachowując spokój, powiedział niemal uroczyście: „Panie pułkowniku ja nie mogę już panu wydać żadnego rozkazu, niech pan działa według własnej decyzji”.

A potem dodał powoli: „Do widzenia”. I położył słuchawkę.

Tama pęka

O godzinie 13.00 major Ilain przedstawia generałowi Marcksowi na stanowisku dowodzenia korpusu w Saint Lô meldunki, jakie nadeszły z trzech odcinków lądowania. Dowódca korpusu sporządził swój meldunek do dowództwa Grupy Wojsk 13. Nie pozostawiał żadnej wątpliwości, co do powagi sytuacji w rejonie amerykańskiego lądowania pod Sainte Mere-Eglise. Brytyjskie lądowanie pod 13ayeux także nazwał niebezpiecznym. Ale jeśli idzie o odcinek środkowy, to znaczy „Omaha”, to kazał napisać: „Lądowanie pod Vierville prawie odparte”.

Wak optymistycznie brzmiały meldunki z „Omaha”. Dwie godziny później małe grupy amerykańskich piechurów wynurzyły się za niemiecką główną linią obrony. Byli zdecydowanie zwalczani. Część z nich została wzięta do niewoli, ale inni uderzyli w głąb lądu na odległość trzech do czterech kilometrów i osiągnęli ważne drogi, przy których się okopali.

Jak to się stało? Przecież 352 dywizja wciąż się trzymała!

Żołnierze pułkownika Gotha z 916 pułku też trzymali swoje gniazda oporu. wykonywali kontrataki razem z 352 batalionem saperów i nadal odpierali uderzenia sił nieprzyjacielskich. W jaki więc sposób Amerykanie dostali się na tyły? Co sprawiło, że szala walk na „bloody Omaha” nagle przechyliła się w drugą stronę?

Było parę istotnych faktów, które nadały decydujący zwrot wydarzeniom. Fakty te świadczą też o właściwych przyczynach klęski Niemców, której za nic na świecie nie była w stanie zmienić największa nawet waleczność żołnierzy niemieckich.

Tam obecny był ciągły, niekończący się ogień ciężkiej broni amerykańskiej. Ile by czołgów i dział przeciwpancernych zestrzelili żołnierze z 914 i 916 pułku grenadierów i z obu batalionów 726 pułku grenadierów, którzy walczyli na odcinku 352 dywizji - tyle w ich miejsce nadchodziło nowych, tam był także niewyczerpany strumień sił atakujących: za pierwszą kompanią, która została wystrzelana, przychodziła następna. Wprawdzie dowództwo amerykańskie nic było bezmyślne w szafowaniu ludźmi. Wręcz przeciwnie! Ale jednak, chcąc wymusić powodzenie, generał Bradley kazał rzucać w ogień falę za falą. W konsekwencji stosował metodę ataku frontального na niemieckie umocnienia. I nie musiał się martwić o brak ludzi. Dziesiątki tysięcy żołnierzy czekały na okrętach, gotowe do ataku przeciwko jednemu, jednemu pułkowi niemieckiemu. Niemiecka obrona na plaży „Omaha” trwała pod nieustającym oddziaływaniem tych dwóch czynników. Jeden jedyny pułk leżał pod ogniem i kiedy temu pułkowi zniszczono bunkier, to nowy już nie wyrastał. Kiedy wypadł tam z walki karabin maszynowy, to nie było już zastępstwa.

Czas i niewyczerpane zasoby materiałowe Amerykanów musiały w końcu zmiażdżyć nieodwracalnie niemiecką obronę, jeśli nie było szans na kontratak świeżych niemieckich sił, który wypchnąłby zmęczonych walką Amerykanów z plaży do morza. Przez jakiś czas wydawało się to na plaży „Omaha” całkiem możliwe. Nieprzyjaciel, który zeszedł na ląd, miał bezustannie śmierć przed oczami, leżał całymi godzinami pod trzaskającym ogniem, nie mogąc iść naprzód ani do tyłu, najpierw zrozpaczony, a potem zrezygnowany. To był punkt krytyczny. To była owa sławetna - z taktycznego punktu widzenia - chwila słabości, właściwy moment do kontruderzenia. Ale został przegapiony. I Amerykanie przewyciężyli słabość. Nagle, tak po prostu, na odcinku „Fasy red” stanął pewien amerykański podporucznik i powiedział do swych żołnierzy: - Chcecie tu tak leżeć w nieskończoność i pozwolić się wystrzelać? Sam mam atakować! I skoczył ze swoim ładunkiem wybuchowym ku zasiekom z drutu kolczastego. Ładunek wyrwał lukę. - Ruszać się, naprzód! - I pobiegli. Wyszli na grzbiet wydmy. Skakali od leja po granacie do leja. Zaatakowali niemieckie gniazda opora od tyłu. Przeniknęli obok strzelającego niemieckiego bunkra. Posuwali się do przodu wydmami. Leżąc na brzuchu, robili przejścia w polach minowych. Szli potem przez nie gęsiego, już poza rzadko obsadzoną główną linią niemieckiej obrony. Kto padł, został na miejscu. Z samej czołowej kompanii poległo 47 ludzi. Pozostawiano także rannych. Przechodzono nad

nimi. Aby tylko nie zejść z oczyszczonej drogi! Tak szli, czołgali się i zataczali żołnierze amerykańskiej 1 dywizji, aby się wydo

stać ze śmiertelnej pułapki, jaką była „Omaha”. W sumie było ich trzystu. I tych trzystu ludzi uruchomiło powoli amerykański marsz do przodu.

Po południu grupy oddziałów, które przeniknęły, stały już głęboko na tyłach niemieckich. Ale w większości zostały odrzucone i wzięte do niewoli. One nie miały czołgów i ciężkiej broni, ponieważ piechurzy z 352 dywizji ciągle jeszcze siedzieli w nieckach wydm na wybrzeżu i blokowali te nieliczne drogi, możliwe do przebycia przez czołgi. Siły, które przeniknęły na tyły, nie przedstawiały sobą poważnego zagrożenia. Jeszcze nie! Niemieckie kontruderzenie, które przecież musiało nastąpić, mogłoby je łatwo zmieść.

Na angielskim odcinku lądowania wyglądało to jednak znacznie poważniej. Także na plaży „Utah” czołgi zdążyły się już przedrzeć. Ale pomimo to, wszystkie losy były jeszcze w kapeluszu.

Klasyczna zasada sztuki wojennej głosi, że kiedy atakujący osiągnie drugi brzeg rzeki, to znajduje się w sytuacji krytycznej: nie jest ugrupowany do obrony, gdyż ta nie ma jeszcze potrzebnej głębokości. Ten czas słabości jest idealnym momentem do przeciwuderzenia.

Czym w dawnych wojnach było koryto rzeki, to teraz, w nowoczesnych operacjach amfibijnych, jego odpowiednikiem jest nabrzeże przyczółka lądowania.

Na plaży „Omaha” fakt ten wystąpił w sposób szczególnie jaskrawy. Ale i na innych odcinkach lądowania kompanie, którym mocno dała się we znaki choroba morska, doznawały szoku w zetknięciu się z pierwszymi zabitymi, z trudem znosząc napięcie rozpoczynającego się boju, porażające duszę i ciało, paraliżujące odporność. Ale co z niemieckim przeciwuderzeniem?

Od wczesnych godzin rannych generał Marcks, ze stanowiska dowodzenia 84 korpusu, rozmawiał bez przerwy przez telefon z 7 armią, Grupą Wojsk B oraz z generałem Jodlem z głównej kwatery fuhraera. „Potrzebuję wszystkich rozporządzanych jednostek pancernych do przeciwuderzenia”. Brzmiały jego błagalne słowa.

Wypowiadając je, miał przede wszystkim na myśli 21 dywizję pancerną, ponownie zorganizowaną, dawną bojową formację Rommla, wstawioną walkami w Afryce. Stanowiła ona odwód interwencyjny OKW i znajdowała się najbliżej frontu inwazyjnego. Bezpośrednio za nią stała 12 dywizja pancerna SS „Hitlerjugend” dowodzona przez brigadeführera Witta, dalej za nią stała bardzo dobrze uzbrojona dywizja Panzer-Lehr, dowodzona przez Bayerlcina. A więc trzy dywizje pancerne razem wzięte i przy zastosowaniu motto Guderiana: „Nie pukać -walić!” stanowiły siłę bojową zdolną do wyrzucenia w morze wysadzonego na ląd nieprzyjaciela.

Ale OKW zwlekało z oddaniem odwodów interwencyjnych. W głównej kwaterze fuhrera - podobnie jak u feldmarszałka von Rundstedta w Paryżu - nadal sądzono, że lądowanie w Normandii nie jest jeszcze tą prawdziwą wielką inwazją. Ciągłe wierzone tam z uporem w atak pozorny i niestety wierzone weń niewybaczalnie długo. Podczas gdy informacje zebrane o nieprzyjacielu dostarczały wystarczająco dużo danych, to major Hayn, kiedy w 84 korpusie omawiano wieczorny meldunek z dnia 6 czerwca, powiedział: - Trzy dywizje powietrznodesantowe zostały przez nas zidentyfikowane. To stanowi trzy czwarte wszystkich potwierdzonych w Anglii oddziałów spadochronowych. Do tego dochodzą elitarne formacje amerykańskie I i 4 dywizja piechoty. Jest wykluczone, aby tamci z naprzeciwka rzucili swoje najlepsze oddziały ofensywne do zwykłego pozornego manewru. A teraz- tu zwrócił się do porucznika Kretschmera, swego podwładnego oficera - niech pan przeczyta meldunek majora Wicgmana z rejonu Caen. Wynika z niego, że już w południe stwierdzono obecność brytyjskiej 3 dywizji i kanadyjskiej 3 dywizji, teraz wiemy, że jest tam także 50 dywizja londyńska i 7 dywizja pancerna. Brakuje jeszcze tylko 51 dywizji Highlanderów i 1 dywizji pancerniej, a wtedy będziemy mieć na karku całą już słynną 8 armię Montgomery'ego z Afryki Północnej! Jeśli to nie jest inwazja, to z czym oni mogajszc przyjąć? - Pytanie miało sens i przekonało oficerów sztabu. Szef rozpoznania 7 armii, podpułkownik Ybrwerk, zgodził się z tym. - Całkowicie podzielam pański pogląd - przyznał nawet szef rozpoznania w sztabie Dowódcy Zachód von Rundstedta, podpułkownik Meyer-Detring. Ale na tym się skończyło. Sam Rundstedt, OKW i Hitler wciąż byli sceptyczni: tak mocna była magia nieprzyjacielskich działań dezinformacyjnych!

Ale trudno pojąć, dlaczego nie atakowała przynajmniej 21 dywizja pancerna? Jako jedyna dywizja stała ona w rejonie walk, w odległości 30 kilometrów na południowy wschód od Caen i nawet jeśli podlegała OKW, to równie dobrze w tej sytuacji działało stare prawo wojskowe mówiące, że kto wchodzi w rejon walk, ten musi być atakowany. To nie wymagało ubiegania się o zezwolenie.

Gdyby w rejonie Caen znajdował się jakiś dowódca wojsk pancernych z jasną i nieograniczoną władzą rozkazodawczą względem sił pancernych, to bez wątplenia byłaby to prawdziwa szansa, aby zgnieść amerykański przyczółek „Omaha”, jak również brytyjski. Ten dowódca wojsk pancernych musiałby działać jak Rommel w Afryce, z licznymi nagłymi zwrotami w sytuacjach pozornie beznadziejnych: uderzać zmasowanymi siłami pancernymi na nieprzyjaciela, jechać, jechać, ciągle w ruchu, a potem bić przeciwnika tam, gdzie się pojawi. Jednakże ta wypróbowana metoda walki Rommla nie znalazła w Normandii zastosowania w odpowiednim czasie. Dywizje pancerne były wprowadzane do walki częściami, wodzone na pasku odległych central dowodzenia. Człowiek, który lepiej się na tym znał, został postawiony na czele Grupy Wojsk B, ściśle biurokratycznego aparatu

dowódczego, który nie pozwalał na wykorzystanie właściwych taktycznych talentów tego dowódcy wojsk. Jego specjalnością było dowodzenie związ

kami pancernymi, od góry w dół: śmiało, błyskawicznie, nie licząc się z konserwatywnymi regułami strategicznymi. Ta śmiałość i szybkość taktyki pancernej Rommla były teraz ogromnie potrzebne. Ta metoda narzucała się niemal odruchowo: dorwać się do nieprzyjaciela w trakcie prowadzonej przez niego operacji lądowania, w jego momencie słabości, i wytrącić go z równowagi.

21 dywizja pancerna, chociaż była odwodem OK W, w przypadku ataku miała być podporządkowana 716 dywizji piechoty, na barkach której spoczywała obrona wybrzeża stanowiącego odcinek brytyjskiego lądowania. General Feuch-linger znajdował się więc w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Musiał niejako służyć dwóm panom. I to co z tego wynikło, odpowiadało sytuacji.

Już o godzinie 1.20 w nocy na 6 czerwca, generał Richter wydał telefonicznie -jak wynika z jego notatek - rozkaz dowódcy 21 dywizji pancerniej, zaatakowania i rozbicia nieprzyjacielskich sił wysadzonych z powietrza, za pomocą najbliższych rozlokowanych oddziałów dywizji pancerniej.

O godzinie 2.00 Richter uzupełnił swój rozkaz wydany Feuchtingerowi: wszystkimi siłami dywizji zaatakować nieprzyjaciela wysadzonego z powietrza na wschód od Orne i oczyścić z niego cały teren.

Ale Feuchtinger, artylerzysta bez doświadczenia bojowego w dowodzeniu siłami pancernymi, czuł się związany wyższym rozkazem: nie podejmować żadnej akcji bez zezwolenia Grupy Wojsk B (dowódca Rommel), której 21 dywizja pancerna podlegała. A zezwolenie nie przyszło. Stracono bezowocnie cenne godziny. Godziny, w czasie których na wybrzeżu krwawiły bataliony 716 dywizji. Kto z piechurów po gradzie bombowym ostał się przy życiu z reńsko-westfalskiego 736 pułku grenadierów, został unicestwiony przez brytyjsko-kanadyjskie działa pancerne, miotacze ognia i specjalistów od walki na małą odległość. Dywizyjny pułk artylerii został rozbiły w drzazgi ogniem dział okrętowych, a batalion saperów starty na proch. Tymczasem pułki czołgów i grenadierów pancernych 21 dywizji pancerniej, gotowe do wymarszu, stały przygwożdżone na swych pozycjach wyjściowych. Dowódca 125 pułku grenadierów pancernych, podpułkownik von Luck, opowiada, jak jego i dowódców batalionów ogarniała wściekłość, ponieważ nie było zezwolenia na natychmiastowy nocny atak, aby wykorzystać pierwsze trudności i zamieszanie w siłach nieprzyjaciela powstałe przy lądowaniu. Przesłuchania pierwszych jeńców - Brytyjczyków lądujących na szybowcach i ze spadochronem - dawały dobre dane o zamiarach sił lądujących. Ale armia ciągle zwlekała, czekając na wytyczne generała Spidla - szefa sztabu Grupy Wojsk Rommla, który zastępował feldmarszałka na czas jego nieobecności -odnośnie zezwolenia na działanie. Ale ten zezwolenia nie wydał!

Jak obfita w następstwa i fatalna w skutkach była nieobecność Rommla na froncie w ciągu tych pierwszych 24 godzin inwazji i jak bardzo przeszkadzała w podjęciu skutecznych i szybkich decyzji w tych skomplikowanych relacjach dowódczych, pokazuje trwająca do dnia dzisiejszego dyskusja na temat przegapionego i opóźnionego wykorzystania odwodów pancernych. Przede wszystkim jednak stojącej tak blisko frontu 21 dywizji pancerniej. Relacja zasłużonego dowódcy grup bojowych Hansa von Lucka, przedstawiona w jego książce *Gefangener meiner Zeit* („Jeniec w niewoli swoich czasów”), pozwala poznać cały dramatyzm tej sytuacji. Dowodzi on, jak fatalnie rozwinęła się sytuacja z powodu nie zastosowania podstawowej tezy Rommla, sprowadzającej się do szybkiej i skutecznej obrony aktywnej, z. natychmiastowym wykorzystaniem do kontruderzania odwodów pancernych. Do rozmieszczenia najważniejszych oddziałów pancernych w zbyt dużej odległości od wybrzeża - łącznic z 21 dywizją pancerną 120 kilometrów i więcej w głąb zaplecza - doszła jeszcze rzecz najfatalniejsza. czyli to, że OKW i Hitler zastrzegli sobie wyłącznie dla siebie wydawanie zgody na ich użycie. Decyzje, które z konieczności operacyjnej narzucała sytuacja na polu walki, zapadały w odległości tysiąca kilometrów od frontu.

„Godziny miały”, pisze von Luck w swej relacji. Pułk czołgów i pułk grenadierów pancernych 21 dywizji pancerniej były wprawdzie zaalarmowane, ale nie otrzymały żadnego rozkazu do wykonania zadania; adiutant Lucka przebywając) na stanowisku dowodzenia dywizji, był świadkiem denerwującej rozmowy telefonicznej, którą generał Feuchtinger przeprowadził z 7 armią: „Panie generale”, meldował Feuchtinger, „wróciłem właśnie z Paryża i widziałem przy wybrzeżu na wschód od Cabourga olbrzymią armadę okrętów wojennych, zaopatrzeniowych i barek desantowych. Mogę zwartą dywizją natychmiast atakować na wschód od Orne i uderzać w kierunku wybrzeża”. Jednakże z całą stanowczością odmówiono mu wówczas zgody na użycie dywizji.

Pytanie jest nadal aktualne: jak to było możliwe, aby w takiej sytuacji i przede wszystkim wobec jasno sprecyzowanych wytycznych feldmarszałka Rommla. by w razie desantu powietrznego atakować wszystkimi siłami owego zezwolenia nic wydać. Von Luck cytuje w tej sprawie list ówczesnego szefa sztabu Rommla, generała Spidla, z 1979 r., adresowany do autora historii 21 dywizji pancerniej. Speidel pisze w nim tak: „6 czerwca, między godziną 1.00 a 2.00 telefonowałem do Feuchtingera, nie mogłem go jednak osiągnąć...

Feuchtinger miał ogólne wytyczne, w przypadku desantu powietrznego natychmiast atakować”. A 15 listopada tegoż. 1979 r. Speidel pisał jeszcze raz. jasno i wyraźnie: „21 dywizja pancerna miała rozkaz, w razie nieprzyjacielskiego desantu powietrznego natychmiast przystąpić do ataku i to całą dywizją”. Czyta się to z niedowierzaniem. gdyż taki rozkaz nie był dywizji znany.

Von Luck: „Ten ogólny rozkaz, aby w przypadku desantów powietrznych jeszcze w nocy z 5 na 6 czerwca, atakować wszystkimi siłami, a więc całą moją grupą bojową, nie był znany ani mnie, ani mojemu ówczesnemu adiutantowi, późniejszemu generałowi Bundeswehry Liebeskindowi. Rozkazu tego nie znały tak

że inne oddziały dywizji. My wszyscy trzymaliśmy się ściśle rozkazu, aby nawet najmniejsze operacje przeprowadzać dopiero po uzyskaniu zezwolenia Grupy Wojsk B.

W innym miejscu Łuck relacjonuje dalsze zadziwiające fakty. Według informacji, jaką uzyskał w 1987 r., ówczesny kapitan sztabu generalnego i późniejszy generał Bundeswehry Wagemann, wówczas zastępca szefa oddziału operacyjnego 21 dywizji pancерnej, przekazał pewnemu historykowi informację, że: po otrzymaniu pierwszych meldunków o desancie powietrznym natychmiast zaalarmował całą 21 dywizją pancerną, a między godziną 6.00 a 7.00 na stanowisko dowodzenia przybył generał Feuchtingerze swym oficerem sztabu generalnego. „Byliśmy wszyscy zdziwieni, że generał Speidel, kiedy telefonował w nocy około godziny 2.00 dnia 6 czerwca, przekazując ogólne wytyczne, nie wydał rozkazu do natychmiastowego zaatakowania desantu lotniczego wszystkimi rozporządzanymi siłami, stojącymi na moim odcinku na wschód od Orne. To, że w tych krytycznych godzinach problem radzenia sobie z sytuacją pozostawiono w rękach niedoinformowanych dowódców dywizji, wydaje mi się obecnie sprawą niewybaczalną”.

„Niewybaczalna” - to chyba zbyt łagodny wyrok na absurdalne i niezrozumiałe zachowanie Speidla, które stoi w całkowitej sprzeczności z jego listem z października 1979 r. do historyka 21 dywizji pancерnej. Dotąd nie rozwiązana została owa zagadkowa postawa Speidla.

Skutek był taki, że dopiero około godziny 6.30 rankiem 6 czerwca, czyli po sześciu godzinach od rozpoczęcia alianckiego lądowania, po ciągłych i denerwujących rozmowach telefonicznych między dowódcami, pułkownik von Oppeln-Bronikowski, dowódca 22 pułku czołgów, mógł wprawić w ruch swoje Panzer IV.

Łącznicy pognali do wiosek wokół Falaise i Caen, gdzie na placach targowych i na wiejskich drogach stały z rozgrzanymi silnikami dobrze zamaskowane kompanie czołgów: - Rozkaz maszerować!

Żołnierze skaczą do czołgów. Dowódcy wychylają się z wieżyczek.

- Odstęp 30 metrów. Czołgi marsz!

22 pułk czołgów maszeruje

Jednakże na scenę działań obronnych wkrada się nowy błąd.

Kiedy się czyta pierwsze rozkazy dowódcy 716 dywizji piechoty, to zaczyna się pojmować, jak poważnie, aż do porannych godzin 6 czerwca, wyglądało zagrożenie ze strony angielskiego desantu powietrznego wysadzonego na wschód od Orne. Generał Richter za swoje główne zadanie uważał usunięcie tego zagrożenia siłami oddziałów własnych. To, że niemieckie odwody znajdowały się zbył daleko od wybrzeża, było być może największym

wkładem w sukces brytyjskiej 6 dywizji powietrznodesantowej w pierwszych godzinach inwazji. O godzinie 2.00 w nocy generał Richter skierował 2 batalion 192 pułku grenadierów pancernych na most pod Bénouville.

Grenadierzy, wzmocnieni 1 kompanią niszczycieli czołgów 716 dywizji i baterią z 989 ciężkiego dywizjonu artylerii, mieli odebrać brytyjskim strzelcom spadochronowym most, a następnie przejść rzekę Orne i uderzyć na tereny zajęte przez nieprzyjaciela.

Szybko przystąpiono do tego zadania. Podpułkownik Raucli miał swój 192 pułk w garści. 2 batalion majora Zippe już kilka minut po godzinie 2.00 był w marszu. 8 ciężka kompania porucznika Braatsa ze swymi 75 mm działami na lawetach samobieźnych, z plutonem 20 mm działek przeciwlotniczych na pojazdach opancerzonych oraz plutonem moździerzy uzbrojonym w zdobyczne moździerze francuskie - pędziła z Cairon w kierunku na Bénouville. Łącznik Attender podczas alarmowania ciężkiego plutonu przeciwpancernego 8 kompanii pobił rekord. „Pół minuty szybciej niż ostatnim razem” meldował dowódcy plutonu podporucznikowi Molierowi. Mimo to przyszli za późno..

Około godziny 3.30 napotkali pierwszych Tommics, którzy już przeszli most i posuwali się na zachód. Zostali wyparci z powrotem do miejscowości Bénomil-le, a dojście do mostu od strony zachodniej zablokowano. Ale do uderzenia poprzez most zabrakło czołgów. Grenadierzy, niszczyciele czołgów i saperzy zamiast atakować, musieli się bronić w zaroślach młodego lasu i w parku, przeciwko zaciekle walczącym Tommics, którzy żadną miarą nie pozwalali wydrzeć sobie mostu. Anglicy otrzymywali zaopatrzenie na bieżąco, mieli też ciężkie działa przeciwpancerne i działa piechoty. Nawet czołgi przeszły przez most. Sierżant Gusc trafił swoim działem 75 mm jeden czołg angielski, który stanął w ogniu. Drugi wdarł się jednak do miejscowości i ubezpieczał piechotę brytyjską przed niemieckimi grenadierami. W południe siły niemieckie stały w środku Benomille.

- Mając 20 czołgów moglibyśmy Tommics wyrzucić - klął starszy sierżant Tanner, pozostając ze swoim plutonem moździerzy za parkiem. Sierżant Guse przytaknął: - Gdzie się podziały czołgi?

Kiedy generał Fcuchtinger po czasochłonnych nieporozumieniach kazał wreszcie maszerować swojemu pułkowi czołgów - kręgosłupowi każdego ataku - był już dzień. A zanim jeszcze te daleko rozciągnięte kompanie otrzymały swoje rozkazy marszowe, upłynęły dalsze godziny. Potem nakazano ciszę radiową i wszystkie rozkazy trzeba było przekazywać przez łączników. Przedsięwzięcie teoretycznie słuszne, praktycznie całkiem nie zdawało egzaminu.

Około godziny 8.00 drogami prowadzącymi na północny wschód toczył się 1 batalion kapitana von Gottberga mający w swoim składzie 80 czołgów. Caen. tonące w dymie i huku pożarów, pozostało po lewej. 4 kompania kapitana Holi

manna uderza na pierwszych Anglików. Kapral Kortenhaus otrzymuje rozkaz: „Kompania jest podporządkowana grupie bojowej podpułkownika von Lucka, która wraz z częścią 125 pułku grenadierów pancernych i 716 batalionem saperów atakuje od południa nieprzyjacielski desant lotniczy i niszczy go”. Klarowny rozkaz. 2 batalion 22 pułku czołgów, majora Vierziga, ze swoimi 40 czołgami Panzer IV toczy się w kierunku północno-wschodnim. Podczas gdy na wybrzeżu na ląd schodzą, fala za falą, oddziały szturmowe Montgomery'ego, to najsilniejszy niemiecki odwód interwencyjny działa przeciwko własnym ludziom, wziętym za nieprzyjaciela. Oto batalion Vierziga w nocy na 6 czerwca wymaszerował na ćwiczenia dywizyjne. „Okolo godziny 1.00 byłem z moim batalionem w przewidzianym ćwiczeniu rejonie w odległości 10 kilometrów na wschód od Falaise”, relacjonuje dowódca batalionu. „Nad Caen i wybrzeżem widać było łuny od ognia. Słyszeliśmy odgłosy działań alianckich formacji bombowców. To nas jednak nic dziwiło. Takie ataki były przecież normą. Wieczorem 5 czerwca nie było alarmu, podczas gdy niemal codziennie podawano alarm w stopniach od 1 do 3. Okolo godziny 2.20 przybył z mojej kwatery sztabowej łącznik na motocyklu. Rozkaz pułku: batalion wraca natychmiast do swoich kwater i stoi do dyspozycji w gotowości bojowej. Od godziny 4.00 batalion stoi w gotowości marszowej i bojowej. Ale nic się nie dzieje. Nie ma już łączności telefonicznej. Czekamy. Okolo godziny 6.00 wraca wysłany do pułku oficer łącznikowy z wiadomością, że trwa alianckie lądowanie. Wreszcie okolo godziny 9.00 batalion otrzymuje pisemny rozkaz rozpoczęcia marszu. Kierunek północny wschód. Cel: zniszczyć nieprzyjacielski desant lotniczy na wschód od rzeki Orne. Kompanie zostaną powiadomione przez łączników. Potem długa kolumna rozpoczyna marsz. Ze względu na niebezpieczeństwo ataku lotniczego jechaliśmy w odstępach stu metrów. Przynajmniej w czasie marszu mieliśmy szczęście. Początkowo samoloty myśliwsko-bombowe nie atakowały nas. Do rejonu wysadzenia desantu dotarliśmy bez strat”. 75 mm armaty czołgów Panzer IV z 22 pułku czołgów nie oddały jeszcze ani jednego strzału w kierunku brytyjskich strzelców spadochronowych wysadzonych na wschód od Orne, kiedy nadszedł rozkaz: „Zawracać!” W międzyczasie 84 korpus otrzymał z OKW władzę dysponowania 21 dywizją pancerną, toteż generał Marcks uznał za słuszne nie wykorzystywać czołgów do walki z brytyjskim desantem powietrznym, lecz rozkazał atakowanie wybrzeża, a zwłaszcza głównych punktów rejonu lądowania wojsk Montgomery'ego. Cała kolumna czołgów zawraca. Kierunek Caen. Cisza radiowa do czasu zetknięcia się z nieprzyjacielem. To co dotychczas było awangardą, jest teraz ariergardą, a co było ariergardą, jest awangardą. W ten sposób dowódca batalionu maszerował na końcu tego olbrzymiego węża. Z przodu jechała 5 kompania kapitana Herra.

2 batalion gnał z iście szatańską prędkością, nie zważając na zakręty, pędził na przełaj poprzez ogrody i drogi polne.

Dowódca pułku pułkownik Oppeln ze swym sztabem był przy 1 batalionie i ciągle ponaglał: „Szybciej!” A oni z trudem przepychali się przez zbombardowane miasto. Jechali mocno rozciągnięci ze względu na kursujące samoloty myśliw-sko-bombowe. Utracili kontakt z drugim batalionem. Gdy wreszcie osiągnęli pozycję wyjściową na północ od Caen, było już popołudnie. Popołudnie 6 czerwca, kiedy wreszcie można było rozpocząć pierwsze pancerne przeciwuderzenie na brytyjski przyczółek lądowania. Osiem godzin po wylądowaniu, co najmniej o sześć godzin za późno!

Major Vierzig widzi, jak na wysokości miasteczka Lcbisey 1 batalion, w składzie trzech kompanii, rozwija się do ataku. Nie zwlekając, sam rozwija swoje czołgi obok z lewej strony. Jeszcze nie padł ani jeden strzał. A więc zgodnie z rozkazem nie wolno korzystać z radiostacji. Vierzig udaje się pieszo na poszukiwanie stanowiska dowodzenia Gottberga. Znajduje go. I obaj dowódcy udają się razem na pobliskie wzgórze, gdzie zajechał sztab dowódcy pułku.

- Najprawdziwsze wzgórze wodza - stwierdza Vierzig, kiedy znajdują tam także dowódcę 84 korpusu, generała Marcksa, z jego oficerami łącznikowymi.

Dowódca korpusu, mocno zatroskany rozwojem sytuacji, sam przyjechał na pierwszą linię z Saint Ló. Kiedy około 14.30 obydwaj bataliony 22 pułku czołgów były wreszcie gotowe do ataku, podszedł do dowódcy pułku, pułkownika von Oppeln-Bronikowskiego, i powiedział: - Oppeln, jeśli nie uda się panu wrzucić Anglików z powrotem do morza, to przegraliśmy tę wojnę.

Pułkownika ogarnęło złe przeczucie: jakże to, a więc na tych 98 czołgach spoczywa zwycięstwo lub klęska? Na 98 czołgach! - Atakuję! - zaszalował.

Ale generał Marcks pojechał do 1 batalionu 192 pułku grenadierów pancernych i zajął miejsce na czele pancernych wozów rozpoznawczych: celem było uderzenie na wybrzeże. General Marcks poszedł w ślady Rommla. I szczęście, owa słynna fortuna, zdawała się kłaść pod stopy temu wybitnemu dowódcy.

Uderzenie szło dokładnie w lukę pomiędzy oba brytyjskie przyczółki lądowania „Juno” i „Sword”, które się jeszcze nie zdążyły połączyć. Dokładnie pomiędzy brytyjską 3 dywizją a kanadyjską 3 dywizją, w miejscu gdzie odległość między obydwojma związkami była najmniejsza, Marcks mógł nie dopuścić do ich Połączenia. Część 1 batalionu dotarła do wybrzeża. O godzinie 20.00 dnia 6 czerwca grenadierzy niemieccy stali nad morzem we

wsiach Lion i Luc. -Załatwione! -wołali ze swych pojazdów. - Załatwione! -Znaleźli ostatnie punkty oporu 716 dywizji, które się jeszcze trzymały. Skakali do zasypanych rowów strzeleckich

Brytyjski przyciótek lądowania "JUNO"

Kanał la Manche

Dramatyczna sytuacja wieczorem 6 czerwca na brytyjskim odcinku lądowania: wprawdzie Brytyjczycy i Kanadyjczycy sforsowali niemiecką obronę, wybrzeża na przyczółku lądowania „Sword” i „Juno”, ale planowanego połączenia nie udało się osiągnąć. Nie udało się też zdobyć miasta Caen, co było zadaniem dnia. 21 dywizja pancerna przystąpiła do ataku. 1 batalion 192 pułku grenadierów pancernych atakuje i dochodzi aż do wybrzeża. Wybity zostaje korytarz. Ale czołgi nie idą za nimi. Obydwa bataliony 22 pułku czołgów, nie znając sytuacji, atakowały w kierunku północno-wschodnim i pod Bieville oraz pod Periers zostały zatrzymane przez wysunięte stanowiska ogniowe brytyjskich i kanadyjskich dział przeciwpancernych.

i **na w**spół zasypanych bunkrów: - Jeśli teraz podjadą nasze czołgi, to nikt nas już stąd nie wypędzi - mówili. Tak, jeśli!

Ale czołgi miały mniej szczęścia. Kompanie Gottberga i Vierziga natknęły się dokładnie na daleko wysuniętą linię obronną przyczółka lądowania „Sword”. Jadący na czele czołg sztabu pułku dostał pełne trafienie i rozleciał się. Działa przeciwpancerne Kanadyjczyków prowadziły piekielny ogień.

Niebawem wykryto handicap czołgu Panzer IV, z jego długolufową armatą kalibru 75 mm: ta świetna armata z dobrą zdolnością przebijania miała wbudowaną optykę sięgającą tylko 2,5 kilometra. To było za mało na brytyjskie działa przeciwpancerne, które zajęły korzystne stanowiska pomiędzy Periers i Bieville. Czołgi Oppelna zmuszone były jechać przez teren wznoszący się, który tylko na załamaniach dawał trochę osłony. U góry rozłożyły się nieprzyjacielskie działa przeciwpancerne i artyleria, które strzelały w dół. Czołgi wypadały jeden za drugim. Pod Bieville w ciągu kilku minut pięć czołgów poszło w powietrze. Było oczywiste, że przełamania się nie wymusi.

Jeden rzut oka na mapę sytuacyjną dotyczącą tej pierwszej bitwy pancernej pokazuje dramat i tragizm tej chwili: droga do wybrzeża jest jeszcze otwarta, 1 batalion 192 pułku grenadierów pancernych przebił się aż do plaży. I czeka. Czekają na czołgi.

Po południu, także pod Bénouville nad rzeką Orne trzyma się jeszcze 8 kompania 2 batalionu 192 pułku grenadierów pancernych. Pozostałe kompanie i bataliony są wprawdzie przerzucone w rejon Periers celem

wsparcia ataku czołgów. ale 8 kompania mocno się wczepiła ze swoją ciężką bronią i nie cofa się. I ona czekana czołgi.

W punkcie oporu Luftwaffe w Douvres, odległym o 2,5 kilometra od wybrzeża, flankującym brytyjski przyczółek lądowania „Juno”, broni się 230 żołnierzy Luftwaffe z przejętymi piechurami. Mają trzy działa przeciwpancerne, trzy armaty 50 mm, tuzin miotaczy ognia i 20 karabinów maszynowych. Dowódcą jest zimnokrwisty porucznik Igle. Odpierają wszystkie ataki. Douvres uwiera, niczym drzazga w ciele. Igle i jego ludzie będą się trzymać na tej pozycji przez dziesięć dni. Dziesięć dni będą czekać na niemiecki kontratak.

Ale 22 pułk czołgów nie jest w stanie przełamać się pod Periers i Bienville przez silny front brytyjskich i kanadyjskich czołgów oraz dział pancernych: ugrzązł na całego. 7. powodu braku oddziałów piechoty nic można także wyciągnąć z frontu, aby spróbować przełamania w innym miejscu. Pułk zostaje zepchnięty do roli obrony. Pułkownik Oppeln daje rozkaz: - Okopać czołgi, trzymać się na stanowisku! -Tylko w ten sposób można odpierać burzliwe ataki brytyjskiej 27 brygady.

Montgomery zauważył niebezpieczeństwo. Pojął: jeśli ten niemiecki klin, który rozdziela przyczółek mostowy, nie zostanie usunięty, to będzie źle. Jeśli wąż, który 1 batalion 192 pułku grenadierów pancernych utworzył od Caen aż do wybrzeża, stanie się rurociągiem niemieckiego zaopatrzenia, pozwalającym na szybkie wypełnienie go niemieckimi siłami pancernymi i artylerią, to może to oznaczać koniec brytyjskiego przyczółka lądowania.

Mając to na uwadze. Montgomery nie zwlekał ani chwili. Uruchomił swoją flotę szybowców transportowych i rzucił pułk za pułkiem brytyjskich wojsk po-wietrznodesanlowych na odcinek niemieckiego ataku.

Teraz okazało się, jak poważne następstwa pociągnęła za sobą nieobecność niemieckiego lotnictwa. Brak było rozpoznania i brakowało osłony kolumn marszowych. I nadeszło to, co musiało przyjść!

Siły pancerne jedynej wprowadzonej do walki dywizji pancernej były zbyt szczupłe, aby sukcesy 192 pułku grenadierów pancernych na wybrzeżu lub pod Benouville przekształcić w decydujące zwycięstwo na brytyjskim przyczółku lądowania. Bez zaopatrzenia, a niebawem i bez amunicji, grenadierzy musieli się przebijać z powrotem pod straszliwym huraganem ognia brytyjskich bombowców i artylerii okrętowej.

Starszy szeregowiec Wicek, złorzecząc, nakierowywał pod Bénouville swoje działo 75 mm jeszcze raz na cel.

Rumms! I czołg Tommy'ego rozleciał się. Fotem przyszedł rozkaz wycofania się. Także tutaj pozycja była nie do utrzymania. 8 kompania została ściągnięta na linię obrony 22 pułku czołgów.

Gdybyż niemieckie dowództwo zrozumiało wreszcie, jak bardzo potrzebny jest jeden wspólny potężny wysiłek, skupienie wszystkich rozporządzalnych odwodów pancernych, aby opanować tę niebezpieczną sytuację! Czyżby w desancie pomiędzy Orne i Vire nadal chciano widzieć jedynie atak pozorowany, a na „prawdziwą inwazję” uporczywie czekać pod Calais?

Przegapione szanse

Straszliwy marsz Dywizji Panzer-Lehr

Dywizja Panzer-Lehr* generała Bayerleina, która była rozlokowana 120 kilometrów na południowy zachód od Paryża, także jako odwód OKW była w dyspozycji kwatery głównej fuhrera. Jej rola podczas tych pierwszych decydujących 24 godzin jest znamienna.

Już o 2.30 w nocy 6 czerwca terkotał telefon na stanowisku dowodzenia dowódcy dywizji w Nogent le Rotrou.

Generał Warlimont ze sztabu dowodzenia Jodła dał Bayerleinowi rozkaz; „Dywizję Panzer-Lehr należy postawić w stan alarmowy z gotowością wymarszu w kierunku Caen. Dalsze rozkazy otrzyma pan z Grupy Wojsk B”.

Jak błędnie dowództwo niemieckie oceniało zamiary aliantów na zachodzie pokazuje fakt, że kilka godzin przed wydaniem tego rozkazu, OKW zabrało jej najlepszy batalion czołgów z fabrycznie nowymi „Panterami” oraz kompanię „Królewskich tygrysów” i nakazało załadowanie ich w kierunku wschodnim. Bayerlein na własną rękę natychmiast zatrzymał transporty. Pododdziały jeszcze nie załadowane zawrócono do koszar, a te, które były już w wagonach, dostały rozkaz powrotu. Minęło pięć dni zanim ten batalion pojawił się na froncie. Pięć cennych dni.

Kiedy oddziały dywizji Panzer-Lehr się zbierają, Bayerlein jedzie do 7 armii do Le Mans. Tam czeka go niespodzianka. OKW rozkazuje dywizji całą tę noc spędzić na miejscu, ponadto generał pułkownik Dollmann żąda, aby dywizja o go-

•n

dzinie 17.00, a więc w biały dzień, rozpoczęła marsz. Bayerlein broni się. Tei doświadczony dowódca, szef sztabu Rommla z kampanii afrykańskich, już pod czas jazdy do dowództwa armii zorientował się, skąd grozi niebezpieczeństwo z powietrza, na letnim niebie, które jest pełne siejących postrach samolotów myśliwsko-bombowych. Bayerlein proponuje, aby z wymarszem odczekać do zmierzchu?

* Szkolna Pancerna.

140

chu. Doli mann odmawia. Wylicza Bayerleinowi, że dywizja musi rano 7 czerwca znaleźć się w rejonie na południe od Caen. Na próżno Bayerlein usiłuje wytłumaczyć dowódcy armii jego iluzoryczne wyliczenia. Tak, owszem, gdyby mogła wymaszerować zaraz po zaalarmowaniu o godzinie 2.00 w nocy, to byłoby możliwe. Ale zadnia!

Prędkość marszu przy zagrożeniu z powietrza i rozbitych bombami drogach może wynosić najwyżej 8 kilometrów na godziną, argumentował. Czołgi stoją w odległości 150 kilometrów od Caen. A więc ile czasu upłynie, zanim znajdą się w rejonie działań? Nie zdążą przed 8 czerwca. Ale Dollmann pozostaje przy swoim rozkazie, proponuje też zmianę trasy marszu. Ale Bayerlein nie idzie na to: zmiana trasy może jedynie prowadzić do chaosu. Bayerlein wraca do swojej dywizji i rozkazuje wymarsz.

- Pilnujcie, aby czy to po drogach, czy obok wzdłuż drogi posuwać się możliwie szybko i o ile się da, nie być oskubanym - przestrzega dowódców. A potem: „Czołgi marsz!” Tym samym elitarna dywizja pancerna frontu zachodniego wyruszyła na pomoc 21 dywizji pancerniej.

Wciąż jeszcze, aż do samej śmierci w 1970 r., Frankc Bayerlein, ten tak zwykle opanowany światowiec, pochmurniał i srożył się, kiedy opowiadał o tym stosie ofiarnym, jakim w rzeczywistości był marsz jego dywizji. O marszu, który jeszcze przed wejściem żołnierzy do walki, obfitował w ciężkie straty.

Bayerlein: „Jadą drogą Alencon-Argentan-Falaise, w środku kolumny, z dwoma działami przeciwpancernymi i dwiema radiostacjami mego stanowiska dowodzenia. Już pod Beaumont-sur-Sarthe atak samolotów myśliwsko-bombowych zmusza nas do krycia się. Jeszcze raz się udaje, ale kolumny są coraz bardziej rozciągnięte. Ponieważ armia nakazała ciszą radiową, to działa jedynie łączność przez łączników. Tak jakby cisza radiowa, sama w sobie, była w stanie przeszkodzić w rozpoznaniu nas przez samoloty myśliwsko-bombowe i patrolowe wiszące na niebie. Tymczasem przeszkadza tylko dowództwu dywizji w uzyskaniu obrazu o sytuacji w marszu, czy wojsko maszeruje, czy są korki lub straty oraz gdzie są czołówki. Ciągłe muszą wysyłać oficerów i samemu jeździć do oddziałów.

Wszystkie pięć dróg marszu jest zajętych przez jednostki. Naturalnie, nieprzyjacielskie rozpoznanie lotnicze wykryło marsz. I niebawem bombowce wiszą nad drogami, rozbijają skrzyżowania, wsie i miasta, które leżą w rejonie marszu. O godzinie 23.00 przejeżdżamy przez miejscowość Sees. Miejscowość jest oświetlona jak choinka bożonarodzeniowa, a bombowce okładają i tak już płonące miasteczko. Trzeba przez nie przejechać.

Około godziny 2.00 zbliżamy się do miasta Argentan. Widno jak w dzień - od pożarów i wybuchów. Miasteczko drży pod gradem bomb z przetaczających się nad nim ataków lotniczych. Podjeżdżamy do południowych

przedmieść, potem nic można się już posuwać naprzód. Całe Argentan płonie. Jesteśmy w piekle. Za nami droga też jest zablokowana. Jesteśmy zamknięci w płonącym mieście.

Kurz i dym zakrywają widoczność. Iskry tryskają nad pojazdami. Żarzące się belki i zawalone domy blokują drogi. Samoloty ciągle jeszcze wiszą na niebie. Ich bomby świetlne omiatają płonące budynki jaskrawym światłem. Gryzący dym zatyka nam oddech. Musimy pieszo szukać jakiejś drogi wyjścia. Oddziały saperów pracują przy mocno uszkodzonym moście na rzece Orne. O godzinie 3.00 udaje nam się przez pola wyłamać z tego płonącego więzienia, w kierunku na Flers. Nad ranem bombardowania słabną. Drogą Ecouche-Briouze-Flers jedzie się dobrze. O godzinie 4.00 jesteśmy w Flers, które także mocno ucierpiało. O godzinie 5.00 jesteśmy w Condé-sur-Noireau. Kolumn marsz/owych dywizji nie było widać jak okiem sięgnąć. Przedzierały się przez porozbijane drogi. Podobnie jak Argentan, zbombardowane były wszystkie punkty węzłowe za frontem inwazyjnym, najwidoczniej w celu opóźnienia marszu odwodów do rejonu operacji pod Caen".

Razem z Bayerleinem jechał jego niezmordowany oficer łącznikowy Aleksander Harldegen, też stary „Afrykanin”, który brał udział w ciężkich walkach pod Teł el Mampsra, u boku generała Thomy. „Lisy pustyni” Rommla, które przeżyły wojnę, znają tego sprytnego kapitana i cenią go. On opisał nam drugi dzień tej pełnej śmiertelnego niebezpieczeństwa jazdy sztabu dywizji:

„Po nocy przejechanej bez chwili spokoju”, opowiada kapitan Harldegen. „generał Bayerlein, kierowca kapral Karlheus i ja, czekaliśmy pod Conde-sur-Noireau, 50 kilometrów na południe od Caen, na czołwkę 901 pułku grenadierów pancernych. Ale jak okiem sięgnąć nie było nic widać. Pojechałem z powrotem tą samą drogą. Miasteczko Conde było już tylko dymiącą kupą ruin. Most drogowy także był zniszczony bombami. A od godziny 5.00 samoloty myśliwsko--bombowe znów ciągnęły swoim szlakiem przez błękitne poranne niebo. Dywizja Panzer-Lehr została podporządkowana 1 korpusowi pancernemu SS. Przez całą noc poszukiwaliśmy stanowiska dowodzenia dowódcy korpusu, Seppa Dietricha. aby się zorientować w jego zamiarach i otrzymać rozkazy, ale nic znaleźliśmy go. Dopiero późnym popołudniem 7 czerwca wykryliśmy go w pewnym lasku na północ od Thury-Harcourt. Dietrich dał Bayerleinowi rozkaz, aby do rana 8 czerwca jedną grupą bojową osiągnąć rejon Norrey-Brouay na linii kolejowej Caen Bay-eux. Stamtąd mieliśmy wspólnie z równocześnie doprowadzoną 12 dywizją pancerną SS »Hitlerjugend« przystąpić do ataku na szerokim froncie. Pod wieczór znaleźliśmy wreszcie czołwkę naszej dywizji pod Thury-Harcourt. Byli to grenadierzy, którzy przybyli jako pierwsi; czołgi były jeszcze daleko w tyle. General Bayerlein omówił z dowódcami pułków sytuację i około godziny 22.00 odjechaliśmy na nasze stanowisko dowodzenia w Proussy. Droga wiodła śladami upiornego marszu poszczególnych pułków. Całe

tuziny wraków różnych pojazdów leżały na skraju szosy, płonąc i żarząc się- istne stalowe szkielety. Odcinek Coumont-villers Bocage był szlakiem śmierci. Wypalone samochody ciężarowe, rozbite kuchnie polowe i ciągniki, częściowo jeszcze żarzące się, a obok ciała zabitych. To były budzące grozę kulisy naszej jazdy. Kapral Karlheus nacisnął na pedał gazu: »Uciekajmy z tego piekła!«.

i n/i

i n c

Uwaga - samoloty myśliwsko-bombowe

Letnie noce w Normandii są krótkie. Właśnie osiągnęliśmy wzgórze 238 i pędziliśmy drogą, kiedy na zmierzchającym niebie wykryliśmy trzy samoloty myśliwsko-bombowe. Było oczywiste, że nas zauważyły, gdyż leciały na małej wysokości, wzdłuż drogi, prosto na nas. Zapiszczały hamulce. Podobnie jak już tuzin razy tego dnia generał Bayerlein zwałił się do przydrożnego rowu z jeszcze toczącego się wozu. Zauważyłem cementową rurę przepływową. Dostoczyłem tam w paru susach i wepchnąłem głowę w ciemną rurę: przez Boga nadany schron. Karthus także wyszedł jeszcze z wozu, kiedy zaczęły już tłuc armatki pokładowe pierwszego ataku. Następny myśliwiec bombowy leciał dokładnie nad rowem przydrożnym i wypuszczał na nas serie ognia z lotu nurkowego. Przed moją rurą betonową detonowały 20 mm granaty. Kapral zawołał właśnie do Bayerleina: »Dalej od wozu, panie generale, dalej od wozu!«. Potem była już tylko cisza.

Kto nic przeżył ataków samolotów myśliwsko-bombowych, ten nie zna specyfiki walk inwazyjnych. Leży się zdany na łaskę losu w rowie przydrożnym, w bruzdzie na roli lub obok żywopłotu, przywartym do ziemi, z twarzą wepchniętą w ziemię, a potem słyszysz, jak zbliża się, pędzi na ciebie. Jest. Nurkuje. Teraz gwizdzą pociski. Teraz zostaniesz trafiony.

Chciałoby się wczołgać pod ziemię. Potem ptaszysko odlatuje. Ale wraca. Dwa razy. Trzy razy. Dopiero wtedy, kiedy tamci faceci uznają, że zrobili wszystko, co trzeba, oddalają się. I tak długo trzeba tam leżeć. Skazany na egzekucję. I kiedy to przeminie - to jest to tylko miłosierne odroczenie wyroku. Dziesięć takich ataków, to prawdziwy przedsmak piekła!

Nasz BMW stoi na drodze jako żarzący się wrak, smaży się i dymi. Kapral Kartheus leży w rowie martwy. Generał Bayerlein wyszedł z tego cudem, odnosząc tylko parę ran ciętych i odłamków. Mnie uratowała rura kanałowa". Kapitan Hartdegen ukląkł przy kapralu Kartheusie. - Tu już nie można nic pomóc, panie generale - powiedział do Bayerleina. Ten pokiwał głową i wycierając sobie krew, ciekącą z rany ciętej na czole, stwierdził: - Musimy go czymś przykryć. - Tak - przytaknął Hartdegen, rzucając spojrzenie na twarz kaprała. Tylko czym? Nie namyślając się wiele, ściągnął swój sweter bawełniany i nakrył nim głowę i pierś zabitego. BMW wciąż smażył się i dymił. Odejść od tego dymiącego sygnału - przemknęło Hartdegenowi przez głowę. W odległości 50 metrów od ciała Kartheusa rzucili się do rowu. Ręce wciąż im jeszcze drżały, a kolana były miękkie. - Jak się stąd wydostaniemy? - zastanawiał się głośno Bayerlein. Hartdegen chciał iść pieszo do Coulvain, gdzie zostawili sztab 902 pułku grenadierów pancernych. Ale w tym momencie pędem nadjechał łaźnik. Dowódca pułku Gutmann obserwował ten

atak na równej jak deska drodze i pełen obaw, po odlocie samolotów myśliwsko-bombowych wysłał wóz. W ten sposób dowódca dywizji znów był zmotoryzowany - chociaż, tylko jednym łazikiem.

Nad drogą zaległa noc. Dobroczynna noc. Ochrona przed samolotami myśliwsko-bombowymi. Tak więc udało się dobić z powrotem do Proussy, gdzie od 24 godzin czekał zmartwiony szef oddziału operacyjnego, major Kaufmann.

Tymczasem dywizjony i bataliony dywizji Panzer-Lehr przedzierały się różnymi drogami do rejonu walk.

Podporucznik Hans Eberhard Bohmbach musiał pewnie myśleć o świętowaniu podwójnych urodzin, swoich i przyjaciela Rollin-gera, kiedy ze swym 1 batalionem 902 pułku grenadierów pancernych maszerował w mżawce ku frontowi inwazyjnemu.

O godzinie 17.00 dnia 6 czerwca wyjechali z Vibrayc. Nadciągający wieczór zastał ich jadących pod zasnutym chmurami niebem. Z upływem nocy zaczęło się wypogadzać, wstawał letni dzień. Wraz ze słońcem pojawiły się też samoloty myśliwsko-bombowe.

Batalion doznał pierwszych wielkich strat, bez oddania ze swej strony choćby jednego wystrzału. Żołnierze byli, ściśle mówiąc, wybijani na zewnątrz, wprost na otwartych transporterach opancerzonych. Jeśli batalion nic miał być zniszczony, zanim w ogóle dotrze w pobliże frontu, to nie pozostawało nic innego, jak ukryć się w jakimś lasku i przeczekać do nocy. Noc na 8 czerwca - dokładnie tak, jak to Bayerlein wyliczył z góry.

Około północy do batalionu przyjechał łącznik na motocyklu. Nareszcie były jakieś wiadomości. Stanowisko dowodzenia dowódcy 902 pułku grenadierów pancernych, pułkownika Gutmanna, mówił łącznik, znajduje się na północ od Villers Bocage przy wschodnim wylocie z miejscowości Tilly.

Tilly! Podporucznik Bohmbach szukał tej dziury na mapie. Nie przeczuwał, bo niby skąd, że nazwa ta wejdzie do historii wojny. - Aha, to tutaj, pomiędzy Caen i Bayeux.

Bohmbach ruszył w drogę, aby przywieźć rozkaz na wykonanie zadania. Przejeżdżał obok wypalonych samochodów ciężarowych, kuchen polowych i dział przeciwpancernych. Nie zwrócił uwagi na szkielet BMW, przy którym na wygiętym pręcie widoczna była jeszcze flaga sztabowa: wóz Bayerleina. Księżyc wyłamał się spoza chmur, kiedy Bohmbach dojechał do zbombardowanego Villers Bocage. Natknął się na wycofujące się, maszerujące na tyły, wyczerpane walką grupy z 716 dywizji piechoty. - Czołgi Tommies są za nami! - wołali do Bohmba-cha. Alarmujące wieści, jakie zawsze rozgłaszają wycofujące się oddziały, rozchodzą się lotem błyskawicy. Bohmbach nie przejmował się tym. Dalej. W kierunku na Tilly. Świtał ranek. Podporucznik spojrzął na mapę: Juvigny.

- Samoloty! - krzyknął kierowca. Wrzucił bieg i wjechał w załom tuż obok drogi. A przekłete ptaki zbliżały się, lecąc już z hukiem nisko nad drogą. I przeleciały. Załom uratował Bohmbacha i kierowcę. Słyszeli bomby wybuchające na skrzyżowaniu, przez które tylko co przejechali. Słyszeli, jak ci faceci za sterami skręcili, zawrócili i znów zaatakowali z lotu koszącego. Kto tym razem padł ofiarą, bezbronną ofiarą? Wszak grenadierzy nic mieli żadnego sposobu na odparcie ataku samolotów myśliwsko-bombowych. Kiedy starszy szeregowiec i dowódca
1H7

pierwszego transportera opancerzonego dywizyjnej kompanii zabezpieczenia przy pierwszym alarmie przeciwko samolotom myśliwsko-bombowym wyrwał się z kolumny i wyjechał na otwarte pole, aby Spitfire'a poczęstować ogniem z karabinów maszynowych w samą kabinę, to ze zdziwieniem zobaczył, że nic się nie dzieje. Znow otworzył ogień: - Tak, Boże Świety - wymamrotał widząc, że maszyna mimo to leciała przez serię, co było widoczne na śladzie pocisków świetlnych. A skutek mimo to był zerowy. To nic żaden cud. Po prostu silnik i kabina pilota były opancerzone przeciwko środkom rażenia piechoty!

W ten sposób samoloty myśliwsko-bombowe okazały się straszliwą bronią przeciwko piechocie. Okrzyk alarmowy: „Samoloty myśliwsko-bombowe!” siał postrach wśród wszystkich maszerujących jednostek. Te groźne ptaki były wszędzie. Nigdy nie można było czuć się bezpiecznym wobec nich. Co najwyżej w czasie deszczu lub w nocy.

Kiedy wreszcie, w pobliżu Brouay, podporucznik Bohmbach wskoczył na stanowisko dowodzenia swego dowódcy pułku - wykopane w ziemi ukrycie na głębokości półtora metra - to znow ostatnie, co zobaczył na niebie, to był samolot. Tym razem był to samolot obserwacyjny artylerii. Jego skuteczność dała o sobie znać już po jednej minucie: ciężka artyleria okrętowa położyła ogień na rejon Brouay, gdzie znajdował się sztab pułku i gdzie w gotowości do ataku stał 902 pułk grenadierów pancernych. W ciągu jednej godziny śmierć i zniszczenie przeorały pułk, zanim ten zdążył oddać choćby jeden strzał.

Na tymczasowym stanowisku dowodzenia dywizji w Proussy, na północ od Conde-sur-Noircau, w niewielkim zamku, otoczonym wiankiem zabudowań chłopskich, Bayerlein starał się zorientować swego oficera operacyjnego, majora Kaufmanna, o sytuacji dywizji i stanic poszczególnych oddziałów. Objasniał rozkazy, które wydał w związku z planowanym na rano 8 czerwca uderzeniem: pułkownik Scholze ma swoim wzmocnionym 901 pułkiem grenadierów pancernych opanować rejon Norrey, a pułkownik Gutmann ze wzmocnionym 902 pułkiem grenadierów pancernych opanuje rejon Brouay, aby potem dołączyć do wielkiego ataku 12 dywizji pancerniej SS „Hitlerjugend” i działającej na prawo od niej 21 dywizji pancerniej, atakujących w kierunku wybrzeża.

Wielki atak! Teraz musi się udać lepiej niż wtedy z 21 dywizją pancerną. Dywizja Panzer-Lehr i dywizja „Hitlerjugend” powinny to niezdatne do niczego żelastwo obrony przeciwinwazyjnej wyciągnąć z kłopotów.

Bałamutne rozkazy

12 dywizja pancerna SS „Hitlerjugend” dowodzona przez brigadeführera Witta była dobrze uzbrojonym związkiem taktycznym. Składała się z ludzi bardzo młodych. Grenadierzy mieli po 18 lub 19 lat. Wierzyli w swoją sprawę i w

swoją broń. Nie przeczuwali jakichkolwiek wahań w naczelnym dowództwie i gdyby im o tym powiedziano, byłiby diabelnie wściekli. Jechali, aby płacić gniewem.

Zarówno rejon podstawy wyjściowej, jak i pierwsze rozkazy, które 12 dywizja pancerna SS otrzymała, mają swoją wymowę w świetle różnych poglądów panujących w niemieckich wyższych sztabach dowódczych.

W kwietniu dywizja została przegrupowana z Belgii do Normandii. Miała zaciągnąć kwatery w rejonie Lisieux, 30 kilometrów od wybrzeża. Byłaby to świetna pozycja wyjściowa. Gdyby tylko dywizja była tam 6 czerwca! Ale generał von Geyr, dowódca Grupy Pancernej Zachód (Panzcrgruppe West), zmienił plan i dywizja została rozlokowana 50 kilometrów dalej na południe. Znow w tej decyzji można się dopatrzeć echa starego sporu pomiędzy Rommlem a Gcyrem: jeden chce mieć odwody całkiem blisko wybrzeża, a drugi zdecydowanie dalej, aby móc dysponować większą przestrzenią do manewrowania. Geyr nigdy nic brał pod uwagę przygniatającej przewagi aliantów w powietrzu, która później przeraziła wszystkich uczestników walk w Normandii.

Tak więc dywizja Witta leżała dokładnie o 20 kilometrów za daleko od rejonu walk, aby *gros* dywizji dało się skutecznie wprowadzić do walki w dniu 6 czerwca.

Już o godzinie 3.00 rano z 711 dywizji dowodzonej przez generała porucznika Reinhardta, która, zajmując odcinek między Orne a Sekwaną, była prawym sąsiadem 716 dywizji piechoty, nadszedł do Witta meldunek:

„Nieprzyjacielskie desanty powietrzne za naszym lewym skrzydłem”. Potem doszło znaczące uzupełnienie:

„Przeciwnik zrzuca umundurowane kukły słomiane”. Był to jeden z tych mylących trików Montgomery'ego, w których był prawdziwym mistrzem. Dywizja Witta nie otrzymała co prawda rozkazu do działania, ale dowódca natychmiast zaalarmował swoje jednostki. O godzinie 4.00 miał je w gotowości marszowej. Czołgi czekały.

Grenadierzy czekali. Ale w dalszym ciągu nic się nie działo! 25 pułk grenadierów pancernych prowadził rozpoznanie w kierunku na Caen.

O godzinie 7.00 przyszedł rozkaz od obergruppen I ubiera Dietricha, dowódcy 1 korpusu pancernego SS, dywizja jest w dyspozycji XI korpusu w Rouen i ma się ześrodkować w rejonie Lisieux. Dowódcy kręcili głowami.

Dlaczego do Lisieux? Rozpoznanie pokazało, że przeciwnik dokonał desantu powietrznego po obu stronach Orne i napiera na Caen! Poza tym wykonanie tego zadania bez przygotowanych planów marszu pociągnęłoby za sobą dużą stratę czasu. Ale rozkaz to rozkaz - a łączności telefonicznej z Grupą Wojsk B nie ma. Tak więc nie było gdzie przedstawić wątpliwości.

Opracowano nowe rozkazy marszowe i przesłano je do jednostek przez oficerów łącznikowych. Między godziną 10.00 a 11.00 oddziały rozpoczęły marsz Już 6 czerwca, zapamiętajmy to, a więc w czasie w zupełności wystarczającym do wykonania szybkiego przeciwuderzenia na wybrzeże. Był to dokładnie ten właśnie czas, kiedy 22 pułk czołgów z 21 dywizji pancernej został rzucony na zachodni brzeg Orne.

Okolo godziny 15.00 do dowódcy dywizji nadszedł rozkaz z Grupy Wojsk B, aby ześrodkować się nie pod Lisieux, lecz w rejonie na zachód od Caen. Cel: wsparcie kontrataku 84 korpusu. - Do jasnej cholery! - zaklął Witte. Pułki już maszerowały. Odzieje można będzie złapać? Nowy rozkaz dotarł do wzmocnionego 25 pułku grenadierów pancernych w rejonie na zachód od Lisieux o godzinie 16.00. Pozostałe jednostki otrzymały rozkaz w różnym czasie, gdzieś na trasie marszu.

25 pułk grenadierów pancernych musiał zatem przejechać z powrotem około 70 kilometrów, aby przybyć na nowe stanowiska w rejonie wyjściowym. Przed południem znajdowali się w odległości o połowę mniejszej. W ten sposób w dniu 6 czerwca pułk nie wszedł już do działań. Dzień ten spędzono na marszach.

Jak na urągowisko, dywizję ponownie podporządkowano 1 korpusowi pancernemu SS, od którego otrzymała rozkaz, aby 7 czerwca o godzinie 12.00, zajmując pozycję na lewo od 21 dywizji pancerniej, rozpoczęła atak w kierunku północnym, z zadaniem wrzucenia do morza przeciwnika, który zszedł na brzeg.

Ten rozkaz przyszedł o całe 24 godziny za późno, aby mógł wesprzeć ze skutkiem atak 21 dywizji pancerniej pod Périers i dopomóc jej w osiągnięciu przełomowego sukcesu. Trzeba było aż tyle bezcennego czasu, aby widoczne jak na dłoni zadanie dla przygotowanej do walki dywizji pancerniej mogło zostać wprowadzone w czyn. Całe bezpowrotnie stracone 24 godziny! W tych to godzinach przegapiono szansę na skuteczne odparcie desantu powietrznego i morskiego. Wydawanie rozkazów zza zielonego stołu stanęło na przeszkodzie temu, co mógłby zrobić jeden pełnomocny, wyższy dowódca: wczesnym rankiem 6 czerwca, natychmiast po stwierdzonym lądowaniu z morza, uderzyć w kierunku wybrzeża 21 dywizją pancerną oraz innymi dyspozycyjnymi siłami, potem skrócić w lewo, nie zwracając uwagi na dalsze desanty powietrzne na swych tyłach. Podporządkowanie 21 dywizji pancerniej 1 korpusowi pancernemu SS zapewniłoby obronie niezbędne wzmocnienie.

12 dywizja pancerna SS i dywizja Panzer-Lehr także mogłyby najpóźniej do godziny 10.00 - dnia 6 czerwca - przystąpić do ataku pod dowództwem 1 korpusu pancernego SS na podstawie dawno przygotowanych planów rozwinięcia operacyjnego. Witt miał swoją dywizję w gotowości marszowej już o godzinie 4.00. Od Bayerleina wiemy, że o godzinie 2.30 został zaalarmowany przez samego generała Warlimonta z kwatery głównej fuhrera. 25 pułk grenadierów pancernych SS, wzmocniony co najmniej jednym batalionem czołgów, jednym dywizjonem artylerii i jedną ciężką baterią artylerii przeciwlotniczej oraz jeszcze jedną pancerną grupą bojową o podobnej sile, ze składu dywizji Panzer-Lehr. Wszystkie te siły mogły być wieczorem 6 czerwca gotowe do rozpoczęcia kontrataku pod Caen. Zagrożenie ze strony samolotów myśliwsko-bombowych nic zdołałoby przeszkodzić w

wykonaniu tego zadania, ponieważ przed południem 6 czerwca było mgliście i padał deszcz, co - w przeciwieństwie do pogodnego wieczora - pozwalało na względnie szybki i niezakłócony marsz w kierunku frontu.

Abstrahując od tego, nasuwa się pytanie: Gdzie były działa przeciwlotnicze, jeśli do dyspozycji frontu nic było już w ogóle lotnictwa myśliwskiego? Także to pytanie zawiera w sobie zarzut o ów znamienity brak koordynacji w przekazywaniu danych pomiędzy wyższymi sztabami.

3 korpus artylerii przeciwlotniczej generała Pickerta miał zadanie, aby w przypadku lądowania wroga na wybrzeżu normandzkim natychmiast iść ze swymi siłami przeciwlotniczymi na przyczółek lądowania. Tymczasem baterie korpusu stały nad rzeką Sommą. Stanowisko dowodzenia znajdowało się na południe od Amiens. Trzy pułki, prawie dwanaście dywizjonów, stały do dyspozycji. To była duża siła ogniowa, kręgosłup ataku i obrony.

6 czerwca przed południem generał Pickert nie miał jeszcze żadnych wiadomości o lądowaniu. Wyjechał w podróż inspekcyjną. Dopiero po południu, kiedy powrócił, znalazł pierwsze meldunki z zastrzeżeniem, że nie ma jeszcze pełnej jasności, czy chodzi o wielką inwazję. A więc wciąż jeszcze nie ma jasności?!

Pickert wyjechał do Paryża. Wreszcie po południu 6 czerwca wyprawił swoje dywizjony do marszu w rejon po obu stronach Caen. Tam, w dniach 8 i 9 czerwca baterie natrafiły na front i zostały mocno poturbowane, z ponad dwustu zabitymi i rannymi. Jednakże podczas marszu zdołano zestrzelić 35 nieprzyjacielskich samolotów. Co by to było, gdyby *gros* tego korpusu znalazło się na froncie wieczorem 6 czerwca!

Naturalnie łatwo jest operować pojęciami takimi, jak „miałoby” czy „byłoby”. a poza tym po bitwie widzi się wszystko jaśniej niż wtedy, w dniu 6 czerwca. Ale istnieje jeden pogląd strategiczny, podzielany przez wielu doświadczonych znawców przedmiotu, że przy szybko uruchomionym kontrataku, wykonanym 6 czerwca za pomocą wspomnianych oddziałów, brytyjski przyczółek lądowania mógłby zostać tak mocno zwięziony, że dalsze operacje miałyby przynajmniej szansę przyciśnięcia niektórych przyczółków lądowania i przygwożdżenia alianatów przy samym brzegu. Między innymi dlatego, że aliancka przewaga w powietrzu mogła co prawda dotkliwie razić niemieckie kolumny marszowe i pozycje wyczekiwania, ale w klinczu walki, kiedy swój i wróg leżą niedaleko siebie, nic mogła być w pełni skuteczna.

Niestety, wszystko przebiegało inaczej i pozostawało jedynie pytanie: czy w dniu 7 lub 8 czerwca można było jeszcze uratować to, co w dniu 6 czerwca zostało zaprzepaszczone?

Klasztor Ardenne

Brigadeführer Witt uważał, że zadanie to jest do wykonania siłami jego wspaniale uzbrojonej 12 dywizji pancerniej SS. Jeśli idzie o jasność i optymizm, to jego rozkaz bojowy z 7 czerwca nic pozostawiał nic do życzenia. Po wyjaśnieniu położenia własnego i nieprzyjaciela, jako punkt 3 widniało wyraźnie: „Dywizja wraz

z 21 dywizją pancerną atakuje wysadzonego na brzeg nieprzyjaciela i wrzuca go z powrotem do morza". Rozkazy do ugrupowania bojowego na podstawie wyjściowej były precyzyjne, dokładnie wyłożone. Odnosiły się do obu pułków grenadierów, 25 i 26, obu batalionów czołgów z 12 pułku czołgów, dywizjonów z 12 pułku artylerii i batalionu rozpoznawczego, a także batalionu saperów i dywizjonu artylerii przeciwlotniczej, .lako termin ataku ustalono dzień 7 czerwca, godzina

16.00.

Witt i Feuchtinger odbyli jeszcze rozmowę przed atakiem, aby wszelkie działania między sobą uzgodnić. Feuchtinger zabrał ze sobą dowódcę. 22 pułku czołgów i pułkownik von Oppeln przedstawił swoje doświadczenia. Ustalono, że 22 pułk czołgów przyłączy się do ataku Witta w kierunku północnym w tym momencie, kiedy osiągnięta zostanie jednolita wysokość linii frontu. Potem atak miał już być prowadzony wspólnie w kierunku północnym, aż do samego morza.

Co pozostało z tego tak bardzo obiecująco rozpoczętego przedsięwzięcia?

Pierwsze elementy wzmocnionego 25 pułku grenadierów pancernych, dowodzonego przez Standartenfuhrera Kurta Meyera, osiągnęły we wczesnych godzinach rannych zachodni skraj Caen. Miasto ciągle jeszcze płonęło. Ulice były zablokowane gruzami. Z rannym słońcem rozpoczęły się nieprzerwane ataki samolotów myśliwsko-bombowych na drogach zbliżania się. Piloci dokładnie wyszukiwali swoje cele. Ze wszystkich obiektów najbardziej upodobali sobie pojazdy z paliwem, wiedzieli bowiem, że jeśli zniszczą cysterne, to wyłączą z walki także niemieckie czołgi - bez paliwa będą bezsilne. Dlatego też dowódca 25 pułku, Kurt Meyer, znany później pod mianem „Panzer-Meyer”, już od samego świtu nakazał swoim oddziałom, aby zaopatrywały się w paliwo za pomocą volkswagenów. Te małe zwrotne pojazdy mogły się posuwać od ukrycia do ukrycia.

Pułk przygotował sobie stanowisko dowodzenia na zachodnim skraju Caen. O godzinie 9.00 Meyer udał się na wysunięte stanowisko dowodzenia w klasztorze Ardcenne.

Wspiał się na wieżę, aby dokonać ogólnego przeglądu. Kiedy przyłożył lornetkę do oczu, ujrzał niesamowity widok. Przed nim, aż do wybrzeża, rozciągał się krajobraz, poprzecinany żywopłotami i sadami owocowymi, jakby wyjęty z pudełka z klockami. Na wybrzeżu trwają gorączkowe prace wyładownicze. Na redzie stoją potężne okręty w szyku pokojowym. Niezliczone balony zaporowe z zawieszonymi linami kołyszają się na niebie jako ochrona przed atakami z powietrza na flotę i na plażę - nadmierna ostrożność!

Meyer widzi coś jeszcze: oddziały pancerne przeciwnika formują się na swoim odcinku bojowym. Hm. To może być wesoło, myśli i rzuca spojrzenie do tyłu w teren, tam, gdzie ma się rozwinąć własna dywizja. Widzi prostą jak

strzelił drogę Caen-Falaisc. Ale nie jadą po niej żadne oddziały bojowe. C/olgi i transportery opancerzone zalegają gdzieś w ukryciu, aby w stanie nieuszkodzonym przez samoloty myśliwsko-bombowe odczekać na moment wejścia do walki.

Meyer znów przesuwa lornetkę w kierunku frontu. Jest zaskoczony: poprzez sady sunie ku nim nieprzyjacielski czołg. Teraz staje. Jest co najwyżej 200 nie-

wypełniona po brzegi amerykańska łódź desantowa dostaje się przed plażą ..Omaha" pod ogień niemieckiego karabinu maszynowego. Wybuchają skrzynie z granatami ręcznymi. Łódź płonąć podpływa wolno do brzegu.

Ten wielki okręt desantowy także dostał się w ciężki ogień obrony. Pociski artyleryjskie przelatują nad pokładem. Ludzie chcą odbić od brzegu. Minutę później okręt się przewraca.

4 metry grubości liczył sobie mur betonowy bunkra z 210 mm działem baterii Marcouf. przeznaczonej do strzelania do celów morskich.

L

W wodzie aż po ramiona szła do ataku pierwsza fala amerykańskiej piechoty, lądującej M plaży „Omaha” (zdjęcie górne). Potem z wnętrza transporterów wytaczała się ciężka broń przeznaczona do ataku: na ląd schodzą haubice pancerne 155 mm. Anglicy przeciwnie, ich ciężkie czołgi „Churchill” schodziły z pierwszą falą. Ale w wielu miejscach zostali przez niemiecką artylerię nadbrzeżną przygwożdżeni już na plaży (zdjęcie dolne).

Transfuzja krwi na plaży lądowania. Oddziały amerykańskie były wyposażone we wszelkie nowinki techniczne i naukowe, które ułatwiały walkę i pomagały zachować życie ludzkie. „Safety first” „najpierw bezpieczeństwo” było dewizą strategii amerykańskiej. Bezpieczeństwo ludzi kosztem materiałów, to recepta człowieka bogatego. Amerykanie lądowali przy pełnej perfekcji technicznej. Przez rampy wyładunkowe okrętów specjalnych na odcinkach lądowania „Omaha” i „Utah” przetaczały się samochody ciężarowe, czołgi i kol umny wojsk. Buldożery oczyszczały najpierw drogę, którą następnie wykładano siatką.

}

General Hans Cramer podczas końcowych walk w Afryce Północnej dowodził Niemieckim Korpusem Afrykańskim. Będąc w brytyjskiej niewoli, został w wyniku wymiany jeńców - bezwiednie wykorzystany przez wywiad aliancki do przekazania informacji niemieckiego naczelnego dowódcy.

Feldmarszałek (Feldmarschall) von Rundstedt. Dowódca Zachód, wizytuje w 1943 r. prace fortyfikacyjne na Wale Atlantyckim.

Feldmarszałek Rommel chciał lądującego nieprzyjaciela pobić już na linii wybrzeża. General (Feldmarschall) von Schweppenburg (drugi z lewej) był pierwszym. Według niego należało aliancom: pozwolić wylądować i zniszczyć ich później w klasycznej bitwie pancernej (Feldmarschall von Schrieber (drugi z prawej) miał swoją niemrawą 709 dywizją piechoty, o ciągu konnym, odpierać atak w pełni zmotoryzowanych sił amerykańskich na odcinku „Utah”. General (Feldmarschall) von Marcks. dowódca III korpusu. usiłował bez powodzenia zapanować nad beznadziejną sytuacją. Wielce skuteczną bronią niemiecką był ciężki, sześciolufowy moździerz.

General Eisenhower - dowódca sił inwazyjnych. Atakował dwiema armiami. Brytyjską 2 armią dowodził generał porucznik Dempsey (z lewej strony).

Marszałek polny Montgomery dowodził 21 Grupą Armii. General Bradley (w środku) dowodził amerykańską I armią, generał Patton (z lewej strony) dowodził amerykańską 3 armią, wprowadzoną do walki później.

Ponad 100 wielkich okrętów stało przed południem 6 czerwca przed plażą „Omaha”. Niekończący się strumień czołgów, armat, samochodów ciężarowych i wojsk zmotoryzowanych przechodził na ląd przez ten ogromny most okrętowy.

†

trów od grenadierów 2 batalionu, którzy ze swoimi dobrze zamaskowanymi działami przeciwpancernymi siedzą za żywołotem. Nic pada ani jeden strzał. Batalion utrzymuje dyscypliną ogniową. I to ma się, zaraz opłacić, gdyż toczący się samotnik pełni oczywiście rolę zabezpieczenia flanki jakiegoś oddziału czołgów, który teraz z wioski Buron zbliża się ku drodze Caen-Bayeux. Celem najwidoczniej jest lotnisko Carpiquet, które jednostka Luftwaffe oddała bez walki. Brytyjskie czołgi jadą dokładnie wzdłuż frontu 2 batalionu Meyera, tworząc nieubczpione długie skrzydło. Jest to marzeniem wszystkich grenadierów pancernych. To wprost idealny przypadek dla dział przeciwpancernych!

Meyer daje rozkaz do wszystkich batalionów, do artylerii, a także do stojącego w gotowości bojowej 2 batalionu pułku czołgów: „Otwarcie ognia tylko na mój wyraźny rozkaz”.

Na dole w ogrodzie klasztornym stoi w swoim wozie dowodzenia standartenfuhrer Max Wiinsche, dowódca 12 pułku czołgów. To, co mu przez telefon relacjonuje Meyer z wieży klasztornej, on nadaje przez telefon pokładowy do wszystkich swych czołgów. Jedna kompania stoi na terenie klasztoru, następna, dobrze zamaskowana, na tylnym zboczu tuż przy drodze, po której, nie przeczuwając nic złego, zbliża się nieprzyjacielski oddział czołgów. Brytyjczycy są zdumiewająco beztroscy. Mają przed oczami tylko jeden cel, lotnisko. Meyer ciągle obserwuje przez lornetkę i każdy ruch nieprzyjacielskiej jednostki przekazuje dalej. Napięcie jest ogromne, tak przemożne, że Wiinsche przekazuje informacje do swych dowódców czołgów przyciszonym głosem, tak jakby istniało niebezpieczeństwo usłyszenia go poprzez chrzęst sunących tam dalej potworów.

Meyer, chcąc wykorzystać szansę, szybko wykonypował sobie plan: zniszczyć nieprzyjaciela, który atakuje siłami jednego pułku czołgów i jednej brygady piechoty, działając z dogodnych pozycji wyjściowych, a potem natychmiast przejść do przeciwuderzenia. Wprawdzie godzi to w plan dywizji, ale tu chodzi o działanie szybkie. Łącznik powiadamia 21 dywizję pancerną o jego decyzji.

Nieprzyjacielska kolumna pancerna wstępuje na drogę Caen-Bayeux. Meyer woła głośniej do telefonu polowego: „Atakować!” Głos Wiinschego rozlega się w aparacie: „Uwaga, czołgi marsz!” - to jest rozkaz do wszczęcia piekielnego tańca. Działa przeciwpancerne otwierają ogień.

Czołgi terkoczą. Zatrzymują się. Strzelają. Nieprzyjacielski czołg przedni wylatuje w powietrze. Drugi się pali. Załoga wyskakuje, kryje się do rowu przydrożnego. Czołgiści-Tommies, Kanadyjczycy z 27 pułku czołgów kanadyjskiej 2 brygady pancernej, są całkowicie dezorientowani. Ich czołgi, jeden za drugim, zostają rozbite. Piechota towarzysząca- Highlanders z kanadyjskiej 9 brygady-próbuje uciekając, osiągnąć miejscowość Authie i tam się umocnić. Ale grenadierzy Meyera z 3 batalionu wyprzedzają ich. Niemiecki atak się rozwija. Pierwsi kanadyjscy jeńcy podchodzą z podniesionymi rękami w kierunku ogrodu klasztornego. Czyżby szczęście sprzyjało teraz Niemcom?

Kanadyjczycy ponoszą ciężkie straty. Według ich późniejszych danych czołowa kompania Highlanders z North Nova Scotia została wybita do nogi. Pozostałe kompanie poniosły także ciężkie straty. Pułk czołgów utracił 30 procent swego stanu i 28 czołgów typu Sherman.

Ale i grenadierzy Meyera dostali się pod ogień nieprzyjacielskiej artylerii. Z przerażeniem stwierdza on, przeprowadzając rozpoznanie na motocyklu, że prawe skrzydło jego atakującego 1 batalionu nie ma ubezpieczenia. Czołgi 21 dywizji pancernej zaległy pod Epron. Aby nieszczęście było pełne, w tę otwartą flankę uderzają nieprzyjacielskie siły pancerne i wywołują w 1 batalionie niebezpieczny kryzys. Wprawdzie działa przeciwpancerne mogą opanować sytuację, ale o dalszym ataku nie ma tutaj co myśleć.

Także i na lewym skrzydle rozwijają się nieprzyjacielskie oddziały pancerne. Są to elementy kanadyjskiej 7 brygady, które na zachód od rzeczki Mue atakują szosę Caen-Bayeux i zagrażają włamaniem się w rejon rozwinięcia 26 pułku grenadierów. 26 pułk dotarł tam dopiero swoją kompanią rozpoznawczą, ponieważ bataliony zostały zatrzymane ciężkimi atakami lotniczymi. Tylko małe, rozproszone pododdziały piechoty rozbitej 716 dywizji ubezpieczają ten rejon i jest jasne, że nie stanowią żadnej skutecznej ochrony w obliczu zbliżających się czołgów. W tej sytuacji Meyerowi pozostaje tylko jedno: przerwać atak i przejść do obrony. Pułk Meyera ma 66 poległych i 193 rannych. Utracono trzy czołgi Panzer IV.

Tym samym również i ta szansa pozostała niewykorzystana. W opracowaniu sztabu generalnego armii kanadyjskiej pisze się z uznaniem o duchu bojowym pułku Meyera: „Potężny niemiecki atak wybił nas z równowagi i przyprawił o bardzo duże straty. Niemcy nic mogli jednak wykorzystać tego sukcesu i niebezpieczeństwo zawisłe nad naszym przyczółkiem mostowym zostało zażegnane”.

W ten sposób dzień 7 czerwca w rejonie Caen chylił się ku końcowi. Wszystkie nadzieje niemieckiego dowództwa zostały zatem skierowane na dzień 8 czerwca, trzeci dzień inwazji alianckiej, dzień, w którym wreszcie trzy dywizje pancerne - 21, Panzer-Lehr i 12 dywizja pancerna SS - przystąpią do zwartego ataku na brytyjski przyczółek mostowy sięgający już na głębokość 10 kilometrów.

Pojedynek z flotą

W planach amerykańskich sztabów przygotowujących lądowanie na plaży „Utah”, niemiecka ciężka 210 mm bateria spod Marcouf i znajdująca się niedaleko niej, pod Azeville nadbrzeżna bateria wojsk lądowych, składająca się z dział kalibru 122 mm, zajmowały jeden cały odcinek. Obie pozycje powinny być zdobyte przez oddziały szturmowe już pierwszego dnia inwazji. Ale kiedy 6 czerwca nadeszła pora zmierzchu, Marcouf ciągle jeszcze strzelał. Ostrzeliwał plażę lądowania, strzelał na przednią wyspę Marcouf, na ustawione tam składy zaopa-

trzeniowe amerykańskiej 4 dywizji. GI's przeklinali, a oficerowie amerykańscy byli zmartwieni. - Tę cholerną baterię trzeba będzie usunąć - mówili.

Ta „cholerna bateria” całkowicie zakłóciła amerykański „rozkład jazdy”.

Niewyspani, czarni od dymu prochowego, artylerzyści marynarki siedzą w swych bunkrach. Ostatnie 24 godziny przeszły jak we śnie. Najpierw atak strzelców spadochronowych. Potem flota. Czy naprawdę dopiero wczoraj rano po raz pierwszy ujrzeli tę armadę? Czy to aby nie jest już wieczność?

Starszy sierżant Baumgartcn, pełniący obowiązki oficera kierującego ogniem baterii, nie zapomni tego, jak porucznik Ohmsen około godziny 5.00 sięgnął po telefon i komendantowi morskemu w Cherbourgu, admirałowi Hcnncckc, rzeczowo zameldował: „W zatoce Sekwany setki okrętów! Pytanie: czy na morzu są nasze okręty?” Po krótkiej przerwie nadeszła odpowiedź: „Nic, żaden z naszych okrętów nie znajduje się na morzu. Jeśli są to okręty, to jest to przeciwnik. Zezwolenie na otwarcie ognia! Oszczędzać amunicję! Koniec. Połączenie kończy się”.

A potem ich armaty dostały zezwolenie, aby przemówić.

Punktualnie o godzinie 5.00 widoczność tak się poprawiła, że dokładne celowanie stało się możliwe. Widoczność była ważna, gdyż bateria nie miała ani radaru, ani nowoczesnego urządzenia do kierowania ogniem. Trzeba było, jak za dawnych czasów artylerii, strzelać za pomocą celownika peryskopowego, to znaczy rozkładanej lunety z podziałką na stopnie. Wykonany domorosłą metodą zegar do pomiaru odległości do miejsca wybuchu pocisku, był wielkim osiągnięciem baterii. Tak wyposażony Marcouf stał naprzeciw największej floty inwazyjnej w historii.

Ohmsen wydał rozkaz do wszystkich trzech dział: - Dowolny ogień!

W tej samej chwili, jakby i tam, po drugiej stronie, wydano pancernikom i krążownikom rozkaz do otwarcia ognia, zagrzmiały salwy przeciwnika. I natychmiast pokryły teren baterii.

Flota amerykańska czekała z namierzonym celem. Jego odległość została dokładnie obliczona. Jednostki floty czekały tak długo z otwarciem ognia, dopóki nie wyjaśniło się, że zostały wykryte. I kiedy tylko rozbłysły płomienie wylotowe baterii Marcouf, to na pancerniku „Nevada” i na tuzinie krążowników oraz niszczycieli wydano rozkaz do wszystkich dział: - Dowolny Ogień!

Ale Marcouf już się wstrzelał.

Następna salwa pokryła cel. Udane trafienie pomiędzy komin i mostek kapitański pewnego krążownika. Okręt zaczął dymić. Zatrzymał się i tak już pozostał. Potem dziób i aifa uniosły się w górę. Kadłub okrętu rozłamał się pośrodku. Na miejsce katastrofy popędziły niszczyciele wyznaczone do ratowania. Szły dokładnie pod ogień dział baterii Marcouf. - Dobrze - wołał Ohmsen - dobrze tak!

210 mm działa Ohmsena trafiły w niszczyciela a nie w krążownik, pomyłka z uwagi na dużą odległość była zrozumiała.

Ale ci z tamtej strony też umieją celować. Krótko po godzinie 8.00 wypadło z walki pierwsze działo baterii w wyniku wybuchu ciężkiego pocisku przed bunkrem. Żołnierze Ohmsena pocieszali się:

1 !A

- Amerykanie stracili cały okręt wojenny a nam wypadło zaledwie jedno działo. To nie są błędne rachuby. - I prowadzili ogień za pomocą dwóch tylko dział. Cel: tył niszczyciela.

-Trafiony! - zabrzmiało radośnie ze stanowiska kierowania ogniem. Zbliżał się następny niszczyciel. Chciał pomóc kolegom. Odciągnąć ich. I on znalazł się w dobrze osadzonym ogniu sąsiedniej 4 baterii 1261 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych, która stała pod Quineville, a dowodził nią porucznik Schulz. Dowódca pułku, pułkownik Triepcl, śledził tę tragedię ze swego stanowiska dowodzenia na wzgórzu janowcowym i opowiada o niej tak: „Niszczyciel usiłował zygzakiem wyjść spod kanonady. Ale musiał przyjąć trafienie za trafieniem. Jeden z pocisków ugodził widocznie w urządzenia sterownicze. Okręt kręci się w koło. W końcu staje. Przechyla się na lewą burtę. Tylny pokład idzie coraz prędzej pod wodę”.

Amerykanie stracili w akwenie odcinka „Utah” trzy niszczyciele.

Admirał King, dowódca amerykańskiej floty inwazyjnej w swym sprawozdaniu z operacji tak pisze:

„Bateria Marcouf stanowiła dla nas ciężki orzech do zgryzienia. Wystawiliśmy przeciwko niej nie tylko pancernik »Nevadę«, lecz także jednostki »Arkansas« i »Texas«, które musieliśmy ściągnąć z plaży »Omaha«”.

Same tylko dwa ostatnie pancerniki dysponowały ponad 10 działami kalibru 356 mm, 12 działami kalibru 305 mm i paroma tuzinami dział 127 mm. To były giganty, miotające na Marcouf śmierć i zagładę.

O godzinie 9.00 było już tak, że: pancernikowi „Nevada” w wyniku ześrodkowania ognia udało się pociskiem 356 mm trafić w otwór strzelniczy działa nr 2. To był szczęśliwy strzał dla Amerykanów. I gorzki finał dla drugiego działa baterii. Skutek był straszliwy.

„Trafienie poprzez otwór strzelniczy” - to brzmi wręcz sensacyjnie. Ale bateria marynarki do prowadzenia ognia do celów morskich nie ma zwykłych szczelin obserwacyjnych. Ciężkie działo musi mieć horyzontalną zdolność obrotu do 180 stopni i pionową do 60 stopni. Musi mieć także możliwość podnoszenia się i opuszczania o kilka metrów. Stąd też „szczelina”, przez którą lufa wykonuje te manewry, ma wymiar wrót do stodoły, około 6 na 8 metrów. Jednak owa „szczelina” obserwacyjna winna była mieć pokrycia stalowo-pancerne. Ba. Ale gdzież one były? Przewidziane opancerzenie stalowe zostało wprawdzie wysłane ze składu zaopatrzeniowego w Bad Segeberg, ale nic nadeszło. Leżało gdzieś, na jakiejś zbombardowanej stacji kolejowej, podobnie jak nowoczesne urządzenie do kierowania ogniem baterii.

Po tym, jak oba działa bunkrowe zostały wyeliminowane, bateria Marcouf nic mogła już ostrzeliwać żadnych celów morskich. Ohmsen postanowił za pomocą ostatniego, wolno stojącego działa 210 mm, zaatakować miejsce lądowania. Dziesięć tysięcy metrów dzieliło je od plaży „Utah”. Aż tam, gdzie punkt oporu W 5 został właśnie

obezwładniony, gdzie na plaży, gęsto stłoczone, zbierały się amerykańskie czołgi, samochody ciężarowe i wojska, aby wzdłuż wybrzeża przystąpić do uderzenia w kierunku północnym.

Jest tutaj także amerykańska relacja o skuteczności tego ognia artyleryjskiego. Jeszcze raz zacytuję admirała Kinga. W swym sprawozdaniu z inwazji pisze on: „...- od godziny 11.00 nieprzyjaciel prowadził celny ogień na plażę. Nas/c straty były znaczące”.

- Która godzina? - pyta Ohmsen.

- Siódma, panic poruczniku - odpowiada Baumgartcn. Wtem telefon dzwoni przeraźliwie.

Na linii jest porucznik Kattnig z Azeville: „Moje 3 działo w wyniku trafienia jest kupą bezużytecznego żelastwa. Trzypółmctrowa pokrywa betonowa załamała się i opadła na dół, grzebiąc pod sobą działo i obsługę”.

Ohmsen nie ma czasu relacjonować swej własnej sytuacji. W punkcie oporu hula ogień karabinów maszynowych „Alarm! Atak z kierunku Crisbecq”, brzmi meldunek. Jest dokładnie godzina 7.07.

Amerykanie atakują ze swych pozycji pod Saint Germain de Varreville, pierwszy batalion atakuje Marcouf z drogi nadbrzeżnej, drugi, nieco dalej na zachód, naciera na Azeville. Wdzierają się do miejscowości Marcouf.

Ohmsenowi udało się naprawić jedno z jego dział przeciwlotniczych i razi ogniem nacierających piechurów.

Amerykański batalion ponosi ciężkie straty. Ale te amerykańskie oddziały szturmowe składają się z twardych chłopaków. Drogą obsadzoną topolami wywalczyli sobie wyjście z miejscowości Marcouf i podchodzą pod baterię.

Zapory z drutu kolczastego i rowy łącznikowe są zasypane odłamkami bomb i pocisków z dział okrętowych.

Flankujące karabiny maszynowe są rozbite. Bateria jest otwarta od strony lądowej i niczym nie osłonięta.

Amerykanie krótkimi skokami docierają na bliską odległość.

- Alarm! Przyjąć obronę okrężną! - rozkazuje Ohmsen. To jest SOS baterii. Teraz idzie o wszystko. Atakujący wdzierają się na teren baterii. Niemieccy artylerzyści zostają zamknięci w swych bunkrach. Na drodze do Crisbecq przeciwnicy kładą się w odległości rzutu granatem ręcznym.

Artylerzyści marynarki, leciwi rezerwiści, trzymają się, niczym kompania piechoty żołnierzy służby czynnej.

Wszyscy oficerowie i podoficerowie są ranni. Także porucznikowi Ohmse-nowi pocisk karabinowy przebił rękę.

Lekarza już nic ma. Poległ w drodze z sąsiedniej baterii do Marcouf. Dwaj sanitariusze-marynarze -jak ich nazywają w marynarce - opatrują rannych. I wielu spośród walczących w Marconi zawdzięcza im życie.

W międzyczasie Amerykanie podeszli aż pod bunkier kierowania ogniem baterii azevillskiej, która leży w obszarze baterii Marcouf, ponieważ Azeville nic ma wglądu na wybrzeże.

Ohmsen widzi ze swego dołka strzeleckiego, jak amerykańska grupa szturmowa wspina się na azevillski bunkier kierowania ogniem. Wic, czego chcą Ame-

rykanie: wsunąć detonatory do otworów Strzelniczych, podpalić materiały zapalające i z bunkra zrobić piekarnik. Z czasem to samo czeka wszystkie jego bunkry, wraz z tkwiącymi w nich artylerzystami.

Ze względu na rozpaczliwą sytuację, Ohmsen podejmuje również rozpaczliwą decyzję, ma obok siebie radiotelegrafistą z aparaturą plecakową. I rozkazuje: -Podajcie do baterii Azeville: „Upraszam o ogień artyleryjski na moją własną pozycję - Ohmsen”.

Radiotelegrafista, przerażony, spogląda na swego porucznika. - Szybciej, nadawajcie już! - ponagla Ohmsen. I wyjaśniając, powiada: -Bądźmy mieli własne straty. Ale to jest jedyna możliwość zrobienia jeszcze czegoś dla naszych chłopców. - Radiotelegrafista wybija wiadomość.

Wprawdzie bateria Azcville też jest okrażona przez nieprzyjaciela, ale porucznik Kattinig otrzymuje wiadomość. Natychmiast pojmuje, czego chce Ohm-sen. - Schiirger - mówi do swego doświadczonego, starszego wachmistrza - Schiirger, tym razem bądźmy prowadzić ogień po swoich. - I spokojnie, jak podczas strzelania ćwiczebnego, w krótkim czasie zaczyna z okrażonych stanowisk prowadzić celny ogień na teren baterii Marcouf.

Skutek jest zdumiewający. Amerykanie wahają się. Jeden granat, rzucony obok stanowiska kierowania ogniem azevillskiej baterii, zmiata w dół grupą wspinającą się. Skąd ten ogień? Pierwsza myśl, jaka przychodzi do głowy amerykańskim piechurom to: jesteśmy pod ogniem naszej własnej artylerii okrętowej. A to wywołuje ich wściekłość. Nikt chętnie nie umiera od własnych kul. Ich reakcja jest zrozumiała: GI's w panice opuszczają teren baterii. Pozostawiają nawet swoją broń i sprzęt.

Ten gwałtowny zwrot sytuacji działa na obsługą baterii jak jakiś cud. Uzbrajają się niczym piechurzy w zdobyczną broń - w tym także w granatniki plecakowe. Jak dar niebios zjawia się porucznik Geissler z 6 kompanią 919 pułku piechoty. Przebił się na teren baterii i powiększył siłą bojową Ohmsena.

Piechurzy wspólnie z artylerzystami przechodzą do pościgu za Amerykanami. Znają teren i nacierają na wycofującego się przeciwnika, flankując go jednocześnie. Dowódca amerykańskiego pułku widzi zagrożenie i rzuca jedną kompanią odwodową na swoje lewe skrzydło. Ale to nie pomaga. Niemcy wiedzą o tym. Amerykanie wycofują się coraz szybciej. **Ich** odwrót zamienia się w ucieczkę. GI's zostają wystrzelani. Chłopcy Ohmsena i Geisslera biorą dziewięćdziesięciu jeńców. Reszta Amerykanów zostaje wypędzona poza Dodainville. gdzie uciekających zatrzymują wreszcie amerykańskie jednostki odwodowe.

Żołnierzom z Marcouf było dane doświadczyć wściekłości pilotów samolotów myśliwsko-bombowych, którzy przez resztą dnia **nękali** stanowisko baterii lotem koszącym. Było im także dane słyszeć gniewny pomruk artylerii okrętowej, għicho porykującej na nich. Ale oni śmieją się tylko bez końca: - Aleśmy im pokazali! - Nie wiedzą, jak

jest na innych odcinkach frontu. Nic wiedzą, że bataliony grenadierów 922 i 1058 pułku, jak również 6 pułk strzelców spadochrono-

Niemieckie wojska na zachodzie. Stan: koniec maja 1944 r. Lądowanie aliantów wychodzące z Anglii mogło nastąpić w każdym miejscu wybrzeża Francji, Belgii i Holandii. Dlatego wszędzie na tej ogromnej linii wybrzeża należało podjąć odpowiednie środki. Dowódca Zachód miał w końcu maja 1944 r. do dyspozycji 58 dywizji z 1,8 miliona żołnierzy. Z tego 950 000 to wojska lądowe, Waffen-SS i oddziały lądowe Luftwaffe, w tym dziesięć dywizji pancernych i grenadierów pancernych z 1370 czołgami. Imponująca siła bojowa. Ale przypadające do obrony wybrzeże miało długość 4607 kilometrów. Spośród 48 dywizji piechoty 35 stało bezpośrednio przy wybrzeżu. Pozostałe 13 dywizji wykonywało inne zadania (odwody armijne, zabezpieczenie wysp). Największe siły znajdowały się w pobliżu Cieśniny Kaletańskiej (Pas de Calais). To tutaj, na podstawie skutecznego maskowania operacyjnego zamachu aliantów, niemieckie naczelne dowództwo spodziewało się lądowania aliantów. Tu stała twardo silna 15 armia z 20 dywizjami. Tymczasem na 300 kilometrach wybrzeża normandzkiego, gdzie alianci rzeczywiście lądowali, stało tylko dziewięć dywizji.

i i c»

wych i batalion szturmowy 7 koipusu armijnego zaległy na dobre pod Azeville, przygwożdżone do ziemi przez amerykańską artylerią okrętową, trzymane w szachu przez pierwsze czołgi Amerykanów, które uderzyły w głąb lądu od strony wybrzeża. Generał von Schlicben już dokonał rozeznania, że likwidacja nieprzyjacielskich przyczółków lądowania za pomocą wykonywania przeciwuderzeń siłami miejscowych odwodów, nie jest już możliwa. Nastawia się na obronę dróg Montebourg-Saintc Mere-Eglise i Fontenay-Ravenoville, tworzy grupy bojowe, aby powstrzymać rozszerzanie przyczółka lądowania. On także pokłada nadzieje w związkach pancernych i przeciwuderzeniach odwodów interwencyjnych.

Noc spowija kojącym mrokiem Marcouf i Azzeville. Zalega nad rannymi i martwymi. Ale żyjący, ci którzy mogą jeszcze coś zrobić, stoją nad ruinami i naprawiają, co się da.

Czynią swoje karabiny maszynowe ponownie zdawnymi do użytku. I składają z części działko kalibru 210 mm. Powinno znów strzelać. Rankiem, w trzecim dniu inwazji, kiedy w końcu dojdzie do wielkiego przeciwuderzenia niemieckich czołgów. Musi przecież do niego dojść!

Ostatni meldunek z Bayeux

8 czerwca wypadł w czwartek. Świat katolicki świętował Boże Ciało. Ale na wybrzeżu Normandii dzwony milczały. Tam przetaczała się wojna. Ten dzień dawał świadectwo waleczności i obfitował w brzemienne w skutkach decyzje.

W ciągu nocy bombowce rozbiły miejscowość Tilly. Nieprzyjaciel chciał przerwać dowóz w kierunku północnym. A czołgi Montgomery'ego coraz mocniej napierały na Bayeux, aby osiągnąć ważną magistralę państwową z Cherbourg do Caen.

Wczesnym popołudniem ostro dzwoni telefon na stanowisku dowodzenia 84 koipusu: centrala korpusu żąda szefa rozpoznania korpusu. „Na linii pośrednictwo łączności w Bayeux”. Słysząc głos telefonistki, która melduje: „Panie majorze, angielskie czołgi przejeżdżają obok Domu Żołnierza. Są już w środku miasta”. Majorowi Haynowi odjął mowę. - Skąd pani to wie? Czy w komendzie nie mają nikogo?

„Wszyscy oficerowie sztabowi walczą. Brytyjskie czołgi przedarły się przez główną linię obrony i atakują miasto. Jestem tutaj jedyną, ostatnią osobą”. A potem dodaje: „Teraz Tommics przejeżdżają na dole koło domu. Niech pan sam posłucha, panie majorze”. I ta zachowująca zimną krew dziewczyna trzyma chwilą słuchawkę za oknem. Szef rozpoznania nasłuchuje i słyszy w Saint Lfl głucho brzęczenie i terkot nieprzyjacielskich czołgów. Rzeczywiście: siły pancerne. To może być tylko brytyjska 50 dywizja pancerna.

„Teraz muszę już skończyć” - mówi dziewczę przy telefonie. Major zapomina o całym ceremoniale i woła do aparatu: - Cholera, dziewczyno, a co bądzić z panią? „Ach, ja wymkną się tyłem przez ogród. Koniec”. Trzask, a potem przewód staje się głuchy.

Bayeux padło. Po tym dramatycznym akcie nie można już mieć żadnej wątpliwości. Anglicy ustanowili połączenie z amerykańskim przyczółkiem lądowania Omaha” i zajęli pierwsze większe miasto Normandii; przerywają wielką równoległą linią do wybrzeża i mogą skrócić na ważny węzeł komunikacyjny Caen. To jest to miasto, które Montgomery zamierzał bardzo szybko zająć już pierwszego dnia.

Hayn chce się właśnie udać z tą hiobową wiadomością do szefa sztabu, podpułkownika von Criegerna, spieszy się, gdy nagle na zewnątrz, przed wejściem do bunkra brzęczy coś i trzaska. To samochód sanitarny, obładowany niemieckimi i amerykańskimi rannymi, który został ostrzelany przez samolot myśliwsko-bombowy i palił się teraz jasnym płomieniem. Ranni krzyczeli. Wyciągano ich z wozu. Dwóch Amerykanów już było martwych. Wszyscy mieli rozległe oparzeliny. Wśród tego zamieszania przy wejściu do sztabu zjawia się nagle oficer łącznikowy 352 dywizji, z wachmistrem i dwoma Rosjanami z 439 Ostbataillon, i pyta: - Gdzie jest szef rozpoznania? Dowódca batalionu major Becker przesyła dwa worki wodoszczelne, wypełnione amerykańskimi dokumentami zdobycznymi.

Skąd? Wachmistrz zdaje suchą relacją: w rejonie batalionu przy ujściu rzeki Vire pod Gefosse-Fontenay rankiem przywiało postrzelaną barką desantową. Wewnątrz było pół tuzina zabitych amerykańskich oficerów marynarki. Jednym z nich był ponoć jakiś „beachmaster”, jak go nazywali Amerykanie, oficer odpowiedzialny za określony odcinek lądowania. Leżał na walizce, a wewnątrz niej były dokumenty, oczywiście tajne. - Oto one, panic majorze - i całą górą akt, wilgotnych i częściowo posklejanych, wysypuje na blat stołu. Na pierwszy rzut oka Hayn widzi jedynie całe strony haseł, cyfr, zestawiony harmonogram. Wyglądało to na niezły połów. Zmobilizowano tłumaczy. Nie minęło pół godziny, gdy wpada do pokoju podniecony kierownik specjalista Jobel: - Panic majorze, mamy cały plan operacyjny amerykańskiego 7 korpusu! - Szef rozpoznania koipusu nie wierzy własnym oczom. Jeszcze nie dowierzając, przelatuje pierwszą stronę. -Jobel, człowieku! - dziwi się. Ale wszystko się zgadza. Naprawdę niepojęty. szczęśliwy traf.

Tajny plan operacyjny amerykańskiego 7 korpusu w wyrzuconej na plażę barce desantowej

Cały starannie opracowany plan z każdą pojedynczą fazą działań od Dnia-D* ze wszystkimi zadaniami dnia dla półwyspu Cotentin, leży na stole 84 korpusu. Niemieckie dowództwo uzyskuje wgląd w zamiary przeciwnika i to nie tylko

* D - Decision; D- Day dzień decyzji.

7 korpusu, lecz także sąsiedniego amerykańskiego 5 korpusu i brytyjskiego 30 korpusu. Zgodnie z planem Amerykanie mieli w pierwszej kolejności połączyć pod Carentan oba rozdzielone przyczółki lądowania „Utah” i „Omaha”. Potem pod Baycux, mieli podać rękę Brytyjczykom i w ten sposób utworzyć jeden zwarty odcinek lądowania. Następnie 7 koipus miał uderzyć w kierunku Coutances i przebić się do zachodniego wybrzeża półwyspu Cotentin, utworzyć front obrony od strony południowej a głównymi siłami skrócić na północ celem zdobycia Cher-bourga.

Generał Marcks i jego szef sztabu studiują ten plan szczegółowo. - Natychmiast przekazać wyciąg do dywizji - decyduje Marcks. Szef oddziału operacyjnego, major Hasso Viebig, pojedzie z oryginałem do Rommla i do Saint Germain do feldmarszałka Rundstedta.

I Viebigjeszcze tego popołudnia mknie jak strzała w kierunku Sekwany, popędzany przez samoloty myśliwsko-bombowe. Ma przekazać znalezisko i dokładnie przedstawić położenie na froncie oraz w trybie pilnym zażądać wsparcia Luftwaffe. Szczęście wojenne chce, że major Hayn może mu jeszcze wręczyć przypalony tom w czerwonych okładkach: *The German Forces*, amerykański podręcznik o armii niemieckiej mówiący o niej *The Enemy Sicie*.

Po raz pierwszy informator nieprzyjaciela o niemieckiej armii polowej wpadł w nasze ręce; stwierdzamy, że zawiera podstawowe dane, które w pełni doceniają nasze operacyjne dokonania, także, na przykład, w Rosji. Szczęście wojenne zdawało się dopisywać niemieckiemu dowództwu. Ale co znaczą dokumenty, jakie znaczenie ma wiedza o zamiarach nieprzyjaciela, kiedy nic można im zapobiegać?

Jednakże plan operacyjny nieprzyjaciela został później zdecydowanie zakłócony, a zadania dnia osiągnano dopiero w ciągu tygodni, niemniej wywalczenie zwycięstwa za sprawą pozyskania tej tajemnicy było jednak niemożliwe. Do tego brakowało Wehrmachtowi całego jednego pionu wojsk: lotnictwa. Beznadziejna słabość Luftwaffe była nie do odrobienia. Tak więc niewiele pomogło owo szczęśliwe znalezisko Kozaków z 439 Ostbataillon oraz radosne chwile oddziału rozpoznania 84 korpusu. Bitwa potoczyła się własnym trybem. Sztaby niemieckie musiały się przyglądać, jak nieprzyjaciel krok po kroku realizuje swój plan operacyjny.

Po południu 8 czerwca - kiedy Marcks, Rommel i Rundstedt już dokładnie wiedzieli z tegoż amerykańskiego planu, jak ważnym celem jest dla przeciwnika Carentan - strzelcom spadochronowym Heydtego, którzy ciągle jeszcze zmagali się o Sainte Mere-Eglise, brakowało amunicji. Bataliony miały przed sobą Amerykanów, którzy atakowali silnymi oddziałami pancernymi z przyczółka lądowania „Utah”, zaś za sobą miały trudny do przejścia

teren bagnisty. Tymczasem bazy zaopatrzeniowe pułku, kuchnie polowe i tabory, a także stanowiska wydawania amunicji, znajdowały za tym zatopionym terenem.

Dowódca musiał zatem zdecydować się na wycofanie wszystkich ruchomych elementów pułku, przy pozostawieniu ciężkiego sprzętu i pojazdów, aby brodząc lub płynąc sforsować bagnisty teren i zorganizować obronę na wschodnich i północnych obrzeżach Carentan. Tutaj, na drodze państwowej nr 13, strzelcy spadochronowi ustawili zaporę ryglową odgradzającą oba amerykańskie przyczółki mostowe, a jednocześnie blokowali drogę do brytyjskiego odcinka lądowania.

Tym samym Carentan stał się najgorętszym punktem walki na froncie inwazyjnym. Żołnierze amerykańskiego 502 pułku strzelców spadochronowych, którzy przeżyli, długo będą pamiętać pokonywanie drogi pod Saint Côme-du-Mont, gdzie droga wojskowa przecina teren nizinny. Amerykanie bez przerwy podsuwali się pod niemieckie pozycje. Napady artyleryjskie przeplatały się na zmianę z bombardowaniami z powietrza. Nieprzyjaciel napierał od strony północnej z przyczółka lądowania „Utah”. Równocześnie atakował pozycję od wschodu, z odcinka „Omaha”. Strzelcy spadochronowi leżeli w płytkich zagłębieniach w ziemi. Każde głębsze kopanie dołka kończyło się zalaniem go przez wodę. Szczególnie zażarcie walczone o pewną zagrodę chłopską położoną na południowy zachód od wysadzonego w powietrze mostu, pomiędzy skrajem miasta a terenem bagnistym. Zagroda tonęła w wielkim sadzie i była otoczona żywopłotami. Wprawdzie teren dawał obrońcom możliwość ukrycia się, ale z drugiej strony ułatwiał nacierającemu podejście. W domu gospodarza znajdowało się wysunięte stanowisko dowodzenia dowódcy pułku, a w sadzie nierzadko walczone twarzą w twarz. Z tyłu, na skraju miasta, w starej piwnicy na wino rozłożył swoje utensylia szef służby zdrowia pułku dr Ross z obydwoma lekarzami z 2 oraz 3 batalionu i nieustannie operowali, opatrywali, dawali zastrzyki lub pochylali się nad umierającymi. Pomagali im dwaj amerykańscy lekarze, którzy jako jeńcy wpadli w ręce pułku. Jednego tylko dnia, w ciągu 24 godzin, na tym wysuniętym, głównym punkcie opatrunkowym pułku opatrzone ponad tysiąc rannych - Amerykanów, Niemców. Gruzinów, a także pewną liczbę francuskich cywilów. Odwożenie na tyły mogło się odbywać tylko nocą. W ciągu dnia jęczący ranni leżeli w piwnicach głównego punktu opatrunkowego.

Tak walczyli żołnierze 6 pułku strzelców spadochronowych z prącem na południe nieprzyjacielem.

Amerykanom atakującym w kierunku północnym drogę nadal przegradzała, także w dniu 8 czerwca, bateria Marcouf i punkt oporu Azeville. Pozycje były wprawdzie okrążone, ale artylerzyści Ohmsena i Kaltniga, wspomagani przez piechurów Geisslera oraz ludzi Hansjörga Mabela z baterii szturmowej, nic poddawali się. Co prawda porucznik Kattinig w Azcville otrzymał już od pułkownika Triepla zezwolenie na opuszczenie stanowiska

baterii, ale po wymianie radiogramów z dowódcą odcinka, podpułkownikiem Keilem, otrzymał zapewnienie, że nadejdą posiłki w postaci piechoty, dział przeciwpancernych i saperów, dlatego

utrzymywał swoje pozycje przed atakami amerykańskiego 12 pułku. Z posiłków dotarło jednakże tylko kilku ludzi, reszta poległa w walce. Ale przez cały dzień 8 czerwca Azeville i Marcouf trzymały się.

Amerykanie chcieli za wszelką cenę przełamać tę denerwującą ich zaporę ryglową. O godzinie 13.30 zaatakowali Marcouf. Szli ciągle za wałem ogniowym artylerii, który skokami przesuwiał się do przodu. W końcu wdarli się do punktu oporu.

Grupy szturmowe miały ze sobą pręty z ładunkami wybuchowymi, które wsuwały w umocnienia i zapalały zapłonniki. Jednakże szafowano dosyć rozrzutnie tymi diabelskimi prętami. Kiedy więc szturmowcy osiągnęli urządzenia głównych umocnień i schrony bojowe, to ładunki wybuchowe już im się skończyły. Załoga broniła się w zaciętej walce wręcz.

Znów Kattinig udzielił pomocy z Azeville. Położył - ponownie na żądanie Ohmsena - ogień swej nietkniętej jeszcze armaty 105 mm na amerykańskie kompanie szturmowe w Marcouf. Geissler rozpoczął kontratak swymi piechurami na lewą flankę Amerykanów. GI's zatrzymali się. Byli u kresu sił. Nie sprostali napięciu. Atakujący batalion ponownie wycofał się do Dodaiiwille.

Amerykańskie relacje z tych walk są pełne emocji. Batalion szturmowy amerykańskiej 4 dywizji raportował 50 procent strat. Dowódca pułku szalał i był przekonany, że jest to jakiś niemiecki podstęp. Bał się wielkiego szturm niemieckiego i ogólną sytuację swego przyczółka lądowania widział w ciemnych barwach. Potwierdzone wzmocnienie baterii Marcouf przez piechotę Geisslera napełniło Amerykanów obawami. Dopatrywali się w tym jakiegoś wielkiego podstępu niemieckiego, gdyż nie byli sobie w stanie wyobrazić, że przeciwnik nie dysponował żadnymi znaczącymi odwodami. „Niewłaściwa ocena sytuacji przez Amerykanów była naszym szczęściem”, stwierdził Ohmsen, który po wojnie został komandorem podporucznikiem Bundesmarine. „Amerykanie zakładali istnienie dobrze wyposażonych odwodów, podczas gdy w rzeczywistości na tym odcinku w ogóle nie było żadnych jednostek. Ogień artylerii na własne linie napędził im gwałtownego strachu”. Dopiero 9 czerwca, w ten żałosny piątek, udało się Amerykanom wziąć szturmem baterię Azeville. Po natarciu artyleryjskim wykonanym za pomocą 1500 pocisków, zaatakowali z pomocą miotaczy ognia. Amunicja załogi była wystrzelana. Na próżno wachmistrz Schauer naprawił działo przeciwlotnicze. Jeden strzał - a potem już jedno celne trafienie siedziało na stanowisku tego działa. Opór załamał się.

Marsz Ohmsena na wzgórze janowcowe

Ciężkie straty poniesione przez oddziały atakujące wymusiły na amerykańskim dowódcy dywizji odstąpienie od ponownienia próby zdobycia Marcouf szturmem. Artyleria okrętowa i lądowa Amerykanów próbowała tę baterię zniszczyć.

W godzinach wieczornych 22 pułk piechoty rozpoczął marsz, omijając Marcouf i zmierzał w kierunku niemieckiego punktu oporu w Quineville celem uderzenia na niego. Specjalne jednostki w składzie strzelców, saperów i kompanii obrony przeciwpancernej każda, miały metodą działań komandosów unieszkodliwić tę waleczną Marcouf.

Ale ten plan też nie zadziałał. Oddziały komandosów czekały na wsparcie lotnicze, które nie nadeszło, porzeczano więc na lekkiej strzelaninie. Nocą Amerykanie bez przerwy strzelali 20 mm amunicją świetlną, tak że nie można było nawet myśleć o odbudowie pozycji obronnych baterii. Jedynie starszemu rusznikarzowi udało się mozolnym trudem wyczarować z resztek rozbitego sprzętu ponownie sprawne działo. Strzelało ono do amerykańskich kolumn zaopatrzeniowych, wytwarzając zawirowania.

Marcouf był drażniącym klinem, wbitym w amerykański obszar działań bojowych. Ale ze strony niemieckiej nie było niestety żadnych możliwości wzmocnienia tego klina. Ohmsen i jego ludzie stali na z góry straconych pozycjach. Tylko że o tym nie wiedzieli.

11 czerwca w schronie bojowym zadzwonił telefon. Przemęczeni ludzie bardzo się przestraszyli, że to diabelskie urządzenie wciąż jeszcze działało, po tych wszystkich bombach i atakach! Ale przewody telefoniczne w Marcouf funkcjonowały do ostatniej minuty. Połączenia kablowe w baterii wytrzymały.

Ohmsen opowiadał, że przy budowie baterii, zakładał kabel na głębokości 80 do 90 centymetrów, kopał rowki bardzo wąskie i nic pozwalał ich zasypywać. A więc druty leżały wolno, w wyniku czego można je było łatwo naprawiać. Ale nie było to wcale aż tak często potrzebne, gdyż specjaliści Ohmsena kładli kabel całkiem luźno w „zatoczkach”, to znaczy nienapięte, lecz w linię węża. W ten sposób przy uderzeniu bombowym przewody mogły się trząść, ale nie ulegały zerwaniu. Połączenie z komendantem morskim w Cherbourgu przebiegało kablem ułożonym głęboko w ziemi, z mocnymi centralami. Pomimo odległości 30 kilometrów pozostały nietknięte, podobnie jak wiele kabli wojsk lądowych, które często przez długi czas zapewniały połączenie, mimo że teren ten był już zajęty przez Amerykanów.

Kiedy porucznik Ohmsen podniósł słuchawkę z dzwoniącego aparatu, żołnierze obecni w bunkrze spoglądali w napięciu na swego komendanta. Ten zaś przycisnął słuchawkę mocno do ucha. Zgłaszał się admirał Hennecke z Cherbourga: „Panie Ohmsen, ilu ludzi ma pan jeszcze w baterii?”

- Siedemdziesięciu ośmiu, łącznie z rannymi nadającymi się do transportu. z tym, że niektórzy z nich muszą być niesieni. Poza tym mam paru ciężko rannych, którzy nie nadają się do transportu, panic admirale!
„Ohmsen”, powiedział z naciskiem Hennecke, „Ohmsen, jak pan uważa, c/y zdoła się pan wyłamać?”
Zanim jeszcze Ohmsen zdołał odpowiedzieć, Hennecke już ciągnął dalej: „Ohmsen, niech pan spróbuje. Do naszych linii jest około 10 kilometrów. Niech pan spróbuje się przebić jeszcze dzisiejszej nocy!”

Ohmsen nie zwlekał ani chwili: - Tak jest, panie admirale, odpowiedział. Potem położył słuchawkę.. Nie było czasu na zastanawianie się. Kazał zebrać załogę baterii, a Geissle-rowi swych piechurów. Rozdzielono karabiny i pistolety maszynowe. Wydano żywność. „Kto chce, może swoje prywatne rzeczy spalić razem z tajnymi”.

Potem ta straceńcza gromada z Marcouf rozpoczęła swój nocny marsz.

Brodzili przez ciekę wodną. Wysoko ponad głowami nieśli nosze z rannymi, szybko sklecone z kijów, sukna i koców.

- Dzieci, ostrożnie - upominał raz po raz sanitariusz, kapral Johannes Brock-inann. Jednak nic był to wygodny sposób transportu rannych. Skręcają na północ. Celem jest Quinville, wzgórze janowcowe pod La Pernelle. Tam znajduje się stanowisko dowodzenia podpułkownika Keila, dowódcy 919 pułku grenadierów. Tam też przebywa dowódca 1261 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych, pułkownik Triepel, któremu pod względem artyleryjskim podlega Marcouf.

Jest to wyjątkowo długa noc. Ale przemija, jak strach. O świcie stoją przed własnymi liniami.

Następnego ranka, dnia 12 czerwca 1944 r., amerykański dowódca postanowił wprowadzić do walki świeżo wysadzony na ląd pułk 9 dywizji i użyć go przeciwko trefnym punktom obronnym wybrzeża i plaży.

Generał major J.L. Collins chce przycisnąć niemiecką pozycję obronną pod Montebourgiem, zając ważny węzeł komunikacyjny Montebourg i tym samym wziąć w swoje ręce szosę do Cherbourg. Ten port morski jest poważnym celem 7 korpusu.

Na stanowisku dowodzenia korpusu amerykańskiego oficerowie stoją pochyleni nad mapami. Słuchają swego dowódcy: Te baterie od pierwszego dnia wyraźnie zakłócały lądowanie. Cały harmonogram uległ już przez to przesunięciu o kilka dni. Poza tym trudno się czuć szczęśliwym, mając niemieckie gniazda oporu na tyłach atakujących wojsk!

Oficerowie potakują. Oni to rozumieją. A więc naprzód! Przygotowują się pod każdym względem. Ale po dwóch pracowitych godzinach batalion rozpoznawczy amerykańskiej 9 dywizji melduje: „Bateria Marcouf opuszczona!”

Wewnątrz znajduje się 21 ciężko rannych niemieckich żołnierzy - dobrze pielęgnowanych przez podoficera sanitarnego baterii. Dla Amerykanów łatwe zwycięstwo nie było powodem do zmartwień, dla rannych niemieckich żołnierzy taki koniec walki też nic był najgorszy. Amerykański komunikat wojenny donosił o zajęciu Marcouf. Nie wspominał jednak o tym, że nastąpiło ono z sześciodniowym opóźnieniem.

„Strzelcom spadochronowym potrzebny jest tylko nóż”

Carentan także padło. Niemal w tej samej godzinie, kiedy żołnierze baterii Marcouf musieli opuścić swój tak zapamiętany punkt oporu i rozpocząć marsz w kierunku północnym, podpułkownik von der Heydte czuł się zmuszonym wyciągnąć swoje rozbite bataliony z Carentan. Na stanowiskach dowodzenia 84 korpusu i 7 armii zrodziło się zimne przerażenie, kiedy dotarła tam ta niechciana wieść.

Najważniejsza pozycja ryglowa na drodze państwowej nr 13, pomiędzy amerykańskim a brytyjskim przyczółkiem lądowania, padła. Jak to było możliwe? Jak to się mogło stać?

Dlaczego spadochroniarze oddali tę pozycję?'

Ten problem jest do dnia dzisiejszego żywo dyskutowany we wszystkich rozważaniach historyczno-wojennych. Istotne jest jednak to, że można go łatwo wyjaśnić za pomocą zwykłych, ucinających sprawę słów, jakie von der Heydte usłyszał kiedyś w OKW w odpowiedzi na swoje żądanie lepszego wyposażenia. Jego petycję odrzucono jednym lapidarnym zdaniem: „Strzelcom spadochronowym potrzebny jest tylko nóż”. Von der Heydte odpowiedział wówczas: „Strzelcy spadochronowi też są tylko ludźmi”. Tak jest: byli tylko ludźmi. Dzielnymi, chwackimi, gardzącymi śmiercią, ale, jak już powiedziano także tylko ludźmi!

W nocy z 9 na 10 czerwca resztki 1 batalionu, 25 ludzi-z siedmiuset-zostało zepchniętych do stanowiska dowodzenia pułku, gdzie zameldowali o zniszczeniu batalionu. Batalion, okrążony w Sainte Marie-du-Mont, zaatakowany przez siły nieprzyjacielskie, został rozczłonkowany na pojedyncze grupy i dosłownie rozbity. Jedna trzecia batalionu poległa lub potopiła się w bagnistym terenie. Inni dostali się do niewoli, prawie wszyscy są ranni. 10 czerwca w południe przed pozycjami 2 batalionu, na północ od Carentan, zjawił się amerykański parlamentarzysta i w imieniu generała Maxwella Taylora, dowódcy amerykańskiej 101 dywizji powietrznodesantowej, zażądał kapitulacji. Von der Heydte, na list napisany po niemiecku, odpowiedział pytaniem zadany po angielsku: - Czy będąc w moim położeniu, poddałby się pan?

Pułk był całkowicie zdany na siebie. Musiał walczyć bez artylerii, bez czołgów i bez wsparcia lotniczego. Z amunicją też. było krucho, zwłaszcza dla moździerzy i pistoletów maszynowych. Za to amunicji artyleryjskiej mieli pod dostatkiem, tyle że nie było armat, aby ją wystrzelać gdyż te zostały rozbite przez samoloty myśliwsko-bombowe i artylerię okrętową.

Na wołania o pomoc kierowane do 84 korpusu, kolumna zaopatrzeniowa przywiozła francuską amunicję do moździerzy. Ale nie pasował kaliber. Zmyślni strzelcy spadochronowi mogli ją wystrzelać tylko dzięki temu, że każdy granat owijali w kawałek koca. Na szczęście w Carentan znajdował się skład koców, tak że przynajmniej pod tym względem nie odczuwało się niedostatku.

W nocy na 1 1 czerwca strzelcom zdawało się, że patrzą na cud. Niczym okrzyk radości niosło się poprzez niemieckie pozycje: - Niemieckie samoloty! To były pierwsze, jakie widzieli od początku inwazji; Ju 52. maszyny transportowe. którym 84 koipus pozwolił latać. Przywiozły w zrzucanych pojemnikach amunicję do granatników i pistoletów maszynowych.

Rankiem 11 czerwca Amerykanom udało się dokonać głębokich włamań na prawym i lewym skrzydle oraz w centrum stanowisk pułku. Von der Heydte musiał dla zabezpieczenia skrzydeł ściągnąć część swoich ludzi z innych odcinków. Ale przez to siła obronna została osłabiona. W godzinach południowych przeciwnik osiągnął obrzeża Carentan i umocnił się w pojedynczych ruinach domów, w ogrodach i żywopłotach. Dowódca pułku przewidując rozpoznął stanowiska na wzgórzach położonych bezpośrednio na południowy zachód od miasta i ustalił drogi wycofywania się. Resztki 795 batalionu gruzińskiego, który podporządkował się von der Heydtemu, zostały skierowane do rozbudowy tej zapasowej pozycji. Gruzini nie nadawali się już do twardych walk obronnych na pierwszej linii.

W południe dowódca pułku sam jedzie na rozpoznaną pozycję zapasową. Po drodze napotyka jadący w kierunku frontu samochód osobowy. „Stój!” Wewnątrz siedzą dowódca 17 dywizji grenadierów pancernych SS „Götz von Berlichingen”, brigadeführer Ostendorff i szef jego oddziału operacyjnego, oberstunbannführer Konrad. Von der Heydte składa meldunek. Dowiaduje się, że jego pułk jest podporządkowany dywizji Ostendorffa, który chce 12 czerwca przeprowadzić atak na amerykański przyczółek lądowania. Ostendorff jest dobrej myśli: - Już my to załatwimy - uspokaja optymistycznie. Von der Heydte prosi, na wszelki wypadek, aby części dywizji wzmocnić natychmiast jego strzelców spadochronowych pod Carentan. Ale Ostendorff odmawia. Jest zrozumiałe, że chce swoją dywizję utrzymać w całości do chwili wielkiego ataku, po którym obiecuje sobie rozdzielenie przyczółków lądowania. Na próżno von der Heydte przestrzega przed zbyt optymistyczną oceną sytuacji. Ostendorff powołuje się na doświadczenia rosyjskie: - Amerykanie nie mogą przecież być twardsi od Rosjan.

- Twardsi to może nie - odpowiada von der Heydte - ale znacznie lepiej uzbrojeni, z walcem z czołgów i artylerii. Dowódca dywizji kończy tę dyskusję słowami: - Panie pułkowniku, pańscy strzelcy spadochronowi z pewnością wytrzymają do jutra.

Nie wytrzymali!

Kiedy von der Heydte znów dotarł na swoje stanowisko dowodzenia, czekał na niego meldunek, że zagroda chłopska, gdzie w ostatnich dniach znajdowało się jego wysunięte stanowisko dowodzenia, wpadła w ręce amerykańskie. Tym samym nadeszła chwila, kiedy trzeba coś zrobić, aby cały pułk nie podzieli! losu 1 batalionu: okrążenia i całkowitego unicestwienia. Dlatego też około godziny 17 dowódca pułku wydał rozkaz do opuszczenia miasta i wycofania się na rozpoznane i przygotowane stanowiska na południowy zachód od Carentan. O zmierzchu strzelcy spadochronowi Heydtego wychodzą z ruin tego tak zżarcie bronionego miasta przy drodze państwowej nr 13. Bitwa o Carentan została zakończona.

Na próżno 17 dywizja grenadierów pancernych SS usiłowała następnego dnia znów wziąć miasto w swoje ręce. 2 batalion strzelców spadochronowych, przy którym znajdował się dowódca pułku, jako jedyny oddział dywizji jeszcze raz podszedł aż do skraju miasta, umocnił się na dworcu, trzymał go, ale w końcu i tak musiał oddać tę pozycję, kiedy pozostałe oddziały dywizji Ostendorffa zaległy pod ogniem. Droga pomiędzy przyczółkami „Utah” i „Omaha” była otwarta.

„Bayeux musi być odebrane!”

Ajak to wyglądało na brytyjskim odcinku lądowania pod Caen, gdzie 7 czerwca wieczorem pozostawiliśmy mężnie walczący 25 pułk grenadierów pancernych 12 dywizji pancerniej SS „Hitlerjugend”?

Grenadierzy i pancerniacy także 8 czerwca bili się zawzięcie z ostro napierającymi Kanadyjczykami. Grupa bojowa złożona z kompanii Panter z 12 pułku czołgów SS oraz kompanii rozpoznawczej z 25 pułku grenadierów pancernych SS wzięła Bretteville, rozjechała stanowisko dowodzenia pułku „Regina Rilks” i przez całą noc utrzymała się we wsi. Jednakże o świcie Meyer musiał wycofać swoją grupę bojową. Bez wsparcia piechoty wysunięta pozycja była nie do utrzymania; przeciwnik okazał się już za silny.

Po południu na stanowisko dowodzenia Meyera przybył dowódca Grupy Pancerniej Zachód, generał von Geyr. Generał i standartenfuhrer wspięli się na punkt obserwacyjny, znajdujący się na narożnej wieży klasztoru Ardenne. Meyer dokonał przeglądu sytuacji. Geyr słuchał, nastawiony pesymistycznie, ale powiedział, że chce jednak zezwolić na rozpoczęcie wielkiego ataku z udziałem 21 dywizji pancerniej na prawym skrzydle, 12 dywizji pancerniej SS pośrodku i dywizji Pan-zer-Lehr Bayerleina na lewym skrzydle.

Przełamanie aż do wybrzeża! No, nareszcie! - pomyślał Meyer.

Z drugiej strony, na lewym skrzydle szybko zorganizowanej przed Caen niemieckiej linii zaporowej, na pozycje wyjściowe wchodziły już oddziały dywizji Panzer-Lchr Bayerleina. General przedstawia te ważne dni od 8 do 11 czerwca następująco:

O brzasku dnia 8 czerwca pułkownik Scholze z częścią 901 pułku grenadierów pancernych osiągnął pozycje wyczekiwania pod Norrey. Grupa bojowa pułkownika Gutmanna z 902 pułku musiała dopiero wywalczyć sobie pozycję wyjściową w rejonie Brouay, gdyż zdążyło już zająć stado kanadyjskich czołgów. Ciężkie boje nocne, w których nikt nie wiedział, kto jest swój, a kto obcy, przynosiły wielkie straty. Artyleria nie zajęła jeszcze stanowisk. Energiczny dowódca pułku, pułkownik Luxcnburger, który w 1941 r. stracił w Rosji rękę, oraz dowódca batalionu podpułkownik Zeissler, wyjechali ze swymi sztabami na rekonesans. Około południa zajmowanie

rejonów wyjściowych przez obie grupy bojowe było już zakończone. Można było zaczynać. Ale rozkaz do ataku nic nadszedł. Tymczasem zrobił się wieczór. Na stanowisku dowodzenia w Lc Mesnil Patry zjawiał

się nagle feldmarszałek Rommel. I niebawem stało się jasne, że wszystkie dyspozycje zostanajeszcze raz zmienione: Rommel, zagniewany, zwrócił się do Bayerleina z uwagą odnośnie brytyjskiej 50 dywizji, tej, która wzięła Bayeux, mówiąc: - Bayerlein, ta 50 dywizja to nasi szczególnie przyjaciele z Afryki!

Feldmarszałek wytłumaczył generałowi, że jego dywizja musi w ciągu nocy na 9 czerwca przesunąć obie grupy bojowe z rejonu Norray-Brouay do rejonu Tilly. Cel: „Atak na Bayeux rankiem 9 czerwca. Miasto musi być wzięte”.

Musi być wzięte! Zwykły, jasny, optymistyczny rozkaz. Po prawdzie nic pasował on do ogólnego pesymizmu Rommla. - Pójdzie nam tak, jak w Afryce, Bayerlein - powiedział zasepiony - Morze Śródziemne zastąpi tutaj Ren i nic tędy nie przejdzie.

A więc znowu przegrupowanie! Bayerlein, zrezygnowany pokręcił głową. Czy to są manewry?

Z nastaniem ciemności rozpoczęły się ruchy. Nierozpoznane przez Kanadyjczyków, ale niestety rozpoznane przez Luftwaffe. A ta bombardowała odchodzące kolumny. Dzięki Bogu niewiele się przy tym przydarzyło. Rankiem 9 czerwca przegrupowanie zostało zakończone. Atak na Bayeux mógł się rozpocząć. Ale na drodze Tilly-Bayeux posuwał się już w kierunku południowym brytyjski patrol rozpoznawczy i stado czołgów. Aby się nie rozpraszać w bojach wstępnych, atak musiał nastąpić na zachód od drogi.

2 batalion pułku Panzer-Lehr, dowodzony przez majora, księcia Schönburg-Waldenburga wziął udział w ataku swoją 1 kompanią. Z 1 batalionu, który Bayerlein wycofał z transportu na front wschodni, nikt się jeszcze nie zjawił. Atak miał powodzenie. Około południa osiągnięto Ellon w dolinie rzeczki Aurę. Pancerne patrole rozpoznawcze z batalionu rozpoznawczego dotarły aż do Arganchy, pięć kilometrów na południe od Bayeux. Pięć kilometrów od Bayeux! Bayerlein dostał prawdziwej gorączki myśliwskiej. Chciał tej brytyjskiej 50 dywizji pokazać, jak wtedy w Afryce na pozycji Gazala pod Got el Ualeb!

- Ruszać się, dzieci - upominał swych oficerów sztabu.

Kapitan Hartdegen śmiał się szyderczo: - Idzie się, panie generale, a jakże, idzie się. Wygląda na to, jak byśmy dokładnie uderzyli w lukę pomiędzy sektorem angielskim i amerykańskim, być może tym razem niebo okaże się łaskawe i dojdziemy do morza, rozłączymy Amerykanów od Tommies i przeszkodzimy w ich połączeniu się.

Ale to było jak jakieś niepochwytne czary. Nadszedł nowy rozkaz: „Zatrzymać atak. Dywizję wycofać za Tilly!” Nigdyjeszcze dotąd oficerowie i szeregowi dywizji Panzer-Lehr nie naprzekliwali się tak, jak wtedy.

Co się stało?

Na styku pomiędzy 12 dywizją pancerną SS a pułkiem Panzer-Lehr, w rejonie Tilly-Audrieu-Cristot, w wyniku nagłego uderzenia silnych kanadyjskich oddziałów pancernych powstała krytyczna sytuacja. 2 batalion pułku Panzer-Lehr musiał przystąpić do natychmiastowego kontrataku.

I 'i /-v

Łuk frontu pomiędzy Cacn i Tilly, na brytyjskim odcinku lądowania, wieczorem 9 czerwca po przejściu od działań zaczepnych do obrony.

Znów brakowało odwodów interwencyjnych. Znów dobrze zapowiadającą się operację trzeba było przerwać, aby zatkać dziurą - kolejne działanie metodą improwizacji!

8 kompania pułku Panzer-Lehr, na pozycji wyjściowej w nocy na 9 czerwca. leżała w sadzie, dobrze zamaskowana. Ogień nękający artylerii dalekonośnej rozchodził się nieszkodliwie po okolicy. Kiedy zrobiło się jasno, Amerykanie zaczęli strzelać bardziej starannie. Kapitan Reche, z ponurą twarzą, siedział w wozie na miejscu radiotelegrafisty. Od paru dni był chory. Załoga krzątała się koło czołgu i próbowała za pomocą lutownicy przygotować jakiś ciepły posiłek. Po każdym ostrzale wszyscy automatycznie, niemal podświadomie, biegli się ukryć. Pomimo to udało się nawet ugotować kartofle w mundurkach. Rozdzielono je, a do tego jajka na twardo. Kapralowi Westphalowi gorące ziemniaki tańczyły w palcach przy obieraniu ich ze skórki i po cichu narzekał: - To chyba ostatni posiłek przed egzekucją.

8 kompania pułku Panzer-Lehr to były stare wiarusy. Jeden w drugiego doświadczone lisy. Pancerniacy, jak zapisano w księdze. Kiedy siedzieli przy Calvados-Schnaps i wychylali dziesiątego, to Westphal wołał: - Starszy szeregowiec Hammerle, przedni karabin maszynowy się zacina!

Jak wystrzał z pistoletu, Hammerle odpowiadał: - Wieża godzina 12.

111

Ustawić wieżę na godzinę 12*- to była forma pomocy, aby otrzymać światło przez luk i usunąć defekt przy przednim karabinie maszynowym. Albo też dowódca czołgu wołał: „Odbezpieczyć!” I natychmiast lewe ramię szło nad głowę, gdyż lewą trzeba było uruchomić zabezpieczenie armaty położone z prawej strony, jeśli chciało się uniknąć, aby odrzut rozbił człowiekowi ramię. I tak jak we śnie lub po dziesiątym calvadosie ćwiczyli chwyt swego rzemiosła: wojny panczernej.

Około godziny 14.00 kapitan Rechc przywiózł od dowódcy batalionu, księcia Schönburg-Waldcnburga, rozkaz do zajęcia pozycji wyjściowej w rejonie Fonte-nay: „Batalion przystępuje do ataku. Cel: wyrzucić nieprzyjaciela z jego pozycji i atakować w kierunku wybrzeża. 8 kompania znajduje się na lewym skrzydle Z zadaniem ubezpieczenia flanki”. Znow więc należało uderzać w kierunku wybrzeża.

Turkocząc Panzer IV jechały na nowe stanowiska. 8 kompania bez swego dowódcy. Asystent lekarza odesłał go do lazaretu. Jego miejsce zajął podporucznik Walter, nauczyciel z Pirmasens.

Pozycja wyjściowa znajdowała się w dogodnym, porośniętym jodłami terenie. Stąd był dobrze widoczny teren ataku: na prawo wieś Audricu, na lewo Chouain. W odległości półtora kilometra równina jodłowa uchodziła w dwa gęste pasma lasu. Dawały one tylko jedno wąskie przejście szerokości 200 do 300 metrów. Tędy musiał przejść batalion.

„Czołgi marsz!”

Wóz. 801 jechał na lewym skrzydle. Wieża ustawiona na godzinę 10.

Dowódca czołgu Westphal miał wzrok skierowany na przejazd między lasami. Tym razem idzie dobrze. Stalowy oddział, szerokim frontem, zgrabnie jechał przez równą, nieco pustą, niezabudowaną płaszczyznę. Nareszcie nie ma żywopłotów ani sztachet okrążających ogrody. „Więcej gazu!”

Przejeżdżają obok dobrze zamaskowanych, świeżo wykopanych stanowisk angielskich, pośpiesznie opuszczonych przez Tommies, kiedy ci ujrzeli nadciągającą armadę pancerną. Pierwsze plutony wjeżdżają w zwężenie lasu.

Jadące za nimi kompanie ścieśniają się i zwalniają tempo.

„Chłopie, chłopie!”

I oto już się zaczyna. Zmasowany ogień artylerii.

Pierwsze salwy kładą się w środek oddziału. Ponieważ tylne mamuty podjechały zbyt blisko, to te czołowe nie mogą zawrócić. W ciasnocie leśnej powstaje zator. Dowódca batalionu właśnie osiągnął wzniesienie 103, gdy szczeka przed nim działo przeciwpancerne. Granat przebija wieżę. Księżę Schonburg-Waldenburg pada martwy na stronę. Cała załoga jest ciężko poraniona. Próbuje się wydostać.

Kapitan Ritgen przejmuje batalion. Dowodził nim do końca wojny, a po wojnie, już jako podpułkownik, został dowódcą nowego pułku Panzer-Lehr Bundeswehry w obozie Munster.

* Tzn. na wprost.

Ogień artylerii niczym kurtyna kładzie się dokładnie przed gęstwiną leśną. Kto w nią wjedzie, zostaje wykończony.

W wozie 801, którym zwykle jeździ kapitan Reche, celowniczy jako dowódca wspiął się do wieży. Obserwując przedpole przez lunetę nożycową widzi pod wsią Chouain czołg stojący w gotowości. Pada komenda:

„Wieża godzina 11”.

„1200 metrów”.

„Granat przeciwpancerny”.

„Ognia!”

Trafiony.

Wtem do wozu 801 wałą z bardzo bliskiej odległości granaty z działa kalibru 20 mm.

Szlak by to trafił! To zza tych jodeł. To tam - błyskają wystrzały. Na szczęście pociski przebijają tylko pokrywy zewnętrzne. „Wieża godzina 9!” „Granat odłamkowy!” „Ognia!”

Wieżyczkowy karabin maszynowy także strzela w jodły, aż lecą skrawki gałązek. Ze stanowiska Tommy'ego nic pada już żaden strzał.

Tymczasem zastępca dowódcy batalionu nakazuje wycofać czołgi.

Wóz 801 przejmuje zadanie osłony ogniowej pozostających w tyle, uszkodzonych czołgów, które załogi naprawiają pod ostrzałem.

Kiedy nad jodłami zapadają ciemności, wóz 801 także opuszcza pole walki. Zawraca do sadów. Maskować się. Ukryć.

Po drugiej stronie żarzy się ostatni płonący czołg nieudanego ataku. Z przebicia się do wybrzeża znowu nic nic wyszło.

- Czy ci na górze nie zauważyli jeszcze, że tu już stoi silny przeciwnik, którego nic można tak łatwo wrzucić z powrotem do wody? - pyta jeden z dowódców czołgu.

Pyta, jak wielu innych.

Kiedy 9 czerwca wieczorem stało się jasne, że o „przebicciu się do wybrzeża” siłami dyspozycyjnymi poszczególnych dywizji nie ma już co myśleć, dowódca 1 korpusu pancernego SS, obergruppenfuhrer Sepp

Dietrich, któremu podlegała Panzer-Lehr jako jedyna dywizja wojsk lądowych, wydał Bayerleinowi rozkaz w Lingévrés, aby się przygotował do obrony rejonu Tilly. Linia Cristot-Tilly-Vcr-rieres -La-Belle-Epine miała być przednim skrajem obrony i za wszelką cenę należało ją utrzymać.

O jakimkolwiek zamiarze ataku na wybrzeże nie było już więcej mowy. To była godzina decydująca.

Rozkaz Dietricha był ze wszechmiar słuszny, gdyż stało się jasne, że główny wysiłek brytyjskich działań zaczepnych został przesunięty na kierunek Tilly. Nastąpiło to po tym, jak Montgomery'emu, pomimo ciężkich, krwawych strat, nie

i -i i

udało się zająć atakiem frontalnym ważnego węzła komunikacyjnego, jakim było miasto Caen. Montgomery, zmuszony koniecznością, wyciągnął wniosek: skoro atakiem frontalnym nie udało się osiągnąć celu, to trzeba spróbować z flanki. A to znaczyło: zaatakować Tilly z rejonu Bayeux, opanować wzgórze pod Villers-Bocage i stamtąd skrócić na Caen. Rozpoczął się nowy rozdział bitwy inwazyjnej. Nosił nazwę: Tilly. **188.**

Bitwa o Tilly

13 dni w czołgu Panzer IV

Kiedy 9 czerwca dywizja Panzer-Lehr została rzucona do bitwy obronnej o Tilly, to przed tym nowoczesnym związkiem taktycznym, który był całkowicie nastawiony na ruchome prowadzenie walk pancernych, stanęły nieoczekiwane zadania. Rejonem walk był teren pokryty żywopłotami pod Bocages. Obszar falisty, porośnięty krzakami, z wielkimi sadami jabłoni lub poprzerwany wierzbami i płachtami pastwisk. Nie był niekorzystny dla obrony. Wysokie wały ziemne porośnięte krzakami lub rzędami z drzew dzieliły teren na setki małych prostokątów. Ten teren chronił, maskował. Ale także utrudniał obserwację. Piechota mogła się zagnieźdźać w licznych parowach. W ten sposób poszczególne odcinki obrony mogły być urzutowane, ale nie miały bezpośredniej styczności między sobą. Rozwiązaniem wszystkich problemów był czołg. On też stał się ostoją obrony. Ten środek walki, który zgodnie ze swym gatunkiem jest bronią ataku, szturm i uderzenia, przejął teraz funkcję obronną, stał się czymś w rodzaju opancerzonego dział przeciwpancernego lub opancerzonego karabinu maszynowego. W wyniku tych okoliczności rozwinął się niebawem zupełnie nowy typ dowodzenia w walce, jak również nowy typ wojaka. Bitwa inwazyjna wykuwała nową taktykę i nowego żołnierza, podobnie jak bitwy okrążające na wschodzie, owe improwizacje pod Moskwą, nad Donem i nad Wołgą. Pojedynczy czołg stał się w Normandii rdzeniem piechoty. Wokół czołgu formował się pluton piechoty, kompania, pododdział bojowy. Bez czołgu nie zdobyto żadnej pozycji. Bez czołgu nie można też było utrzymać żadnej pozycji. Lokalne kontrataki przeciwko nieprzyjacielowi, który się włamał lub w celu odzyskania taktycznie ważnego terenu, były przeprowadzane prawie wyłącznie pojedynczymi czołgami. Dywizja Panzer-Lehr, której pewny zwycięstwa Guderian wyznaczył kiedyś jej jednej, zupełnie samej, dumne zadanie wrzucenia Anglo-Amerykanów do morza, została teraz zmuszona do podjęcia całkowicie nowego sposobu walki. Utworzona jako pierwszorzędny związek do działań zaczepnych, wypaliła się jako zwią-

zek do walk obronnych. Jej 750 kosztownych, pierwszorzędnie uzbrojonych transporterów opancerzonych trzeba było wyłączyć z walki i wycofać 100 kilometrów na tyły, poza frontem. 750 opancerzonych pojazdów! Dywizja pancerna w stałej obronie, to wielce bulwersujący, ale i żałosny rozdział wojny. A oto typowe epizody.

- Jechać na ubezpieczenie!

Cztery czołgi Panzer IV ruszają z łoskotem. Ich dowódcy mają przy sobie tylko szkice wykonane ołówkiem. Do tego rozkaz: - Zająć stanowiska na tej drodze. Dobrze się zamaskować. Utworzyć dobre pole ostrzału. Utrzymać odcinek.

- Pilnujcie, żebyście doszli na stanowiska, zanim się do was dobiorą samoloty myśliwsko-bombowe.

A potem się zaczyna. W czołgu siedzi pięciu mężczyzn. Wokół wieży, jak gołębie, wiszą piechurzy. Czołgi marsz!

- Ostro na prawo i ten załom będzie nam służył za ukrycie. - Nikt nie przeczuwa, że to będzie 14-dniowa wycieczka. 14 dni i nocy na ubezpieczeniu. W rejonie La-Belle-Epinc.

To, co robią czołgi ubezpieczenia, aby ujść zwiadowczym oczom pilotów samolotów myśliwsko-bombowych, jest zaprawioną krwią zabawą w Indian. Jeśli zostaną wykryci - to koniec; maszyny będą niestrudzenie tak długo nadlatywać, dopóki celna bomba lub salwa z działek pokładowych ich nie ukatrupi. Przeciwno przewadze nieprzyjaciela skutecznym antidotum jest chytrność.

Dowódca czołgu kapral Westphal rozpoznaje załomem. Czołga się w żywopłoty. Sprawdza. Dobrze tuzin razy przeciska się przez te kolące przeszkody, tam i z powrotem: - Tak jakby szukał placu pod budowę - mówi zgryźliwie radiotelegrafista, starszy szeregowiec Hoffmann.

- To dobry plac budowy - głośno myśli Hammerle, ładowniczy - nawet bardzo dobry.

- W każdym razie lepszy niż grób - przytakuje mu celowniczy, Brettschneider.

Westphal znalazł w końcu dobre miejsce na stanowisko i wydaje rozkaz: -Rozpoznawać na lewo i na prawo. Na każdy kierunek jeden człowiek, zaczynać.

Odnajdują oba sąsiednie czołgi na ich odcinku, na dobrze zamaskowanych stanowiskach. Na lewo kaprala Schulza. Na prawo kaprala Pauscha. Czwarty czołg kapitana Felmerajest wozem kierunkowym. Wszyscy zalegają w żywopłotach, ogrodach, stogach siana. Piechurzy są wokół nich, maskowani krzakami, tanem owsa i gałęziami drzew.

Pomiędzy tymi czterema czołgami są duże luki. Ich zadanie polega na tym, aby w przypadku ataku, pozostając na swoich ukrytych stanowiskach, zatrzymać nieprzyjacielską czołwkę pancerną. Dwa kilometry za nimi

rozmieszczony jest odwód pancerny. Gdyby doszło do przełamania linii ubezpieczeń, wtedy przystępuje on do przeciwwuderzenia.

I 3/-

Pierwsze godziny upływają na maskowaniu się. Z żywopłotów starannie obcina się duże gałęzie i małe gałązki. Przyozdabia się nimi czołg, który wkrótce potem niknie z oczu jak zaczarowany. Raz po raz wychodzi obserwator, aby sprawdzić, czy maskowanie jest skuteczne. Potem słychać uwagę: „Widać trochę wieży”. Albo: „Kawałek gąsienicy błyszczą w słońcu”. Aż w końcu usłyszy się: „W porządku”.

Trzeba także usunąć ślad po czołgu pozostawiony w owsie. To byłoby bezpośrednią wskazówką dla patrzącego z góry pilota samolotu myśliwsko-bombowe-go. Troskliwie prostuje się źdźbła i znów pochyla.

Pierwsze dwa dni są znośne. Nikt jeszcze za bardzo nie odczuwa braku wody do mycia i ciepłej strawy. Jeszcze we własnym czołgu nic dochodzi do nerwowych sprzeczek. Jeszcze śmiejąc się, obsuwają się przez dolny właz i wydostają się spod czołgu, kiedy trzeba zmienić wyschnięte gałęzie maskowania lub nocą złapać trochę świeżego powietrza.

Dwóch ludzi ciągle siedzi lub stoi przy lornetce i nieustannie przeszukuje teren. - Jaka jest odległość do tego kulistego drzewa, tam z tyłu? - Ludzie się spierają, dowodzą, zgadzają lub nie. - A do tego wielkiego krzaka w żywopłocie? Na końcu tego pola owsa? - Wypytyują, dokonują w myślach pomiaru całego terenu. W ten sposób otrzymuje się wyczucie odległości. W razie konieczności nie trzeba będzie długo liczyć.

Jest godzina 14.00 trzeciego dnia.

- Uwaga Tommies! - Cała załoga, jak naelektryzowana, działa razem. Kierowca czołgu, kapral Ross, przyciska do oczu lornetkę i melduje: - Dziesięciu Tommies z działem przeciwpancernym posuwa się gęsiego. Teraz przepychają się przez łąkę. Zajmują stanowisko.

- Teraz dwóch ludzi podchodzi ze skrzynkami amunicji - melduje obserwator.

- Granat odłamkowy - rozkazuje spokojnie dowódca czołgu.

- 400 metrów.

- Ognia!

75 mm granat rozpryskuje się dokładnie pod jedną z jabłoni o nisko zwisających gałęziach.

- Wieża godzina 11.

- Granat odłamkowy.

- 420 metrów.
- Ognia! - Korona drzewa zostaje zmieciona.
- Ognia! - Pień rozlatuje się na kawałki.
- Ognia! - Pozostaje tylko plątanina gałęzi.
- Wstrzymać ogień! - pada rozkaz.

Wysuwają się przez dolny właz. Poprawiają maskowanie. Twarze są poważne, gdyż wiedzą: teraz już lada chwila się zacznie.

Po godzinie nadlatuje brytyjski samolot obserwacyjny artylerii. Krąży. Rozpoznaje.

i ii

Potem się zaczyna.

Najpierw wstrzeliwuje się parę „dział roboczych”. Następnie strzelają dywizjony. Jest piekło. Ale nie jest tak łatwo trafić mały czołg w odległym terenie. Pole owsa zostaje przeorane. Żywopłaty zmiecione. Odłamki uderzają w ścianki czołgu. To puka śmierć.

Tuż przed wschodem słońca ostrzał przybiera charakter orkanu. Płyty boczne, stanowiące dodatkowe opancerzenie, są podziurawione. Wełniane koce na wieżyczce wraz z nałożonymi na nie gałęziami zostają zerwane.

- Granaty dymne! - woła Hammerle.

Na zewnątrz jest gęsto. Widoczność nie przekracza 10 metrów.

Niebawem tamci zaczną podchodzić.

Oni ich nie widzą, ale wiedzą o tym. - Dowolny ogień!

Cztery fortece ze stali, na których zawisł kawałek przedniego skraju obrony pod Tilly; maskowanie traci na znaczeniu. Teraz się walczy. Wieżyczki kręcą się. Armaty wypluwają granaty. Terkoczą karabiny maszynowe.

Piechurzy, usadowieni w dołkach strzeleckich, pod gałęziami, za drzewami, strzelają przed siebie. Ciągłe w stojącą przed nimi ścianę mgły!

Otworzyć właz. Przeszukiwanie lornetką polową.

- Wał ogniowy przesunął się dalej do tyłu - mówi Westphal.

A więc teraz nadejdzie piechota. Nie może jej zagrażać ogień własnej artylerii. -Dowolny ogień!

Ziemia drży. Gałązki zarośli chwieją się pod ciśnieniem wystrzałów jak podczas burzy. Letnie słońce Normandii znikło za kurzem i dymem. Wkrótce w powietrzu unosi się sztuczna mgła. Gdzie jest nieprzyjaciół? Wciąż nie nadchodzi.

Cztery załogi po pięciu ludzi i parę tuzinów piechurów oddycha z ulgą. I znów wciskają się pod pokrywę maskującą.

W ósmą noc dowódca zamienił się właśnie miejscami z celowniczym, aby się trochę zdrzemnąć. Westphal ledwo tylko położył głowę na przyrządach optycznych, natychmiast zasnął. - Podaj mi torbę - mówi ładowniczy do Rossa. Nikt się już teraz nie śmieje, kiedy rozlega się dyskretny szmer. Potem otwiera się dolny właz i naczynie zostaje opróżnione. W tej samej chwili na zewnątrz daje o sobie znać diabeł: Ruums!

Jadą razem. I znów: Ruums!

To nie jest artyleria. To są granaty przeciwpancerne. Jeden z wybuchów kładzie się bardzo blisko wozu.

Uruchomić silnik.

Włączyć tylny bieg. Do tyłu na pełnym gazie. Szybciej. Dowódca próbuje znów zająć swoje miejsce. Ale mu się nie udaje. - Jedziemy jeszcze przy żywopłocie? - pyta. Otworzyć właz. - Tak!

Stop. Stoją pod potężnym, szeroko rozgałęzionym dębem. Granaty uderzają w koronę. Spadają gałęzie. Strzela sąsiedni czołg. Raz. Dwa razy. Trzy. Potem następuje cisza. Wykończył Anglika? Czyżby się tamten ulotnił?

Nakazana cisza radiowa nie pozwala na zadawanie pytań.

Nad zaroślami zapada trzynasta noc. Czują się jak łamani kołem. Nic chcą się już więcej widzieć i nawzajem - wahać.

Całe trzynaście dni bez możliwości wyciągnięcia się. Trzynaście dni bez kropli wody do mycia. Trzynaście dni ściśnięci razem do kupy w jednej stalowej trumnie. Tylko nieufność jest jeszcze ciągle żywa.

Dowódca, jak każdego dnia, przeszukuje żywopłoty przez lunetę. Metr po metrze. Teraz zatrzymał się na małym zagięciu.

Tego tam wczoraj nie było. Z przodu wyziera jasna gałąź. Nastawia optykę na pełną ostrość: - Patrzcie no - pan Anglik. - Tylko przez moment można było dojrzeć hełm talerzowy spod gałęzi maskujących. - Gdzie jest jeden, tam ich będzie więcej.

Celowniczy namierza się. - Cel uchwycony?

Karl Brettschneider potakuje.

Łąduje granat odłamkowy. Strzał.

30 metrów bliżej.

Ale oto zza żywopłotu wyziera lufa armaty przeciwpancernej Anglików. A więc to było to najważniejsze. Teraz kolej na niego.

Czołg drży od wystrzału. - 10 metrów w prawo, chłopie, nic widzisz lufy!'

W tym momencie Anglik zaczyna miotać. Namierzył płomień wylotowy czołgu. Granat przelatuje tuż obok wieżyczki! Kto będzie szybszy? Tym razem jeszcze czołg Westphala. Kiedy dnieje następny ranek, zostają wreszcie zluzowani.

Kto nie przesiedział 14 dni i 14 nocy w śmierdzącym czołgu na ubezpieczeniu, ten nie wie, jakim szczęściem może być jazda na punkt oporu, aby tam wykopać sobie szeroką nieckę, czołg nad tobą, wrzucić koce, owinać się w nie i

spać. Gdzieś daleko dudni artyleria. Szczekają samoloty szturmowe. To nikomu nie przeszkadza, dopóki nie dobiegnie wołanie: - Wsiadać, przeciwuderzenie!

Stanowisko dowodzenia Grupy Pancerniej Zachód zostaje zbombardowane, personel sztabowy ginie

W nocy na 10 czerwca w rejonie Tilly zorganizowano obronę całością podciągniętych sił dywizji Panzer-Lehr.

Linia ubezpieczeń stała się przednim skrajem obrony. Przebiegała ona od Cristot - tuż przy ważnej szosie

Caen-Baycux -przez Tilly-Nord włącznie z położonymi z przodu zamkami Verrieres i Bemiercs, poprzez

La-Belle-Epine i Torteval do Saint Germain-d'Ectot i Actonville. Tym samym do zabezpieczenia i obrony była

linia długości co najmniej 17 kilometrów. Przez jedną jedyną dywizję!

Stanowisko dowodzenia dywizji założono w chłopskiej zagrodzie w Scrmcn-tot. Zagrożenie ze strony samolotów myśliwsko-bombowych także i tutaj wymu-

1 KI

siło podjęcie poważnych przedsięwzięć zapewniających bezpieczeństwo. Radiostacje zostały założone w odległości poniżej kilometrów. W ten sposób uniemożliwiono nieprzyjacielowi namierzenie sztabu. Żaden pojazd nie miał prawa pojawić się w promieniu poniżej 500 metrów. Wszelkie zaś ślady po pojazdach natychmiast starannie usuwano. Tylko w ten sposób można było uchronić stanowisko dowodzenia przed samolotami myśliwsko-bombowymi i ogniem artylerii kierowanym przez obserwatora lotniczego.

Na krótko przedtem wszystkie sztaby otrzymały straszliwy sygnał ostrzegawczy, jako przykład na konieczność przestrzegania wymogów bezpieczeństwa: 8 czerwca Rommel przeforsował sprawę utworzenia jasnych relacji dowódczych i w następstwie tego generał von Geyr został dowódcą wszystkich odcinków frontu położonych na wschód od rzeki Divcs, aż do Tilly. Z zebranymi razem trzema dywizjami pancernymi (21, 12 SS i Panzer-Lehr) miał on w dniu 19 czerwca poprowadzić uderzenie na wybrzeże. „Wreszcie”, powiedzieli dowódcy frontowi. Ale 9 czerwca, po południu, stanowisko dowodzenia generała w zamku La Caine, 6 kilometrów na północny wschód od Thury-Harcourt, zostało zaatakowane przez samoloty myśliwsko-bombowe i zniszczone pod dywanem z bomb. Przeciwnik namierzył ruch radiowy sztabu. Poległ szef sztabu, generał Ritter und Edler von Dawans i dwunastu oficerów sztabu. Tylko generał von Geyr i generał major Pemsel, szef sztabu 7 armii, a po wojnie dowódca korpusu Bundeswehry, wyszli z tego przez przypadek cało. W związku z tym planowanego ataku nie można było przeprowadzić. Ten stan trwał aż do końca czerwca, zanim sztab na nowo odtworzony, mógł przejąć swoje obowiązki.

Dramatyczna potyczka pancerna

Teren pod Tilly nic był korzystny dla prowadzenia obrony przez piechotę. Na przykład grenadierzy pancerni 1 i 3 kompanii 1 batalionu 902 pułku zajęli pozycję na lekko wznoszącym się, pagórkowatym terenie. Podporucznik Bohmbach rozpoznał tę pozycję na krótko przed świtem. Nie był podbudowany. Ze względu na kamieniste podłoże, grenadierzy nie mogli się wystarczająco dobrze okopać i leżeli w płytkich, mozolnie wydrapanych dołkach, tu i tam parę kamieni przed głową.

Około godziny 5.00 zaczęło się uwerturą artylerii. 45 minut nieprzerwanego huraganu ognia. Piechurzy skuleni pod gradem pocisków. To nadwreżyło ludziom nerwy. Pierwsi żołnierze zaczęli wyskakiwać i biec na tyły. Za nimi poszli inni. Pozycji groziło samorozwiązanie. Porucznik Ritter, przeciwstawiając się panice, zebrał ludzi i z powrotem poprowadził ich do przodu. Na szczęście w ślad za ogniem artylerii nie nastąpił atak.

Około południa, omijając zagrodę chłopską, w której był sztab batalionu, przejechało pięć czołgów. Wyglądały na niemieckie „Pantery”, Ale jeden z nich stanął. Wieżyczka się otworzyła. Dowódca popatrzył na znak taktyczny,

oznaczający tę zagrodę jako stanowisko dowodzenia batalionu. Lufa działa czołgowego obróciła się w stronę domu: Ruums.

'Teraz stało się jasne, że tu nie wchodziła w grę niemiecka „Pantera”. Było już niestety za późno, i gdyby w ostatniej chwili nie nadeszła pomoc... Lecz ona na szczęście przyszła.

Podporucznik Wernerze swoją kompanią niszczycieli czołgów rozlokował się w pobliżu zagrody. Przed kilkoma dniami otrzymał lawety samobieżne i przeprowadzał teraz generalną próbę. W ciągu 15 minut ustrzelił trzy spośród pięciu angielskich czołgów z zasadki. Pozostałe ugrzęzły. Załoga wysiadła i na próżno próbowała z pomocą pistoletów i pistoletów maszynowych wywalczyć sobie odwrót spod stanowiska dowodzenia batalionu. Ale w końcu, po poniesieniu krwawych strat, reszta musiała podnieść ręce. Ranny w twarz podporucznik zwrócił się, salutując, do Bohmbacha w poprawnej niemczyźnic mówiąc: *Ich ergebe mich*.*

W tej samej godzinie, gdy podporucznik Werner na zachód od Tilly rozbijał czołgi szkockiego pułku, generał Bayerlein, objeżdżając swój rejon, odkrył na północ od Tilly silną brytyjską grupę czołgów, która biwakowała w warunkach największego pokoju.

- Hartdegen. niech pan ściągnie tutaj wszystko, co pan znajdzie. I oficer łącznikowy natychmiast wyruszył.

Zmobilizował cztery „Pantery” i dwa działa kalibru 88 mm, tę starą cudowną broń, która już w czasach afrykańskich była pomocna w osiągnięciu wielu sukcesów. Bayerlein był w swoim żywiole. Ustawił swoją siłę bojową, zamaskowaną, w dogodnej odległości do strzału. Potem padła komenda: - Dowolny ogień!

Brytyjska grupa bojowa w jednej chwili zamieniła się w mrowisko. Pojazdy jeździły dziko jeden przez drugiego i w to kłębowisko waliły „Pantery” z szybkostrzelnych armat. Wyły też działa 88 mm.

Jednak walka tylko na krótko miała charakter jednostronny. Anglicy nakryli siłę bojową Bayerlcina jednym ze swych typowych ataków artyleryjskich. Poszły w ruch najcięższe kalibry, w tym działa okrętowe. Takie bowiem też mieli.

„Pantery” i działa 88 mm musiały się zmywać w największym pośpiechu.

Tak było zawsze: podstęp, waleczność i ofiarna odwaga musiały wciąż ustępować przewadze liczebnej i materiałowej.

Wieczorem na stanowisko dowodzenia Beyerleina przybył zaginiony podpułkownik Zcissler, dowódca dywizjonu w pułku artylerii pancernej, który wraz z pułkownikiem Luxenburgrem, podoficerami i żołnierzami przeprowadzał 8 czerwca rozpoznanie, podczas którego zostali zaskoczeni przez stado kanadyjskich czołgów i wzięci do niewoli.

* Poddaj; się!

f $A \setminus$

i $A \mathbf{I}$

Oddział kanadyjski -czołgiści z pułku „Inns of Court” - w sposób niepojęty stali się nagle niezwykle brutalni. Bezwzględność i fanatyzm to cechy w bitwie inwazyjnej, które po obu stronach frontu prowadziły nie raz do skrajności, a w tym fatalnym przypadku osiągnęły swój szczyt.

Po ogólnym pobiciu niemieckich jeńców, Zeisslcrowi udało się umknąć w poszycie leśne, a później przebić do linii niemieckich. To, o czym opowiadał, zostało następnego dnia w drastyczny sposób potwierdzone.

Oto na kanadyjskim czołgu, ustrzelonym przez niemieckie działo przeciwpancerne, znaleziono ciężko rannego, jednorękiego pułkownika Luxenburgera, mocno przywiązanego do wieżyczki czołgu, który po trzech dniach zmarł w niemieckim szpitalu polowym.

„Pantera” i „Tygrys” w leśnych zaroślach

11 czerwca nastąpił oczekiwany wielki szturm angielski. Rozpoczął się od silnego ataku pancernego na Tilly.

Kapitan Philipps, po wojnie proboszcz w Gladbeck, z częścią 901 pułku grenadierów pancernych odpierał Anglików. Drugi atak był skierowany na Verrieres-Lingevres. Verrieres zostało stracone. Czołówki rozpoznawcze Tommies wyjeżdżały już z wielkiej polaci lasu, na północ od miasta, na szosę i przewijały się przez łąki, pola uprawne i sady jabłoni.

Odwód pancerny pułku Panzer-Lehr został wprowadzony do kontrataku. Chrząc suną stalowe kolosy, „Pantery” i „Tygrysy”, przez wąskie uliczki Lingevres. Z piskiem gaśnic kręciły się przed zburzonym pociskami kościołem przy szosie. Zrobiły łuk wjeżdżając na drogę polną, później z łoskotem przejechały do odległego o około 300 metrów zagajnika.

„Gotowość bojowa”.

„Zamknąć włązy”.

Teraz z żywopłotów i rowów, z łąk i skraju lasu widoczny był wąski wycinek oglądany przez bezpieczny od ostrzału otwór bojowy szerokości pięści.

-Oba środki ogniowe załadowane i zabezpieczone! -meldował ładowniczy. A więc karabin maszynowy i długie 75 mm działo, o bardzo płaskim torze pocisku były gotowe do prowadzenia ognia.

Podporucznik Theo był dowódcą plutonu w 6 kompanii i dowódcą trzeciego czołgu, kryptonim „Zitronc”*.

Przenikliwie wpatrywał się w okolicę. Przed nim po polnej drodze toczyły się trzy wozy kompanii w szyku torowym. Teraz skręciły w lewo. Jechały skrajem lasu obok mieszanych żywopłotów wysokości człowieka, jodeł, krzaków i zdiczałych starych jabłoni. Podporucznik Theo za nimi, z tyłu. I teraz ci trzej hałasowali, przejeżdżając przez kawałek łąki i kierując się do lasu. I w tym momencie poderwał się szatan.

* **Zitrone** - cytryna.

„Uwaga nieprzyjacielskie czołgi!" - „Wieża godzina 11" - „Ognia!" usłyszał Theo w swym hełmofonie. To były rozkazy dowódców czołgów jadących przed nim. Potem nagle coś trzasnęło. Theo także wjechał na łąkę. I oto co zobaczył: na leśnej drodze stał dymiący „Cromwell", którego ustrzelił czołg „Kirsche"*. Szybko wznosząca się za wrakiem chmura dymu wskazywała, że i inne „Crom-welle", nowe zwrotne brytyjskie czołgi, wycofywały się pod osłoną dymu. Nagle z prawa z żywopłotu wypadł „Sherman", ale natychmiast skręcił z powrotem pod jodły. Theo otworzył za nim ogień. Sam dostał z lewej strony. Strzelił w zarys czołgu za żywopłotem. Trafienie. U ofiary nic się nie poruszało. Załoga widocznie już wysiadła.

„Pantera" i „Tygrys" podkradły się w zaroślach lasu pod nieprzyjaciela. Ale opór Anglików spotęgował się jakby. Rzucali oni do lasu na bieżąco posiłki pancerne i działa przeciwpancerne.

Dowódca 6 kompanii rozeznał prawidłowo, że jego zadanie nie polega na posyłaniu swoich czołgów, jednego za drugim, do zdradzieckiego lasu, aby tam pozwolić je rozbić, lecz na przeszkodzeniu przeciwnikowi w zajęciu wsi Lingevers. Walka toczyła się całymi dniami. Potem wydawało się, że Brytyjczycy zmiękli.

Podporucznik Theo ze swym czołgiem „Zitrone" zajął spokojne stanowisko w zagrodzie chłopskiej przy wiejskiej drodze. Kapral Martena nadzorował właśnie w kuchni olbrzymią patelnię, w której pięciu ludzi smażyło sobie gigantyczne chłopskie śniadanie z 15 jaj. Na wieś spadł nagle szturm artyleryjski. W tej samej chwili we włączonym radiu „Zitronc" rozległo się wołanie z czołgu „Kirsche" o pomoc: „Kirsche do Zitrone. Jesteśmy okrążeni przez nieprzyjacielską piechotę. Sam jestem unieruchomiony. Zitronc przybądź natychmiast. Zitrone przybądź natychmiast!"

Chłopskie śniadanie zgarnięto do menażki. Koce, chlebaki, przybory do mycia powrzucono do czołgu. Silnik uruchomiony. Wyjazd z ukrycia. Przy podjeździe ustalono tabelę rozmówniczą**. Wszystko działało się automatycznie.

Na polnej drodze czekała ich przykra niespodzianka: ujrzeli czołg ubezpieczenia „Kirsche" stojący bez ruchu przy żywopłocie, a wokół niego Anglików. Seria karabinu maszynowego. Jeszcze jedna. Pocisk świetlny odbił się od czołgu i poleciał w ziemię. Anglicy długimi skokami uciekali do lasu. Ale oto ze skraju tegoż lasu strzelano z broni przebijającej pancerz. Mimo to chłopcy podporucznika Theo wysiedli. Prowadząc bezpośredni ogień przymocowali do „Kirsche" linę stalową. Teraz zjawił się drugi czołg ze wsi i przejął osłonę ogniową. Niebawem otrzymał trafienie. Strzelał dalej.

Lina była mocna.

Naprzód!

* *Kirschc* wiśnia. ** Tabela do kodowania rozmów.

1 A *1/11

Pomału.

Pomimo to stalowa lina rwała się.

Przeciwnik uporczywie strzelał ze skraju lasu. Aby tylko ująć w ten wał żywopłotu.

- Że też one nie są wyższe! - narzekał radiotelegrafista popsutego czołgu, który razem z podporucznikiem Theo szamotał się z hakiem. - Naprzód! - Tfaeo biegi przed czołgiem i dyrygował manewrami odciągania kolosa przez wąską polną drogę, a przede wszystkim przez zaporę przeciwczołgową przy wjeździe do wsi.

Walka o Lingevres stawała się coraz bardziej zacięta. Anglicy po raz pierwszy użyli granatów fosforowych, które obok działania wybuchowego powodowały swoim metrowej wysokości strumieniem płomienia straszliwe oparzenia.

Podczas kontrataku przeciwko angielskim czołgom, które się włamały, wóz „Kirsche” został ostatecznie zniszczony. „Zitrone” też był uszkodzony. Dwa inne czołgi kompanii zapaliły się od granatów fosforowych.

Załogom udało się wydostać. Żołnierze tarzali się po ziemi, aby ugasić płonące mundury. Przy huczącym ostrzale artyleryjskim rannych załadowano na ostatni czołg będący jeszcze na chodzie. Przy żywopłocie siedzieli ranni grenadierzy i pancerniacy. Większość z ciężkimi oparzeniami. Wielu było całkiem nagich, ponieważ koledzy udzielający pomocy zdzierali z nich mundury i okrywali ich kocami na gołe ciało. Ranni krzyczeli z bólu na drgających czołgach, leżąc obok rozżarzonych rur wydechowych. Ich krzyki milkły dopiero na punktach opatrunkowych, gdzie otrzymywali zbawczy zastrzyk dożylny.

Szef grabarzy z Kensal-Green

Gdy generał Bayerlein przybył 12 czerwca po południu do flankowego punktu oporu w Saint Germain-d'Ectot, to dowódca dywizyjnej kompanii dowodzenia, porucznik Thiess, przyprowadził mu trzech jeńców. Bayerlein nieźle się zdziwił. Kiedy się okazało, że Anglicy należą do brytyjskiej 7 dywizji pancерnej. Na ramieniu nosili oznakę skoczka (mały gryzoń), a na zdobycznym samochodzie widniał /nak, który Bayerlein dobrze znał z walk w Afryce. To „Szczury pustyni” Mont-gomery'ego, zacięci, podstępni wojacy pustynni, byli także w Normandii. Tak więc brakowało jeszcze tylko 51 Highland-Division i elitarne oddziały Monty'ego będą w Normandii. A niemieckie naczelne dowództwo wciąż jeszcze podawało w wątpliwość, że w Normandii przeprowadza się główne uderzenie! Bayerlein wziął jeńców do swego volkswageną-łazika i dowiózł ich na stanowisko dowodzenia, gdzie szef rozpoznania miał ich przesłuchać pod kątem zamiarów 7 dywizji pancерnej. Nagle Bayerlein usłyszał za sobą rubaszny śmiech oficera łącznikowego.

- Cóż pana tak rozweseliło, Hartdegen?

Ten pokazał na Anglika z końską twarzą i szydząco wycedził:

Niebezpieczna sytuacja 13 czerwca: Montgomery swoją 7 dywizją pancerną obchodzi dywizję Panzer-Lehr i uderza przez Villers-Bocage. Obersturmführer Wittmann rozpoczyna atak swoją kompanią „Tygrysów” i rozbija angielską czołówkę, pancerną.

- Panie generale, wie pan, kto to jest?

- Skąd niby mam wiedzieć? - odburknął Bayerlein.

- To jest... - z udanym patosem powiedział Hartdegen-szef grabarzy z londyńskiego cmentarza południowego Kensal-Green.

Szkoda, pomyślał generał, szkoda, że mamy tu inne sprawy do załatwienia. Chętnie bym sobie z nim porozmawiał. To zaintrygowało też potem szefa rozpoznania, który interesował się nie tyle cmentarzem Kensal-Green w Londynie i sprawami grabarza, ile brytyjską 7 dywizją pancerną. A grabarz był rozmowny. Dowiedziano się od niego, że „Szczyry pustyni” stały już głęboko na flance dywizji Panzer-Lehr i że coraz skuteczniej wsuwali się w lukę pomiędzy brytyjskim i amerykańskim przyczółkiem lądowania. - Jeśli to prawda - stwierdził szef rozpoznania - to nasza sytuacja jest diabelnie poważna. Gdyby szczyry pustyni dostały się na tyły naszej dywizji, to mogły doprowadzić do zawalenia się frontu.

Już następnego dnia, 13 czerwca, obawy te się potwierdziły. Podczas gdy Montgomery czołgami 50 dywizji ciągle jeszcze atakował Tilly i Lingevres, i wiązał odwody pancerne Bayerleina, grupa bojowa 7 brytyjskiej dywizji pancernej całkiem potajemnie, obchodząc flankę Bayerleina, podeszła aż do Villers-Bocage.

Wykrycia brytyjskiego manewru obejścia dokonał obersturmführer Michel Wittmann w czołgu „Tygrys” z 2 kompanii 501 ciężkiego batalionu pancernego

i AA

145

SS. Wittmann był dowódcą kompanii i pancernikiem z doświadczeniem bojowym. Na froncie rosyjskim zestrzelił 119 czołgów. Miał Krzyż Rycerski z dębowymi listkami.

Silny batalion Tygrysów był 7 czerwca przerzucony z rejonu Beauvais przez Paryż na front. 2 kompania została 8 czerwca przydybana koło Wersalu przez samoloty myśliwsko-bombowe i dotkliwie ucierpiała. Od tej chwili maszerowali już tylko nocą i 12 czerwca podeszli w pobliże Villers-Bocage. Na 13 czerwca wyznaczono obsługę techniczną: naprawa szkód od bombardowania oraz wymiana gaśnic, zawieszek i mechanizmów biegowych, które podczas długiego marszu bardzo ucierpiały.

Tymczasem oberstunntführer Wittmann wyjechał wraz ze swym starym celowniczym, oberscharführerem Wollem, na rozpoznanie terenu. Kiedy łązik wyłonił się z lasu, Wittmann zauważył w oddali na drodze w kierunku wzgórza 213, na północ od Villers-Bocage, toczące się w jego kierunku czołgi nieprzyjacielskie. Ostrożnie wycofał się z powrotem na skraj lasu. Obserwował. Liczył. Tylko że nie był to żaden oddział rozpoznawczy, a cała grupa gotowa do ataku. I podążała na tyły dywizji Panzer-Lehr.

Ale co miał począć jeden jedyny czołg „Tygrys”, co mogły zrobić dalsze cztery „Tygrysy” kompanii, które Wittmann po długim marszu i ciężkim ataku bombowym miał jeszcze bojowo sprawne?

Michel Wittmann nie był kunktatorem. Tu nie chodziło o kalkulacje, tu trzeba było działać.

Jeden „Tygrys” przeciwko całej brygadzie

Brytyjska kolumna pancerna przejeżdża przez Villers-Bocage. Jest to, o czym Wittmann jeszcze nic wie, czołówka brytyjskiej 7 dywizji pancerniej, mianowicie 22 brygada pancerna i część 1 brygady strzelców. Słynny 8 Huzarów, 1 pułk czołgów i 5 dywizjon artylerii są razem z nimi. Wittmann widzi przez lornetkę, że w Villers-Bocage Tommies nie spotykają się z żadnym oporem. Jednostki tyłowe, które dotąd znajdowały się w mieście, zostały już przepędzone poprzedniego dnia.

Mrowie Brytyjczyków jedzie dalej główną drogą, na wzgórze 213, w kierunku na Caen. Jest mglisto. W powietrzu nie ma ani samolotów myśliwsko-bombowych, ani rozpoznawczych. Mimo to Anglicy są zadziwiająco beztroscy. Jakaś kompania piechoty zmotoryzowanej przysiadła na drodze na odpoczynek. Jest to kompania A z 1 brygady strzeleckiej. - Cóż oni sobie myślą, że już wygrali wojnę? - Mamrocze pod nosem celowniczy Wittmanna.

Obersturmführer mu przytakuje: - Oczywiście, ale jeśli tak, to są w błędzie. - Potem spokojnie wydaje rozkazy. I niczym uderzenie pioruna, cisza ranka została przerwana. Zaczęła huczeć 88-mm armata „Tygrysa”.

Czołowy czołg brytyjski - oddalony tylko o 80 metrów - stanął natychmiast w płomieniach. „Tygrys” jak gigant wypada z lasu i skręca na drogę. Na najwyższym biegu pędzi na kolumnę.

Stop. Strzela. Jedzie.

Stop. Strzela. Jedzie.

Wittmann sunie wzdłuż czołówki pancernej tej brytyjskiej brygady i zestrzeli-wuje wozy. Czołgi, samochody ciężarowe, transportery opancerzone Anglików stoją zaklinowane. Drogę do przodu blokują pierwsze postrzelone i płonące czołgi Z tyłu pojazdy półgąsienicowe podjechały za blisko. Wittmann strzela w to wszystko z armaty i z karabinów maszynowych.

Wszystkie pojazdy półgąsienicowe oraz pół tuzina czołgów ze sztabu pułku i kompanii rozpoznawczej zostają rozbite w drzazgi. Jakiś czołg „Cromwell” obraca wokół wieżę. Granat 75 mm trafia Wittmannowego „Tygrysa” w płytę dodatkowego opancerzenia, ale nie czyni olbrzymowi nic złego. 88 mm armata „Tygrysa” wykańcza „Cromwella”.

Teraz także na wzgórzu 213 trzaskają wystrzały. To cztery pozostałe z tyłu czołgi Wittmanna, które odstrzeliwują teraz ubezpieczające czołgi rozpoznawcze z 8 pułku Huzarów.

Tymczasem odgłosy walki zaalarmowały 1 kompanię „Tygrysów”. Haupt-slurmfuhrer Móbius wyjeżdża z ośmioma czołgami gotowymi do marszu. Okrążywszy miejscowość razem z czołgami Wittmanna wdziera się do Villers-Bocage, niszcząc stojące tam czołgi „Cromwell”. Na próżno Anglik major French, próbuje swoim dywizjonem armat przeciwpancernych zapobiec nieszczęściu. Jedno z jego dział prowadzi ogień z bocznej ulicy. Skręca w nią „Tygrys”, taranując narożny dom. Ten się zawala, a ruiny przykrywają działą. „Tygrys” strząsa kamienie i belki i z hałasem, na tylnym biegu, wycofuje się na główną ulicę. Tylko jednemu działu majora Frencha udaje się skuteczne trafienie. Gąsienica Wittmannowego „Tygrysa” zostaje zerwana, olbrzym jest unieruchomiony. Wittmann rozkazuje: „Wychodzić!” Na czele swej załogi przebija się do własnej kompanii. Czołgi Móbiusa biły się z brytyjską piechotą w całym mieście. Walka toczyła się w wąskich uliczkach. Tommies bronili się z determinacją. Z okien piwnicznych i wejść do domów strzelali ze swych granatników przeciwpancernych, będących na uzbrojeniu piechoty, broni podobnej do niemieckiej „panzerfaust”. „Tygrys” untersturmrührera Stamma i oberscharführera Ernsta Kricga otrzymał celne trafienie i wypalił się. Załoga nie zdołała wyjść na zewnątrz. Koledzy ofiar z furią wymiatali ogniem ulice.

Ten bój o Villers-Bocage w dniu 13 czerwca jest jednym z najbardziej zuchwałych epizodów bitwy inwazyjnej: tuzin „Tygrysów” przeciwko całej brygadzie, przeciwko clicie sławnych „szczurów pustyni” Montgomery'ego. W historii wojennej Anglików bój ten odnotowany jest jako „Bitwa o Villers-Bocage”. A brytyjscy kronikarze podają

tam cyfrę siedmiu zestrzelonych czołgów „Tygrys”. (tai Po prostu zabrali niektóre stare Panzer IV, jakie znajdowały się w Villers-Boca-
I4rs

gc, i policzyli je jako „Tygrysy”. To można zrozumieć, gdyż podczas kląsk i odwrotów łatwo się pomylić i źle policzyć, a także błędnie meldować - i to po obu stronach!

Jakie znaczenie ma wielkość strat przesunięta w tę czy we w tą? W każdym razie uderzenie pancerne Montgomery'ego na tyły frontu pod Tilly zostało zatrzymane przez „Tygrysy” Michla Wittmanna. Tuzin „Tygrysów” wygrało bitwę.

Anglicy byli jeszcze w szoku po ataku czołgów, kiedy nagle wczesnym popołudniem, do natarcia na Villers-Bocage z wielu stron przystąpiła niemiecka piechota.

Były to czołowe bataliony zbliżającej się 2 dywizji pancernej generała von Liittwitza, która została rzucona dla wzmocnienia dywizji Panzer-Lehr w obszar pomiędzy brytyjskim i amerykańskim sektorem frontu inwazyjnego. Piechota Liittwitza wdarła się do miasta od strony południowej. Od północy nacierała grupa bojowa z dywizji Panzer-Lehr z dwoma armatami 88 mm i trzema działami polowymi.

Podpułkownik Kaufmann, energiczny oficer operacyjny Bayerleina, wykrył niebezpieczeństwo grożące z brytyjskiego uderzenia na skrzydło, zebrał razem elementy tyłowe i osobiście poprowadził je do ataku przeciwko Brytyjczykom.

Walki uliczne w Villers-Bocage trwały do wieczora 13 czerwca. Potem Anglicy opuścili pole bitwy i z resztkami pobitych oddziałów wycofali się z powrotem na Livry. Jednakże wielu nie udało się wyciągnąć. Cały sztab i kompania A z 27 czołgami i wszystkimi pojazdami gąsienicowymi oraz kołowymi brygady pancernej - przepadły. Poległ generał brygady, 15 oficerów i 176 żołnierzy. 1 brygada strzelców pozostawiła na polu bitwy 4 oficerów i 60 ludzi.

Ale plan Montgomery'ego nie ograniczał się tylko do ataku 7 dywizji pancernej. Uderzenie na flankę związane było z atakiem frontalnym na pozycje niemieckie pod Tilly. Miał on związać siły Bayerleina i odciągnąć je od manewru okrążającego 7 dywizji pancernej. Zamierzała ona wykonać główne uderzenie wychodząc na tyły Panzer-Lehr i doprowadzić do załamania się niemieckiego frontu. Jednak potem, gdy operacja pod Villers-Bocage się nie udała, Montgomery zmuszony był działania wiążące pod Tilly rozwinąć w bitwę na przełamanie.

Po gwałtownym przygotowaniu lotniczo-artyleryjskim i huraganowym ogniu rażącym z siłą orkanu, rankiem 15 czerwca do kontrataku przystąpiła brytyjska 50 dywizja wzmocniona zastrzykiem świeżych sił pancernych. Główny ciężar walk spoczął na kapitanie Philipsie, obrońcy Tilly. Mając do dyspozycji część 901 pułku grenadierów pancernych, odpierał wszystkie ataki na miasto. Dochodziło do zaciętych walk wręcz. Bitwą tą

cechowały: panzerfaust, nowa broń grenadierów, karabin maszynowy MG 42 i granaty ręczne. Tilly trzymało się. Ale Lingeuvres zostało utracone.

Także La-Belle-Epine, tak zażarcie broniona przez batalion rozpoznawczy majora von Fallois, padła następnego dnia. Bitwa trwała. Żołnierze dywizji Panzer-Lehr słyszeli hałas bitewny dochodzący z prawej flanki. W rejonie Putot-Bro-uay, gdzie stała 12 dywizja pancerna SS, Anglicy również atakowali. Tutaj atakowała 49 dywizja brytyjska.

16 czerwca Brytyjczycy uderzyli na szerokim froncie przez szosę Tilly-Balle-roy. Duże siły wzięły Hottot przy szosie Caen-Caumont. Zaczynało być groźnie.

Generał Bayerlein jest właśnie na stanowisku dowodzenia 902 pułku, na odcinku którego nieprzyjaciół dokonał włamania. Podporządkowanym 1 batalionem czołgów pułku Panzer-Lehr dowodzi major Markowski.

- Markowski musi odebrać Hottot - rozkazuje Bayerlein. Major, nie czekając na rozkaz, zdołał już batalion zaalarmować:

- Przygotować się do kontrataku!

Po krótkim przygotowaniu artyleryjskim 15 „Panter” sunie turkoczając, z nasadzonym desantem grenadierów. Na czele Markowski. Długie rury wściekle szczekają. Terkoczą karabiny maszynowe. Huczą działa przeciwpancerne. W godzinach wieczornych ludziom Markowskiego udaje się wyprzeć Anglików i ponownie zająć Hottot. On sam jest ciężko ranny. Straty wśród grenadierów są wysokie.

Zapada zmierzch. Ruiny Tilly wyglądają upiornie w świetle zachodzącego słońca 16 czerwca. Brytyjskie dywizje 49 i 50 szturmują nieprzerwanie narożne filary niemieckiej obrony. Tak, jakby nie było nic ważniejszego na świecie od zdobywania tych rozbitych bombami, wypalonych min.

V 1 pędzi ponad frontem

W tych samych godzinach, kiedy Anglicy atakowali Tilly i Cristot, niemieckie dowództwo zniemacka atakuje Londyn.

W brytyjskiej metropolii diabeł ruszył w tan. Trwa nieprzerwane wycie syren alarmowych.

Tajemnicze, bezzałogowe obiekty latające, wystrzeliwane z rejonu Calais-Dunkierka, pędzą w powietrzu z prędkością 600 kilometrów na godzinę i wybuchają przed, w centrum i wokół Londynu.

VI spełnia swoje zadanie. Otwiera wiek rakietowy.

Kilka minut po północy z 15 na 16 czerwca Hitler spuścił z łańcucha swego psa z piekła rodem. Długość pocisku 7,33 metra, dwie krótkie powierzchnie nośne o rozpiętości 4,9 metra; toporne, pękate - tak wyglądają te prychające

osiłki, które przenoszą tysiąc kg materiałów wybuchowych. Po raz pierwszy w swej historii Brytyjczycy przeżywają atak artyleryjski z kontynentu przypuszczony na ich stolicę.

Atak nie nadszedł niespodziewanie. Brytyjskie służby tajne miały naprawdę dobre informacje o niemieckich pracach nad raketami dalekiego zasięgu i o V1. 17 sierpnia 1943 r. Brytyjczycy mocno przyłożyli. Siłami 597 samolotów zaatako-

208

wali centrum produkcji VI w Peenemünde. Efekt był straszliwy. Po odlocie floty bombowców na zdewastowanej ziemi leżało 735 zabitych, a wśród nich wiodąca kadra inżynierów.

Produkcję przeniesiono w Góry Harzu, częściowo do podziemnych, zabezpieczonych przed bombami fabryk, wbudowanych w naturalne jaskinie. Ale Secret Service Churchilla nawet i to wywęszyła, i zagrożenie miało charakter stały.

W grudniu 1943 r. miało nastąpić pierwsze odpalenie V1. Ale brytyjskie służby tajne wykryły stanowiska startowe i na trzydzieści pięć spośród nich zrzucono trzy tysiące ton bomb. 15 lutego 1944 r. był kolejnym niemieckim terminem. Ale stanowiska startowe znów zostały zbombardowane. W końcu generał porucznik Ernst Heinemann ustalił ofensywny start VI na noc z 12 na 13 czerwca. Pułkownik Wachtel, dowódca 155 pułku artylerii przeciwlotniczej, miał zastrzeżenia. Chciał jeszcze przeprowadzić kilka testów próbnych z urządzeniem sterowniczym. Ale Heinemann pozostał przy ustalonym terminie. Do jakiego stopnia nie był on tajny pokazuje fakt, że już dzień wcześniej, w niedzielę 13 czerwca, w Londynie wiadano o planowanym ataku. Rankiem 12 czerwca, zastępca szefa wywiadu brytyjskiego lotnictwa ostrzegł sztaby Air Force, że wystrzelenie VI nastąpi lada dzień.

Tymczasem kanonierzy pułkownika Wachtela nie ustawiali w gorączkowej pracy. Pierwsza salwa miała wystartować 20 minut przed północą. Ale odpalenie trzeba było przesunąć na godzinę 3.30. Wreszcie na krótko przed godziną 4.00 pierwsze dziesięć pocisków VI z hukiem wystartowało. Ale niefortunny los nadal trapił tę grę o wyścig z czasem. Pięć rakiet eksplodowało tuż po starcie. Reszta jakoś przeleciała przez kanał.

Generał Heinemann natychmiast wstrzymał akcję i przesunął ofensywę na noc z 15 na 16 czerwca. I tym razem wreszcie się udało. Prychające kolosy pędziły z pięćdziesięciu pięciu stanowisk startowych. Do świtu na obszarze brytyjskiego południowego wybrzeża eksplodowały 73 pociski VI. Kiedy minister spraw wewnętrznych informował House of Commons o ataku „złośliwych robotów”, miny parlamentarzystów sposepniały, pełne troski. Natomiast niemieckie dowództwo całą swoją nadzieję lokowało w owej Wunderwaffe*, „Vergeltungswaffe 1”**, w dokumentach konstrukcyjnych oznaczonej jako Fi - 103 lub „Kirschkern”***.

Hitler chciał - za pomocą nieprzerwanego bombardowania brytyjskiej stolicy, złamać angielskiego ducha walki. Uważał, że przez nieustanne ostrzeliwanie, kierownictwo brytyjskie zmięknie i dojrzeje do kapitulacji. Dlatego wahał się - w połowie czerwca nadal się wahał - czy pierwszą raketę w historii wojen wykorzystać przeciwko ześrodkowanej flocie inwazyjnej stojącej u wybrzeży Normandii, czy też przeciwko południowoangielskim portom zaokrętowania.

* Cudowna broń. ** Broń odwetowa 1. *** Pestka wiśni.

Tam bowiem ta nowa broń mogłaby mieć militarną skuteczność, zakłócać zaopatrzenie aliantów, a być może nawet unieruchomić je. W najgorszym przypadku można by było zmusić do wycofania okręty wojenne i tym samym pozbawić je możliwości prowadzenia ciągłego, morderczego ostrzału przez artylerię okrętową - z 640 rur - niemieckich pozycji lądowych. Wykorzystana zaś na wybrzeżu przeciwko przyczółkom lądowania, mogłaby porazić aliancki front psychologicznie. Wrażliwość alianckich oddziałów frontowych na artylerię i bomby była rzeczą znaną. Ale nie - należało jednak wpierw zmiękczyć Londyn!

Był to zgubny, fatalny wniosek, wysnuty przez Hitlera. Jak gdyby dla podkreślenia niemieckiej bierności w stosunku do floty nieprzyjacielskiej stojącej u wybrzeża, na którym dokonywano inwazji - dokładnie w dniu 16 czerwca, czyli w dniu inicjacji V1 - nastąpił atak ogniowy brytyjskiej artylerii okrętowej na stanowisko dowodzenia 12 dywizji pancernej SS, położone 27 kilometrów na południowy zachód od Caen.

Sturmmann Hans Matyska, kierowca sztabu dowódcy dywizji, właśnie wjechał naprawionym wozem dowodzenia brigadelührera Witta na dziedziniec zamku, kiedy na dużej wysokości nadleciał samolot obserwacji artyleryjskiej. - Oj, chłopie, to mi się nie bardzo podoba - podzielił się z Matyskiem swoimi obawami dyspozytor samochodowy. Obaj szybko wzięli menażki i pobiegli do kuchni polowej, aby jeszcze zafasować obiad. Co się ma, to się ma! Ale aparat radiowy brytyjskiego obserwatora artyleryjskiego był szybszy. Niczym burza, z hukiem nadleciała pierwsza salwa. Strzelała najcięższa artyleria okrętowa. Cale to „dobrodziejstwo” spadło 200 metrów za zamkiem. Podniosła się wysoka ściana ognia i ziemi. Cisza. Potem nadeszła druga salwa. Szczyt zamku załamał się z trzaskiem. Na zewnątrz powypadali olicerowie i szeregowi, biegnąc w kierunku rowu przeciwodłamkowego, który przecinał dziedziniec zamkowy w poprzek. Także dowódca dywizji, brigadeführer Witt, stał już przy rowie. Jeszcze raz rzucił okiem na dziedziniec, aby sprawdzić, czy ktoś z jego ludzi nie leży ranny. Ujrzał Matyskę przyciśniętego do ściany i zawołał:

- Matyska, tutaj, do rowu! - Matyska pobiegł niczym sprinter na sto metrów. ale już nadlatywała trzecia salwa. Kierowca sztabu potknął się i padł jak długi do rowu. Teraz wskoczył tam także Witt. W tym momencie wszystko utonęło w huku, ogniu i dymie.

Kiedy Matyska wygrzebał się spod ziemi, ujrzał swego dowódcę leżącego. Nie można sobie nawet wyobrazić, co spowodował 420 mm granat, który zdetonował w górze nad skrajem rowu. Matyska, oszołomiony, zataczał się pomiędzy martwymi ciałami. Zrobił jeszcze jeden krok i wpadł w wielką dziurę utraty świadomości.

Ten nieszczęśliwy przypadek pokazuje, jak zdradliwe niebezpieczeństwo dla frontu i sztabów stanowiła ciężka artyleria okrętowa. Ale Hitler wciąż nic mógł się zdecydować na użycie VI przeciwko flocie. Nadal pokładał nadzieję w politycznej skuteczności, a nie w bardzo już pilnej konieczności militarnej.

i sn

Oczywiście, ostrzał prowadzony przez V1 szarpał nerwy Londyńczyków. W 84 korpusie znalazły się zdobyczne listy poczty polowej, które dawały dobry wgląd w nastroje po drugiej stronie kanału. Pewna pracownica domu towarowego pisała obrazowo do swego ukochanego, co zaszło w pierwszych dniach po ostrzale:

„Są niemal bezgłośnie - relacjonowała - podobne do małych samolotów. Nadlatują ślizgiem. Eksplodują raz tu, raz tam, rozproszone nad wszystkimi dzielnicami miasta i powodują wielkie leje. Domy się przewracają. To jest straszne". Z jednego z listów wynikało, że wokół panuje nastrój powszechnej niepewności. Duże rejony wewnątrz miasta zostały ewakuowane. Jedna z autorek podała jako swój nowy adres miasteczko leżące nad Tyne na granicy ze Szkocją. Społeczeństwo zażądało, aby niebezpieczeństwo to zażegnać przez zdobycie stanowisk startowych. Bardzo krytyczne uwagi padały pod adresem „Metre offensive". Brytyjczycy złościли się z temperamentem. Ale dowództwo niemieckie nie wiedziało, że zastosowanie VI już choćby z czysto umiarkowanej liczebności tych rakiet oraz z powodu ich niewielkiej w końcu celności w odniesieniu do ważnych pojedynczych obiektów, nie mogło być wystarczającym środkiem do zmuszenia politycznego kierownictwa brytyjskiego. aby podjęło rokowania. Jeszcze 17 czerwca, kiedy Hitler po raz pierwszy i ostatni odwiedził front inwazyjny, wierzył, że bombardowanie Londynu przez VI będzie czynnikiem decydującym o losach wojny. Ponownie odrzucił wykorzystanie VI do zaatakowania portów południowej Anglii. To było doprawdy niepojęte. Rommel ostrzegał. Ale Hitler nadal widział sytuację optymistycznie. „Musimy tylko trzymać nerwy na wodzy", zaklinał swoich feldmarszałków. Jeśli idzie o sytuację na froncie rosyjskim, to uważał, że tam nie ma poważnego niebezpieczeństwa. „Na wschodzie trzymać, na zachodzie bić", było jego hasłem. „Kiedy odeprzemy inwazję, to Anglia pod naciskiem VI zawrze pokój".

Ale kiedy Hitler próbował uspokajać swych marszałków takimi sloganami, w Rosji grzmiały już wybuchy na drogach, mostach, torach kolejowych i w składach łączności, za pomocą których radzieckie grupy partyzanckie rozpoczynały na środkowym odcinku frontu wschodniego rosyjską ofensywę. Cztery dni później ruszyła już niczym lawina po obu stronach magistrali Smoleńsk-Mińsk i doprowadziła do załamania frontu Grupy Wojsk „Środek".

Gdzie są nasze samoloty?

We wczesnych godzinach rannych 18 czerwca żołnierzy na froncie pod Tilly poderwał z ich dołków strzeleckich potężny artyleryjski grzmot. Ziemia zadygotała. Wkrótce potem podeszły dwie dywizje brytyjskie działające w składzie 8 korpusu, wzmocnione świeżo wysadzoną na ląd brygadą pancerną. Anglicy zaatakowali pod osłoną wału ogniowego artylerii okrętowej i lotnictwa. Pierwszy szturm załamał się na ruinach Tilly. Przez cały dzień

toczono walki o te resztki murów. Pod wieczór utracono je. Padło także Cristot. Ale do przełamania jeszcze nie doszło. Przedni skraj obrony przeniesiony poza ruiny miasta trzyma się.

Powtarzają się krwawe walki o każdą piędź ziemi. Powtarzają się skomasowane ataki artylerii, samolotów szturmowych i bombowców. Mnożą się straty. Można już w zasadzie obliczyć dzień zniszczenia dywizji Panzer-Lehr i 12 dywizji pancernych SS. Nieprzerwany ogień artylerii i ciągłe ataki lotnicze zdają się powoli, ale skutecznie wykruszać. Kiedy samoloty szturmowe pędzą nad pozycjami, gdy słychać nadlatujące dywizyjony bombowców, wtedy piechurzy klną, złością się lub pełni zwątpienia narzekają: - Gdzie są nasze samoloty, gdzież, jest ta cholerna Luftwaffe Hermanna?

Ale czym mieli latać niemieccy piloci? Tu podam jeden przykład, który mówi wszystko: w oryginale tajnego studium poświęconego walkom z inwazją, które zostało przedłożone szefowi sztabu generalnego Luftwaffe, czytamy, co następuje:

2 skrzydło samolotów myśliwskich miało przeciętnie 30 samolotów w gotowości bojowej. Bywały dni, kiedy skrzydło miało w gotowości bojowej zaledwie 8 maszyn. Większość samolotów myśliwskich niezdatnych do wykonywania zadań bojowych mogłaby być ponownie sprawna, gdyby były pod ręką niezbędne części zamienne. Te jednakże zostały ściągnięte z baz lotniczych w zachodniej Francji do akcji pomocy myśliwcom w Rzeszy". A następstwa? Zostały bezlitośnie obnażone w odrębnym studium.

Oto one:

„Dowódca 3 floty powietrznej melduje planowe rozbijanie urządzeń naziemnych, zwłaszcza wszystkich lotnisk samolotów myśliwskich.

Szef oddziału operacyjnego 3 floty powietrznej melduje całkowite zerwanie łączności przewodowej.

Szef oddziału rozpoznawczego 3 floty powietrznej melduje, że nieprzyjacielskie ataki, podejmowane początkowo tylko za dnia formacjami samolotów czterosilnikowych przeznaczonych do nalotów dywanowych, teraz przeprowadzane są także w nocy, przede wszystkim w celu zniszczenia urządzeń komunikacyjnych.

2 korpus myśliwski melduje, że własne działania myśliwskie sąjszcze możliwe do przeprowadzenia tylko warunkowo. Wszelkie działania rozpoznawcze i pościgowe nic są już możliwe w strefie inwazyjnej. Na przyczółku lądowania zbudowano i założono 30 lotnisk anglo-amerykańskich".

To była kapitulacja w powietrzu. Taki był obraz niemieckiej Luftwaffe na zachodzie: zaniedbany, rozbity instrument, przywiązany do obrony Rzeszy przed nalotami bombowymi na wielkie niemieckie miasta.

W tym tkwią korzenie niemieckiej klęski na froncie inwazyjnym. Ale czy z tego powodu można dowództwo Luftwaffe zwolnić od odpowiedzialności? Czyżby nie było żadnych możliwości jakichś improwizacji? W innym meldunku dowództwa Luftwaffe, zestawionym z najważniejszych dzienników wojennych, relacji wynikających z doświadczeń i badań, wskazuje

sic. przede wszystkim na zaniechanie zrzucania min lotniczych na wielkich obszarach akwenów inwazyjnych. Mówi się tam:

„Obie wojny światowe wykazały, że gęste zapory minowe, postawione nawet na otwartym morzu, ograniczają operacje sił morskich i kierują ruchy żeglugi okrętowej w określone obszary. W czasie drugiej wojny światowej zapory minowe wykonane przez lotnictwo przed portami i zatokami spowodowały jeszcze większe trudności i pociągnęły za sobą znacznie wyższe nakłady związane z ich usuwaniem. Dlatego też można było spokojnie przyjąć, że strategiczne minowanie lotnicze na wielkim obszarze, z dobrą taktycznie gęstością, będzie stanowiło siłę odpychającą dla lądującego przeciwnika. Właśnie w ten sposób nasze słabe siły lotnicze mogły w momencie lądowania udzielić obronie znaczącej pomocy. Takie minowanie byłoby przedsięwzięciem strategicznym. To musiałyby być zastosowane w sposób przemyślany, tam gdzie można było oczekiwać przeciwnika lub tam, gdzie umocnienia nadbrzeżne lub nasycenie wojskami były słabe. Gęste zapory minowe silnie wpływałyby na ruchy transportowców i okrętów wojennych. Zmniejszyłoby to również celność ognia alianckich pancerników ostrzeli-wujących niemieckie wojska lądowe w walkach o Caen, ułatwiłoby to także ogólną obronę oraz zajmowanie pozycji wyjściowych do kontrataków... ”

Ten meldunek wskazuje w końcu jeszcze i na to, że oprócz oczyszczania gęstej zapory minowej, co musiałyby być wykonywane przez flotę aliancką z dużym nakładem kosztów, byłoby to także wskazówką, gdzie należy oczekiwać głównego punktu ciężkości akcji lądowania.

Dowództwo Luftwaffe nic widziało tej możliwości. Tym samym obok niezawinionego tragizmu bycia ofiarą błędnej i niewystarczającej materiałowo polityki zbrojeniowej niemieckiego naczelnego dowództwa, Luftwaffe wniosła jeszcze wkład własnej winy. Ale na wojnie nieszczęście staje się często winą, tak jak sława i honor są bardzo często błogim dodatkiem szczęścia.

215.

Piąty dzień: polityczne *intermezzo*

11 czerwca 1944 r, w pięć dni po lądowaniu, alianci opanowali połączony pas przybrzeżny wynoszący około 100 kilometrów długości i 10 do 15 kilometrów głębokości.

I tak, według standardowej pracy Dietera Ose z Militargeschichtliche Forschungsamt* podczas walk od 6 do 11 czerwca - tak jak w pierwszym dniu ciągle jeszcze istniała szansa pobicia przeciwnika, zwłaszcza na odcinkach »Utah« i »Omaha«, gdyby sukcesy taktyczne w sposób zdecydowany i energiczny poparto wprowadzeniem do walki odwodów". Szanse te zostały jednak zmarnowane przez kunktatorskie postępowanie najwyższego

dowództwa niemieckiego -z Rundstedtem włącznie - ponieważ dalej nie wierzono w wielkie lądowanie, lecz zgodnie z wyreżyserowanymi przez przeciwnika pozorami, głównego uderzenia oczekiwano w Pas de Calais. Rundstedt wprawdzie, po rozwinięciu się sytuacji, wykrył pomyłkę i jako mądry strateg przewidział następstwa. Dlatego 11 czerwca, w piątym dniu inwazji, zdecydował się przesłać Hitlerowi, poprzez szefa OKW, meldunek z własną oceną sytuacji, powielony tylko w czterech egzemplarzach. Jest to kluczowy dokument bitwy o Francję. Dowódca Zachód stwierdza w nim, że aliantom lądowanie się udało i przy ich przewadze w powietrzu nic będzie możliwe, aby za pomocą rozporządzanych sił wrzucić nieprzyjaciela z powrotem do morza. Hitler w swej Dyrektywie nr 51 z 3 listopada 1943 r. sam stwierdził: „Jeśli nieprzyjacielowi uda się tu (na zachodzie) dokonać na szerokim froncie włamania w naszą obronę, to następstwa już w krótkim czasie będą nieprzewidywalne". A owo „nieprzewidywalne" to jedynie użycie innego słowa na określenie katastrofy. Dlatego Rundstedt trafił w dziesiątkę, kiedy w swej ocenie sytuacji dla „Fuhrera", po precyzyjnym jej wyłożeniu, w punkcie „Położenie własne" napisał

* Instytut Badań Historyczno-Wojskowych.

Położenie na froncie inwazyjnym w dniu 11 czerwca 1944 r. Alianci wywalczyli sobie ciągły pas przybrzeżny długości około 100 kilometrów i 10 do 15 kilometrów szerokości (gruba czarna linia). W alianckim przyczółku mostowym walczyły (od lewej strony): 1 armia amerykańska, w składzie trzech korpusów; 2 armia brytyjska, w składzie dwóch korpusów. Naprzeciw nich stała niemiecka 7 armia, w składzie trzech korpusów. (Niemieckie korpusy są oznaczone cyframi arabskimi; korpusy amerykańskie i brytyjskie cyframi rzymskimi).

zdanie: „Muszę zwrócić uwagę na to, że przy tej dysproporcji materiałowej może zaistnieć sytuacja, która zmusi nas do podjęcia decyzji zasadniczych”.

Co miał przy tym na myśli? Odnośnie do słów „decyzje zasadnicze” dyskutuje się nad nimi jeszcze do dziś. Czy to znaczy, nie bronić się za wszelką cenę, lecz prowadzić ruchome działania bojowe? Kto znał Rundstedta, ten wie, że gdyby tak myślał, toby to powiedział. Jeśli zaś idzie o jego jasność wyrażania się, to jest na nią wiele dowodów w jego meldunkach sytuacyjnych.

Czyżby miało to dotyczyć oddania rozległego obszaru? Także tę alternatywę wyraziłby inaczej. A więc pozostaje tylko jedno znaczenie: Francji nie da się już obronić, nie pomoże tu żadna ofiara, cóż więc innego pozostaje, jeśli nie oddanie zajętego kraju, wycofanie się nad Ren i podjęcie próby nawiązania rokowań pokojowych z mocarstwami zachodnimi.

Kiedy się wczytać w główny fragment jego oceny sytuacji, to łatwo można wykryć, że Rundstedt, w pięć dni po lądowaniu, w chłodnych i pozbawionych emocji słowach starego stratega, zapowiedział niemiecką klęskę we Francji. Ubrał to, stosownie do autorytarnych wymogów wyrażania się, w operacyjne zalecenia z odpowiednimi żądaniami, co do zaopatrzenia i odwodów (obrona Cherbourga, wyciągnięcie dywizji pancernych z pozycji obronnych itd.), o których wiedział, że nigdy nie będą mogły być spełnione, co się już wkrótce okazało.

Czytamy tam: „Oddziały Grupy Wojsk B walczące w Normandii zostały w obszarze między Orne i Vire przyparte do obrony. Z braku sił, dywizje pancerne mające dużą moc uderzeniową, muszą być wykorzystywane do obrony, co wyklucza możliwość zaczepnego prowadzenia walki na tym szerokim odcinku. Ataki nie mają siły przebicia i prowadzą tylko do strat w ludziach i zużycia materiałów”.

„...Liczebna przewaga nieprzyjacielskiego lotnictwa jest na tyle wielka, że każdy większy ruch za dnia staje się niemożliwy. Z powodu ciągłych, ciężkich ataków lotniczych na węzły drogowe, miejscowości, mosty, dworce, szybki dowóz wzmocnienia, amunicji, paliwa stał się prawie niemożliwy.

Wszelkie poruszanie się na polu walki i poza nim w celu zajęcia podstawy wyjściowej do ataku, zajęcia stanowisk ogniowych przez artylerię, a także dokonania niezbędnych przesunięć taktycznych, jest natychmiast silnie

bombardowane z powietrza. Wojska i sztaby muszą się całymi dniami ukrywać w terenie, aby uniknąć ciągłej obserwacji i zwalczania z powietrza".

.....Pomimo tych kolosalnych dysproporcji w materiałach i środkach oddziały wszystkich rodzajów wojsk Wehrmachtu biją się znakomicie i dają z siebie wszystko. Duch i nastroje są dobre, jednakże wrażenie tej materiałowej przewagi Anglików i Amerykanów musi oddziaływać na wojska deprymująco".

Te zacytowane fragmenty nie pozostawiają żadnej wątpliwości, że Rundstedt swoje tajemnicze sformułowanie o „zasadniczych decyzjach” rozumiał tylko w jeden sposób: bitwa o twierdzę Francja jest już nie do wygrania, a co za tym idzie, także wojna z Zachodem. A więc niech pan zawiera pokój z Zachodem!

Cztery tygodnie później inny zdolny strateg, także z sukcesami wojennymi. feldmarszałek von Kluge, który po usunięciu Rundstedta w dniu 3 lipca, został jego następcą jako Dowódca Zachód, a potem również następcą Rommla (jako dowódca Grupy Wojsk B), napisał w swym pożegnalnym liście do Hitlera przed popełnieniem samobójstwa takie oto zdanie:.....mój Wodzu, niech się Pan zdecyduje na zakończenie tej wojny... muszą się znaleźć sposoby możliwe do realizacji, aby Rzesza nie przypadła bolszewizmowi". Jeszcze usłyszymy o przyczynach kroku, na jaki się zdecydował.

11 czerwca Rundstedt zobowiązał także feldmarszałka Rommla, aby równocześnie i on wysłał do Hitlera swoją ocenę sytuacji, potwierdził opinię Rundstedta o przewadze nieprzyjaciela i beznadziejnej sytuacji walczących wojsk własnych. Wprawdzie u Rommla nie występuje żądanie „zasadniczych decyzji”, ale za to na końcu widnieje sformułowanie: „Oddziały wszystkich rodzajów wojsk Wehrmachtu biją się z największą zaciętością i z najwyższym poświęceniem mimo olbrzymiej przewagi materiałowej nieprzyjaciela. Niniejszym proszę o możliwość złożenia Führerowi osobistego raportu". Rommel nic otrzymał jednak żadnego terminu na złożenie swojego raportu!

Tak więc apel do militarne go rozsądku Hitlera i jego wierchuszki z OKW okazał się, bezskuteczny. W swej dyrektywie Hitler nadal kazał prowadzić działania zaczepne z jednoczesną kontynuacją strategii obronnej. I znów, jako uzasadnienie, straszy przy tym armia upiórów, gotowa do drugiego lądowania gdzieś indziej. Feldmarszałek usłuchał i po trzech tygodniach został usunięty. Jego następca popełnił samobójstwo. Rommel też wziął ampułkę z trucizną.

Na tym by można zakończyć ten rozdział o niemieckich generałach na zachodzie, bezskutecznie domagających się pokoju, gdyby nie było pewnej dramatycznej paraleli po drugiej stronie frontu, która potwierdza, że także generałowie amerykańscy, przede wszystkim zaś Eisenhower, mając w pamięci krwawe bitwy pierwszej wojny światowej we Francji, w trosce, że mogłyby się one przy lądowaniu powtórzyć próbowali temu zapobiec. Z tą myślą podjęło tajne kontakty dyplomatyczne z niemieckim dowództwem wojskowym we Francji, mające na celu zaprzestanie oporu na „warunkach honorowych”. Idea ta jako aspekt psychologiczny prowadzonej wojny, nie może być wyłączona z historii inwazji, nawet jeśli sama nie doprowadziła do celu, bo także i tutaj napotkała na opór kierownictwa politycznego, przede wszystkim zaś Roosevelta.

Piszę o tym na podstawie zapisków Williama Caseya, który w czasie drugiej wojny światowej był szefem londyńskiej placówki OSS* i kierownikiem specjalnego, tajnego wywiadu dla potrzeb operacji generała Eisenhowera w Europie. Później, w 1981 r., został dyrektorem amerykańskiego wywiadu CIA.

Eisenhower w swych rozważaniach nawiązywał, według Caseya, do własnych doświadczeń włoskich, gdzie prowadził tajne rokowania z marszałkiem Badoglio w 1943 r. celem uniknięcia we Włoszech krwawych, obfitujących w straty walk, jakie miały miejsce po wylądowaniu na Sycylii (9 lipca 1943 r.) i w Kalabrii (3 września 1943 r.).

Ale Churchill, a zwłaszcza prezydent Roosevelt, udaremnił próbę Eisenhowera zawarcia szybkiego zawieszenia broni bez kapitulacji bezwarunkowej; grając ukrytymi kartami i przy szorstkim potraktowaniu Eisenhowera w dniu 3 września 1943 r. oraz bezwzględnym wprowadzeniu w błąd Badoglio, przeforsowali kapitulację bezwarunkową, co pozwoliło uwolnionemu Mussoliniemu na prowadzenie wojny po stronie Hitlera i nieuchronnie wiodło do ciężkich, krwawych bitew we Włoszech z niemieckimi oddziałami.

Aby uniknąć podobnie krwawych walk we Francji i zapobiec możliwemu niebezpieczeństwu nieudanej inwazji, Eisenhower chciał w 1944 r. wspólnie z wojskowymi niemieckimi wziąć pod uwagę aranżację kapitulacji umiarkowanej, bez żądania kapitulacji bezwarunkowej, którą Roosevelt ogłosił w styczniu 1943 r. w Casablance.

Plan, który realizowano bez wiedzy Rosjan, nie miał żadnego politycznego programu odnośnie traktowania Niemiec po wojnie - Eisenhower też go nie miał. Chodziło tu zaledwie o jedną uruchomioną *ad hoc* akcję, z troski o pomyślny przebieg inwazji, akcję mającą na celu „umiarkowaną” formę częściowej kapitulacji Wehrmachtu we Francji. To było niewątpliwie słabą stroną tej całej sprawy. Jednakże Eisenhower, aby przekonać swoje kierownictwo, posłużył się argumentem politycznym, mianowicie dającym się rozpoznać celem Stalina, zaprowadzenia w Niemczech reżimu komunistycznego bez brania pod uwagę zachodnich sojuszników. Casey (*The Secret War Against Hitler*) wyjaśnia to tak:

„Sowieci nie mieli żadnych problemów z balastem bezwarunkowej kapitulacji i już powołali „Nationalkomitee Freies Deutschland”* i Bund deutscher Offiziere**, utworzone jako rdzeń powojennego, komunistycznego reżimu w Niemczech, który mógłby przechwycić władzę, gdyby naziści chcieli kolaborować. Te wyraźnie rozpoznawalne, radzieckie cele polityczne, z tak samo wyraźnie wyczuwalnym, wrogim nastawieniem do formującego się demokratycznego i zorientowanego na Zachód mchu oporu „20. Juli” (20 Lipca), pozwalały generałowi Eisenhowerowi, na gruncie jego troski o ofiary inwazji, uznać własne próby nawiązania współpracy z niemieckimi generałami we Francji za politycznie uprawnione, aby zakończyć tę wojnę, a przynajmniej kampanię we Francji. Ponieważ przy utrzymaniu żądania kapitulacji bezwarunkowej było to niemożliwe, zatem nic ulegało wątpliwości, że usunięcie tego warunku musi stać na początku wszelkich prób kontaktowania się.

7 kwietnia 1944 r., według Casey, generał Eisenhower był w posiadaniu meldunku amerykańskiej centrali wywiadu w Szwajcarii, kierowanej przez Allena Dullesa, według której „niemieccy wyżsi dowódcy na zachodzie” byli gotowi dopomóc aliantom w załamaniu się reżimu nazistowskiego. Taka gotowość była „związana z warunkiem zapewniającym, że rokowania będą prowadzone z mocarstwami zachodnimi na temat koniecznych przedsięwzięć, ale bez przymusu rokowań z Moskwą”. Wprawdzie Casey, mając na względzie Moskwę, zanotował: *Unacceptable*. Ale Dulles wyciągnął z rękawa znaczną kartę z propozycją, że można by niemieckich generałów trzymać w ryzach, a potem i tak doprowadzić do skrócenia wojny! I Churchill, który dobrze pamiętał ogromne żniwo śmierci, towarzyszące walkom we Francji w czasie pierwszej wojny światowej, stwierdził, że Eisenhower nie powinien podejmować ryzyka lądowania we Francji, jeśli istnieją inne możliwości wygrania tej kampanii.

Jednakże Roosevelt przerwał wszelkie rozważania swego sztabu generalnego nad modyfikacją żądania kapitulacji bezwarunkowej. Casey cytuje go tak:

* Office of Strategic Services.

* Komitet Narodowy Wolne Niemcy. ** Związek Oficerów Niemieckich.

„Nie był gotów oświadczyć, że nie zamierza zniszczyć narodu niemieckiego... Hitler musi być pobity bez pomocy niemieckiej opozycji wewnętrznej”.

Ale Eisenhower nie dawał za wygraną. W memorandum, jakie opracował wspólnie ze swym najbliższym współpracownikiem i szefem sztabu, Bedellem Smithem oraz amerykańskimi doradcami, przedstawił nowe propozycje zmierzające do zmiany warunków kapitulacji. Miały one być takie: „aby niemieccy generałowie mogli je zaakceptować i które pozwoliłyby im na przerwanie działań wojennych we Francji”. Taką deklarację należało ogłosić na cztery tygodnie przed inwazją i przez wszystkie środki przekazu podać do wiadomości niemieckiemu narodowi i armii. Po utworzeniu przyczółka mostowego w Normandii, Eisenhower miał zażądać od niemieckich dowódców we Francji kapitulacji na podstawie wcześniej ogłoszonych warunków (z zachowaniem kapitulacji bezwarunkowej, likwidacją systemu narodowo-socjalistycznego, wprowadzeniem struktur demokratycznych oraz uporządkowanej ewakuacji).

„Ale FDR (Roosevelt) i sekretarz stanu Hull sprzeciwili się temu pomysłowi. Ikc (Eisenhower) miał równie mało szczęścia u Churchilla, chociaż doradcy napierali na niego, aby wyjaśnić problem kapitulacji bezwarunkowej”.

Casey cytuje Churchilla, który powiedział: „To jest sprawa prezydenta. On ogłosił w Casablance kapitulację bezwarunkową, nie zapytawszy mnie o zdanie. Amerykanie muszą zrobić pierwszy krok”.

Roosevelt nie zrobił go, chociaż amerykański tajny rezydent w Bernie, Allen Dulles, w pierwszej połowie maja chciał dostarczyć Eisenhowerowi nową informację i ożywić całą sprawę. To, według Caseya, nastąpiło przy powołaniu się na „grupy opozycyjne w Wehrmachcie” i że „istnieje gotowość zakończenia wojny, pod warunkiem, że pozwolimy generałom trzymać front rosyjski”.

Ten meldunek był dramatycznie zastrzony słowami: „Chociaż Rommel nic jest wciągnięty do sprawy, istnieje nadzieja, że byłby on gotów udzielić pomocy we Francji”.

W związku z tym w końcu maja 1944 r., a więc na dwa tygodnie przed inwazją, Eisenhower próbował jeszcze tę gigantyczną operację pod mianem „Overlord” doprowadzić do skutku w sposób możliwie bezkrwawy. Wspólnie ze swym politycznym doradcą, generałem McClure, szefem wojny psychologicznej naczelnego dowództwa, naszkicował zarys odezwy, jaką chciał rozpowszechnić natychmiast po wylądowaniu we Francji i po skutecznym utworzeniu przyczółków lądowania. Do rozpowszechniania miały posłużyć ulotki z odezwą, radio oraz gigantofony skierowane do wojsk we Francji, a także do ludności cywilnej w Niemczech. Podane już warunki miały zostać uzupełnione sformułowaniami: „które niemieckim generałom, oficerom oraz żołnierzom uczynią kapitulację bardziej strawną i nie będą godzić w poczucie honoru i obowiązku niemieckich generałów”.

„Strawną - *palatable*”, pisze Casey. Strawną!

Jednak prezydent Roosevelt nie zaszczylił tej propozycji odpowiedzią. „Waszyngton milczał”. Roosevelt nie życzył sobie żadnej strawnej klęski Niemców.

Życzenie i rzeczywistość, światło i mrok, rozsądek i blef, przede wszystkim jednak brak wewnętrznego politycznego przekonania są, w opisie Caseya, z sobą bardzo blisko powiązane. Jednak fakty przytoczone przez tego wytrawnego gracza, działającego na psychologicznym i politycznym froncie wojny, są historycznie na tyle pouczające, aby tego *intermezzo* związanego z tajnym frontem nie wymazywać z rozważań o dziejach operacji „Overlord” - decydującej o losach wojny. Szło przy tym o generałów, wodzów obu stron, którzy chcieli zapobiec strasliw7in bitwom tej 80-dniowej kampanii lub je przynajmniej skrócić.

224.

Bitwa o Cherbourg

„Samolot myśliwsko-bombowy - siewca śmierci”

Dawne świńskie mokradło, w którym major Friedrich Wilhelm Kiippers jako dowódca grupy artylerii Montebourg założył swoje stanowisko dowodzenia, jest dobrze zamaskowane. Dziennik bojowy wskazuje datą 19 czerwca.

Kiippers siedzi w swym dobrze zamaskowanym namiocie, na kolanach trzyma drewnianą płytę z mapą i planem prowadzenia ognia.

Amerykanie atakują czterema dywizjami, aby wymusić wyjście z przyczółka lądowania „Utah” w kierunku północnym i zachodnim. Kiippers widzi, jak ktoś odsuwa na bok koc sprzed jego namiotu sztabowego. W wejściu stoi niewyspany, umazany krwią i usmolony porucznik Staake z 5 baterii 1262 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych. Przychodzi wprost z punktu obserwacyjnego na wzgórzu 117. Kiippers przeczuwa coś złego.

- Co się stało, Staake? Człowieku, jak pan wygląda? Porucznik Staake pomimo swej rany melduje precyzyjnie:

- Atak nieprzyjacielskich czołgów zaległ pod naszym ogniem artyleryjskim na przejściu z szosą. Ale uderzenie poprowadzone parowem niespodziewanie doszło aż do lasu pod Montebourgiem. Jednostki pancerne uderzyły obchodząc z obu stron centrum miasta. Nadchodząca piechota jest uwikłana w ciężkie walki z grenadierami Grupy Bojowej Berg, która broni centrum miasta, oraz jednostkami Grupy Bojowej Hoffmann. Źle to wygląda - kończy Staake. I dodaje: - Jeśli będziemy mieli szczęście, to miejsce włamania da się zaryglować. Ajak nie, to znaczy, że siedzimy w pułapce na myszy. Wtedy musimy się stąd czym prędzej wyrwać, panie majorze, inaczej schwytają nas Amerykanie.

Major Kiippers przygląda się swemu porucznikowi. On ma rację, myśli. Ale Quineville-Montebourg-wzgórze Janowcowe jest ostatnią pozycją ryglową przed Cherbourgiem, która nie ma właściwego frontu lądowego. A kiedy ten rygiel pęknie, to dla Cherbourga nie będzie już żadnej nadziei. Dlatego też od paru dni w każ-

1 M

dym rozkazie mówi się: kiedy padnie Montebourg, to droga na Cherbourg będzie wolna. Montebourg musi być utrzymany.

Ostatnie osiem dni niczym film przesuwają się przed oczyma Koppersa: 12 czerwca otrzymał rozkaz przejęcia nowo zestawionej grupy artyleryjskiej do obrony Montebourga, która utworzona z pięciu baterii różnych dywizjonów artylerii, składała się z 19 dział, w tym czterech 122 mm, dwóch 105 mm i jednej 150 mm lawety samobieżnej - razem z grupą dział przeciwlotniczych Koniga i bateriami majora Rassnera z 100 pułku moździerzy wielolufowych tworzyła znaczącą siłę ogniową. Miała ona za zadanie wzmocnić tyły 919 pułku grenadierów, który od 6 czerwca był w walce i został wyparty na skraj Montebourga, oraz grup bojowych z 243 dywizji piechoty. Tym samym walka o Cherbourg już się zaczęła, gdyż port wojenny, ową słynną twierdzę, trzeba będzie bronić na przedpolu. Tego uczyły wszystkie doświadczenia operacji lądowych od Afryki Północnej po Sycylię i Italię; tego dużo wcześniej uczył także przykład Singapuru. Jednak dowódcy artylerii na próżno czekali na przerzucenie odpowiednich sił artylerii z zachodniej i północnej części półwyspu Cotentin, aby ogniem ześrodkowanym przywalić przyczółkowi mostowemu Amerykanów. Ale w artylerii przebiegało to odwrotnie, niż nakazywała reguła Guderiana - nie pukać, walić! Niestety pukano. Strach przed możliwością dalszych lądowań, podsycany przez najwyższe niemieckie dowództwo, zagnieździł się niczym zmora w wielu wyższych sztabach, prowadząc do połowicznych, co ja mówię, dziesiętnych zaledwie przedsięwzięć. Tu jedna bateria, tam dwa działa do zwalczania czołgów.

Ale pod Montebourgiem miało być inaczej. Ciężko walczące jednostki frontu ryglującego przyczółek lądowania „Utah” miały otrzymać mocny artyleryjski kręgosłup. To miała być Grupa Koppers. Dlatego jej baterie strzelały ile tylko weszło w rury.] Amerykanie pod Montebourgiem i na wzgórzu Janowcowym la Pernel-le pod Quincville napotkali opór. Koppers całymi dniami strzelał „ogniem wyrafinowanym”, to znaczy ściśle ześrodkowanym, ograniczonym w czasie, aby utrudnić pracę nieprzyjacielskiemu rozpoznaniu powietrznemu, dźwiękowemu i obserwacji płomieni wylotowych. Nocą wystrzeliwano „zastrzyk ogniowy”, to znaczy ogień zakłócający w formie uderzenia ogniowego, podczas którego wszystkie lufy strzelały jednocześnie „ile wlezie”, każde działło do swego zaplanowanego celu. I o zapewniało skutek materialny i psychologiczny. Amerykanie nerwowo przeczesywali teren za pomocą artylerii i dział okrętowych. Samoloty obserwacyjne nieustannie krążyły nad frontem grup bojowych i zapleczem. Biada temu, co wykryli, a co wyglądało na stanowisko ogniowe działa. Natychmiast zaczynało się piekło.

Ale artylerzyści do perfekcji opanowali sztukę maskowania. Stanowiska ogniowe dział były istnymi majstersztykami w sztuce dopasowania się do otoczenia. Artylerzysta z reguły woli dobrze zamaskowane i ruchome stanowisko polowe niż stały bunkier. Te betonowe kłody zawężyły pole ostrzału, były nie do ukrycia, Rankiem 16 czerwca amerykańska 9 dywizja, wychodząc z przyczółka lądowania „Ulali”, rozpoczęła przy silnym wsparciu pancernym uderzenie na północ od Carenlan. pod Saintc Mere-Lglise. w kierunku zachodnim. Celem tego uderzenia było przecięcie półwyspu Cotentin i stworzenie tym samym przesłanek do ataku na miasto i port Cherbourg od strony lądu

Celem zabezpieczenia zachodniej części półwyspu Cotentin dowódcy 24.1 dywizji piechoty, generałowi Hellmichowi. podporządkowano 77 dywizję piechoty, świeżo przerzuconą z Bretanii, i utworzono Grupę Bojową Hellmich.

Druga grupa bojowa dowodzona przez generała von Schliebena z częścią 709 i 243 dywizji piechoty. miała na północy, zadanie przeszkodzić w zdobywaniu terenu w kierunku Cherbourga. W przypadku przecięcia półwyspu obie grupy miały się. w uporządkowanym odwrocie, wycofać do Cherbourga. aby zapewnić obronę miasta i portu. Jednakże OKW wtrąciło się w plany Rundstedta i wydało rozkaz/ stawiać opór w polu tak długo, jak to jest możliwe. W toku tych walk miało zostać skruszone morale nieprzyjaciela. dlatego Hitler zabronił wycofywania się do Cherbourga za pomocą jednego skoku. I znów wychodziły sprzeczne rozkazy i znów kalkulacje Hitlera nie sprawdziły się. aby w jednej bitwie na wyczerpanie i przy ostrzeliwaniu Londynu za pomocą VI złamać opór nieprzyjaciela i zyskać na czasie. Oddziały grupy bojowej von Schliebena zostały rozcięte przez Amerykanów i poniosły wielkie straty. 7. 77 dywizji Piechoty, która miała bronić fortecy, do Cherbounia dotarły tylko żałosne resztki formacji. Większość jej oddziałów zaledwie 1400 ludzi przebiła się na południe i tam połączyła się z resztą 243 dywizji piechoty oraz z 91 dywizją powietrznodesantową.

18 czerwca Amerykanie osiągnęli zachodnie wybrzeże. Rozpoczęła się walka o Cherbourg. Hitler nadal do generała von Schliebena radiogram następującej treści: „Spodziewam się, że będzie pan tę walkę prowadził tak. jak (ineisenau obronę Kołobrzegu”.

1 A/1

leżały na tacy jako cele i nie dawały pełnej ochrony przed bombami i artylerią okrętową. Były prawdziwymi trumnami: dla ludzi i armat.

Artylerzyści stanowisk polowych leżeli w pojedynczych dołkach strzeleckich, takich samych, w jakich chronili się grenadierzy grup bojowych Muller, Keil, Berg i Hoffmann na pierwszej linii obrony. W ten sposób nawet najcięższe ataki ogniowe były do przetrwania. Trzeba było trafić dokładnie w nieckę, aby kogoś zranić. A to zdarzało się rzadko. Pojedyncze ukrycie było naprawdę niewielkie, a jednocześnie wystarczająco dobre, aby służyć jako kaptur ochronny przeciwko rozpoznaniu lotniczemu. Za dnia wszystko było w ukryciu. Zaopatrzenie, części zamienne, amunicję, żywność - wszystko to dostarczano nocą. Żołnierze stawali się doświadczonymi, nocnymi wędrowcami.

Współdziałanie zmasowanej, nowoczesnej dowodzonej artylerii z grupami bojowymi piechoty zdało pod Montebourgiem świetnie egzamin. Mimo że nieprzyjaciel atakował trzema dywizjami, front się trzymał i blokował nadbrzeżne drogi na północ i zachód.

Ale to, co udało się pod Montebourgiem, nie powiodło się bardziej na południe. Major Kiippers przypomina sobie dramatyczne rozmowy telefoniczne z 16 i 17 czerwca ze swym dowódcą pułku, pułkownikiem Reiterem, w którego sztabie jako adiutant znajdował się profesor Walter Hallstein - 14 lat później przewodniczący EWG w Brukseli. „Amerykanie wyłamali się z przyczółka lądowania i prą na zachód”, poinformował go Reiter. To była prawdziwa informacja. Generał major Collins uderzył na zachód dwoma dywizjami, przeciął malowniczą dolinę Douve, przeszedł przez zmłócone do cna miasteczko Saint Sauveur le Vicomte. Tym samym utworzony został przyczółek mostowy o kapitalnym znaczeniu.

Ale nadeszło jeszcze gorsze: Grupa Bojowa Generał Hellmich nie zdołała przycisnąć Amerykanów na przyczółku lądowania ani zapobiec wyłamaniu się z niego. Amerykańska 9 dywizja piechoty i część 82 dywizji powietrznodesantowej uderzyły w kierunku wybrzeża zachodniego celem przecięcia w połowie półwyspu Cotentin, rozpołowienia sił niemieckich i zablokowania połączeń lądowych Cherbourga od strony południowej. Ten manewr udał się generałowi Collinsowi. Amerykanie osiągnęli brzeg zachodni pod Barneville. Tak więc na przedpolu Cherbourga powstał amerykański korytarz, który szedł w poprzek półwyspu i zmusił niemiecki 84 korpus do utworzenia dwóch frontów: północnego i południowego.

Po pogromie, będącym następstwem załamania się niemieckiej obrony pod przyczółkiem lądowania „Utah”, w amerykańską linię frontu w kierunku południowym z brawurą włamują się oddziały niemieckiej 77 dywizji piechoty.

Generał Stegmann próbował możliwie jak najszybciej przeprowadzić swoją dywizję na południe przez front nieprzyjacielski, ponieważ on - podobnie jak 84 korpus - uważał ten wariant za korzystniejszy, niż wycofywanie wyczerpanych resztek wojsk na Cherbourg. Lecz wczesnym rankiem 18 czerwca, w pobliżu wsi Bricquebec, samoloty myśliwsko-bombowe dopadły zaprzęzonych już oddziałów. Powstał, zwykły w takich wypadkach, straszny bałagan. Stegmann jechał wzdłuż drogi i próbował zaprowadzić porządek. Wtem nadleciał samolot szturmowy i wziął na cel wóz generała. Ślad 20 mm granatów z trzaskiem zbliżał się do auta. Generał zginął na miejscu, był to już czwarty generał poległy na froncie inwazyjnym.

Dzień wcześniej w podobny sposób zginął generał Hellmilch, dowódca 243 dywizji piechoty. W niego także trafił granat 20 mm, uśmiercając go na miejscu.

Śmierć od samolotów myśliwsko-bombowych była codziennością tego frontu. Była jego przekleństwem. Także generał artylerii Marcks, lubiany i przykładowy dowódca 84 korpusu, wykrwawił się 12 czerwca w rowie przydrożnym po celnym trafieniu przez samolot szturmowy.

Dowództwo 77 dywizji piechoty objął po Stegmannie najstarszy dowódca pułku dywizji, pułkownik Bacherer, dowodzący 1049 pułkiem piechoty. Wezwał on dowódców jednostek, aby omówić położenie.

- Co należy robić? - zapytał.

- Poddać się - zauważył któryś.

- Wycofać się na północ do twierdzy Cherbourg - radził inny. Bacherer pytał dalej: - Czy tysiąc pięćset do dwóch tysięcy ludzi ma iść do

niewoli, podczas gdy na południu potrzebny jest każdy karabin do odbudowy nowej linii obrony?

W nocy na 19 czerwca wyruszyły kolumny marszowe. Kierunek południc. Szef rozpoznania, kapitan dr Schreihage, opisał ten upiorny marsz 77 dywizji przez front amerykański: „Nieliczne, sprawne jeszcze volkswageny i wozy radiowe zostały cichcem przemycone przez linie nieprzyjacielskie. Kiedy świtało, kolumny maszerowały wśród wiosek obsadzonych przez nieprzyjaciela. Amerykańskie posterunki dębiały ze strachu na widok milczących plutonów i zostawały szybko rozbrajane, a potem wciągano je do kolumny jako jeńców. Dalej. Batalion łączności zwijał amerykańskie kable telefoniczne celem zlikwidowania łączności, a przy tym, aby samemu mieć przewody. Gęsta pokrywa chmur i mżawka chroniły przed samolotami myśliwsko-bombowymi. Około godziny 11.00 oddział rozbił obóz w jakimś parowie. Ale opatrność pozwoliła dojrzeć zagrożenie, patrole zwiadowcze wykryły amerykański obóz polowy w odległości nie większej niż 500 metrów.

Jednakże ludzie nie byli w stanic dalej maszerować. Trzeba było natychmiast ustosunkować się do tego:

- Żadnego hałasu - taki był rozkaz. - Przerwa na spanie!

I padali tam, gdzie stali. Na skraju parowu leżały posterunki z lornetkami przy oczach. Czy Amerykanie coś zauważą? Nic nic zauważyli.

Późnym popołudniem wznowiono marsz. Pułkownik Bacherer wysłał radiogram na południe do oddziałów 243 dywizji piechoty stojącej na południowej stronie amerykańskiego korytarza: „Uderzamy na Villot. Otwórzcie zaporę. Czy mo-

229

żecie nam pomóc przez wykonanie uderzenia z drugiej strony?" Garstka dział pancernych 243 dywizji przebiła potem pod Villot wolną drogę, dla 77 dywizji. Ale później, nad rzeczką Ollande, wydawało się, że wszystko skończy się jednak fiaskiem. Przejścia rzeczne blokowała silna amerykańska pozycja ryglowa.

Jednakże Bacherer, będąc tak blisko celu, nie chciał przegrać tej partii. Trzeba więc było się bić. 1 batalion 1050 pułku piechoty, pod osłoną ogniową lekkiego karabinu maszynowego, szturmował nieprzyjacielski przyczółek mostowy według starych zasad - z nałożonymi bagnietami. Wziął most, rozbił amerykański 2 batalion 47 pułku piechoty i wziął wielu jeńców. Pułki osiągnęły linie niemieckie przyprowadzając wszystkich rannych, 250 jeńców i dwanaście zdobycznych jeepów.

Wczesnym rankiem 19 czerwca o tym wszystkim wie już major artylerzysta Friedrich Wilhelm Kiippers siedząc w swym dobrze zamaskowanym „świńskim mokradle”, na północ od Montebourga.

Lecz on wie, że odcinek frontu pod Montebourgiem wisi w powietrzu. Odcinek frontu to nie tylko kawałek ziemi, lecz są to również znajdujący się na przedzie. w dołkach strzeleckich, grenadierzy grup bojowych Hoffmann. Keil.

Muller: to jest 19 dział jego pięciu baterii i armaty 30 pułku artylerii przeciwlotniczej, moździerz wielolufowc majora Rassnera i plutony dział przeciwpancernych 709 dywizjonu niszczycieli czołgów kapitana Hummericha. Ta cała siła bojowa „wisi w powietrzu”, jak to się mówi potocznie, czyli nie ma osłony flankowej i w ciągu paru godzin może się stać łupem nieprzyjaciela. Kiippers wie, że porucznik Staake ma rację, kiedy stoi przed nim i mówi: - Musimy się stąd wynieść, panie majorze, jesteśmy w mysiej pułapce!

Kiippers wzywa swego kierowcę, starszego szeregowca Johanna Kocha: Mamy jeszcze jakiś sznaps dla porucznika? Zasłużył na to.

Koch przynosi butelkę. Są w niej jeszcze dwa naporstki wódki. Za kieliszek posłuży kubek.

- Dziękuję, panie majorze - uśmiecha się Staake, co sprawia, że polowa płynu spływa mu po nic golonej brodzie. - Czy wariant „Heinrich” jest już rozstrzygnięty, panie majorze? - pyta.

-Nie, nasz rozkaz brzmi: trzymać się!

Wariant „Heinrich” był to kryptonim przyjęty dla ruchu odwrotowego w obszar forteczny Cherbourga.

Po tym jak Amerykanie przełamali się pod Saint Sauveur i uderzyli w kierunku zachodniego wybrzeża półwyspu Cotentin, prawe skrzydło Schliebena zostało odkryte. Dlatego 7 armia planowała siły te wycofać do obrony lądowej Cherbourg. Jeśli tak się nie stanie, to istnieje niebezpieczeństwo, że Amerykanie przy zachodnim wybrzeżu skręcą na północ i odetną oddziały Grupy Schliebena stojące pod Montebourgiem. Aby temu zapobiec i pozostawić wojskom inicjatywę, należało ruchy odwrotowe na hasło „Heinrich” wprowadzać stopniowo, odcinka-

mi. Ale kiedy dowiedziała się o tym kwatery główna fuhrera, to Hitler wpadł w szal i zabronił jakiegokolwiek odwrotu. „Obecne pozycje należy za wszelką cenę utrzymać” - głosił zwykły rozkaz.

Ale fakty były silniejsze. Od strony zachodniej front Schliebena był już rozerwany. Tam nie było już czego trzymać. Rommel telefonicznie protestował u Rundstedta, a ten przedstawił Hitlerowi powagę sytuacji na półwyspie. Na tej podstawie decyzję zmieniono: „Twierdza Cherbourg musi być za wszelką cenę utrzymana.

Grupom południowym zezwala się na prowadzenie walk odwrotowych pod warunkiem opóźnienia postępu wojsk nieprzyjaciela. Zabrania się wykonywania odwrotu za pomocą jednego odskoku”. Dowódcy jednostek zostali odpowiednio pouczeni. Teraz odpowiedzialność spoczywała na ich barkach. W przełożeniu na język frontowy oznaczało to rozkaz: „Trzymać się tak długo, jak się da, dopiero potem, w ostatniej chwili, wycofywać się pod bezpośrednim naporem nieprzyjaciela, po to, aby nie dostać się do niewoli!”

Kiedy jednak była ta ostatnia chwila? Jak można było ją rozpoznać, nie mając wglądu w położenie sąsiada?

Nowe ugrupowanie miało ponosić odpowiedzialność i ustanowić jasne relacje rozkazodawcze. Z 709 dywizji piechoty i 922 pułku grenadierów 243 dywizji utworzono Grupę Bojową „Cherbourg” i wyłączono ją spod władzy 84 korpusu. Tym samym odpowiedzialność za obszar Cherbourga spoczywała teraz na generale von Schliebenie. Ten ujął swoje problemy w słowa: „Jeden radiogram, którego sens tkwi mi jeszcze dokładnie w pamięci, nadszedł od feldmarszałka Rommla i po prawdzie nie był oszczędny w propozycje. Brzmiał on mniej więcej tak: »Grupa Schliebena ma się trzymać jak najdalej na przedzie, wycofywać się dopiero pod silnym naporem nieprzyjaciela, nie pozwolić się obejść przez nieprzyjaciela, zwozić go za pomocą podstępnego prowadzenia działań bojowych i we właściwym czasie osiągnąć linię frontu«. Miałem przy tym dywizję całkowicie rozbitą i o ciągu konnym, niemal unieruchomioną, a nieprzyjaciel był znacznie lepiej zmotoryzowany i zasobniej wyposażony niż nasze związki pancerne na początku kampanii rosyjskiej. Rozporządzał lotnictwem, które nie pozwalało nam na jakikolwiek ruch w ciągu dnia.

Inny rozkaz brzmiał - opowiada dalej Schlieben - by zgodnie z rozkazem OKW za wszelką cenę utrzymać linię Saint Vaast de la Hague - Le Theil - front lądowy pod Cherbourgicm-Vauvillc. Oznaczało to zaporę ryglową w poprzek całej północnej części półwyspu.

Jeszcze inny radiogram nakazywał, aby za wszelką cenę utrzymać półwysep Jobourg w północno-zachodnim kącie.

Tego samego żądano względem wzgórz pod Brix. Miałem wrażenie, że tam na górze nie korzystam) już z cyrkla i nie patrzono na mapę. Sieć dróg na półwyspie Cotentin była tak gęsta i do tego tak świetnie zbudowana, że

jakikolwiek oddział zmotoryzowany mógł objechać każdy lokalny punkt oporu. Formalnie dano mi wolną rękę, lecz w rzeczywistości rozkaz gonił za rozkazem".

I £0

i A O

W ten to sposób 19 czerwca, w następstwie owych „wiązących rozkazów”, grenadierzy i artylerzyści w rejonie Montebourga ciągle jeszcze leżeli w dołkach strzeleckich, podczas gdy w zachodniej części półwyspu czołgi amerykańskie operowały już pod Cherbourgicm.

Wracamy z powrotem do majora Kiippersa przyczajonego w świńskim mokradle na północ od Montebourga. Kiippers chwytą za telefon i rozmawia ze stanowiskami dowodzenia grup bojowych. - Po pierwsze zamknąć wyłom - to jego opinia - inaczej wszystko zostanie stracone.

A więc: - Ześrodkowany ogień na pojedyncze miejsca włamań - rozkazuje Kiippers. Baterie zaczynają grzmieć. Wyją salwy wielolufowych moździerzy Rassnera. I jakby stał się cud. Amerykanie zatrzymują się przed ogniem artylerii i salwami moździerzy wielolufowych. Przypuszczają, że mają do czynienia z większymi siłami niż te, które są, i nie ryzykują uderzenia z marszu. Ale jak długo może to potrwać?

Koło południa przypadkowo zostaje nawiązana łączność przewodowa z dywizją. Dzięki załataniu przestrelonego przewodu udało się dodzwonić na stanowisko dowodzenia generała von Schliebena. Major Forster, oficer operacyjny 709 dywizji dziwi się: „To wy tam jeszcze tkwicie? Myśmy myśleli, żeście się już wycofali poprzedniej nocy”. - W tym momencie połączenie znów zostaje przerwane. Pół godziny później na stanowisko dowodzenia Kiippersa spada hiobowa wieść. Rysuje się widmo katastrofy: dywizjon niszczycieli czołgów kapitana Hiimmericha ma tyle ubytków w działach przeciwpancernych, że prawie skrzy-dłojest nieubezpieczone.

Porucznik Kónig, oficer łącznikowy 30 pułku artylerii przeciwlotniczej, melduje, że do stanowisk dział przeciwlotniczych dociera zbliżający się hałas bitewny i że znajdują się pod ostrzałem moździerzy i czołgów.

Porucznik Storz, dowódca 1 baterii 1709 pułku artylerii, melduje z punktu obserwacyjnego na wieży kościelnej w Huberville: - Po obu stronach Montebourga amerykańskie oddziały pancerne formują się do ataku.

Amerykańska 4 dywizja uderza w otwartą flankę, a 79 dywizja msza na Mon-tebourg, omija centrum miasta i osiąga drogi na Valognes.

Major Kiippers rozmawia przez telefon z dowódcami grup bojowych, którzy jeszcze są osiągalni na swych stanowiskach dowodzenia. Podpułkownik Hoffmann, major Rassner i pomocnik Schmidt właśnie przybyli do niego na „świńskie mokradło”, wypędzeni ogniem ze swych stanowisk położonych na północ od drogi Montebourg-Valognes.

Co robić - brzmi pytanie. Pozwolić się z flanki obejść i zniszczyć? Kapitulować? Lub też wycofywać się, a następnie wystawić na bezlitosne ataki samolotów myśliwsko-bombowych?

Niebo jest miłościwe. Nadciąga burzowy wiatr i pędzi przed sobą nisko wiszące chmury. Zaczyna mżyć. To jest pogoda, jakiej potrzebują oddziały. Jest więc szansa na wyjście z pułapki.

Jeszcze raz grzmia działa. Wyją moździerze wielolufowc i wystrzeliwują amunicję - cały zapas, którego nie można zabrać ze sobą - na miejsca włamań frontu i zwodzą zamiarem podjęcia kontrataku. Użycie tego podstępu pozwoli grupom bojowym oderwać się od nieprzyjaciela. Trudna operacja się udaje. Nawet grenadierzy z centrum miasta wydostają się niezauważeni.

Jest tak, jak rozkazano, nie zrobiono „żadnego ruchu odwrotowego do twierdzy za pomocajednego odskoku", lecz zaciągnięto front pośredni w rejonie Lc Mont. O godzinie 18.30 grupy bojowe znów są na pozycjach, artyleria jest gotowa do prowadzenia ognia. Tylko ten, kto sam przeżył to, czego ci ludzie dokonali będąc bez przerwy w walce, może ocenić, co się za tym lapidarnym stwierdzeniem kryje, jeśli idzie o dyscyplinę, posłuszeństwo i waleczność: „Znów na stanowisku!"

Następnego dnia grupy bojowe spod Montebourga zostają włączone we front lądowy Cherbourga. Rozpoczyna się ostatni akt walki o miasto i port Cherbourg, jeden z najważniejszych celów Eisenhowera.

Rozkaz Fihrera: Do ostatniego naboju

Poszczególne bataliony, które weszły we front lądowy Cherbourga, składały sięjeszcze tylko z 90, maksimum 180 ludzi. Gdyby były jeszcze przynajmniej ciężkie działa przeciwlotnicze, tak niezawodne w zwalczaniu czołgów. Ale działa te, a wśród nich wiele 88 mm, pozostały na swoich stanowiskach. Sztafety ciągników do dział przeciwlotniczych były w całości rozmieszczone na obszarze desantowania amerykańskich strzelców spadochronowych w rejonie Sainte Mere-Eglise. Odpowiedzialny za park ciągników oficer artylerii przeciwlotniczej pozostawił je, jak które stało lub leżało i się „wycofał". Następstwa były porażające. Miasta portowego musiały bronić cztery słabe grupy bojowe, nic posiadające stosownych środków do walki z czołgami. Żołnierze przebywali w naprędce zbudowanych połowych gniazdach oporu. Długość bronionego łuku wokół miasta wynosiła 50 kilometrów. Atakowało go sześć dywizji.

Na półwyspie Jobourg z fortyfikacjami „Westeck" rozmieszczono-jako grupę bojową- 922 pułk grenadierów.

Obok, aż do gniazda oporu 463, znajdowała się Grupa Bojowa Kcil. W jej skład wchodził 919 pułk grenadierów i 17 batalion karabinów maszynowych. W środku bronił się 739 pułk, dowodzony przez podpułkownika Kóhna.

Odcinek wschodni, poczynając od punktu oporu 436 do Cap Levy, utrzymywała Grupa Bojowa Rohrbach, czyli 729 pułk grenadierów. Zespół dowodzenia obroną miasta i frontu lądowego przebywał w podziemnym stanowisku

dowodzenia w Octeville, przedmieściu Cherbourga. Tu rezydował też komendant morski „Normandie”, admirał Hennecke.

Generał von Schlieben zdawał sobie sprawę, że nie należało pokładać nadziei w jakiejś długotrwałej obronie przeciwko nowoczesnej zmotoryzowanej armii.

— ■ m m * 9 Amerykanie • ■ » • ■ ■ » ^ Niemcy

Przebieg walk na froncie lądowym i w twierdzy Cherbourg od 21 do 30 czerwca.

Chodziło o zysk na czasie. Zysk na czasie potrzebny na całkowite zniszczenie portu i uczynienie go niezdatnym do amerykańskich przeładunków. Zysk na czasie, aby umożliwić budowę niemieckiego frontu obrony na południu i jak najdłużej wiązać siły amerykańskie operujące pod Cherbourgiem.

Schlieben otwarcie rozmawiał ze swymi dowódcami grup bojowych. „Wbić się mocno w ziemię i trzymać się”, było zadaniem gniazd oporu. Żołnierze robili, co mogli.

W korytarzach podziemnej centrali nie zdołałoby upaść na ziemię nawet jabłko. Sztolnie zaludnia niemal tysiąc ludzi. Siedzą i leżą, jak się da: na skrzyniach, workach, skrzynkach z amunicją. Śpią, drzemią lub złoszczą się, rozdrażnieni: artylerzyści marynarki, załogi łodzi ochrony portu, piechurzy, robotnicy budowlani z Organizacji Todta, ludzie z Arbeitsdienst, żołnierze Luftwafe. Śmierdzi prochem, zgnilizną, gazami wylotowymi z agregatów, potem, gdyż wentylacja już nie funkcjonuje.

W korytarzach sztolni słyszy się głuchoe grzmienie artylerii. Tu i tam drga światło elektryczne, potem zwykle następuje wybuch.

Pewien starszy szeregowiec, który przed godziną schronił się w bunkrze, uchodząc ze swego rozwalonego gniazda oporu, wie z całą pewnością, że Amerykanie są u góry na szczycie, nad sztolniami; wiercą olbrzymimi wiertarkami otwory i napełniają je materiałem wybuchowym. - Jeśli szybko nie będzie kapitulacji, to jeszcze zrobią z nas powidła kończy z wisielczym humorem.

Podporucznik Blume, oficer łącznikowy admirała Hennecke, mozolnie toruje sobie drogę do pomieszczenia operacyjnego. „Sytuacja”, jak się okazuje, jest w sztolniach lepsza niż na mapach. Szeregowi ledwie usuwają nogi, aby przepuścić porucznika. Tak są zmęczeni, wyczerpani walką albo wręcz zdemoralizowani i szukają zaczepki. Blume nic zwraca już na to uwagi. Idzie ze sztolni, gdzie jest stanowisko dowodzenia generała. Szef oddziału operacyjnego powiedział mu wystarczająco dużo. Tu nic ma już żadnej nadziei.

W pomieszczeniu operacyjnym czeka porucznik Schicrnhorn, adiutant Henneckiego. - Jak to wygląda? - pyta. Blume macha ręką: - Fort du Ronie padł dwie godziny temu, tym samym ze wzgórz na południowym wylocie z miasta Amerykanie panują nad każdym zaułkiem fortecy. - Schicrnhorn, przestraszony, pyta: - Jak to było możliwe? Jakim cudem ten silny fort mógł paść? Przecież to skalne gniazdo, ze swymi 150 mm działami, uchodziło za nie do zdobycia.

Blume wzrusza ramionami:

- Amerykanie ustawili swoje baterie obok lazaretu. Komendant fortu nie mógł wiele zdziałać swoimi bateriami wbudowanymi w skałę i na stale skierowanymi na port. Bronią maszynową nie ważył się zwalczać Amerykanów, z troski, aby nie zniszczyć lazaretu. Jego działa zostały unieszkodliwione ogniem na wprost do otworów strzelniczych.

Schiemhorn podchodzi do mapy: - Jak długo możemy się tu jeszcze utrzymać? - Blume odpowiada bez zwłoki: - Nasze wzgórze z bunkrem jest już okrążone. Amerykanie wysadzają południowe wyjście i wiercą otwory wybuchowe od góry, na wierzchu bunkra. Wrzucają ładunki skupione w otwory wentylacyjne. niewiele nam to co prawda robi, ale kiedy odpadnie wietrzenie, to powietrze zatrujągazy nitrozowe. Jeśli nas nie wypędzą z tej jamy wybuchami, to zrobią to gazami.

Podporucznik milczy. Adiutant milczy. Nieustające gderanie artylerii fatalnie działa na nerwy w tym nowoczesnym lochu więziennym. Blume sięga pod swoje biurko. - Ostatnia butelka- mówi i nalewa dwa pełne kieliszki koniaku.

W sąsiedniej sztolni, oddzielony tylko paroma metrami skały i ziemi od pomieszczenia operacyjnego Bluma stoi w swoim wyłożonym boazerią pomieszczeniu generał porucznik von Schlieben, dowódca frontu i twierdzy Cherbourg. Ma przed sobą mapę sytuacyjną, pokrytą siecią niebieskich linii i upstrzoną czerwonymi strzałkami. Jest niedziela 25 czerwca, godzina 15.52. Słychać pukanie. Wchodzi oficer operacyjny, major Forster. Ma jakieś pismo w ręku. - Odpowiedź Grupy Wojsk B na nasz radiogram, panie generale.

Schlieben odwraca się. Nic nie mówi, ale jego oczy starają się odczytać z twarzy Forstera, co zdecydowało dowództwo Grupy Wojsk w związku z jego radiogramem. który dziś rano wysłał w eter i którego treść była następująca:

„Nieprzyjacielska przewaga materiałowa i jego panowanie w powietrzu działają obezwładniająco. Większość naszych baterii zużyła już amunicję albo jest

rozbita. Wojska mocno wyczerpane i ściśnięte na bardzo wąskim obszarze, z morzem za plecami. Port i inne ważne urządzenia są skutecznie zniszczone. Utrata miasta jest w krótkim czasie nie do uniknięcia, gdyż nieprzyjaciel wdarł się już na peryferie. Mamy 2000 rannych bez możliwości ich ewakuacji. Czy w związku z powstałą sytuacją i brakiem skutecznej broni do walki z nieprzyjacielem, konieczne jest jeszcze nieuniknione rozbicie resztek grup własnych? Wskazówki pilnie potrzebne".

Schlieben ma każde słowo w głowie. Przede wszystkim ostatnie pytanie. Wszystko dobrze sformułował wspólnie z Forsterem. Muszą mu dać wolną rękę! - I? - pyta. - Jaka jest odpowiedź?

Major Forster czyta: „Zgodnie z rozkazem Fuhrera ma pan kierować walką aż do ostatniego naboju. Rommel, feldmarszałek".

- To wszystko?

- To jest wszystko, panie generale.

Schlieben spogląda na mapę sytuacyjną wiszącą na ścianie. Już setki razy przyglądał się tej pajęczynie strzałek i linii. Setki razy rejestrował fakt, że fasada twierdzy Cherbourg zwrócona jest ku morzu. Tam też skierowane są armaty marynarki, artylerii wojsk lądowych i artylerii fortecznej. To stamtąd spodziewano się nieprzyjaciela. O tym, że może on przyjść od tyłu, od strony lądu, pomimo wielokrotnych sugestii, nikt nie chciał nic wiedzieć w niemieckich sztabach. Teraz wystawiono rachunek. To, co przydarzyło się Anglikom w 1942 r. z ich najpotężniejszą na świecie twierdzą morską, Singaporem, grozi teraz Niemcom w Cher-bourgu: włamanie przez tylne drzwi.

Major Forster i szef rozpoznania nanoszą czerwonymi strzałkami najnowsze meldunki o nieprzyjacielskich uderzeniach przez niebieskie linie i kółka niemieckich stanowisk obronnych. Każdy zarys takiej strzałki odzwierciedlał tragedię. Punkty oporu i gniazda oporu częściowo nie są odrutowane. Sąsiednie gniazda oporu bardzo często nie mają w tym nieprzejrystym terenie łączności wzrokowej. Wewnętrzny pierścień fortów wokół centrum miasta jest przestarzały. Tylko obydwie nowo założone bastiony zewnętrzne „Westeck" i „Osteck" są nowoczesnymi budowlami OT*. Ale i one nie były budowane z wystarczająco umotywowanym zamiarem obrony przed nieprzyjacielem atakującym z lądu. To jest front lądowy - front, który być może mógłby się utrzymać przy pomocy oddziałów elitarnych, ale nie siłami dwóch skrajnie wyczerpanych, wykrwawionych dywizji piechoty i nienawykłado walki obsługą lotnisk, taborów artylerii przeciwlotniczej, saperów fortecznych, leciwych marynarzy, buchalterów, ordynansów 583 komendantury polowej i podstarzałymi kasjerami garnizonu fortecznego, personelu marynarki, Arbeitsdiensfu. Organizacji Todta i batalionu gruzińskiego!

1 maja 1944 r., a więc okrągłe pięć tygodni przed inwazją, generał Marcks metodą ćwiczebnego ataku zaskakującego, wykonanego za sprawą batalionu szturmowego Messerschmitt wykazał, że twierdza była do wzięcia od strony lądu. 1 było to jak złośliwe igraszki boga wojny, gdyż pierwsze skuteczne włamanie nastąpiło dokładnie w tym samym miejscu, w którym włamał się batalion szturmowy Marcksa: na styku pomiędzy gniazdem oporu 422 i 426. Wnioskiem nic wyciągniętym z manewrów była teraz krwawa rzeczywistość. Tak musiało być. Bo przecież, w jaki sposób punkty oporu, obsadzone przez oficerów weterynarii, z załogami składającymi się z młodych, ledwo przeszkolonych strzelców spadochronowych, miały odpierać ataki czołgów?

Godzina artylerii

To, czego nie wykończył zmasowany ogień artylerii nieprzyjacielskiej ani bomby, tego dokonały ataki piechoty wsparte czołgami: żołnierze wycofywali się i szukali schronienia w betonowych bunkrach miasta. Niektóre gniazda oporu bronione były wprost fanatycznie. Osiemnastoletni chłopcy z Arbeitsdienstu z dużą zawziętością i odwagą bronili punktu oporu pod Gonnevillle. Teren był niekorzystny. Artyleria miała słabe pole obserwacji i tylko z trudnością mogła zwalczać ataki czołgów. Pomimo to ci chłopcy bili się w swych okopach jak zahartowani w walkach grenadierzy i odrzucali piechotę amerykańską nawet jeszcze za pomocą łopatek saperskich. Ale co mogli zdziałać przeciwko czołgom? Wystrzelać swoje panczer-fausty*, a potem już tylko podnieść ręce do góry.

Doświadczone grupy bojowe także były bezsilne, w obliczu wyposażonych we wszelkie innowacje techniczne Amerykanów. Nic mogli wytrzymać żołnierze Keila z hesko-turyńskiego 919 pułku grenadierów i 17 batalionu karabinów maszynowych, nic wytrzymali też piechurzy z 922 pułku z Grupy Bojowej Muller; musieli się także wycofać grenadierzy 739 pułku Kóhna, podobnie jak z 729 pułku Rohrbacha. Amerykańskie pułki uderzeniowe dzięki swojej przewadze materiałowej z łatwością przepiłowały front.

Podpułkownik Keil relacjonuje: Ataki Amerykanów na wszystkie gniazda oporu, niezależnie od ich wielkości, przebiegały według tej samej sztywnej recepty. Najpierw atak bombowy 50 samolotami. Potem napad moździerzowy. Następnie atak grup szturmowych. Amerykanie mieli ze sobą najlepsze środki łączności radiowej. Natychmiast meldowali o sukcesach lub niepowodzeniach. Zanim niemiecki dowódca kompanii dowiedział się przez łącznika, że w jednym z jego gniazd oporu siedział już nieprzyjaciel, to dowódca amerykańskiej grupy szturmowej sprowadził już posiłki przez radio. Okopywali się w zajętej gnieździe i cze-

* Organizacja Todta wykonywała prace budowlano-techniczne dla armii niemieckiej.

* Pancerfaust - broń przeciwpancerna obsługiwana przez jednego żołnierza.

kali na niemiecki kontratak. Odpierali go i przechodzili do ataku. Mijały godziny, zanim pułk uzyskał jasny obraz wydarzeń i mógł wprowadzić środki zaradcze na większą skalę.

Równocześnie to samo działo się w innym gnieździe oporu. W ten sposób przy olbrzymim nakładzie materiałowym kruszony był i atomizowany front niemiecki.

Tak to było.

Generał von Schlieben myślał o mianowaniu go przez Hitlera komendantem twierdzy w dniu 23 czerwca. Führer przesłał mu telegram. Oto jego treść: „Jeśli miałyby dojść do najgorszego, to Cherbourg może się dostać w ręce nieprzyjacielskie tylko jako kupa gruzów”. Jako kupa gruzów!

Schlieben studiował mapę. Można z niej było dokładnie odczytać rozwój wydarzeń bojowych.

20 czerwca o godzinie 14.00 Grupa Artylerii Południe meldowała: „Nieprzyjacielska czołówka na drodze Valognes-Cherbourg osiągnęła południowy skraj naszej linii obrony”.

Późnym popołudniem, około godziny 17.45 Amerykanie osiągnęli także niemiecką linię obrony pod wioską Le Theil. Szukali styczności bojowej. Wycofali się jednak, kiedy salwy ogniowe 5 i 8 baterii 1709 pułku artylerii dosięgły czołówki pancernej. To była zaledwie uwertura.

Rankiem 21 czerwca kurtyna podniosła się do 1. aktu: nalot lotniczy o niesłychanej gwałtowności, 1000 samolotów po kilka razy schodziło nad niemiecką linię obrony. Potem następowały ataki artyleryjskie oraz samolotów szturmowych. W końcu zbliżył się turkot czołgów. Z Saint Pierre-Eglise jakiś oddział prowadził rozpoznanie w kierunku lotniska pod Gonnevillle, znajdującego się w rejonie gniazd oporu 410 i 420.

Kapitan Zdralek, dowódca 9 baterii, siedział jako obserwator w gnieździe oporu 416 i kierował ogniem swej armaty na czołgi. Celny! Zawrócili. Ponownie wrócili. Chcieli wymusić przełamanie. Ale nie udało im się objechać zapory ogniowej. Amerykanie wycofali się.

Jednak na innym miejscu się udało.

„Alarm”, wołały posterunki gniazd oporu 425 i 426. Ale czołgi już zdążyły podejść w tym nieprzejrzytym terenie. Jedna kompania bojowo niedoświadczonych strzelców spadochronowych z batalionu szkolnego, mająca za sobą zaledwie sześciotygodniowe przeszkolenie*, została zmiażdżona na swych pozycjach. Tym samym nieprzyjaciel stanął na głównej linii obrony. Co prawda podporucznik Kadau z 729 pułku grenadierów trzymał silami swej kompanii gniazda oporu 421-424, ale niewiele to pomogło. Czołgi amerykańskie wjechały przez lukę przy gnieździe oporu 425.

Taka była przeciętna norma we wszystkich armiach w Europie

I IM

Grenadierzy pancerni ubezpieczają wylot drogi z Caen. Według planu aliantów miasto to miało być zajęte 7 czerwca. Tymczasem stoczono tam zaciętą, sześciotygodniową bitwę.

Maskowanie było nakazem w bitwie obronnej na przyczółkach lądowania, gdyż alianckie samoloty myśliwsko-bombowe panowały nad polem walki. Działo przeciwpancerne, pchane na stanowisko ogniowe, musiało wyglądać jak krzak (zdjęcie górne). Major Vierzig (na lewo), dowódca 2 batalionu 22 pułku czołgów. „Umiejętne maskowanie czołgów często rozstrzygało o życiu lub śmierci”. - Wielką pomocą w walce z nieprzyjacielską armadą pancerną były działa pancerne (zdjęcie dolne).

Dużym zaskoczeniem dla niemieckiej obrony były budowane przez aliantów sztuczne porty. W ten sposób wyładowanie ciężkiej broni i zaopatrzenia nie było przywiązane do portów naturalnych. Na tym bowiem założeniu niemieckie naczelne dowództwo opierało swoje przedsięwzięcia obronne. Jednakże poważny kryzys zaopatrzeniowy zagroził armii Eisenhowera 19 czerwca, kiedy potężna nawałnica morska zniszczyła jego sztuczne porty.

Teren pokryty licznymi żywopłotami na pewno nie był idealnym miejscem do walki czołgów, ale u charakterze artylerii pancernej i jako rdzeń oddziałów grenadierów, czołgi opanowały działania bojowe. Potężny, przysadzisty amerykański „Sherman” wzbudzał postrach u niemieckich piechurów, jednakże nie dorównywał niemieckim „Panterom” i „Tygrysom”.

I

Walka o twierdzę morską. Cherbourg zakończyła pierwszy akt inwazji. Po tym jak 25 czerwca padł Fort du Roule (zdjęcie u góry). gniazdo skalne panujące nad południowym wazdem do miasta. rozpoczęły się ciężkie walki uliczne (zdjęcie dolne). 26 czerwca skapitulował generał von Schlieben. Walki toczyły się jeszcze w zachodniej i wschodniej części miasta. Obroną tortu zewnętrznego „Osteck” aż do 29 czerwca kierował major Kuppers (zdjęcie z lewej strony).

Niemieccy grenadierzy, jadąc na zadanie, pokonywali trasę na starannie maskowanych, z wolna posuwających się transporterach opancerzonych, w ciągłym napięciu i oczekiwaniu na atak samolotów myśliwsko-bombowych.

Alianci przeciwnie, jeździli po drogach Normandii zadnia, beztrąsko i w ściśle zwartych kolumnach.

O godzinie 16.15 stali przed stanowiskiem ogniowym podporucznika Ohlmc-iera z 5 baterii 1261 pułku artylerii.

Bateria sztabowa 1709 pułku artylerii, dowodzona przez porucznika Bauera, została zmiażdżona. Poległ Bauer i większość jego kanonierów. Stanowisko ogniowe 11 baterii porucznika Schwalbc broniło się w walce wręcz.

Czołgi niszczyły działą za działem. Na stanowiskach taborowych wystrzelane zostały konie. Porucznik Schwalbe, sam ranny, dotarł do fortu „Osteck” i złożył meldunek.

W zagrożony rejon poszły patrole rozpoznawcze z 8, 10 i 11 baterii. Meldowały: „Czołwki nieprzyjacielskie wspierane czołgami osiągnęły szosę Chcrbo-urg-Theville, na zachód od lotniska. Podporucznik Kadau nadal trzyma się na głównej linii obrony. Poza otworem wyrwanym koło gniazda oporu 425, główna linia obrony jest nienaruszona. Kapitan Walter z 8 baterii 1709 pułku artylerii jest okrążony przez nieprzyjaciela. Broni się w systemie obrony okrężnej”.

To była godzina artylerii. Przeciwwudcrzenia piechurów wspierano ogniem ześrodkowanym. Strzelano, ile tylko było można.

Jakimś cudem ocalały wszystkie połączenia telefoniczne na przewodach polowych, które przechodziły przez łącznicę telefoniczną zmiażdżonej baterii sztabowej i prowadziły do okrążonej 8 baterii. Łącznica telefoniczna, pośrednicząca w kierowaniu ogniem, pracowała dalej bez obsługi, w środku parowu zajętego przez nieprzyjaciela. „Wytrzymać”, słyszała ciągle 8 bateria. I trzymała się. Porucznik Frey z jednym batalionem 729 pułku grenadierów przebił się kontratakami na jej stanowisko ogniowe. Starszy szeregowiec Riihl załatwił panzerfaustem dwa czołgi nieprzyjacielskie. Amerykanie zaczęli strzelać granatami fosforowymi. Ale 8 bateria, choć otoczona z trzech stron, trzymała się. Frey na próżno próbował odgrodzić gniazda oporu 423-425. Nie udało się to także kapitanowi Hallmannowi z kompanią strzelców spadochronowych przydzieloną do wsparcia. Zagrożenie pozostało.

Jeszcze przez trzy dni trzymała się 8 bateria, potem pozycję trzeba było oddać. Działą zostały wysadzone. Obsługa liczyła jeszcze 22 ludzi.

To wszystko, jak w zwierciadle, odbija się na mapie sytuacyjnej na stanowisku dowodzenia generała Schliebena, w formie prostych i wygiętych strzałek. w wypunktowanych zakreślonych liniach, w taktycznych znakach dla baterii, pułków, kompanii, stanowisk dowodzenia i jednostek wszystkich rodzajów. Tu wielka bitwa zamieniła się w

abstrakcyjne malowidło ściennie. Ale dla tego, kto umie ją odczytać, każda kreska jest pełna życia bądź wieści śmierć.

22 czerwca Amerykanie wywalczyli głębokie włamania w zachodniej i południowej części frontu.

23 czerwca cztery kliny uderzeniowe atakujących pułków generała majora Collinsa wbiły się w niemiecki pierścień obrony. Przedni skraj obrony w wielu miejscach załamał się. Czołgi wdarły się na stanowiska ogniowe artylerii w rejonach wszystkich czterech niemieckich grup bojowych, które siłą rzeczy musiały przejść do obrony okrężnej.

246

W dniu 24 czerwca nieprzyjaciel stał na przedmieściach Tourlaville i Octevil-le, jak również przy Fort du Roule. Tym samym podziemne stanowisko dowodzenia Schliebena, Hennecke'go i dowódcy artylerii Reitera znalazło się w strefie bezpośrednich działań bojowych.

Amerykański kapitan przechodzi przez linię frontu

25 czerwca około godziny 10.00 przed południem, nieprzyjacielska eskadra okrętów wojennych niczym na manewrach podpłynęła pod twierdzę. Pancerniki, krążowniki, niszczyciele. Czyżby Cherbourg miał być zrównany z ziemią od strony morza?

W pomieszczeniu radiowym fortu Homat przy szczelinie obserwacyjnej betonowego bunkra przypominającego wieżę dowódcy krążownika, siedział komendant portu komandor Witt. Lornetka przy oczach: - Okręty z masztem kratowym - mówi. A więc pancerniki starego amerykańskiego typu. Teraz flota otwiera ogień. Ze ściany dymu i płomieni nadlatują salwy. Witt od czasu bitwy pod Ska-gerrak nie widział już później żadnej strzelającej eskadry. Zafascynowany patrzył na to niezwykle widowisko, nie będąc w stanie zrobić cokolwiek. Flota trzymała się poza zasięgiem jego 150 mm baterii w forcie Homat.

Granaty przeorywały teren. Trafienie w Fort des Flamands. Eksplozja składów amunicji. Pożar.

Flota przepływała przed twierdzą tu i tam. Na wschód od portu przysunęła się nieco bliżej. Teraz „Hamburg” będzie ich mógł dosięgnąć, przemknęło Wittowi przez głowę. I już widoczne były wystrzały: ciężkie baterie nadbrzeżne „York”, „Brom-my” i „Hamburg” strzelały do **ameiykańskich** sił morskich. Bateria „York” uzyskała trafienie na „Texasie”, na lekkim krążowniku i na jednym niszczycielu. W baterii „Hamburg” porucznik Gelbhaar kazał przemówić swoim czterem 240 mm działom i uzyskał trafienie na dwóch krążownikach klasy Cumberland. Co prawda admiralicja brytyjska zakwestionowała przyjętą przez stronę niemiecką wersję zatopienia jednego krążownika, ale do poświadczenia ciężkich trafień było wystarczająco dużo świadków, wśród nich także oficerowie artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych, których nie można podejrzewać o chęć wspomżenia marynarki w odniesieniu przez nią nieusprawiedliwionego triumfu. Według informacji pochodzącej z admiralicji amerykańskiej podczas pojedynku niemieckie baterie trafiły w HMS „Glasgow”, USS „Texas”, USS „Brien”, USS „Bardon” i USS „Laffey”.

Około godziny 12.00 flota aliancka wycofała się z zasięgu niemieckich baterii nadbrzeżnych. Nadleciały duże formacje szybkich bombowców i zaatakowały stanowiska baterii.

Za pomocą planowego ognia prowadzonego według kwadratu mapy fortecznej artylerii marynarki i artylerii przeciwlotniczej udało się zestrzelić 80 bombowców.

Godzinę później szef rozpoznania Schliebena w meldunku południowym dokonał decydującego wpisu na mapie sytuacyjnej. Fort du Roule padł.

Na pierwszy rzut oka widać było, że drogi włamania prowadzące od południa są niezabezpieczone. Są otwarte dla nieprzyjaciela! Miasto i port leżały u stóp Amerykanów. Za pomocą ciężkiej artylerii ostrzeliwali okrążony pagórek przedmieścia Octeville, pod którym w betonowej sztolni znajdowało się niemieckie centrum dowodzenia. Amerykańscy saperzy próbowali wysadzić w powietrze te stanowiska dowódcze i sparaliżować mózg niemieckiej obrony. To była ta chwila, kiedy Schlie-ben nadał w eter swój jakże wymowny radiogram, w którym zapytywał niemieckie dowództwo, czy zniszczenie resztek oddziałów w Cherbourgu jest konieczne. Już o godzinie 15.48 nadeszła odpowiedź Rommla, a o godzinie 15.52 przekazano ją Schliebenowi: „Zgodnie z rozkazem Fiilirera ma pan prowadzić walkę aż do ostatniego naboju”.

Następne godziny były pełne dramatyzmu.

Wyżej, na pagórku rozrywają się ładunki wybuchowe, które mają rozwalić sztolnię południową.

- Panie admirale, powinniśmy wystrzelać tych Amerykanów tam na górze. -Hennecke spogląda na porucznika z powątpiewaniem, a ten chłodno oświadcza: **-Jato** już skutecznie wypróbowałem w Marcouf. To był jedyny ratunek. Kazałem sąsiedniej baterii Azeville położyć ogień na mój bunkier, na którym siedziały już nieprzyjacielskie pododdziały szturmowe, aby nas rozgnieść.

To porucznik Ohmsen, który wraz z Blumem, oficerem łącznikowym prowadzącym mapę, stoi przed Henneckem w pokoju dowodzenia i daje tę zaskakującą radę. Hennecke namyśla się.

- Czy mamy jeszcze połączenie z bateriami na Cap de la Hague, Blume?

- Tak jest, panie admirale!

-Przekażcie, że mają obłóżyć nasz pagórek pociskami swoich 250 mm armat długolufowych lub 203 mm dział zdjętych z krążownika. I niech pan zawiadomi generała von Schliebena.

Ale tym razem plan Ohmsena nie zadziałał. Baterie na Cap de la Hague pokryte są ogniem ciężkiej artylerii okrętowej i bombami lotniczymi. Zmiana kierunku strzelania jest już i tak zbyt wielka. Dowódca baterii boi się, że może ostrzeliwać własny skraj przedni. W ten sposób Amerykanie, nie niepokojeni, kontynuują swoje prace wiertnicze na pagórku Octeville.

W lazaretach tego ciasnego miasta leży dwa tysiące rannych. Żaden Czerwony Krzyż nie zatrzyma granatów.

Pewien lekko ranny amerykański kapitan prosi lekarza podpułkownika o możliwość zameldowania się u generała

Schliebe-na: ofiaruje się przejść przez linie bojowe, przedstawić amerykańskiemu dowódcy sytuację lazaretów i przynieść potrzebne medykamenty.

249

Schlieben wyraża zgodę. Być może kapitan chce się tylko wyrwać z tego piekła. Być może jednak coś pomoże. I pomaga. Około godziny 17.00 kapitan wraca z ładunkiem środków uśmierzających ból. Przynosi też list amerykańskiego dowódcy korpusu, w którym żąda on od Schliebena kapitulacji: „Pan i pańskie oddziały stawiały zacięty i waleczny opór, ale jesteście w sytuacji beznadziejnej. Proponuję kapitulację - niech pan odpowie przez radio na fali 1520 kiloherców i wywiesi białą flagę lub wystrzeli biały sygnał świetlny ze szpitala marynarki albo ze szpitala im. Pasteura. Potem proszę wysłać oficera sztabowego z białą flagą do zagrody chłopskiej na drodze do Fort du Roule celem przyjęcia warunków przekazania twierdzy”.

Schlieben kazał powiedzieć kapitanowi, że nie udzieli mu odpowiedzi na list. Jego motywami kieruje konieczność zysku na czasie. Czas potrzebny jest bowiem do wysadzenia urządzeń w porcie, co ma przez długi czas uczynić Cherbourg bezużytecznym do wyładunku statków transportowych.

Punktualnie o godzinie 19.00 rozchodzi się po fortecy gwałtowne drżenie: komandor Witt, komendant portu, zgodnie z rozkazem, wysadził w powietrze morski dworzec kolejowy. 35 ton dynamitu zmiotło urządzenia nabrzeżne. Przewróciło także wieżę, symbol Cherbourga, do basenu [portowego]. Schlieben długo się ociągał z decyzją, czy wieża ma być wysadzona w powietrze, czy też nie. W końcu przeważył czynnik militarny: gruzy powinny dodatkowo utrudnić późniejsze wykorzystanie basenu portowego Cherbourga. Znikła z panoramy wybrzeża słynna sylwetka Cherbourga.

Godzina 19.10: oddziały szturmowe amerykańskich saperów, miotaczy ognia i niszczycieli bunkrów podeszły na odległość stu metrów od północnych wyjść sztolni mieszczącej stanowisko dowodzenia. Generał każe zniszczyć tajne materiały. Jego oficer łącznikowy, porucznik Kruspe, nadaje o godzinie 19.32 ostatni radiogram: „Rozgorzała ostatnia walka. Generał walczy przy oddziałach”.

7 armia odpowiada: „Jesteśmy z wami”. Kiedy Schlieben czyta ten radiogram, uśmiecha się pełen rezygnacji.

Octeville kapituluje

Sztolnie są zatłoczone żołnierzami, którzy ratowali się w bunkrze. Ludzie są półżywi. Czekają na koniec. Tylko kaprale i sierżanci przeciskają się jeszcze przez sztolnie i ciągną za sobą amunicję do wyjść, gdzie dowódcy i ich oficerowie strzelają z karabinów, pistoletów maszynowych i karabinów maszynowych. Zgodnie z rozkazem „Do ostatniego naboju!”

Kiedy podporucznik Blume otwiera żelazne drzwi do lazaretu, uderza go smród zapierający oddech. Ursula Brautigam, jego dzielna pomocnica sztabowa, pada mu w ramiona. Teraz pomaga w lazarecie. W nocy prowadzi jeszcze dziennik bojowy.

- Urszula, jak leci? - pyta Blume.

Dziewczyna macha ręką. - Trzystu ludzi stłoczonych razem leży teraz w sztolni, Ale najgorsze jest to, że od wczoraj umierają jak muchy.

- Dlaczego? - chce wiedzieć Blume. Ursula Brautigam wrusza ramionami. _ Niech pan zapyta majora-lekarza. Podchodzi jakiś lekarz-asystent z pojemnikiem do transfuzji krwi. Blume pyta go: -Nie wie pan, gdzie jest lekarz naczelny?

- Od pięciu godzin operuje - odpowiada i chce iść dalej. Ale Blume trzyma go mocno. - Dlaczego ci ludzie umierają?

-Ponieważ nie ma już wentylacji. Ranni ulegają zatruciu, umierają w powietrzu ubogim w tlen i od gazów powstałych przy wybuchach, od oparów prochu, które po eksplozjach przedostały się do lazaretu przez kanały wentylacyjne.

- Co można zrobić, aby temu zapobiec?

- Nic - mówi lekarz-asystent. - Temu nie zapobiegnie żadna maska przeciwgazowa.

Kiedy Blume znów podchodzi do wyjścia prawej sztolni północnej, Schlieben i Hennecke stoją z karabinami za oszańcowaniem, a Amerykanie ostrzeliwaną z moździerzy pokrycie wejścia do sztolni.

Podporucznik składa meldunek o sytuacji w lazarecie.

Obaj dowódcy wchodzą głębiej w sztolnię. Rozmawiają z sobą. Słychać słowo „rozkaz”. Słychać słowa Schlieben: „Kiedy moi przełożeni zrobili mnie generałem, to muszą się zgodzić z tym, że postępuję tak, jak mi nakazuje sytuacja i sumienie”. Karl Wilhelm von Schlieben postępuje tak nie po raz pierwszy. W lipcu 1943 r., jako dowódca 18 dywizji pancerniej, wyprowadził swoich żołnierzy w Rosji z kotła na wolność, wbrew rozkazowi. Dziś chce swoim żołnierzom ocalić przynajmniej gołe życie.

Potem pada słowo „parlamentariusz”. I lotem błyskawicy rozchodzi się po sztolniach: - Stary wysła parlamentariusza. Kończy sprawę. -To było jak wielki haust powietrza i uczucia przeogromnej ulgi!

Kiedy białe prześcieradło trzymane na karabinie wynurza się ze sztolni, milknie nieprzyjacielski ogień. Nagle nad umęczonym miastem zapada straszliwa cisza. Z flagą wychodzi na zewnątrz dwóch oficerów. Jest tuż po godzinie czternastej. Dnia 26 czerwca.

Walka o mózg twierdzy Cherbouurg dobiega końca. Góra wypływa długie węże piechurów, marynarzy, oficerów i urzędników administracyjnych.

Schlieben i Henncke, przejęci przez, oficerów amerykańskich przy wejściu do sztolni, zostają odstawieni do generała Eddy, dowódcy amerykańskiej 9 dywizji, który stoi na szczycie pagórka Octeville. Eddy jedzie z obydwojema Niemcami do generała Collinsa na stanowisko dowodzenia korpusu, 30 kilometrów na południe od Cherbourg. Fotografowie czekają już pełnej gotowości. I niebawem jednostki propagandowe przeciwnika zrzucą to zdjęcie nad niemieckimi pozycjami - to też pewien aspekt nowoczesnej wojny.

Tymczasem poza tą sceną doszło do interesującej różnicy zdań. Otóż niektórzy oficerowie amerykańskiej 1 armii zaproponowali generałowi Bradleyowi, aby zaprosił Schliebena na kolację. W sztabie amerykańskiego dowódcy były głosy za i przeciw. W końcu Bradley sam rozstrzygnął ten problem w sposób całkowicie zgodny z amerykańskim sposobem myślenia: - Gdyby ten bękart skapitulował cztery dni wcześniej, tobym go zaprosił, ale teraz, gdy kosztowało nas to kupę istnień ludzkich - nie! - Jednakże stary Bradley miał mieć jeszcze wiele kłopotów z innymi „bękartami”.

O to, czy zaprosić do posiłku żołnierzy i oficerów pobitych oddziałów nie turbował się oczywiście żaden Amerykanin. Megafony dały się *Go on*, a GI's krzyczeli: - *Mak schnell**

Ursula Brautigam, proboszcz i pani Wist - ta sama pani Wist, która 5 czerwca dawała koncert w kasynie w Cherbourgu, w programie którego nie przewidziano miejsca na inwazję - zostali załadowani na samochód ciężarowy, aby ich potem wymienić na angielskie siostry znajdujące się w niemieckiej niewoli.

Podporucznik Blume, porucznik Kruspe i starszy szeregowiec Kröhn z Sand koło Kassel zostali odłowieni z punktu zboru jeńców i wpakowani do jeepa. Kierunek marszu: amerykańska kwatera główna w Yvetot, do Schliebena i Hennekego.

Następuje odjazd trójki Niemców, strzeżonych jak niebezpieczni chuligani. Jeden sierżant siedzi na kancie wozu z palcem na języku spustowym pistoletu maszynowego.

- Gdzie oni z nami jadą? - pyta Kruspe. Blume tymczasem przygląda się okolicy. Wreszcie, w swojej najlepszej angielszczyźnie zwraca się do towarzyszącego im oficera, siedzącego obok kierowcy: - Jedzcie zaminowaną drogą.

- *Shut up, son of a bitch* \ - Zamknij pysk, psi synu** - mruczy Amerykanin. Nagle coś wybucha: pole minowe! Strach i wybuch sprawiają, że sierżant pociąga za odbezpieczony pistolet maszynowy. Seria zabija obu Amerykanów i niemieckiego starszego szeregowca. Odłamek rozrywa sierżantowi ciało. Tylko Kruspe i Blume wychodzą z tego żywi - choć też ciężko poranieni. Blume z pociskiem z pistoletu maszynowego w głowie.

Na szczęście wraz z Octeville nie wpadło jeszcze w ręce Amerykanów całe rozległe miasto portowe. Schlieben wyraźnie kapitulował tylko ze swoim sztabem. Dowódcy różnych części miasta, zwłaszcza silnego bojowo arsenału, musieli działać na własną rękę. Oni także wiedzieli, że o wszystkim decyduje zysk na czasie.

Ze nie było już więcej mowy o żadnej drugiej walce, to wiedzieli wszyscy. Panika zataczała coraz szersze kręgi. Duch bojowy w większości punktów opoai

* Przekręcone nieni. *macht schnell*, czyli szybko.

** Autor złagodził drugą część zdania. Po angielsku jest to coś mocniejszego.

spadł nagle do zera. Za wałami arsenału marynarki stały jeszcze, co prawda, silne oddziały pod dowództwem komendanta miasta generała majora Sattlera, ale ten, w przeciwieństwie do komendanta portu, komandora Witta, nie myślał o kontynuowaniu walki. Skapitulował 27 czerwca rano i z 400 ludźmi poszedł do niewoli.

Komandor Witt jeszcze się nie poddawał. Nakazał jednemu z oddziałów Ar-beitsdicnstu zamknąć wał idący wzdłuż basenu portowego, postarał się o wysadzenie w powietrze ostatnich obiektów i przy zaczynającym się odpływie pomknąć wraz z 8 oficerami i 30 marynarzami jachtem żaglowym i dwiema łodziami do umocnionych bastionów na molo zewnętrznym. Tu w Fort West znajdowała się owa deska rozdzielcza do poderwania nietkniętych jeszcze pól minowych założonych przed wielkim wjazdem zachodnim. Ten, kto miał rękę na przycisku, mógł to wejście zamknąć.

Grupa Marynarki Zachód w Paryżu musiała być niezłe zaskoczona, kiedy jeszcze 17 czerwca nadszedł radiogram: „Stanowisko dowodzenia komendanta portu w Fort West. Deska rozdzielcza pól minowych w stanie gotowości”.

Zdziwiony Paryż nadał z powrotem: „Jak dostaliście się na Fort West?”

Chytry Witt odpowiedział lakonicznie: „Jachtem i dwiema łodziami!”

Komandor nie mógł przewidzieć, że dane te zostaną w radiu berlińskim wykorzystane do zmontowania czegoś w rodzaju czynu bohaterskiego. To brzmiało pięknie, ale miało pewną wadę: Amerykanie też to słyszeli.

Generał Collins, który ze względu na błyskawiczne zwycięstwa nad Japończykami odniesione swoją 25 dywizją na wyspie Jawa*, uzyskał pochlebny przydomek „Blitz-Joe”, był już wystarczająco wściekły z powodu przedłużającej się bitwy o Cherbourg. Jego sława cierpiała na tym. Stąd bohaterskie epizody niemieckich gniazd oporu były mu absolutnie nie na rękę. Tym samym, walka z Wittem stała się dlań sprawą prestiżową.

Mimo to artyleria i lotnictwo Amerykanów potrzebowały jeszcze pełnych trzech dni, aby uczynić forty na molo zewnętrznym gotowymi do szturm. Kiedy w końcu deska rozdzielcza pól minowych na Fort West została rozbita w drzazgi granatami przebijającymi beton, poddał się także ranny Witt.

W zachodniej części frontu pod Cherbourgiem, na tzw. półwyspie łączności, walki toczyły się dalej. Teren otrzymał tę nazwę z powodu zainstalowanych tam wielu urządzeń łączności należących do marynarki i Luftwaffe. a których zadaniem było obserwowanie południowego wybrzeża Anglii.

Tu walczyła Grupa Bojowa Keil składająca się ze sztabu i 2 batalionu 919 pułku grenadierów, batalionu szturmowego Messerschmitt i 17 batalionu karabinów maszynowych. Grupa Artylerii Zachód majora Quittnata i

932 lekki dywizjon artylerii przeciwlotniczej stanowiły artyleryjski kręgosłup tej obrony. Dalej na zachód trzymała się Grupa Bojowa Muller, składająca się z części 922 pułku grenadierów oraz dwóch baterii 243 pułku artylerii.

* To pomyłka Autora; generał Collins walczył na Wyspach Salomona.

Mil

i 8 1

Fort zewnętrzny „Osteck”. Nowoczesne, podziemne urządzenie obronne ze stanowiskiem dowodzenia „Grupy Artylerii Wschód”, dowodzonej przez majora Kiippersa. Kiippers trzyma wschodni front lądowy aż do 28 czerwca. Numery oznaczają: 1. Bunkier z peryskopem, 2. Stanowisko dowodzenia komendanta tortu zewnętrznego, 3. Urządzenia radarowe, 4. Stanowiska łączności, 5. Stanowiska sześciu otworów strzelniczych północ, zachód, południe, wschód, 6. Stanowiska moździerzy z automatycznym odpalaniem, 7. Stanowiska fortecznych miotaczy ognia, 8. Bunkier do zakwaterowania szeregowców, 9. Stanowisko obserwacyjne ukierunkowane na port w Cher-bourgu.

Ci nie podarowali amerykańskiej 9 dywizji niczego. Zacięcie walczone o każdy punkt oporu. Resztki gniazd oporu na zachodnim wybrzeżu pod Jobourgiem skapitulowały dopiero 30 czerwca.

Po drugiej stronie frontu, 12 kilometrów od centrum miasta, walki toczyły się dalej, aż do 28 czerwca. Stał tam potężny, zbudowany przez Organizację Todta, zewnętrzny fort „Osteck”, panujący nad lotniskiem i wybrzeżem.

Kanonierzy przeciwko czołgom

Major Kiippers przyłgał do peryskopu w swym bunkrze bojowym wśród dobrze zamaskowanych urządzeń składających się z podziemnych bunkrów, rowów łącznikowych, zapór przeciwczołgowych i pól minowych; obserwuje pole, jak kapitan łodzi podwodnej w walce na oceanie.

Nieprzyjacielskie czołgi rozpoznają i szukają styczności bojowej. Ale tu jest ostry dryl. Ten zewnętrzny bastion z jego podstępными pułapkami, z automatycznie uruchamianymi stanowiskami moździerzy i miotaczy ognia, urządzeniami radarowymi i radiowymi jeszcze raz zagradza amerykańskiemu 7 korpusowi drogę do północnego wybrzeża Cotentin.

Starszy szeregowiec sztabowy Johann Koch jest właśnie w bunkrze, kiedy 26 czerwca wpływa ostatni radiogram ze stanowiska dowodzenia generała Schlie-bena. Dowódca artylerii Cherbourg nadaje radiogram do dowódcy Grupy „Wschód”: „Kończymy, nie dajemy już rady, wszystkiego dobrego, dowódca artylerii, Reiter”.

- Biegnijcie do dowódcy - mówi starszy wachmistrz Wittwer do Kocha -i zanieście mu ten radiogram.

Koch rusza. - Radiogram od dowódcy artylerii Cherbourg, panie majorze -wpada z wieścią do bunkra peryskopowego.

- Co? - pyta Kiippers i dalej patrzy w okular peryskopu.

- Radiogram od pułkownika Reitera - powtarza starszy szeregowiec sztabowy. Jest dokładnie godzina 14.00 dnia 26 czerwca. Kiippers czyta półgłosem tekst.

Oficerowie i podoficerowie pojmują, że tym samym również dla nich, dla „Osteck”. lewego skrzydła twierdzy Cherbourg, z wielką baterią „Hamburg”, nadbrzeżnym punktem oporu „Seeadler”* i punktem oporu artylerii przeciwlotniczej „Ritter”**, zaczyna się koniec.

Kiippers nakłada sprzęt do prowadzenia rozmowy, wzywa bunkier łączności i pyta, czy z dowództwa artylerii Cherbourg przekazano częstotliwości do ruchu radiowego z korpusem lub z armią.

„Nie”, pada odpowiedź. „Zapytywaliśmy, ale stanowisko dowodzenia Octe-ville milczy. Jak ma wobec tego nadawać przez radio! Przy wejściach do sztolni pod pagórką Saint Sauveur stoją Amerykanie i popędzają niemieckich piechurów”.

„Postarajcie się nawiązać łączność z jakimkolwiek sztabem”, Kiippers wydaje rozkaz łącznościowcom. I radiotelegrafści przeciskają się przez skalę swych odbiorników. Nasłuchują. Kręcą. Znow nasłuchują. Wreszcie jest połączenie z 319 dywizją piechoty na wyspie Guernsey, w końcu jest także łączność ze sztabem marynarki w Hawrze. Poprzez obie te placów-

* *Seeadler* (niem.) **kirkut**.

** *Ritter* (niem.) - rycerz; tymi szlachecki.

i u<;

ki Grupa Bojowa „Osteck” przekazuje zakodowanymi tekstami meldunek o sytuacji celem dalszego przekazania do 84 korpusu i 7 armii. Kto go czytał, nie mógł mieć wątpliwości, że w „Osteck” pod Cherbourgiem pomimo zmasowania artylerii nie mogło już być mowy o dalszym prowadzeniu walki.

Kiippers melduje: 9 i 10 baterie 1709 pułku artylerii i 7 bateria 1261 pułku artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych z Tourlaville-Bretteville rozjechane przez nieprzyjacielskie czołgi.

„Rozjechane!” - To brzmi trzeźwo. „7, 9 i 10 bateria”. Gołe liczby. Ale za nimi stoi los paruset ludzi z tych baterii, nieznanych kolegów, z ich **końmi**, taborami.

Kiippers melduje dalej: 5 bateria 1709 pułku i bateria artylerii przeciwlotniczej „Hamburg” w gotowości do otwarcia ognia. Jedno działo skrzydłowe Gelbhaara z 240 mm baterii do celów morskich „Hamburg” gotowe do strzelania do celów lądowych w wyniku zniszczenia betonowego pokrycia.

Tych spośród rozproszonych żołnierzy i oficerów, których udało się zebrać z utraconych lub rozwiązanych baterii 1261 i 1262 pułków artylerii nadbrzeżnej wojsk lądowych, wykorzystano w „Osteck” w charakterze piechoty. Wśród nich są także pozostali ludzie z 11 baterii 1709 pułku i z 5 baterii 1262 pułku. Starszy wachmistrz Schneider i podporucznik Schwiilst prowadzą ich do „Osteck”. Nieznany pozostaje los grenadierów batalionu Katzmanna, trzymających ostatnio pozycje pod Gonneville i koło lotniska.

We wczesnych godzinach rannych 27 czerwca, w peryskopie, w bunkrze dowodzenia, widać amerykańską piechotę posuwającą się skokami przez wzgórza. Kierunek zachodnia strona punktu oporu artylerii przeciwlotniczej „Ritter”, który zamyka dostęp do drogi z lotniska. Czołgi toczą się razem z atakującą piechotą. Bateria artylerii przeciwlotniczej „Ritter” prowadzi ogień na ile tylko sprzęt wytrzyma.

Pierwszy czołg dostał i leży. Drugi płonie. Ale potem podchodzą trzy, cztery, wtaczając się na pozycję. Teraz do akcji włącza się wachmistrz Gradert ze swoimi ludźmi z 11 baterii. Leżą z tyłu jako oddział niszczycieli czołgów. Ze swoimi panzerfaustami pod ramieniem skaczą w kierunku Shermanów od ukrycia do ukrycia.

20 metrów.

Tylko spokój.

Amerykanin pluje karabinem maszynowym. Jeszcze 10 metrów. Teraz musi już dostać. Parskając, wyrusza rakietą ręczna. Materiał wybuchowy rozrywa się przy wieży.

Błysk.

Grzmot

Sherman płonie jak pochodnia.

Załoga próbuje się wydostać.

Dostaje się pod ogień pistoletów maszynowych.

Kapral Kiihnast też dostaje swój czołg pod lufę.

Jest to czołg dowodzenia. Trafienie pod wieżę. Prawdopodobnie w stos amunicji, która potem eksploduje. Dwa inne Shermany zawracają i znikają. Piechota towarzysząca cofa się lub zalega pod ogniem karabinów maszynowych.

- Nieprzyjacielski atak na wschodnim froncie lądowym - wola pół godziny później podporucznik Czychon, który pełni służbę przy peryskopie.

Major Kiippers przykleja się do peryskopu. Rzeczywiście. Amerykanie próbują teraz z drugiej strony. Chcą zwinąć trzymające się jeszcze gniazda oporu na odcinku 410-418 we wschodniej części frontu lądowego, a potem wziąć stanowiska baterii „Hamburg”.

Miny bez zapalników

W peryskopie jest pierwszorzędny widok. Ogień artylerii i baterii przeciwlotniczych można kierować bez zagrożenia wojsk własnych.

Skrzydłowe działo kalibru 240 mm baterii „Hamburg” młóci ogniem nekającym nieprzyjacielski transport.

Samoloty myśliwsko-bombowce próbują zlikwidować ten uprzykrzony akompaniament. Artyleria okrętowa kieruje swoje granaty na pozycję. Ale Gelbhaar ze swoim wulkanem ogniowym ma tym razem szczęście. Działa przeciwlotnicze i działa polowe Grupy Artylerii kładą przed amerykańską czołówką pancerną gęsty ogień zaporowy. Gwałtowny, silny ostrzał, detonująca ognista zaporą czołgowa. Kiedy trzeci czołg staje w płomieniach, większość zawraca. Piechota towarzysząca wycofuje się.

Tak jak w grze w młynka, kiedy przeciwnik ma dylemat, teraz z kolei amerykański dowódca przeciąga atak na drugą stronę, czołgi znów atakują ze wzgórz koło Maupertus wzdłuż drogi nadbrzeżnej. Ale także ten atak zalega pod dobrze kierowanym ogniem dział obrony.

Artyleria okrętowa Amerykanów z pasją wystrzeliwuje salwy pocisków na „Osteck” i baterię „Hamburg”.

Z północnego wschodu jedzie silna kolumna nieprzyjacielska. Całym tabunem, niefrasobliwie wjeżdża w niemiecką pozycję. Pojazdy gęsto ściśnięte. Działa Kiippersa z 5 baterii i przeciwlotniczych „Hamburg” biją w nią niczym pięść olbrzyma. To jest kosztowne. Ale oto od południa nadjeżdża już silny oddział pancerny.

Niewyczerpana jest ta amerykańska armia, niczym hydra w swej nowoczesnej technicznej wersji: gdzie się zetnie wieżę czołgu, tam zaraz pojawiają się następne dwie, trzy, pół tuzina, i znów jada.

Południowa wieża z sześcioma otworami strzelniczymi otrzymuje pełne trafienie. Obydwa stojące w pobliżu maszynowe moździerze zostają wyłączone z walki. Nagle na terenie fortecznym pokazały się czołgi.
- Biała flaga na południowej wieży z sześcioma otworami strzelniczymi -melduje obserwator przy peryskopie.
Stała załoga wywiesiła ją na znak kapitulacji-

† *eto*

187

cji. Podporucznik Zerban, jej komendant, wezwany w tej sprawie do bunkra dowódcy, majora Kiippersa, wrzusza tylko ramionami: - Co pan chce od starych rezerwistów, nienawykłych do walki?-pyta zrezygnowany. Kiippers posyła mu złowrogie spojrzenie, przykleja się do peryskopu i to, o czym myśli, czytelne jest z jego rozkazu do 5 baterii: -Ogień na południową wieżę z sześcioma otworami strzelniczymi! - A potem Kiippers tak kieruje salwami, aż biała flaga zostaje z masztu strącona.

Porucznik Schwalbe otrzymuje rozkaz oczyszczenia - siłami swego pododdziału niszczycieli czołgów - miejsca włamania w bunkrze przeciwpancernym przy południowym rowie przeciwczołgowym. Od strony południowo-zachodniej atakował także porucznik Staake ze swymi ludźmi.

- **Jak** nieprzyjacielskie czołgi przedostały się bez strat przez pole minowe? -pyta zdziwiony Kiippers.

Podporucznik Zerban wyjaśnia len „cud”: miny nie mają zapalników. Nie dostarczono ich w wystarczającej ilości, aby można było uzbroić zapory minowe. Jest zrozumiałe, że po początkowych stratach od celnego ognia w innych miejscach, coraz więcej czołgów posuwało się przez tę lukę w kierunku na bastion zewnętrzny.

- Ładne gówno! - mruknął wachmistrz Plancr - tego, kto za to odpowiada, powinno się teraz wysłać do rowu przeciwczołgowego. -Tak, ale kto jest odpowiedzialny za to i za wiele innych spraw na półwyspie Cotentin?

Żyjący często zadają sobie to pytanie. A groby? Tc nieskończone rzędy grobów przy wielokilometrowej drodze z Carentan przez Sainte Mere-Eglise-Montcbourg-Valognes-Thevillc-„Osieck" to nieme znaki zapytania.

Także przy południowej wieży z sześcioma otworami strzelniczymi atakują czołgi i celnym ogniem eliminują walki.

- Cała załoga do bunkra, do obrony na bliską odległość.

Porucznik Schwalbe trzyma ze swymi ludźmi bunkier przeciwpancerny przy wschodnim wejściu, a porucznik Staake wraz z kanonierami z 5 baterii oczyszcza teren przy bunkrze z urządzeniem radarowym. Ale na co zdaje się to wszystko? W międzyczasie od strony południowo-zachodniej, przez nieuzbrojony pas min przeskoczyli piechurzy amerykańscy w sile kompanii i przedostali się za rów przeciwczołgowy. Stała załoga na stanowiskach moździerzy już się poddała. Kiippers, według znanej już metody, każe 5 baterii 1709 pułku i baterii „Hamburg", położyć teraz ogień na własne stanowisko. Piechota amerykańska stojąca przed i na bunkrze zostaje teraz doń przygwożdżona. Załogi czołgów stają się nerwowe. Ale nic są w stanie ostrzelać fortu „Osteck". Na zarośniętym zielskiem bunkrze peryskopowym Amerykanie - nie przeczuwając nic złego - zakładają stanowisko obserwacyjne, aby stąd kierować ogniem na baterię „Hamburg". Nie wykryli jeszcze dobrze zamaskowanego peryskopu, ale Kiippers ich rozpoznał. Wzywa przez telefon porucznika Grubera, dowódcę 5 baterii. Każe mu trzy razy strzelać z

jego działa wędrownego. Pełne trafienie. Słychać lekki odgłos wybuchu na bunkrze. Stanowisko obserwacyjne Amerykanów zostało zmiecione.

Jeep z białą flagą

Około godziny 21.00 amerykańscy saperzy stoją przy bunkrze peryskopowym i usiłują wysadzić w powietrze samo wejście.

- Musimy sobie wywalczyć wyjście na swobodę, panie majorze - robi uwagę wachmistrz Planer. Kiippers przytakuje: - Zbierzcie grupę szturmową.

Kiippers sam ją prowadzi. Wypadają ze sztolni jak szatany. Starszy szeregowiec Panschutz toruje drogę ogniem swego karabinu maszynowego. Wachmistrz Planer i starsi szeregowcy Koch oraz Noltermanns trzymają Amerykanów przy ziemi za pomocą granatów ręcznych. Kiippers wraz z trzema ludźmi przepędza grupę nieprzyjacielskich saperów chcących rozbić bramę wejściową. Nagle z flanki odzywa się ogień karabinowy.

Panschutz pada. Jego karabin maszynowy milczy. Z powrotem do sztolni!

Amerykanie są ostrożni. Przy zapadającej nocy i pod osłoną ognia artylerii wycofują się. Ostatnie granaty zostają wystrzelone około godziny 21.45, pozostaje im jeszcze tylko 20 granatów dymnych.

Potem zaczyna się wojna nerwów. Amerykanie telefonują z jednego ze zdobytych bunkrów, nawołując stanowisko dowodzenia do poddania się.

„Jutro rozbijemy wszystko z powietrza bombami. Potem nie będzie już więcej żadnej kapitulacji”, mówi koślawą niemiecką człowiek znajdujący się po drugiej stronie przewodu telefonicznego. Przed bunkrami ryczą megafony. Informują o upadku Cherbourga.

Kiippers wie, że jego opór nie potrwa długo. Naradza się ze swymi oficerami. - Chcemy przeczekać do rana. - Taka jest decyzja.

Około 3.00 dnia 28 czerwca amerykański jeep z białą flagą podjeżdża pod bunkier peryskopowy. Przy wejściu parlamentariusza przyjmuje pewien podporucznik. Jankeś żąda „kapitulacji bezwarunkowej”.

- Do tego nie potrzebujemy parlamentariusza - odpowiada mu Kiippers. - Niech pan to powie swojemu dowódcy. Niech pan mu też powie, że jestem gotów rozmawiać z nim na temat formy uczciwego poddania się. A w końcu także na temat wyjaśnienia sprawy zaopatrzenia rannych i przekazania jeńców amerykańskich.

Amerykański podporucznik milczy i pędem odjeżdża.

Na krótko przed godziną 8.00 podporucznik Czychon obserwujący przy peryskopie przedpole woła: - Kilka jeepów z białą flagą podjeżdża pod wejście do Osteck.

Tym razem jest to dowódca amerykańskiej 4 dywizji, generał major Barton. Przybywa ze swoim ścisłym sztabem, aby zaproponować majorowi Kiipper-sowi poddanie się.

Generał był po pierwszej wojnie światowej komendantem twierdzy Eliren-breitstcin. Miał wyraźnie przyjazne wspomnienia z Niemiec i kiedy usłyszał, że Koppers pochodzi z Wiesbaden, to zdecydował się na osobistą rozmowę.

- *Time is running* - jeden z oficerów sztabowych przypomina w końcu generałowi, że czas nagli. Barton przytakuje, każe sobie podać mapę sztabową i rozkłada ją przed Kiipperscm. Wielki atak planowany na 28 czerwca był tam dokładnie wrysowany. - Chcę panu otwarcie powiedzieć, co się stanie w chwili, kiedy nasze rokowania nie dadzą wyniku. - Generał wskazuje na mapę, a tam naniesione są wszystkie ugrupowania sił przewidzianych do ataku. Dotyczy to wzmocnionego 22 pułku piechoty, 5 batalionu rangersów, 24 batalionu czołgów, jak również artylerii dywizyjnej i korpuśnej.

- To, co spadnie z nieba i od strony morza nic jest naniesione na mapę, ale sądzę, że pan może to sobie sam dośpiewać. Na co więc zda się opór? Podziwiam ducha bojowego pańskich żołnierzy. Kunst prowadzenia ognia przez pańską grupę artylerii, z którą walczę już od Montbourga, zadziwia mnie. Mocno mi pan przyłożył.

- Czy mogę przyjrzeć się tej mapie? - pyta Koppers.

- Proszę - mówi z uśmiechem Barton.

To, co widzi Koppers, pozwala mu pojąć, dlaczego generał mógł się śmiać. System stanowisk niemieckich wrysowany był dokładnie co do joty, dokładniej nawet, niż na własnych mapach. Na odwrotnej stronie widniały szczegółowe dane o wyposażeniu stanowisk bojowych i bunkrów w amunicję, nazwiska komendantów punktów oporu, dowódców odpowiednich batalionów względnie dywizjonów i pułków. Na karcie załącznika był naniesiony stary odcinek obrony „Osf leżący poza obszarem fortecznym, w rejonie Saint Pierre-Eglise.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Koppers zobaczył tutaj szczegóły odnoszące się do pozycji niemieckich. Nawet siła podkładów w ziemiankach była prawidłowo podana. Stanowiska bojowe miały nazwy dowodzących oficerów. Jednakże przy 11 baterii 1709 pułku artylerii figuruje jeszcze nazwisko dowódcy baterii. porucznika Ralfa Neste, który 5 maja 1944 r. został wyeliminowany z walki przez pancerfaust. Ale to jest jedyny błąd.

Generał Barton zauważa wielkie zaskoczenie na twarzy Kiippersa. - My niczego nie pozostawiliśmy przypadkowi - mówi spokojnie. - Zanim przystąpiliśmy do inwazji, nasze służby wywiadowcze dostarczyły nam wszelkich szczegółów dotyczących niemieckiej obrony wybrzeża, łącznie z kalendarzem przedsięwzięć podejmowanych na pozycjach według planów oryginalnych.

W bunkrze panuje cisza. Cicho jest na zewnątrz. Nie pada żaden strzał. I nikt nie wzywa sanitariusza. Myśli Kiippersa zawisły na pytaniu: W jaki sposób nieprzyjaciel mógł te wszystkie dane uzyskać?

Ale odpowiedź na to nic jest trudna: informacji tych dostarczyła aliantom cała armia agentów w okupowanej Francji - bazująca na ludziach gadatliwych i lekkomyślnych. O resztę postarali się bojownicy francuskiego mchu oporu - którzy jako gospodarze kwater i jako „chętni do pomocy” doświadczeni, podsłuchiwali, szpiegowali. Niezliczone rzesze gołębi pocztowych przenosiły te informacje za kanał, do gołębników alianckich służb tajnych w południowej Anglii. Skutek był wprost niesłychany. W międzyczasie napisano historię tej gigantycznej roboty szpiegowskiej i wywiadowczej. To jest historia „Aliansu zwierząt”, najbardziej znaczącej, tajnej organizacji wywiadowczej aliantów we Francji, historia „Pantery”, pułkownika francuskiego Alamicheła, który tę organizację założył. Młodej, świetnej i śmiałej organizacji pułkownika Faye „Lwa” oraz Marie-Madcleinc Merric. Organizacji, która dziwnym trafem nazywana była *cherisson*, czyli Jeź”.

„Alliance” miała we Francji 2 tysiące dobrze opłacanych współpracowników: głównych agentów, agentów, radiotelegrafistów, kurierów, ludzi zaufanych. Ci mieli sieć informatorów rozrzuconych po całej Francji. Byli oni w OT (Organizacja Todta), w urzędach mieszkaniowych, urzędach burmistrzów; kobiety działały jako sprzątaczk domowe w kwaterach i sztabach armii okupacyjnej, uśmiechały się jako kelnerki w kantynach i domach żołnierskich. Inni byli tłumaczami. Byli uwiedzionymi lub przyciśniętymi do muru niemieckimi zdrajcami. Kierownik „Alliance” miał w Paryżu trzy kwatery sztabowe dla jednego sztabu oficerów i dla jednego angielskiego radiotelegrafisty *Magpie*, sroki. Jedna z kwater przeznaczona była dla przybywających kurierów, druga służyła jako miejsce ucieczki w razie niebezpieczeństwa, a trzecia, kwatera główna przy Rue Charles Lafitte, była prowadzona przez „Odette”, ową słynną synową Winstona Churchilla. Tutaj zbiegały się wszystkie wiadomości; tu były sortowane według potrzeb dla wojsk lądowych, marynarki, lotnictwa, polityki i gospodarki oraz fotografowane. Wiadomości pilne były szyfrowane i przekazywane przez radio do Londynu. Ruch w tamtą stronę zabezpieczały samoloty lub śmigacze, które współpracowały z żeglarzami motorowymi i rybakami poławiającymi tuńczyka. „Alians zwierząt” jest jednym z bardziej intrygujących rozdziałów tajnej wojny we Francji: podstępnej, brutalnej, pełnej ofiar, śmiałej i jednocześnie brudnej.

Mapa generała Bartona była jej owocem -jednym z wielu.

Narada, jaką Kuppers prowadzi ze swymi oficerami, jest krótka. Każdy wie: dalsza walka w tych warunkach jest pozbawiona sensu. Rozum podpowiada, aby ją zakończyć.

O godzinie 13.30 generał Barton wyciąga rękę do majora Kiippersa: jest 28 czerwca. W bastionie zewnętrznym „Osieck” i na stanowiskach baterii wojna jest zakończona. Ludzie wędrują z powrotem tą samą drogą, którą

przybyli do przyczółka lądowania „Utah”. Tam ostatni umarli łączą się z pierwszymi: niektórzy starzy żołnierze, wyczerpani walkami, toną w drodze do statków transportowych, gdyż nie radzą sobie z wodą sięgającą im po pierś. Jest to ponury koniec, podobnie jak cała bitwa o Cherbourg. Kiedy komunikat Wehrmachtu podaje do wiadomości upadek tej twierdzy morskiej, oficerowie i żołnierze w sztabach Hawru i na Wyspach Normandzkich smętnie kiwają głowami.

i o i

Od tygodni niczym widzowie w łoży, przyglądają się, jak na ich oczach zbyt nikłe siły niemieckie wypalają się w wirze bitwy. Nie rozumieją tej straszliwej pomyłki, jaka otumaniała niemieckie dowództwo wojskowe, każące najlepszym swym dywizjom stać nad cieśniną La Manche z bronią u nogi zamiast ich rzucić do bitwy o przyczółki lądowania.

Dzisiaj wydaje się to niemal niepojęte, a jednak dowodnie pokazuje, że nowoczesna, techniczna wojna może być równie dobrze rozstrzygnięta przez zasugerowanie błędnych spekulacji, jak i przez broń. To prawdziwa lekcja pogładowa dla orędowników potęgi, którzy myślą tylko o przewadze technicznej.

Rozliczenie pomyłki

Kiedy Cherbourg padł, to tylko między Sekwaną a Skaldą stało beczynnienie w swych kwaterach więcej niemieckich dywizji, niż było wprowadzonych do walki na froncie inwazyjnym. Dlaczego? Ponieważ kwatera główna fuhrera i niemieckie naczelné dowództwo zawierzyło sprytnie podsunętej koncepcji, że lądowanie w Normandii jest manewrem zwodniczym, a w Anglii stoi w gotowości armia składająca się z 42 dywizji i że główne uderzenie nastąpi w miejscu przewężenia La Manche, w Pas de Calais.

Od pierwszych dni lądowania alianców niemieckie przedsięwzięcia podporządkowane były tej zwodniczej idei.

Jedna grupa wojsk, składająca się z dwóch armii z dwudziestoma czterema dywizjami piechoty i pięcioma dywizjami polowymi Luftwaffe, jak również grupa pancerna w składzie 6 dywizji pancernych stały na początku czerwca w północnej części Francji, w Belgii i w Holandii. Ale w 48 godzin po lądowaniach alianckich oddziałów, atakujących na trzech różnych odcinkach wybrzeża Normandii, niemieckie przeciwdziałania ograniczały się ciągle jeszcze tylko do szczebla pułków, batalionów i grup bojowych. Kiedy dywizje ingerowały w działania bojowe, to wydzielaly na front tylko część swoich sil. I były się one pierwszorzędné, ale choć brzmi to paradoksalnie z uwagi na zakulisową obecność 35 niemieckich dywizji - atakujący, dzięki wyborowi głównego kierunku uderzenia oraz za sprawą niemieckiej strategii rozwiązań dorywczych, wszędzie mieli przewagę. Niemieckie dowództwo już w pierwszych dwóch dniach inwazji nieustannie rozmijało się z zasadą Guderiana: „Nie pukać, walić!” W wojnie na pukanie zostały wyniszczone niemieckie pozycje obronne, małe odwody interwencyjne i grupy bojowe. I to mimo najbardziej skutecznej obrony, która w wielu miejscach doprowadzała nieprzyjaciela na skraj klęski.

Ale dowództwo niemieckie nic wykorzystało żadnej szansy. Wisiał nad nim, niczym zmora senna strach, że wielkie lądowanie dopiero nastąpi w innych miejscach wybrzeża. Sugestia istnienia dodatkowej floty w portach brytyjskich oraz sprytnie skonstruowane z tektury i drewna atrapy obozów wojskowych rozmiesz-

W nocy z 15 na 16 czerwca 1944 r. bczalogowc pociski [lataja.ee](#), uwolnione z wyrzutni, pęd/iły w kierunku Londynu. Wystartowała VI. zapoczątkowując wiek raketowy.

Major Friedrich Hayn, szef rozpoznania 84 korpusu. Do jego zadań należało: zbieranie i ocena wszystkich informacji o nieprzyjacielu.

Podczas gdy po niebie z hukiem pędziła broń 20 wieku, niemieccy żołnierze nadal jeździli na wyznaczone zadanie rowerami, jak w pierwszej wojnie światowej.

Niemiecka artyleria przeciwlotnicza zmagala się; nieustannie, prowadząc beznadziejną, walkę; z alianckim panowaniem w powietrzu. Migawka aparatu uchwyciła, jak brytyjski bombowiec został trafiony i płonąc. spada gdzieś za niemieckimi liniami.

Feldmarszałek von Kluge był jednym z najbardziej utalentowanych niemieckich dowódców wojskowych. Ale i on na próżno usiłował dokonać zwrotu w bitwie o Normandii;. Ponieważ mu się to nie udało, został zdjęty ze stanowiska. 19 sierpnia dobrowolnie wybrał śmierć.

Niemiecka ofensywa pod Mortain miała zamknąć amerykańskie przełamanie pod Avranches. Ale niemieckie siły pancerne okazały się za słabe, a samoloty myśliwsko-bombowe przeciwnika zbyt silne. Drogi w rejonie Mortain były drogami śmierci (zdjęcie z prawej strony).

Straszliwe skutki ataku lotniczego odczuły także polska I dywizja pancerna i kanadyjska 4 dywizja pancerna: zostały przez pomyłkę zaatakowane przez własne formacje bombowców i porządnie przy tym ucierpiały.

Obrazki z bitwy o Caen i Saint Ló: Młodziutki grenadier opatrywany pod osłoną czołgu (zdjęcie górne).
Rozproszone niemieckie grupy bojowe wycofują się wraz z lekko rannymi kolegami.

Jeńcy w kotle Falaise (zdjęcie z lewej strony): Podoficerowie i grenadierzy, z których wielu nosiło odznakę szturmową piechoty. Walka o ruiny Falaise (zdjęcie / prawej): Trzy dni zmagano się o Ecole Superieure, gdzie okopało się 60 grenadierów z 12 dywizji pancernej SS. Czterech rannych wzięto do niewoli. Pozostali polegli.

....

Bitwa się kończy. Kocioł pod Falaise jest zamknięty. 7 annia zniszczona. Porucznik z 2 dywizji pancernej usiłuje jeszcze pod wsią Saint-Lanibert-sur-Dives wyrwać się z działem przeciwpancernym. Ale droga jest zablokowana przez kanadyjski) jednostkę pancerną, granaty już zużyto. Pozostaje tylko kapitulacja (na lewo).

**Niemiecki sir/dec sp;utot hronow > po Sii-ilmowej httwte Nu jogu iw ar/y « > pis;uit' ICM w»>/w-koo
inwa/ji: nekajacy ogien huraganowy artylerii okretowej, bczlitotne Iowy samolotow
inyšliw-sko-hombow yeh. myšliwce / rakietami i bombami los torowymi, i pr/y lym rezygnacja
wywołana poLViiLietn. że walka i cierpienie były daremne.**

czony w hrabstwie Kent, mające na celu wprowadzenie w błąd niemieckiego rozpoznania, spełniały swoją rolę i umacniały błędne rozumowanie niemieckiego naczelnego dowództwa w tej kapitalnej sprawie. Zasady prowadzenia operacji amfibijnych były Hitlerowi oraz większości generałów w naczelnym dowództwie słabo znane. Dywizjom na zachodnim wybrzeżu Francji pozwolono stać beczynnie z bronią u nogi. ponieważ obawiano się tam lądowania, i to w miejscach, w których ze względu na pogodę oraz warunki naturalne wybrzeża nie było ono możliwe. W ten sposób doszło do paradoksalnego faktu, że w końcu czerwca sami tylko Amerykanie, na odcinku swego 4 korpusu, wysadzili 14 dywizji, którym przeciwstawiono zaledwie trzy nietknięte niemieckie dywizje, resztki rozbitych trzech innych dywizji i pięciu pułków- siłę bojową, jaka przy uwzględnieniu wyposażenia materiałowego stanowiła, być może, równoważnik pięciu dywizji. A tymczasem tragedii tej przyglądały się z rozpaczą całe armie, rozlokowane na kwaterach na południowym i zachodnim wybrzeżu Francji, a także w kapieliskach Belgii i Holandii, przygwożdżone rozkazami, których korzenie tkwiły w całkowicie błędnej ocenie sytuacji.

Kogo może więc dziwić, że Eisenhower, który w żadnym wypadku nie mógł sobie wyobrazić podobnych pomyłek, mimo swego gigantycznego zaangażowania miał obawy co do powodzenia lądowania?

Australijczyk Chester Wilmot, bijący na głowę wszystkich innych alianckich korespondentów, pisze w związku z tym:

„W czasie upadku Cherbourga na przyczółku znajdowało się 25 brytyjskich i amerykańskich dywizji. W Zjednoczonym Królestwie czekało 15 dywizji na zaokrętowanie do Normandii, a 6 dalszych szkoliło się jako zapasowe wzmocnienie armii brytyjskiej na wszystkich frontach. Jednakże niemieckie służby wywiadowcze meldowały swemu dowództwu: „Nieprzyjaciel ma na przyczółku lądowania 27-31 dywizji i wprowadził tam wielką liczbę oddziałów wojsk lądowych wszelkich rodzajów. W Anglii stoi jeszcze w gotowości 67 wielkich jednostek, z których co najmniej 57 może uczestniczyć w wielkich operacjach". Te nieistniejące 42 dywizje, które niemiecki wywiad zaszeregował do odwodów Eisenhowera, były rezultatem brytyjskiego podstępu wojennego i niemieckiej tępoty. Wywiadowi sprzymierzonych przychodziło łatwo wciskać niemieckim agentom zawyżone aż

do śmieszności siły rozwinięcia operacyjnego, które potem znajdowały chętnych odbiorców w oddziale rozpoznania OKH*. Te podstępnie podsunięte, a nieistniejące realnie dywizje zaciemniały zdolność oceny niemieckiego naczelnego dowództwa i przyczyniły się do wypaczenia jego strategii".

W jaki sposób te alianckie „dywizje duchów" znalazły się na niemieckiej mapie sytuacyjnej, wyjaśnia sam Chester Wilmot z powołaniem się na wypowiedzi oficera niemieckiego sztabu generalnego z oddziału „Obce Wojska Zachód"***

* Oberkommando des Heeres ** Frenide Heere West.

Dowództwo Wojsk Lądowych.

273

zapisane po wojnie w obozie jenieckim. Według jego relacji, ten oddział Dowództwa Wojsk Lądowych od jesieni 1943 r. fałszował mapę sytuacyjną dla Hitlera i „celowo wprowadził do niej 30 dodatkowych dywizji”. W jakim celu? Aby skorygować działania Himmlerowskiej Służby Bezpieczeństwa Rzeszy, wpływającej na Hitlera zbyt optymistycznymi meldunkami o sytuacji nieprzyjaciela przez zaniżanie jego możliwości.

Oficerowie sztabu generalnego zastosowali a rebours trick przesady, celem wyrównania tego naiwnego rachunku, w nadziei, że Hitler wybierze środek pomiędzy zaniżeniem a przesadą jako prawdę i w ten sposób dojdzie do oceny rzeczywistej.

Kiedy wkrótce potem zaczęła się inwazja, niefortunnym korektorem w oddziale sztabu generalnego „Obce Wojska Zachód” nigdy już się nie udało pozbyć owych wydumanych 32 dywizji. Tak więc figurowały nadal, a celowe oszustwo stało się zaczynem późniejszej tragedii.

Także Sefton Delmer, ów magik od brytyjskiej propagandy wojennej przeciwko Niemcom, relacjonuje bardzo szczegółowo ten przypadek w swej książce *Die Geisterarmee* („Armia duchów”). Według Delmera to szef oddziału „Obce Wojska Zachód”, pułkownik von Roenne, martwił się zbyt optymistycznymi meldunkami SD* Himmlera dotyczącymi siły Wału Atlantyckiego i możliwości zwalczania alianckiego lądowania we Francji.

Kiedy w meldunkach do przełożonych natknął się na te problemy, spróbował dokonać ich korekt. Tak więc w listopadzie 1943 r. napisał meldunek na temat swej podróży inspekcyjnej na Wał Atlantycki, w którym znalazło się takie oto trafne zdanie: „...Rozłokowane już na dalszych tyłach operacyjne odwody armii (pojedyncze dywizje zmotoryzowane) będą przypuszczalnie narażone na ataki z powietrza oraz oddziałów powietrznodesantowych, usiłujące przeszkadzać w dojściu na czas na miejsce koncentracji do wykonania zadania”.

Kiedy pułkownik odniósł wrażenie, że jego opinia nie wywarła spodziewanego skutku, przeszedł na metodę „korygowania” swych meldunków sytuacyjnych o siłach alianckich stacjonujących w Anglii. Podawał w nich bezkrytycznie informacje o sile i rozbudowie armii inwazyjnej w Anglii, lansowane przez alianckie służby wywiadowcze jako dane prawdziwe.

Tak więc meldunek sytuacyjny z dnia 3 grudnia 1943 r. wskazuje, że w Wielkiej Brytanii znajduje się 55 dywizji gotowych do zaokrętowania do inwazji. Jedna z map podrzuconych przez nieprzyjacielskiego agenta, pokazuje miejsca zakwaterowania oraz sztaby dowódcze oddziałów, co czyni sprawę „wodoszczelną”. Jednak w rzeczywistości na początku 1944 r. nie było w Anglii 55 dywizji, lecz 38, łącznie z oddziałami garnizonowymi i szkolonymi!

W końcu maja 1944 r., a więc na tydzień przed lądowaniem, liczby te zostały przez pułkownika Roenne sensacyjnie powiększone: alianci mieli teraz w Anglii

* Sicherheitsdienst Służba Bezpieczeństwa.

87 dywizji, z czego osiem to powietrznodesantowe. W rzeczywistości stało tam 37 dywizji w gotowości do lądowania. Różnica, w górą, o jakieś dwie armie! To, że ten sfalszowany meldunek w rozważaniach OK W odgrywał rolę decydującą. ilustruje wpis do dziennika wojennego z dnia 23 maja 1944 r.: „Przypuszcza się, że po przeciwnej stronie będzie 70-80 związków, o których składzie i dyslokacji istnieje stosunkowo jasny obraz (porównaj bieżące meldunki sytuacyjne Dowódcy Zachód)”.

Oto rezultat według Delmera: „Przez siedem decydujących tygodni Hitler kazał swym najlepszym dywizjom niemieckim czekać w północnej Francji na to, aż jedna armia, która realnie nie istniała, rozpocznie atak, którego w oczywisty sposób nie zamierzała zaczynać”.

Byłoby to wyjaśnieniem niezrozumiałego faktu, że Hitler całymi tygodniami nie ważył się rzucić sił 15 armii na wsparcie ciężko walczącego frontu w rejonach lądowania, ponieważ wciąż oczekiwał lądowania „dywizji duchów”.

Dieter Ose, w swym sztandarowym dziele* rozwija tezę podającą w wątpliwość świadome fałszowanie meldunków przez pułkownika Roenne w ramach politycznej akcji przeciwko SD Himmlera, względnie ją relatywizuje. Píše on: „Prawdopodobnie mogło się zdarzyć, że Abwehra dała się nabrać na wynalezioną przez aliantów FUSAG** i ... niedokładnie wyjaśnione dywizje przeciwnika zostały jako »Odwody zabezpieczenia* dodane później”.

Bolesna pomyłka przykryta legendą?

Nie! Hennami Pieper w swej fachowej dokumentacji militarnej „Rozstrzygnięcie na wybrzeżu - lądowanie w Normandii 1944”*** widzi to bardziej precyzyjnie: „Ten oddział sztabu generalnego odgrywał niedającą się zgłębić rolę. Bez wątpienia uległ on mylącym manewrom zachodnich aliantów, w następstwie czego wyczarowano w rejonie Londynu istnienie 1 Amerykańskiej Gmpy Annie, znanej jako FUSAG, która nigdy nie ujrziała światła dziennego. Jednakże oddział Obce Wojska Zachód przydzielił tej Grupie ponad trzy tuziny wielkich jednostek, które nigdy nie istniały i nawet nie były ani razu przez przeciwnika fikcyjnie podgrywane”.

Te najnowsze fachowe publikacje oraz dokumentacje Anglików i Amerykanów na temat skutecznej infiltracji sieci niemieckich agentów i ludzi zaufanych w Europie i w Północnej Afryce - włącznie z niemieckimi agentami w Anglii -potwierdzają, że wspiana robotą wywiadowcza aliantów dokonała bezprecedensowego wprowadzenia w

błąd służb rozpoznawczych sztabu generalnego wojsk lądowych, służb rozpoznawczych Dowódcy Zachód, a tym samym niemieckiego naczelnego dowództwa.

Entscheidung im Wtsten. ** **FUSAG - First US Army Group - Pierwsza Amerykańska Grupa Armii.** ***

Entscheidung an der Küste - die Landung In der Normandie 1944.

John C. Masterman, specjalista w dziedzinie alianckich operacji dezinformacyjnych, w swej pracy *The Double Cross System* stwierdza, że niemiecka sieć agentów w Wielkiej Brytanii pracowała pod kontrolą brytyjskich służb tajnych: „Myśmy mogli bezpiecznie wyszczególnić to wszystko, czego Niemcy nie wiedzieli o naszych przygotowaniach, jak i to, co im było wiadome. To znaczy: Niemcy wiedzieli to, cośmy chcieli, żeby wiedzieli, i wierzyli w to. Przede wszystkim zaś, co rzekomo było otoczone wielką tajemnicą, że pierwsze lądowanie będzie atakiem zwodzącym, a rzeczywista inwazja nastąpi w całkiem innym miejscu -w Pas de Calais”.

Tak więc aliantom udało się za pomocą zakrojonych na światową skalę działań aparatu wywiadowczego - z setkami agentów i współpracowników, z których wielu było dobrymi znawcami niemieckiej psychiki - sparaliżować niemieckie dowództwo trucizną dezinformacji i wywieść na manowce tragicznie błędnych decyzji. Klasyczny przykład tego znajdziemy w dokumentacji Hermanna Piepcra. Wywodzi się to z faktu, że kluczowy agent „Garbo”, uznany za absolutnie pewnego, został przez aliancki wywiad odwrócony i stał się agentem nieprzyjaciela.

9 czerwca 1944 r., gdy decydowały się losy bitwy obronnej na wybrzeżu, to „Garbo” meldował z Madrytu do Berlina, że inwazja jest wprawdzie wielkim atakiem, ale ma tylko charakter zwodzący, dla odciągnięcia uwagi od lądowania w Pas de Calais. Hitler, który się wreszcie zdecydował zabrać z 15 armii i rzucić na front w Normandii trzy dobrze wyposażone wielkie jednostki, mianowicie 1 dywizję pancerną SS, 116 dywizję pancerną i 85 dywizję piechoty, po przeczytaniu meldunku, natychmiast odwołał te rozkazy.

W ten sposób 15 armia, ze swymi 17 dywizjami, pozostała niewykorzystana w tej decydującej fazie bitwy na wybrzeżu, stojąc z bronią u nogi nad niezagrożonym brzegiem kanału, podczas gdy słaby front obronny na wybrzeżu Normandii stał w obliczu załamania się. W ten też sposób agent „Garbo” był pośrednio sprawcą jednej z najfatalniejszych decyzji niemieckiego naczelnego dowództwa. ponieważ wprowadzenie do walki w tych pierwszych trzech kryzysowych dniach inwazji trzech dobrze wyposażonych, wielkich jednostek, pozwoliłoby w istotny sposób zmienić warunki walki.

277.

Pomiędzy Caen i Saint Ló

Rzeczka o nazwie Odon i wzgórze 112

Pomiędzy rzeką Orne a drogą państwową 175, która prowadzi z Avranches do Caen, płynie Odon. Rzeczka, która na południe od Caen wpada do Orne. Kto ją znał przed 1944 r.? Ale ten diabelski strumyk dziesiątkom tysięcy

niemieckich i angielskich byłych żołnierzy przywołuje złe wspomnienia. Były dni, kiedy woda piętrzyła się w nim od ciał poległych.

Anglicy nie chcieli i nie mogli pozostać w tyle za Amerykanami, kiedy 7 korpus Eisenhowera szturmował Cherbourg. Oni też chcieli mieć swoje zwycięstwo. I chcieli je mieć tam, gdzie im tego od tygodni odmawiano: pod Caen, którego zajęcie w planie marszruty Montgomery'ego było wyznaczone na drugi dzień inwazji, na D+1. Tymczasem naliczono już D+16.

W dniu 22 czerwca oddziały brytyjsko-kanadyjskie, po huraganowym, niewyobrażalnym ogniu, przystępują do ataku. Chcą przez rzeczkę Odon szturmować w kierunku Orne, zająć ciąg wzniesień ze strategicznie ważnym wzgórzem 112. a potem atakiem okrążającym zdobyć miasto. Taki był plan.

Brytyjczycy natrafiają na 12 dywizję pancerną SS „Hitlerjugend”. Rozpoczyna się bitwa, która należy do najstraszliwszych w drugiej wojnie światowej. Poszczególne bataliony zostaną rozniesione. Kompanie rozdeptane. Czołgi brytyjskiej 11 dywizji pancernej jadąz furią na niemieckie gniazda dział przeciwpancernych. Włamanie się udaje. Teraz idzie o to, aby je rozszerzyć do doliny rzeczki Odon, wtedy Caen jest stracone, a niemiecki front w Normandii przełamany.

Przeciwko dywizjom pancernym Montgomery'ego stanęły już tylko resztki niemieckich oddziałów, małe grupy, pojedynczy grenadierzy, którzy zalegają w parowach, z pancerfaustem w ręku. Nadjeżdżają Shennany. Jeden, dwa, trzy, cztery- To jest ta osobliwa chwila, w której walkę przeciwko nowoczesnej maszynierii wojennej może jeszcze podjąć pojedynczy człowiek - być może już po raz ostatni w całej historii wojen.

I ten człowiek tam jest. Nazywa się Emil Diirr, ma 20 lat. Nagle wyskakuje z zarośli. Strzela z panzerfausta do Shermana, który staje w płomieniach. Potem

chwyta za ładunek magnetyczny i przybija go do ściany pancерnej drugiego czołgu. Ale ładunek odpada. Ponownie doskakuje do czołgu i przytrzymuje ładunek. Emil Diirr ginie. Trzeci czołg zostaje wykończony przez działo przeciwpancerne. Czwartego znów załatwia panzerfaust. Ale co znaczą cztery czołgi! Stalowe potwory dalej suną, na kompanię rozpoznania naciera ich więcej. Rozgniatają niemieckie armaty przeciwpancerne, kręcą się nad dołkami strzeleckimi i miazdzą wszystko razem z ludźmi. Brytyjska piechota prowadzi z czołgów wściekły ogień i tym samym odpiera atak niemieckich panzerfaustów. Dowódca 12 dywizji pancерnej SS, Meyer, sam stoi z przodu z panzerfaustem przy swej dywizyjnej kompanii dowodzenia. Nagle wybuchy granatów przebija potężny grzmot. I oto toczy się niemiecki „Tygrys”, cud broni pancерnej drugiej wojny światowej. Jeden jedyny. Ale jego armata 88 mm wymusza na Shermanach zatrzymanie się. Zawracają. Chwila oddechu. Ale najak długo?

Także na północ od miasta, gdzie od 6 czerwca walczą grenadierzy i czołgi 21 dywizji pancерnej, zanosi się na pogorszenie sytuacji.

W nocy na 23 czerwca brytyjski oddział uderzeniowy, po ciężkim przygotowaniu artyleryjskim, wdiera się na drodze Douvres-Caen w pozycje obronne 5 kompanii 192 pułku grenadierów pancерnych. Tym samym usunięta zostaje zapor drogowa. Droga na Caen jest wolna.

Ta niebowa wieść podrywa ze snu majora Vierziga, kwaterującego w zamczku de la Londe. - Kontratak! - rozkazuje.

Porucznik Meyer, z częścią kompanii sztabowej 2 batalionu czołgów, wyrzuca Tommies z pozycji niemieckich. Ale ledwie zażegnano to niebezpieczeństwo. pojawiają się nowe na drodze Péciers-Caen, na północny zachód od Chateau de la Londe. Grenadierzy wycofują się aż pod sam zamek. Droga jest wolna. Tommies mogą rozerwać linię ubezpieczeń 2 batalionu czołgów.

Vierzig przywołuje swego oficera łącznikowego, podporucznika Lotze, rocznik 22: - Musi pan tę sprawę doprowadzić do porządku, Lotze, ale w tej niepewnej sytuacji nie mogę panu oddać więcej niż dziesięciu ludzi. - U Lotzego nie widać entuzjazmu, ale ponieważ sądzi, że włamania dokonano siłami plutonu, to z jednym sierżantem i dziesięcioma ludźmi, których sobie dobrał z kompanii sztabowej i z 220 batalionu saperów, da sobie radę.

Zaczynają bładym świtem. Z lewa ubezpiecza sierżant Dietsch z pistoletem maszynowym, z prawa starszy szeregowiec Molier z karabinem maszynowym. Podkradają się pod okop, w którym siedzą Tommies. Lotze chce to załatwić według starej metody wypróbowanej w piechocie: wyskoczyć, okrzyk bojowy, strzelać-wskoczyć do okopu, a potem resztę załatwić za pomocą karabinu maszynowego.

Przekonuje do tego żołnierzy. On wie, że tak trzeba, gdyż czasy ataków z okrzykiem „hurra” już dawno minęły. Wyjaśnia im, że to jest jedyna szansa na powodzenie przeciwko przewadze wynoszącej około trzydziestu ludzi. A więc naprzód. Lotze wyskakuje.

Krzyczy.

Front brytyjski, punkt ciężkości walk Caen. Zgodnie z planem kampanii Eisenhowera, Montgomery miał zająć miasto Caen, kluczowy punkt komunikacyjny, w ciągu pierwszych 24 godzin. Tymczasem bitwa trwa już cały miesiąc. Po zajęciu Cherbourga cel ten miał być w końcu osiągnięty na początku lipca, aby uzyskać swobodę operacyjną do uderzenia na Paryż. Rzeczka Odon, wzgórze 112 - były miejscami krwawych walk na zachodnim skrzydle frontu inwazyjnego. Bitwa

o Caen należy do najzaciętszych w historii wojny.

Pozostali też krzyczą i strzelają, jakby szedł cały batalion.

Angielski wartownik otwiera ogień. Trafia Moliera w udo. Ale ten doskakuje aż do okopu i pozwala terkotać swemu karabinowi maszynowemu.

Pozostali leżą już nad krawędzią okopu i strzelają w niego. Szczeka pistolet Lotzego, granaty z trzaskiem wpadają do okopu. Wtem słychać gwizdek trelowy

I pierwsze ręce idą do góry.

- Przerwać ogień! - krzyczy Lotze. - *Hands up*! I w okopie lecą ręce do góry. Lotze i Dietsch podnoszą się.

- Człowieku! - Ze strachu omal obydwaj z powrotem nie padli na ziemię. To nie dwadzieścia czy trzydzieści ludzi, to cała kompania. Pół tuzina leży w okopie martwych lub rannych, a pozostali trzymają ręce w górze.

Lotze chwytą angielskiego podporucznika, który ma gwizdek podwieszony na szyi. - *How many men?* - pyta. -

Eighty four - 84 - odpowiada Tommy. Lotze nie czuje się najlepiej na myśl o swoich 10 ludzikach. Jeśli się tu

znajdzie dwóch wariatów, to nasza sprawa jest przegrana, przechodzi mu przez głowę. Przywołuje do siebie angielskiego podporucznika i z pistoletem wyjaśnia mu: - Jeśli się tu coś stanie, koniec z tobą! - Ten potakuje. Każę swoim ludziom ustawić się w szeregu. I w kolumnie marszowej idą drogą z powrotem na stanowisko dowodzenia.

Na widok zbliżającego się pochodu, major Vierzig robi wielkie oczy.

W meldunku batalionu czołgów do dywizji z dnia 23 czerwca, który w oryginale zachował się w stanie nieco nadpalonym, mówi się: „Nieprzyjaciel utracił

w czasie tej akcji, razem z zabitymi, około jednej kompanii. Chodziło o kompanię B z 1 South Lancashire Regiment z angielskiej 3 dywizji piechoty. O godzinie 7.00 pozycje obronne 5 kompanii 192 pułku znów były w naszych rękach".

- Tak, byliśmy trochę zwariowani - przyznał później w rozmowie ze mną Oskar Lotze, po wojnie inżynier w Niemczech Południowych. - I kiedy Tommy-podporucznik wyciągnął do mnie ręką na stanowisku dowodzenia, to nic pojąłem, o co mu chodzi. W naszych młodych bohaterskich latach nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że po rozumnie stoczonych bitwach można sobie podać rękę tak samo, jak po meczu piłki nożnej.

W godzinach popołudniowych 27 czerwca, kiedy w Cherbourgu walki dobiegały końca, udało się Anglikom pod Caen, na odcinku 11 dywizji pancerniej, utworzyć przyczółek mostowy za Odonem. Pojedyncze czołgi podeszły pod dywizyjne stanowisko dowodzenia Meyera w Verson. Personel sztabowy przycupnął z panzerfaustami w dołkach strzeleckich. Dalej na południe Brytyjczykom udało się także wziąć most na Odonie. Powoli posuwali się w kierunku wzgórza 112, kluczowej pozycji na tym odcinku.

„Wzgórze 112 musi być utrzymane”, brzmiał rozkaz korpusu. Ma go obsadzić pułk czołgów Wiinschego i nie dopuścić do przełamania się nieprzyjaciela do mostów na rzece Orne.

Pod wieczór 28 czerwca przychodzi wreszcie wzmocnienie do przeciwudarcia: trzy dalsze dywizje pancerne SS! To brzmi obiecująco. Ale tylko tak brzmi, ponieważ kiedy w Holandii i na południu Francji zalegają beczynnie dywizje pancerne, aby powstrzymać wyimaginowane „drugie uderzenie inwazyjne”, to OKW wyciąga 9 i 10 dywizję pancerną SS z ciężkich walk obronnych w Polsce i przerzuca je do Normandii. Ciężko pobita 1 dywizja pancerna SS zostaje przerzucona z Rosji do Belgii, celem regeneracji.

Tymi dywizjami, nieposiadającymi w żadnym wypadku pełnej siły bojowej, dowódca 2 korpusu pancernego SS, obergruppenfuhrer Hausser, ma przystąpić do ataku na silne dywizje uderzeniowe Montgomery'ego i wymusić zwrot w przebiegu walk. Cała nadzieja Hitlera i OKW leży w zahartowanych w wojnie na wschodzie dywizjach SS.

29 czerwca rozpoczyna się od huków ciężkich brytyjskich dział okrętowych. Ich granaty grzmą nad Caen. - Dzisiaj będzie rąbanina - zapowiadają grenadierzy po rzuceniu okiem na niebo. Tam wiszą już niemal na stałe samoloty myśliwsko-bombowe. Jeśli tylko coś się poruszy, natychmiast uderzają w dół. Artyleria brytyjska wstrzeliwuje się także na wzgórze 112; najpierw z wolna, potem już w sposób zmasowany. - Cholera! - klną grenadierzy, przeczuwając także i tu zły obrót rzeczy.

Samoloty myśliwsko-bombowce niczym szerszenie wiszą na czystym niebie. Artyleria okrętowa dudni nieprzerwanie i nęka nadlatującymi salwami, tak że nikt nic słyszy własnego głosu.

- Dobrze się zaczyna! - krzyczą do siebie żołnierze na stanowiskach. Jest ranek 29 czerwca. W Verson rezyduje sztab dywizji Panzer-Mcyra*. Ciągnik działowy gna przez wąskie ulice. Jak jastrząb uderza z nieba „dyżurny samolot szturmowy”. Szczeka armatka pokładowa. Rozbija pokrycie ulicy i dopada wreszcie celu. Ekspłduje amunicja znajdująca się w wozie. Nie ma respektu także dla ambulansu sanitarnego. Ten w mig pali się jasnym płomieniem. Nie udaje się uratować rannych. - Cholerne gówno! - krzyczy podoficer sanitariusz. - Cholerne gówno! - i wysuwa popalone ręce przed twarz. Płacze.

Wzgórze 112 znajduje się pod zmasowanym ogniem artylerii. Czyżby Brytyjczycy chcieli nas uprzedzić i zaatakować i tym swoim atakiem wpaść na nasze pozycje wyjściowe?-Takie myśli chodzą żołnierzom po głowic. I oto czołgi brytyjskiej 2 dywizji i pancernej już wspinają się po zboczach doliny rzeczki Odon. Toczą się w kierunku wzgórza 112. Wierzchołka nic można już dojrzeć. Ciężkie odłamki metr po metrze przeorywują tę urodzajną ziemię.

Teraz staje się jasne: Brytyjczycy uprzedzili atak dywizji Haussera. Nieprzerwany ogień artylerii i nieustające bombardowania lotnicze z hukiem kierują się na niemieckie oddziały, które stoją na pozycjach wyjściowych: to jest to najgorsze, co może się na froncie przydarzyć żołnierzom i dowódcy armii.

Na stanowisku ogniowym 6 baterii 83 pułku moździerzy wielolufowych, zaledwie 800 metrów za wzgórzem 112, brzęczy telefon polowy. Jest tuż po godzinie 9.00. Wachmistrz Doom odbiera. Słucha, kładzie słuchawkę i pędzi do kapitana Gengla, który akurat jest w baterii.

- Panic kapitanie, telefon ze stanowiska obserwacyjnego na wzgórzu 112. Kanonier Kuschow melduje, że czołgi nieprzyjacielskie są już na wzgórzu. Pięć metrów przed jego dołkiem strzeleckim stoi Sherman. Kuschow prosi, aby do niego nie dzwonić. Chce spróbować przebić się. Nie wie, co się stało z porucznikiem Wernickc, podporucznikiem Nitschmannem i pozostałymi trzema żołnierzami ze stanowiska obserwacyjnego. Prawdopodobnie zmiażdżeni.

- Doorn, człowieku, to jest nieszczęście - mruży zmartwiony Gengl. A potem rozkazuje: - Obsługę baterii z wyjątkiem sześciu ludzi przygotować do zadań jak dla piechoty. Utworzyć dwie grupy niszczycieli czołgów. Kanonierzy podchodzą na odległość stu metrów pod wierzchołek 112. Grupa niszczycieli czołgów wachmistrza Dooma podkrada się nawet kawałek dalej. Ale potem odzywa się brytyjski karabin maszynowy, siekąc po zbożu, którym posuwają się kanonierzy. Najpierw dostaje się bombardierowi Trautzemu, potem kanonierowi Krautzowi.

Doom i bombardier Liibbe sporo się namęczyli, zanim wyprowadzili kolegów z linii ognia. Także pozostali musieli się wycofać. Tonimies mają już na wzgórzu nie tylko parę czołgów, ale też działa przeciwpancerne i część batalionu karabinów maszynowych.

* Pancerny Meyer, przydomek dowódcy 12 dywizji pancerniej SS „Hitlerjugend”.

Moździerze te jako skuteczna broń były używane w wielu odmianach. „Urządzenie miotające 40"* było na przykład tylko rusztem z prętów drewnianych i żelaznych, który jednocześnie służył jako opakowanie dla granatu ważącego 83,6 kilograma. „Muł"*** był moździerzem dziesięciolufowym zmontowanym na opancerzonym pojeździe gąsienicowym.

Wszystkie te typy moździerzy żołnierze niemieccy na froncie wschodnim nazywali „niemieckimi organami Stalina" - stanowiły one wielką pomoc dla piechoty. Stosowano je zawsze skupione w większą grupę w punktach strategicznych, tuż za przednim skrajem frontu, gdyż ich donośność była znacznie mniejsza niż artylerii. Bywały też rozmieszczane za frontem, w odległości od 1900 do 10 000 mcti "ów. To zastosowanie na użytek frontu niesło ze sobą straty równie wysokie jak w piechocie. Ten fakt mówi więcej o duchu bojowym i ofiarności żołnierza walczącego tego rodzaju bronią niż jakiegokolwiek słowa.

Panzer-Lehr przerzucona na Saint L6

30 czerwca czołgi Maxa Wiinsche odebrały Brytyjczykom wzgórze 112. Walka o Caen trwała nadal. Front się trzymał. Trzymano się także na sąsiednim zachodnim odcinku pod Tilly, o które toczono zacięte boje. Tam z trzema elitarnymi dywizjami Montgomery'ego walczyła dywizja Bayerlcina Panzer-Lehr. Podobnie jak pod Caen, także tutaj grenadierzy leżeli w dołkach ziemnych koło swoich dział przeciwpancernych lub siedzieli w czołgach i nie ustępowali. Trzymali się pod Hottot i pod Vcndes. Odpierali ataki czołgów z 2 dywizji pancernej i piechoty z 49 i 50 dywizji wojsk Montgomery'ego.

2 lipca, tego niefortunnego dnia, został pochowany dowódca 7 armii, generał pułkownik Dollmann. Zmarł na atak serca. Miał 52 lata.

Mówi się, że z rozgoryczenia z powodu przesłuchań, jakim był poddawany po wylądowaniu aliantów. Nie doczekał swego odwołania, zażądanego przez Hitlera. Jego następcą został obergruppenfuhrer i generał Waffcn-SS Paul Hausscr, człowiek, który wywodził się z dawnej Reichswehry, tam był już generałem porucznikiem. I tak oto, jako pierwszy oficer oddziałów Waffcn-SS, został dowódcą armii.

Błękitny list dotarł 2 lipca także do von Rundstedta. Jego następcą został 68-Ielni senior feldmarszałków Hitlera, feldmarszałek von Kluge, który był już w drodze.

Generał Geyr von Schweppenburg został tego samego dnia 2 lipca odwołany z dowództwa Grapy Pancernej Zachód. Był to więc dzień pełen dramatycznych napięć. Dzień kozłów ofiarnych!

* Niemiecka nazwa *Wwjger&t 40*. ** Niemiecka nazwa *Maultier*.

W tym dniu front inwazyjny miał długość 130 kilometrów. Front ten trzymało 21 wykrwawionych niemieckich dywizji. Montgomery atakował je 35 dywizjami, aby wydostać się w przestrzeń francuską.

Na generała Bayerleina także już czekał nowy, trudny rozkaz. Brzmiał on: pozycje pod Tilly należy natychmiast przekazać dywizji piechoty. Przy pozostawieniu na miejscu jednej trzeciej czołgów, niszczycieli czołgów i artylerii, dywizję tę przerzucić na front amerykański, do rejonu Saint Lô.

Bayerlein nie mógł tego pojąć. Co spowodowało, że Dowódca Zachód nakazał rozszczępienie silnej, bojowej dywizji? Czyżby pod Saint Lô było aż tak źle? A jeśli nawet - to czy nie udałoby się znaleźć jakiegoś innego rozwiązania na sprostanie rozwojowi wydarzeń?

Dziennik bojowy Rommla naświetla te wszystkie troski, jakie istniały w Grupie Wojsk. Jak na odcinku brytyjskim punktem kluczowym było Caen, tak w sektorze amerykańskim stało się Saint Lô.

Stolica departamentu Cotentin, Saint Lô było taktycznie ważną komunikacyjną pajęczyną. Spotykały się w nim cztery drogi państwowe, do tego liczne drogi drugiej kategorii. Wszystkie biegną ze wzgórz do głęboko wciętej doliny Vire i w pobliżu dworca kolejowego przechodzą przez jeden jedyny most na rzece. Tylko przez ten most można było przerzucać siły z jednego brzegu na drugi. Pomimo wielokrotnych bombardowań ta strategiczna, wyjeżdżona droga była tylko nieznacznie uszkodzona. Wokół wszystko tonęło w ruinach: dworzec, hotel Normandie, rzeźnia korpuśna. To, co przetrwało, to most! Czy nieprzyjaciół zechce go teraz wziąć w posiadanie? Tak. I to jest to najgorsze!

Saint Lô! Który z żołnierzy, jacy wtedy byli na półwyspie, nie zna tego miasta? Przed 6 czerwca wielu z nich wydało tam sporo pieniędzy z żołdu podczas odwiedzania go w trakcie słynnej „normańskiej przerwy na odsapnięcie”, gdzie była pieczeń barania i filet wołowy, a potem parę calvadosów.

Stara katedra spoglądała na mieszkańców z powagą. Domy rzemieślników oddychały pokojem. Ale na początku lipca po pokoju nie było już śladu. Także i tutaj zawitał diabeł, a z nieba szło piekło.

Anglicy na pożegnanie frontu pod Tilly przez Panzer-Lehr przygotowali jeszcze jedną specjalną niespodziankę: oto stanowisko Bayerleina, znajdujące się w małym chłopskim domu pod Monts, które przez 20 dni trwało w stanie nienaruszonym, nagle o godzinie 22.00 zostało wzięte pod bardzo ciężki ogień artylerii. Atak ogniowy za atakiem. Granaty waliły w pojazdy gotowe do drogi. Dwa łaziki stanęły jednocześnie w ogniu.

- Kryć się!

Oficerowie sztabowi, łącznicy, kierowcy, radiotelegrafiści - wszyscy skakali do okopów i schronów ziemnych. Ostrzał trwał ponad dwie godziny. Łączność z oddziałami dywizji została przerwana. Wreszcie przerwę w ostrzale można było wykorzystać do wymarszu.

Rankiem 3 lipca Bayerlcin znów pozbiierał swój sztab. Nowe stanowisko dowodzenia znajdowało się teraz pod Villers-Bocage, tam gdzie w pierwszych dniach inwazji samolot myśliwsko-bombowy zaatakował samochód sztabowy Bayerleina. Minęły od tego czasu cztery tygodnie. I dywizja znów była tutaj. Jak na karuzeli. Krwawej karuzeli. Ciekawe, jak długo jeszcze będzie się ona kręciła?

Żołnierze pytali inaczej: -Uszliśmy z piekła pod Tilly, czy też zostaliśmy przeniesieni do innego? - Adiutant dywizji, major Wrede, słysząc to pytanie mimochodem zauważył: - Boję się, że trafiliśmy z deszczu pod rynnę. - I miał rację.

Czołgi opuściły swoje stanowiska dopiero po zapadnięciu ciemności. - Ostrożnie, ostrożnie, aby Tom my znów nie okazał się zbyt wścibski. - Taki obowiązywał nakaz. Ludzie klną po cichu. Każdy żołnierz zawsze przeklina oderwanie od miejsca, do którego przywykł. Pancerniacy przyglądali się „nowym” z dywizji piechoty, którzy z mieszanymi uczuciami obserwowali przygotowania do wymarszu. Wreszcie kolumna mszyła. Kilka kilometrów za własnymi pozycjami skręcili na zachód.

Jest ciemno. I ten uciążliwy marsz. Czasami mogą jechać tylko w tempie marszu pieszego. Dowódcy czołgów idąpieszo przed czołgami. Wystrzały artylerii rozświetlają mrok niczym błyskawice.

- Sylwestrowy fajerwerk - mruczy pod nosem kapral Westphal w drugim czołgu 8 kompanii.

- Piękny mi sylwester - śmieje się starszy szeregowiec Linke.

- Dosiego Roku - woła kierowca Kordass do mikrofonu krtaniowego. Nikt dokładnie nie wie, dokąd jadą. Nikt w nocy nie jest w stanie zidentyfikować odcinków dróg, przez które przejeżdżają. Podjechać. Zatrzymać się. Dalej. Żadnego światła. Żadnego papierosa. Żadnej latarki. Widoczne są tylko słabe, zaciemnione, tylne światła rozpoznawcze, dzięki czemu kierowca się nic zdrzemnie. Westphal, w wieży, wyciąga z kieszeni swoje organki, uderza dwukrotnie ustnikiem w dłoń, aby usunąć kruszynki chleba. I gra ulubioną pieśń 8 kompanii: *Unter einem Regenschinn am Abend...* * Dźwięki cicho płyną w słuchawkach.

Po jeździe nocą świta chłodny, zamglony ranek. Kiedy kontury czołgów stają się wyraźniejsze, to sygnał do wystawienia obserwatorów przeciwlotniczych. Potem jest znak do zatrzymania się. Omówienie sytuacji. Rozkaz: „Jedziemy dalej w każdych warunkach, także podczas ataku. Marsz należy kontynuować. Wozów uszkodzonych nie holować, ponieważ to hamuje prędkość kolumny. Podczas ataku lotniczego strzelać ze wszystkich środków ogniowych! Do samolotów myśliwsko-bombowych strzelać także z dział czołgowych. Wsiadać! Czołgi marsz!” Po niebie pędzą nisko wiszące chmury. Obserwatorzy, przemęczeni, wskakują na wozy. Kapral Westphal przekazuje dowodzenie swemu celownicemu

* „Wieczorem pod parasolem... ”

i kładzie się na „plecak”, czyli na metalową skrzynkę z żywnością, która jest przyśrubowana z tyłu przy wieży. Naciąga na siebie płaszcz. Mała drzemka!* Około godziny 11.00 kapral zrywa się. Samolot myśliwsko-bombowy. Leci niecałe dwadzieścia metrów nad wozem. Atakuje poprzednika. Westphal wyskoczył w górę, choć jeszcze nie doszedł do siebie po drzemce. Traci równowagę. Spada z czołgu. Wścieka się, lecz nie o upadek mu chodzi. - Chmury sięgają niemal do ziemi - mamrocze - a te bestie jednak latają! - Klnąc, wspina się z powrotem na czołg. - Włazy zamknąć! Przygotować karabin maszynowy do strzelania do samolotów! - rzuca rozkazy. Z przodu już trzaska. Ale wóz 812 ma szczęście. Granaty przeorują rów przydrożny. Ten facet zawraca. - Ognia! - Karabin maszynowy ściga go.

Wróci! I prawdopodobnie sprowadzi paru innych pomocników. - Podjedź! -Szczęście im sprzyja: szczęście, którego żołnierz w równym stopniu potrzebuje jak razowego chleba. Duszna pogoda, chmury, zaczyna kropić deszcz - wszystko to działa jak zasłona maskująca. A kiedy się rozjaśnia, wjeżdżają w sad i pod rozłożystymi koronami drzew „maskują się” gałęziami. Pod wieczór, nie niepokojeni, osiągają rejon Saint Ló. To graniczy z cudem!

Caen pada

Jak tragiczne skutki niesie z sobą strategia rozwiązań dorywczych i operowanie zbyt małą liczbą dywizji, pokazują następne 24 godziny po wyciągnięciu Bayerleina z frontu pod Tilly. Jego ostatnie oddziały jeszcze nie osiągnęły Saint Ló, kiedy na opuszczony odcinek Tilly-Caumont, jak również na stanowiska 16 dywizji polowej Luftwaffe oraz 12 dywizji pancerniej SS pod Caen mszyła wielka brytyjska ofensywa. Zmagania ciągnęły się całymi dniami. Na odcinku jednej dywizji spadło w ciągu dwóch godzin 20 tysięcy granatów artyleryjskich.

8 lipca rozpoczął się wielki atak brytyjskiej 2 armii na Caen. Niewyobrażalny grad bomb i zmasowany atak artyleryjski przewodziły głównemu kierunkowi uderzenia piechoty, wspieranej przez kliny pancerne i czołgowe miotacze ognia.

16 dywizja polowa Luftwaffe została rozbita już pod gradem bomb. Broń przeciwlotnicza została zgruchotana. Polegli wszyscy dowódcy batalionów. Straty wyniosły osiemset ludzi. Z determinacją biły się pojedyncze kompanie strzelców, bez łączności z dywizją i swymi punktami oporu. Na północnym skraju Caen widziano samotnego generała Sieverssa poszukującego swoich pułków.

9 lipca Brytyjczycy wdarli się do całkowicie rozbitych bombami północnych przedmieść Caen. Na zachodzie front też się chwia, mimo że oddziały SS walczyły z dużą zaciętością, z jaką według ocen alianckich nie walczono dotąd na

* Po niemiecku: *Etnę Miilzc voll Schlaf*- pełna czapka snu.

KM

całym froncie inwazyjnym. Oni chcieli wykonać rozkaz Hitlera: „Caen musi być bronione do ostatniego człowieka”.

Na lotnisku 50 grenadierów, resztkę jednej kompanii 1 batalionu 26 pułku grenadierów pancernych SS, wczepiło się w ruiny domów starej normañskiej wioski, zbudowanych z kamienia ciosowego. Nie dopuścili ani na krok Kanadyjczyków atakujących trzema batalionami wspieranymi przez czołgi.

Na ruinach Buron, na północny zachód od Caen, żołnierze Meyera powstrzymywali ataki kanadyjskiej 3 dywizji. Grenadierzy 3 batalionu walczyli o każdą piędź ziemi. Ale w pobliżu Buron Kanadyjczykom udało się przełamanie. Walka wygasa. Kanadyjski oręż panuje nad wjazdem do klasztoru Ardenne, gdzie znajduje się stanowisko dowodzenia dywizji i gdzie w głębokich piwnicach klasztornych leżą setki rannych. Meyer chce się tutaj utrzymać za wszelką cenę, aby móc w nocy odtransportować rannych.

3 kompania 12 pułku czołgów obersturmführera von Ribbentropa próbuje zatrzymać włamanie, ale nie może przejść przez silny front dział przeciwpancernych i traci trzy czołgi.

Kiedy brytyjski oddział pancerny niespodziewanie uderza wprost na Ardenne, to Pantery 3 kompanii są ostatnim ratunkiem. Rudolf von Ribbentrop - kawaler Krzyża Rycerskiego od czasu słynnej bitwy pancernej w 1943 r. pod Prochorowką w rejonie Kurska - jedzie swymi Panterami według utartego schematu wziętego z frontu wschodniego. Rozbija ogniem dział całą grupę atakującą i broni stanowiska dowodzenia dywizji. Shermany płoną zaledwie jakieś sto metrów od klasztoru.

Za przykład niewiarygodnej wprost zaciętości tych walk służyć może działanie bojowe 1 baterii dział przeciwlotniczych 12 dywizjonu artylerii przeciwlotniczej SS we wsi Crussy pod klasztorem Ardenne. Anglicy zmuszeni byli, w obfitującej w straty walce wręcz, brać działą za działem. Hauptsturmführer Ritzel stał jako celowniczy przy swoim dziale 88 mm. Zestrzelił jeszcze trzy Shermany. W końcu, z sześcioma zaledwie ludźmi, bronił swego stanowiska w walce wręcz. Bili się zaciekle łopatkami saperskimi i kolbami karabinów. Bezsens? „Nie!” Mówi meldunek bojowy dowódcy dywizji: „Zapora ryglowa tej baterii umożliwiła odtransportowanie rannych z klasztoru Ardenne”.

Ale gdyby nawet pozwolić na wybicie całej dywizji „Hitlerjugend” - to przeważające siły Montgomery'ego pod Caen były i tak nie do powstrzymania. 84 korpus zabronił dowódcy dywizji Meyerowi opuszczenia dzielnic miasta położonych na zachód i północ od rzeki Orne z powołaniem się na rozkaz fuhrera. Ale teraz ten zwykle tak zdyscyplinowany żołnierz postąpił wbrew rozkazowi i przygotował ewakuację. „My mieliśmy obowiązek umierać

w Caen, ale było nie do przyjęcia wysyłanie tych chłopców na śmierć gwoli bezsensownego rozkazu", powiedział później autorowi.

Wczesnie rano o godzinie 3.00 korpus zezwolił wreszcie na opuszczenie całkowicie zniszczonych części miasta, północnej i zachodniej. Bunkry zostały wysadzone w powietrze. Wycieńczone walkami oddziały wycofały się za Orne. W godzinach popołudniowych w miny miasta zaczęły ostrożnie wchodzić pierwsze brytyjskie patrole rozpoznawcze. Montgomery nareszcie opanował miasto. Był tam, gdzie miał już być 7 czerwca. Na pokonanie dwunastu kilometrów, które planował przebyć w ciągu pierwszego dnia, potrzebował ponad miesiąc czasu! Ofiary były większe, niż brytyjski sztab generalny szacował dla całej kampanii aż do Berlina. Niemniej jednak Caen padło. Ale przełamanie i uderzenie poprzez Orne znów się nie udało, nic opanowano terenu do walnej bitwy pancernej i do otwarcia operacji w kierunku Paryża.

Niemiecki front ustabilizował się. Rommel w wielkim pośpiechu budował ułę-boko urzutowaną pozycję obronną. W walkach o Caen okazało się, że Brytyjczycy i Kanadyjczycy nie rozumieli zasad nowoczesnej wojny pancernej. Na przykład, ostrożnie wprowadzali swoje czołgi do wsparcia piechoty, zamiast uruchomić szybki rajd pancerny, choćby na mosty na rzece Orne, celem powalenia słabych sił niemieckiej obrony. To było jedną z przyczyn skuteczności niemieckiej obrony na froncie pomiędzy Caen a Saint Ló za pomocą tak słabych sił.

Pod Saint Ló i w lesie pod Mont Castre

Stosownie do krwawych i zmiennych zagryweczek pomiędzy wschodnim a zachodnim skrzydłem frontu inwazyjnego, Eisenhower postanowił wykorzystać zaangażowanie niemieckich odwodów pod Caen do rozpoczęcia przez amerykańską 1 armię ataku na jej prawym skrzydle, na półwyspie Cotentin. Strategia sprzymierzeńców polegała na ciągłej zmianie stron silnego zaangażowania. W ten sposób niemieckie dowództwo zmuszone zostało do nieustannego przerzucania ciężkich odwodów pancernych jako „straży ogniowej” i tym samym do przedwczesnego ich zużycia. Nie starczało sił pancernych na oba fronty. Jeśli wojska walczyły pod Caen, to Amerykanie mieli ułatwione zadanie w rejonie Saint Ló. Jeśli się skoncentrowało siły pod Saint Ló, to zagrożony był front pod Caen. Rommel miał rację, grząc pod adresem OKW w dniach kryzysu na początku lipca: „Oni nie mogą ode mnie oczekiwać, że jedną czwartą stanu dywizji zatrzymam trzy atakujące dywizje amerykańskie!”

Mówiąc to, Rommel miał na myśli sytuację w lesie pod Mont-Castre-Désert. W historii 353 dywizji piechoty i 15 pułku strzelców spadochronowych ten las pod Mont-Castre zajmuje miejsce szczególne, jako krwawe pole bitwy.

Amerykanie przejechali przez słabe niemieckie ubezpieczenia. W celu wsparcia chwiejącego się frontu wprowadzono do walki 15 pułk strzelców spadochronowych pułkownika Gróschke. Sami młodzi rekruci, tuż po przeszkoleniu. Ale trzymali się i zamknęli włamanie. Główne uderzenie skierowane było na 353 dywizję generała porucznika Mahlmana. Dywizja broniła się na froncie szerokości 15 kilometrów po obu stronach

"mu

La-Haye-du-Puits. Te 15 kilometrów miało być bronione przez cztery bataliony piechoty i dwa dywizjony artylerii. Samego miasta La-Haye bronił 353 batalion saperów kapitana Pillmanna. Saperzy niczym łamacz fal stawiali czoło dziesięciokrotnej przewadze. Było ich tam jeszcze 40 ludzi, kiedy Amerykanie usadowili się w północnej części miasta.

7 lipca zaczął się gnuśnym porankiem. Była to pogoda, jaką lubili niemieccy żołnierze, ponieważ dawała jakieś zabezpieczenie przed samolotami myśliwsko-bombowymi. Ale za to czyhały inne niespodzianki.

Zanim niemieccy obserwatorzy artylerijscy zauważyli w ponurym półmroku, co się święci, to o godzinie 4.30 oddziały szturmowe amerykańskich 30 i 9 dywizji niespodziewanie przekroczyły kanał Vire-Taule przez prowizorycznie naprawiony most. Na innym odcinku Amerykanie przeprawili się przez kanał na łodziach desantowych. Szybko wzięto Saint Jean-de-Daye. Uderzenie doszło do Le-Désert. Było jasne, o co chodziło Eisenhowerowi: za pomocą jednego potężnego ruchu kleszczowego chciał wypchnąć z Saint Ló dwie niemieckie dywizje.

Początkowo sprawa wyglądała pomyślnie dla Amerykanów. Dlatego też Eisenhower wprowadził jeszcze do walki 3 dywizję pancerną, która przysięgała pola zbożowe na północny zachód od Saint Ló. Ale atak 2 dywizji pancernych SS w dniu 9 lipca zastopował marsz Amerykanów; dalszy ciąg natarcia siłami dywizji Panzer-Lehr wyznaczono na 11 lipca. Miał on odciąć siły amerykańskie, które w wyniku uderzenia przeszły przez rzekę Vire. Śmiały plan. Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z nim. Pułkownik Gutmann uderzył frontalnie 902 pułkiem grenadierów pancernych i 20 czołgami na amerykańską 30 dywizję. Na lewo od niego pułkownik Scholze z 901 pułkiem grenadierów pancernych jechał na głęboką flankę amerykańskiej 9 dywizji. 12 czołgów typu Pantera i kompania dział przeciwpancernych nadawały jego atakowi siłę przebicia. „Wreszcie znów jedzie się do przodu!”, wołali dowódcy przez radio.

I rzeczywiście szło się naprzód. Kapitan Philipps ze swymi czołgami już około godziny 6.30 był trzy kilometry poza liniami nieprzyjacielskimi. Rozjechał dwa batalionowe stanowiska dowodzenia. Okrążył część jednego pułku amerykańskiej 9 dywizji i wziął ludzi do niewoli. I z miejsca jechał dalej w kierunku kanału Vire. Pod Le Desert grenadierzy Bayerlina wiązały duże siły amerykańskie, które utkwilyby w worku na straconej pozycji, gdyby czołgi kapitana Philippsa osiągnęły kanał.

Gdyby...

Bitwa toczyła się tu i tam, w sadach i parowach. Czołgi często stały naprzeciw siebie w odległości 100 do 150 metrów. I znów-jakże często-okazało się, że niemieckie wyższe dowództwo dla tego śmiałego planu wydzieliło

zbyt małe siły. Dywizja Panzer-Lehr jeszcze tylko na papierze była dywizją. Prawdę rzekłszy, to w toku wyniszczających bitew jej siła bojowa stopniała do jednej trzeciej. I ta jedna trzecia miała odrzucić trzy amerykańskie dywizje!

Front amerykański, punkt ciężkości walk to Saint Ló. Podobnie jak Anglicy pod Caen, tak na skrzydle zachodnim Amerykanie próbowali pod Saint Ló przełamać niemiecki front zaporowy. Do przełamania przystąpiło tutaj osiem dywizji. Były włamania we front, ale nie uzyskano decydującego przełamania. Niemiecka kontrofensywa groziła nawet odcięciem sił amerykańskich, które pomiędzy Vire i Saint Ló posunęły się zbyt daleko do przodu. W toku krwawych walk front niemiecki utrzymał się.

Wraz z popołudniowym wypogodzeniem pojawiły się samoloty myśliwsko-bombowe. Sunęły nad polami i drogami. Zmuszały niemieckich grenadierów do ciągłego krycia się. Większa odległość rażenia niemieckich czołgów nie zdała się na nic. Grenadierzy nie nadążali za nimi. Operacja utknęła. Przy zapadających ciemnościach okazało się, że z 32 niemieckich czołgów 20 wyeliminowały z walki samoloty myśliwsko-bombowe. Straty przekroczyły 500 ludzi. Kapitan Philipps, doświadczony i wielce zasłużony dowódca 1 batalionu w pułku Panzer-Lehr, dostał się do niewoli. Zrozpaczeni i zrezygnowani grenadierzy leżeli za żywopłotami, wałami ziemi, parowami i w łąkach zboża. - Co, dalej, chyba nie da rady? - pytali się wzajemnie. Nie, dalej już nie da rady. Mimo to pod Saint Ló i w lesie pod Mont-Castre zadali aliancom tęgi cios. Amerykańska ofensywa miała doprowadzić do wyrwania się z półwyspu Coten-tin. To się jednak nie powiodło, a oprócz tego dywizje amerykańskie poniosły bardzo ciężkie straty.

A jak to wyglądało po drugiej stronie tego młyna, na froncie pod Caen?

Także i tam ofensywa aliancka nie posunęła się naprzód. Dywizje Montgo-mery'ego zaległy. Nie przeszły przez Orne, a tym samym nie wyszły z terenów zakrzewionych na wolną równinę pod Falaise.

Niebawem miało się okazać, jak bardzo te ciosy odwetowe i zawiedzione nadzieje odbiły się na nerwach alianckiego dowództwa. Alianckie naczelne dowództwa w Londynie i Waszyngtonie mówiły o kryzysie. Jest rzeczą wielce pouczającą czytanie urzędowych amerykańskich i brytyjskich relacji oraz meldunków sytuacyjnych z tamtych dni, zwłaszcza dzisiaj, kiedy każdy myśli, że zwycięstwo aliantów w Normandii ani przez sekundę nie ulegało wątpliwości i nie było niczym zagrożone.

Nawet samego Eisenhowera dręczyły obawy, że jeśli Niemcy dla wzmocnienia frontu przetrzucą swojapiechotę z południowej Francji - a obecnie mieli czas ku temu - to trudno przewidzieć, co może się zdarzyć. Być może to, że alianci jeszcze na początku zimy byłiby przygożdżeni do swoich przyczółków lądowania, bez możliwości wykonywania ruchów właściwych dla operacji obejmujących wielkie przestrzenie. Potem pogorszenie się pogody wyłączyłoby z walki bombowce, a zwłaszcza samoloty myśliwsko-bombowe. Tym samym z gry wypadłaby główna broń aliantów, wymanewrowana przez generała Zimę!

Takie ponure myśli zaprzętały głowy w sztabach alianckich. Krążyło po nich, wieszcząc zło, hasło „zesztywnienie frontu”. W prasie amerykańskiej ukazywały się artykuły, w których trudno było nie zauważyć przejawów zniecierpliwienia i niezadowolenia.

Niemiecki piechur nie zdawał sobie z tego sprawy - co nie dziwi. Ale jeśli niemieckie naczelne dowództwo nie wyciągnęło z tej sytuacji wniosków - to ten fakt jest doprawdy zadziwiający. Ponownie daje o sobie znać zawodność niemieckich służb wywiadowczych.

Jest to wprawdzie trudne do uwierzenia, ale w najwyższych sztabach niemieckich, schodząc w dół aż do Dowódcy Zachód, nadal wierzono w drugą inwazję w Pas de Calais. I nadal pozostawiano tam beczynn timer pełnokrwiste dywizje, zamiast przetrzucić je na ciężko walczący front - czego tak się obawiał zaniepokojony Eisenhower.

Cieszyłby się i byłby spokojny, gdyby przeczytał „decyzję Fiihrera” z dnia 8 lipca i dowiedział się, w co wierzył Hitler i jego OKW. A mianowicie: „Z tego powodu, pomimo całego ryzyka, istnieje zwiększone prawdopodobieństwo drugiego lądowania przeciwnika na odcinku 15 armii (w Pas de Calais), gdyż opinia publiczna będzie się domagała wykluczenia z działań stanowisk ogniowych broni V ostrzeliwujących Londyn”.

Jakaż błędna dyspozycja strategiczna!

Czegoś takiego alianckie dowództwo nie mogło sobie wyobrazić i nadal pełne niepokoju pozostało ze swoimi wielkimi troskami, obawiając się, że pełnokrwiste niemieckie dywizje pancerne pojawią się przed frontem amerykańskim. Takim posunięciem zostałby zagrożony cały plan alianckiego sztabu generalnego przewidujący wyłom na prawym skrzydle. Amerykański Guderian, generał George S. Patton, w tej samej godzinie stał już w

gotowości ze swoją nowo przewiezioną 3 armią. Niemieckie naczelne dowództwo i główna kwatera fiihrera ułatwiły mu zadanie. A to, że zwycięstwo pomimo wszystko przyszło z trudem, było zasługą dzielnic walczących niemieckich oddziałów frontowych.

Operacja „Good Wood”, „Dobre drzewo”

Co robi nieprzyjaciel? Od tego pytania zaczyna się wszelka strategia. Z tego żyją całe armie szpiegów. Natomiast centrale tych tajnych operacji nazywają się wywiadem*. Alianci używają nazwy „Intelligence”. Także front potrzebuje swojej własnej służby wywiadowczej: patroli rozpoznawczych, rozpoznania lotniczego, służby nasłuchu radiowego, rozpoznania siłowego polegającego na chwytności jeńców (braniu, języka”), oceny zdobycznych dokumentów. Wszystko to, w zakresie dotyczącym walczącej jednostki, ma za zadanie zgłębienie zagadki: czego chce nieprzyjaciel? Wszelkie uzyskane informacje zbierają się na stanowisku bojowym szefa rozpoznania. Szef rozpoznania jest oficerem, który opracowuje wiadomości o nieprzyjacielu**. U niego się gromadzi i ocenia wszystko, co dotyczy zamiarów nieprzyjaciela i pozwala wyciągać z tego wnioski. Szef rozpoznania to swego rodzaju tygiel alchemika. Wyłuskać z dostarczanego mu materiału to, co jest prawdziwe, odróżnić złoto od imitacji. Na tym polega jego zadanie. Wspomaga go cenny dar wyobraźni i niedowierzenie z zasady.

Ale niemieckie dowództwo nie zawsze doceniało i odpowiednio troszczyło się o rozpoznanie. Nie oczekiwano zbyt wiele od tych „specjalistów”. Na szczeblu poniżej pułku sprawy te załatwiał oficer łącznikowy, niejako w charakterze zajęć ubocznych. Jakże inaczej wyglądało to po drugiej stronie. U Amerykanów aż do szczebla batalionu był etatowy żołnierz, który opracowywał dane wywiadowcze. Szef rozpoznania przy niemieckim Dowódcy Zachód, podpułkownik sztabu generalnego Meyer-Detring miał do pomocy zaledwie 9 oficerów, podczas gdy amerykański „Chief Intelligence Officer”, pracował z dziesięciokrotnie większą obsadą. To też jakiś pouczający przykład!

W parowie, na amerykańskim odcinku frontu, na południowy wschód od Periers, stoi niemiecki wóz dowodzenia pokryty malaturą maskującą w formie licznych esów floresów w tonacjach zieleni i brązu. Należy on do batalionu dowodzenia 84 korpusu.

Okna ma spryskane błotem od bliskich uderzeń nieprzyjacielskiej artylerii. która z właściwym sobie rozrzutnym nakładem wymacuje teren. Każdy ruch w eterze jest namierzany, wydeptane ścieżki są obfotografowane, a potem ich śladem zostaną wysłane samoloty myśliwsko-bombowe albo odezwie się artyler-

* Autor używa w tym miejscu nazwy *Abwehr*. Taką nazwę nosił wówczas wywiad niemiecki. Ale nazwa *Abwehr* w jęz. niemieckim oznacza też obronę aktywną polegającą na czynnym odpieraniu przeciwnika. Tak więc nazwa niemieckiego wywiadu oznacza prowadzenie tajnej obrony aktywnej, obejmującej także tereny przeciwnika. [Trudność przekładu polega na tym, że w każdym państwie centrala wywiadu ma inną nazwę].

** Oficer rozpoznania daje obraz nieprzyjaciela.

o n

ria. Mieli to wszystko. Także dziś, 13 lipca, cały czas samoloty myśliwsko-bombowe krążą po niebie.

Major I Iayn, szef oddziału rozpoznania 84 korpusu, przebiega skulony ze swym ordynansem przez sad jabłoni i wysoką trawę do omnibusu dowódcy, w którym wraz ze swymi pomocnikami pracuje szef oddziału operacyjnego korpusu, podpułkownik von Criegem. Kwatera Hayna znajduje się kilometr dalej na zachód. w fermie, w małej, samotnie stojącej zagrodzie chłopskiej.

Generał Dietrich von Choltitz, następca generała Wilhelma Fahrmbachera, dowodzi korpusem od 15 czerwca, przyjmuje swego szefa rozpoznania słowami:

- No, I Iayn, co pan tam znów przynosi nieprzyjemnego?

Major kładzie na stole dwa szkice.

- Panie generale, to są zdobycze z wczorajszego dnia 12 lipca. - Palce ślizga się po grubej kresce, markującej przedni skraj obrony i wskazuje na zaznaczony na czerwono amerykański odcinek frontu. - Cały ten obszar na południe od Ca-rcnlan jest objęty ciszą radiową. Jest to, jak wiemy, rejon amerykańskich korpusów 19 i 7. To pozwala wnioskować o ich przegrupowaniu. Na północy do odcinka 243 i 353 dywizji stwierdzono duży ruch radiowy. Stąd na południe wstrzeli-wują się przez aparat nasłuchowy nowo zlokalizowane baterie nieprzyjacielskie. Na prawym skrzydle od paru dni nie stwierdza się obecności amerykańskiej 1 dywizji, przypuszczalnie zluzowana. Generał przygląda się uważnie szkicom. - A co z dzisiejszymi zdobyczami? - pyta.

- Zmiany różnego rodzaju - odpowiada major. - Według meldunków agentów duży ruch w kierunku południowo-wschodnim przez przesmyk pomiędzy terenami zalanymi. Dwaj jeńcy nosili oznaki amerykańskiej 3 dywizji pancernej. Jakiś poległy miał w kieszeni list ze stemplem APO 1, a więc Army Post Office of the P'Division. Zgodnie z tym dywizja nie byłaby zluzowana, lecz przerzucona na środek naszego frontu. Zdobyczne dokumenty pozyskane przez członków 17 dywizji grenadierów pancernych SS „Götz von Berlichingen” wskazują, że szerokość frontu amerykańskiego 7 korpusu została znacznie zmniejszona. Wreszcie podejrzane są liczne zdjęcia z użyciem światła magnezjowego, wykonywane w nocy przez samoloty rozpoznawcze. Dużo do myślenia daje ostrzał wzgórz, mogących być w ich mniemaniu punktami obserwacyjnymi, w środkowym odcinku frontu; prawdopodobnie chodzi im o wyłączenie naszych stanowisk obserwacyjnych. Nawet pojedynczo stojące zagrody były po raz pierwszy ostrzeliwane.

W tym miejscu szef rozpoznania myśli o farmerze Alphonse Lclu, gospodarzu swej kwatery, który wczoraj został ogniem artylerii przepędzony z własnego sadu do piwnicy.

Ten stary żołnierz Legii Cudzoziemskiej nieźle sobie ulżył przeklinając wojnę i armaty wyzwolicieli.

- Jak pan ocenia sytuację? - pyta Choltitz.

- Panie generale, wyraźnie widać po tym przygotowania do ataku. To się pokrywa z oceną sytuacji Dowództwa Zachód, gdzie już w poprzednim tygodniu

Zakrojona na szeroką skalę brytyjska ofensywa lipcowa „Good Wood”. miała spowodować załamanie się frontu niemieckiego pod Caen i doprowadzić Anglików do Paryża. Na przyczółku

mostowym o wymiarach pięć na pięć kilometrów zgromadzono cały korpus z tysiącem czołgów.

18 lipca rozpoczął się wielki atak.

-) ii

uważano, że po uwolnieniu nieprzyjacielskich sił w wyniku upadku Cherbourga, najpóźniej w połowie lipca należy się liczyć ze wznowieniem ataku na froncie 84 korpusu.

Choltitz przytaknął na znak zgody. - Niech pan podejdzie do kredensu, stoi tam butelka koniaku. Niech pan naleje sobie jednego martella, Hayn, i niech pan w dzisiejszym meldunku wieczornym wyraźnie przedstawi armii niebezpieczeństwo nieprzyjacielskiego ataku. Kołatanie także należy do naszego rzemiosła, inaczej ci tam, w Le Mans, pomyślą sobie, że dostawy amunicji są gdzie indziej bardziej potrzebne niż u nas.

Na zewnątrz nad polami zaczyna zapadać zmierzch. Major i jego ordynans znikają pod jabłonią. Z dala pomrukuje front: oznaka przerwy w bitwie.

Pięć dni później po drugiej stronie w rejonie Caen. Podporucznik Hans Höller chciał się właśnie ogolić, kiedy łącznik w ogrodzie krzyknął: - Alarm lotniczy! - Pędzel na bok, pianę zetrzeć i biegiem do 20 mm lawety samobieżnej. Jeden rzut okiem na niebo ukazuje niebieskie znaki świetlne. Samoloty myśliwsko-bombowe.

Samolot naprowadzający. To nie wygląda dobrze - przemknęło Höllerowi przez głowę.

Podporucznik Höller zastał już swoją lawetę samobieżną zaalarmowaną. Z wszystkich żołnierskich oczu wyzierało to samo pytanie: czy i tu też się zaczyna? Zaczynało się!

Eisenhower kazał Montgomery'emu przystąpić do ataku trzema dywizjami pancernymi, dwoma kanadyjskimi dywizjami piechoty i jedną brygadą pancerną. Mieli oni za zadanie zrobić wyłom we froncie pod Caen, aby wciągnąć do walki i zniszczyć *gros* stojących tam niemieckich dywizji pancernych, a tym samym ułatwić Amerykanom decydujące przełamanie na froncie pod Saint Lô. Metoda Montgomery'ego była prosta. Była to jak zwykle metoda bitwy materiałowej, typowa dla drugiej wojny światowej. Olbrzymia armada powietrzna miała bombami wybić lukę, piechota kanadyjskiej 2 dywizji i brytyjskiej 3 dywizji miały uderzać na flankach tej bombowej dziury i ubezpieczać korytarz, przez który przetaczać się miały na południe czołgi 7 i 11 dywizji pancерnej oraz dywizji pancерnej gwardii. Jeśli byłoby to możliwe, najlepiej od razu do rejonu Paryża.

Punktualnie o godzinie 5.00 spadł pierwszy dywan bombowy. Trzy floty powietrzne, dwie amerykańskie i jedna angielska, zaatakowały siłą 2200 bombowców.

Dwa tysiące dwieście! Nadlatywały na wysokim pułapie w nieprzejrzanym tarmacjach. Jak na manewrach. Piloci otworzyli luki bombowe. Kazali śmierci gnać z szumem, owym lotem ślizgowym. A przy odlocie zrzucili swoje znaki dymne jako markery dla następnej fali: to tutaj wyładowaliśmy swój niszczycielski bagaż.

Ta egzekucja wiosek, pól i lasów trwała cztery godziny. Powietrze całymi kilometrami pełne było dymu i kurzu. Zniknęły wszelkie drogi i ogrody, pozostały tylko kratery! Jakieś działo przeciwlotnicze kalibru 20 mm, mimo że było głęboko wkopane, zostało odrzucone na odległość 20 metrów.

Stanowiska karabinów maszynowych były zrównane z ziemią. Stanowiska dział przeciwpancernych zostały zmiecione. Transzeje były zasypane razem z ludźmi i myszami.

Ostatnie 50 czołgów z 22 pułku czołgów, które pod Emiéville stały na pozycjach wyjściowych, zostało wyrzuconych ze swych dołów maskujących, część z nich była rozbita, reszta leżała, jak zamurowana, w głębokich lejach bombowych. Ludzie gorączkowo pracowali, aby je uwolnić.

A później zaległa nagle cisza.

Lecz już zaraz podchodzą czołgi i piechota: sunie ofensywa Montgomery" ego siłami dwóch korpusów armijnych. Szturm uderza w niemiecki front. Na 272 dywizję piechoty, która nie posiada ani jednego czołgu i żadnej ciężkiej broni przebijającej pancerz. Na 21 dywizję pancerną wraz z resztkami 16 dywizji polowej Luftwaffe i częścią 1 dywizji pancerniej SS. W odwodzie, do dyspozycji stoją dwie grupy bojowe z wykrwawionej 12 dywizji pancerniej SS „Hitlerjugend”.

Ofensywa ma kryptonim radosny i wzbudzający ufność: „Good Wood”, „Dobre drzewo”. Niczym tytuł jakiejś nagrody w grę w kręgle.

Podporucznik Hóller, który dowodził ciężkim plutonem 8 kompanii, jak również porucznik Braatz, dowódca kompanii, znali pozycje w północno-wschodnim kącie Caen jak swoją kieszeń. Przebywali w tym rejonie od 6 czerwca do 8 lipca. W dniu-D prowadzili pierwsze walki z wysadzonymi brytyjskimi strzelcami spadochronowymi. Tu pogrzebali swojego dowódcę batalionu, majora Zippe. Tu spoczywa także Attender, niezmordowany łącznik, starszy szeregowiec, jak to jest zapisane w książce. Tu leży też wielu innych z 1 i 2 batalionu 192 pułku grenadierów pancernych, pułku, który wslawił się tym, że w dniu-D przebił się przez środek brytyjskiego przyczółka lądowania aż do wybrzeża. Niestety sam.

-Czołgi tylko z wielkim trudem przechodzą przez pola lejów! - woła porucznik Braatz do Hóllera. Ten także przykłada do oczu lornetkę. Obaj leżą na końcu hali produkcyjnej w Colombelles i obserwują przedpole. Anglicy siedzą w lejach i z utęsknieniem czekają na wsparcie czołgów.

Z pozycji 1 kompanii do zwalczania lotnictwa, która leży z przodu przed Co-lombelles, słychać ogień karabinów maszynowych. Żołnierze porucznika Koschwitz-a bronią się jeszcze. Nazad! I kompania wszczyna alarm.

To co z dział piechoty uchowało się nieuszkodzone, zostaje skierowane na rozpoznaną czołówkę nieprzyjaciela na polu lejów. Jest godne uwagi, że jeszcze w ogóle pozostało coś całego po tym piekle, jakie zeszło z powietrza. Hóller tak manewruje swoim 75-mm działem przeciwpancernym na stanowisku ogniowym, żeby droga wyprowadzająca z Caen znalazła się pod ostrzałem. Jego dział już zaczyna szczekać. Kanadyjskie czołgi prowadzące rozpoznanie zatrzymują się przed pękającymi granatami 75 mm. - Dobrze - mruczy pod no

scm Hóller. - Dobrze. - Ale oto wybuchy pryskają już w odległości 80 metrów od działa. Nieprzyjacielska artyleria się wstrzeliwuje. W minach fabryki w Colombel-les musi chyba tkwić jakiś angielski obserwator artyleryjski. Być może nawet na jednym z kominów. Następna salwa kładzie się całkiem blisko działa Moliera. Człowieku, czyżby nasi tego nie zauważyli?, myśli zrozpaczony **podporucznik**. -Łącznik!

- Tak jest, panie podporuczniku?

Pobiegnijcie no do działa. Rozkaz: Zmiana stanowiska! Starszy szeregowiec pędzi. Ma już za sobą 100 metrów, gdy z hukiem nadlatuje następna salwa.

Padnij! Padnij! - krzyczy Hóller, ale łącznik nic słyszy, nic może słyszeć. Wygląda to, jakby wskoczył w sam środek eksplodującego granatu. Następna salwa kładzie się w odległości trzech metrów od działa. Sprawia, że milkną ludzie i armata.

Powoli, całkiem wolno podchodzą Kanadyjczycy. Przenikają przez cienkie linie niemieckie. Uderzają z południowej części Caen. Działa niemieckiej piechoty zostają zmuszone do milczenia przez kanadyjską artylerię. Kompania Hóllera, jak i cały 2 batalion, zostają wyparte na Mondcville.

Kompania niszczycieli Koschwitza też jest rozbita. Kapral Poggenbruch, specjalista czołgowy, rozwalił wprawdzie jednego Shermana, musiał jednak wycofać się z zapory na drodze do Mondcvillc. Radiotelegrafista na próżno usiłuje nawiązać łączność z batalionem. Nie nadchodzi żadna odpowiedź. Stanowisko dowodzenia batalionu jest już dawno /miażdżone. 2 kompania podporucznika Langen-berga jeszcze raz melduje się przez telefon ze starego zamku w Colombelles. Potem i to połączenie zostaje zerwane. Około godziny 14.00 Koschwitz majesz-cze dziewiętnastu ludzi. Rozkazuje: - Wycofać się. Miejsce zbiórki w parku przy Chateau. - Ale i tam są już kanadyjskie czołgi. Piechurzy biegną dalej przez parowy, czołgają się przez rowy przydrożne i w fabryce wyrobów żelaznych w Mondeville spotykają się z resztką 2 kompanii podporucznika Langenberga. Przy nasypie kolejowym znajdują stanowisko dowodzenia pułku. Mondcvillc jest okrążone. Heino König, kartograf 1 kompanii strzelców, prowadzi przez przejście pod nasypem kolejowym ocalałą resztkę 31 i 32 pułków strzelców. Wszyscy lądują w jednym z punktów oporu 12 dywizji pancernych SS.

Dowódca 2 batalionu 192 pułku grenadierów pancernych nie chce początkowo nic wiedzieć o wyłamaniu się z Mondeville. Wysyła radiogram do dywizji o treści: „2 batalion okrążony. Walczy do końca”.

Ale potem zwycięża zdrowy rozsądek. Wykorzystano dogodną chwilę. Batalion przebija się z rozmachem przez, linie kanadyjskie. Wychodzą prawie bez strat i 15 kilometrów dalej na południowy wschód zostają włączeni do nowego frontu obrony.

W głębi prawego skrzydła 21 dywizji pancernej, w rejonie artylerii i stanowisk dział przeciwlotniczych 16 dywizji polowej Luftwaffe, bombardowanie lotnicze nie miało tak wyniszczających skutków jak w centrum ofensywy. Większość rozrzuconych baterii nie miała trafień bombowych. Przede wszystkim dotyczy to licznych baterii przeciwlotniczych, niedoścignionych dział 88 mm, które po opuszczeniu Caen były wolne i zostały przez Rommla rzucone na front lądowy do obrony przeciwpancernej. Przeprowadzają one gwałtowną czystkę wśród Anglików i Kanadyjczyków. Czołgi 29 brygady pancernej podjeżdżają tym siedemdziesięciu ośmiu armatom pod lufy. A te nie dają się długo prosić. Tym razem powietrze drży od metalicznego dźwięku dział 88 mm. Czołgi kopiąc stoją na polach ze zbożem. Płoną. Pękają. Anglicy, zaniepokojeni tym oporem, prowadzą bardzo ostrożnie rozpoznanie w **kierunku** linii kolejowej Caen-Vimont. Tylko częścią swoich sił przekraczają nasyp kolejowy. Ale gra? ich oddziałów utknęło w głęboko urzutowanej obronie 21 dywizji pancernej i I dywizji pancernej SS. Czego nie rozbijają działa 88 mm, to rozwalają Tygrysy z 2 korpusu pancernego SS. A w końcu na drodze i na linii kolejowej Cagny-l'Érénouville stoją znów doprowadzone grupy bojowe 12 dywizji pancernej SS. Grenadierzy Meyera, uzbrojeni w pancerfausty i ładunki magnetyczne, stoją jak zaporę nie do przebycia. Stoją w obliczu uderzenia brytyjskiej dywizji pancernej pozbawionej już pierwszego zrywu. O zmierzchu brigadeführer Wisch każe Panterom swej 1 dywizji pancernej SS przystąpić do ataku. Jej przeważająca siła ogniowa zadaje Anglikom straszliwe ciosy. 80 brytyjskich wraków czołgowych leży w opuszczeniu na tym odcinku, płonąc i kopiąc, pośród pól zboża i w laskach. W sumie sama tylko osławiona 11 dywizja pancerna Montgomery'ego traci w tym dniu 126 czołgów, to znaczy ponad połowę swego stanu etatowego. Dywizja pancerna gwardii traci na drodze Caen-Vimont 60 czołgów załatwionych strzałami dział 88 mm. To straszliwy upływ krwi. Kręgosłup brytyjskiej ofensywy został złamany. Została zatrzymana. Próba rozbicia zapory wokół przyczółka lądowania pomiędzy Orne i Divcs nie powiodła się. „Dobre drzewo” to nie był dobry omen. Tkwiło w nim cholernie dużo drzazg. W łańcuchu wzgórz położonych na południe od Caen niemieckie wojska umocniły się na pozycjach obronnych. Montgomery wycofał swoje pobite dywizje pancerne. Brytyjski lew lizał swoje rany. Prasa brytyjska grzmiała. Jednakże jedno zwycięstwo Anglicy odnieśli na pewno. Być może było ono w całym przebiegu operacji ważniejsze od niemieckiego sukcesu obronnego. Mianowicie, pewien brytyjski samolot myśliwsko-bombowy wybrał sobie za ofiarę człowieka, na którym opierała się cała nadzieja wojska.

Po południu 17 lipca feldmarszałek Rommel pojechał na front i odwiedził stanowisko dowodzenia 1 korpusu pancernego SS. Rozmawia] z oberstgruppenfuhrerem Seppem Dietrichem na temat sytuacji. Panzer-Meyerowi kazano przyjechać i złożyć raport.

Kiedy około godziny 16.00 Rommel udawał się w drogą powrotną do La Roche Guyon, Dietrich radził mu, aby zamienił swój wielki wóz na zwrotnego volkswa-gena-łazika - ze względu na krążące samoloty myśliwsko-bombowe. Ale Rommel uśmiechając się, machnął tylko ręką. Kierowca Daniel ruszył. I pojechali. Przejaśniło się.

-Jedźcie szybciej - rozkazał Rommel.

Koło Livarot Daniel skręcił w boczną drogę; 5 kilometrów przed Vimoutiers musiał znów wjechać na drogę główną. Wtedy sierżant Holke zawołał: - Samolot myśliwsko-bombowy!

Dwa samoloty myśliwsko-bombowe pędziły nad drogą z tyłu, od strony Livarot. Wysokość lotu 30 metrów.

- Spróbuj wjechać do wsi - zawołał Rommel do kaprała Daniela. Ten nacisnął na pedał. Pędził w zakręt. Ale samolot szturmowy był szybszy. Jego 20 mm „strzykawka” słała już swoją serię w kierunku wozu. Pociski sypią się w tapicer-kę i rozpruwają lewą stronę wozu.

Daniel zostaje trafiony w bark. Pada na kierownicę. Wóz zboczył w prawo na pniak po prawej stronie drogi. Znów skręcił w lewo i ustawił się w poprzek drogi.

Rommel, który uderzył głową w przednią szybę chroniącą przed wiatrem i mocno krwawił, został wyrzucony z wozu. Upadł z trzaskiem na drogę. Leżał nieprzytomny z pękniętą czaszką.

Bohater z Afryki został nagle wyłączony z walki przez jeden angielski samolot myśliwsko-bombowy, podobnie jak wcześniej niezliczona liczba żołnierzy frontu inwazyjnego! Kapitan Lang, major Niehaus i sierżant Holke nie odnieśli żadnych obrażeń. Pobiegli z powrotem. Zanieśli Rommla za żywopłot i kiedy samoloty odleciały, zabrali ciężko rannego feldmarszałka do najbliższej wsi. Nazywała się ona - o ironio historii - Saint Foy de Montgomery. Stanowisko Rommla nie zostało już ponownie obsadzone. Feldmarszałek von Klugc, następca Rundstedta jako Dowódca Zachód, sam przejął dowodzenie Grupą Wojsk B.

Kiedy „mądry Hans”* - jak nazywano tego utalentowanego, wspaniałego sztabowca - na początku lipca przybył z frontu wschodniego do Normandii, aby zastąpić Rundstedta oraz „doprowadzić front do zatrzymania”, to pojechał do Rommla i w toku rozmowy powiedział mu ostro: „Także pan będzie się musiał przyzwyczaić do wykonywania rozkazów”. Klugc uważał, że za pomocą jasno określonej władzy centralnej i silnej ręki zdoła zapanować nad sytuacją.

* W oryginale *kluge Hans*. Ora słów, *klugc* po niemiecku znaczy „mądry”. Stąd też Klugc był przez oficerów, zwłaszcza wrogich mu, zgryźliwie nazywany „mądrym Hansem”.

Trzeba było aż 14 dni, aby mu się otworzyły oczy, że nawet on nie będzie w stanie odmienić losów inwazyjnego frontu. Tu już nie chodziło o problem dowodzenia. Już nie! Eisenhower uzyskał już bowiem przewagę strategiczną oraz w liczebności posiadanych sił. A Klugemu historia wyznaczyła już inną rolę, czyniąc go tragicznym symbolem niemieckiej generalicji, skazanej na polu bitwy na błędne ingerencje OKW w jej własne decyzje.

Przełamanie pod Saint Ló

19 lipca Amerykanie, walcząc na wschodnim skrzydle frontu z resztkami 30 brygady szybkiej, wdarli się do miasta Saint Ló. Dowódca brygady, baron von Aufsess, jeden z najwaleczniejszych oficerów 84 korpusu, poległ w walkach ulicznych na skraju miasta. To były krwawe zmagania. Oficjalne dzieje amerykańskiej 29 dywizji dającej następujący obraz: Tylko krok po kroku, w małych grupach po 5 ludzi, którzy szli naprzód pod osłonączołgu, mogli Amerykanie wziąć te ruiny domów i ulice zatarasowane gruzami. Dowódca ich szpicy rozpoznawczej, major Thomas Howie z 3 batalionu 116 pułku piechoty, znalazł się wśród poległych.

Pięć dni później na stanowisku dowodzenia dywizji Panzer-Lchr na zachód od Saint Ló:

- Jak pan sądzi, kiedy Amerykanie znów tu u nas zaatakują? - pytał generał Bayerlein swego oficera operacyjnego, Kaufmanna. Ten spojrział. W zakopconej kuchni starego chłopskiego domostwa koło Canisy brzęczały muchy. - To może się zacząć każdej chwili, panie generale. Oni są gotowi, tego nie da się przewidzieć. Sądzę, że tylko pogoda ich jeszcze powstrzyma.

W tej chwili zadzwonił telefon. Meldunek ze stanowiska dowodzenia 901 pułku: „Ciężkie ataki bombowe”.

Bayerlein spojrział na Kaufmanna: - Myślę, że to właśnie teraz.

Był ranek 24 lipca. Rozkazy alarmowe szły do jednostek. Telefony brzęczały. Łącznicy przychodzili i wychodzili. Ludzie czekali.

Znów telefon. Znów jakiś meldunek ze stanowiska dowodzenia 901 pułku grenadierów pancernych: „Zrzuty bomb przed naszymi liniami. Amerykańska piechota przenosi pozycję do tyłu”.

No? Co to jest?

Dzień mija bez ataku.

Także noc upływa w spokoju. Zaczyna się dzień 25 lipca.

O godzinie 7.00 melduje się wysunięta kompania z 902 pułku grenadierów pancernych: „Amerykańska piechota opuszcza stanowiska przed naszymi tran-szejami. Wszędzie odchodzą do tyłu”.

Wkrótce taki sam meldunek nadchodzi ze wszystkich odcinków dywizji.

- Oni chyba nie chcą być tacy życzliwi - śmieje się Kaufmann. - Być może armia ma jednak rację.

Godziną później, o 9.40, brzęczenie telefonu w chłopskim domu pod Canisy nie miało końca. Nadchodziły meldunki ze wszystkich oddziałów na froncie, z punktów oporu na tyłach, z wiosek i z całego terenu, gdzie stały odwody pancerne: „Naloty bombowe w nieprzejrzanym falach. Naloty samolotów myśliwsko-bombowych na mosty i stanowiska ogniowe artylerii”. Teraz nie było już żadnych wątpliwości. Zaczęło się.

A więc jednak tu, na froncie pod Saint Ló.

Ale dlaczego amerykańską piechotę wczoraj i dzisiaj wycofywano? Po stronie niemieckiej podejrzewano wtedy, że jest to jakiś podstęp wojenny. Dziś wiemy, że przyczyna tych ruchów była całkiem trywialna. Oto jej rozwiązanie: General Bradley chciał atakować 24 lipca. Ale z powodu złej pogody w ostatniej chwili wycofał rozkaz. Obawiał się, że przy równie złej widoczności flota operacyjna mogłaby zrzucić swój ładunek niedokładnie. Jednakże niektóre związki bombowców nie otrzymały na czas rozkazu odwoławczego. Wystartowały i... zrzuciły bomby na własne linie. Wybuchła panika. GI's byli absolutnie nieprzygotowani na taką niespodziankę i w popłochu opuścili swoje pozycje. 'Ib był ten „odwrót”, o którym meldowali grenadierzy z 901 pułku.

Zanim jeszcze Bradley ustalił datę ofensywy na dzień 25 lipca, ściągnęli do niego niektórzy dowódcy pułków, którzy w wyniku wydarzeń w dniu 24 lipca stali się nagle podejrzliwi i wycofali swoje bataliony do tyłu, bo i pogoda nie była wiele lepsza niż dnia poprzedniego. To były te nagłe ruchy do tyłu, o których 25 lipca meldował Bayerleinowi 902 pułk grenadierów.

Ci ostrożni dowódcy mieli mimo wszystko rację, bo w wielu miejscach bomby znów spadły na własne linie.

Amerykańskie pułki piechoty 47 i 120 poniosły straty, a 12 pułk artylerii polowej został rozbity. Inspektor amerykańskich sił lądowych, generał McNair, osobisty przyjaciel Eisenhowera, został zgnieciony w swoim wozie rozpoznawczym. Mimo to na niemieckie linie spadło jeszcze wystarczająco dużo śmiertelnych ładunków.

Sztab Bayerleina pomimo nieustannego gradu bomb miał jeszcze niemal przez godzinę łączność telefoniczną i radiową z oddziałami z przodu. Potem wszelka łączność została zerwana.

Jednak to, co w ciągu tej jednej godziny zostało naniesione na mapę sytuacyjną, mówi za całe tomy: ponad dwa tysiące bombowców przeorało odcinek frontu obsadzony przez dywizją Panzer-Lchr i sąsiednie pułki strzelców spadochronowych 13 i 15 - pas szerokości 7 i głębokości 3 kilometrów - czyniąc go korytarzem śmierci. Transzcje były zasypane. Stanowiska dział przeciwpancernych zniszczone. Składy benzyny, amunicji i zapasów puszczono z dymem. Dwa tysiące bombowców - to znaczy, że na szerokości 7 kilometrów każdy z nich miał do przeorania pasmo szerokości zaledwie 3,5 metra. To całkowicie wyjaśnia, jak o godzinie 10.00 wyglądało miejsce, gdzie jeszcze o godzinie 9.00 rozłożona była dywizja Panzer-Lchr z jej pięcioma tysiącami ludzi.

Co najmniej połowa dywizji została wyprowadzona z walki - martwi, ranni, zasypani.

Czołgi i artyleria przedniego rzutu były rozbite. Drogi nieprzejezdne.

Ale generałowi Bradleyowi to nic wystarczało, „Safety first”, to było jego hasło. Punktualnie o godzinie 10.00 wypuścił raz jeszcze 400 samolotów myśliw-sko-bombowych, które wzięły pod ogień wszystko, co jeszcze się poruszało.

Nie dość tego: o godzinie 10.30 średnic bombowce otrzymały specjalne zadanie zaatakowania dróg prowadzących do Saint Gilles i Marigny.

I dopiero potem ruszyła piechota amerykańskiego 7 korpusu. Trzy dywizje piechoty pełniły tylko rolę pilota, który miał otworzyć oraz zabezpieczyć zbombardowany i oczyszczony z oporu korytarz dla posuwających się za nimi oddziałów zmotoryzowanych.

Bombowce pracowały dobrze. Aż za dobrze. GI's ze swoim uzbrojeniem z trudem tylko i powoli posuwali się przez ten krajobraz księżycowy, z kraterami, powalonymi drzewami, ze splątanymi drutami i kamieniami. Z początku czołgi w ogóle nie mogły się posuwać, dopiero saperzy i buldożery z trudem utorowały im drogę. Bayerlein na motorze pojechał na stanowisko dowodzenia 901 pułku. W piwnicy pod starą kamienną wieżą rezydował pułkownik von I lausser.

Jakiś podporucznik wysłany na przedni skraj frontu na rozpoznanie, wskoczył właśnie pod to sklepienie. -Niech pan sam posłucha - powiedział pułkownik do generała. I ten słuchał raportu:

-Nic znalazłem ani jednego nienaruszonego punktu oporu. Główna linia obrony znikła. Tam, gdzie kiedyś biegła, teraz jest strefa śmierci - meldował oficer.

Koło południa Amerykanie przekroczyli już drogę Saint Ló -Périers. Ale następnego dnia, 26 lipca, natknęli się pod Marigny na niemiecki opór. Bóg jeden wie, jak pojedyncze gniazda przetrwały to piekło. W każdym razie strzelali.

Bradley natychmiast kazał kilku średnim bombowcom ponownie przeprowadzić bombardowanie powierzchniowe. Amerykańska 2 dywizja pancerna zaraz potem przełamała się na prawym odcinku dywizji, dochodząc bezpośrednio do Saint Gilles. Wieczorem stała już w Canisy. skąd w ostatniej chwili zdołało się wycofać dywizyjne stanowisko dowodzenia Bayerleina.

Dzień jest gorący i duszny. Generał znużony, głodny i brudny, siedzi wraz ze swym oficerem operacyjnym na stanowisku dowodzenia koło Dangy, 5 kilometrów dalej na południowy zachód.

Wartownik melduje niemiecki wóz sztabowy. Wewnątrz siedzi oficer ze s/tabu Dowódcy Zachód, feldmarszałka Klugego i szuka dywizji Panzer-Lehr. Cieszy się, że odnalazł dowódcą dywizji. Czyżby przywoził pomoc? Nie. Przywozi tylko rozkaz.

Podpułkownik, z karmazynowym lampasem na spodniach, stoi nieco zażenowany przed generałem i jego oficerami, którzy od wielu dni nie golili brody i nie

W końcu lipca amerykańskiemu 7 korpusowi udało się pod Saint Ló dokonać decydującego przełamania frontu niemieckiego. Z tej operacji rozwinęło się przełamanie pod Avranches i wyrwanie się Amerykanów z półwyspu Cotentin, a następnie okrążenie 7 armii.

widzieli ciepłego posiłku, nic mówiąc już o braku wody do mycia. Instynktownie wyczuwa, co ci ludzie mają za sobą. Ale co to pomoże, on ma rozkaz.

- Panie generale - mówi - panie generale - powtarza - feldmarszałek żąda, aby linia od Saint Ló do Périers została utrzymana.

Milczenie. Kaufmann spogląda na Bayerleina. Major Wrede wpatruje się w okno.

- A więc linia Saint Ló - Périers ma zostać utrzymana - powtarza Bayerlein. A mogą zapytać, czym?

Podpułkownik ignoruje pytanie. - To jest rozkaz, który panu przekazują, panie generale - odpowiada. - Pan musi tą linią utrzymać, nikomu z ludzi nie wolno opuścić stanowiska. I jakby dla usprawiedliwienia, dodaje: - Jeden batalion „Panter” z SS wykona na Amerykanów flankujące uderzenie celem odciążenia pana.

Nikomu nie wolno opuścić stanowiska! Dobrze sobie!

Bayerlein wpatruje się w tego oficera. W pomieszczeniu zapada paraliżujące milczenie.

Na zewnątrz trzaskają stalowe drzwi. Generał czuje krew pulsującą mu w skroniach.

Ten człowiek, który razem z Rommlem brał udział w wyniszczających walkach w Afryce, był pod El Alamein, był w godzinie śmierci Niemieckiego Korpusu Afrykańskiego na piaszczystych wzgórzach pod Tel el Mampsra oraz Tunezji i nigdy nie tracił nerwów, jest teraz u kresu. Wspiera się na stole i mówi cicho - ale słowa stają w pomieszczeniu jak góry: - Tam na przedzie wszystko się trzyma, panie podpułkowniku, wszystko. Moi grenadierzy i saperzy, moi niszczyciele czołgów, oni się trzymają. Nikt nie opuszcza stanowiska, nikt. Oni cicho leżą w swoich jamach i milczą, gdyż są martwi. Martwi, rozumie pan? - a potem Bayerlein zbliża się do podpułkownika: - Niech pan zamelduje feldmarszałkowi, że Panzer-Lchr jest zniszczona. Tu tylko martwi mogą siąjeszce trzymać. Aleja - i głośno akcentuje to „ja” - ja zostaną tutaj, jeśli taki będzie rozkaz.

Podpułkownik von Kluge nie musi odpowiadać. Straszliwe uderzenie pioruna wstrząsa posadami domu. Ziemia drży. Ogień sięga nieba. Drzwi wylatują z zawiasów. Szyby w oknach pękają. Wielki skład amunicji pod Dany, trafiony przez samolot myśliwsko-bombowy, wylatuje w powietrze. Tysiące rakiet z moździerza wiclolufowego padzi wyjąc, z migoczącym ognistym ogonem po okolicy. Parą tysięcy min, niezliczone granaty, tony amunicji do karabinów maszynowych idą w górę: akompaniament godny zagłady pewnej dywizji.

Następnego dnia w południe, 27 lipca, Bayerlein i jego sztab zaciągnęli nowe stanowisko dowodzenia nad rzeczką Soules. *Summa summarum* było jeszcze pół tuzina oficerów i czternastu podoficerów, łączników i radiotelegrafistów. Usadowili się w starej chłopskiej chałupie i próbowali zebrać resztki rozbitej dywizji. Ale już późnym popołudniem nad brzeg rzeczki wjechały czołgi amerykańskie i wzięły domostwo pod ogień. Na nieszczęście okna wychodzące na podwórze były zakratowane, tak więc istniało tylko jedno wyjście na drogę, która biegła wzdłuż rzeczki i mogła być widoczna z czołgów. Pojedynczo, wykorzystując prze-

n ś

rwy w strzelaniu, wyskakiwali przez drzwi oficerowie i żołnierze. Ścigani jak zające, tyle że granatami wystrzeliwanymi z czołgów, szukali schronienia za drzewami i w polu ze zbożem. Bayerlein jako ostatni, został w płonącym domu przygwożdżony do progu drzwi. Major Wrcde stał za drzewem w odległości 15 metrów. I właśnie doń kiwał. Generał skoczył i w biegu rzucił się w pole kartofli. Granat syczał nadlatując. Głowa w ziemię. Przeleciał.

Wstać! Dalej!

W porze zmierzchu widziano go maszerującego samotnie do Percy. Dowódca sławnej dywizji Panzer-Lehr, o której Guderian trzy miesiące temu mówił: „Samą tą dywizją wrzuci pan Anglo-Amerykanów do morza!” A teraz szedł przed siebie samotnie, na piechotę.

Front się załamuje

Kiedy generał Fritz Bayerlein napotkał wreszcie niemieckie oddziały 2 korpusu strzelców spadochronowych, to niedaleko, na stanowisku dowodzenia korpusu koło Saint Vigor, dziesięć kilometrów na wschód od Percy, miała miejsce inna dramatyczna rozmowa. Naświetla ona jednocześnie sytuację i nastroje w sztabach frontowych. Dowódca 2 korpusu strzelców spadochronowych, generał Meindl, także wszedł w spór z wysłannikiem feldmarszałka von Kluge. Podpułkownik sztabu generalnego von Kluge miał u Meindla uzyskać informacje o sytuacji. I syn feldmarszałka stał się piorunochronem, po którym spłynął gniew frontowego dowódcy. Korpus Meindla powstrzymywał flankę amerykańskiego uderzenia na południe. Jego 12 batalion rozpoznawczy strzelców spadochronowych, dowodzony przez kapitana Goetsche, pojawił się w ostatniej chwili na skrzyżowaniu Le Mesnil Herman, aby w walce na bliską odległość zatrzymać amerykańską czołwkę pancerną napierającą na stanowisko dowodzenia 352 dywizji piechoty generała Kraissa i uratować sztab dywizji przed wzięciem go do niewoli. Goetsche zajął obronę okrężną i przez 24 godziny utrzymywał tę ważną drogę, odpierając ataki czołgów amerykańskich. Przed pozycjami leżało pół tuzina dymiących Shermanów. Ale na co zdała się dzielność na skrzyżowaniu pod Le Mesnil Herman? Olbrzymi wyłom, jaki powstał po stracie rozbitej dywizji Panzer-Lehr, trudno było teraz zatkać, tym bardziej że bataliony 13 pułku strzelców spadochronowych hrabiego Schulenburga wbiły się mocno w ziemię w rejonie Marigny. 2 batalion Meutha złożony z ośmiuset ludzi stopniał do setki. Nie, załamany front potrzebował zupełnie innej pomocy. Aby ją zapewnić, dowódca 7 armii, generał pułkownik Waffen-SS, oberstgruppenfuhrer Hausser, rozkazał 2 i 116 dywizjom pancernym, aby - wychodząc z zagrożonej flanki 2 korpusu strzelców spadochronowych - szerokim frontem zaatakowały posuwających się naprzód Amerykanów, przełamały ich front i - o ile to możliwe odtworzyły połączenie z zachodnim wybrzeżem półwyspu.

Generał von Litwitz prowadził 2 dywizję pancerną, generał hrabia Schwerin 116. Operacją dowodził generał wojsk pancernych baron von Funck. Hausser poinformował właśnie generała Meindla o tym planie.

Jazda z powrotem na stanowisko dowodzenia, aż nadto wyraźnie pokazała Mendlowi, kto panuje w przestrzeni bitewnej.

Generał był, ni mniej, ni więcej, aż trzydzieści razy wypędzany ze swego samochodu przez samoloty myśliwsko-bombowe i to wszystko działo się na odcinku 15 kilometrów, które dzieliły go od kwatery sztabowej 7 armii. Trzydzieści razy rzutem jastrzębia skakał do rowu lub krył się za żywoplotem. Aby mu ułatwić ten manewr, zdjęto drzwiczki od volkswagena. Strzelcy spadochronowi nazywali ten pojazd „uciekiniem przed samolotami myśliwsko-bombowymi”*.

Droga, którą normalnie przebywa się w pół godziny, trwała pełne cztery. Taka bezsilność prowadziła do zwątpienia. I w tych warunkach trzeba było rano przeprowadzić atak pancerny na szerokim froncie! Czy na najwyższym szczeblu niczego się dotąd nie nauczono?

W takim nastroju generał zastał młodego Klugego na swoim stanowisku dowodzenia. I rzeczywiście: chciał on przekazać wyraźnie polecenie swego ojca, aby „się trzymać”. Rozkaz, który feldmarszałek Kluge otrzymał z kwatery głównej fuhrera.

Generał Meindl eksplodował, tak jak 24 godziny wcześniej przytrafiło się to generałowi Bayerleinowi. - Proszę przekazać pańskiemu ojcu - odpowiedział zimno Meindl - tylko niech pan przekaze dokładnie to, co panu mówię: doszło do tego, że Normandii nie da się już utrzymać, ponieważ wojsko jest skrajnie wyczerpane. Przyczyną tego stanu rzeczy jest długotrwałe przetrzymywanie wojsk na beznadziejnych pozycjach. I nawet jeszcze teraz, ciągle się powtarza: rozkazano „trzymać się”. Przeciwnik przełamał się na zachód od nas i wyprzedził nas. I co teraz? Wszystko postawiono na dwie dywizje pancerne! Mówię to panu już dzisiaj, że te dwie dywizje pancerne, z ich starymi metodami walki, nie posuną się naprzód. Byłoby znacznie lepiej rozbudować za pomocą tych czołgów aktywną obronę przeciwpancerną, zamiast-jak w grze wojennej - wykorzystywania ich do osiągnięcia wymagowanych celów. Gdyby pański ojciec wiedział, co to znaczy walczyć w warunkach całkowitego, bajecznego wprost panowania wroga w powietrzu, to wiedziałby też, że tylko za pomocą ataków nocnych można by jeszcze w ogóle coś osiągnąć. Ten jutrzejszy atak pancerny się nie uda, gdyż odbędzie się na zbyt szerokim froncie i rozpocznie się dopiero o świcie, a więc prowadzony już będzie za dnia. Czołgi nam rozbijają. A grenadierzy będą się już mogli tylko poświęcać. Rozpacz człowieka bierze na myśl, że będzie się musiał temu przyglądać.

* Przekład bardzo swobodny.

~>~*in*

Meindl miał rację. Pod każdym względem. Także w prognozowaniu, że próba zajechania nieprzyjaciela z Hanki silami dwóch dywizji pancernych nic może się udać, ponieważ nieprzyjaciel był zbyt silny nie tylko w powietrzu, ale również na ziemi.

I nadeszło to, co musiało nadejść. Co prawda korpus strzelców spadochronowych Meindla trzymał prawą flankę frontu, ale całe lewe skrzydło 84 korpusu było odcięte. Amerykanie, nie niepokojeni, jechali na południe pomiędzy oboma tymi korpusami. Gdyby skręcili ku wybrzeżu, to cały 84 korpus byłby uchwycony. Jeśliby się zwrócili na wschód, to dywizjom Meindla groziłoby okrążenie. Jeśliby jednak jechali dalej na południe i nie zostaliby zatrzymani, to wyszliby w wolną francuską przestrzeń operacyjną i zagroziliby całej 7 armii.

W związku z tą sytuacją generał pułkownik Hausser postanowił dać rozkaz 84 korpusowi przebijania się w kierunku południowo-wschodnim celem połączenia się z 2 korpusem strzelców spadochronowych. On nie miał ani czasu, ani możliwości porozumienia się z Klugem na temat ewentualnego uzgodnienia środków zaradczych.

Rozmowa telefoniczna, do której doszło, została przerwana po pierwszych słowach. Oczywiście odwrót 84 korpusu odsłonił zachodnie wybrzeże półwyspu Cotentin. Otworzył Amerykanom lukę pod Avranches. Dlatego von Choltitz sprzeciwił się temu planowi. Osobiście prosił Haussera do telefonu polowego. Armia nalegała jednak na wykonanie rozkazu. Obawiała się utraty całego korpusu, kiedy pobite oddziały pozostaną na wybrzeżu.

Takie feldmarszałek von Kluge odwołał ten rozkaz i zażądał powolnego wycofywania się na południe, uczipienia się na zachodnim wybrzeżu, wygrania na czasie. Trzymania się. Trzymania się.

Uderzenie pancerne miało zamknąć to włamanie i odzyskać wybrzeże. Ale rozkaz był już niewykonalny. Dywizje, którym powierzono przeciwdziałanie, nie wyszły do przodu, gdyż wszystkie mosty na rzekach Vire i Drôme były zniszczone. A mchy 84 korpusu na południowy wschód już były w toku i nie można ich było zatrzymać.

Kluge usiłował drogą osobistego zaangażowania odwrócić tę sytuację. On, Dowódca Zachód, był ciągle na froncie, czasami osobiście dowodził armią i korpusem. Troszczył się o zniszczenie mostów i próbował ratować to, co jeszcze było do uratowania. - Ja muszę dowodzić poprzez publiczną sieć telefoniczną - żalił się swemu sztabowi, gdyż nie było już innych technicznych środków dowodzenia. Dowodzenie armią za pomocą publicznej sieci telefonicznej!

Jest rzeczą zastanawiającą, że feldmarszałek, mądry strateg, w tych krytycznych tygodniach tak gorliwie bronił hasła kwatery głównej fuhrera. Dlaczego? Być może mimo lepszego rozeznania utracił odwagę potrzebną do przeciwstawienia się nakazanym od góry przedsięwzięciom, gdyż wyczuwa! niełaskę Hitlera, który skrycie podejrzewa! go o sprzyjanie spiskowcom z kręgu „20 lipca”.

Jak było, tak było, dość, że front także zwątpił w Rlugego, w tego wysoce poważanego stratega, od którego oczekiwał jego własnych, nowych, zmiepiejących układ sil decyzji. Decyzji, które uwzględniałyby prawdziwą sytuację na froncie.

Frontowcy widzieli, co się działo z wojskami, widzieli, jak dywizje i pułki topnieją w nierównej walce niczym śnieg na słońcu.

Waleczna 353 dywizja piechoty generała Mahlmanna, której 941 pułk grenadierów 28 lipca wybił sobie drogę z okrążenia nad rzeką Sienne, 30 lipca miała wszystkiego jeszcze tylko 800 ludzi. Grupy bojowe, tworzone z wielu wykrwawionych dywizji, jak na przykład Grupa Bojowa Heinz, miały zaledwie siłę kompanii. Znakomity 6 pułk strzelców spadochronowych, który od 6 czerwca towarzyszył naszej historii walk, składał się jako całość już tylko z 40 ludzi. 40 ludzi z tysiąca! Taka to była sytuacja. 1 nieprzyjaciel wykorzystywał ją.

Wieczorem 28 lipca stada amerykańskich czołgów i kolumny zmotoryzowane kłębiły się na wszystkich drogach między Virc a wybrzeżem atlantyckim i parły na południe. Przed nimi nie było już żadnego ciągłego frontu niemieckiego.

A co z frontem pod Cacn? Czy nie można było ściągnąć stamtąd sil i przerzucić je tutaj? Niestety nie, ponieważ strategia aliantów była dokładnie uzgodniona. Z rozpoczęciem ofensywy amerykańskiej pod Saint Ló, w rejonie Cacn i na innych odcinkach tego kołowrotka zaatakowali Kanadyjczycy i Grupa Pancerna Zachód została uwikłana w ciężkie walki obronne. Tym samym oddanie jednostek stało się niemożliwe. Na tym polegało decydujące znaczenie strategiczne frontu pod Cacn: przygwoździć niemieckie siły, wiązać je, ściągnąć dywizje pancerne jedną za drugą, podczas gdy po drugiej stronie, na odcinku pod Saint Ló przygotowywano wielkie przełamanie, które miało niemieckie oddziały 7 armii zaprowadzić do worka.

I to zostało zrobione. Czerpano z pełnego. Strategia aliantów opierała się na konsekwentnym wykorzystaniu w polu przewagi materiałowej. Alianci przede wszystkim Amerykanie - z godną podziwu sprawnością organizacyjną w latach poprzedzających inwazję, skoordynowali wysiłki gospodarki, nauki i techniki, doprowadzając do niesłychanych osiągnięć zbrojeniowych. Nieefektywny system dowodzenia wojskami, przez zmodernizowanie pracy sztabowej, zosta! przekształcony w coś w rodzaju armii związkowej, z obradującymi kolegialnie komisjami, które aktywnie włączały się i miały głos obok i wewnątrz militarnych kanałów rozkazodawczych oraz. w kolegialnych gremiach wyższych dowództw.

Rozważny niemiecki system dowodzenia, z jego wzorcowym pryncypium stawiania zadań, w przeciwieństwie do tamtego okazywał się coraz mniej skuteczny, ponieważ. I litler i jego sztab dowodzenia wojskami - z. odległej od

frontu kwatery głównej fiihrera - coraz brutalniej ingerowali w detale. Stosowali autorytarny styl wydawania rozkazów, ponad opiniami dowódców armii i dowódców niższych szczebli, aby, jak sądzono, wymusić wysoko windowane żądania i z ich pomocą opanowywać nieuchronnie grożące kryzysy. Eisenhower jako wódz nic miał takich problemów. On mógł, jeśli wynikało to z sytuacji frontowej, w swej niepodzielnej odpowiedzialności, przy pomocy w pełni

zmotoryzowanych oddziałów, ustalać szybko główne kierunki uderzenia i przesuwać je; i na odwrót, mógł niemieckie przeciwuderzenia równie szybko powstrzymać. Oszczędzał swoim żołnierzom takich obciążeń, jakie dla niemieckiego żołnierza stały się jego chlebem powszednim: nocą maszerować, w dzień walczyć, ciągle przepędzany z powietrza, bez przerwy, bez zastępstwa, bez nadziei.

Ci oficerowie i żołnierze armii niemieckiej, którzy mieli za sobą pierwszą wojnę^S światową, przekonali się w Normandii, że ta wojna była zdecydowanie inna. Potencjał materialny i pot przeważyły rangę rozkazu i posłuszeństwa.

Wielki kociol

Most w Pontaubault

Dramatyczne wydarzenia w historii wojen zawsze mają korzenie w niezwykłych decyzjach dowódców wojskowych. Generał Guderian zrewolucjonizował taktykę pancerną za pomocą śmiałego ignorowania tradycyjnego zabezpieczania skrzydeł i doprowadził w pierwszej fazie wojny w Rosji do gigantycznych zwycięskich bitew okrążających. Feldmarszałek Rommel urzeczywistnił w Afryce, na pustyni, generalną zasadę bitwy morskiej: zwodził, oskrzydlał, idąc z pustyni uchodzącej za nie do przebycia, odcinał walczące wojska nieprzyjaciela od baz zaopatrzeniowych i nielicznych dróg. W ten sposób bił daleko silniejsze, ale konserwatywnie walczące armie brytyjskie. Do momentu, kiedy ktoś inny przeciwstawił mu nowe pryncypium: Montgomery egzekwował taktyką wyczerpania, wojnę bogatego człowieka.

Na scenę teatru wojennego we Francji wszedł rewolucyjny dowódca, tyle że nie po naszej stronie, lecz po stronie generała Eisenhowera. Właściwym zwycięzcą na zachodzie był bowiem George S. Patton, dowódca wojsk pancernych, dowódca amerykańskiej 3 armii, amerykański Guderian i Rommel w jednej osobie. On to w końcu lipca 1944 r. uchwycił szansę pobudzenia do życia pancernej wojny błyskawicznej.

Patton pędził swój 8 korpus przez korytarz pomiędzy niemiecką pozycją flankową a wybrzeżem Atlantyku.

-Jedźcie, rozkazał swym dowódcom. A kiedy go pytali o ochronę swoich skrzydeł to odburknął tylko: - Martwcie się o wasz cel, a nie o flanki. Odważnie dla Amerykanów, była to ta taktyka niemal zawiadałki.

Pod wieczór 30 lipca amerykańska 4 dywizja pancerna osiągnęła Avranches. Następnego dnia wzięła Pontaubault i zdobyła przyczółek mostowy nad rzeką Selune. Tym samym Patton wyważył bramę do wolnej francuskiej przestrzeni operacyjnej.

Nadszedł szczytowy punkt bitwy inwazyjnej. Czy Patton był w stanie utrzymać tę otwartą bramę? Wszystko zależało od jednej drogi i jednego mostu, gdyż tylko jedna jedyna droga i jeden jedyny most prowadziły z Avranches przez Selu-

320 i

nc do Bretanii. Aby dopełnić obrazu, trzeba dodać, że feldmarszałek von Kluge dla zapobieżenia grożącej katastrofie miał do dyspozycji i tylko resztki jednej jedynej dywizji. To była 77 dywizja piechoty ze znakomitym pułkownikiem Bacherc-rcm. Dywizja ta, po ciężkich i krwawych walkach przebywała w lipcu na odpoczynku w rejonie na zachód od Pontaubaul.

Na stanowisku dowodzenia Bachcrera można było usłyszeć spadającą szpilkę., kiedy w niedzielę, wieczorem, 30 lipca, oficer operacyjny czytał radiogram Klugego: Avranches musi być za wszelką cenę utrzymane. To jest kluczowy punkt naszej obrony. Od jego utrzymania lub utraty zależą losy kampanii na Zachodzie".

A więc losy kampanii na Zachodzie zależą od jednego mostu, jednej drogi i jednej dziesiątkowanej dywizji!

Bacherer był człowiekiem czynu. Zgarnął do siebie wszystko, co mu wpadło w oko: obok własnych oddziałów 77 dywizji piechoty, także 14 dział pancernych, część 5 dywizji spadochronowej i to, co pozostało z rozproszonych oddziałów na punktach zbiorczych.

Z tą grupą bojową Bacherer uderzył rankiem 31 lipca na Pontaubaul, wziął je i natychmiast zaatakował Avranches. Grenadierzy wdarli się także do miasta. Brali dom po domu. Działa pancerne rozwalaly amerykańskie gniazda oporu i trzymały czołgi przeciwnika z dala od wojsk własnych. Chmury wisiały nisko. Mżył deszcz. Na niebie nic było samolotów myśliwsko-bombowych. Bitwa rozwijała się, i to rozwijała się nieźle dla Grupy Bojowej Bacherer.

Ale około południa rozjaśniło się. Stara piosenka. Żołnierze Alberta Allgaiera z 1 batalionu 1050 pułku piechoty z troską spoglądali w niebo. I nic trwało długo: „Samoloty myśliwsko-bombowe!", rozległ się okrzyk przerażenia. Maszyny rzucały się w dół jak sępy. Coraz to nowe. Coraz ich więcej. W bardzo krótkim czasie, w niecałą godzinę, rozbitych było wszystkich czternaście dział pancernych. Amerykańskie czołgi, niezagrożone, parły naprzód, rozbiły grenadierów i wypierały grupę bojową na południe i na zachód.

- Pododdział minerski do przodu na most na Selune - rozkazał Bacherer. Chciał przynajmniej zniszczyć Amerykanom jedyny most, który z przewężenia pod Avranches wyprowadzał do Bretanii. Ale ten cholerny most był jak zaczarowany. Pierwszy pododdział minerski został wybity. Drugi wpadł w zasadzkę i został wzięty do niewoli. Most pozostał nieuszkodzony. Już się po nim toczyły czołgi amerykańskie. Wieczorem 3 I lipca podjechały pod stanowisko dowodzenia Ba-chrcera. Pułkownik ze swoim sztabem zdołał w ostatniej chwili uciec parowem. General Patton stał u celu swego planu: Amerykanie po ośmiu tygodniach nieprzerwanych walk znajdowali się u wyjścia z przewężenia półwyspu Cotentin.

Luftwaffe na próżno usiłowała trafić i zniszczyć most pod Pontaubaul. Atakowała go dzień i noc od 3 do 7 sierpnia. Ale z wyjątkiem słabego trafienia cały ładunek bombowy szedł obok. A Patton pędził przez most swoje dywizje. „Przewężenie”, droga z Avranches do Pontaubaul stała się torowiskiem dla czołgów i oddziałów zmotoryzowanych. Na mostach stali energiczni oficerowie. Colt w gar

Rozstrzygający moment bitwy inwazyjnej: jedną jedyną drogą, na której jest jeden jedyny most, generał Patton rozpoczyna szaleńczo śmiałą operację i pędzi swoją 3 armię przez przewężenie pod Avranches w swobodną przestrzeń Francji. Operacja ta stała się możliwa za sprawą alianckiego lotnictwa.

ści: - *Go on! Go on* - rozkazywali każdej jednostce w „przewężeniu”. Korytarz ubezpieczały działa przeciwlotnicze i samoloty myśliwskie. Pod nimi poruszały się czołgi i pojazdy kołowe oraz gąsienicowe. Żołnierze maszerowali nieprzerwanym strumieniem. Na przekór wszelkim planom operacyjnym i przepisom bezpieczeństwa Patton w ciągu 72 godzin przepędził po tej drodze nie mniej jak siedem dywizji. To jest ponad 100 tysięcy ludzi. Ponad 15 tysięcy pojazdów! Wysokie osiągnięcie organizacyjne.

Ta siła bojowa jak wielki wachlarz rozlała się po przestrzeni francuskiej. Patton nie zwlekał z wystawianiem swych skrzydeł. Działał jak Guderian: „Zabezpieczenie naszej flanki jest zadaniem piechoty idącej z tyłu. Cel jest z przodu”.

4 sierpnia padło Rennes. 4 dywizja pancerna uderzyła w poprzek półwyspu aż do wybrzeża południowego pod Vannes. Celem strategicznym była twierdza Brest, oddalona od Avranches o 300 kilometrów! Patton uruchomił tutaj 6 dywizję pancerną. Ta jednak pozwoliła się zatrzymać przez trwały opór grup bojowych Bachrera pod Dinan, na południe od Saint Mał, co zagrażało flance amerykańskiej. Patton kazał sobie przywołać do telefonu dowódcę dywizji: Niech

pan maszeruje, niech pan maszeruje bez oglądania się na swoje flanki, aż pan dojdzie do Brestu - wściekał się. Ale tutaj okazało się, jak śmiałość lub ostrożność mogą decydować o losach bitwy. Kosztowne 24 godziny były stracone. Niemieckie załogi Brestu i Saint Mało miały czas zorganizować obronę. Brestu nie można już było wziąć z marszu.

Operacja „Luttich”

Podczas gdy 3 armia Pattona pędziła przez Bretanię i na południe, amerykańska 1 armia, korpusem Hodgesa, kontynuowała swój atak na wschód i południowy wschód, aby poszerzyć korytarz wywalczony pod Avranches. 7 korpus generała Hodgesa wziął Mortain z jego panującymi nad okolicą wzgórzami, a tym samym stworzono podstawę operacyjną do spodziewanego wielkiego zwrotu zaczepnego w kierunku Paryża.

„Jeśli wrota Avranches nie zostaną przymknięte, to cały niemiecki front we Francji się załamie”. Te słowa na początku sierpnia powiedział generał von Chol-titz do dowódcy 7 armii, generała pułkownika Haussera. Ale zarówno armia, jak i Grupa Wojsk B miały widmo wielkiej katastrofy przed oczami. Przemownie nasuwała się myśl, aby spróbować zatkać tę lukę powstałą pod Avranches i odciąć armię Pattona od jej zaplecza.

W kwaterze głównej fuhrera także dostrzeżono zagrożenie wynikające z owych otwartych wrót. Ten śmiały manewr Pattona został zarejestrowany ze zdumieniem i nietajonym podziwem.

Hitler grzmiał: „Jedzie sobie taki zwariowany generał-kowboj z całą armią po jednej jedynej drodze i przez ten jedyny most na południe do Bretanii. Nie martwi się o ryzyko i postępuje tak, jak by był sam jeden na świecie. Da się to zrozumieć?!”

Właśnie, czy można to było zrozumieć?

Ktoś, kto kiedyś marzył o zwycięstwach silnej niemieckiej armii, ledwo mógł pojąć, że ten Amerykanin grał z nim teraz w kotka i myszkę. Jak to było możliwe? A przecież, w końcu, stały tam jeszcze, we Francji, silne dywizje pancerne. Czy doprawdy nie były one w stanie przeciąć tego przewężenia szerokości jedynie 25 do 30 kilometrów? I pomyśleć: 25 kilometrów - od których zależała kampania na zachodzie! Czy to nie paradoks? Ale czy nie była to też wielka szansa? Czyżby nie można tu było zadać decydującego ciosu? A choćby wymusić zwrotu, gdy przeciwnik, powodowany pychą i lekkomyślnością, wystawił na szwank swoje szczęście? Tak rozumował Hitler. Tak też myślał szef jego sztabu dowodzenia, generał pułkownik Jodl.

2 sierpnia na stanowisku dowodzenia feldmarszałka von Klugcgo zjawił się specjalny kurier. Przywiózł on z sobą szczegółowy plan Hitlera do operacji „Luttich”*,

* Niemiecka nazwa belgijskiego miasta Liege.

uderzenia spod Mortain w kierunku na Avranches. Hitler żądał, aby do tego ataku postawić w gotowości osiem dywizji pancernych spośród dziewięciu będących wtedy w Normandii. Luftwaffe miała rzucić do walki „wszystkie rezerwy, w tym tysiąc myśliwców”.

Jak dotąd - wszystko szło dobrze. Ale termin! Feldmarszałek von Kluge żądał natychmiastowego uderzenia. Hitler chciał czekać z rozpoczęciem ataku dotąd, aż „zostaną zgromadzone wszystkie czołgi, wszystkie armaty i wszystkie samoloty”.

Kluge zadzwonił do Jodła: „Musimy atakować natychmiast. Każdy dzień czyni nieprzyjaciela silniejszym. On już przeprowadził całą armię przez wrota pod Avran-ches”.

Jodl odpowiedział na to superoptymistyczną oceną sytuacji: „Niech się pan nie martwi o Amerykanów, którzy się przełamali, im więcej ich przejdzie, tym więcej zostanie odciętych”. To brzmiało elegancko dla potrzeb jakiejś czytanki, przypominało też niefrasobliwą odpowiedź greckiego wodza Leonidasa pod Ter-mopilami na wiadomość, że grad strzał i oszczepów perskich przesłonił słońce. Wódz powiedział: „Tym lepiej, gdyż będziemy mogli walczyć w cieniu”.

Feldmarszałek von Kluge i generał pułkownik Hausser nie dzielali optymizmu Jodła, wiedząc, że każda dodatkowa zwłoka oznacza dla armii wyrok śmierci. Dlatego zdecydowali się przeprowadzić ten atak w nocy z 6 na 7 sierpnia. Cała nadzieja frontu zachodniego spoczęła na operacji „Luttich”

Cztery dywizje pancerne - 2 dywizja generała von Liittwiza, 116 dywizja hrabiego Schwerina, część 1 dywizji SS „Leibstandarte” brigadeführera Wischa, 2 dywizja SS „Das Reich” gruppenführera Lammerdinga - jak również grupa bojowa z 17 dywizji pancernych SS „Götz von Berlichingen” i resztki rozbitej pod Saint Ló dywizji Panzer-Lehr - wszystko to w sumie tworzyło grupę ofensywną. Dowodzenie nad całością przejął 47 korpus pancerny.

Generał baron von Funck, dowódca całości, zamierzał wykorzystać noc do wielkiego uderzenia pancernego.

Połowę drogi do Avranches chciał przebyć w ciemności. 120 czołgów stało w gotowości, aby w obszarze pomiędzy nurtami rzeczek See i Selune - które niejako stanowiły zabezpieczenie skrzydeł -- dokonać uderzenia.

2 dywizja pancerna o godzinie 24.00 otrzymała rozkaz wymarszu. Jakiś złośliwy przypadek opóźnił rozpoczęcie ataku na lewym skrzydle. Wszystko potoczyło się tak, jak gdyby diabeł w tym mieszał: czołgi 1 dywizji pancernych SS nic podeszły. W drodze na pozycję wyjściową pułk czołgów dostał się w długi parów. Dopelnieniem wszelkich nieszczęść był upadek straconego samolotu myśliwsko--bombowego na pierwszy czołg, który zablokował nich.

Zły omen! Czołgi musiały wychodzić z parowu na tylnym biegu. Trwało to godzinami. Dopiero o świcie lewa grupa atakująca pojawiła się na przednim skraju.

Tymczasem prawa grupa, składająca się z dwóch batalionów czołgów, niszczycieli czołgów i 304 pułku grenadierów pancernych, popędziła już daleko do przodu. Grenadierzy pancerni i saperzy jechali na czołgach jako desant.

OKW za pomocą operacji „Liittich” chciało zamknąć miejsce amerykańskiego przełamania ora/ odciąć 3 armię Pattona, która się przerwała. Lecz aliancka przewaga w powietrzu przyczyniła się do zatrzymania tej z nadzieją rozpoczętej ofensywy.

Najpierw na amerykańską zaporę z dział przeciwpancernych rozłożoną na drogach.

Uderzenie ogniowe.

Atak grenadierów na linie, amerykańskich ubezpieczeń bojowych. Dalej.

Przedni skraj amerykańskiej obrony zostaje zmiażdżony na własnych pozycjach.

Pod Dove 1 batalion pułku czołgów wjeżdża na zaporę, minową. Dowódca pułku major Schneider-Kostalsky ginie od wybuchu miny. Saperzy usuwają zaporę. Dalej. Pada Mesnil Dove. Ale koło kościoła stoi jeszcze, dobrze ukryte, działo przeciwpancerne. Ta cholerna armata zatrzymuje cały atak. Wreszcie jakiś granat 75 mm zmiata to działo.

Dalej.

Mesnil Adelee pada. Grupa stoi jeszcze w odległości sześciu kilometrów od swego zadania dnia. Potem połowa drogi do Avranches byłaby już pokonana. Czołówki pancerne dalej prą na zachód.

Nastaje dzień.

Lewa grupa atakująca dywizji pancernej Luttwilza, z powodu opóźnienia dywizji pancernej SS-Leibstandartc, przystąpiła do ataku dopiero po godzinie 2.00. Moment zaskoczenia został przegapiony. Niebawem zacznie świtać.

Wprawdzie nad ziemią wisi mgła, spowijając wzgórza gęstymi oparami i sprawia, że znikają skrzyżowania dróg.

Przede wszystkim jednak trzyma samoloty myśliwsko-bombowe / . dala od pola bitwy.

Przed amerykańskimi liniami, niczym upiory, wynurzają się z mgły masywne Panzer IV, szykowne „Pantery” i „Tygrysy”. 2 pułk grenadierów pancernych bierze szturmem zaciekle bronione miasteczko Saint Barthelemy. Biorą stu jeńców. Ale potem czołgi Leibstandartc zalegają przed silną zaporą na ważnej szosie do Avranches. Silne oddziały amerykańskiej 3 dywizji pancernej nie pozwalają się wyrzucić.

W międzyczasie 2 dywizja pancerna SS wdarła się do Mortain i rozjechała działa przeciwpancerne amerykańskiej 30 dywizji. Atakuje podmiejskie wzgórza.

Ale nic można ich wziąć za pierwszym podbiegiem. Zryw już przeminął. Toczy się zacięta walka o każdy metr.

Na drugim skrzydle, na prawej flance ofensywy, 11 ó dywizja pancerna wjeżdża na przeciwpancerną pozycję obronną Amerykanów, którzy dzień wcześniej osadzili rejon koło Périers. Nie posuwa się ani 0 metr do przodu.

Mimo to, kiedy poranna mgła się podnosi, prawa grupa ofensywy jest już głęboko w korytarzu Mortain-Avranches. Jeszcze jedno takie uderzenie i przewężenie pod Avranches zostanie przecięte. Czy tymi słabymi silami uda się utrzymać w stanie przecięcia, to jest już inna sprawa, ale jeśli raz było przecięte, to armia Pattona zostałaby pozbawiona życiodajnego zaopatrzenia, co mogłoby okazać się sensacyjnym zwrotem w zmiennym wojennym szczęściu.

- Potrzebujemy zlej pogody, panie generale, potem już pójdzie mówi oficer operacyjny do Liittwitza. Ale to pobożne życzenie się nie spełnia. Poranna mgła szybko opada. Dzień 7 sierpnia rodzi się z bezchmurnym niebem. I na tym niebie. całymi chmurami, zjawia się niezawodna broń Eisenhowera: samoloty myśliwsko-bombowce, bombowce Thunderbolt, myśliwce uzbrojone w pociski rakietowe. Rzucają się z impetem na kolumny 2 dywizji pancernej poci 1.e Coudray. w połowie drogi do Avranches. Pędzą nad drogami i zaganiają w ukrycia grenadierów, niszczycieli czołgów i saperów. Z niesłychaną precyzją układają się w cel pociski rakietowe myśliwców Typhoon. Przeciwno tej broni bezsilne są - skądinąd nie do pokonania - „Tygrysy” 1 dywizji pancerniej SS. Pancerniacy, zrezygnowani, kulą się w swych stalowych skrzyniach. Grenadierzy leżą na polach i nie ośmielają się poruszyć, jeśli nie chcą być tarczą strzelecką. Rzadko sływa

327"7

taka lawina przekleństw pod adresem nieobecnej i tu, na drogach pod Avranches, niemieckiej Luftwaffe.

- Jak to jest możliwe, żeby przy tak decydującej operacji zabrakło naszej Luftwaffe? - pytali oficerowie frontowi. Szeregowi żołnierze wyrażali to w sposób daleko prostszy: - Jeśli oni tu nie latają, to na co my tu jeszcze czekamy?

A dlaczego nic latali?

7 armia wiedziała naturalnie, że ofensywa bez osłony przeciwko nieprzyjacielskim samolotom myśliwsko-bombowym nie może się udać. Generał lotnictwa Bulowius zapewnił udział 300 myśliwców. „One będą”, tak powiedział do Haussera, „one będą bez przerwy wykonywać zadanie i utrzymywać czyste niebo nad obszarem ataku”.

Ale nie zjawił się ani jeden niemiecki samolot. Jednakże Bulowius nie złamał swego słowa. Dywizjony myśliwców startowały ze swych lotnisk położonych pod Paryżem. Brytyjskie i amerykańskie myśliwce przechwyciły je nad ich lotniskami i z miejsca uwikłały je tam w walki powietrzne. Ani jedna para samolotów nie osiągnęła nieba nad frontem pomiędzy Mortain a Avranches. Alianckie samoloty mogły więc nie niepokojone kontynuować swoje polowanie na czołgi, działa przeciwpancerne i grenadierów grupy ofensywnej 47 korpusu pancernego. Tak zatem, po raz pierwszy w historii wojen, silny i mający powodzenie atak naziemny został zastopowany wyłącznie z powietrza.

Niemieckie pułki jeszcze broniły zdobytego terenu, walcząc o każdy kawałek lasu, o każdą zagrodę czy parów, ale ofensywa była zatrzymana, rozbita z powietrza. Jednakże generał Bradley, aby zapobiec śmiertelnemu niebezpieczeństwu, musiał przeciwko niemieckim grupom bojowym rzucić cały swój 8 korpus. Ale jednak udało mu się. Po 48 godzinach niemieccy grenadierzy wycofali się na pozycje wyjściowe, które 6 sierpnia w nocy z taką nadzieją opuszczali.

W meldunku, który feldmarszałek Kluge 8 sierpnia o godzinie 23.00 przesłał telefonicznie przez swego szefa sztabu, generała Blumentritta, do kwatery głównej fuhrera, mówiło się: opór nieprzyjaciela na ziemi był wprawdzie zacięty, ale w żadnym wypadku nie był aż taki, aby nasze dywizje nie były w stanie go przełamać. Decydującym czynnikiem było jednoznaczne panowanie przeciwnika w powietrzu, na czym opierało się 75 procent jego bitewnego sukcesu.

To pokrywa się z opinią generała Eisenhowera: „Gdyby nasze samoloty nie mogły interweniować w walkę, to być może nieprzyjacielowi udałoby się wziąć Avranches”.

Atakuje 600 czołgów

Brytyjskie oddziały frontowe nie były w tym czasie bezczynne. Celem wsparcia amerykańskich walk obronnych w korytarzu Morlain-Avranches, Montgomery rozpoczął kanadyjskim 2 korpusem ataki wiążące na froncie na południe od Caen.

Znów dawał o sobie znać stary dylemat.

Operacja nosiła kryptonim „Totalize”. Wynika z tego, że Monty szykował się do wielkiego uderzenia. Miał na celu dokonanie przełamania i dotarcie aż do Falaise, aby wyjść na tyły niemieckich sił pancernych operujących na kierunku Avran-ches.

7 sierpnia, po zapadnięciu ciemności, dywizje kanadyjskie ześrodkowały się na południe od Caen i ustawiły w gotowości do ataku. Oddziały pancerne i piechoty zmotoryzowanej miały, ugrupowane w sześć klinów, atakować po obu stronach drogi Caen-Falaise, przełamać się i po południu wziąć Falaise.

Okolo północy rozpoczęło się pierwsze bombardowanie lotnicze przedniego skraju niemieckiej obrony. Za tym gradem ogniowym podążali Kanadyjczycy ponad tysięczną liczbą wozów opancerzonych. Przed nimi sunęło w powietrzu ponad tysiąc latających fortec i jeszcze raz rozniosły stanowiska 272 dywizji grenadierów i sąsiedniej 89 dywizji piechoty przerzuconej z Norwegii. Potem nadeszły czołgi. Wybijały sobie wąskie trakty. Tymi korytarzami pędziła na lawetach samobieżnych piechota kanadyjska na tyły niemieckich pozycji. Wysiadała, wchodziła w teren uformowana w tyralierę i atakowała od tyłu niemieckie punkty oporu.

Aby przełamać niemiecki łuk frontu na południe od Caen, o szerokości 10 kilometrów, Montgomery wprowadził do walki wszystko, co miał do dyspozycji na ziemi i w powietrzu. 500 ciężkich bombowców zamieniało flanki łuku w krajobraz księżycowy z rozległymi polami lejów. Jeden krater bombowy obok długiego. Wyrafinowany, nowy trik, mający na celu uniemożliwienie czołgom 12 dywizji pancernej SS wykonywanie flankowych ataków odciażających.

Opary i kurz unoszą się nad ziemią. W to piekło leciało 7 tysięcy amerykańskich maszyn, aby wykonać atak na przednie niemieckie punkty oporu. Zrzuciły nowe bomby o zwiększonej mocy wybuchowej. Na tyłach operował dywizjon myśliwców Typhoon wyposażonych w pociski rakietowe, które paraliżowały wszelki transport na front i przygważdżały stanowiska dział 88 mm. Główne uderzenie spadło na 89 dywizję piechoty, która z norweskiej idylli trafiła w sam środek piekła wielkiej, rozstrzygającej bitwy na zachodzie. Dywizja załamała się. Pojedyncze oddziały popadły w panikę. Niektóre odcinki frontu aż do północy wytrzymały wszystkie kanadyjskie ataki. Sprawa wyglądała jednak źle. Brytyjskie i kanadyjskie bigady uderzeniowe stały pięć kilometrów w głębi niemieckiej obrony. Kanadyjska 4 dywizja i polska 1 dywizja pancerna leżały w odwodzie po obu stronach drogi

Caen-Falaise. Wystarczyło tylko, aby ruszyły, a katastrofa byłaby nieobliczalna. W charakterze obrony stały tam tylko dwie grupy bojowe 12 dywizji pancerniej SS z 50 czołgami do dyspozycji. Kurt Meyer dostrzegł niebezpieczeństwo. Zebrał swoje siły i pojechał do przodu ze sturmbannführerem Waldmüllerem, aby się zorientować w sytuacji. W lornetce ujrzał gęste kolumny pancerne na drodze Caen-Falaise. - Człowieku, jeśli oni teraz mszą... - mówi Meyer do Waldmüllera. Dla obu jest niezrozumiałe, dlaczego tego jeszcze nie robią.

Zwłoka wynika prawdopodobnie stąd, że ich dowódcy nie mają doświadczenia i nie wazą się przejechać obok trzymających się jeszcze niemieckich punktów oporu.

Meyer zdaje sobie sprawę z tego, że nic wolno dopuścić do ataku nieprzyjacielskich sił pancernych, jeśli front ma się nie zawalić. Jedyne skuteczne w tej sytuacji lekarstwo nosi nazwę: obrona na froncie, którego punktem centralnym jest miejscowość Cintheaux. \ i własny, okrążający atak pancerny. Kalkuluje: trzeba zacząć o godzinie 12.30. - Atak o godzinie 12.30! -wydaje rozkaz.

Ale na niebie zaczyna się ożywiony ruch nieprzyjacielskich samolotów rozpoznawczych. To jest groźne, bo gdzie się pojawią, tam następują ataki lotnicze, a bombardowanie jego stanowisk wyjściowych w okolicznych wioskach jest tym ostatnim, czego by sobie Meyer teraz życzył. To mogłoby pokrzyżować cały plan. Pozostaje tylko jedno: natychmiastowy atak, zatem naprzód!

„Tygrysy” Michela Wittmanna znów są w ruchu, w kierunku na północ. Towarzyszy im nadzieja. Za nimi atakują grenadierzy.

Dzieje się to, co Meyer przewidział: amerykańska 8 flota powietrzna - kilkaset bombowców - przystąpiła od nowa do bombardowania powierzchniowego i wkrótce zrównała z ziemią miejscowości, w których jeszcze niedawno bronili się grenadierzy. Ale żołnierze Meyera śmiali się teraz złośliwie. Cały ten fajerwerk ich nie dotyczył. Wzięli Cintheaux i wgryźli się w ruiny. „Tygrysy” Wittmanna ubezpieczały flankę przed atakami nieprzyjacielskich czołgów i siały spustoszenie w kanadyjskich kompaniach czołgów. Opóźnione i rozproszone ataki Kanadyjczyków za każdym razem zalegały pod ogniem niemieckiej obrony. Na próżno dowódca kanadyjskiego 2 korpusu, generał Simonds, próbował ofensywie nadać impet. Ataki jego armady składającej się z 600 czołgów załamywały się na zaporach Cintheaux i „Tygrydach” Wittmanna.

„Front się trzyma”, tak się to nazywało w mowie wyższych sztabów. Front! Śmiałe słowo! To już nie był żaden front, a tylko porozrywany, do cna przeorany. rozdrapany kawałek ziemi o szerokości 10 kilometrów. Na wpół rozproszeni leżeli w dołkach ostatni grenadierzy i oddziały karabinów maszynowych. 1900 bombowców i 1800 samolotów myśliwskich zsyłało na nich śmierć i cierpienie.

Po południu Kanadyjczycy wzięli Bretteville, zażarcie bronione przez resztki 89 dywizji piechoty, bez broni przebijającej pancierz. Pozostałości dywizji z. taborem konnym zostały zmiażdżone na pozycjach i wystrzelane. Walki o Cintheaux toczyły się aż do zapadnięcia ciemności. Ale po upadku Bretteville flanką była już otwarta. Dlatego Grupa Bojowa Waldmiiller i czołgi Wittmanna oderwały się w rejonie Cintheaux od nieprzyjaciela i

zostały wycofane za rzekę Laison. Batalion „Tygrysów” przesunięto na tył do lasu Quesnay. Michela Wittmanna, tego siejącego postrach niszczyciela czołgów, mającego na koncie 130 zestrzeleń, nie ma już w batalionie. Poległ. Operacja „Totalize”, nieudana ofensywa kanadyjska na Falaise.

Kanadyjski dowódca chce za pomocą śmiałego manewru uratować ofensywę „Totalize”, rozpoczętą z tak wielką nadzieją. W tym celu wysłał mieszaną grupę bojową z 28 pułku czołgów, aby nocnym atakiem wziąć ważne taktycznie wzgórze 195, położone daleko na południe i w ten sposób zająć pomost lądowy pomiędzy obiema rzekami Laison i Laize. Tym samym niemieckie pozycje obronne byłyby oskrzydłone.

To, co potem nastąpiło, było tylko dramatycznym epizodem. Brytyjska grupa bojowa straciła orientację. Zamiast wzgórza 195 zajęła bez walki wzgórze 140, położone sześć kilometrów dalej na wschód. Była to pozycja obronna przewidziana dla Grupy Waldmiiller po jej wycofaniu z Cintheaux.

Jednakże Waldmullera wyprzedzili Anglicy i został wyparty! Kiedy obersturmführer Meitzel wjeżdża swoim pancernym wozem rozpoznawczym na to

1 AA

wzgórzu, aby nawiązać łączność z Waldmiillerem, zostaje ostrzelany z czołgów ulokowanych w grapie drzew. W szalonej jeździe zygzakiem udaje mu się ująć stamtąd. Kurt Meyer śledzi przez lornetkę to wydarzenie z sąsiedniego wzgórza. Co to za czołgi strzelają? Czyżby Waldmiiller wziął Meitzla za Tommy'ego? -zastanawia się. Ale oto nadchodzi z pułku czołgów meldunek Meitzla: „Na wzgórzu 140 nie ma już sił niemieckich, lecz czołgi nieprzyjacielskie”.

Meyerowi dreszcz przebiega przez plecy! Skąd się wzięły nieprzyjacielskie czołgi na wzgórzu 140? Gdzie jest Waldmiiller?

Meitzel ponownie zostaje wysłany na rozpoznanie. Ale już nic wraca, zostaje postrzelony i siedzi na wzgórzu 140 jako jeńiec Kanadyjczyków.

Również Max Wiinsche wysyła rozpoznanie bojowe na to wzgórze. Wniosek nasuwa się sam: jest zajęte przez duże siły nieprzyjacielskie. Ich armaty czołgowe panują nad obniżeniem rzeki Laison. Ale to obniżenie daje też ostatnią możliwość obrony na północ od Falaise. Tymczasem zbliża się nowy związek taktyczny, 85 dywizja piechoty generał-porucznika Chilla celem zajęcia pozycji. A więc trzeba działać. Nieprzyjaciela należy spędzić ze wzgórza.

Meyer przystępuje do ataku 15 „Panterami” od wschodu i kilkoma „Tygrysami” od zachodu. Artyleria i moździerz biorą cel pod ogień. „Tygrysy” pod osłoną poszycia leśnego podkradają się na zbocze. Grzmia granaty wysyłane z ich 88 mm dział, wymiatając drzewa i kępy zarośli. Ogromne chmury dymu wskazują miejsca trafień: Shermany jeden po drugim wylatują w powietrze lub stoją bez ruchu - kopcac w terenie. Teraz toczą się pierwsze „Pantery” od strony wschodniej. Ale - oto na scenie ukazuje się zwykły przeciwnik na co dzień: samoloty myśliwsko-bombowe, rażące wprost z nieba. Przeciwko nim bezsilne są zarówno „Tygrysy”, jak i „Pantery”. Przeklęte, myśli Meyer, przeklęte maszyny, czy i tę partię mamy znów przegrać? Ale tym razem podniebna artyleria Montgome-ry'ego spełnia funkcję niemieckiej grupy pomocniczej. Nie „Tygrysy” i nie „Pantery” są bowiem celem samolotów myśliwsko-bombowych, lecz znajdujące się na wzgórzu brytyjskie czołgi. Max Wiinsche włącza się błyskawicznie i każe swoim czołgom wspinać się na wzgórze. Znajdują tam jedynie cmentarz tych mamutów. Tommics bronią się rozpaczliwie spoza płonących wraków i ze swych dołków strzeleckich. Z pomocą dwóch kompanii rowerzystów z 85 dywizji, którzy właśnie się zjawili jako awangarda, Kanadyjczycy są coraz bardziej ściskani. Poddają się grupa za grupą.

Obersturmfuhrer Meitzel idzie z dwudziestoma trzema Kanadyjczykami z 28 pułku czołgów. Najpierw on był ich jeńcem, teraz role się odwróciły.

Jak szybko na wojnie zmieniają się role. 47 brytyjskich czołgów leży, kopcając na pobojowisku. Na wzgórzu 195 czołgi i grenadierzy Grupy Bojowej Olboetter utrzymują swoje pozycje wobec wściekłych ataków kanadyjskich Highlanderów. Na prawym skrzydle szybko ściągnięta ciężka kompania niszczycieli czołgów obersrurmtuhlera Hurdelbrinka za pomocą swych 75 mm dział „Pantery” zamontowanych na lawetach samobieżnych, odpięra próbę przedostania się za rzekę Laison polskiej 1 dywizji pancerniej. Polacy muszą pozostawić 40 czołgów. Skonsternowane dywizje Montgomery'ego ciągną z powrotem na północ.

Falaise jest jeszcze raz uratowane, a „Totalize” zastopowany!

Żołnierze 12 dywizji pancerniej SS, skrajnie wyczerpani, padający ze zmęczenia, przekazali swoje pozycje podchodzącej 85 dywizji piechoty. Nie wieszysz-I c z e , że ich wielki sukces obronny okaże się pyrrusowym zwycięstwem. Zwycięstwem, które skłoni tylko wyższe dowództwo do podjęcia kolejnych błędnych decyzji o złowieszczych następstwach.

Ponieważ niebezpieczeństwo brytyjskiego przebicia się na Falaise wydawało się zażegnane, to feldmarszałek von Kluge, ulegając naciskom kwatery głównej Hitlera, rozpoczął ponownie uderzenie na Avranches, aby mimo wszystko zamknąć to przewężenie. Gra była śmiertelnie niebezpieczna. W ten sposób Kluge tkwił uporczywie z większością Grupy Wojsk B na eksponowanej pozycji, która ze względów operacyjnych dawno już powinna była być oddana. Przymknął oczy na fakt, że armia Pattona maszerowała już przez Le Mans. Nic chciał widzieć, że oto rysowała się właśnie nowa sytuacja, dająca Amerykanom okazję do okrążenia i zniszczenia niemieckich wojsk, jeśli front nie zostanie przesunięty do tyłu.

I przyszło to, co przyjść musiało: amerykański 15 korpus skrzył 10 sierpnia na lewo przez Alencon w kierunku na Argentan, na głęboką flankę 7 armii. Łącznie z kanadyjskim uderzeniem w kierunku na rzekę Laison zarysował się wielki worek, w którym tkwiły dywizje Klugego ze 150 tysiącami ludzi. Jeśli nie wyjdą one szybko pomiędzy Argentan i Falaise na wschód, dopóki trzyma się jeszcze przeciwpancerna pozycja nad rzeką Laison, to grozi im wielka katastrofa.

Główna zasada nowoczesnych armii pancernych według Guderiana brzmi: „Celem wojsk pancernych jest zawsze nieprzyjacielska stolica”. Generał Patton postępował zgodnie z nią: on popędzał swoje dywizje w kierunku Sekwany, na Paryż. Równocześnie wzmacniał swój nacisk na Francję Środkową i uderzał w kierunku Tours i Orleanu.

708 dywizja piechoty generała Wicka, która stanęła na drodze nacierającym na południe zmotoryzowanym dywizjom amerykańskim, została zmiażdżona.

Nowe oddziały, wśród nich pełnokrwista 9 dywizja pancerna, zostały ściągnięte z Francji Południowej. Teraz dopiero, kiedy już było za późno, pojedynczo je uwalniano i pojedynczo wprowadzano do walki. Gdyby jednak we właściwym czasie - zaraz w pierwszym tygodniu inwazji - zostały rzucone na front, to być może wymusiłyby zwrot w walce.

"M T

Znów rozbrzmiewał tubalny rozkaz OKW: „Front południowy musi być utrzymany”. Myśl strategiczna sprowadzała się do tego: na południu trzymać się, a na zachodzie atakować. Naczelne Dowództwo Wehrmachtu sztywno trzymało się planu, jeszcze raz uderzyć w kierunku Avranches, zamknąć korytarz i odciąć siły amerykańskie znajdujące się już na południu. Zadanie to miała wykonać Grupa Pancerna generała Eberbacha. Ale i ten wybitny dowódca wojsk pancernych nic mógł dokonać cudu.

A jak to wyglądało w oddziałach frontowych? Od czterech tygodni dywizje 7 armii były w akcji. A to oznaczało: w dzień ciężkie walki, nocą marsz! Nieprzerwanie. Na początku sierpnia w żadnym związku taktycznym nie było już regularnego zaopatrzenia. Bazy zaopatrzeniowe wpadły bowiem w ręce nieprzyjaciela. Jeśli do takiej bazy, na resztkach paliwa podjeżdżały kolumny, aby zatankować, to była ona albo zniszczona, albo zajęta przez nieprzyjaciela. W konsekwencji tego faktu pojazdy, a szczególnie ciągniki artyleryjskie, zostały całkowicie pozbawione paliwa.

Tak samo wyglądała sprawa w oddziałach pancernych. W tej sytuacji wojska były nieustannie wypierane i trzymane w defensywie przez ruchliwego i dobrze zaopatrywanego przeciwnika.

12 sierpnia było już jasne, że nakazane przez OKW drugie uderzenie, z Mortain na Avranches, stało się niewykonalne. Tym samym zgasła wszelka nadzieja na zatrzymanie 3 armii Pattona i obcięcie jej kleszczy, które zaciskały się wokół 7 armii. Teraz pozostawało tylko jedno: tak szybko, jak to jest możliwe, wymknąć się z tych kleszczy. A więc, odwrót za Dives.

Dywizje z zaprzęgiem konnym rozpoczęły marsz. Oddziały zmotoryzowane przykrywały odwrót.

„Ojcowie rodzin na prawo wystąp!”

13 sierpnia była niedziela. Resztki dywizji Panzer-Lehr znajdowały się, jako „Grupa Bojowa Panzer-Lehr”, w rejonie Habloville na północny zachód od Argentan. Drogi były zatkane stłoczonymi kolumnami o zaprzęgu konnym. Oddziały zmotoryzowane z trudem się przez nic przedzierały. Jakaś bateria moździerzy wielolufowych zajmowała stanowiska na skraju wsi. Punktualnie o godzinie 9.00. kiedy z porannej mgły wyłoniło się promieniste letnie niebo, nadleciały samoloty myśliwsko-bombowe. Kursowały nad drogami. Przeczesały małe laski i poci-skami zapalały zagrody, gdzie w stodołach, za dnia, szukali schronienia grenadierzy i artylerzyści.

Generał Bayerlein, ze swym sztabem, leżał w rowie chroniącym przed odłamkami. wykopanym na skraju sadu. Dom gospodarza, gdzie było jego stanowisko dowodzenia, płonął. Wyjąc pędził, nadlatujący nad drogą, samolot myśliwsko--bombowy. Zbliżał się do sadu. Niczym gigantyczny ptak przeleciał nie wyżej jak dziesięć metrów nad koronami jabłoni. Przechylił się dla wykonania zakrętu. Pilot zerknął z kokpilu. Patrzył dokładnie w rów.

Baycrlein widział jego twarz. Jego oczy. I zdawało mu się, jakby tamten się śmiał: poczekaj, zaraz tu wrócę! Potem wykonał zakręt i oczywiście powrócił. Terkocząc, 20 mm armatka słała w rów granaty. Potem wybuchły dwie bomby. Kurz, gruzy budynku zwały się na Bayerleina i oficerów jego sztabu. Kto jeszcze żył, wrywa! się na zewnątrz. Nikt nie wyszedł stamtąd bez rany.

W tej samej godzinie, 150 kilometrów dalej na zachód od sadu w 1 labloville, nad Atlantykiem, odbywało się inne dramatyczne wydarzenie. Na placu alarmowym cytadeli Saint Mało, na wzgórzu 26, stał przed swymi żołnierzami pułkownik Bacherer. Było ich jeszcze siedmiuset. Nic starczało już dla wszystkich wody ani żywności. I Bacherer powiedział im o tym.

- Ojcowie rodzin na prawo wystąp! - rozkazał. A potem pułkownik pozwolił ojcom odejść - mieli pomaszerować do niewoli. Dla pozostałych rozpoczął się ostatni rozdział obrony cytadeli.

Amerykanie rozbili w drzazgi punkty oporu i wdarli się w fortyfikacje zewnętrzne.

Rankiem 15 sierpnia, w sztolni, gdzie było stanowisko dowodzenia Bacherer-a, zadzwonił telefon. **Pułkownik**, zdziwiony, wziął słuchawkę. „Tu generał major Macon”. Bachererowi odebrało mowę. „Żądam, aby się pan poddał. Jesteśmy już w waszych punktach oporu” - Amerykanin kazał to powiedzieć swemu tłumaczowi. Bacherer odpowiedział: - Nie widzę żadnego powodu do kapitulacji. ale proszę pana o przejęcie rannych niezdolnych do walki.

Macon wyraził zgodę. Zawarto jednogodzinne zawieszenie broni. Bramy urządzeń obronnych otworzyły się.

Wjechały amerykańskie sanitarki i przejęły niemieckich rannych. Przez tę jedną godzinę humanitaryzm wziął górę nad wojną.

Potem bramy do sztolni na Wzgórzu Pawła zawarto. Rozpoczęła się końcowa faza walki.

Okolo godziny 14.00 Amerykanie zaczęli strzelać granatami fosforowymi. Jeden pocisk trafił w magazyn amunicji. Eksplozja. Pożar. Spływający fosfor zapalił słomę w miejscach odpoczynku w kazamatach. A ponieważ nic było żadnych urządzeń wentylacyjnych, sztolnie wypełniły się dymem i gazami.

Wówczas Bacherer kazał wywiesić białą flagę. Wzgórze Pawła poddało się. Trzystu pięćdziesięciu ludzi przeżyło i poszło do niewoli.

Po przeciwnej stronie, 150 kilometrów w kierunku wschodnim, w rejonie Falaise, resztki 15 dywizji, ponad sto tysięcy ludzi, walczyło broniąc się przed zagładą w olbrzymim kotle - kotle pod Falaisc.

„Naprzód, wyjść z tego worka". Takie obiegało wtedy hasło. Łatwo było tak mówić. Tymczasem dywizje 84 korpusu i 2 korpus strzelców spadochronowych miały do dyspozycji tylko jeden jedyny most na rzece Orne. Wóz przy wozie, koło przy kole, stał nieprzejrany ciąg przez całą noc, aż do rana, na drodze prowadzącej do mostu. Kto przeszedł, był uratowany. Kto o świcie był jeszcze po zachodniej stronie, musiał się zaszyć gdzieś w terenie, gdyż przez cały dzień, dopóki było widno, samoloty myśliwsko-bombowe, Typhoony i bombowce, usiłowały zniszczyć most, tę ostatnią deskę ratunku, poza paroma prowizorycznymi, chwiejnymi mostami dla piechoty. Dziwnym sposobem nie udało im się to.

„Gdzie jest feldmarszałek von Kluge?"

Nadszedł dzień 17 sierpnia, dzień przeznaczenia dla kampanii zachodniej. Już od paru tygodni Hitler nie mógł się wyzbyć podejrzliwości w stosunku do Klugego. Miał informacje, że feldmarszałek sympatyzował z ludźmi 20 lipca. Podejrzliwość wydała owoce: 15 sierpnia Kluge udał się w podróż frontową celem spotkania się z generałem Eberbachem. Ale na miejsce spotkania w Nocy nie przybył. Mijały godziny. Grupa Wojsk B nadawała radiogramy do sztabów dywizji: „Gdzie jest feldmarszałek von Kluge?" Wieczorem kwatera główna fiihrera przesłała Eberbachowi radiogram o treści: „Ustalić miejsce przebywania feldmarszałka Klugego. Wyniki meldować co godzinę". Ta dociekliwość nie wynikała bynajmniej z troski o los Dowódcy Zachód. W Kętrzynie zakiełkowało bowiem upiorne podejrzenie: „Kluge pojechał na tajne rozmowy kapitulacyjne z nieprzyjacielem", szeptano. Ale podejrzenie to pozbawione było jakichkolwiek podstaw. Jego samochód i jego dwie radiostacje zostały rozbite pociskami. W konsekwencji feldmarszałek dostał się w chaotyczny nocny ruch na zatłoczonych drogach. Bezsilny, całymi godzinami tkwił w rzece pobitej **armii**. O północy, po dwunasto-godzinnej nieobecności na swym stanowisku dowodzenia, zjawił się wreszcie u Eberbacha w Nocy.

Ale kwatera główna fuhrera nie uwierzyła w ten fatalny przypadek. Feldmarszałek popadł w niełaskę. Inny człowiek, otoczony aurą bezwarunkowej wierności Hitlerowi, bezlitosnej surowości, wielkiej siły charakteru i fanatycznej osobistej dzielności, został przywieziony z frontu rosyjskiego i mianowany następcą Klugego. 17 sierpnia niespodziewanie zjawił się w dowództwie Grupy Wojsk z odręcznym pismem Hitlera i przejął dowodzenie na zachodzie. Był to feldmarszałek Walter Model, lat 53, kawaler Krzyża Rycerskiego z liściem dębowym, mieczami i brylantami.

Kiedy po pierwszej rozmowie z Klugem wyszedł z pokoju operacyjnego, wpadł mu w ramiona generał Bayerlein. - Co pan tu robi? - zapytał Model. - Chcę się odmeldować u feldmarszałka von Kluge, gdyż resztki mojej dywizji mają być wyciągnięte z frontu dla odświeżenia-odpowiedział Bayerlein. Odpowiedź Modela oddawała ducha

rosyjskiej wojny: - Mój drogi Bayerlein, na wschodzie dywizje są odświeżane na froncie i tak też będzie w przyszłości tutaj. Niech pan pozostanie ze swymi oddziałami tam, gdzie one są. - Pozdrowił go i odszedł. Odszedł także feldmarszałek von Kluge, tyle że z dowództwa. Na drogę wziął z sobą list do Adolfa Hitlera. Potem odjechał. Dokąd? W liście napisał: „Mój wodzu - kiedy pan otrzyma ten list, mnie już nie będzie. Nic mogę pogodzić się z zarzutem, że los frontu zachodniego został przypieczętowany przez moje błędne przedsięwzięcia. Nie mam też żadnych możliwości, aby się bronić. Wyciągam z tego konsekwencje i udaję się tam, gdzie przebywają już tysiące moich kolegów...”

Potem, w formie zwięzłej, wojskowej krytyki Kluge podał przyczyny załamania się ofensywy pod Mortain. Za mało wojsk pancernych. Brak jakichkolwiek środków przeciwko monopolowi powietrznemu aliantów. Przewaga aliantów w ludziach i w środkach materiałowych nad wojskami niemieckimi na zachodzie. Na koniec Kluge zaklinał Hitlera, aby zakończył tę wojnę: „Nie wiem, czy wszędzie skuteczny feldmarszałek Model zdoła jeszcze zapanować nad sytuacją. Życzę mu tego z całego serca. Jeśli jednak tak się nie stanie i pańskie nowe, z gorącym utęsknieniem oczekiwane środki walki, zwłaszcza te lotnicze, nie doprowadzą do przełomu, to mój Wodzu, niech się pan zdecyduje na zakończenie wojny. Niemiecki naród tak niewypowiedzianie wiele wycierpiał, że już czas temu okrucieństwu położyć kres... Niech pan także okaże wielkość, niezbędną, kiedy trzeba będzie zakończyć tę walkę przybierającą charakter beznadziejny”.

W pobliżu Metz 61-letni Kluge połknął ampułkę trucizną. (Dokładny zapis tego wojskowego i historycznego dokumentu pierwszej rangi znajduje się w załączniku).

Model nic zdołał zapanować nad sytuacją. Nie mógł już zmienić losu wojsk zamkniętych w wielkim worku Argentan-Falaise.

W tym samym dniu, w którym objął dowodzenie na froncie zachodnim, dywizje amerykańskie znajdujące się pod Argentan przystąpiły do ataku w kierunku północnym. Stojący pod Falaise Anglicy i Kanadyjczycy uderzyli na południe. Celem było połączenie się i zamknięcie kotła. Pułapka zastawiona na 7 armię i 5 armię pancerną miała się zamknąć. Sto tysięcy ludzi, resztki 15 dywizji, było ściśniętych na przestrzeni szerokości 36 i głębokości 15 kilometrów. W kocioł bez przerwy waliła artyleria i dywizjony bombowców. Wiele oddziałów rozwiązało się; ludzie pozbawieni nadziei bładzili w terenie lub leżeli gdzieś w ukryciu i czekali na koniec. Inni byli zdecydowani wywalczyć sobie wyjście. Tylko przewężenie pomiędzy Saint Lambert i Chambois nadawało się jako tako do tego celu.

Powstanie kotła Argentan-Falaise, w którym zniszczona została 7 armia.

Piekło Falaise

Kanadyjska 2 dywizja piechoty miała zadanie wziąć słup drzwiowy Falaise. potem uderzyć na Trun i zamknąć wrota pułapki.

Ale w Falaise siedziała Waffen-SS. Kanadyjska 6 brygada zmuszona była wrywać grupie bojowej z 12 dywizji pancernej SS dom po domu. W końcu sześćdziesięciu grenadierów broniło się przez trzy dni w Ecole Superieure. Tylko czterech z nich dostało się do niewoli jako ranni. Inni polegli jeden obok drugiego. W ostatnią noc dwaj sturmmanni* w wieku 18 i 19 lat, wyznaczeni przez losowanie, przedarli się przez linie kanadyjskie, aby złożyć meldunek w dywizji o zagładzie grupy bojowej.

A tam właśnie wysadzano w powietrze stacje radiowe.

Czołgów już nie ma. Ostatnie dwa „Tygrysy” zdążyły jeszcze zatrzymać szpicę brytyjskiej 53 dywizji piechoty, po czym zostały rozbite.

Obersturmfuhrer Meitzel poszedł do niewoli ze swymi ludźmi. Wszyscy byli ranni. Standartenfuhrer Max Wunsche ze swymi ostatnimi wozami bojowymi dostał się pod silny ogień nieprzyjacielskich dział przeciwpancernych. Jego czołg

* Stunnniann szeregowiec w jednostkach SS.

został zniszczony. Wunsche zdołał ująć, ale pięć dni później został wzięty do niewoli. Panzer-Meyer miał przy sobie jeszcze tylko małą gromadkę, paręscil ludzi, z jego pełnokrwistej kiedyś i wzbudzającej postrach dywizji. Czyżby im, podobnie jak innym dywizjom, zamkniętym w worku pomiędzy Falaise a Argentan, przeznaczony był los jakiegoś normńskiego Stalingradu!'

18 sierpnia generał major von Gersdorff jako przedstawiciel 7 armii ustalił z generałem Eberbachem z Grupy Pancerniej Zachód, że 2 korpus pancerny SS Bittricha, który jest poza kotłem, wesprze próbę wyrwania się 7 armii kontruderzeniem z rejonu Vimoutiers na flankę Anglików. 19 sierpnia Bittrich nie ma jeszcze ani paliwa, ani amunicji. Ma jednak nadzieję, że rankiem 20 sierpnia przystąpi do ataku.

Stąd też dowódca 7 armii, generał pułkownik Hausser, rozkazał, aby w nocy z 19 na 20 sierpnia przystąpić do wyłamania się z okrążenia wszystkich bojowo sprawnych oddziałów.

Dowódca 84 korpusu, generał Filleldt, sformułował ten rozkaz krótko: „Pojedyncze grupy bojowe wyłamują się z kotła samodzielnie. Sztab dowodzenia 84 korpusu przykrywa tę operację resztkami rozproszonych grup frontu północnego i posuwa się za 2 korpusem strzelców spadochronowych jako ariergarda'*.

Sztab korpusu przykrywa wyłamywanie się swych ostatnich, zdolnych do walki oddziałów! To jest rozkaz, który przejdzie na zawsze do historii sztabów generalnych.

Rankiem 20 sierpnia generał Wisch przystąpił do ataku dwoma dywizjami. Dwie dywizje! To brzmi dumnie. Ale w sumie było tam zaledwie 20 czołgów,

0 dwa mniej, niż jest na etacie kompanii czołgów! Piechota obu dywizji miała tylko trzy bataliony. Pomimo to atak początkowo miał szansę powodzenia, jednakże później został zatrzymany. Wzięto jeszcze wzgórze na północ od Coude-hard. Potem siły się wyczerpały. Korpus zdołał tylko utworzyć linię przyjmowania oddziałów wychodzących z kotła.

Tymczasem bitwa o wyrwanie się z kotła toczyła się pełną parą.

Resztki 353 dywizji grenadierów z ich doświadczonym dowódcą, generałem Mahl-mannem, wyłamały się pomiędzy Moissy i Chambois. (generał osobiście rozpoznawał drogi i prowadził wypadki przeciwko nieprzyjacielskim ubezpieczeniom bojowym.

Dowódca 2 korpusu strzelców spadochronowych, ojciec formacji strzelców spadochronowych Meindl, wyprowadzał z pułapki z właściwą sobie brawurą 3 dywizję strzelców spadochronowych, część 12 dywizji pancernej SS i sztab 7 armii. Rozpoznanie ustaliło, że w międzyczasie kocioł został już całkowicie zamknięty. Meindl rozkazał utworzyć dwa kliny uderzeniowe. Pierwszy prowadził sam. drugi -szef sztabu korpusu, pułkownik Blaucnsteiner.

Zamierzone przez armie, podporządkowanie 277 dywizji piechoty i 12 dywizji pancernej SS nie doszło do skutku, ponieważ nie było już z nimi łączności. Ale Meindl osobiście poinformował o tym planie Panzer-Meyera. Sztab Meyera

1 Grupa Krause mieli iść za strzelcami; pododdziały zmotoryzowane 12 dywizji

pancernej SS wraz z 1 dywizją pancerną SS miały się wyłamywać poprzez Clam-bois.

O godzinie 22.30 czołowi zwiadowcy strzelców spadochronowych wysunęli się niczym duchy w ciemną noc ze swych stanowisk wyczekiwania w lasku. Rozkaz brzmiał: „Jeśli się da. unikać walki”. Zgodnie z tą dewizą, Meindl czołgał się ze swymi strzelcami poprzez bruzdy w polach uprawnych. Prześlizgiwali się obok nieprzyjacielskich posterunków z czołgami i w końcu wymknęli się spod ognia kanadyjskiego karabinu maszynowego. Około północy osiągnęli rzekę Dives. Mosty były obsadzone przez nieprzyjaciela. Pozostało tylko jedno: brodzić i płynąć. Rzeka miała głębokość półtora do dwóch metrów, zbocza strome i porośnięte krzewami jeżyny. Tuż za zaroślami czyhały trzy czołgi nieprzyjacielskie. Omijając je, strzelcy - w przemoczonych mundurach - pełzli metr po metrze w bruzdach kartofliska. Cały czas pod ogniem karabinów maszynowych. Po drugiej stronie rzeki w Saint Lambert płonęło parę domów i oświetlało teren. Rósł w siłę hałas bitewny. Obok sunęły nieprzyjacielskie czołgi. Zaprzęgi konne, rozbite pociskami, leżały za żywopłotami i na drogach.

Dowódca 3 dywizji strzelców spadochronowych, generał porucznik Schimpf, został ciężko ranny w nogę pociskiem 20 mm. Generał pułkownik Hausser, który pod Moskwą stracił prawe oko, maszerował pośród strzelców z przewieszonym pistoletem maszynowym i doznał ponownie ciężkiej kontuzji twarzy odłamkiem granatu. Ale ten oficer ze starej szkoły pruskiego zakładu kadetów i to przetrzymał. Po prawdziwie ryzykanckiej jeździe wyszedł w końcu z kotła na tylnej części czołgu 1 dywizji pancерnej SS.

Przy przeprawie przez Dives oba kliny uderzeniowe Meindla utraciły z sobą kontakt.

Pułkownik Blauensteiner stał ze swoją grupą przed wzgórzem pod Coude-hard. Świtał ranek, kiedy przystąpili do ataku na wzgórze z kaplicą. Ale zaporą polskiej 1 dywizji pancерnej była zbyt silna. Nie udało się przejść. Stary, znakomity dowódca 9 pułku strzelców spadochronowych, major Stephan, był ciężko ranny. Jak zaczęło się robić widno, strzelcy szukali schronienia za żywopłotami, w rowach i zagrodach. O zmierzchu wycofali się na południe i pomaszerowali na Orville.

Generał Meindl wraz z 20 strzelcami i kilkoma oficerami przeszedł przez wszystkie zapory nieprzyjacielskie. Ale rankiem natrafili na kierunek marszu nieprzyjacielskiej kolumny pancерnej. Trzy czołgi przystanęły w odległości zaledwie paru metrów od rowu, w którym leżeli Meindl i jego ludzie. Słyszeli, jak załogi rozmawiają ze sobą. Po polsku. Przez półtorej godziny grupa leżała bez ruchu. Jak mysz pod miotłą. W końcu w pobliżu czołgów zaczęły padać pociski artyleryjskie, więc zmienili stanowiska. Przestał padać lekki poranny deszcz, który nieco gasił pragnienie. Pojawiło się słońce. Upał. W żywopłotach było jak w cieplarni. Wreszcie Meindl rozpoznał terkot niemieckiego karabinu maszynowego MG 42: atak Blauensteincra na wzgórze pod Coudehard.

Teraz, i on zbierał swoją siłę bojową. Zbierał wszystko, co pochodziło z rozproszonych 9 i 15 pułków strzelców spadochronowych. Przy wsparciu trzech czołgów z dywizji pancernej SS „Das Reich” atak na nieprzyjacielską pozycję ryglową na wschód od Coudehard nabrał rozpędu.

Około godziny 16.00 wybito lukę w kotle szerokości dwóch do trzech kilometrów. O godzinie 17.00 krętą drogą pod Coudehard jechały pierwsze samochody ciężarowe z kotła na wschód. Tuż po godzinie 19.00 Meindl kazał zebrać wszystkich rannych, jacy byli jeszcze osiągalni i szybko utworzył kolumnę Czerwonego Krzyża. Flaga Czerwonego Krzyża była z daleka widoczna. Kolumna wyjechała przez tę lukę. Dla wszystkich innych pojazdów generał zamknął nich. Jego honorowe zachowanie zostało docenione. Nadlatujące samoloty myśliwsko-bombowe zawróciły. Kiedy o godzinie 20.00 rozpoczął się normalny ruch, samoloty myśliwsko-bombowe znów się pojawiły i ostrzeliwały kolumny. Dopiero zapadające ciemności położyły kres tej pladze. Do północy ciągnęły z kotła przez lukę pod Coudehard strumienie żołnierzy i pojazdów. Z 3 dywizji strzelców spadochronowych wyszło z tego piekła, łącznie z oddziałami korpuśnymi, około 4000 ludzi. Kiedy pancerny batalion rozpoznawczy zameldował, że za nimi nie ma już nikogo, Meindl polecił zlikwidować pozycje na skraju luki. Deszcz i wiatr zagłuszały hałas towarzyszący odwrotowi. O godzinie 5.00 luka znów była zamknięta. Kto chciał teraz przejść na północny zachód od Saint Lambert, ten nadział się na zaporę kanadyjską.

Bładym świtem 20 sierpnia wybito jeszcze jedną lukę w pierścieniu okrążającym: szef sztabu 7 armii, generał major baron von Gersdorff, podszedł ze swoją grupą bojową, do której należała też część 1 dywizji pancernej SS, bezpośrednio do wsi Saint Lambert -już po drugiej stronie Dives - na trasie Trun-Chambois. Ubezpieczały ją nieprzyjacielskie działa przeciwpancerne. Gersdorff zaatakował dwoma czołgami. Pokonał działa przeciwpancerne i przekroczył szosę. Natychmiast ze wszystkich stron, z wszelkich możliwych ukryć, wyszły niemieckie samochody rozpoznawcze, działa pancerne oraz samochody ciężarowe i cały ten majdan pędził przez wyłom na wschód, ale bezpośrednio na stanowiska amerykańskiej 90 dywizji. Amerykanie, pewni już zwycięstwa, byli całkowicie zaskoczeni. Podnosili ręce. Ale co można było z nimi począć? Zabierać ze sobą? Było to niemożliwe. A więc po rozbrojeniu pozostawiono ich po prostu na miejscu.

Pod dowództwem energicznego oficera majora Bochnika ze 116 dywizji pancernej i srunnbannfulirera Brinkmanna z 12 dywizji pancernej SS zebrano w polu nową grupę bojową i wykorzystano ją do dalszego przebijania się. Grupa ta rozszerzyła tę zbawienną bramę, czyniąc „odcinek przełamania szefa sztabu armii” decydującą o wyjściu wojska luką na wschodnim skraju kotła.

Także Panzer-Meyer około północy zdołał zebrać swoją grupę bojową w pojedynczych zagrodach. Ta grupa czołowa wraz z generałem Elfeldtem i jego szefem sztabu von Cricgerncm przystępuje do uderzenia. Pod Clambois natrafiają na kolumnę pancerną 1 dywizji pancerniej SS, która się właśnie przygotowywała

Przebiecie się z kotła Falaise.

do ataku. Grupa Meyera przyłącza się do niej. Ale nieprzyjacielska zaporą pancerna jest silna. A więc z powrotem. Znowu zbieranie się. Ponowny atak. Tym razem się udaje. Przepływają Dives. Jej zbocza obsadził nieprzyjaciel i strzela w dół. Łożysko rzeki staje się śmiertelną pułapką dla artylerii o konnym zaprzęgu: martwe konie, przodki armat, armaty, pomiędzy nimi zwłoki ludzi - oto obraz mulistych brzegów Dives. Przejść obok.

Piechota kanadyjska zostaje rozgromiona.

Meyer pędzi ze swymi 200 ludźmi przez nieprzyjacielskie stanowiska jak na wyścigach. Oni nie krzyczą. Niemal bezgłośnie wyskakują z żywopłotów. Kanadyjczycy cofają się, przerażeni tym gwałtownym szturmem: z przodu dowódca z zakrwawionym bandażem na głowie. Pistolet w ręku. Obok niego z pistoletem maszynowym Kozak Michel z Dniepropietrowska, który towarzyszy Meyerowi przez całą kampanię. Hubert Meyer, oficer operacyjny dywizji, atakuje z karabinem w ręku. Obersturmführer Kóhn ma przewieszony przez ramię chlebak napełniony ręcznymi granatami.

Przeskakują przez rów pełen ciał poległych Niemców.

Oby tylko wyjść. Wyjść z tego piekła. Kurt Meyer powie później: „Kiedy byliśmy już na zewnątrz, spojrzeliśmy do tyłu i przeklinaliśmy ludzi, którzy bez sensu poświęcili dwie niemieckie armie”.

2 dywizja pancerna pod dowództwem ранego von Liittwitza też wywalczyła sobie drogę z kotła.

Luttwitz z ostatnimi 15 czołgami i artylerią dywizyjną przystąpił bladym świtem 20 sierpnia do ataku na południowy wschód od Saint Lambert. Atak przykrywali 304 pułk grenadierów pancernych i ostatni niszczyciele czołgów. Opancerzona czołówka i 2 pułk grenadierów pancernych przebiły się przez Saint Lambert i przez parę godzin utrzymywały otwarty wyłom od strony Tran i Chambois. dopóki nic przeszła tamtędy reszta dywizji.

116 dywizja pancerna biła się zacięcie i wyszła z okrążenia oraz uratowała z kotła 50 pojazdów bojowych.

Szef rozpoznania 84 korpusu, major Hayn. ze swym kapralem Yollandem, utknął tymczasem pod Chambois pośród kolumny o zaprzęgu konnym. Już było widać most w dolinie. Wtem czołgi otworzyły ogień do kolumny. Woźnice pędzili z drogi na lewo i prawo, szukając osłony w małym lasku. Część znalazła schronienie w starym chateau d'Aubry. Hayn i kapitan Pleifer, szef logistyki 47 korpusu pancernego robili wszystko, co nakazywał rozsądek i serce: zestawili mały pododdział celem wyszukania i zabrania licznych rannych leżących za żywopłotami, na polach, w parowach i obok wozów. Wkrótce zamek i park stały się wielkim punktem zbornym rannych. Podpułkownik-lekarz Tillmann z 8 pułku piechoty i podpułkownik-lekarz Dieter Muller z „Hitlerjugend” znaleźli się na miejscu i przejęli opiekę. Oczywiście, Hayn na próżno wysyłał w eter radiogramy, w których

ogłaszał zamek lazaretem. Na próżno rozkładano wielkie obrusy lniane na trawnikach przed zamkiem. Artyleria brytyjska bila po wieżach i przedpolach otaczających zamek. W końcu, rankiem 21 sierpnia na dziedzińcu zamkowy wjechały amerykańskie patrole rozpoznawcze. Hayn przekazał rannych pcw nemu kapitanowi amerykańskiej 90 dywizji. Na zewnątrz, przed zamkiem, leżeli amerykańscy piechurzy, chłopcy z Teksasu i Oklahomy. Rzucali ciekawe spojrzenia na niemieckiego oficera. Jeden z nich grał na organkach. Przerwał i zawołał do majora po niemiecku:

- Zna pan to?

A potem popłynęła melodia *Ach du lieber Augustin, alles ist liin*. Hayn, późniejszy dyrektor szkoły średniej w holsztyńskim Bordesholm, czuł, jak mu Izzy spływają po twarzy. Ale nie obejrzał się do tyłu.

Generał Elfeldt i podpułkownik von Criegcm utracili w czasie boju o przeprawę przez Divcs łączność z grupą Meyera. Generał czekał aż do godziny 3.00 na wiadomość o sytuacji w miejscach przełamywania się, ale jedyne, co do niego dotarło, to radiogram, że został pozbawiony dowództwa. Tekst brzmiał: „Zwolniony. Zbiórka sztabu korpusu na północ od Mont Ormel. Nowe zadanie na linii przechwytywania pod Amicns”.

"ł«i

Tuż po godzinie 3.00 generał Elfeldt na czele małej grupy bojowej uformowanej z rozbitków uderzył w kierunku na Saint Lambert. Drogę, przegradzały ubezpieczenia bojowe nieprzyjacielskiego batalionu czołgów. Elfeldt próbował je obejść jakimś parowem. Za późno. Kolumna z polskiej 1 dywizji pancernej zmusiła grupę do przyjęcia walki i rozbiła ją w drzazgi. Co nie poległo, dostało się do niewoli.

W ten sposób generał Elfeldt i jego sztab pozostali w kotle. Z nimi pozostało 9.40 000 jeńców, a za nimi 10 000 poległych. Ale 50 000 wywalczyło sobie drogę wyjścia.

Walka w Normandii i o Normandię dobiegła końca. **Początek końca**

Był to jednak dopiero początek dalszych zaciekłych bitew kończących się kotłami.

Przez mosty Sekwany

- Blauensteiner! - zawołał przyjaźnie generał Meindl, kiedy 21 sierpnia spotkał swego szefa sztabu i szefa oddziału operacyjnego w Orville.

Pułkownik zaszutował śmiejąc się: - Melduję się zdrow po wyjściu z kotta, panie generale!

Szeregowcy i oficerowie wyglądają jak Cyganie, mundury mają całe w strzępach za sprawą ciernistych żywopłotów. Są usmoleni, w większości ranni. Ale tego, kto brał udział w wyrwaniu się z kotła, nic już nie przestraszy.

- Co dalej, panie generale? - pytał Blauensteiner swego dowódcę korpusu.

- Dziś rano odnalazłem resztki sztabu 7 armii. W ciągu dwóch nocy mamy maszerować na Sekwanę, tam czekać na przeprawę. Odwrót osłania oddział czołgów z dywizji pancerniej SS „Das Reich”.

- I cóż on jeszcze osłania, panie generale? - zapytał z goryczą Blauensteiner. Meindl spojrział na swego szefa sztabu. Nie odpowiedział, nic było zresztą potrzeby.

Od dnia 7 czerwca na stole operacyjnym stanowiska dowodzenia korpusu raz po raz pojawiała się zmora wielkiego alianckiego przełamania frontu. Grupa Wojsk B nic miała wystarczających sił, aby nie dopuścić do lądowania. Nie otrzymała też wystarczającego liczebnie wsparcia, aby kontruderzeniami rozczłonkować przyczółki lądowania nieprzyjaciela i wrzucić jego wojska z powrotem do morza. W ten sposób ofiarne kontruderzenia 7 armii niemieckiej spożytkowano tylko do usuwania włamań i łatania kruchego frontu. Dywizje pancerne jedna po drugiej ścierane były na proch. Alianci zyskiwali na czasie, aby pod osłoną swych flot lotniczych wysadzić na ląd tyłu ludzi i tyle materiału, że można było wyliczyć, kiedy ta powódź zwali się na słabą tamę niemieckiej obrony. I doszło w końcu do tego. Przez dwa miesiące udawało się odroczyć załamanie frontu. Teraz było ono widoczne

gołym okiem, mimo iż w kotle pod Falaise nie było żadnej masowej kapitulacji. Jedna trzecia 7 armii mogła uciec i uniknąć zniszczenia. Ale broń pancerna, kręgosłup ofensywnego prowadzenia działań wojennych, była rozbita. Jej

resztki wystarczały najwyżej do obrony. W sumie, już po Falaise, Grupa Wojsk B miała pod swymi rozkazami jeszcze ponad 100 czołgów w gotowości bojowej. 100!

Meindl myślał o odprawie, jaka odbyła się w grudniu 1943 r. w kwaterze głównej fuhrera. Podczas omawiania sytuacji 20 grudnia 1943 i\ Hitler według stenogramu nr 35, strona 24, optymistycznie i z dużą pewnością siebie, oznajmił: „Decydujące będzie to, że przeciwnik w momencie lądowania dostanie bomby na głowę. Potem zmusimy go do szukania ukrycia. I nawet jeśli w powietrzu będzie tylko jeden samolot, to i tak będzie musiał szukać ukrycia. Tym samym tracić będzie godziną po godzinie. W ciągu pół dnia pojawią się i wejdą do akcji nasze nadciągające odwody. Jeśli przeciwnik zostanie przygwożdżony do plaży na czas sześciu do ośmiu godzin, to możemy sobie wyobrazić, jakie to ma dla nas znaczenie”.

Rachuby Hitlera się nie sprawdziły! Wprawdzie lądujący nieprzyjaciel był w wielu miejscach plaży przez sześć i więcej godzin „przygwożdżony” - niestety bez Luftwaffe - ale odwody nie nadchodziły. Wreszcie, ściągane kroplami, przybywały zbyt późno. Polem zdarzało się, że bywały częściowo źle wykorzystane. Z niewystarczającym wsparciem artylerii. Za dnia nie mogły w ogóle się poruszać, gdyż nic miały osłony powietrznej, ponieważ niebem zawładnęły alianckie samoloty myśliwsko-bombowe, bombowce i samoloty wsparcia taktycznego. I one zagroziły drogą niemieckim odwodom interwencyjnym. Przekreślały wszelkie kalkulacje.

Aliancka przewaga w powietrzu rozstrzygnęła wojnę na zachodzie. Rommel po raz drugi został pobity przez alianckich lotników. Po raz pierwszy stało się to w Afryce, gdyż z powietrza i tylko z powietrza została zwyciężona Armia Pancerna Rommela w Afryce Północnej, pobita w momencie, kiedy ten trzymał już klamką drzwi wiodących do Kairu, a raj naftowy na Bliskim Wschodzie leżał w zasięgu jego ręki. Całkowite sparaliżowanie zaopatrzenia sprawiło, że w decydującej bitwie pod Alamein Korpus Afrykański był bez paliwa i bez pojazdów. Tym samym stracono szansę zdobycia Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu oraz. zmuszenia Anglii do zawarcia pokoju.

Działając z powietrza, wyłączono z walki również niemieckie łodzie podwodne U-Booty. W połączeniu z radarem i wyższą technologią elektronicznych środków rozpoznania, zastopowano ofensywą „szarych wilków” - dokonały tego samoloty bojowe. Zadawały one łodziom podwodnym wielkie straty, zmuszały je do zanurzenia i opuszczenia danego akwenu.

Taką samą metodą, nieustannie przeciągano termin ukończenia prototypu i zastosowania pocisków VI i V2, pierwszych rodzajów broni raketowych w historii wojen. Zakłady ich produkcji i badań były wielokrotnie bombardowane w kraju, podobnie jak stanowiska startowe na terenach frontowych.

Aliancka przewaga w powietrzu urosła w czasie inwazji do rangi monopolu w powietrzu i stworzyła decydujące przesłanki do zwycięstwa na froncie inwazyjnym. Naloty dywanowe i samoloty myśliwsko-bombowe rozbiły w drzazgi fortyfikacje nadbrzeżne oraz francuską sieć kolejową. Przeszkadzały w szybkim wykorzystaniu taktycznych i strategicznych odwodów, przecinały zaopatrzenie, rozбивały dywizje pancerne i artylerię oraz czyniły z grenadierów bezsilne ofiary.

To jest ta podstawowa gorzka prawda drugiej wojny światowej! Meindl znał tą prawdą. Znał ją też Blauensteiner. To nie była wina oficerów, dowódców i sztabów Luftwaffe, że niemieckie pułki samolotów bombowych i myśliwskich w drugiej fazie wojny były w tak wielkiej liczbowo dysproporcji do zasobów przeciwnika. Kołdra niemieckiej gospodarki zbrojeniowej była za krótka dla prowadzenia jednoczesnej wojny na wschodzie i na zachodzie. Jej potencjał wystarczał albo dla samolotów, albo dla czołgów, ale nic wystarczał dla jednych i drugich.

- I co dalej? - pytał pułkownik Blauensteiner swego dowódcę.

- Wielką nadzieją jest Sekwana - odpowiedział Meindl.

Sekwana! Potężna rzeka! Ale nawet te potężne rzeki nie stanowią niepokonanej przeszkody dla nowoczesnego, sprzągniętego ściśle z techniką prowadzenia działań wojennych. Prefabrykowane mosty, specjalne pontony, łodzie desantowe pozwalają na przekraczanie nurtów rzeki w ciągu kilku godzin przez całe dywizje. Pod warunkiem, że jej brzeg nie będzie broniony przez oddziały szybkie, artylerię, działa pancerne i czołgi, które od razu rozbijają każdą próbę przeprawy. Jeśli jest inaczej, to każda rzeka jest tylko rowem. Niemieckie armie dowiodły tego w kampanii rosyjskiej. Dlaczego Amerykanie, którzy skutecznie sforsowali kanał La Manche, mieliby być bezradni nad Sekwaną? I nie byli.

To, czego generał Patton dowiódł pod Avranches, pokazał też pod Paryżem. Śmiało i beztrąsko pędził swoje dywizje przez północną Francję. Drogi do Paryża stały otworem, niebronionc, niezniszczone.

Naczelne Dowództwo Wehrmachtu miało nadzieją, że uda mu się osłaniać Paryż i niemiecki odwrót na Sekwaną siłami trzech dywizji 15 armii. Znów za tym przedsięwzięciem stały tylko słowa: zrobiono za mało i za późno.

Patton nadciągał z trzema dywizjami pancernymi i z trzema w pełni zmotoryzowanymi dywizjami piechoty. Na szczęście dla niemieckiego dowództwa pogoda była nielotna. Samoloty myśliwsko-bombowe musiały pozostać na

lotniskach. Dzięki temu resztki 2 korpusu strzelców spadochronowych mogły pod Louviers bez strat przejść przez Sekwaną.

Także generał major Kurt Meyer zameldował się z resztkami swej 12 dywizji pancernej SS na stanowisku dowodzenia 1 korpusu pancernego SS i został tam powitany jak ktoś powstały z martwych. Kto tylko uszedł z kotła, przeprowiał się przez Sekwaną pod Rouen na promach i łodziach. Oddziały dywizji, które dla regeneracji sił już kwaterowały przed Sekwaną, zostały wykorzystane do stawiania powstrzymującego oporu.

Jedzie samochód ciężarowy z ludźmi, którzy stanowią resztką 1 batalionu 25 pułku grenadierów pancernych, rdzenia Grupy Bojowej Waldmuller. Wśród nich garstka z 1 kompanii. Ta garstka to zaledwie tuzin ludzi.

Wczesnym świtem 7 czerwca 1 kompania zeszkakiwała w Caen z pojazdów. Było ich 250 żołnierzy. Andreas Schnell zapamiętał dokładnie, jak unterscharfuhrer Grenzow powiedział do niego w czasie jazdy: - Schnell. kiedy krzyknę „stop”, włączasz jednocześnie hamulec nożny i ręczny. -Zawsze grało. Żaden samolot myśliwsko-bombowy nie był w stanie zniszczyć samochodu Schnella przewożącego ludzi. Ale tym razem Grenzowowi się dostało. I wszystkim innym. Aż do tuzina, który teraz siedzi na samochodzie. Tylko pięciu z nich było 7 czerwca w Caen; pozostało tylko tych pięciu.

Naszą starą kumpelką, 21 dywizję pancerną spotykamy na drodze ku Sekwanie, w walce z nacierającymi Amerykanami. Tu rzuceni, tam popędzani do zatykania luk, powstających co godzinę w słabym, ruchomym froncie osłonowym, mieli nic dopuścić do ponownego odcięcia spływających ku Sekwanie oddziałów. Dywizja jest w walce od 6 czerwca. Dwa bataliony marszowe, to było całe uzupełnienie, jakie dotarło na ich front do końca sierpnia. Większość czołgów pozostała pod Caen; dywizja podjęła próbę wyrwania się z kotła z ośmioma czołgami Panzer IV. Żaden nie przeszedł przez Dives. Pułki grenadierów pancernych mają jeszcze po 40 do 50 ludzi. Artyleria, działa pancerne, niszczycele czołgów i jednostki artylerii przeciwlotniczej postradały większość swej broni i pojazdów. Suche liczby nie mówią nic o cierpieniu i bólu. Ale pokazują klęskę poniesioną w nowoczesnej bitwie od strony katastrofy technicznej. Pokazują straty w militarnej maszynierii, bez której żołnierz jest absolutnie bezsilny, nawet jeśli jest jeszcze tak waleczny.

Od 6 czerwca do końca sierpnia wojska Grupy Wojsk B utraciły 1300 czołgów. 20 tysięcy samochodów ciężarowych i osobowych, 500 dział pancernych, 1500 armat polowych i haubic, wiele tysięcy dział przeciwpancernych i przeciwlotniczych.

Straty w ludziach wyniosły 400 tysięcy żołnierzy - rannych, jeńców i poległych. 200 tysięcy pomaszerowało do obozów jeńców wojennych w Anglii, Kanadzie i w USA.

Bóg wojny Mars zmiotł z pola walki ludzi i wyposażenie dwóch niemieckich armii. Reszta gromadziła się przed Sekwaną.

3 kompania batalionu saperów 21 dywizji pancernej budowała most na rzece pod Rouen. Żołnierze pracowali jak furiaci, gdyż przed rzeką tłoczyły się podchodzące oddziały, które czekały na promy, barki i łodzie. Budowy mostu nie zakłócał ani jeden atak lotniczy. Pogoda była korzystna.

Przy wjazdach stały oficerskie patrole kierujące mchem; oficerowie z pistoletem w ręku opanowali panikę i chaos. Tu można było zobaczyć resztki wypróbowanych w boju dywizji, które przelewały swą krew w Normandii: 21,2 i 116 dywizje pancerne. 2, 9, 10 i 12 dywizje pancerne SS. 17 dywizja grenadierów pancernych SS, wiarusy z

dywizji strzelców spadochronowych, dywizji piechoty, połowych dywizji Luftwaffe i dywizji dział przeciwlotniczych, które tak twardo i z bezprzykładną brawurą były się w ogrodach, żywopłotach i parowach Bocages.

Ale jednego oddziału szukalibyśmy daremnie: 6 pułku strzelców spadochronowych, tego, który w pierwszych dniach inwazji, na odcinku „Utah”, wykonywał swoje pieiwsze, pełne nadziei kontruderzenia i od 6 czerwca był nieustannie w walce. Nie ma go tutaj. Jego los jest przykładem walki i zagłady całych pułków.

Po opuszczeniu Carentan strzelcy spadochronowi von der Leydta bili się na półwyspie Cotentin, w rejonach działań różnych dywizji. Ich imię pojawiło się w chwale jeszcze raz w połowie lipca na obszarze 7 armii. Wtedy to kompania cyklistów, składająca się jeszcze z 20 ludzi, działając razem z jednym Panzer IV z 2 dywizji pancernej SS „Das Reich”, wzięła do niewoli amerykański batalion piechoty, który się przełamał. Liczył on 13 oficerów i 600 żołnierzy.

Potem pułk utknął w odmętach amerykańskiego przełamania się pod Saint Lô i razem zjedną grupą bojową 2 dywizji pancernej SS wyrwał się z kotła Coutances w kierunku południowym na pozycje przechwytywania 353 dywizji. Kto tam był, nigdy tego nie zapomni. Szło się w nocy, w jednym rzędzie, bocznymi, często krętymi drogami, podczas gdy od strony drogi głównej dochodził turkot amerykańskich czołgów. Czołówkę pułku, niczym wódz indiański, prowadził von der Heydt. Przechytrzył w pełni zmotoryzowanych Amerykanów. I jakoś przeszli. Ale co też zostało jeszcze z tego dumnego pułku? Paręset ludzi. W dodatku niemal wszyscy albo chorzy, albo ranni. Większość trzeba było wysłać na „szlak-IVb”, jak żołnierze nazywali drogę do Alençon, gdzie znajdował się lazaret. Sama nazwa „IVb” pochodziła od sztabowego oznaczenia lekarza dywizyjnego.

Pozostało 60 ludzi, sześćdziesiątka! Zostali ściągnięci z frontu i pod Lisieux natrafili na chorych i rannych pułku, w sumie 1007 ludzi. Ale wcześniej 3000 oficerów i szeregowych poległo albo zaginęło. 3 tysiące z jednego pułku! Zaledwie niecałe dwie godziny pędziły kolumny przez most na Sekwanie pod Rouen, kiedy się przejaśniło. A wraz ze słońcem pojawili się panowie bitwy o Francję - samoloty alianckie.

I znów ani jeden niemiecki samolot nie bronił przeprawy. Jaki był początek, taki był i koniec. Tylko kilka dział przeciwlotniczych słało w niebo swój ogień zaporowy. Lecz nie były w stanie zapobiec katastrofie. Samoloty myśliwsko-bombowe sunęły lotem koszącym nisko nad mostem. Rozbiły pontony, które się po-rozłączały. Rzuciły na nie bomby. Ich ofiarą stała się Sekwana.

W tym samym czasie, trzy mile od Paryża, szczęście wojenne sprzyjające generałowi Pattonowi, dało mu w rękę rozstrzygający sukces. Pod miasteczkiem Mantes Gassicourt, 30 kilometrów na północny zachód od Paryża,

niemieccy saperzy wysadzili w powietrze jaz. Podczas tej pracy otrzymali rozkaz natychmiastowego zerwania i zaminowania wielkiej drogi wjazdowej z Dreux do Paryża, tak aby uczynić ją nieprzejezdną dla czołgów. Oddziały piechoty, które znajdowały się na zachód od Sekwany w rejonie Mantes, otrzymały rozkaz ubezpieczenia drogi wjazdowej do Paryża. Niemieckie wyższe dowództwo było zdania, że generał Patton uderzy bezpośrednio wprost na stolicę Francji, aby ją szybko wziąć w posiadanie.

Temu właśnie miało się zapobiec.

Hitler w swych zamysłach postanowił bronić Paryża do ostatniego domu. Dlatego z dalekiego Kętrzyna, położonego 60 kilometrów od rosyjskiego frontu, wtrącał się swymi rozkazami we wszystkie szczegóły operacji odległego o 1500 kilometrów francuskiego pola bitwy. Hitler, prowadząc wojnę z mapy, nie był w stanie uwzględniać miejscowych realiów, lecz mimo to chciał, aby każde wycofywanie się miało jego osobiste zezwolenie. W ten sposób tracono czasem całe godziny, które były nieraz decydujące przy szybko zmieniającej się sytuacji. Jak wynika z zachowanych fragmentów Dziennika Wojennego OKW i badań doświadczonych oficerów sztabowych - prowadzonych dla amerykańskiej historii wojny- Hitler widział niebezpieczny rozwój sytuacji na zachodzie. On, jak nikt inny, zajmował się technizacją wojny i dostrzegał piętrzące się problemy, jakie wynikały z przewagi amerykańskiej. Ale - wierzył i to był błąd zasadniczy - że duch bojowy niemieckiego żołnierza wszystkiemu podoła. Nałożył zatem na żołnierza frontowego zbyt wielki ciężar, którego ten nie był w stanie udźwignąć.

Paryż nie będzie Warszawą

Amerykański plan nie był początkowo nastawiony, jak zakładano w kwaterze głównej Hitlera, na zajęcie francuskiej stolicy, lecz na jej okrążenie. Eisenhower czuł niechęć do krwawych, obfitujących w straty walk ulicznych.

I tak 79 dywizja generała Pattona w ogóle nie maszerowała na Paryż, lecz pod osłoną nocy podeszła na odległość 5 kilometrów od Mantes, nie napotykając po drodze ani jednego niemieckiego grenadiera. Następnego ranka patrol rozpoznawczy podkraść się ostrożnie do rzeki. Nikt spośród Amerykanów nie mógł sobie nawet wyobrazić, żeby nad Sekwaną nie było żadnych ubezpieczeń bojowych.

Wszędzie panowała martwa cisza. Amerykanie widzieli wysadzony w powietrze jaz. Ale wąski most dla pieszych nadawał się jeszcze do użytku. Oczywiście nie nadawałby się, gdyby po drugiej stronie rzeki był choć jeden niemiecki karabin maszynowy. Jeden karabin maszynowy z dwoma żołnierzami.

Sierżant White robi sprawdzian. Z trzema żołnierzami przebiega przez kładkę.

Już są po drugiej stronie.

Machają rękami.

Jeden patrol rusza w ślad za nimi i ostrożnie rozpoznaje teren.

- Oby tylko nie zbudzić jakiegoś śpiącego psa - ostrzega White. Szybko przenieśli na drugą stronę dwa ciężkie karabiny maszynowe i kilka moździerzy.

Już mieli przyczółek mostowy. Wiadomość o tym poszła przez radio do generała Pattona. Ten natychmiast przyjechał. Obejrzał położenie i popędził do swego przełożonego, Bradleya. Po kilku godzinach dzwoni do 79 dywizji: „313 pułk przerzucić za rzekę”.

Żołnierze, zerwani ze snu, pędzą przez kładkę, sapiąc pod ciężką bronią. Z miejsca biorą się za budowę przeprawy za pomocą dźwigarów i desek. Wkrótce jadą już samochodami ciężarowymi na drugą stronę. I kiedy zrobiło się widno, i poniżej, pod Rouen, pierwsze niemieckie oddziały wychodzące z kotła Falaise przeprowały się przez rzekę, aby nad Sekwaną zbudować nową linię obronną, to generał Patton posiadał już - 30 kilometrów na zachód od Paryża - silny przyczółek mostowy, którego nie można było zgnieść.

Wydarzenia na moście pod Mantes-jednym spośród wielu mostów przeznaczenia ostatniej wojny - wskazują ponownie, jak dalece sprawy wymknęły się z rąk niemieckiego dowództwa. Nic się już nie udawało. Absolutnie nic. Szczęście wojenne odwróciło się od niemieckiego oręża.

Także pod Melun, na południowy wschód od Paryża, udało się Pattonowi 23 sierpnia utworzyć przyczółek mostowy siłami 7 dywizji pancernej: Sekwana była pokonana, zanim padł sam Paryż!

„Celem czołgów jest zawsze nieprzyjacielska stolica”, brzmiała główna zasada strategii Guderiana. Eisenhower chciał odejść od tej zasady, aby uchronić Paryż. Chciał okrążyć miasto, a potem zmusić Niemców do poddania się. Później jednak rozważania natury politycznej podyktowały mu konieczność podjęcia decyzji militarnych.

19 sierpnia, rzucająca się w oczy klęska niemieckiej armii polowej, skusiła trzy tysiące paryskich żandarmów do rozpoczęcia powstania i zajęcia prefektury policji. To była iskra, która wpadła do beczki prochu. Ruch oporu otwarcie chwycił za broń. - *En avant* - naprzód - wyrzucie Niemców z Paryża!

Przeciwno takiemu obrotowi sprawy nie mógł poradzić żaden oficer łącznikowy sztabów alianckich. Nie pomagały żadne apele o rozsądek ani odwoływanie się do wymogów strategicznych. „*aux armes!*” - do broni! - rozbrzmiewało na przedmieściach. W grę wchodziła polityka. Żadna z organizacji ruchu oporu - od komunistów do nacjonalistów - nie chciała pozostawać w cieniu innej. Ratusz, Pałac Sprawiedliwości, ministerstwo wojny zostały zajęte. Na ulicach słychać było strzały karabinowe. Z okien piwnic terkotały karabiny maszynowe. Z dachów zrzucono granaty na niemieckie obiekty wojskowe.

General von Choltitz, od 7 sierpnia komendant Paryża, stał przed trudną decyzją. Rozkaz Hitlera brzmiał:

„Wysadzić mosty na Sekwanie, walczyć w mieście do ostatniego domu”.

Generał wiedział, co to znaczy dla miasta, dla ludności cywilnej, dla wojska, dla niemieckich sztabów, placówek służbowych i jednostek zaopatrzenia.

W jakim kierunku mogła się rozwinąć sytuacja, pokazały walki powstańców warszawskich, toczące się od 1 sierpnia po drugiej stronie frontu europejskiego. Oni też w oczekiwaniu na wyzwolenie chwycili za broń. Kiedy przyszli Rosjanie, Warszawa legła w gruzach.

Po zawaleniu się frontu niemieckiego we Francji, cztery armie alianckie pędzą w kierunku granicy Rzeszy. Słabo obsadzony Wal Zachodni, do obrony którego rzuca się pospiesznie pozbierane oddziały, jest ostatnią linią obrony przed Renem.

W jaki sposób można było zapanować nad tak burzliwym rozwojem sytuacji? Regularne oddziały niemieckie były zbyt szczupłe; jednostki alarmowe składające się z personelu biurowego i taborów łatwo się rozpadały. Bojowe oddziały gestapo i policji uszły. Mimo to ciągle nadchodziły ponagające rozkazy wysadzenia w powietrze zakładów przemysłowych i ważnych strategicznie obiektów miejskich. Choltitz próbował za pomocą ostrych ogłoszeń radiowych powstrzymać rozwój wydarzeń. Ale jego twarde słowa rozpałały tylko umysły i dawały Resistance okazję do podejrzeń, że Niemcy złamali zawieszenie broni. W tych dniach i godzinach nic było w Paryżu ani jednego odpowiedzialnego człowieka - od ambasadora niemieckiego Otto Abetz poczynawszy, a na dowódcach niemieckich placówek służbowych skończywszy - który nie byłby wiedziony chęcią ustrzeżenia Paryża przed zniszczeniem.

W tych godzinach niebezpieczeństwa zagrażającego francuskiej metropolii nawiązano wiele nici pomiędzy frontami, w celu znalezienia rozwiązania będącego do przyjęcia.

W końcu znaleziono je: Eisenhower, w związku z rozsądnym zachowaniem się Niemców, zezwolił - wbrew swym wcześniejszym zamiarom - na wmaszerowanie do miasta 5 korpusu w składzie amerykańskiej 4 dywizji piechoty i francuskiej 2 dywizji pancernej. W ten sposób Choltitz dostał partnera, z którym mógł zgodnie z porządkiem wojskowym, omówić problem kapitulacji.

Ostatni akt

Choltitz nie chciał z Paryża robić Warszawy. Prowadził rokowania z ludźmi zaufania Resistance. Było wiele wzajemnego przekonywania się. Generał był między młotem a kowadłem. Rokowania z przedstawicielami Resistance i ich pośrednikami musiał prowadzić niezwykle dyskretnie, aby nic z tego nie przedostało się do kwatery głównej Hitlera; musiał też doprowadzić do takiej ugody, która by go ustrzegła od kapitulacji przed nieobliczalnymi siłami Resistance. W końcu zgodzono się na zawieszenie broni aż do 23 sierpnia.

Ale wodzowie wielowarstwowego ruchu oporu nie zdołali utrzymać swych ludzi na wodzy. Wiele grup prowadziło wojnę na własną rękę. Nadal były napady na wydzielone niemieckie obiekty i punkty oporu, które prowokowały do obrony czynnej.

Choltitz nie mógł tego tolerować. Groził powszechny chaos. Na scenę wkroczyli knechci apokalipsy: rabusie, awanturnicy, polityczni cwaniacy. Wielu szeregowców ze sztabów pozdejnowało mundury, sądząc, że po

cywilnemu łatwiej będą się mogli ukryć u swych przyjaciółek. Niektórym się to udało. Wielu jednak przypłaciło to życiem, ponieważ Resistance - wraz z ich przyjaciółkami - uważał ich za szpiegów.

Kiedy Resistance urządzał polowania na odłączonych od oddziałów niemieckich żołnierzy, chodził po dachach oraz tropił kanałami i rozbijał pojedyncze, broniące się punkty oporu, to po stronie wschodniej, nieprzejrzanymi kolumnami opuszczali miasto kramarze nowoczesnej wojny: cywile i półwojskowie placówki służbowe, kolaboranci, jednostki milicji francuskiej, spekulanci, handlarze czarnego rynku. Pośród nimi sunęły sztaby z samochodami ciężarowymi wyładowanymi aktami kancelaryjnymi, meblami biurowymi, wywożące personel damski do pomocy w pracach sztabowych. Żałosny pochód!

Garnizon niemiecki trzymał się na północ od Sekwany do popołudnia 25 sierpnia. Potem generał Choltitz skapitulował z 10 tysiącami ludzi. Dla wielu żołnierzy, przede wszystkim zaś dla wielu oficerów rozpoczął się straszliwy bieg przez różgi. Wolność świętowała, ale jak zawsze, wrzała też nienawiść. Upadek Paryża był znakiem wywoławczym niemieckiej klęski w bitwie o Francję. Rozpoczął się ostatni akt drugiej wojny światowej. Na niemiecką armię polową czekał jeszcze tylko, pozbawiony zresztą wszelkiej ciężkiej broni, Wał Zachodni* jako ostatnia nadzieja na granicy Rzeszy.

* Linia Zygfryda.

Złudna nadzieja.

A dla pułków zmierzających doń, był to marsz ludzi goniących już resztkami sił. „Ich droga nic dobiegła jeszcze końca”, pisze kanadyjski sprawozdawca w oficjalnych historyczno-wojennych rozważaniach. I osądza: „Operacje alianckie były, jedna po drugiej, w najwyższych sztabach dowódczych lepiej uzgadniane niż u Niemców; nic można jednak tego samego powiedzieć o przebiegu działań na polu bitwy. Tam niemieccy żołnierze i dowódcy oddziałów byli lepszymi praktykami. Żołnierz niemiecki był dzielny, zacięty i sprawny, czasem fanatyczny, okazjonalnie bywał brutalny, ale zawsze i wszędzie był groźnym wojownikiem, nawet w tak ciężkich warunkach jak w Normandii. Patrząc od strony człowieka i walczącego frontu, nic można twierdzić, że bitwę w Normandii wygramyśmy ze względu na naszą wyższość taktyczną”.

To prawda! Tak było. Natomiast koncepcja strategiczna wsparta strukturą dowodzenia określoną przez ducha pracy zespołowej i nowoczesne metody zarządzania, przewaga w powietrzu, wyższa technika, niewyczerpana moc produkcji zbrojeniowej, a także szczęście wojenne - wszystko to, koniec końców, także wbrew lepszej jakości taktycznej niemieckiego dowodzenia - doprowadziło do zwycięstwa aliantów. Wyniszczające bitwy materiałowe na zachodzie i mordercze kampanie w Rosji wypaliły niemiecki Wehrmacht na szlakę. Klęska stała się nieodwracalna.

Dodatek

List pożegnalny feldmarszałka Giinthera von Kluge do Adolfa Hitlera (cytowany według Dietera Ose: *Die Entscheidung im Westen 1944*) (Rozstrzygnięcie na Zachodzie 1944 r.)

Dowódca Zachód

Kwat. Główna 18. 8 . 1944 r.

Mój Wodzu!

Doręczony mi wczoraj przez feldmarszałka Modela wyraz Pańskiej woli pozbawia mnie stanowiska Dowódcy Zachód i dowództwa Grupy Wojsk B. Oczywiście powodem tego jest fiasko uderzenia oddziałów pancernych na Avran-ches i wytworzona przez to niemożliwość zamknięcia luki do morza. Moja „wina” jako dowódcy odpowiedzialnego za to jest tym samym potwierdzona.

Pozwoli Pan, mój Wodzu, z całym szacunkiem, zając stanowisko w tej sprawie. Kiedy będzie Pan czytał te słowa, doręczone przez Oberstgruppenfuhrera Seppa Dietricha, którego poznałem w tych ciężkich tygodniach jako nieugiętego, dzielnego człowieka i nauczyłem się go cenić, mnie już tu nie będzie. Nie mogę. znieść zarzutu, że to ja przypieczetowałem los wojsk niemieckich na zachodzie przez błędne przedsięwzięcia, nie mam też żadnych

środków, aby się bronić. Wyciągnąłem z tego konsekwencje i udaję się tam, gdzie już są tysiące moich kolegów. Śmierci się nie bałem. Życie dla mnie, jako że znajduję się na liście przestępców wojennych przeznaczonych do wydania, nie ma żadnego znaczenia.

Jeśli idzie o problem winy, to proszę, aby mi Pan pozwoli! powiedzieć, co następuje:

1. Siła uderzeniowa wojsk pancernych była wydatnie osłabiona poprzednimi walkami, aby można było osiągnąć sukces. Nawet gdyby udało się za pomocą

zręcznych przedsięwzięć zwiększyć siłę uderzeniową, to i tak nie doszłyby one nigdy do morza, pomimo pewnych, niekwestionowanych sukcesów początkowych. Jediną dywizją pancerną, której siłę uderzeniową można poniekąd uznać za normalną, była 2 dywizja pancerna. Jednakże jej sukcesy nie mogą służyć za skalę do oceny innych dywizji pancernych.

2. Nawet jeśli się przyjmie, że Avranches mogło być osiągnięte, a tym samym luka zamknięta, to zagrożenie dla Grupy Wojsk nie byłoby w żadnym wypadku zażegnane, co najwyżej odsunięte w czasie. Dalsze uderzenie naszych dywizji pancernych na północ, jak rozkazano, połączenie się pozostałych sił własnych w ataku, w celu decydującego wpłynięcia na sytuację było *całkowicie* wykluczone. Każdy, kto znał rzeczywisty stan naszych wojsk, zwłaszcza dywizji piechoty, bez dyskusji przyzna mi rację. Pański rozkaz, który tego żądał, opierał się na sytuacji, jaka nie istniała. Podczas czytania tego decydującego rozkazu uzmysłowiłem sobie, że żąda się tutaj czegoś, co w obliczu Historii ma uchodzić za wspaniałą i najbardziej śmiałą operację, lecz która niestety w praktyce jest nie do przeprowadzenia i tym samym wina bez dyskusji musi zostać przesunięta na odpowiedzialnego za nią dowódcę.

Robiłem wszystko, co było w granicach moich sił, aby Pańskiej woli nadać należne znaczenie. Dodam jeszcze, że byłoby lepiej, gdyby się z początkiem ataku poczekało jeszcze jeden dzień. Ale w istocie rzeczy nie zmieniłoby to niczego. Takie jest moje *niezłomne* przekonanie, z którym idę do grobu, gdyż sytuacja była już zbyt mocno ukształtowana, aby dało się w niej jeszcze cokolwiek zmienić. Na południowej flance Grupy Wojsk były już zbyt duże siły, które nawet po zamknięciu luki pod Avranches mogłyby być zaopatrywane z powietrza. Tą drogą można by było i do Bretanii dostarczać dalsze siły. Nasz właściwy front obrony był już tak dalece osłabiony, że nie można było oczekiwać jego trwałego trzymania się, zwłaszcza po tym, kiedy bezpośrednio na niego kierował się strumień nowych oddziałów angielskich i amerykańskich, który nie płynął już na południe przez lukę pod Avranches. Kiedy mimo rzeczywistych zastrzeżeń wyraziłem zgodę na propozycję dowódcy wojsk pancernych i dowódcy 7 armii na szybką interwencję, to stało się tak dlatego, że wszyscy dobrze znaliśmy siłę oporu frontu północnego tej armii i nie mieliśmy już do niej zaufania. Chodziło więc o to, aby działać szybko, tym bardziej że sytuacja w powietrzu też do tego zmuszała. Ze względu na *sytuację w powietrzu*, która prawie całkowicie wykluczała walkę w dzień, widoki na spodziewany sukces były minimalne. Dobra pogoda utrzymała się aż do dnia dzisiejszego. Na podstawie tych faktów pozostaję przy swoim twierdzeniu, że nie było widoków na powodzenie, przeciwnie, nakazane ataki musiały siłą rzeczy zdecydowanie pogorszyć ogólną sytuację Grupy Wojsk. I tak też się stało.

3. Wojska na zachodzie są w końcu, jeśli chodzi o stosunki osobowe i materiałowe, zdane prawie wyłącznie na siebie. Zmusza do tego krytyczna sytuacja na wschodzie. Szybki spadek liczby czołgów i broni przeciwpancernej, podobnie jak niedostateczne wyposażenie w moździerze (?) w wielu tak zwanych naziemnych dywizjach wytworzyły sytuację, która jest dzisiaj napięta do ostateczności przez straty w tzw. kotle i musi być realnie określona.

W wyniku moich napiętych stosunków z nowym szefem sztabu generalnego, który widzi we mnie wroga, nie mogłem się doń zbliżyć i w ten sposób nie miałem możliwości uzyskania od niego wsparcia w czołgach dla frontu zachodniego, które było niezbędne. To wszystko miało decydujący wpływ na rozwój sytuacji ogólnej.

Mój Wodzu, uważam że mam prawo powiedzieć, że wyteżyłem wszystkie swoje siły, aby sprostać sytuacji. W moim aneksie do memoriału feldmarszałka Rommla, który przesałem Panu w swoim czasie, wskazałem już na możliwość takiego rozwoju wydarzeń. My obaj, Rommel i ja, a także wszyscy dowódcy tu na zachodzie, którzy znali walkę z przewagą materiałową Anglików i Amerykanów, widzieliśmy nieuchronnie nadciągający kryzys. Nie byliśmy jednak słyszani. Nasze poglądy *nie* były dyktowane przez pesymizm, lecz przez trzeźwą znajomość rzeczy. Nie wiem, czy wszędzie skuteczny feldmarszałek Model zdoła jeszcze opanować sytuację. Życzę mu tego z całego serca. Jeśliby jednak nie zaistniał ten fakt i Pańskie nowe, tak gorąco upragnione środki walki, zwłaszcza lotnicze, nie przebiły się, to mój Wodzu, niech się Pan zdecyduje zakończyć tę wojnę. Niemiecki naród tak bezgranicznie cierpiał, że jest już czas położyć kres tej zgrozie.

Muszą być sposoby na osiągnięcie tego celu, a przede wszystkim na niedopuszczenie, aby Rzesza przypadła bolszewizmowi. Postawa części oficerów, którzy się dostali do niewoli na wschodzie, wciąż pozostaje dla mnie zagadką. Mój Wodzu, zawsze podziwiałem Pańską wielkość, Pańskie godne zachowanie się w tej gigantycznej walce i Pańską żelazną wolę dochowania wierności sobie i zachowania narodowego socjalizmu. Jeśli przeznaczenie okaże się silniejsze niż Pańska wola i Pański geniusz, to znaczy takie jest zrządzenie losu. Pan prowadził honorową, bardzo wielką walkę. Historia to Panu poświadczy. Niech Pan też okaże wielkość, która będzie niezbędna, kiedy zaistnieje potrzeba zakończenia tej, stającej się beznadziejną, walki.

Żegnam się z Panem, mój Wodzu, gdyż stałem bliżej Pana, niż być może Pan wyczuwał, ze świadomością, że wypełniłem swój obowiązek do samego końca.

Cześć mój Wodzu! (podpisano) v. Kluge Feldmarszałek

Wykaz literatury:

- Beesly Patrick: *Veiy Special Intelligence*, Hamish Hamilton Ltd., Londyn 1977.
- Beesly Patrick: *Geheimdienstkrieg der britischen Admiralitdt 1939-1945*. Ullstein, Berlin 1978. B e n n e 11 Ralph: *Ultra in the West*, Hutchinson, Londyn 1979. C a r e 11 Paul: *Lisy Pustyni*, Bellona, Warszawa 2004.
- C a s e y William: *The Seeret War against Hitler*, Regnery Gateway, Waszyngton D.C.
- C o 11 i e r Basil: *The Defence ofthe United Kingdom*, Her Majesty's Stationary Office, Londyn 1957.
- DelmerSefton: *DieGeisterarmee*, Edition Praeger, Monachium, Wiedeń,Zu-rych.
- Ehrman John: *Grand Strategy* - tom V, Her Majesty's Stationary Office, Londyn 1956.
- Eisenhower Dwighl D.: *Wyprawa Krzyżowa w Europie*, Wyd. MON, Warszawa.
- Górlitz Walter: *Der Zweite Weltkrieg*, część II, *Steingruber-Verlag*, Stuttgart.
- G u d e r i a n Heinz: *Wspomnienia Żołnierza*, Bellona, Warszawa 1958. Harris Dennis Earl: *The Diplomacy of the Second Front*, Praca doktorska University of California, Santa Barbara 1969.
- Harrison Gordon A.: *Cross-Channel Attack - The EuropeanTheater of Operation*, *Office of the Chief Military History Department of the Anny*. Waszyngton D.C. 1951.
- H a s w e 11 Jock: *D-Day - Intelligence and Deception*, Nowy Jork. Times Books, 1979.
- Hayn Friedrich: *Die Invasion - Von Cotentin bis Falaise*, Kurt Vowinckel Verlag, Heidelberg.
- H i 11 g r u b e r A., H i i m m e 1 c h e n G.: *ChrońikdesZweiten Weltkrieges*, Bernard & Graefe Yerlag, 1966.
- H i n s 1 e y F.H.: *British Intelligence in the Second World War*, tom III, część 2, Her Majesty's Stationary Office, Londyn 1988. H o w a r t h David: *Dawn of D-Day*, Collins, Londyn.
- Hoy t Edwin R: *The Invasion before Normandy*, *Stein und Day Publishers*, Nowy Jork 1985.
- Lehmann R., Tiemann R.: *DieLeibstandarte*, część IV/I, Munin Verlag GmbH, Osnabrück 1986.
- Łuck Hans von: *Gefangener meiner Zeit*, E.S. Mittler&Sohn, Herford, Bonn 1991.
- Lu sar Rudolf: *Die deutschen Waffen und Geheimwaffen des 2. Weltkrieges und ihre Weiterentwicklung*, J.F. Lehmanns Verlag, Monachium. Masterman John C: *The Double Cross System*.

Meyer Hubert: *Kriegsgeschichte der 12 SS-Panzerdivision Hitlerjugend*, Munin Verlag GmbH, Osnabrück 1982. Meyer Kurt (Panzer-Meyer): *Grenadiere*, Schild-Verlag. Monachium-Lochhausen.

Marszałek Montgomery: *Wspomnienia*, Wyd. MON, Warszawa 1958. Omaha-Beachhead, *War Department-Historical Division*. Ose Dieter: *Entscheidung im Westen*, Deutsche Verlagsanstalt, Stuttgart 1982.

Ruge Friedrich: *Rommel und die Invasion*, K.F. Koehler Verlag, Stuttgart. Ryan Cornelius: *Najdłuższy Dzień*, Magnum, Warszawa. Sanders Hrowe H.: *Der Verratene Sieg*, Druffel Verlag, Leoni. Schramm Percy E.: *Kriegstagebuch des OK W*, część IV, 1961. Speidel Hans: *Invasion 1944*, Reiner Wunderlich Verlag, Tiibingen und Stuttgart.

Stacey, pułkownik CR: *The Canadian Army 1939-1945*, King's Printer, Ottawa 1948.

Stjernefelt Bertil: *Alarm i Atlantvallen*, Horsta Förlag A.B., Sztokholm.

Stoves Rolf: *Die Gepanzerten und motorisierten deutschen Grossverbände*, Podzum-Pallas Verlag, 1986.

Treitschke Heinrich von: *Deutsche Geschichte im 19. Jahrhundert*, część I, Verlag S. Hirzel, Lipsk 1894.

Verney Major-General G.L.: *The Desert Rats, The History of the 7. Armoured Division*, Hutchinson, Londyn. *Wehr-Wissenschaftliche Rundschau*; 9 Jahrgang, zeszyt 6, Juni 1959, E.S. Mittler & Sohn GmbH, Frankfurt, Berlin.

Wilmot Chester: *Der Kampf um Europa*, Alfred Metzner Verlag, Frankfurt, Berlin.

Ponadto niepublikowane rękopisy, dzienniki wojenne i studia historyczno-wojskowe od osób prywatnych i z archiwów niemieckich oraz zagranicznych.

